

HÅKAN NESSER

# INTRIGO



INTRIGO zawiera opowiadania:

*Rein, Droga Agnes!, Wężowy kwiat z Samarii, Tom, Wszystkie informacje w sprawie.*

HÅKAN NESSER

# INTRIGO

Przełożyła  
Małgorzata Klos

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2018

# Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Przedślowie

Tom

I

II

III

IV

V

VI

Rein

I

II

III

Droga Agnes!

Wężowy kwiat z Samarii

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

Wszystkie informacje w sprawie

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału *INTRIGO*

Redakcja: Małgorzata Głodowska

Projekt okładki:

Images © Luka Jenko and Intrigo Picture Ltd Design

Design © Mono Studio Author photo © Joe Voets and Intrigo Pictures Ltd

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka Aureusart

Korekta: Anna Jędrzejczyk

Redaktor prowadzący: Anna Brzezińska

Copyright © Håkan Nesser, 2018

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights, Stockholm, Sweden and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Kłos, 2018

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

ISBN 978-83-8015-796-5

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

# Przedślowie

INTRIGO to kawiarnia położona przy ulicy Keymerstraat w centrum Maardam.

To również tytuł filmowej trylogii wyreżyserowanej przez Daniela Alfredsona i nakręconej w roku 2017, która swoją światową premierę będzie miała na przełomie roku 2018 i 2019. Składają się na nią trzy części: *Śmierć autora*, *Samaria* oraz *Droga Agnes!* Filmy oparte są na moich opowiadaniach, z których ostatnie cztery zebrane w niniejszym tomie ukazały się wcześniej w książkach *Trójkąt Barina*, *Z perspektywy Doktora Klimke* oraz *Droga Agnes!* Opowiadanie otwierające ten zbiór, *Tom*, jest nowe i zostało wydane po raz pierwszy.

Książka to książka, film to film. Historie, gdy przenosi się je z jednego medium do innego, często trzeba przekształcić, znaleźć im nowe formy wyrazu. Jeśli chodzi o INTRIGO, to wszystkie różnice między książką a filmem są zarówno niezbędne, jak i wprowadzone świadomie.

Jednak podobieństwo, istota każdego opowiadania, to, o co tak naprawdę w nim chodziło, zostało oczywiście zachowane.

Håkan Nesser

Sztokholm, styczeń 2018 roku



**Tom**

# I

Maardam, rok 1995

Telefon zadzwonił kilka minut po wpół do czwartej, w nocy ze środy na czwartek. Numer nieznan, najwyraźniej zagraniczny. W normalnych okolicznościach by nie odebrała.

Oczywiście, że nie, jednak dopiero co wybudziła się z koszmaru, a choć ciemności panowały zarówno w pokoju, jak i za oknem, o które uderzała znajoma gałąź dużego orzecha, czuła się całkiem trzeźwo. Być może to właśnie mrok, na swój sposób tajemniczo współgrając z nagle przerwany snem – którego treści nie umiała sobie przypomnieć ani wówczas, ani później – skłonił ją do podniesienia słuchawki.

– Halo?

– Judith Bendler?

– Tak.

– Tu Tom.

Potem cisza. Nie licząc ciągłych trzasków na linii i cicho pulsującego zgrzytu. Jakby zmęczone fale uderzały o kamienne nabrzeże. Potem, kiedy odłożyła słuchawkę, właśnie taki widok stanął jej przed oczami. Fal, które

po długiej wędrówce wreszcie mogą spocząć pod postacią białej piany w zacisznej, acz kamienistej morskiej zatoczce.

Dziwne, zazwyczaj takie wizje jej nie nachodziły. Nie ulegała tak oczywistym porównaniom, czy jak tam je nazwać. Była niewierząca i nie cierpiała poezji.

– Tom? – zapytała w końcu. – Jaki Tom?

– A znasz innych?

Zastanowiła się. Nie, Tom jest tylko jeden.

Był.

– Pomyślałem, że może moglibyśmy się spotkać. Minęło tyle lat.

– Owszem...

Poczuła, że jej ciało przeszywa dreszcz, może nawet na sekundę straciła świadomość. Gdyby stała, zemdlałaby i upadła na ziemię.

Tak się na szczęście nie stało. Leżała w ciemnościach po swojej stronie podwójnego łóżka, a kiedy ten krótki atak minął, odruchowo wyciągnęła rękę w stronę Roberta. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że Robert jest w Londynie. Wyjechał w poniedziałek, miał wrócić w piątek wieczorem lub najpóźniej w sobotę po południu. Chodziło o jakiś projekt filmowy, wspominał nawet nazwiska kilku sławnych aktorów, ale zapomniała jakich. Nawet pytał ją, czy nie ma ochoty mu towarzyszyć w podróży, ale odmówiła. Londyn nie należał do jej ulubionych miast.

– Halo?

Jakoś zwalczyła impuls, by odłożyć słuchawkę.

– Tak?

– Co ty na to?

– Na co?

– Żeby się spotkać.

– Ja... nie do końca rozumiem.

Słyszała, że coś pije.

– Wiesz co? Przemyśl to sobie, a ja zadzwonię za kilka dni.

– Nie wydaje mi się, by...

Rozległo się kliknięcie i rozmowa została przerwana. Odłożyła słuchawkę i leżała chwilę bez ruchu. Splotła ręce na piersi. Zamknęła oczy, ale po chwili otworzyła je ponownie. Było coś, co musiała uchwycić. Wydawało jej się, że ciemność wciąż produkuje ten przypływ fal. Uznała, że muszą one coś oznaczać, że chcą jej coś powiedzieć, a ich sens wiązał się z *dystansem*. Jakimś niewielkim dystansem w czasie i przestrzeni, zaś w tym odległym, ale i niesłychanie bliskim mroku wciąż unosił się jego głos. Nieco surowy i nieco... właśnie, jaki? – pomyślała. Ironiczny? Pewny siebie?

Tom?

Przemyśleć sprawę?

Policzyła i okazało się, że minęły dwadzieścia dwa lata.

Dwadzieścia dwa lata i dwa miesiące, mówiąc dokładniej.

Terapeutka nazywała się Maria Rosenberg. Jej gabinet znajdował się na trzecim piętrze jednego ze zbudowanych z kamienia pomorskiego domów stojących przy Keymerstraat. Judith Bendler była jej pacjentką od niemal dziesięciu lat. Nigdy nie miały ciężkich, dusznych sesji. Widywały się raz lub dwa razy w miesiącu, z reguły w czwartkowe popołudnia, kiedy to Judith zazwyczaj jechała do centrum Maardam załatwiać różne sprawy. Potem starała się jeść lunch z jakąś przyjaciółką, wpadała do sklepów lub odwiedzała jedną z galerii w dzielnicy Deijkstraakvarteren. Albo do antykwariatu Krantzego przy Kupinskistraat, jeśli akurat był czynny. Dojazd pociągiem z Holtenaar zajmował nieco ponad pół godziny, jednak widziała, że z każdym rokiem coraz większe opory budziła w niej

konieczność wyjścia z ich pięknego domu z jeszcze piękniejszym ogrodem przy rzece. Po cóż opuszczać raj, skoro już się w nim jest?

Może po to, by móc sobie pozwolić na radość z powrotu? – powiedział kiedyś Robert, kiedy podzieliła się z nim swoimi odczuciami. Oczywiście w jego słowach było sporo racji. Jak zwykle, Robert potrafił we wszystkich sytuacjach dostrzec to, co istotne, nie można mu było tego odmówić.

Może i powroty do gabinetu Marii Rosenberg napawały ją jakąś spokojną radością. Każdy z nich. Świat mógł się walić, rodzaj ludzki mógł toczyć wojny, palić miasta i zabijać dzieci, a Maria zawsze tkwiła na swoim miejscu. W solidnym fotelu, w pokoju z ciężkimi udrapowanymi zasłonami i grubym wzorzystym dywanem z Samarkandy w kolorze krwistym.

I słuchała. Była już stara, kiedy Judith spotkała ją po raz pierwszy, czyli jakiś tydzień po pierwszym skandalu Roberta, a nic się od tamtej pory nie zmieniła. Tłumaczyła swój wygląd tym, że dotarła do punktu, w którym lata już nie mogą jej bardziej nadgryźć. Pewnego dnia na pewno umrze, lecz do czasu swojej ostatniej podróży nie miała zamiaru się bardziej zestarzeć. Mogła jedynie zmądrzeć i lepiej poznać życie, bo przed tym człowiek nie ucieknie.

To jednak nie o Marii rozmawiały w tym ciemnym, cichym pokoju. Naturalnie, że nie.

– Witaj Judith. Mam nadzieję, że dzisiejszy dojazd nie przysporzył ci problemów.

– Dziękuję. Przynajmniej udało mi się załapać na miejsce siedzące.

– No proszę. Chyba możemy sobie pozwolić na dzbanek rooibosa?

– Chętnie się napiję.

Ten sam wstęp do rozmowy, co zawsze. Kiedy Maria Rosenberg przygotowywała herbatę w schowanym za zasłoną aneksie kuchennym, Judith zdjęła kurtkę. Usiadła wygodnie w rogu sofy, okryła nogi pasiastym

pledem i włożyła poduszkę pod plecy. Czekając, zauważyła, że tli się w niej zdenerwowanie. Nie miała wątpliwości, co było jego powodem.

– Chyba wyczuwam w tobie pewien niepokój. Popraw mnie jednak, jeśli się mylę.

Judith jeszcze nie zdecydowała, czy chce jej opowiedzieć o rozmowie telefonicznej, ale kiedy Maria popatrzyła na nią zmrużonymi oczami z nad filiżanki z herbatą, podjęła decyzję. Jeśli bowiem istnieją spojrzenia, wobec których człowiek jest bezbronny, to z pewnością takie było spojrzenie Marii. Nie miała co do tego wątpliwości. Może już przed godziną, wchodząc do pociągu, Judith wiedziała, że tak będzie. Że opowie.

– Coś mi się przytrafiło.

– Tak?

– Odbyłam nietypową rozmowę telefoniczną.

Maria pokiwała głową, wypila łyżeczek herbaty, po czym odstawiła filiżankę.

– Wczoraj w nocy ktoś zadzwonił o wpół do czwartej.

– Wpół do czwartej? I odebrałaś?

– Tak, z jakiegoś powodu dopiero co się obudziłam. Chyba jakieś pół minuty przed tym, jak rozległ się dzwonek. Dziwne. Potem trudno mi było zasnąć.

– Kto dzwonił?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

Wzięła głęboki wdech. Poprawiła koc i wbiła wzrok w obraz wiszący między dwoma wąskimi regałami. Była to pomniejszona kopia *Mnicha nad morzem* Caspara Davida Friedricha. Odwrócona postać spoglądająca na ponure morze. Judith zastanawiała się wielokrotnie, dlaczego jej terapeutka wykazująca się taką życiową mądrością w swoim gabinecie postanowiła

powiesić to właśnie dzieło. Jedyne obraz w tym wnętrzu. Jak dotąd Judith nigdy nie zapytała.

– Przetawiał się jako Tom.

– Tom? Masz na myśli...?

Pokiwała głową, nie odrywając wzroku od obrazu. Kątem oka widziała, że Maria wypła kolejny łyk herbaty, po czym splotła dłonie na kolanach. Czekala.

– Chciał się ze mną spotkać.

Mnich nad morzem ani drgnął. Maria też nie.

– Ale? – zapytała tylko.

– Nie wierzę, że to faktycznie był on.

Opowiadała Marii o Tomie dawno temu. Temat wypłynął podczas jednego z ich pierwszych spotkań. Potem kilkakrotnie wracały do tej tragicznej historii, o ile jednak Judith pamiętała, nie mówiły o nim od czterech czy pięciu lat. Może nawet minęło jeszcze więcej czasu, odkąd wspomniała jego imię. Nie miała ku temu powodu. Z Robertem też o nim nie rozmawiała; było to niepisane i niewypowiedziane porozumienie, którego oboje przestrzegali. Nie przypominała sobie, by jego temat wypłynął choćby raz, odkąd przeprowadzili się do domu w Holtenaar.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli przypomnisz mi nieco tę historię. Jeśli nie masz nic przeciwko. Pamiętam tylko jej ogólny zarys, minęły przecież całe wieki, odkąd to się zdarzyło.

– Dwadzieścia dwa lata – sprecyzowała Judith. – Dwadzieścia dwa i dwa miesiące.

– A on miał wtedy...?

– Siedemnaście.

– Mów dalej. Czy może nie masz ochoty? To absolutnie twój wybór. Ja jestem tylko słuchaczką, która przechowuje to, co chcesz, by przechowano.

Nie muszę chyba jednak ci o tym przypominać.

Judith napiła się herbaty i przez chwilę się wahała. Choć w gruncie rzeczy były to raczej symulowane wątpliwości. Powiedziała „A”, a ponieważ podjęła już decyzję – świadomie bądź nie – to i tak znów wyciągnęła na jaw tę sprawę. Przecież właśnie dlatego tu siedzimy – pomyślała. Żeby mogła powiedzieć „B”. Jeśli teraz tego nie zrobię, będę w nieskończoność wałkować te myśli w głowie.

– Tak. Tom miał siedemnaście lat, kiedy to się stało – powiedziała Judith. – Właśnie skończył siedemnaście, choć nie było okazji, by uczcić jego urodziny. Pamiętam, że dostał od Roberta zegarek, dość drogi, ale sprzedał go już następnego dnia.

– Sprzedał swój prezent urodzinowy?

– Tak, niestety.

– Dlaczego?

– Ponieważ potrzebował pieniędzy na narkotyki. Albo może musiał zapłacić za działki, które już w siebie wstrzyknął. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, ile miał długów i w ile spraw kryminalnych był zamieszany. Może coś przeczuwaliśmy, jednak dopiero później wszystko stało się jasne. A w każdym razie wiele kwestii.

– Młody człowiek w tarapatach?

– Delikatnie mówiąc. Źle się z nim działo, już odkąd zaczął dorastać, właściwie to zaczęło się jeszcze wcześniej. W szkole nigdy mu nie szło, bez przerwy konfliktował się z kolegami i nauczycielami. Robiono mu badania i sama nie wiem, ile różnych diagnoz mu postawiono. A kiedy pojawiły się narkotyki, wszystko potoczyło się bardzo szybko. Pewnego razu, kiedy rozmawialiśmy z kimś z resocjalizacji, jego ojciec powiedział „On gna w stronę przepaści”. To trafne określenie.

– Był synem Roberta z wcześniejszego małżeństwa, prawda?



– Tak. Jego mama zmarła, kiedy chłopiec miał zaledwie dwa lata. Ja pojawiłam się jakiś rok po jej śmierci. Z Robertem pobraliśmy się latem, tuż przed tym, jak Tom poszedł do szkoły.

– Adoptowałaś go?

– Tak, podpisałam dokumenty, zgodnie z którymi podjęłam się obowiązków rodzicielskich w każdym względzie. Robert tego chciał... ja, ma się rozumieć, także.

– Ma się rozumieć?

– Tak.

Maria uniosła brwi, ale nie skomentowała. Zrobiły pauzę, bo akurat na ulicy rozległ się warkot motoru. Z reguły do gabinetu nie docierał zgiełk miasta, dom był stary, o grubych ścianach, a w oknie za ciężką zasłoną zainstalowano solidne, dobrze izolujące szyby. Maria wspominała na początku, że najlepiej, gdy rozmowy toczą się w ciszy, choć nie szkodzi, jeśli od czasu do czasu, świat na zewnątrz da o sobie znać. Judith odchrząknęła. Spróbowała rozwiać ten dyskretny znak zapytania, który unosił się w powietrzu.

– Naprawdę nie miałam co do tego wątpliwości – wyjaśniła. – Od samego początku. Chciałam być mamą Toma, jego prawdziwa matka zmarła, a on chyba nawet jej nie pamiętał. Oczywiście opadły mnie wątpliwości, kiedy zaczął się zachowywać w taki sposób.

– Po latach?

– Tak. To jednak nie miało znaczenia. Zapewne czułabym się inaczej, gdyby był moim biologicznym dzieckiem. Choć naturalnie nigdy nie rozmawiałam o tym z Robertem. Po prostu ten temat był... nieco zbyt drażliwy.

– To zrozumiałe. Warto pamiętać, że niektóre sprawy bardziej miękko lądują w uszach terapeuty. A o ile lat twój mąż jest starszy? Dziesięć, o ile

dobrze pamiętam?

– Dokładnie o jedenaście. Latem skończy siedemdziesiąt. Nie cieszy się bynajmniej dobrym zdrowiem, nie raz o tym mówiłyśmy, lecz nie da się go skłonić, by poszedł na emeryturę. Twierdzi, że producenci filmowi mają najlepszy okres między siedemdziesiątką piątką a osiemdziesiątką. Nie wiem, ile w tym prawdy.

Maria się zaśmiała. – To tak jak z nami, terapeutami. Dochodzimy do szczytowej formy tuż przed kopnięciem w kalendarz. Co jednak stało się z tym nieszczęsnym, gnany wiatrem siedemnastolatkiem? Jeśli sobie przypominam, to zaginął bez śladu, tak?

Judith westchnęła. – Tak właśnie. Przepadł jak kamień w wodę.

– Hm. A przeprowadzono dokładne poszukiwania?

– Wszystko przeczesano. Nie tylko ja i Robert go szukaliśmy. Policja miała swoje powody, by go odnaleźć. Nie tylko dlatego, że podejrzewano, że za jego zaginięciem mógł ktoś stać, ale też dlatego, że Tom sam był podejrzany o szereg spraw. Gdyby wtedy nie zniknął, najprawdopodobniej czekałoby go kilka lat w poprawczaku. Policjanci pokazali nam listę spraw, w jakie był zamieszany i zapewniam cię, że nie była to przyjemna lektura.

Maria po raz kolejny pokiwała głową. – A ty jak myślisz, co się stało z Tomem? Pamiętam, co mówiłaś poprzednio, ale wiadomo, że człowiek może zmienić zdanie.

– Ja nie zmieniałam. Jestem przekonana, że Tom nie żyje. Albo ktoś go zamordował... dźgając go nożem lub w inny sposób, albo też on sam to zrobił.

– Nie zostawiając śladu?

– Takie rzeczy się zdarzają.

– Bez wątplenia. A jak to wygląda od strony prawnej, został uznany za zmarłego? Taka jest chyba procedura, jeśli kogoś nie odnajdą przez dziesięć

czy piętnaście lat.

Judith pokręciła głową. – Nie uznano go za zmarłego.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Robert jest przeciwny. Jeśli żyje ktoś z bliskich krewnych zaginionego, to do niego należy decyzja.

– Tak, wiem. A dlaczego twój mąż nie chce zrobić tego kroku? Wciąż ma nadzieję?

– Tak myślę. Nie rozmawiamy o tym jednak. Zresztą, uznanie Toma za zmarłego i tak byłoby tylko formalnością. Nie miał żadnego majątku, ja i Robert byliśmy jego jedynymi spadkobiercami... No i prędzej czy później to i tak się stanie. Zapewne i w takich przypadkach działają jakieś regulacje prawne.

– Najprawdopodobniej – przytaknęła Maria Rosenberg, pochyliła się, a na jej ustach pojawił się delikatny, ale i nieco wymuszony uśmiech. – Teraz jednak zadzwonił ktoś, kto podaje się za waszego syna... W środku nocy. Za syna, który zaginął dwadzieścia lat temu. Muszę przyznać, że wyglądasz na spokojną, choć taki telefon niejednego wytrąciłby z równowagi.

Judith Bendler przez kilka sekund wpatrywała się w kubek, dopiero potem odpowiedziała.

– Absolutnie nie jestem spokojna. Dziś rano wymiotowałam po śniadaniu, a potem wysiadłam z pociągu na Zwille zamiast na Keymer Plejn. To dlatego spóźniłam się pięć minut.

Maria wciąż uśmiechała się dyskretnie. – Nie powiedziałam, że jesteś spokojna, tylko że na taką wyglądasz. Co o tym myślisz?

– O rozmowie?

– Tak.

– Ja nie tylko myślę. Ja wiem.

– Co wiesz?

– Że to jakiś oszust.

– A co niby miałyby na tym zyskać? Przecież oszuści szukają dla siebie jakiejś korzyści.

Judith pokręciła głową. – Nie wiem. Nie mam pojęcia.

– Ale mówił, że oddzwoni?

– Tak twierdził.

Maria znów rozparła się w fotelu i przez chwilę się zastanawiała.

– Przepraszam, że o to zapytam, ale czy brałaś pod uwagę, że mogło ci się to przyśnić?

Judith przyszło do głowy, że takie pytanie może paść. Czekwała na nie.

– Owszem. Jednak dziś rano przed wyjściem z domu sprawdziłam telefon. Na wyświetlaczu widać ostatnie połączenie. A ten numer wciąż tam był.

– Rozumiem. Zapisалаś go?

– Nie, chciałam to zrobić, ale nie mogłam znaleźć długopisu. I właśnie wtedy zadzwonił Robert z Londynu i to mnie rozproszyło. Był to jednak numer zagraniczny, tego jestem pewna. Co, zresztą...

– Tak?

– Co zresztą tłumaczy, dlaczego dzwonił o tej porze.

– Chodzi ci o to, że dzwonił z innej strefy czasowej?

– Tak.

– Innymi słowy oszust z daleka?

– Mhm.

Judith nie potrafiła rozstrzygnąć, czy Maria mówi z empatią czy też delikatnie ironizuje. Choć może potrafiła robić jedno i drugie, w zasadzie taka umiejętność pasowałaby do jej pogłębiającej się z czasem życiowej mądrości.

– A co o tej rozmowie sądzi Robert? Zakładam, że powiedziałaś mu o niej, kiedy zadzwonił.

– Nie... nie powiedziałam mu.

– Dlaczego nie?

– Spieszył się. Zaraz miał zaczynać jakieś spotkanie. Zadzwonił tylko, by powiedzieć dzień dobry.

– Rozumiem.

Maria wstała i obeszła pokój w koło. Miała taki zwyczaj, wiązało się to z jej problemami z krążeniem w nogach. Był to jednak również jej sposób na to, by zrobić przerwę w rozmowie, tak przynajmniej sądziła Judith. Moment na złapanie oddechu i dyskretna podpowiedź dla pacjenta sugerująca, że być może pora zmienić temat. Czekwała, aż Maria usiądzie z powrotem w fotelu. Czekwała na nowy temat.

– Chcesz jeszcze porozmawiać o tym telefonie czy może spróbujemy znaleźć chwilę na to, by obgadać życie w ogóle?

Pytanie niemal retoryczne. Judith znów przyszły na myśl fale rozbijające się o brzeg. I odległość, niesłuchanie duża.

– Dziękuję, dość już o tym.

– Jesteś pewna?

– Tak. Jeśli on znów zadzwoni, to chyba możemy poruszyć tę kwestię następnym razem?

– Świetnie. Postanowione. Jak czuje się wasz pies po operacji?

Kiedy w czwartek wieczorem zadzwonił Robert, nie wspomniała o nocnej rozmowie. Był zmęczony, brakowało mu tchu, zaczęła się więc zastanawiać, czy choroba nie dokucza mu bardziej, niż chciał przyznać.

Tego tematu też nie poruszyła. To by go tylko zirytowało, a ona, kiedy odkładała słuchawkę, zastanawiała się, czy Robert dożyje swoich siedemdziesiątych urodzin, o których opowiadała Marii. Może tak, może nie. Myśl o tym, że któregoś dnia owdowieje i zostanie sama w ich pięknym domu, pojawiła się w jej głowie już jakiś czas temu, ale nie niepokoiła jej jakoś szczególnie. Przesadą byłoby powiedzieć, że wyczekiwała tej chwili, ale samotność, *względna samotność* była stanem, który z biegiem lat wydawał się nieść ze sobą coraz więcej słodyczy i ukojenia. Być może wynikało to z tego, że nie miała rodzeństwa, w związku z czym, kiedy dorastała, inni nie wtrącali się do jej spraw. Miała tylko mamę i prawie wiecznie nieobecnego ojca. Niezbyt wielu znajomych, była więc przyzwyczajona do tego, że zajmowała się sobą i dobrze czuła się we własnym towarzystwie. Z pewnością takie czynniki miały pewien wpływ. Ten, kto zaprzyjaźni się z samotnością, nigdy się nie zawiedzie – gdzieś przeczytała takie stwierdzenie i mogła się z nim zgodzić bez zastrzeżeń.

Zupełnie nie przejęła się więc, kiedy okazało się, że Robert musi zostać w Londynie dzień dłużej. Naprawdę nie. Całą noc smacznie spała. Wprawdzie wcześniej niepokoiła się nieco, że telefon po raz kolejny zadzwoni przed świtem, ale pozostał równie cichy i przyczajony jak reszta

domu. Django jak zwykle leżał na swoim materacyku pod ławą w kuchni. Tak, jak wspomniała Marii, jego operacja się udała, miał jednak jedenaście lat, a więc – licząc psią miarą – i on był już w statecznym wieku. Judith wiedziała, że po śmierci Roberta nigdy nie wyszłaby ponownie za mąż czy też w ogóle nie zaczynałaby kolejnego związku, ale nowego psa będzie mieć z pewnością. Zapewne rottweilera, jak Django. Poczucie komfortu miało bowiem swoje granice, zarówno emocjonalne, jak i praktyczne. Samotna kobieta w dużym domu to nie to samo, co samotna kobieta w takimże domu z wiernym psem obronnym.

Po śniadaniu poszła na spacer z Django. Najpierw przez niezbyt gęsty las liściasty do wieży ciśień, potem w dół, wzdłuż rzeki, przez stary most drewniany i powrót drugim brzegiem. Niecała godzina. Dawniej, kiedy pies był młody, a jego pani jeszcze przed pięćdziesiątką, ten odcinek zajmował im o połowę krócej. Drzewa zaczynały się już żółcić, jednak liście jeszcze nie spadały. Był piękny, jasny, jesienny dzień, Judith w miarę możliwości starała się więc zapomnieć o Tomie i rozmowie telefonicznej.

Co nie było łatwe, bo myśli same cisnęły się jej do głowy. Myśli i obrazy z tego dnia przed dwudziestu dwu laty. Zupełnie jakby ktoś – ona sama, bo któż by inny? – znalazł stary album ze zdjęciami i nie mógł się oprzeć, by go nie przejrzeć.

Obrazy były jednak ruchome. Jakby pochodziły nie z albumu, a z archiwum filmowego. Ona sama. Tom. Robert.

Mieszkanie na Kantorsteeg w Aarlach.

Ten lipcowy poniedziałek.

Ta ostatnia noc.

Rękoczynny. Panika. Działanie.

Jak to możliwe, że tak młody człowiek był taki zły? Tak arogancki i pełen nienawiści. Przeciwny wszystkiemu i wszystkim, szczególnie

rodzicom.

Zastanawiało ją to wtedy i dziś.

Przypominała sobie też sceny z wcześniejszych lat. Kiedy chłopiec ugryzł Roberta w łydkę, bo na coś mu nie pozwolili – nie chciał puścić, niczym pies, który w walce zacisnął zęby. A miał zaledwie pięć lat. Robert musiał uderzyć go grubą książką, by w końcu się od niego uwolnić.

Ta jego złość, nad którą nie dawało się zapanować. Przypomniała sobie, że jedna ze szkolnych psycholożek stwierdziła, że Tom – oraz chłopcy jego pokroju; tak właśnie się wyraziła: *jego pokroju* – z reguły zaczynają się uspokajać, kiedy wchodzą w okres dorastania. Skąd, na Boga, mogła wiedzieć takie rzeczy? W każdym razie sprawdziło się, przynajmniej częściowo. W wieku trzynastu lat Tom się zmienił, ale wcale nie na lepsze. Stał się jeszcze większym introwertykiem. Nie dopuszczał do siebie innych, był wycofany. Wprawdzie zaczął zdobywać kolegów, było to jednak towarzystwo, które przeraziłoby każdego rodzica. W pamięć zapadł jej szczególnie jeden z nich. Nazywał się Shark – a w każdym razie tak na niego mówili – na przedramieniu miał wytatuowaną swastykę. Był dobre trzy lata starszy od Toma, a jego ojciec i brat siedzieli w więzieniu za morderstwo (ojciec) oraz nieumyślne spowodowanie śmierci (brat). A takich jak Shark Tom znał więcej.

Straszne czasy. Kiedy wracała do nich pamięcią, właśnie takie określenie przychodziło jej na myśl.

Otworzyła furtkę i wpuściła Django do ogrodu. Do diabła z tym – pomyślała. To już przeszłość, nie ma co do niej wracać. Ktokolwiek dzwonił, nie był na pewno Tomem. Jeśli już ktoś się odnajduje, to po trzech dniach, a nie ni z tego, ni z owego po dwudziestu dwóch latach.

Całe piątkowe przedpołudnie pisała przy biurku. Opasła biografia Erazma z Rotterdamu była zaplanowana na przyszłą jesień; obiecała przesłać



wydawnictwu pierwszą wersję ukończonego manuskryptu przed Bożym Narodzeniem. Pracowała nad tym projektem od czterech lat. Z początku planowała skończyć po trzech, ale dopiero potem zrozumiała, jak wielką postacią był Erazm i ile o nim napisano. I ile napisał on sam. Wydawnictwo podeszło do sprawy rozsądnie i elastycznie. Jej nazwisko oraz wcześniejsze prace były rękojmią jakości, na jakiej im zależało i z jakiej słynęli. Lepiej publikować dobrą książkę co pięć lat niż średnią co drugi rok.

Robert zadzwonił ponownie około siódmej. Głos miał bardziej rzeński niż rano, udało mu się tymczasowo uporać ze wszystkimi spotkaniami i dziwnymi przeszkodami, które pojawiały się w związku z każdym nowym projektem filmowym. Uznała zatem, że to czas, by mu powiedzieć. Żeby jednak uniknąć komplikacji, w sprawozdaniu, przesunęła epizod o dobę, w końcu nie miało to większego znaczenia.

– Dziś w nocy coś mi się przydarzyło. Nie chciałam ci o tym wspominać rano, bo wiedziałam, że przed tobą trudny dzień.

– Tak?

– Ktoś do mnie zadzwonił.

– Mhm?

– Było wpół do czwartej w nocy. Ten ktoś podawał się za Toma.

– Co?

– Tak. Telefon zadzwonił, a ja podniosłam słuchawkę... odruchowo. Przedstawił się jako Tom i powiedział, że powinniśmy się spotkać.

– Co, u licha?

– No właśnie. Od razu wytrąciło mnie to z równowagi. A tuż przed telefonem miałam dziwny sen.

– Co... Co mówił?

– Prawie nic. Chciał się tylko spotkać. Mówił, że jeszcze zadzwoni. Potem odłożył słuchawkę. Rozmawialiśmy nie dłużej niż minutę... może

nawet krócej.

W słuchawce zapadła cisza. Słyszała jednak oddech Roberta. Brzmiał ciężko, zupełnie jak rano. Nie powinnam mu była nic mówić – pomyślała. Nie powinnam była o tym wspominać.

– Skąd dzwonił?

– Z zagranicy. Nie wiem, skąd dokładnie.

– A numer się nie wyświetlił?

– Tak, ale zniknął, kiedy miałam sprawdzić?

– Zniknął?

– Chyba naciśnęłam zły przycisk. Nie wiem, w każdym razie już go nie widać.

Tak właśnie było. Po powrocie od terapeutki szukała numeru, ale zniknął. Może przez pomyłkę go skasowała, rozmawiając z Robertem.

A może...?

Odpędziła od siebie tę myśl.

– Jaki miał głos?

– Nic szczególnego. Zwykły męski głos. Niezbyt niski, niezbyt wysoki.

Może z lekką chrypką. No ale nie wymieniliśmy zbyt wielu słów.

– Ma zadzwonić jeszcze raz?

– Tak twierdził.

– A... Nie rozpoznałaś go przypadkiem?

– Na Boga, Robert, oczywiście że nie.

– Przepraszam. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Naturalnie to jakiś oszust. Ktoś się pod niego podszywa... Pytanie tylko po co?

– Cały dzień się nad tym zastanawiałam. Nie znalazłam jednak żadnej odpowiedzi. Przecież powinno mu na czymś zależeć... chyba że był to zwykły żartowniś.

– Żartowniś?

Robert dostał ataku kaszlu. Słyszała, że odwrócił się od słuchawki i poprosił kogoś o wodę.

– Nie jesteś sam?

Wypił kilka łyków i dopiero wtedy odpowiedział.

– Dzwonię z baru hotelowego. Bez obaw, nikt mnie nie podsłuchuje.

Nie podsłuchuje? A dlaczego miałyby podsłuchiwać?

– Przyjadę do domu jutro po południu. Wtedy o tym porozmawiamy.

– Oczywiście, nie ma sprawy.

– Jeśli jednak zadzwoni ponownie, weź od niego numer telefonu.

O której zadzwonił?

– O wpół do czwartej rano. Kilka minut po.

– Cholera.

– Zrobimy, jak zaproponowałeś. Porozmawiamy o tym jutro. Może to po prostu jakiś pomylenieć, który lubi się zabawiać w taki właśnie sposób.

Robert chwilę się zastanawiał. Oddychał z trudem.

– Tak. Postawmy na takie właśnie wyjaśnienie. Przynajmniej na razie.

Na świecie nie brak idiotów.

– No proszę, słyhać, że mój mąż pracuje w branży w filmowej.

Był to ich stary żarcik. Robert się zaśmiał, potem się rozłączył.

Zapamiętała jednego z policjantów. Stanął jej przed oczami, kiedy wyłączyła telewizję po obejrzeniu wiadomości o dwudziestej pierwszej. Był to jeden ze śledczych zaangażowanych w sprawę poszukiwań Toma.

Dość młody inspektor, wydało się jej, że miał na nazwisko deJong albo deJung. A może po prostu Jung. Kilkukrotnie przyjeżdżał do nich na rozmowę po zaginięciu Toma. Raz towarzyszyła mu jakaś policjantka, ale poza tym zjawiał się u nich sam. Zrobił na niej wrażenie. Na Robercie również, ponieważ wypowiadał się grzecznie i z rozwagą. Właściwie ich przesłuchiwał, ale ani ona, ani Robert tak tego nie odebrali: nie czuli

bynajmniej, by starał się ich na czymś złapać. Czy choćby upewnić się, że w żaden sposób nie są zamieszani w sprawę zaginięcia Toma. Że zorientowali się, w jak niedogodnej sytuacji chłopak się znalazł i dlatego dopilnowali, by wylądował w jakimś dobrze zakamuflowanym miejscu na innym kontynencie, gdzie nie dosięgnie go ramię sprawiedliwości. A w każdym razie ramię policji z Maardam.

Mimo wszystko dopiero później uświadomili sobie, jaki ta rozmowa miała w istocie cel czy półcel. Pamiętała, że i ona i Robert aż pokręcili głowami zdziwieni własną naiwnością.

Raz deJong/deJung/Jung zapytał, czy zdziwiłoby ich, gdyby okazało się, że Tom wszedł w posiadanie większej sumy pieniędzy i postanowił z nią uciec, zmienić tożsamość i ukrywać się do końca życia.

– Ma pan na myśli to, że obrabował bank? – zdziwił się Robert.

– Tego nie powiedziałem – odparł uprzejmy inspektor. – Skoro jednak rzucił pan taki pomysł, proszę powiedzieć, co sądzą państwo o takiej możliwości?

– Mało prawdopodobne – stwierdził Robert po krótkim namyśle. – Tom to uzależniony od narkotyków złodziejasek, a nie geniusz przestępczy.

Uznała, że to niezbyt pochlebna opinia o własnym synu, ale deJong/deJung/Jung tylko pokiwał głową i uśmiechnął się dyskretnie.

Ciekawe, czy ten grzeczny śledczy jeszcze pracuje w policji? – pomyślała. Czy można byłoby zwrócić się do niego, jeśli oszust spełni swoje obietnice i zadzwoni ponownie?

Dopijając ostatnie krople wina z kieliszka, który towarzyszył jej przy oglądaniu wiadomości, stwierdziła, że absolutnie nie. Pod żadnym pozorem nie można mieszać w to policji.

Nie zadzwonił jednak.

Ani w sobotę, ani w niedzielę, ani w kolejnym tygodniu. Ani przez resztę miesiąca. Wraz z Robertem dyskutowali tę sprawę kilka razy. Szybko zorientowała się, że on podchodzi do tego z rezerwą. Innymi słowy uznał, że wszystko się jej przyśniło. Że nigdy nie było żadnej rozmowy telefonicznej; nie wyraził swojej tezy mocnymi słowami, ona zaś nie miała nawet ochoty zaprzeczać. Przypomniało się jej jednak, że Maria Rosenberg zasugerowała to samo, a ponieważ dni mijały, a nic się nie działo, sama zaczęła już wątpić.

Trwająca pół minuty rozmowa w środku nocy.

Z człowiekiem, który zaginął przed dwudziestu dwu laty.

Numer, który zniknął z rejestru połączeń.

Co miałyby przemawiać przeciwko takiej wersji wydarzeń? Przeciwno temu, że jej się to przywidziało. Że zdarzenie wydawało się rzeczywiste, ale w istocie nigdy nie miało miejsca.

Pożałowała, że opowiedziała o rozmowie terapeutce.

Pożałowała, że opowiedziała o niej Robertowi.

Czas mijał, z drzew opadły liście, a ona coraz bardziej zagłębiała się w szesnastym wieku i życiorysie Erazma z Rotterdamu.

Kolejny raz zadzwonił w pierwszym tygodniu listopada.

Było szare, deszczowe, wtorkowe popołudnie. Przeglądała właśnie jeden z najtrudniejszych rozdziałów w książce – traktował o skomplikowanej relacji między Erazmem a Marcinem Lutrem – z początku więc miała nie odbierać. Zazwyczaj, kiedy pracowała, wyłączała telefon, ale podczas lunchu rozmawiała z wydawcą, a potem zapomniała wyciszyć głos.

Później, kiedy już się rozłączyli, zastanawiała się, czy ma intuicję i czy to właśnie ta intuicja kazała jej podnieść słuchawkę. Prawdopodobnie nie, uznała. Po fakcie łatwo jest fantazjować i łączyć ze sobą różnego rodzaju znaki i ostrzeżenia. To taka ludzka potrzeba: w lusterku wstecznym wszystko chcemy dostrzec wyraźnie, skoro przyszłość jest taka niejasna. Przypomniała sobie, że nie tak dawno temu rozmawiali z Robertem o podobnych prawidłowościach. O wzorach i tym podobnych. Uproszczeniach.

– Halo?

– Judith Bendler?

– Tak.

– Tu Tom.

Jej ciało przeszył szybki dreszcz – przeszedł od stóp do głowy, tak jak przed siedmioma tygodniami, co zdążyła odnotować ku swemu zdziwieniu – a do tego jej pole widzenia zwęziło się do tunelu. Wąskiego, żółtawego tunelu, którego ściany zdawały się pulsować i poruszać. Szybko jednak

otrzeźwiała, miała nawet dość przytomności, by zerknąć na wyświetlacz, na którym pojawił się numer.

*Nieznany.*

– Halo?

– Jestem. Czego chcesz?

Zaśmiał się. Krótko, ochrypłym głosem.

– Czego chcę? Spotkać się, naturalnie. Przecież wyjaśniłem to już poprzednim razem.

– Kim jesteś?

– To ja, Tom. Nie mów, że o mnie zapomniałaś.

– Jaki Tom?

– Tom, twój syn. Jesteś moją matką, czy może twierdzisz, że jest inaczej?

– Niczego nie twierdzę. Trudno mi jednak uwierzyć, że mówisz prawdę.

– A to niby dlaczego?

Chwilę myślała. W jego głosie słyhać było ironię, wręcz prześmiewczość. Jakby bawiło go, że rozmawia z nią w ten sposób. Przełknęła ślinę i zebrała się w sobie.

– Mój syn Tom zaginął ponad dwadzieścia lat temu. Zarówno ja, jak i mój mąż jesteśmy przekonani, że nie żyje.

– Ja żyję.

– Najwyraźniej. Ale nie jesteś Tomem, za którego się podajesz.

– Wstydz się!

– Proszę?

– Wstydz się, powiedziałem. Nie rozumiesz, że powinnaś się wstydzić za to, że mówisz do mnie w ten sposób?

– Nie. Nie, jeśli jesteś oszustem.

– Nie jestem oszustem.

– A skąd mam wiedzieć, że nie?  
– Możesz się ze mną spotkać. Przecież właśnie po to dzwonię.  
Obiecałem przecież, że się odezwę, zapomniałaś?

Przez moment się zastawiała.

– A dlaczego chcesz się ze mną spotkać?  
– To takie dziwne, że syn chce się spotkać z matką?  
– Owszem, jeśli nie pokazywał się przez dwadzieścia dwa lata.  
– Miałem ku temu swoje powody, przecież wiesz.  
– Nie, nie wiem, o jakich powodach mówisz.  
– Kiedy się zobaczymy, wszystko ci wytłumaczę.  
– A może ja nie mam ochoty się z tobą spotykać? Ani kontynuować tej rozmowy.

Na pięć sekund, może dłużej w słuchawce zapadła cisza. Nie było słychać niczyjego oddechu, żadnego cichego szumu fal. Dobry Boże, żeby on dał sobie spokój. Spraw, by odłożył słuchawkę i już nigdy się nie odezwał.

Odchrząknął. – Myślę, że będziesz żałować, jeśli nie zgodzisz się na spotkanie ze mną.

Groźba? Trudno było jej ocenić, ale wypowiedział to niższym głosem, wolniej.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytała.  
– Tu – odparł natychmiast. – Tu w Maardam. Moglibyśmy się spotkać jutro.  
– Jutro?  
– Dlaczego nie?  
– Robert wyjechał. Nie wróci przed niedzielą.  
– Wystarczy, jeśli spotkamy się we dwoje, ty i ja. Co ty na to?



Dlaczego? – pomyślała. Dlaczego nie ucięłam tej rozmowy na samym początku?

Jak gdyby już było za późno, by to zrobić, powiedziała:

– Gdzie? Gdzie chciałbyś się spotkać?

– W Intrigo. Proponuję jutro w Intrigo o trzeciej, zazwyczaj po południu mają tam sporo wolnych miejsc.

Przełknęła ślinę. – Dobrze, ale od razu mówię, że o czwartej jestem umówiona na mieście z kimś innym.

– Godzina nam wystarczy. Świetnie, zatem do zobaczenia jutro.

*O czwartej jestem umówiona na mieście z kimś innym.* Dlaczego to zmyśliła? Ślina sama przyniosła jej na język tę wymówkę stanowiącą swoiste zabezpieczenie. Kiedy odłożyła papiery dotyczące Erazma i Lutra i usiadła z brodą opartą na rękach, wpatrzona w deszcz i zmarznięte drzewa, uznała, że w tej sytuacji takie kłamstwo było całkiem na miejscu.

A co z Robertem? Czy powinna go powiadomić? Rano wyjechał do Genewy, miał wrócić dopiero w niedzielę. Tak, jak powiedziała oszustowi, w tej kwestii trzymała się prawdy.

Nie, postanowiła. Robert musi poczekać. I tak uważa, że to wyobraźnia płata mi figle, a jeśli uda mi się go przekonać, że wcale tak nie jest, zacznie się niepokoić i zarzuci mnie tysiącem bezsensownych poleceń. Lepiej będzie mu opowiedzieć o wszystkim, kiedy wróci do domu. Sama rozegram tę grę.

Przynajmniej na razie.

*Grę?*

Nie zaglądała do Intrigo od dziesięciu lat, ale lokal wyglądał tak, jak go zapamiętała. Przynajmniej z zewnątrz. Był nieco zniszczony i sprawiał smutne wrażenie, ale poza tym bez zmian. Może został trochę zapomniany

– pomyślała. Krzesła i stoliki nie stały już na szerokim chodniku, tylko zabrano je do środka, no ale był już listopad i sezon na ogródki się skończył.

Tak, prędzej czy później wszystko się kończy – uznała, ale odegnała od siebie tę banalną myśl niemal w tej samej chwili, w której pojawiła się ona w jej głowie. Pojechała pociągiem o wpół do drugiej z Holtenaar, do spotkania została jej więc niemal godzina. Być może tak to sobie zaplanowała – by dotrzeć na miejsce przed czasem. Jednak teraz, kiedy stała po drugiej stronie ulicy w mżawce, sama nie bardzo wiedziała, jaki sens ma czekanie. Konieczność spędzenia pięćdziesięciu bezcelowych minut przed spotkaniem ze swoim nieżyjącym adoptowanym synem... cóż, to doprawdy nie drobnostka.

Muszę coś wymyślić – stwierdziła. – Muszę wziąć się w garść, w przeciwnym razie sytuacja wymknie mi się spod kontroli.

Ruszyła przed siebie. Przemierzyła wąskie uliczki prowadzące do Langgraacht i poszła na północ wzdłuż kanału. Nagle poczuła się jak przed czterdziestu laty, kiedy przyjechała do miasta na studia z literaturoznawstwa i filozofii. Z dwójką dziewczyn dzieliła niewielkie mieszkanie przy Leuwenstraat. Zaledwie przez trzy semestry mieszkały razem na poddaszu, ale był to burzliwy i ważny czas w jej życiu. Aż trudno uwierzyć, że Robert pojawił się na horyzoncie niecały rok później, że ten studencki okres, który sprawiał wrażenie tak barwnego i obiecującego – zarówno w trakcie, jak i potem – w rzeczywistości był tak krótki.

Za to życie u boku Roberta – tak długie. Takiej konkluzji nie dało się uniknąć. Trzydzieści siedem lat – pomyślała. Byłam z jednym facetem przez niemal cztery dekady. Całe dorosłe życie. Jak to się stało?

Nie po raz pierwszy to pytanie przyszło jej do głowy, naturalnie nie, ale właśnie wtedy, gdy powolnym krokiem mijała sklep Bachtermanna

z serami i winami na rogu Leenerstraat i Kuijverstraat, wydało jej się o wiele bardziej palące niż wcześniej. Co sprawia, że czas w życiu człowieka to gęstnieje, przepelnia się sensem i treścią, to znów rzednie i stygnie? Traci tempo? – pomyślała. Niczym samolot podchodzący do lądowania na pasie, który nazywa się Śmierć.

Kolejna dziwaczna wizja. Fale rozbijające się o kamienisty brzeg? Lądowanie na cmentarzu?

Pokręciła głową i złożyła parasol. Deszcz akurat przestał padać i nagle przez bezlistne gałęzie drzew przy Wilmersgraacht przedarła się smuga słońca. Bo to przecież Wilmersgraacht? Na rogu dostrzegła tablicę potwierdzającą, że jej przypuszczenie było słuszne.

Wiem, gdzie jestem – stwierdziła. Przynajmniej w przestrzeni.

Potem sprawdziła godzinę. Za kwadrans trzecia. Uświadomiła sobie, że spóźni się kilka minut do Intrigo.

I bardzo dobrze. To on powinien czekać tam na nią, nie na odwrot.

Pchnęła drzwi i weszła do środka. Zrobiła dwa kroki w głąb wąskiego zagiętego lokalu i przystanąła. Przesunęła wzrokiem po rzędach stolików na wprost i z z prawej. Czekala, aż ktoś ją dostrzeże.

Aż *on* ją dostrzeże. O ile sobie przypominała, w Intrigo nie było dodatkowych sal, żadnych ukrytych zakątków, gdzie można było przysiąść na osobności. Z progu, z miejsca, w którym właśnie stała, można było zobaczyć wszystkich gości w lokalu.

A teraz było ich niewielu. Pomijając czwórkę starszych pań w salce po lewej stronie, w kawiarni, w większym pomieszczeniu siedziało jeszcze trzech mężczyzn, każdy przy swoim stoliku. Dwóch przy oknie, jeden pod ścianą za barem. Wszyscy trzej byli zwróceny w stronę wejścia i każdy – po kolei, jak jej się wydawało – podniósł wzrok i popatrzył na nią. Krótco, potem wrócili do swoich zajęć: jeden do jedzenia makaronu, drugi do

czytania książki, trzeci do picia piwa oraz przeglądania... programu wyścigów kłusaków w sulkach, jeśli dobrze dojrzała. Zerknęła na zegarek. Siedem po trzeciej.

Pojawił się kelner, który posłał jej półuśmiezek.

– Ja... czekam na kogoś. On chyba jeszcze nie przyszedł.

– Może zechce pani usiąść?

Tak zrobiła. Usiadła przy stoliku najbliższym wejścia, ale nic nie zamówiła. Kelner znikł. Trzej mężczyźni dalej tkwili bez ruchu na swoich miejscach, a ponieważ żaden z nich nie wykazywał nią większego zainteresowania, mogła im się dokładniej przyjrzeć.

Uderzyło ją, że wszyscy byli w odpowiednim wieku. Około czterdziestki, plus minus pięć lat. Gdyby Tom żył, miałby trzydzieści dziewięć. Czy to jednak któryś z nich? – pomyślała. Ale jeśli tak, to dlaczego nie wstał? I dlaczego nie ustaliliśmy jakiegoś znaku rozpoznawczego? Nawet jeśli to naprawdę Tom, to przecież nie może wymagać ode mnie, że go poznam. I skąd on sam miałby wiedzieć, jak ja teraz wyglądam?

Choć z drugiej strony: umówili się na trzecią, a w lokalu była tylko jedna kobieta. Innymi słowy – pomyślała – innymi słowy on jeszcze nie przyszedł. Z jakiegoś powodu.

Bo jak inaczej?

Przyjrzała się mężczyznom nieco dokładniej, każdemu z osobna. Nawet z wyglądu byli do siebie podobni. Żaden nie miał brody czy wąsów, żaden nie nosił okularów. Dość krótko przycięte włosy. Choć gdy ten siedzący najdalej od niej akurat obrócił głowę, zorientowała się, że ma kucyk. Wszyscy trzej wyglądali na wysportowanych, o przeciętnej budowie ciała, bez nadwagi. Jeden był ubrany w ciemnoszarą marynarkę i ciemną koszulę, drugi w białą koszulę i zrobioną na drutach kamizelkę, a trzeci w granatowy

golf. Nic, co by się rzucało w oczy. Trzech przeciętnie się zachowujących Europejczyków w średnim wieku.

Który z nich? – zaczęła się na nowo zastanawiać. Gdyby jednak musiała któregoś wybrać, to którego?

Może to ten siedzący najbliżej? Przy stoliku pod oknem z filiżanką kawy, wyraźnie zaczytany w grubej i dość zniszczonej książce w formacie kieszonkowym. Twarz jednak nie pasowała, jeśli porównać z tym, jak Tom wyglądał jako siedemnastolatek. Oczy miał osadzone zbyt blisko siebie, a szczękę nieco za wąską. I usta zbyt cienkie.

Mój Boże – pomyślała. Przecież to nie może być on. Po co w ogóle spekuluję? Tom nie żyje.

Kiedy tak oddawała się tym bezcelowym rozważaniom, kelner przyjął zapłatę od starszych pań siedzących w salce po lewej i podszedł do jej stolika.

– Na pewno nic nie chce pani zamówić?

Kolejny raz zerknęła na zegarek. Kwadrans po trzeciej.

– Nie, dziękuję – odparła. – Najwyraźniej zaszło nieporozumienie. Mój znajomy się nie zjawi. Dziękuję, że mimo wszystko pozwolił mi pan przysiąść.

Kelner neutralnie pokiwał głową, po czym się wycofał. Wstała, wsunęła krzesło pod stół i wyszła z kawiarni.

– Dziwne, nieprawdaż?

Maria Rosenberg wyglądała na poważnie zatroskaną. Jakby nagle natknęła się na ludzkie zachowanie, które wykracza poza ramy. Znane jej bardzo szerokie ramy.

– Też tak sędzę – odparła Judith, poprawiając poduszkę pod plecami. – Nie pojmuję, o co w tym wszystkim chodzi.

– Zdziwiłabym się, gdybyś pojmowała – stwierdziła terapeutka. – Muszę przyznać, że nieco się o ciebie niepokoję.

Było czwartkowe przedpołudnie. Zaplanowały to spotkanie już dawno temu, ale Judith wiedziała, że tak czy inaczej umówiłaby się na wizytę. Bez względu na wszystko. Wieczór i noc po tym spotkaniu w Café Intrigo, które nie doszło do skutku, były dla niej trudne. Trzymała się jako tako zarówno podczas podróży pociągiem do Holtenaar, jak i przez pierwsze godziny po powrocie do domu. Jednak po krótkim wieczornym spacerze z Django, coś w niej jakby pękło. Otworzyła się jakaś szczelina i wypłynął z niej trudny do sprecyzowania strach. Kiedy około dziewiątej zadzwonił Robert, ona była już po trzech kieliszkach czerwonego wina. Bez wątplenia słyszał, że piła, jej zaś udało się ukryć przed nim prawdziwy powód, co zresztą poczytała sobie za niemały sukces.

Owszem, wypłała trochę grzańca, wyjaśniła mu. Bo czuła, że bierze ją przeziębienie. Pijana? Skądże znowu.

Wolała nie myśleć, co by powiedział, gdyby usłyszał o nieudanym spotkaniu z ich martwym synem.

– Dlaczego? – chciała za to wiedzieć Maria. – Dlaczego tak ważne jest to, by trzymać Roberta z dala od tej sprawy? Bądź tak miła i wyjaśnij mi to, proszę.

Chwilę się zastanawiała, nie umiała jednak wyrazić tego w delikatny sposób.

– On uważa, że to sobie wymyśliłam. To, że ten przeklęty typ nie pojawił się w kawiarni, tylko utwierdziłoby go w tym przekonaniu. Nie zapominaj, że...

– Tak?

– Nie zapominaj, że mam za sobą kilka incydentów.

– Masz na myśli Majorna?

– Oczywiście, że tak. Jeśli człowiekowi raz zdarzył się napad choroby psychicznej, to podróż powrotna jest bardzo krótka, ty chyba wiesz o tym lepiej niż inni.

Maria pokiwała głową. Chwilę pomruczała niezadowolona, krzywiąc się na porządek rzeczy i ludzką głupotę, po czym, siorbiąc, wypila łyk herbaty.  
– To tylko wrażenie.

– Wrażenie?

– Mówię o Robercie. Ja ani przez chwilę nie sądziłam, że sobie to wymyślasz. Kiedy byłaś w zakładzie też nie wymyślałaś. Zresztą, przypominam, że to zdarzyło się dziesięć lat temu. Popraw mnie, jeśli się mylę.

To prawda. I jedno, i drugie. Judith zaczęła uczęszczać na terapię, kiedy wyszła z Majorna. I co by nie powiedzieć o jej przypadłościach przed dwunastu, a następnie dziesięciu laty, to nigdy nie miała halucynacji. Robert mógł sądzić, co chce. Zresztą, nie zamknęli jej wtedy na dłużej niż dwa tygodnie.

– Bezpodstawne wrażenie, zresztą – ciągnęła terapeutka. – Zostawmy na chwilę Roberta. Pomyślmy racjonalnie. Co wiemy na pewno?

Judith wzruszyła ramionami. – Mów dalej.

– Z chęcią. Na pewno wiemy, że jakiś typ chce cię niepokoić. Dzwonił już dwa razy, podając się za twojego syna, który zaginął ponad dwadzieścia lat temu i najprawdopodobniej nie żyje. Umówiłaś się z tymże typem na spotkanie, ale się nie zjawiał. Pytanie... pytanie oczywiście, jakie on ma właściwie zamiary. Czy to trafne podsumowanie?

– Jak najbardziej – zgodziła się Judith.

– Kolejne pytanie brzmi: czy powinniśmy zastosować jakieś środki ostrożności?

Judith zauważyła, że Maria zaczęła mówić w liczbie mnogiej, *my*, co wywołało u niej poczucie wdzięczności. Nie chodziło o to, by ktoś się nią zajmował, ale dobrze mieć kogoś, komu można się zwierzyć. Kogoś, kto wie i kto się troszczy. Kto był gotów rozwiązać ten zaistniały problem razem z nią.

Ale żeby zaraz przedsięwziąć kroki? Bezpieczeństwo?

– Co masz na myśli? – zapytała.

Maria zdjęła okulary i przygryzła jedno ucho oprawki.

– To, co powinnaś zrobić następnym razem, kiedy on się odezwie. To właśnie tę kwestię powinniśmy przedyskutować.

– Dziś w nocy nie spałam przez cztery godziny tylko się nad tym zastanawiałam – powiedziała Judith. – Niestety do niczego nie doszłam.

Terapeutka pokręciła głową ze zmartwioną miną. – Dość dużo czasu minęło pomiędzy jego pierwszą a drugą zaczepką – zauważyła. – Można się zastanowić, czy to się powtórzy. Niemal dwa miesiące, prawda?

– Mniej więcej – potwierdziła Judith. – Siedem tygodni, jeśli dobrze liczę.

– Hm. A co myślisz o tym, by skontaktować się z policją?

– Nie – odparła natychmiast Judith. – Naturalnie rozważałam tę możliwość, kiedy nie mogłam spać, uznałam jednak, że dam sobie z tym spokój. Przecież oni nie mają żadnego tropu, którego mogliby się chwycić. Żadnych numerów telefonu, niczego. A on przecież...

– Tak?

– Nie wypowiedział żadnych gróźb. Mówił tylko, że chce się ze mną spotkać. To nie jest zabronione, o ile mi wiadomo.

– Być może nie – zgodziła się Maria, wzdychając. – Dobrze, możemy spróbować rozwikłać tę sytuację bez udziału władz porządkowych.



Przynajmniej na razie. Jak się teraz czujesz? Dajesz radę normalnie żyć i pracować?

Judith chwilę myślała. – Chciałabym częściej z tobą rozmawiać. Może mogłabym dzwonić?

– Oczywiście! – wykrzyknęła Maria i rozłożyła ramiona. Zupełnie, jakby chciała wyściskać swoją pacjentkę, gdyby nie to, że siedziały już wygodnie umoszczone, a dzieliło je półtora metra. Możesz dzwonić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. A nawet jeśli nic nie będzie się dziać, i tak proponuję, byśmy się spotykały raz na tydzień. Częściej, jeśli będziesz czuć, że tego potrzebujesz. Co ty na to?

– Brzmi nieźle – przytaknęła Judith.

– A Robert? Kiedy masz zamiar powiedzieć mężowi, o tym, jak się sprawy mają?

– Nie wiem.

– Gdzie jest teraz?

– W Genewie.

– Film?

– Tak. Wraca do domu w niedzielę.

Maria chwilę się nad czymś zastanawiała. – W takim razie masz kilka dni na podjęcie decyzji. Choć może skłaniasz się raczej ku...

– Ku temu, by poczekać na kolejny telefon. Tak, myślę, że taka opcja bardziej mi odpowiada.

– No dobrze, tak zrób – podsumowała terapeutka.

Mimo wszystko – pomyślała, kiedy po chwili wyszła na Keymerstraat. – Mimo wszystko Robert musi się oczywiście dowiedzieć.

W swoim czasie. Przecież tylko oni dwoje wiedzieli, co się naprawdę wydarzyło tamtej nocy. Z Marią mogła rozmawiać o wielu sprawach, ale

były granice, których nie chciała przekraczać. Najlepiej było nawet się do nich nie zbliżać.

Uświadomiła sobie, że w gabinecie zostawiła parasol, przestało jednak padać, a od stacji dzieliło ją zaledwie dwieście metrów.

Nie minęło siedem tygodni.

Minęły trzy dni.

Licząc od jej wizyty w Café Intrigo, która poszła na marne. W sobotę po południu, kilka minut po wpół do trzeciej. Tym razem zdecydowanie miała przeczucie. Wyświetlacz telefonu znów pokazał numer nieznany, kiedy zatem podniosła słuchawkę, zdziwiłaby się, gdyby był to ktoś inny.

– Tak?

– Judith Bendler?

Tak jak przy dwóch poprzednich rozmowach, również teraz zaczął od pytania, czy ona to ona. Przez myśl przemknęło jej, że przecież mogłaby odpowiedzieć, że to ktoś inny. Na przykład policjantka zajmująca się molestowaniem i tym podobnymi przestępstwami, którą wezwano na miejsce w związku z tą sprawą. Co by się wtedy stało?

Odpędziła jednak ten pomysł.

– Czego chcesz? Nie mam czasu.

– Myślę, że masz. Mimo wszystko miałaś czas, by przyjść do kawiarni.

– A skąd wiesz? Ciebie tam nie było.

– Byłem.

– Bzdury. Czekałam na ciebie kwadrans i się nie pojawiłeś.

– Byłem tam. Oczywiście, że byłem.

Co on plecie? – pomyślała, przywołując w pamięci obraz trzech mężczyzn siedzących każdy przy swoim stoliku. Tego od książki, makaronu i programu wyścigów. Golf, marynarka, wełniana kamizelka. Zupełnie nie

zainteresowali się nią, kiedy tam przyszła. Starali się wręcz podkreślić dystans, pomyślała teraz, patrząc na to z perspektywy czasu. Czy mimo wszystko któryś z nich...?

– Miałaś na sobie jasnobieżową kurtkę i niebieski szal. Zawiesiłaś kurtkę na oparciu krzesła, a siedziałaś przy stole niedaleko drzwi. Naprawdę mnie nie pamiętasz?

Nie odpowiedziała. Zabrakło jej słów. Czuła, że jej świadomość nagle zaczęła się kołysać. A może pękać. A może i jedno i drugie. W głowie nie pojawiały się żadne myśli. Zastanawiała się, czy jest na krawędzi załamania nerwowego.

Minęło kilka cichych sekund.

– Dlaczego mnie nie pamiętasz?

Odłóż słuchawkę – próbowała dyktować samej sobie. Musisz odłożyć słuchawkę, dzwoni do ciebie martwy człowiek. Tracisz zmysły.

Nie była jednak w stanie. Zamiast tego mocno ścisnęła aparat i przysiadła na krześle w holu. To właśnie tam odebrała. Właśnie miała wyjść z Django, który teraz stał pod drzwiami, spoglądając na nią z lekkim wyrzutem. Niepewnie machał przy tym ogonem.

Przecież on nie żyje – pomyślała. Tom nie żyje, to dlatego go tam nie zobaczyłam.

W słuchawce wciąż było cicho. Żadnego odgłosu fal, żadnego oddechu.

Nieżywi nie oddychają.

– Czemu nic nie mówisz? Przecież rozmawialiśmy w kawiarni.

Udało się jej znaleźć siłę, by słabo zaprotestować.

– Nie rozmawiałam z tobą w kawiarni. Nie było cię tam...

Jednak zanim on zdążył się odezwać, zrozumiała.

– Cóż, ludzie z twojej klasy społecznej nie zwracają uwagi na tych, którzy im usługują.

Kelner.

Odłożyła słuchawkę. Wstała i chwyciła smycz.

*Jeśli ktoś ma problem, z którym nie potrafi sobie poradzić podczas długiego spaceru z psem, najlepiej zrobi, jeśli pozostawi ten problem nierozwiązany.*

To profesor Klimke, jej nauczyciel filozofii i religii z liceum, pewnego razu napisał tę mądrość na tablicy. Następnie wyjaśnił, że jest to praktyczne zastosowanie innego klasycznego dylematu: *jak wybierać swoje wojny*.

Sobotni spacer z Django trwał co najmniej dwie godziny. Gdyby posłuchała porady starego nauczyciela, zrezygnowałaby z tej wojny. Nie udało jej się znaleźć żadnego rozwiązania, powinna więc zbagatelizować całą tę historię; zignorować oszusta, który z niewyjaśnionego, zapewne absurdalnego powodu, powziął zamysł, by narażać ją na takie nieprzyjemności.

Problem polegał jednak na tym, że obok tej wojny nie dało się przejść obojętnie. Ewentualnie w teorii, ale nie w rzeczywistości.

Uświadomienie sobie, że to kelner był szwarccharakterem w tym dramacie, miało przynajmniej jeden pozytywny skutek: mogła wyrwać się z tego bagna sił nadprzyrodzonych. To nie tam leżało wyjaśnienie. To nie z martwym mścicielem przyszło jej się mierzyć, nie z duchem. Kimkolwiek by był ten irytujący idiota i jakiegokolwiek chore cele by mu przyświecały, musiał być człowiekiem z krwi i kości.

Zawsze coś, pomyślała Judith, klęcząc przy Django, by wytrzeć mu łapy, w tym samym urokliwym, ciepłym i przytulnym holu, w którym wcześniej po raz trzeci rozmawiała z oszustem. Zawsze coś. Jutro zadzwonię do Café Intrigo i zapytam o nazwisko. W końcu całkiem nieźle pamiętam, jak wyglądał.

Sama nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego odłożyła to na następny dzień.

Być może dlatego, że kelner, tak jak pozostali mężczyźni w lokalu, miał około czterdziestki.

A może dlatego, że – przynajmniej po fakcie – jego twarz wydała się jakby znajoma.

Odebrała jakąś młoda kobieta.

Judith przeprosiła za swoje nietypowe pytanie, chciała jednak skontaktować się z jednym z kelnerów z Intrigo. Otóż podczas jej wizyty w kawiarni kilka dni temu pomógł on jej z pewnym małym problemem, a chciała mu podziękować osobiście.

Dokładniej mówiąc, było to w środę po południu. Około trzeciej; mężczyzna około czterdziestki, ciemne, krótko przystryżone włosy, grzeczny i sympatyczny. I pomocny.

Kobieta trochę się wahała, ale niedługo. Poprosiła, by Judith zaczekała, a ona sprawdzi w teczce z grafiką. Wróciła po pół minuty.

– Czy najpierw mogę prosić panią o nazwisko? Tak chyba będzie najlepiej.

– Oczywiście. Judith Simmering.

Spodziewała się tego pytania, miała więc w odpowiedzi przygotowane swoje panieńskie nazwisko.

– Tak, tym kelnerem, o którym pani mówi, musiał być Tom Bendler. Pracował w środę o tej porze.

*Bendler.* Odruchowo chciała odłożyć słuchawkę, ale powstrzymała impuls.

– Dziękuję. Wie pani może, jak mogłabym się z nim skontaktować? Albo kiedy będzie mieć kolejną zmianę?

– Nie pojawi się u nas. W zeszły w piątek skończył pracę.

– Skończył pracę w piątek? Ale... jak to?

– Zatrudnił się tylko na miesiąc. Na zastępstwo, osoba pracująca na tym stanowisku już wróciła.

– Rozumiem. Może jednak ma pani jego numer telefonu? Albo adres?

– Tylko adres. Armastenstraat 25B. Teraz jednak muszę wracać do swoich obowiązków. Mam nadzieję, że uda się pani go odnaleźć.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję za pomoc.

– Nie ma sprawy. Zapraszamy do nas ponownie.

Kiedy w jej głowie zaświtała myśl o prywatnym detektywie, pomysł wydał się jej z jednej strony zaskakujący, z drugiej oczywisty. Zrozumiała, że to będzie absolutnie właściwy krok w... jak to się mówi?... w *zaistniałych okolicznościach*. Nie mogła zwrócić się do policji. Nie mogła powiedzieć Robertowi, w każdym razie jeszcze nie teraz. Maria nie wchodziła w rachubę, była siedemdziesięciodwuletnią terapeutką, a nie śledczym. Zaś wypuszczanie się samej na Armastenstraat i węszenie tam – cóż, to wydawało się najmniej kuszącą opcją.

Zignorować tę sprawę? Nie iść na tę wojnę?

Nie do pomyślenia. Jeśli wejdzie się do gry, to trzeba grać. Dała się złapać na haczyk w Café Intrigo i już to ją zobowiązało. Nie do końca wiadomo było do czego, niemniej jednak czuła, że najwyższa pora, by przejąć inicjatywę. Dotychczas, podczas tych dwóch miesięcy, które minęły od początku całej tej historii, to oszust wszystkim sterował. Wodził ją za nos, a ona tańczyła, jak jej zagrał. Czas, by nieco wyrównać pozycje. Najwyższy czas.

Zabrała się do działania, zanim zdążyły ją dopaść wątpliwości. Odszukała w opasłej książce telefonicznej sektor usług i pod nagłówkiem „Prywatni detektywi” znalazła osiem firm. Zdecydowała się na numer siedem, choć nie umiałaby wyjaśnić dlaczego. Może tylko dlatego, że

spodobało się jej, jak się nazywał. Jej pierwszy chłopak miał na imię Herbert.

*Herbert Knoll. Prywatny detektyw. Dyskrecja przede wszystkim. Maardam 500221.*

Wybrała numer i, mimo że wciąż było niedzielne przedpołudnie, ktoś odebrał. Mężczyzna w jej wieku, zdaje się. Miał nieco zmęczony, nieobecny głos. Oznajmił jednak, że jest gotów wysłuchać, w czym mógłby pomóc. Obiecał, że jeśli Judith w pięć minut objaśni mu, o co chodzi, on powiadomi ją, czy podejmie się tego zlecenia czy nie.

Opisała mu sprawę. Zajęło to chyba nieco więcej niż ustalili, ale Herbert Knoll słuchał, pomrukując, zaś z jego pytań i wtrąceń wynikało, że jest zainteresowany. Kiedy już skończyła, opowiedziawszy jeszcze o porannej rozmowie z kelnerką z Intrigo, Knoll uznał, że mieści się to w jego zakresie kompetencji. zaproponował, by spotkali się jak najszybciej, umówili się więc następnego dnia u niego w biurze. Na Ruydersteeg 6 o jedenastej, jeśli pasuje?

Judith odparła, że pasuje idealnie.

Kiedy odkładała słuchawkę, pomyślała, że czuje się zupełnie, jak gdyby wreszcie udało się jej umówić do dentysty. Przez kolejne cztery godziny pracowała na pełnych obrotach nad Erazmem z Rotterdamu.

Wprawdzie nie obiecała Robertowi, że odbierze go z lotniska, ale zdecydowała się po niego wyjechać. Może dlatego, że była mu winna pewną rekompensatę, pewien gest dobrej woli, który dowodziłby, że go kocha, mimo że postanowiła go nie informować o najnowszym przebiegu zdarzeń w sprawie Toma.

On oczywiście nie mógł odczytać istoty tego gestu, bo o niczym nie wiedział, jej tok rozumowania był więc mało logiczny, ale postanowiła się tym nie przejmować. Związek jest jak waga, powiedziała kiedyś Maria.



Nigdy nie zaszkodzi rzucić jakiś dobry uczynek na szalę, nawet jeśli nie zostanie od razu zauważony czy nie spotka się z uznaniem.

Takie właśnie myśli towarzyszyły jej, kiedy stała w hali przylotów, zniknęły jednak w momencie, gdy zobaczyła męża.

Wyglądał strasznie.

Jakby stracił dziesięć kilo i skurczył się o kilka centymetrów. Wiedziała, że Robert nie przepadał za lataniem, choć czasami zwykła myśleć, że więcej czasu spędzał w przestworzach niż na ziemi. Było to spowodowane słabą wydolnością płuc oraz suchością powietrza w kabinie, zaś z biegiem lat problem bynajmniej nie malał.

Tego niedzielnego wieczoru uświadomiła sobie coś jeszcze: że temu zapadniętemu w sobie starszemu mężczyźnie, jej mężowi, który wyglądał, jakby miał na sobie o dwa numery za duży garnitur, najprawdopodobniej nie zostało już wiele życia.

Zgodnie z życzeniem Roberta nigdy nie omawiali szczegółów jego choroby, jednak w ostatnich latach zajęła ona swoje miejsce w ich związku. Czuło się jej niewidzialną obecność, tak zwykła o tym myśleć Judith. Wiedziało się, że tam jest, ale się o niej nie mówiło, nawet o niej nie wspomiano. Wielokrotnie dyskutowała o tym z Marią, obie odnosiły się do tego krytycznie, ponieważ jednak to Robert było chory, do niego należał decydujący głos w kwestii doboru strategii.

Teraz jednak nie był po prostu chory. Był umierający.

Kiedy pocałował ją szybko na powitanie, jego oddech mówił wyraźnie.

Wszystko stało się jeszcze jaśniejsze, kiedy jechali z Sechshafen.

– Muszę ci się do czegoś przyznać – zaczął. – W Genewie nie kręcą żadnego filmu. To znaczy może kręcą, ale nie jest to nic, w co byłbym zaangażowany. Pojechałem tam spotkać się ze specjalistą.

– Specjalistą?

– Lekarzem. Cztery dni spędziłem w szpitalu na obserwacji, pobrali tysiące próbek i na tej podstawie postawili... cóż, postawili diagnozę.

Nie odpowiedziała. Wiem – pomyślała. Wiedziała.

– Sześć miesięcy – dokończył. – Najwyżej rok. Da się nieco przedłużyć męczarnię, ale ja nie mam zamiaru sobie tego fundować.

Położył lewą rękę na jej kolanie.

– Musisz mi wybaczyć, Judith. Opuszczę cię.

– Robertcie, nie wiem, co powiedzieć. Przepraszam.

Pociągnęła nosem i pogłaskała go po dłoni.

– Nic nie musisz mówić. Tak czy inaczej, myślę, że możemy urządzić sobie razem ostatnie prawdziwe święta Bożego Narodzenia. I zacząć nowy rok. Doktor Celan twierdzi, że przez najbliższe dwa, trzy miesiące nie będzie mnie – relatywnie – bardzo boleć.

– A potem?

– Potem pewnie będzie gorzej. Jak ci idzie z Erazmem? Naprawdę chciałbym zdążyć przeczytać twój tekst i przedyskutować go z tobą.

Pomyślała sobie, że to typowy Robert. Swojej zbliżającej się śmierci chciał poświęcić trzy minuty, ale zapewne był gotów dniami i nocami analizować jej długi na sześćset stron maszynopis. Taki był i już, uznała, że w zasadzie jest wdzięczna losowi za to, że taką właśnie naturę miał jej mąż.

Czy jednak był gotów rozmawiać także o Tomie?

Dobre pytanie – pomyślała Judith, zwalniając przed zjazdem w stronę Holtenaar. Zważywszy na zaistniałą sytuację, poczekam z tym kilka dni.

Biuro detektywa Knolla miało dokładnie dwanaście metrów kwadratowych.

Było w nim biurko z krzesłem obrotowym, szafka na dokumenty oraz fotel dla gości. I tyle.

Plus dwa dyplomy oprawione w ramki, zawieszane na ścianie na prawo od biurka. Zakurzone tak, że nie dało się ich odczytać. Przybrudzone okno wychodziło na ceglana ścianę, wpuszczając do środka minimalną ilość ciemnoszarego światła dziennego.

Knoll okazał się być w wieku, jakiego się domyślała, czyli takim samym jak ona. Jego waga była za to dwukrotnie większa niż jej – wypełniał sobą pokój w sposób wręcz imponujący. Przyciemnione okulary miał założone na czoło. Mięśisty nos, ogolona głowa, za to nieogolone policzki i broda.

– Witam w kuźni myśli doktora Knolla – zaczął. – Jakiegokolwiek pierwsze wrażenia towarzyszą teraz pani na widok moich spartańskich warunków, muszę zaznaczyć, że rozwiązuję ponad dziewięćdziesiąt procent zleceń, jakie przyjmuję. To wynik lepszy niż innych detektywów w naszym mieście, o wiele lepszy. Zapewniam. Proszę usiąść.

Judith przysiadła na prostym fotelu skórzanym. *Doktor?* – pomyślała. Przez głowę przemknęło jej skojarzenie ze sceną z któregoś z filmów Roberta. Wydawało jej się, że przed sobą ma nie prywatnego detektywa, a znanego aktora.

Może to nie ma znaczenia, uznała zbita z tropu. Może jest tak, jak twierdzi Robert: film to skoncentrowane życie, nic ponad to.

– Omówmy całą historię raz jeszcze, tak bym nie przeoczył żadnego ważnego detalu – ciągnął Herbert Knoll. Otworzył notes na czystej kartce. Kilka razy kliknął długopisem i popatrzył na nią zmrużonymi oczami. – Proszę, i wolę usłyszeć o dziesięć informacji za dużo niż za mało.

Opowiedziała mu wszystko. O trzech rozmowach telefonicznych. O wizycie w Café Intrigo. O trzech mężczyznach w lokalu i kelnerze.

O tym, że według jej wiedzy kelner już tam nie pracował, ale że podawał się za Toma Bendlera zamieszkałego przy Armastenstraat 25B.

I o tle. O zaginięciu Toma w lipcu 1973 roku. Rzecz jasna bez szczegółów, podała mu oficjalną wersję. Tę, na której pracowała policja, a którą po tych wszystkich latach wciąż znała na pamięć. Pamiętała wszystkie kwestie.

– Dobrze – podsumował Herbert Knoll, kiedy skończyła, po czym poprosił ją o doprecyzowanie szeregu kwestii: dokładnego wyglądu oszusta; wyglądu Toma w momencie, kiedy zaginał; jej opinii na temat tego, o co w istocie mogło chodzić; zdania jej męża; tego, jak według niej miał zostać potraktowany oszust, kiedy już trafi się na jego ślad (czy wystarczy go tylko śledzić czy może trzeba zastosować inne środki?); metody raportowania postępów oraz tego, czy była gotowa od razu zapłacić za kilka dni pracy. Według stawki, z zastrzeżeniem, że mogą pojawić się nieoczekiwane wydatki i komplikacje.

Judith odpowiadała na pytania, najlepiej jak umiała. Poprosiła, by raporty przesyłał jej, kiedy tylko będą jakieś wieści, najlepiej codziennie, po czym zapłaciła z góry za trzy dni.

Herbert Knoll wyciągnął rękę przez biurko i oznajmił, że zadzwoni do niej w ciągu dwudziestu czterech godzin, bez względu na rozwój sytuacji.

– Kim on jest? – zapytała Judith. – To oczywiście najważniejsze pytanie. I czego chce?

– Zrozumiałem – odparł Herbert Knoll. Potem się pożegnali. – Może mi pani zaufać i na mnie polegać.

W pociągu do Holtenaar niespodziewanie się rozplakała.

Maria Rosenberg uznałaby, że absolutnie nie było to niespodziewane, ale Judith tak właśnie to odczuwała. Z reguły nie płakała. Nie pamiętała nawet, kiedy robiła to po raz ostatni, ale z pewnością wiele lat temu. Być może w związku z drugim pobytem w Majorna, choć nie łączyła swoich psychicznych przypadłości ze łzami.

Dlaczego więc ryczała w pociągu podmiejskim? Na szczęście wczesnym popołudniem podróźnych było mało, nikt więc nie zwrócił uwagi na jej stan, ona zaś nie musiała się wysilać, by go ukryć. Miłe uczucie, uznała skonsternowana. Całe napięcie jakby osłabło, ona zaś uznała, że być może w tym tkwi sens płaczu. To dlatego ludzie mu się oddają.

Sama nie wiedziała, czego spodziewała się po detektywie. Może nie zdziała nie wiadomo czego, można było jednak oczekiwać od niego przynajmniej tyle, że znajdzie fałszywego Toma i dowie się o nim tego i owego. Może też odkryje jego prawdziwą tożsamość. W takim układzie istniała duża szansa na to, że o sprawie wkrótce będzie można zapomnieć. Czyż nie?

Jednak powodem jej płaczu wcale nie był Herbert Knoll czy oszust. Uświadomiła sobie dość szybko, że to Robert tkwi w tym węźle, który należało rozsypać. O tej porze za rok już go nie będzie. Przeżyli ze sobą szmat czasu, choć nie mieli swojego dziecka i już od wielu lat w związku panował spory dystans. Życie seksualne ustało wraz z jej menstruacją, jednak ani ona, ani on szczególnie nad tym nie rozpaczali. Kiedyś pomyślała sobie, że Robert równie dobrze mógłby być jej sympatycznym kuzynem, który akurat mieszka z nią pod jednym dachem. Mieli całkiem udany układ. Nie kłócili się, jedno nie działało drugiemu na nerwy, niemal

zawsze zachowywali się wobec siebie przyjaźnie i uprzejmie i dzielili mroczny sekret.

Tak to mniej więcej wyglądało. Kiedy tylko sformułowała w głowie tę ostatnią myśl, zastanowiła się, czy rzeczywiście będzie umiała przemilczeć ostatni rozwój wypadków związanych z oszustem. Tym mącicielem. Fałszywym Tomem czy jak go tam nazwać. Czy Robert nie miał prawa wiedzieć?

Czy powinna mu tego oszczędzić?

Kiedy wysiadała z pociągu w Holtenaar, jeszcze nie była zdecydowana. Otarła już jednak łzy i wydmuchała nos.

Decyzja zapadła dzięki kieliszkowi szampana.

Nie pierwszemu i nie drugiemu. Prawdopodobnie dzięki trzeciemu. Po południu Robert udał się zebrać plony w piwniczce z winem i znalazł tam kilka butelek, co do których absolutnie nie życzył sobie, by Judith miała je pić sama, podczas gdy on będzie leżał w ziemi w towarzystwie robaków. Lub też unosił się na obłoczku, pobrzdkując na harfie.

Urządzili więc sobie kolację z owocami morza i szampanem, przy świecach, mimo że był zwykły listopadowy poniedziałek. – Ale co tam – uznał Robert. – Choćbym nawet chciał, i tak nie zdążę już umrzeć na marskość wątroby.

Oznajmił jej też, że zrezygnował ze wszystkich projektów filmowych, co do jednego, bo odtąd będzie oczekiwał swojego wielkiego dnia. Ostatnie miesiące – bez względu na to czy będzie ich trzy czy dziesięć – chciał spędzić w spokoju w domu. Czytając, słuchając muzyki, popijając wino. Obok swojej pięknej, dobrej i mądrej żony.

Szczególnie zaś chciał zagłębić się w jej opasłym tomie o Erazmie z Rotterdamu. Bo chyba nie odmówi mu tej prostej acz wysublimowanej przyjemności, skoro on właśnie wydaje swój łabędzi śpiew?

Nie, oczywiście nie chciała mu odmawiać.

Krewetki były smaczne. Homar boski.

Wiedziała, że dwa kieliszki szampana zniesie, nie powinna jednak pić trzeciego, skoro nie chciała stracić panowania nad sobą.

A dlaczego nie miałabym tracić panowania? – pomyślała, kiwając głową w stronę Roberta, który właśnie wydobywał z piwniczki kolejną butelkę, żeby im dolać. Przez całe życie byłam aż nadto poukładana.

I tak oto, kiedy pół kieliszka później Robert zapytał, czy coś godnego uwagi wydarzyło się, kiedy był w Genewie, opowiedziała mu całą historię.

Dokładnie, ze szczegółami, pominęła jedynie detektywa Knolla.

– Ależ, do cholery! – krzyknął Robert, kiedy skończyła. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Wróciłeś do domu z wyrokiem śmierci. Mówię ci teraz.

– Przecież to jakiś absurd.

– Uważałeś, że to moja wyobraźnia. Że przyśniła mi się ta pierwsza rozmowa telefoniczna... a potem, sama nie wiem, byłeś na wyjeździe zarówno wtedy we wrześniu, jak i teraz. W każdym razie wiem już, że to nie moje wymysły. Ktoś udaje Toma i czegoś od nas chce.

Robert zmarszczył czoło i siedział chwilę w milczeniu. Następnie wlał w siebie to, co miał w kieliszku, wstał od stołu i podszedł do okna. Odwrócił się do niej plecami, zacisnął pięści. Domyślała się, że właśnie mierzy się z tymi samymi frustrującymi myślami, z którymi ona borykała się przez ostatnie dni i noc.

Pozwoliła mu tak stać. Czekwała, aż wróci do stołu i zacznie wytyczać jakiś zarys planu działania. Jednak gdy usiadł, powiedział jedynie:

– Niech to szlag. Chyba otworzymy kolejną butelkę.

Pokiwała głową. Skoro wypić już trzy kieliszki szampana, to równie dobrze mogła wypić i piąty czy szósty.

– Naprawdę nie domyśliłaś się, o co mu chodzi?

Minęła chwila. Przenieśli się na fotele przed kominkiem. Robert rozpałił ogień, ona zaś czuła, że już od dawna nie była tak pijana. Jakie to jednak miało znaczenie, skoro siedziała właśnie u boku męża, który w ciągu roku miał umrzeć, a jej tekst o Erazmie był w dużej mierze gotowy?

– Co? Co powiedziałaś?

– Zapytałam, czy naprawdę nie pojmujesz, o co mu chodzi?

– Ach tak. Nie, myślałam o tym, ale...

– Spadek.

– Jaki spadek?

W momencie, kiedy zadała to pytanie, zrozumiała, że jest idiotką. Robert popatrzył na nią i ze zmartwioną miną pokręcił głową. Cholerny szampan – pomyślała. Wszystko wokół wiruje, mimo że siedzę.

Chyba dopadła mnie... panika?

Z pewnością coś mrocznego i złowrogiego wczepiało w nią swoje szpony, trudno było tego nie zauważyć. Cholera.

– Spadek po mnie, po mojej śmierci – wyjaśnił Robert. – Pójdę nastawić kawę. Chyba jesteś trochę...

– Dziękuję, przyda się.

Wstał i poszedł do kuchni. Judith wpatrywała się w dogasający płomień. Spadek? Zacisnęła pięści i spróbowała się uspokoić. Powstrzymać strumień myśli, które opadły ją jak rój szerszeni. Dom? *Dom*. Nie wiedziała, ile było na koncie w banku, ale wszystko, co mieli, było wspólne. A bez wątpienia największą wartość miał dom, ten cudowny dom, w którym mieszkali od dziewięciu lat i który kochała ponad wszystko. Bez dwóch zdań. Kupili go za milion, ale teraz cena była z pewnością dwukrotnie lub trzykrotnie wyższa. A wszystkie długi były już spłacone... Miała tu mieszkać przez resztę życia, dopóki i jej dni nie dobiegną końca, była o tym przekonana



niemal od momentu, kiedy się tu wprowadzili. A teraz... teraz co? Niech to cholera! Do pijanej głowy cisnęły się jej przekleństwa. Czy ten oszust, ten pieprzony wiszący na telefonie kelner miał zamiar przytulić pół spadku po Robercie? Czy tak wyglądał jego plan? To miał na oku?

Ale... ale przecież on nie był Tomem. Jakim cudem mógł sobie wyobrazić, że uda mu się taki bezwstydnym trik? Przecież to śmiechu warte... nie, właściwie nie.

Robert przyszedł z dzbankiem kawy i filiżankami na tacy.

– O tym ten drań może zapomnieć – powiedziała. – O spadku po tobie. Tom nie żyje, oboje to wiemy. Prawda?

Z pewną trudnością postawił tacę na szklanym stoliku i usiadł w fotelu. Popatrzyła na niego. Wyglądał na zmęczonego i wykończonego. I mniejszego, co zauważyła już na lotnisku. Jakby opuszczał życie, kurcząc się.

Dziwne porównanie. Przeklęty szampan.

– Wiemy, że Tom nie żyje – powtórzyła, kiedy jej nie odpowiedział. – Wiemy, bo go zabiliśmy.

Pokiwał głową i westchnął głęboko.

– Jest pewien szkopuł – odparł.

# II

Aarlach, rok 1973

Grzmiało.

Stała w oknie salonu, obserwując niespokojne niebo. Pomyślała, że dość dobrze odzwierciedla ono to, co czuła. Był kwadrans po dwudziestej trzeciej, żaden z nich jeszcze nie wrócił.

Ani Robert, ani Tom. Tom nie był w domu przez dwie czy trzy ostatnie noce, straciła już rachubę. Wpadał jak po ogień za dnia, a dwa razy dzwoniła policja, pytając o niego. Kilka godzin temu Robert odezwał się do niej i powiedział, że skontaktował się z synem: wkrótce miał nadjechać.

*Nadjechać?* Jak pociąg. Robert był właśnie na planie przy jeziorze Zingen, obiecał wrócić około dwudziestej drugiej, najpóźniej wpół do dwudziestej trzeciej. Spóźniał się już czterdzieści pięć minut, nie dziwiło jej to.

Po głowie kołatało jej się, że powinna uciec. Ta myśl towarzyszyła jej od kilku tygodni. Może nawet dłużej. Tak, na pewno dłużej. W końcu ich obecna sytuacja nie zrodziła się w mgnieniu oka. Przeciwnie, był to proces, który toczył się od lat i powoli, acz nieubłaganie doprowadził ją do takiego stanu, że cieszyła się, jeśli tylko w czasie doby mogła bez przeszkód przespać trzy godziny.

Mam trzydzieści siedem lat – pomyślała. A czuję się, jakbym miała pięćdziesiąt siedem. Gdyby tylko zabicie Toma mogło mi ująć na sucho, zrobiłabym to.

To też nic nowego. Czy czułaby to samo, gdyby był jej dzieckiem, krwią z krwi, kością z kości? Dobre pytanie. Nie zdążyła jednak sobie na nie

odpowiedzieć, bo oto nagle całą okolicę rozświetlił kolejny piorun. Towarzyszący mu grzmot rozległ się po kilku sekundach, aż cały dom zawibrował. Poszła do kuchni i nalała sobie kieliszek wina. Wypiła łyk i na nowo rozkręciła karuzelę słów, powtarzanych utyskiwań.

Tom to nieudany, okrutny idiota.

Powinni go postawić przed sądem za dwa tygodnie.

Nie jest moim synem. Ćpa, jest przestępcą, wykańcza nas.

Nigdy nie będę mieć swoich dzieci.

Mój związek z Robertem diabli wezmą.

Już biorą.

Gdyby nie było Toma, wszystko by się ułożyło.

Zasłużyłam na coś więcej. Robert też.

Wino miało cierpki smak. Wylała je do zlewu, po czym przygotowała sobie gin z tonikiem. Ostrożnie posmakowała i uznała, że brakuje w nim plastra cytryny. Na talerzu z owocami znalazła ostatnią sztukę i odkroiła plaster dużym nożem do mięsa, jedynym, który akurat nie był w zmywarce. Po raz kolejny spróbowała drinka i w tym właśnie momencie otworzyły się drzwi wejściowe, ktoś z łomotem wtoczył się do holu.

I zatrzasnął drzwi z hukiem. Zrzucił z siebie buty, zarechotał i beknął.

Tom. Popatrzyła na zegarek. Za dwadzieścia dwunasta.

I dlaczego jego ojca nie ma teraz w domu, żeby go powitał? – pomyślała. Dlaczego sama muszę stawiać czoła temu bezwzględnemu, pijanemu draniowi, który męczy mnie tak, że ledwo jestem w stanie znieść jego widok?

Wszedł do kuchni.

– Cześć Judith!

Nigdy nie nazywał jej mamą. Czy choćby matką. Pociągał nosem. Coś było nie tak z jego spojrzeniem. Uznała, że jest naćpany. Na pewno jest na

haju. Zażył jakiś tani towar, który kupił na Klejne Markt za kradzione pieniądze... A to spojrzenie? Co z nim, do cholery?

Szybko dowiedziała się, o co mu chodziło.

– Ładna sukienka, Judith. I krótka. Nie masz na sobie majtek, co?

To był dla niej szok. Upuściła szklanę, którą trzymała w ręce. Upadła na ziemię, ale z jakiegoś powodu nie rozbiła się. Judith niepewnie obciągnęła sukienkę, żeby nieco ją wydłużyć. Udało jej się zakryć nogi do połowy uda.

Wszystko, tylko nie to – pomyślała. Wszystko.

– Tom, idź się położyć.

Podszedł bliżej, z szerokim uśmiechem na ustach. Jego pełne obłędu oczy połyskiwały. Wyciągnął ręce. Włosy kleiły mu się do czoła. Jest silniejszy ode mnie – pomyślała. Dwadzieścia kilo cięższy i dwa razy silniejszy.

– Odwróć się i ściągnij majtki... jeśli w ogóle je na sobie masz. Najwyższy czas, żebyśmy się bzyknęli, Judith.

Spróbowała go obejść, ale chwycił ją. Zaciągnął ją z powrotem do blatu, mocno przycisnął jej biodra do kantu, sam zaś napierał na nią równie mocno z tyłu. Chwilę tak stał. Potem zadarł jej sukienkę i rozerwał cienkie majtki. Włożył jej rękę między nogi. Próbowwała się uwolnić, ale chwycił ją za włosy i przycisnął jej twarz do talerza z owocami, z którego wcześniej brała ostatnią cytrynę. Jakimś cudem udało mu się wyjąć ze spodni sztywnego członka, którego teraz próbował wsunąć między jej nogi. Zacisnęła uda, próbowała krzyknąć, ale nie zdążyła, bo mocniej przytknął jej głowę, przyciskając łokciem jej kark, tak że nagle zabrakło jej tchu. Nie może we mnie wejść – pomyślała. Nie może. Wszystko, byle nie... Kątem oka dostrzegła nóż, ten, którym kroić cytrynę. Leżał tam, gdzie go zostawiła. Na desce do krojenia. Zaledwie pół metra od niej. Szybkim

ruchem sięgnęła po niego, a jeszcze szybszym zadała cios na oślep. Niezdarny, skierowany na ukos, do tyłu, ale z pomocą nie wiadomo którego świętego trafił, gdzie powinien.

Trafił, gdzie powinien. Usłyszała to. Jego członek nie wsunął się w nią, bo oto duży nóż wsunął się w jego ciało. Dał się słyszeć jęk, jego uścisk zelżał. Potem puścił ją zupełnie i z hukiem oraz kolejnym jękiem padł na podłogę. Jej pusta szklanka po ginie z tonikiem poturlała się po ziemi, ale plasterek cytryny wciąż trzymał się na kancie. Judith obróciła się i poprawiła sukienkę. Usłyszała, że drzwi wejściowe znów się otwierają i zamykają.

Trzy sekundy później Robert stanął w progu kuchni. Zanim zdążył coś powiedzieć, zanim ona zdążyła coś zrobić, nadeszła kolejna błyskawica, a tuż po niej straszny grzmot. Cały dom się zatrzęsł.

Świat się wali – pomyślała.

– Próbował mnie zgwałcić.

– Widzę.

– Powinieneś być przyjąć pięć minut wcześniej.

– Przepraszam.

Przytul mnie – pomyślała. Tak zrobił. Wziął ją w objęcia i przez kilka długich sekund stali tak, patrząc na swojego syna Toma, gwałciciela Toma, który leżał na plecach, ze spodniami i majtkami ściągniętymi do kolan, z obnażonym przyrodzeniem, teraz miękkim i niegroźnym, zaś nóż wciąż tkwił wbity w delikatne tkanki tuż pod żebrami. Cienka stróżka krwi ściekała na podłogę, Tom miał głupkowato otwarte usta, dolna szczęka mu opadła, zaś spod na wpół opuszczonych powiek widać było tylko białka.

Klatka piersiowa wciąż się jednak poruszała.

– Żyje – powiedziała. – Ale jeśli go tak zostawimy, umrze.

Robert puścił ją i popatrzył na nią.

Nie przyklęknął jednak przy swoim umierającym synu. Nie wyciągnął noża z jego boku. Wciąż wpatrywał się w żonę, która bez mrugnięcia odwzajemniała jego spojrzenie. Ta niema rozmowa zadecydowała o reszcie ich życia. Ona to wiedziała, on też. A każde wiedziało, że to drugie też wie. Tak było.

Wrócił do domu busem należącym do wytwórni. Dogodny zbieg okoliczności.

Równie dogodne było to, że mieszkali na parterze. Robert mógł wjechać do ich miniaturowego ogródka. Wyniesienie ciała zawiniętego w cztery prześcieradła i włożenie go do wozu przez tylne drzwi zajęło minutę. Było po północy. Nie paliło się w żadnym oknie w domu. Burza szalała dalej.

– Zdejmij prześcieradła i połóż go w lesie. Zaczekam na ciebie.

Robert pokiwał głową. Zanim zamknął drzwi, dostrzegła, że klatka piersiowa Toma wciąż unosi się i opada. Jednak oznaki życia były coraz słabsze.

Dziś ocalimy nasz związek – pomyślała.

Pocałowała męża.

On odwzajemnił jej pocałunek, potem odjechał w noc.

Mijały godziny. Przyrządziła sobie kolejny gin z tonikiem, usiadła przy biurku i czekała. Przed nią stała nowa maszyna do pisania, a na prawo i lewo od niej leżały porozrzucane papiery. W domowej roboty regale na parapecie zalegała sterta encyklopedii i książek historycznych.

Właśnie powstawało jej najważniejsze dzieło. Biografia Katarzyny Medycejskiej. Od wydawnictwa dostała tak dużą zaliczkę, że wzięła urlop w liceum, w którym pracowała od sześciu lat. Miała nadzieję nigdy do niego nie wracać. A nie były to mrzonki, obie jej wcześniejsze książki spotkały się z uznaniem, ale nie sprzedawały się w spodziewanej liczbie. Tym

razem miało być inaczej. Znalazła większe i bardziej prestiżowe wydawnictwo, a wydawca obiecał jej kolejne zlecenia w przyszłości. Jej życie obrało kierunek, jakiego sobie życzyła.

Tej nocy nie mogła się jednak skupić na Katarzynie Medycejskiej. Jej mąż wyruszył z misją, której niemal nie dało się ogarnąć rozumem. Miał porzucić ich umierającego syna w lesie. Konał, bo zadała mu cios nożem. Po tym, jak on – syn – próbował ją zgwałcić. Gdyby to był film, wyłączyłaby telewizor. Gdyby jednak oglądała dalej, czy potrafiłaby zrozumieć postępowanie rodziców? Czy może raczej czułaby sympatię do syna?

Oczywiście zależałoby to od tego, jak całą historię przedstawiłby reżyser. Gdyby jednak miał ambicję trzymać się prawdy, faktów, tego, jak w ostatnich latach Tom terroryzował swoją matkę i ojca, jaką egoistyczną, zaćpaną, arogancką świnią z kryminału był, jakim utrapieniem dla nich, sympatie powinny znaleźć się po właściwej stronie. Cios nożem zadała w obronie własnej, z desperacji, w sądzie zapewne by ją uniewinnili. Jednak przejść przez taki proces, bez względu na to, czy Tom by przeżył, czy nie... być narażoną na ocenę opinii publicznej, na poniżenie, wstyd... Nie, to nie wchodziło w grę. To właśnie tę prawdę ona i Robert wyczytali w swoich oczach tam w kuchni przed kilkoma godzinami. To właśnie stało się kamieniem węgielnym ich nowego paktu. Ich dalszego związku. To było jedyne wyjście.

Wrócił kilka minut przed czwartą. Wyszła go powitać w holu. Uściskała go. Był niewiarygodnie przemoknięty i ubłocony, od razu wybuchnął płaczem. Gwałtownym, nie do powstrzymania, cały się trząsł. Nie przechodziło mu, więc zaciągnęła go do łazienki. Ściągnęła z niego ubrania, wcisnęła je do pralki, a męża do wanny. Po chwili dołączyła do niego. Wtedy, otulony przez ciepłą wodę i swoją kobietę, zaczął wreszcie mówić.



– Zakopałem go – powiedział. – Już nie żył, kiedy dojechałem do Zingen. Nie chciałem, żeby ktoś go znalazł.

– Zingen? – zdziwiła się.

– Nie tam, gdzie kręcimy film, ma się rozumieć. Ale w okolicy nie brak lasów. W samochodzie był szpadel, ale niełatwo się kopało. Do tego ta pogoda, byłem bliski...

– Tak? – zapytała.

– Byłem bliski załamania. Co myśmy zrobili?

– Próbował mnie zgwałcić – przypomniała mu. – On rujnował nasze życie.

Pokiwał głową, kilka razy załkał. – Wiem. Własne już zrujnował.

Zostali w łazience przez kilka godzin. Nad ranem Robert zadzwonił do drugiego reżysera i wyjaśnił, że dopadły go nagłe problemy żołądkowe, w związku z czym musi zostać w domu.

Przez cały dzień szorowali kuchnię i czyścili bus. Dopiero po dwóch dobach zadzwonili na policję i powiadomili, że ich syn zaginął. Wzburzony opuścił dom podczas nocnej burzy, najprawdopodobniej naćpany i od tej pory się nie odezwał. Zdecydowali się na taką wersję, ponieważ mogli być jacyś świadkowie. Ktoś z sąsiadów mógł zauważyć Toma, gdy wracał do domu po wpół do dwunastej tamtego wieczoru.

Musieli jednak założyć, że nikt nie widział busa wytwórni filmowej FFF, który ruszał spod domu czterdzieści pięć minut później.

Przez kolejne miesiące policja bez przekonania poszukiwała zaginionego siedemnastolatka, ale nie trafiła na żaden ślad. Robert skończył swój ósmy film pełnometrażowy, *Kobieta w lesie*, a Judith napisała książkę o Katarzynie Medycejskiej.

# III

Maardam, rok 1995

Judith siedziała cicho i czekała.

Musiał być przecież ciąg dalszy. Nie można ot tak rzucić hasła *jest pewien szkopuł*, a potem nie wyjaśnić, na czym on polega.

Nawet Robert nie może tak robić. Nawet on w swoim obecnym stanie.

Wypiła łyk mocnego, słodkiego espresso i kolejny raz na niego popatrzyła. Trochę przypomina Humphreya Bogarta, przyszło jej nagle do głowy. Choć bardziej miał w sobie coś z gryzonia. Umierającego, a może przedstawiciela zagrożonego wyginięciem gatunku. Nie szczura, był ładniejszy. Budził współczucie, mógłby nawet budzić uczucia macierzyńskie, gdyby takie miała.

– No? – powiedziała w końcu.

Robert wyprostował się w fotelu. Potem pochylił się i dorzucił polano do ognia.

– À propos spadku...

– Spadku?

– Tak. Jeśli to faktycznie o to mu chodzi. Ja w każdym razie uważam, że z taką możliwością powinniśmy się liczyć.

Chwilę myślała. To znaczy *próbowała* myśleć, ale bąbelki szampana wciąż działały.

– Nie pomyślałam o tym... Ale może masz rację... jeśli jednak tak jest, to w czym miałyby tkwić ten szkopuł?

Robert odchrząknął. – Ekhm. Cóż, gdyby trzeba było ustalić jego tożsamość... on nie jest, to znaczy nigdy nie był mój... mam na myśli

Toma.

Nie zrozumiała. Wlała w siebie resztę kawy.

– Co ty mówisz? Nie nadążam.

– Tom miał innego ojca.

– Co?

– Minna i ja staraliśmy się o dziecko przez kilka lat. Kiedy nam się nie udało, poszliśmy do lekarza. Przykro mi, Judith, że nigdy ci o tym nie powiedziałem, ale byłem...

Nagle zakręciło się jej w głowie. Jakby pokój zawirował. Jakby siedziała na karuzeli i nagle zebrałoby się jej na wymioty. Przełknęła ślinę, zacisnęła pięści i zebrała się w sobie.

– Kontynuuj. Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

Westchnął ciężko i z rezygnacją.

– Ja... bałem się, że gdybyś się dowiedziała, nie chciałabyś mnie już. Byłaś taka młoda, byłem pewien, że chcesz mieć dzieci.

– Chciałam.

– Mieliśmy już Toma, a Minna nie żyła.

– Twoje plemniki są do niczego, to starasz się mi powiedzieć?

Pokiwał głową. – Przykro mi...

Minęło pięć sekund. Czują, jakby to było pięć lat.

– I dlaczego, na litość boską, opowiadasz mi to teraz?

– Dlatego, że gdyby ktoś chciał przeprowadzić test ojcostwa, to... Zakładając, że ja i Tom mamy wspólne geny... Otóż nie mamy. To znaczy nie mieliśmy.

– Poczekaj. Milcz przez chwilę. Muszę pomyśleć.

Naprawdę musiała. Rozparła się w fotelu i zapatrzyła w ogień. Dlaczego wszystko musi się dziać naraz? Dlaczego?

Bo tak było, mniej więcej. Jakiś oszust zaczyna ją prześladować, twierdząc, że jest Tomem. Robert wraca z Genewy i oznajmia, że umrze. Potem mówi jej, że Tom nie był jego synem, w związku z czym test ojcostwa będzie w tym przypadku nieważny... ale chwila. Co to mogło oznaczać? W najczarniejszym scenariuszu? Czy to nie znaczyło, że...?

– Kto o tym wie? – zapytała.

Robert wzruszył ramionami. – Nikt.

– Cały świat sądzi, że Tom był twoim prawdziwym synem. Zrobionym za pomocą twoich wspaniałych plemników?

Przepraszam – pomyślała. Cios poniżej pasa. Nie powiedziała jednak tego na głos.

– Wziąłem ojcostwo na siebie – odparł. – Tak jak ty wzięłaś na siebie obowiązki matki kilka lat później. To oznacza, że dziedziczyłyby po nas obojgu.

– Gdyby żył.

– Gdyby żył.

Próbowała myśleć. Kawa walczyła z szampanem. Wygrywała, ale słabo.

– Rozumiem. Jeśli oszust będzie chciał część domu... oraz część pozostałego majątku... to być może nie będzie można sprawdzić pokrewieństwa, jako że żadne z nas nie było biologicznie związane z Tomem? Dobrze rozumiuję?

Robert kolejny raz pokiwał głową.

– Skoro jednak nikt o tym nie wie, to chyba w porządku? Wszyscy sądzą, że jesteś ojcem Toma, moglibyśmy nawet domagać się testów. Czyż nie?

– To nie takie proste. Są dokumenty.

– Dokumenty?

– Tak. Władze mają dokumenty... chyba są w sądzie. Tam jest napisane, że to nie ja jestem jego biologicznym ojcem.

– A co jest napisane?

– Ojciec nieznany.

– Ojciec nieznany?

– Tak.

– Dlaczego? Dlaczego tak to załatwiliście? Skoro nikt nie wiedział.

– Dlatego że... ja chciałem to zrobić w ten sposób. Minna też. To głupie, ale byliśmy młodzi.

– Idiocyzm.

– Tak.

– To oznacza, że każdy mógłby teraz się zgłosić i oznajmić, że jest Tomem Bendlerem?

– W każdym razie testami genetycznymi nie da się udowodnić, że kłamie.

– A kto jest ojcem.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Minna nigdy mi nie powiedziała. A ja nie chciałem wiedzieć.

– A z niej... nic nie zostało?

– Popioły. W morzu. Rozsypane przed trzydziestoma siedmioma laty.

Przemyślała wszystko jeszcze raz kolejnego dnia, po krótkim spacerze z Django. Usiadła z herbatą przy biurku, w skroniach wciąż lekko jej pulsowało. Starła się pojąć, co się w zasadzie wokół niej dzieje.

I co opowiedział jej Robert.

I jakie to miało znaczenie w kontekście tego mężczyzny, który podawał się za Toma Bendlera. Ich syna. Niegdyś ich syna, który zginął ponad dwadzieścia dwa lata temu.

Czuła się osaczona. Żeby nie powiedzieć *zaatakowana*. Zarówno przez to, co było, jak i to, co działo się teraz. Dlaczego Robert wcześniej nie powiedział, że nie był prawdziwym ojcem Toma? Dlaczego dopiero teraz? Czyżby sądził, że to naprawdę miało jakieś znaczenie? Że mogło odgrywać jakąś rolę? Że po jego śmierci może dojść do zmiany w podziale majątku? Zmiany, do której ten cholerny oszust faktycznie mógł doprowadzić. Że ona będzie zmuszona sprzedać dom, jeśli wcześniej tego nie dopilnuje. Jeśli nie podejmie kroków.

Absurd. Absurd w pełnym tego słowa znaczeniu.

Czy... może powiedział tylko dlatego, że jest umierający i chciał zrzucić z siebie tę tajemnicę, zanim będzie za późno? Czy to dlatego postanowił już dłużej nie milczeć?

Zerknęła na zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Robert jeszcze spał. Nie miał w zwyczaju się wylegiwać, ale może i on poprzedniego wieczoru wypił trochę za dużo. I być może choroba mocniej go chwyciła teraz, kiedy odpuścił. Kiedy poddał się i zrozumiał, że jego dni są policzone. Do tego większą część wczorajszego dnia poświęcił na obdzwanianie znajomych i informowanie ich o swojej decyzji. O tym, że natychmiastowo rezygnuje ze wszystkich zajęć w branży filmowej, obecnych i przyszłych.

Powód: poczekalnia Śmierci. Lubił używać właśnie takiego wyrażenia.

*Przykro mi Franz, ale siedzę w poczekalni Śmierci, więc z tym dam sobie teraz spokój.*

*Wiesz, droga Clarice. Jak się człowiek znajdzie w poczekalni Śmierci, to ma inne priorytety.*

Z drugiej strony – pomyślała – z drugiej strony wczoraj wieczorem powiedzieliśmy sobie to, co było trzeba. Nie będę go teraz budzić.

Za to z oszustem chętnie by sobie pogadała. Był wtorek, ostatnia rozmowa, ta po wizycie w Café Intrigo, miała miejsce w sobotę.

Trzy dni. Najwidoczniej nie spieszyło mu się. Ona zaś nie widziała żadnej możliwości, by uintensywnić rozwój wypadków. O ile właśnie tego chciała.

*Rozwój wypadków? A co to niby za rozwój?*

Westchnęła. Chwyciła za telefon i wybrała numer Herberta Knolla.



Cztery godziny później znów siedziała u niego w biurze.

Od jej ostatniej wizyty bynajmniej się ono nie powiększyło, zaś detektyw nie zmalał. Wyglądał jednak na zadowolonego, mimo że starał się to ukryć pod maską zawodowej zgorzkniałości. Być może po to, żeby nie zdradzić się przed nią z tym, że zadanie, które mu powierzyła, było w istocie łatwizną. Że można by spokojnie zmniejszyć mu wynagrodzenie.

– Wiele szczegółów musimy jeszcze wyjaśnić – zaczął. – Niemniej jednak możemy zaprezentować ogólny portret naszego obiektu.

Zastanowiło ją, kto kryje się za liczbą mnogą. Jego rozrośnięte ego czy może jakiś współpracownik? A może kilku? Nie zapytała jednak, w sumie było jej to obojętne.

– Wygląda na to, że naprawdę nazywa się Tom Bendler, w każdym razie tego nazwiska używa i ma je w paszporcie. Jest w kraju od dwóch miesięcy. Od pierwszego października wynajmuje kawalerkę przy Armastenstraat.

– W paszporcie? Niemożliwe.

– Może być fałszywy. Nie zdążyliśmy jeszcze zbadać tej kwestii.

– Rozumiem.

Tak naprawdę nie rozumiała. Przeciwnie, z całą mocą dopadło ją uczucie, że nie pojmuje nic z całej tej sytuacji. Kiedy powierzyła sprawę Knollowi, wydawało jej się, że uwolniła się od troski, teraz jednak nieprzyjemne uczucie wróciło i to z jeszcze ostrzejszymi zębami.

– Zgadza się również to, że przez miesiąc był zatrudniony w Café Intrigo – ciągnął detektyw. – Wcześniej pracował już jako kelner, a oni akurat

potrzebowali zastępstwa na krótki czas. Nie mieli żadnych uwag co do tego, jak wywiązywał się z obowiązków, mogliby zatrudnić go ponownie, gdyby chciał. Choć może nie w sezonie zimowym, bo wtedy mają mniejszy obrót.

– Gdzie pracował wcześniej jako kelner?

– W kilku miejscach, ale wszystkie są w Nowej Zelandii.

– Nowej Zelandii?

– Tak, mieszkał tam od co najmniej dwudziestu lat. Ale i to musimy jeszcze potwierdzić.

– Jak... jak udało się to panu sprawdzić?

Herbert Knoll założył okulary na czoło i przyłożył gruby palec wskazujący do grubych warg.

– O to się nie pyta. W branży śledczej nie zdradzamy naszych źródeł, to jeden z punktów zawodowego kodeksu honorowego. Jednak do części może pani dojść sama, jeśli się pani zastanowi. W tym przypadku nie ma nic niezwykłego.

Posłuchała jego rady i zastanowiła się.

– Intrigo, oczywiście. Może sąsiedzi też? On się naturalnie nie domyśla, że... że jest obiektem obserwacji?

Knoll wzruszył ramionami. – Zawsze mamy taką nadzieję. Jeśli jednak nie pogada się z ludźmi, to niczego się nie dowie. Chyba sama pani rozumie?

– Chyba tak. Po co jednak umówił się ze mną na spotkanie, skoro potem się nie ujawnił? Przecież na niego czekałam.

– A jak pani myśli?

– Nie wiem. To dziwne i nielogiczne... czy on chce nawiązać ze mną kontakt, czy nie?

– To ważne pytanie. Na razie nie możemy na nie odpowiedzieć, ale jest pewna możliwość, której być może nie brała pani pod uwagę.

– Jaka?

– Może on nie wiedział, jak pani wygląda. Teraz wie.

– A dlaczego miałby...?

Nie udało jej się jednak znaleźć słów. Przeszkadzał jej w tym wir w głowie, czuła, że nie jest w stanie sformułować żadnego rozsądnego pytania. Czy choćby przyjąć do wiadomości informacji, które przedstawił jej Knoll. Tego, że kelner naprawdę nazywał się Tom Bendler. Że miał paszport potwierdzający jego tożsamość. Że mieszkał w Nowej Zelandii.

Że być może umówił spotkanie tylko po to, by móc ją obejrzeć z bliska; było to tak pieczołowicie przygotowane, że aż obleciał ją strach, kiedy sobie to uświadomiła.

Pomyślała, że przecież on jest w odpowiednim wieku, jak więc można by udowodnić, że nie jest tym, za kogo się podaje.

– Chwileczkę – przyszło jej jednak do głowy. – W jakim kraju wystawiono ten paszport?

– W Nowej Zelandii. Wystawiła go nasza ambasada... w Wellington, jeśli się nie mylę.

– Jest zatem obywatelem naszego kraju?

– Najwyraźniej tak. O ile paszport nie jest fałszywy. Ten szczegół musimy jeszcze zweryfikować, jak mówiłem.

– A ile czasu może to zająć?

Knoll kolejny raz wzruszył ramionami. – Proszę mi dać kilka dni.

Przez chwilę siedziała cicho. Potem wstała i podziękowała. Kiedy już otworzyła drzwi i miała wyjść, przyszło jej do głowy jeszcze jedno pytanie.

– A właśnie, a co on sam mówi o kontaktowaniu się ze mną? Jak sam komentuje to, co robi?

Knoll też wstał. Z niemałym trudem, bo prawie nie mieścił się między biurkiem, krzesłem i ścianą.

– Droga pani Bendler. Jeszcze z nim nie rozmawialiśmy. Pracujemy nad tą sprawą od niecałej doby. Chce jednak pani poznać odpowiedź na to pytanie? Naprawdę chce pani, byśmy się z nim skonfrontowali?

Zastanawiała się dwie sekundy.

– Tak – odparła. – Tego chcę.

Nie podjęła konkretnej decyzji co do tego, dokąd skierować kroki, ale ruszyła w stronę dzielnicy nad kanałem oraz w stronę Armastenstraat. Z biura Knolla na Ruydersteeg miała tam niedaleko, jakiś kilometr, a akurat świeciło słońce. Mimo że był listopad, najbardziej deszczowy i ponury z miesięcy. Żałowała, że nie ma u boku Django, ale on nie czuł się dobrze w miejskim gwarze. Już lata temu zrezygnowała z ciągnięcia go ze sobą, jeśli akurat miała coś załatwić w centrum.

Cieszyłoby ją jednak jego spokojne i napawające poczuciem bezpieczeństwa towarzystwo. Pamiętała, że podczas ostatniego pobytu w Majorna na jej oddziale był pies. Przeprowadzano swego rodzaju eksperyment, ktoś chciał sprawdzić, jaki wpływ na pacjentów ma obecność zwierząt. O ile zrozumiała, próba przyniosła jedynie pozytywne wyniki. Przypomniała jej się też sztuka, którą kiedyś widzieli z Robertem, *Oko konia* czy jakoś tak, a która miała podobne przesłanie. W okresie mroku i zawirowań mentalnych, mądrze jest skierować swoją uwagę na zwierzę.

O ile, naturalnie, jakież znajduje się pod ręką. Na psa lub konia czy może osła.

Czy ja jestem osłem? – pomyślała. Czy nie tak się zachowuję? Nie do końca. Bliżej mi do dezorientowanej kury – uznała. Doszedłszy do takich wniosków w swojej autoanalizie, zorientowała się, że znajduje się na Armastenstraat. Zatrzymała się i zaczęła sprawdzać numery domów umieszczone na fasadach.

25A i 25B okazały się mieścić w czteropiętrowej kamienicy. Budynek zbudowano na początku wieku, a może pod koniec poprzedniego, jak wiele innych przy Armastenstraat. Z brunatnej cegły. Był już nieco zniszczony, podupadał. Widać było na nim trochę bazgrołów, które pewnie tkwiły tam od kilku lat. Dalej przy Grote graacht, na zachód od parku Czwartego Września, całkowicie kończyły się zabudowania miejskie, wiedziała o tym. Tam rządy przejmowały fabryki i magazyny; jak to mówią, nie jest to dzielnica, po której kobieta powinna chodzić sama po zmroku. W tym miejscu jednak ta długa ulica dopiero się zaczynała. Było tu jeszcze sporo sklepików, urząd pocztowy i kilka prostych barów. Zresztą, zostało jeszcze parę godzin do zmroku.

Judith popatrzyła na rzędy okien nad numerem 25B. Naliczyła ich dwadzieścia, trudno było jednak powiedzieć, gdzie przebiega granica między A i B. Tak czy inaczej, mieszkał za którymś z tych głuchych prostokątów, czy też może za kilkoma z nich. Raczej jednego; Knoll wspominał przecież, że Tom wynajmował kawalerkę. W domu z numerem 25B nie świeciło się w ani jednym oknie, ale wciąż przecież światło dzienne było jako takie, a ludzie nie chcieli widocznie płacić niepotrzebnie dużych rachunków za prąd.

Mogłabym wejść do budynku – pomyślała. Sprawdzić, gdzie mieszka niejaki Bendler... i skonfrontować się z nim.

Po co zostawiać to detektywowi? Jeśli jest w domu, już za minutę mogłabym stanąć z nim twarzą w twarz.

Trudno było ocenić prawdopodobieństwo tego, że jest w mieszkaniu, ale przecież nie miał pracy. Czy może już znalazł sobie nową?

Dlaczego nie? Czemu nie miałyby spróbować i chwycić byka za rogi?

Wiedziała jednak, że to tylko gdybanie. By podjąć takie kroki, trzeba było mieć siłę do działania, a właśnie tego jej obecnie brakowało. Ten

strumyczek energii, który sprawił, że skierowała swoje kroki nad kanał, zaczął powoli wysychać; zanim rezygnacja dopadła ją na dobre, Judith obróciła się na pięcie i, powłócząc nogami, wróciła tą samą drogą, którą przyszła.

Do domu – pomyślała. Do ogrodu. Do Erazma z Rotterdamu. Do Django i poczucia bezpieczeństwa.

Kilka przecznic dalej, kiedy stała na jednym z przejść, czekając na zielone światło, uświadomiła sobie, że nie zaliczyła Roberta do tego, za czym tęskniła.

Przypadek czy znak? – można by zapytać.

– Dlaczego się nie odzywa? Przecież minęły cztery doby, czyż nie?

– Trzy. Nie wiem. Skąd miałabym wiedzieć.

Wybrali się na kolację do Czerwonego Rubinu, osiedlowej knajpy na rogu Holte Markt. Robert ponoć przespał pół dnia i wyglądał nieco bardziej rześko niż poprzedniego wieczoru. To z jego inicjatywy siedzieli teraz w restauracji, przy tym stoliku co zawsze, pod ryciną Piranesiego, czekając na risotto. Jedno z owocami morza, jedno z grzybami. Rubin otwarto mniej więcej w tym samym czasie, kiedy oni sprowadzili się do domu, i jak dotąd odwiedzili tę prostą, ale przyjemną knajpkę co najmniej ze sto razy. Zastanowiło ją, czy kiedyś jeszcze przyjdzie tu, kiedy Roberta już nie będzie.

– To jednak dziwne – upierał się Robert. – Myślisz, że on jakoś nas obserwuje... albo ciebie? Chyba nie siedzi – na przykład – tutaj?

Odruchowo się rozejrzała. – Nie, tu go nie ma.

– Jesteś pewna. Jak on wygląda?

– Jak przeciętny czterdziestolatek.

– Ma ciemne czy jasne włosy?

– Coś pomiędzy.

– Jest wysoki? Rosły?

– Normalny.

– Nie masz ochoty o tym rozmawiać?

– Nie, właściwie nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może mam nadzieję, że to się już skończyło. Że on już się nie odezwie.

– Tak myślisz?

– Powiedziałam, że *mam nadzieję*.

– Dobrze, rozumiem. Jesteś wściekła, bo nie mówiłem ci wcześniej o Tomie. O tym, że nie jest moim biologicznym synem... nie *był*.

Zanim odpowiedziała, chwilę mu się przyglądała. Zastanawiało ją, czy on naprawdę myśli, że to, że w końcu jej powiedział, załatwiało sprawę. Że nie ma czego rozpamiętywać.

– Nie – odparła. – Ty chyba nie rozumiesz. Mówisz, jakbyś nie rozumiał. Tom nie był ani moim dzieckiem, ani twoim. Stworzyło go dwoje zupełnie innych ludzi. On nie żyje od ponad dwudziestu lat, a teraz zgłasza się do mnie jakiś nieprzyjemny typ, który twierdzi, że jest naszym synem i spadkobiercą. Może chodzi mu o to, by odebrać mi moją ostatnią pociechę, jak to wczoraj zasugerowałeś. Za rok nie będę miała męża, psa... może też domu. O co miałabym się wściekać?

– Ale...

– Gdybym wiedziała, że Tom nie był twoim synem, nigdy bym go nie adoptowała. Po prostu. Ale tak czy inaczej i tak chciałabym z tobą być. Wiedz o tym.

Nie odpowiedział. Było widać, że uszło z niego powietrze. Starał się nie patrzeć w jej kierunku, błędził wzrokiem gdzieś między młodą parą, która właśnie weszła do lokalu i własnymi rękoma, które trzymał na brzegu stołu. Wyglądał na zupełnie zagubionego, nagle zrobiło jej się go żal.

– Przepraszam. Być może nie zmieniłoby to kwestii spadku, ale trudno mi pogodzić się z tym, że mogłeś ukryć przede mną coś takiego. Skąd mogę wiedzieć, że nie masz też innych tajemnic?

– Ja...



Zamilkł jednak.

Dlaczego? – pomyślała. Co chciał mi powiedzieć?

Odchrząknął i wyprostował się. – Dobrze – powiedział. – To ja powinienem prosić o przebaczenie. Zrobimy, jak chcesz. Nie będziemy już rozmawiać o tym oszuście... w każdym razie dopóki nie poznamy dalszego rozwoju wydarzeń. Idzie nasze jedzenie.

Pokiwała głową. Uświadomiła sobie, że właściwie jest głodna.

Kolejny raz zadzwonił o dziewiątej następnego dnia, tym razem się przygotowała. Wiedziała, że to on, zanim zdążył wybrzmieć pierwszy sygnał. *Numer nieznany*, jak zwykle. Wzięła głęboki oddech, przeczekała kolejny dzwonek, po czym odebrała.

– Halo.

– Judith Bendler.

– Tak.

– Tu Tom.

– Tak mówisz, ale nie jesteś Tomem.

– Oczywiście, że jestem. Co sprawia, że w to wątpisz?

– Wszystko. Na przykład twoje zachowanie.

Zaśmiał się. Krótko, ochryple.

– *Moje* zachowanie? Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Chcę tylko zobaczyć matkę... i ojca... po tylu latach. A ty nie dość, że mi odmawiasz, to jeszcze nasyłasz na mnie prywatnego detektywa. Jeśli ktoś tu powinien przemyśleć swoje zachowanie, to ty, droga mamo, nie ja.

Coś w niej drgnęło, kiedy użył wyrażenie *droga mamo*. Nigdy nie byłam twoją mamą – pomyślała. Ani mamą prawdziwego Toma. A tak się składa, że prawdziwy Tom nie żyje.

– Czego ty właściwie chcesz? – zapytała.

Kilka sekund zwlekał z odpowiedzią.

– Przede wszystkim chcę udowodnić, że jestem tym, za kogo się podaję. Proponuję więc spotkanie twarzą w twarz. Tym razem nie mam zamiaru być twoim kelnerem.

– Dobrze – odparła. – Nie podobałeś mi się w tej roli. To jednak nic ci nie da.

– Zmienisz zdanie.

– Bzdury. Gdzie i kiedy? To będzie jedyny raz.

– Nie sądzę. Proponuję po raz kolejny w Intrigo, jeśli nie masz nic przeciwko. Może w piątek o trzeciej?

Trzy dni czekania.

– Dlaczego nie dziś albo jutro?

– Mam sporo spraw do załatwienia. Ale sobota też mi pasuje.

– Zatem piątek o trzeciej – zdecydowała. – W Intrigo, ewidentnie tam czujesz się jak u siebie w domu, mnie to jednak nie przeszkadza.

Znów zaśmiał się tym ochrypłym głosem. – Wspaniale. Myślę jednak, że powinnaś spławić tego niemiłego detektywa. On nie ma nic wspólnego ze mną czy z tobą.

– Pozwól, że to przemyślę – obiecała, po czym odłożyła słuchawkę.

Herbert Knoll nie pozwolił się tak łatwo spławić.

– Proszę się dobrze zastanowić, pani Bendler – zalecił jej po chwili, kiedy do niego zadzwoniła, by opisać sytuację. – Z pani przeciwnikiem to nie przelewki. Jeśli chce się pani z nim spotkać, należy zastosować środki bezpieczeństwa.

*Środki bezpieczeństwa* – pomyślała. Maria Rosenberg mówiła o *środkach ostrożności*. Czasami różnica między terapeutą a detektywem jest mniejsza, niż można by pomyśleć.

– Niby jakie? – zapytała. – Dokładniej mówiąc.

– Powinniśmy mieć jakiegoś człowieka w lokalu.

Nie bardzo rozumiała. – Niby dlaczego?

– Choćby po to, by słuchał rozmowy – wyjaśnił Knoll cierpliwie. – Może nawet ją nagrał, z myślą o...

– Z myślą o czym?

– O przyszłości.

Szybko pomyślała. – Nie bardzo widzę, czemu miałoby to służyć. Zresztą, nagrać mogę sama. Nie, nie chcę żadnych szpiegów na naszym spotkaniu. Musi mi pan wybaczyć.

– Decyzja należy do pani – odparł detektyw sucho. – Czy mam zatem uznać, że nie potrzebuje już pani naszych usług?

– Chciałabym wiedzieć, co się stało, kiedy pan... się z nim skonfrontował.

– Oczywiście. Niewiele. Jeden z moich współpracowników zatrzymał go, kiedy wczoraj wieczorem wychodził z domu. Wspomniał, że ma niebieski pas w karate i jest pani dobrym znajomym. Poprosił, by Bendler przestał pani zawracać głowę. *Standard procedure*, jak to mówią za Atlantykiem.

Mój Boże – pomyślała. Gram w filmie gangsterskim. – A jak on na to zareagował?

– Według mojego współpracownika uniósł brew, nic więcej. Dlatego uważam, że powinna być pani ostrożna. Z nim nie ma żartów.

– Nigdy tak nie sądziłam – wytłumaczyła mu Judith. – Odezwę się do pana po piątkowym spotkaniu. Na razie nie chcę, by podejmował pan jakieś kroki.

– Jak sobie pani życzy – odparł Knoll. – W międzyczasie wystawię rachunek.

Kiedy się rozłączyli, zastanowiła się, co to za niespodziewane moce w nią wstąpiły, zarówno podczas rozmowy z oszustem, jak i z detektywem.

W każdym razie już się wyczerpały. Opuściły ją... niczym szczury uciekające z tonącego okrętu.

Przeklęte obrazy – pomyślała. Poszła do sypialni, żeby sprawdzić, czy jej umierający mąż się obudził.

Nie. Poprzedniego wieczoru po powrocie z Rubinu rozsiadł się z butelką koniaku i naręczem kaset filmowych, nie była więc zdziwiona, że wciąż chrapał. Wróciła na parter, założyła Django smycz i ruszyła na długi spacer.

W końcu nadszedł piątek. I piątkowe popołudnie.

Jednak droga do niego była długa. Praca nad Erazmem szła jak po grudzie. Nie mogła zdobyć się na koncentrację, która była tak potrzebna w tygodniach poprzedzających wysłanie do wydawnictwa pierwszej wersji książki. Po serii nieudanych prób dalszego pisania, postanowiła odłożyć pracę na kilka dni. Po spotkaniu z oszustem i tak miała mieć niemal miesiąc, to musiało jej wystarczyć.

To, że Robert całymi dniami chodził po domu – czy też raczej siedział przed telewizorem, oglądając stare filmy, które wyreżyserował i wyprodukował, a było ich razem pięćdziesiąt – też ją rozpraszało. Gdyby Django miał tyle sił, co kiedyś, mogłaby urządzać sobie z nim wyprawy na pół dnia, ale biedna psina była w rzeczy samej równie umierająca jak pan, zaś pogoda panowała taka, jak zwykle o tej porze roku: deszcz, wiatr i melancholia.

Ona i Robert właściwie ze sobą nie rozmawiali. Rzecz jasna to Tom był powodem tej ciszy. Ten brak słów i interakcji powinien ją martwić, ale z jakiegoś powodu nie martwił. Jego wyznanie o ojcostwie i bezwartościowych plemnikach zmieniło sprawy diametralnie, wstrząsnęło fundamentem ich związku. Nie chciała jednak tego z nim omawiać, nie teraz, podczas tych dni oczekiwania. Może potem, kiedy już spotka się twarzą w twarz z człowiekiem podającym się za Toma Bendlera. Jednak nawet tego nie była pewna. Być może cisza miała się utrzymać.

Myślała, czyby nie odezwać się do Marii i nie poprosić o spotkanie w czwartek, ale zrezygnowała. Lepiej poczekać i z tym. Na regale znalazła kilka starych kryminałów, jeden autorstwa niejakiego Henry'ego Molla Juniora. Leżąc pod kocem na sofie w swoim gabinecie, spędziła szereg dłużeń się godzin, starając się wciągnąć w intrygi, które – im bardziej się w nie zagłębiała – wydawały jej się coraz bardziej niepojęte.

Może już nie rozumiała ludzkich motywów działania i pobudek. Uznała, że to by się w zasadzie zgadzało z rzeczywistością, w jakiej się teraz znalazła.

W każdym razie w końcu nadszedł piątek.

Café Intrigo było zdecydowanie bardziej wypełnione niż poprzednio. Dwie większe grupy, jedna japońska, druga nie wiadomo skąd, zajmowały większą część lokalu. Jednak w głębi, w kącie, sam przy stoliku siedział fałszywy Tom Bendler. Nie potrafiła sobie dokładnie przypomnieć, jak wyglądał, podczas pierwszej wizyty tutaj bardziej skupiła się na trzech mężczyznach. Kiedy jednak jej wzrok padł na niego, nie miała żadnych wątpliwości.

Wstał i wyszedł jej na spotkanie. Bez słowa uścisnęli sobie dłonie i usiedli po dwóch stronach stołu.

Mężczyzna był dość szczupły, wzrostu nieco wyższego od przeciętnego. Ciemnobrązowe, półdługie włosy, zielono-szare oczy, regularne rysy twarzy. Biała koszula, niebieski pulower w serek. Może nieco zniszczony, z kiepską postawą, ale wyglądał dość dobrze. Zauważyła to mimowolnie, jednocześnie nie mogła nie pomyśleć, że Tom mógłby wyglądać właśnie tak.

Mógłby, gdyby nie zginął dwadzieścia dwa lata temu. Dwadzieścia dwa lata i cztery miesiące.

– Miło cię widzieć, Judith – zaczął.

– Chciałabym móc powiedzieć to samo – skontrowała.

Uśmiechnął się. – Zamówić ci coś?

Pokręciła głową. Na stole stały dwie szklanki i karafka z wodą. Nie pytając jej, nalał. Od razu przywołał też kelnera, który akurat przechodził obok z naręczem talerzy dla japońskiej grupy. No tak, pomyślała, przecież wszyscy tu to jego koledzy. *Jak w domu*, jak sama powiedziała.

– Wyglądasz młodziej, niż się spodziewałem.

Komplementy. Nie dbała o nie. Westchnęła z niechęcią i popatrzyła na niego wzrokiem, który – miała nadzieję – był neutralnie obojętny. Splotła dłonie przed sobą.

– Nie przyszedł tu, by z tobą uprzejmie konwersować. Nie wiem, kim jesteś, ale wiem jedno. Nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Od początku wiedziałam. Od momentu, kiedy zadzwoniłeś do mnie wtedy w nocy.

Nie odpowiedział. Wypił nieco wody i znów się uśmiechnął.

– Wielokrotnie zastanawiałam się, czy nie skontaktować się z policją, ale odpuściłam sobie. Mimo wszystko ufam, że masz dość rozumu, by skończyć z tym, co robisz. Ani mnie, ani mojego męża nie bawi twoje postępowanie i, szczerze mówiąc, nie wiemy, o co ci chodzi. Ty sam nie powiedziałeś tego wyraźnie przez telefon, teraz domagam się więc jednoznacznych wyjaśnień. Oraz obietnicy, że skończysz te wygłupy. Jeśli nie, musisz liczyć się z konsekwencjami.

Rozparł się w krześle. Tylko tyle. Tyle miała mu do powiedzenia, a zrobiła to mniej więcej na jednym wydechu.

Siedział nieruchomo i przyglądał się jej. Jego uśmiech trochę przygasł, ale i tak wyglądał na ubawionego. A w każdym razie na niezmartwionego.

– A dlaczegoż to jesteś tak bardzo na nie? – powiedział. – Nie taką cię pamiętam.

– Zacznijmy od tego, że w ogóle mnie nie pamiętasz.

- Oczywiście, że tak. Równie dobrze, jak ty mnie.
- Nie rozumiesz, że bez trudu mogę udowodnić, że kłamiesz?
- Proszę. Masz wolną rękę.

Skąd ta pewność siebie? – pomyślała. Jakby miał w rękawie jakiegoś asa, którego planował wyciągnąć w najdogodniejszym dla siebie momencie.

– Mogłabym zadać ci pytania, na które nie odpowiesz, a z którymi poradziłby sobie prawdziwy Tom. Naprawdę nie pojmujesz?

– Proszę bardzo – powtórzył. – Nie powstrzymuję cię. Swoją drogą, pamiętasz ostatni raz, kiedy się widzieliśmy?

– Ostatni raz...?

Słowa ją zawiodły.

– Tamtego wieczoru w kuchni. Byłem trochę napalony, ale trudno było ci się oprzeć. Stałaś z drinkiem w ręce i miałaś na sobie tę strasznie seksowną, króciutką sukienkę. Czarną w czerwony rzucik. Masz ją jeszcze?



# IV

Queenstown, Nowa Zelandia, lata 1994–95

Farma nazywała się Ziemia Obiecana, Daniel Fremont wylądował na niej zupełnie przypadkiem.

A może to było przeznaczenie.

Chciał w nie wierzyć, jednak dotychczas w jego życiu niewiele wskazywało na to, że taka siła w ogóle istnieje. A w każdym razie nie jako dobra siła. Większość spraw diabli brali, zwłaszcza przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, a że jeszcze nie skończył czterdziestki, można było uznać, że wszystko chrzaniło się niemal od zawsze.

Jednak to, co wydarzyło się na początku września w Auckland, było już totalnym dnem. Razem z pewnym idiotą z Tonga Daniel obrabował furgonetkę z pieniędzmi. Zdobyli niewielki worek banknotów, który trafił szlag, gdy tylko go rozpakowali, ponieważ otworzył się w nim nabój z farbą. A idiota z Tonga strzelił do kierowcy. Daniel nawet nie wiedział, że facet ma broń, a że kierowca, czterdziestoletni ojciec piątki dzieci, zmarł kilka godzin później w szpitalu, ich obu poszukiwano za zabójstwo. Idiocie z Tonga, o ile Daniel wiedział, udało się dostać na pokład jakiegoś cholernego frachtowca i popłynąć na swoją przeklętą wyspę. Ukrył się u stuosobowej rodziny, gdzie wszyscy wyglądają identycznie i nikt nie ma dokumentów tożsamości. Zaś policja nie wiedziała, który z napastników miał broń.

Daniel zszedł do podziemia, jak to mówią, choć nie w Tonga. Różnymi drogami, najczęściej pod osłoną nocy, przedostał się na południe. Do Wellington, a potem na Wyspę Południową. Zapuścił włosy, zwinął kilka

par okularów i przestał się golić. Kiedy w połowie listopada wylądował w Queenstown, nie przypominał siebie ze zdjęcia w paszporcie, który zresztą spalił na obrzeżu campingu w nocy tydzień po tym fantastycznym napadzie w Auckland.

Został w Queenstown dwa miesiące, do nowego roku. Udało mu się nawet zarobić trochę kasy w barach, hostelu i pralni. Jednak pewnego wieczoru pokłócił się z niemieckim turystą, który twierdził, że Daniel ukradł mu portfel, co nie było całkiem wysrane z palca. Wtedy Daniel zrozumiał, że pora opuścić miasto. Wczesnym rankiem podwiózł go właściciel owczej farmy z Glenorchy, ale złapali gumę, jadąc krętą drogą na północ wzdłuż jeziora Wakatipu. Podczas gdy farmer wprawnie, choć dość powoli, zmieniał koło, Daniel skorzystał z okazji i rozejrzał się po okolicy. I tak właśnie znalazł dla siebie nowy dom.

Pożegnał się z farmerem, zarzucił plecak na plecy i ruszył wzdłuż wąskiej zwirowej drogi w kierunku narysowanym na rozpadającym się drogowskazie.

Ziemia Obiecana.

Poszukiwacze nowej prawdy, witajcie!

Pierwsze wrażenie było nieciekawe, nawet dla takiego kogoś jak Daniel Fremont. Gdyby nie to, że szedł pod górę i oddalił się niemal dwa kilometry od drogi, pewnie by zawrócił.

Główny budynek był przypominającą szopę ruiną, pomalowaną na pół tuzina różnych kolorów. Farba już się łuszczyła. Na otaczającej go rozległej, nieco podtopionej łące stało około trzydziestu przyczep i namiotów. Do tego kilka szałasów zбитych z różnego rodzaju płyt i zardzewiałej blachy przy rzadko zarośniętym zagajniku. Pośród tych

prowizorycznych siedzib stało sporo brudnych krów, kilka wychudzonych koni, nieco większe stado nieco tłustszych merynosów oraz gromadka dzieci. Te ostatnie miały od pięciu do dziesięciu lat, a były równie brudne jak krowy, zapewne dlatego, że próbowały grać w nogę na podłożu nadającym się bardziej do żuźła albo pod uprawę ziemniaków. W bujanym fotelu na rozpadającej się werandzie pstrokatej szopy siedział olbrzymi człowiek, najprawdopodobniej mężczyzna, w słomkowym kapeluszu, kamizelce oraz butach do kąpielii . Zaciągał się czymś, co wyglądało jak niesamowicie mocny skręt.

Może mimo wszystko dobrze trafiłem – pomyślał Daniel.

Dwie godziny później zadomowił się w liliowej przyczepie bez kół, za to z dachem, przyzwoicie zachowanymi ścianami i podłogą, po której dało się chodzić. Stały w niej trzy prycze. Jedna była wolna, na drugiej zalegała sterta brudnych ubrań, butelek oraz śmieci, na trzeciej zaś leżało jakieś stworzenie, chrapiąc pod kocem. O trzeciej po południu stworzenie się obudziło, przez chwilę charczało flegmą, po czym zapytało, czy może dostać kawę i litr wody.

Daniel uznał, że już dawno nie widział nikogo w gorszym stanie niż jego nowy współlokator. Uderzyło go też coś innego: ten dziad wygląda tak, jak ja będę wyglądać za kilka lat. Jeśli się za siebie nie wezmę. W sumie jesteśmy do siebie całkiem podobni.

Udało mu się spełnić życzenie nowego kumpla i pięć minut później siedzieli z kubkami kawy, przyglądając się sobie nawzajem.

– Jeśli masz tu mieszkać, to mógłbyś się przedstawić. – odezwało się stworzenie – Choć to bez większego znaczenia.

– Daniel Lipkens.

Nazwisko pożyczył od ładniutkiej nauczycielki, która uczyła go w siódmej klasie. Używał go od czasu klapy w Auckland.

– Tom Bendler.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Nie masz przypadkiem w kieszeni czegoś, co dałoby się wyjarać?

To Tom Bendler zadał to pytanie. Daniel pokręcił głową.

– Akurat nie. Teraz staram się trzymać od tego z daleka.

– No to źle trafiłeś.

– Żaden ze mnie fanatyk.

– No to dobrze trafiłeś. A skąd jesteś, za przeproszeniem, bo akcent brzmi znajomo.

– Urodziłem się w Maardam. Nie byłem w domu od dziesięciu lat.

Tom Bendler zaniósł się śmiechem, który przerodził się w przeciągły atak kaszlu. – A niech mnie – powiedział, kiedy napad minął. – Ja przyszedłem na świat w Aarlach. Krajanie z nas.

– Ano, na to wygląda – odparł Daniel.

– A teraz siedzimy w tej zacnej przyczepie na drugiej półkuli. Ktoś tam na górze musi nas kochać.

– Od jak dawna kręcisz się po tych okolicach? – zapytał Daniel.

Tom Bendler zmarszczył czoło i chwilę myślał. – Wydaje mi się, że od ponad dwudziestu lat. Przejechałem większość swoich szarych komórek, ale chyba dobrze policzyłem. Tak, od co najmniej dwudziestu lat. A teraz wybacz, muszę się odlać.

– Proszę cię bardzo – powiedział Daniel. – Daj znać, jeśli będziesz potrzebować pomocy.

Jego odpowiedź została nagrodzona kolejną salwą śmiechu i atakiem kaszlu. Biedny drań – pomyślał Daniel. Zostanę tu kilka nocy i zobaczę, jak będzie.

Było całkiem nieźle, choć Ziemia Obiecana okazała się czymś innym, niż sugerowała nazwa. Mieszkało tam około sześćdziesięciu osób. Komunę, jak

ją nazywali, z początku niewielką, założył pod koniec lat siedemdziesiątych szurnięty pastor wraz z dwiema żonami. Pastor i jedna z nich już zmarli, ale żona numer dwa, ezoteryczna pięćdziesięciolatka Madame Holy jeszcze żyła. Szczęśliwie wyszła za mąż za obecnego przywódcę Ziemi Obiecanej, doktora Brutusa Hotchkissa, który okazał się olbrzymem z fotela na werandzie. Doktor był kiedyś chemikiem i w sporej części szopy przy pomocy asystentów przygotowywał narkotyki. Sprzedawano je z niezłym profitem w Queenstown, gdzie popyt na nie był duży, zwłaszcza w sezonie letnim. W Ziemi Obiecanej prowadzono także innego rodzaju działalność. Niektórzy pomagali przy koniach w kilku okolicznych ranczach położonych bliżej Glenorchy, ale większość oddawała się swoim zajęciom w komunie. Przygotowywaniu jedzenia, doglądaniu owiec, hodowaniu ziemniaków, warzyw i marychy, reperowaniu przyczep i szałasów. Dzieci w wieku szkolnym wysyłano czasami autobusem do szkoły w Glenorchy. Jednak kiedy Daniel zjawił się w komunie, były akurat wakacje, zresztą sprawą dyskusyjną pozostawało, czy faktycznie uczą się czegoś wartościowego w tym tak zwanym cywilizowanym świecie.

Co tydzień lub przynajmniej kilka razy w miesiącu organizowano walne zgromadzenie w Tęczy, jak nazywano szopę. Przewodzili im doktor Hotchkiss i Madame Holy. Najpierw wszyscy unisono odśpiewywali *We shall overcome*, następnie doktor wygłaszał swoje przemyślenia, potem był czas na pytania dotyczące wspólnych spraw, a na koniec zjadano solidny posiłek, któremu towarzyszyło morze wina własnej produkcji. Spotkania trwały do zmierzchu, a następnego dnia przypadał szabas, wtedy obowiązywał ścisły zakaz pracy.

Nie wszyscy jednak uczestniczyli w walnych zgromadzeniach. Przynajmniej jedna trzecia mieszkańców nie brała w nich udziału – nie zawsze ta sama jedna trzecia i nie zawsze z tych samych powodów, choć te

z reguły wiązały się z chorobami lub narkotykami. Nieobecność przyjmowano bez zastrzeżeń. Ziemia Obiecana była republiką wolności, gdzie może nie każdy pomagał ze wszystkich sił, ale gdzie wystarczająco wielu starało się, by komuna jako tako działała. Liczyła już ponad piętnaście lat i, o ile Daniel dobrze rozumiał, władze przestały się wtrącać. Jeśli w ogóle kiedykolwiek próbowały na tym odludziu. Nikt nikomu nie przeszkadzał, wszyscy mieli spokój.

Daniel nadal mieszkał z Tomem w liliowej przyczepie. Wkrótce okazało się, że są nie tylko krajanami, ale i rówieśnikami, różniło ich siedem miesięcy. Żaden z nich nie był szczególnie towarzyski, bywały więc dni, kiedy ledwo co się do siebie odzywali. Taki układ im obu pasował najbardziej. Na świecie zdecydowanie za dużo gada się o bzdurach.

– Szukają cię za coś? – zapytał Daniel pewnego wieczoru, kiedy w promieniach zachodzącego słońca siedzieli oparci o przyczepę z piwem w dłoniach.

– Nie sądzę – odparł Tom. – Wprawdzie byłem poszukiwany, zanim wylądowałem w tym kraju, ale to już zadawnio... wydawnio... jak to się mówi, do cholery?

– Przedawnione – odpowiedział Daniel.

– Otóż to. Minęło już cholernie dużo lat, więc na pewno jest przewad... przedaw... no właśnie.

– Rozumiem – odparł Daniel.

Siedzieli bez słowa przez jakieś pół godziny, pijąc piwo, paląc i obserwując zachód słońca.

– W sumie z moim przyjazdem tu wiąże się straszna historia – powiedział w końcu Tom. – Mamy więcej piwa?

– Sprawdź. – Po kilku minutach Daniel wrócił z sześciopakiem.

Tom westchnął. – Nie dam rady teraz tego opowiedzieć. Innym razem.

– No dobra – przystał Daniel.

Wypili jeszcze trzy piwa, wpełzli do przyczepy i zwalili się do łóżek.

Po jakichś dwóch tygodniach Daniel wrócił do tematu.

– Jak to było z tą twoją historią?

– Szkoda gadać – odparł Tom. – Skoro jednak jesteś taki cholernie ciekawy.

Zaczął opowiadać. Faktycznie historia była przykra, właściwie Daniel potrzebował aż trzech, a nawet czterech wieczorów, żeby ogarnąć całość. Gdyby nie to, że Tom był niepozbitym, ujaranym haszem bezmózgiem, Daniel może nie uwierzyłby w to, co usłyszał, ale nieprawdopodobne wydawało się, by jego kompan zmyślił tak chorą fabułę.

– Dwadzieścia lat temu? – zapytał.

– A który teraz mamy rok?

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty.

Tom przez chwilę liczył w głowie. – No to będzie dwadzieścia dwa lata – uznał wreszcie.

– A niech mnie. I nie planujesz wrócić?

– Nie sądzę – stwierdził Tom, po czym beknął.

Kilka tygodni później wśród śmieci pod zlewem w przyczepie Daniel znalazł płócienną torbę. Była wszerz i wzdłuż obwiązana niebieskim nylonowym sznurem. Po krótkich rozterkach postanowił sprawdzić jej zawartość.

Okazało się, że w środku znajdowały się paszport i dowód osobisty. Paszport wystawiły władze w Aarlach w roku 1972, a dowód urząd w Christchurch w Nowej Zelandii trzynaście lat później. Daniel popatrzył na zdjęcie wówczas szesnastoletniego Toma Leonarda Bendlera i doznał szoku.



Równie dobrze mogła to być jego fotka z czasów młodości.

Takie same włosy. Równie pociągły nos i identyczne usta. Taka sama wąska szczęka i butne spojrzenie bladych, blisko siebie osadzonych oczu.

Do licha – pomyślał Daniel Fremont/Lipkens, zanim jednak do końca sformułował tę myśl, w głowie pojawiła się już następna. Ta o przeznaczeniu. O tym, że być może nie wylądował na tej zapomnianej przez Boga farmie przez przypadek. Być może był w tym jakiś sens.

Głębszy sens, wskazówka co do tego, jak powinien naszkicować najbliższe lata swojego życia.

Czemu nie? Zabrał paszport i dowód, po czym obwiązał sznurem płócienną torbę i odłożył ją pod zlew. Jeszcze tego samego wieczoru zaczął opracowywać plan.

Krok pierwszy – trzeba nakłonić Toma, by opowiedział coś więcej. Wyciągnąć z niego szczegóły, przede wszystkim te dotyczące ostatniego wieczoru w Aarlach. Naturalnie nie było to proste, ale używając inteligencji i będąc cierpliwym można zajść daleko. Ta prawda do tej pory umykała mu w życiu, ale nadszedł czas, by wreszcie ją pojąć i wykorzystać.

Krok drugi – należało udać się na północ. Jeśli bowiem człowiek znajdzie się na południowym krańcu Południowej Wyspy w Nowej Zelandii, to nie bardzo może obrać inny kierunek niż północ.

Opuścił Ziemię Obiecaną i Queenstown w połowie sierpnia. Zostawił dwa kilogramy starych ciuchów i bielizny oraz imię i nazwisko. Nazwiska, dokładniej rzecz biorąc, zarówno Fremont, jak i Lipkens. Od tej pory nazywał się Tom Bandler, zaś w cienkiej saszetce zawieszzonej na szyi na skórzanym pasku miał paszport oraz dowód osobisty, które mogły to potwierdzić.

W ambasadzie w Wellington, gdzie dotarł po pięciu dniach, jakiś urzędnik wytłumaczył mu, że w tak krótkim czasie nie dadzą rady wyrobić

mu prawdziwego paszportu, ale będzie mógł dostać paszport tymczasowy ważny przez trzy miesiące. Jednak bez problemu będzie mógł wyrobić właściwy dokument po powrocie do kraju.

Tyle mogli mu zaoferować, kiedy powiedział im, że jego matka była konająca. Takie rozwiązanie mu odpowiadało.

Nowy paszport dostał już następnego dnia, zaś po tygodniu mógł – dzięki dochodom ze sprzedaży produktów z laboratorium doktora Rufusa Hotchkissa i dzięki zawartości amerykańskiego portfela znalezionej w równie amerykańskiej kieszeni – kupić bilet w jedną stronę z Auckland przez Singapur do Międzynarodowego Lotniska Sechshafen pod Maardam. Boginie losu uśmiechały się do niego niczym sprzedawcy dywanów z Uzbekistanu.

Kilka dni przed wylotem zadzwonił.

V

Maardam, rok 1995

– Bądź tak miły i wyjaśnij mi, jak to wszystko możliwe?

– Hm.

– To twoja odpowiedź? *Hm?*

Wpatrywała się w męża, starając się zachować spokój. Robert za to zupełnie nie wyglądał na spokojnego. Miała wrażenie, że żałował, iż jeszcze nie umarł. Absolutnie potrafiłaby to zrozumieć, choć bynajmniej nie podzielała jego życzenia. Zanim bowiem się stąd zawinie, musi wydusić z siebie prawdę.

No proszę, kolejna cholerna wizualizacja. Przypomniał się jej szum fal. Pas lądowania Śmierci. Wybieranie swoich wojen.

A tego wieczoru można było mówić o wojnie. Django stał na podłodze między nimi i skomlał niczym nieszczęśliwy mediator. Robert milczał, wiedziała, że przegra tę wojnę. Czy może już przegrał. Że kluczowa bitwa rozegrała się dwadzieścia dwa lata temu, ale dopiero teraz opadł dym i wszystko było widać jak na dłoni.

*Ona widziała wszystko jak na dłoni.*

Choć właściwie teraz akurat nic nie widziała, zalała ją krew. Pies podkulił ogon i w końcu wyszedł z pokoju, rezygnując ze swojej dyplomatycznej mediacyjnej misji. Judith bowiem rozmawiała ze swoim mężem tak, jak nigdy wcześniej. Była niczym... ogromna i głodna kocica konfrontująca się z bezbronnym szczurem, po którym w tej chwili zupełnie nie było widać podobieństwa do Humphreya Bogarta. Podobieństwa, które tak naprawdę nigdy nie istniało:

– Robert, wyjaśnij mi, do kurwy nędzy, jakim cudem oszust może wiedzieć, jak byłam ubrana tamtego wieczoru!

Robert nie odpowiadał.

– I skąd wie, co chciał zrobić Tom, zanim zadźgałam go na śmierć. Żądam odpowiedzi, teraz! Żadnych więcej *hm!*

– Uspokój się!

– Nie, nie mam zamiaru się uspokoić. Tylko dwie osoby znają te szczegóły. Obie siedzą teraz w tym pokoju i przez dwadzieścia dwa lata miały umowę. Jedna z nich się wygadała, a nie byłam to ja.

Robert się skrzywił. Jakby gdzieś w słabym ciele jego choroba nasłała na niego atak bólu. Albo jakby chciał symulować taki napad. Nie umiała ocenić, jak było naprawdę.

– Nie wygadałem się.

Zamilkła. Stary zegar ścienny zaczął wybijać siódmą, zaczęła aż wybrzmiały wszystkie uderzenia. Było widać, że Robert ma do powiedzenia coś jeszcze. Teraz oznajmi, że jest jeszcze jeden szkopuł – pomyślała. Dopadło ją niemile, lepkie uczucie *déjà vu*. Zacisnęła pięści i spróbowała je od siebie odegnąć, bez skutku.

– Jest pewna... jak to powiedzieć?

Dała mu chwilę na znalezienie właściwego słowa.

– Okoliczność.

– Okoliczność?

– Tak. Ja... obawiam się, Judith, że cię oszukałem, ale ja...

– Tak?

– Wydawało mi się, że dobrze robię, że tak będzie w porządku wobec każdego.

– Jak to wobec każdego, do cholery?

– Zarówno wobec ciebie, jak i wobec Toma.

Czekała. W głębi jej świadomości zaczęło majaczyć niewyraźne przeczucie.

– Tamtego wieczoru sprawy potoczyły się inaczej, niż mówiłem. Nigdy nie zakopałem Toma w lesie. On...

Przechucie w sekundę zmieniło się w szczątkową pewność.

– ... on nie umarł w samochodzie. Wciąż oddychał, żył. Nie mogłem tak po prostu... rozumiesz? Nie mogłem... go ot tak zabić.

Zamilkł. Judith sięgnęła po karafkę z wodą. Nalała sobie do szklanki. Zauważyła, że ręka jej drży. Uniosła szklankę i wypila dwa solidne łyki, rozlała kilka kropel na blat, ale zignorowała to. *Rozumiesz?*

– Mów dalej.

Robert patrzył na nią pustym wzrokiem.

– Pamiętasz Erica Shapiro?

– Twojego kolegę ze szkoły? Tego lekarza?

– Tak, pojechałem do niego do domu i... dogadaliśmy się.

– Tak. Zabraliśmy Toma do kliniki Erica i on uratował Tomowi życie. Nie dam rady opowiedzieć ci wszystkiego ze szczegółami, ale miesiąc później wsadziliśmy Toma do samolotu do Nowej Zelandii. Z biletem w jedną stronę do Auckland. Zgodził się na to rozwiązanie, dostał do kieszeni trochę pieniędzy i obiecał, że nigdy nie wróci. Przykro mi, ale tak było. Nie będę cię prosił o przebaczenie, bo wiem, że nigdy go nie uzyskam.

Chwilę myślała.

– Bo nie zasługujesz na nie.

– Bo na nie nie zasługuję. Jestem zmęczony, muszę iść się położyć. Jutro możesz mi powiedzieć, czy chcesz, żebym się stąd wyniósł.

– To na pewno nie mało kosztowało?

– Tak, nie mało.

– Czy Tom odzywał się, odkąd go odesłałeś?

– Nigdy.

– I nie przyszło wam – tobie i doktorowi Shapiro – do głowy, żeby i mnie wtajemniczyć w ten plan?

– Nie, ale on nie miał z tym nic wspólnego. To ja postanowiłem ci nie mówić. Jak wspominałem, uważałem, to za słuszne.

– Jakim cudem mogłeś uznać to za słuszne?

Robert pokręcił głową, wyglądał, jakby na serio umierał. – Nie wiem. To był błąd. Bardzo szybko okazało się, że za późno, by go naprawić. Przecież ubrudziłem się i opowiedziałem ci tę historię o tym, jak to go zakopałem. Przykro mi.

– Mam gdzieś, że ci przykro. Chcę to sobie przez noc przemyśleć. Wiedz tylko, że zrujnowałeś prawie wszystko.

– Wiem. – Robert wstał na trzęsących się nogach. – Uwierz mi, wiem.

Ona jednak jeszcze nie skończyła.

– Jeszcze jedno. Po pierwszej rozmowie twierdziłeś, że to wytwór mojej wyobraźni. Nie mogłeś chyba tak myśleć?

– Nie, chyba tak nie myślałem.

– Potrafisz kłamać.

– Całe życie obracałem się wśród aktorów.

Potem wyczłapał z pokoju. Z popiołów związku, który właśnie spłonął.

Było po północy, kiedy Judith kładła się spać w pokoju gościnnym. Cały wieczór siedziała na zabudowanej werandzie, spoglądając na mokry listopadowy ogród. Nie paliła światła, pozwoliła, by otoczyła ją ciemność, zaś z tej ciemności wyłoniła się swego rodzaju jasność. O dziwo. Powinna się wściec. Wszystkie ostatnie wydarzenia zachwiały całą jej egzystencję. Nie, to za mało powiedziane. One przedziurawiły jej życie.

Jednak dziury da się załatać, zaś cechą charakterystyczną dla ludzi jest to, że potrafią się przystosować do nowych warunków i to w sytuacjach, gdzie na przykład osioł czy kura nie dałyby sobie rady. To, co było, minęło. Robert wkrótce umrze, jej zostało nie wiadomo ile lat. Nie powinna ich marnować. Czy pozwolić komuś je ukraść.

Nieprawda?, zapytała samą siebie.

Prawda, odparła. Tak właśnie jest. To ja odgrywam główną rolę w swoim życiu.

Co zaś do pytania Roberta: Rozumiesz? – oczywiście, że rozumiała. Absolutnie można było zrozumieć, że tamtej nocy nie dał rady pogrzebać własnego syna. Niepojęte i niewybaczalne było to, że ją okłamał. Kłamstwa z czasem wcale się nie kurczą. Przeciwnie – rosną. Można patrzeć przez palce na czyny kogoś, kto przyznał się, co zrobił kilka dni, miesiąc, pół roku wcześniej. Ale dwadzieścia dwa lata? Wykluczone.

Nieprawda?, zapytała ponownie.

Oczywiście, przyznała sobie rację.

Wracając jednak do przyszłości. Precz z przeszłością. Co robić?

Powoli, niczym lód, który kładzie się na kanałach podczas pierwszej mroźnej nocy w listopadzie, niczym zmęczone godziny mroku zatrzymujące się przed świtem, tak i jej plan zaczął przybierać pewną postać. Kiedy w końcu nakrywała się kołdrą w pokoju gościnnym, nie gasząc lampy, bo przecież w ogóle jej nie zapalała, była bliska znalezienia rozwiązania. Jedyne.



Po około dziesięciu minutach spędzonych w samochodzie z Robertem Bendlerem, mężczyzną, który miał być jego ojcem, Daniel Fremont zaczął nieco modyfikować swój plan.

Wcześniej myślał o pokaźnej sumce – może stu tysiącach dolarów amerykańskich – za obietnicę, że nigdy już nie będzie ich nachodzić. Jednak ten staruszek był jedną nogą w grobie, na pewno nie zostało mu dużo czasu na tym łoż padole, od razu było to widać. Daniel zrozumiał, że prawdopodobnie da się zgarnąć więcej. O wiele więcej.

Dobrze rozegrał karty. Judith i Robert Bendlerowie byli bardzo dobrze sytuowani, co do tego nie miał wątpliwości. Może nie bardzo bogaci, ale jeśli to, co Tom opowiadał mu w przyczepie w Ziemi Obiecanej, było prawdą – a dlaczego miałyby nie być? – nie mieli więcej dzieci. Jeśli więc Daniel dobrze pojmował sytuację, w zasięgu ręki czekał spadek. Z pewnością całkiem pokaźny. Trzeba tylko poczekać, prawdopodobnie niezbyt długo, na dzień, kiedy Robert Bendler kopnie w kalendarz. Żona na pewno dostanie połowę, ale przecież druga połowa powinna, do cholery, trafić do syna? Który, tak się akurat składało, właśnie wrócił do kraju po latach spędzonych za granicą. Ileż to wyliczył ich jego współlokator z przyczepy? Dwadzieścia? Nieco więcej, o ile przypominał sobie Daniel.

Trudno powiedzieć, ile lat miał ten szurzy facet skurczony za kierownicą. Bez dwóch zdań jednak do zgarnięcia było więcej niż sto tysięcy. Prawdopodobnie dużo więcej.

Jeśli tylko dobrze to rozegra. W tym tkwił szkopuł. Był pewien, że udało mu się przekonać Judith Bendler, że był jej synem, choćby i tylko adoptowanym. Teraz musiał przekonać i tego lichego staruszka.

Nie powinno to stanowić większego problemu.

– Długo mnie nie było w Aarlach – zauważył.

– Chyba ze dwadzieścia dwa lata – odparł Robert.

– Haha, no tak. Tak czy inaczej, dobrze jest wrócić do domu.

– Zobaczymy – wymamrotal Robert. – Aarlach to dziura.

– Może i tak, ale tu dorastałem, więc to wyjątkowe miejsce.

– Chyba nie masz co się chwalić swoim okresem dorastania.

– Racja – przyznał Daniel. – Na swój sposób dobrze, że to ukróciście.

To znaczy, że wyjechałem do Nowej Zelandii.

– Wyszło, jak wyszło – odburknął Robert.

Nie wygląda na skorego do rozmowy – pomyślał Daniel. Mam nadzieję, że nie zaśnie za kółkiem. Albo nie wyzionie ducha.

Wjechali właśnie na autostradę, przed sobą mieli jeszcze dwie godziny jazdy. Czy powinien zaproponować, że przejmie kierownicę? Przez chwilę się nad tym zastanawiał, ale uznał, że najlepiej będzie odpuścić. Nie miał prawa jazdy. Wprawdzie w Australii kradł i prowadził samochody, gdyby jednak dorwała ich policja, miałby kłopot. Wprawdzie jego plan nie był jeszcze dopięty na ostatni guzik, ale wiedział, że akurat kłopotów należało unikać. Nawet merynos by to pojął.

Rozparł się na siedzeniu. Uznał, że skoro starowina nie chce gadać, to i on może siedzieć cicho. Pomyśleć, jaką taktykę obrać dziś i w przyszłości. Rozważyć, co zrobi z całą kasą, w posiadanie której wkrótce wejdzie. Kiedy już koleś umrze.

Może podróż dookoła Ziemi? Dom we wschodnich Indiach? W Las Vegas?

Przyjemne myśli. Można się było nimi delektować, szczególnie z zamkniętymi oczami. Równie dobrze mógł się zdrzemnąć. Jeśli staruszka najdzie ochota na pogaduszki, to go przecież obudzi.

Vegas, rozmarzył się. Zielony stół do ruletki, wokół piękne laski. Całe mnóstwo żetonów i gotówki w kieszeniach garniaka od Armaniego. W ręku drink, wąskie cygaro w gębie. Niech to...

Obudziły go słowa starego.

– Yyy... oczywiście – odparł, prostując się. – Co mówiłeś?

– Nic. Przysnąłeś. W każdym razie chrapałeś.

– Oj. Przepraszam. Gdzie jesteśmy?

Rozejrzał się. Wąska droga prowadziła przez pusty krajobraz. Żadnych zabudowań, tylko brzydki, wysoki las iglasty. To chyba nie mogła być droga do Aarlach?

– Pomyślałem, że zjedziemy na chwilę z trasy – powiedział Robert. – Chyba nie masz nic przeciwko?

– Zjedziemy? A po co? Dokąd?

– Do kamieniołomów w Kerran. Podobało ci się tu ostatnim razem.

– Aha, tak?

Czy powinien to pamiętać czy nie? Czy stary nie blefuje? Czy to test? Lepiej nie odpowiadać.

– Tak, miałeś najwyżej siedem, osiem lat. Może nie pamiętasz. Zrobiliśmy sobie wycieczkę. Ty, ja i mama.

– Tak? Nie kojarzę. Zobaczymy, kiedy dojedziemy. Daleko jeszcze?

– Raptem kilka minut. Kamieniołom już nie działa. Tak było już wtedy. Wielka dziura w ziemi, głęboka na pięćdziesiąt metrów. Taki jakby Wielki Kanion, kojarzysz?

– Jasne, to niedaleko Las Vegas.

Robert nie odpowiedział. Jechał dalej, lekko przygarbiony za kierownicą. Nagle krajobraz jakby się otworzył. Przed nimi widać było krater, wielki na jakieś sto metrów, z ziejącą głębią na środku. Dokładnie jak mówił stary, wielka pieprzona dziura.

– A niech to – powiedział Daniel. – Więc stąd wydobywano kamień.

– Zgadza się. Przez jakieś sto lat, aż przestało to być opłacalne.

Daniel pokiwał głową. Zbliżali się do kamieniołomu z dość dużą prędkością, wydawało mu się nawet, że stary przyspieszył zamiast zwolnić.

– Może nie podjeżdżaj za blisko. Mamy wyjść i tam zajrzeć?

– Nie, poszybujemy sobie trochę. Dobry pomysł, co?

W tej samej chwili, zanim Daniel zdołał pojąć, co się święci, znaleźli się jakieś dwadzieścia, piętnaście metrów od brzegu. Robert dociskał pedał gazu, żwir i kamyki leciały spod kół. Jego pasażer próbował chwycić kierownicę, ale na próżno. Niczym wystrzeleni z armaty sunęli prosto w pustkę.

– Nie jestem Tom! – zawołał Daniel. – Jestem kimś innym!

– Kimś innym? Teraz mówisz? – zdążył odpowiedzieć Robert, zanim uderzyli w ziemię przy akompaniamencie latających w powietrzu kamieni, odłamków szkła i metalu, płonącej benzyny i części ciała. Pas lądowania zwany Śmiercią.

Mnich nad morzem stał na swoim miejscu.

Zwrócony do nich plecami, może by uniknąć jej wzroku. Może morze, w które się wpatrywał, zagłuszało to, co mówiono w pokoju. Czy o tym myślała Maria, wybierając ten obraz?

Jak zwykle piły herbatę. Terapeutka skaleczyła sobie dłoń, więc Judith pomogła ją zaparzyć. Był piętnasty grudnia, ich pierwsze spotkanie po pogrzebie.

– Musisz się czuć okropnie. Twój mąż i twój syn marnotrawny... za jednym zamachem. Co takiego się stało?

– Myślę, że mogli się pojednać. Musiało chodzić o coś w tym stylu.

– Pojednać? Jak to pojednać?

Judith wpatrywała się w mnicha. – Nie wiem. Nie wiedziałam nawet, że pojechali gdzieś samochodem.

– Ale to twój mąż prowadził?

– Tak. Niewiele zostało, ani z samochodu, ani z ciał... Ale owszem, to udało się ustalić.

– I w ogóle nie było śladów hamowania... przepraszam, po prostu czytam gazety.

Judith napiła się herbaty. – Nie, on musiał to zrobić celowo.

– Odebrał życie sobie i swojemu synowi na raz?

– Najwidoczniej.

– Chcesz o tym porozmawiać? Możemy to przeanalizować, jeśli chcesz.

Pokręciła głową. – Nie, nie chcę tego analizować. Chcę... myślę, że chcę przez to przebrnąć i iść dalej.

– To dobrze. To ważne, że patrzysz przed siebie.

– Dziękuję, w każdym razie próbuję.

– Sypiasz w nocy?

– Tak sobie.

– Jesz, ile trzeba?

– Nie dużo, ale wystarczająco.

– Dobrze. W ostatnim czasie przeszłaś bardzo dużo. To ważne, żebyś umiała się skupić na tym, co zwykłe i codzienne. I żebyś odpoczywała. Chcesz, bym to ja zadała kilka pytań, czy sama wolisz kontrolować przebieg rozmowy.

Terapeutka posłała jej swój delikatny uśmiech.

– Możesz śmiało pytać.

– Dobrze więc. Co jest dla ciebie ważniejsze: to, że Robert nie żyje czy to, że Tom się pojawił i znów zniknął? Jeśli potrafisz oddzielić od siebie te sprawy.

Judith chwilę się zastanawiała.

– Tak na dłuższą metę to, że Roberta już nie ma.

– Tak.

– Mimo że wiedzieliśmy, że jest umierający. Kiedy próbuję myśleć o Tomie, mam mętlik w głowie... Gdy się pojawił, sądziłam, że to oszust. Byłam pewna, że Tom nie żyje. A on nagle... faktycznie ginie. Czasami mam wrażenie, jakby to wszystko był sen. A...

– Tak?

– A ja właściwie nie wiem, co się stało... To trudne. Dlaczego Robert zrobił to, co zrobił? Nigdy nie poznam odpowiedzi.

Maria pokiwała głową.

- Zapewne nie. Ale pytasz się o to bez przerwy?
  - Mniej więcej.
  - Nie minął jeszcze miesiąc. Jest jednak pewna stara metoda na pytania, które nie mają odpowiedzi.
  - Metoda?
  - Tak. Przestać je zadawać.
- Kolejny raz się uśmiechnęła. Judith wypila łyk herbaty. Zamyśliła się.
- Nad czym się zastanawiasz?
  - Nad tym, że Robert nigdy nie zgodził się, by uznać go za martwego. Miał rację. I oto po dwudziestu dwóch latach Tom wrócił do domu i ...
- ... został uznany za martwego – dokończyła terapeutka. – Wiesz co, w tym pokoju przeprowadzono wiele rozmów, od czterdziestu lat wysłuchuję w nim opowieści ludzi, ale twoja historia jest ponad inne. Cieszę się, że tak dobrze się trzymasz.
  - Mam bardzo mądrą terapeutkę. To wiele ułatwia.
  - Dziękuję. Planujesz nadal mieszkać w tym domu?
  - Tak myślę.
  - Nie podejmuj decyzji w pośpiechu. Jak się czuje pies?
  - Jest stary, ale mam nadzieję, że został mu z rok lub dwa.
  - Wspaniale. A co z Bożym Narodzeniem?
  - Dostałam kilka zaproszeń, ale chyba zostanę w domu.
  - Nie boisz się samotności?
  - Nie. Muszę zresztą zrobić redakcję grubego dzieła.
  - No tak. Co to było? Erazm?
  - Tak.
  - No dobrze. Ja wyjeżdżam na święta, ale wrócę po Nowym Roku. Może umówimy się na początek stycznia?

Judith kolejny raz popatrzyła na mnicha. Jego tajemniczą postać i całkowity spokój.

– Dziękuję, ale może powinniśmy zrobić sobie przerwę. Nie obraź się, ale chcę sprawdzić, co się stanie, jeśli spróbuję sobie radzić sama.

Maria zmarszczyła czoło, ale zdziwienie natychmiast zniknęło z jej twarzy.

– Moja droga, to znakomita sugestia. Ale obiecaj mi, że odezwiesz się do mnie, gdy poczujesz, że potrzeba ci herbaty.

– Obiecuję – zapewniła ją Judith.



# VI

Wanaka, Nowa Zelandia, rok 1996

Ośrodek odwyku leżał na zboczu z widokiem na Roys Bay. Dla niego był to trzeci.

Dwa pierwsze znajdowały się na Wyspie Północnej, jeden na przedmieściach Auckland, drugi w Hastings. W żadnym mu się nie udało, z jednego zwiął, z drugiego go wywalili. To jednak było dawno, co najmniej dziesięć lat przed tym, jak trafił do Queenstown.

Dom nazywał się Opieka nad bratem i siostrą, chyba wzięli to z Biblii. A trafił do niego, ponieważ spotkał anioła. Nazywała się Norah. Pewnego ranka, kiedy otworzył oczy w szpitalu w Queenstown, ona siedziała przy jego łóżku. Najpierw pomyślał, że umarł i że przez jakąś pomyłkę w księgach trafił do nieba, ale wtedy zaczęła go męczyć zgaga i zrozumiał, że wciąż żyje. Bo cokolwiek by człowieka nękało tam na górze, u Pana, to na pewno nie zgaga.

Nie bardzo wiedział, jak znalazł się w szpitalu. Nic nie pamiętał, ale pewnie ktoś znalazł go w rowie w pobliżu Ziemi Obiecanej. Kiedy powoli odzyskał świadomość, jakiś brodaty lekarz poinformował go, że jeśli natychmiast nie odstawi narkotyków i alkoholu, to za pół roku umrze.

W takiej sytuacji na pewno nie trafi do aniołów. Brodaty doktor mu o tym nie wspominał, ale on sam doszedł to takiego wniosku.

I tak pewnego dnia – po tym, jak spędził w ośrodku kilka tygodni, gdzie zajęto się nim i przeprowadzono detoks, tak że wkrótce miał być wypisany – pojawiła się ona. Anioł Norah Perkins. Miała około dwudziestu lat, lekko kręcone blond włosy i cerę jak z porcelany. A oczy niebieskie jak lawenda.

Pierwsze, co powiedziała, kiedy już otworzyła swoje czerwone jak róża usta to:

– Przyszłam tu, by pomóc ci odnaleźć wąską drogę. Już zbyt długo szedłeś tą szeroką.

Próbował odpowiedzieć, ale z gardła dobyło się tylko żalosne rżenie. Podała mu szklankę wody. Jej palce musnęły jego. Omal nie zemdlął, ale jakoś wziął się w garść.

– W Wanaka mamy dom. Wysłano mnie stamtąd, bym cię przywiozła.

Wypił solidny łyk wody i powiedział.

– Jestem złym człowiekiem.

Uśmiechnęła się. – Przez wiarę staniesz się lepszym. To jednak twój wybór, czy zechcesz ze mną pójść czy nie.

Chwilę się zastanawiał.

– Pójdę z tobą.

– Alleluja – powiedział anioł.

To było w lutym. Teraz nastał wrzesień. Przebywał w ośrodku od ponad pół roku i można śmiało powiedzieć, że stał się innym człowiekiem. Lepszym. Wrażliwym i wierzącym.

Wolnym od narkotyków. Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat. To Norah Perkins przywróciła go do życia, tak jak obiecała. Teraz zrozumiał, że gdyby była otyłą sześćdziesięcioletką z jedną nogą krótszą i brodawką pod okiem, a nie taką uroczą istotą, to pewnie nigdy nie przyjechałby do Wanaka. Jednak niezbadane są wyroki Pana i choć zakochał się w niej, kiedy tylko ją ujrzał, to nie próbował jej zdobyć. Była boskim stworzeniem, a z aniołami się nie flirtuje.

Ośrodek traktował jak dom. Pomyślał, że dla niego to pierwszy dom w życiu. Na spotkaniach grupy, które odbywały się trzy razy w tygodniu, opowiedział swoją historię. Szczerze, ze skruchą, wszystko, co pamiętał.

Inni kuracjusze opowiadali swoje, jedną gorszą od drugiej, ale dzięki temu szło się dalej. Na wąskiej drodze nie ma bowiem skrótów. Jeśli nie otworzy się serca, to nie uzyska się przebaczenia i człowiek nie narodzi się na nowo.

Czuł, że chciałby zostać na tym zielonym zboczu przy Roys Bay przez resztę życia, ale nie mógł. Musiał wyruszyć w świat, może by nieść dobrą nowinę. Pewnego wieczoru odbył rozmowę z Norah o tym, co z nim będzie i czym się zajmie.

I o tym, dokąd pójdzie. Dobrze znała jego życiorys – poza historią o ciosie nożem, o której ze względu na dobro wszystkich zaangażowanych nie wspomniał – i to właśnie ona wyszła z następującą propozycją:

– A co byś powiedział na powrót?

– Nie wiem – odparł szczerze. – Sądzę jednak, że jest tylko jeden sposób, by się przekonać.

– Idź za głosem serca – pouczyła go Norah. – Bo w twoim sercu mieszka Bóg, a on nie popełnia błędów.

Pokiwał głową. Podjął decyzję.

– Najpierw jednak powinieneś się odezwać i sprawdzić, jak tam wygląda sytuacja – zauważyła Norah, która czasami brzmiała mniej anielsko niż zwykle.

– A pomożesz mi znaleźć właściwy numer? – poprosił. – To znaczy, jeśli będę mógł skorzystać z telefonu.

Przytaknęła. To nie był problem. W ośrodku Opieka nad bratem i siostrą nie istniały bowiem problemy.

Zadzwoił pewnego przedpołudnia w połowie września, nie myśląc o różnicy czasu. W słuchawce nieco zaszumiało, kiedy odpowiedziała. Jakby fale uderzały o kamienisty brzeg.

– Halo.

– Judith Bendler?

– Tak.

– Tu Tom.

# Rein

Śmierć autora

I

Miałem dwa powody, by wybrać się do A., może nawet trzy. A ponieważ moim celem jest opowiedzieć całą historię jak najdokładniej, właśnie taki punkt wyjścia sobie obrałem – podróż do A.

Kiedy spoglądam na te jeszcze niespisane wątki, widzę, że istnieje duże ryzyko, że niektóre sprawy gdzieś umkną, zatra się, że nie uda mi się precyzyjnie przedstawić wszystkich zdarzeń i powiązań. W takich sytuacjach dobrze jest skorzystać z układu chronologicznego, który tak czy inaczej ma się na podorędziu. Wierzę, że udało mi się uniknąć pokusy nadmiernego cofnięcia się w czasie.

Bo kto może stwierdzić, kiedy coś się właściwie zaczyna?

No kto?

Otóż pierwszym powodem był ten koncert radiowy. Koncert skrzypcowy Beethovena. Jak wiadomo jest to koncert w tonacji D-dur, podobno skomponowany w roku 1806 dla skrzypka Franza Clementa. Mówi się, że Beethoven uznał utwór za takie arcydzieło, że już nigdy nie zaprzętał sobie głowy tworzeniem kolejnej kompozycji w tym gatunku. Niedościgniona jakość, innymi słowy.

Wierny swojemu zwyczajowi, rozłożyłem się na sofie z nogami owiniętymi w dwa koce. W wygodnej odległości ode mnie ustawiłem kieliszek porto, któremu towarzyszyła miseczka orzeszków i pojedyncza świeca. Pamiętam, że uderzyło mnie, że rzucana przez nią rozdygotana smuga światła na swój sposób symbolizuje dystans między mną i muzyką.



Tę nieprzeniknioną sferę, tę niejasną, ale bezsprzeczną granicę między *ja* a *to*. Na zewnątrz deszcz z uporem dudnił w szyby, była już połowa listopada i pogoda jak zazwyczaj o tej porze roku. Ciemno, mokro i melancholijnie. Porywisty wiatr szalał na ulicach i uliczkach, a temperatura w ostatnich tygodniach oscylowała między zerem a kilkoma stopniami na plusie. Najwyżej.

Transmisja zaczęła się kilka minut po dwudziestej. Szybko popadłem w stan, który łączy w sobie koncentrację i relaks, a który jest jakże charakterystyczny, może wręcz unikalny dla przeżyć muzycznych. Być może przysnąłem na kilka minut, ale jestem pewien, że nie uroniłem ani tonu z wyśmienitej gry Corrado Blanchettiego.

Kasłanie rozległo się na sam koniec, dokładnie w najcichszej partii ronda i wprawiło mnie w stan szoku. Chwilę rozmyślałem nad samym dźwiękiem, a następnie nad moją reakcją na niego i utwierdziłem się w przekonaniu, że w obu przypadkach mogę mówić o niemal stuprocentowej pewności. To było niczym rażenie prądem. Przeżycie elektryczno-emocjonalne. Szok nie mijał dłuższą chwilę: oniemiały wsłuchiwałem się w końcowe akordy koncertu, potem w następujące po nich oklaski i w głos spikera, który oznajmił, że oto mieliśmy przyjemność delectować się koncertem skrzypcowym Beethovena w wykonaniu orkiestry radiowej w A. Solistą był Corrado Blanchetti, zaś nagranie wykonano czwartego maja tego roku.

Nie zaprzeczę, że od pierwszej chwili dręczyła mnie pewna wątpliwość natury, że tak powiem, intelektualnej. Żadną miarą nie mogłem wykluczyć, że po prostu źle usłyszałem. Że się pomyliłem. Doprawdy długo krytycznie analizowałem, wręcz diagnozowałem to trwające sekundę doznanie słuchowe. Nie jestem typem człowieka, który lubi podejmować decyzje

w pośpiechu, jednak w głębi duszy, w jej najskrytszych zakamarkach, wiedziałem, że zmysły mnie nie zawiodły.

To była ona. To Ewa zakasłała. Gdzieś tam wśród publiczności na koncercie nagrany ponad pół roku temu siedziała moja zaginiona żona, a przez drapanie w gardle, którego ewidentnie nie udało się jej powstrzymać, po raz pierwszy od trzech lat dała mi oznakę życia.

Kaszlnięcie z A. Półtorej minuty przed końcem koncertu skrzypcowego Beethovena D-dur. Naturalnie może się wydać dziwne, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć, jednak, kiedy wezmę pod uwagę całą resztę, jak choćby zmartwienia, jakie nękały mnie przed tym, jak i po tym, nie było to znowu takie niesamowite.

Ponad tydzień – dokładniej rzecz ujmując dziewięć dni – zajęło mi zdobycie nagrania z radia (mój magnetofon nie był niestety włączony podczas transmisji, ponieważ zapomniałem kupić nową kasetę). O ile przez ten czas zaczęły we mnie kiełkować wątpliwości, o tyle ponowny odsłuch rozwiązał je całkowicie. Cztery, pięć razy przewijałem ten fragment i za każdym razem najpierw starałem się uspokoić, a potem całkowicie skupić na dźwięku.

Rzecz jasna nie potrafię tego opisać. Bo czy w ogóle kaszlnięcie da się ubrać w słowa? Niesamowite, jak mała część naszej rzeczywistości i naszego jej doznawania mieści się w obrębie języka. Podczas gdy całkowicie możliwe jest dla mnie, by za pomocą jednego bodźca dźwiękowego wychwycić nutę charakterystyczną dla kaszlu konkretnej osoby – jednej spośród milionów – to jednak brak mi choćby jednego adekwatnego słowa, by opisać ten dźwięk. Podejrzewam, że zadowalające sformułowanie cech dystynktywnych dałoby się wypracować za pomocą spektrogramów i tym podobnych zdobyczy techniki, jeśli jednak o mnie chodzi, to od początku ten akurat aspekt był nieistotny.

Bo to Ewa zakasłała. Czwartego maja była w A. na koncercie skrzypcowym Beethovena. Wiedziałem od razu, kiedy tylko usłyszałem, a i po ponownym puszczeniu nagrania byłem równie pewny.

Żyła więc. Żyła. W każdym razie sześć miesięcy temu.

A to, jak już mówiłem, mnie zszokowało.

Kolejny powód wyjazdu do A. pojawił się dwa tygodnie po koncercie. Wczesnie rano zadzwonił Arnold Kerr, wydawca, i poinformował mnie, że Rein nie żyje, a właśnie dostali jego ostatni manuskrypt.

Był to komunikat zarówno zastanawiający, jak i nieco sprzeczny wewnątrznie. Tego samego dnia spotkaliśmy się więc na lunch, by przedyskutować sprawę. – Cóż, Rein nie żyje – oznajmił Kerr, od niechcienia dziobiąc widelcem swoją porcję fettucini. Okoliczności śmierci nie były znane, ale powiedzmy sobie szczerze, ostatnimi laty nie cieszył się zdrowiem, więc na swój sposób ta wiadomość nas nie zaskoczyła. Naturalnie dopytywałem o szczegóły, ale Kerr odpowiadał jedynie wzruszeniem ramion, szybko okazało się więc, że i on nie za bardzo wie, co się wydarzyło. Po prostu ktoś powiadomił go telefonicznie. To Zimmermann z A. zadzwonił poprzedniego wieczoru i przekazał tę nowinę. Kerr uznał, że dokładniejsze informacje zostaną podane w komunikacie prasowym, ale najwidoczniej wyjątkowo długo zwlekano z opublikowaniem go, choć ponoć powinni go puścić przed wieczorem. Bądź co bądź Rein był znany, zarówno w kraju, jak i w innych częściach cywilizowanego świata.

Jego dzieła uważano za literaturę trudną, dla koneserów, ale jednak był ceniony i miał swoich czytelników. I tłumaczony na dziesiątki języków. To właśnie w tym miejscu ja wkraczałem do gry. Wcześniejsze teksty Reina – *Następstwa Czandali* oraz eseje – na nasz język przełożył Henry Darke, ale począwszy od *Ciszy Kroulla* ja przejąłem od niego pałeczkę. Choroba

Darkego położyła kres jego karierze tłumacza, zresztą – o ile zrozumiałem z rozmów z nim – nigdy nie był on do końca zadowolony ani ze swoich przekładów, ani z relacji z samym Reinem. Podczas jednego z naszych ostatnich spotkań – a miało ono miejsce zaledwie kilka miesięcy przed jego śmiercią – Darke przyznał, że Rein wzbudzał w nim niechęć. Ja sam jeszcze wówczas nie miałem okazji poznać Reina osobiście, uznałem więc, że to nieco dziwne. Z biegiem lat jednak coraz bardziej rozumiałem odczucia Darkego i, nie zaprzeczę, sam zacząłem je podzielać. Wprawdzie nie spotkałem Reina więcej niż cztery, pięć razy, ale bez wątpienia było w nim coś trudnego do zaakceptowania. Nigdy nie udało mi się dokładnie ustalić, skąd się brało to wrażenie, ale dawało ono o sobie znać.

Wróćmy jednak do tego dnia, kiedy wraz z Kerrem siedziałem w knajpie Klasztorna piwnica, zastanawiając się, dlaczego jeszcze ani słowem nie wspomniano o zgonie Reina, ani w prasie, ani w radiu czy telewizji. Mimo że minęła już cała doba.

– A o co chodzi z tym manuskryptem? – zapytałem.

Kerr pochylił się i zaczął grzebać w swojej teczce, która stała na podłodze, oparta o nogę stołu.

– Właśnie to jest cholernie dziwne – odparł, nerwowo wycierając serwetką kąciki ust.

Kerr odpiął gumowe tasiemki i otworzył teczkę. Wyjął kartkę leżącą na wierzchu pliku i podał mi ją. Była zapisana odręcznie, czarnym atramentem, zamaszystym charakterem pisma. Rozpoznałem go od razu.

—

A. 17.11.199-

*Ślę Ci mój ostatni manuskrypt do przetłumaczenia i opublikowania. Zabraniam Ci kategorycznie kontaktować się z moim wydawcą i innymi. Książka absolutnie nie może się ukazać w moim języku ojczystym. Sprawa wymaga największej dyskrecji.*

*Wyrazy szacunku*

*Germund Rein*

*PS: To jedyna kopia. Zakładam, że mogę na Tobie polegać.*

Popatrzyłem na Kerra.

– Co to ma, u licha, znaczyć?

Rozłożył ręce.

– Nie wiem.

Dodał, że paczka doszła dzień wcześniej, po południu, i że wielokrotnie starał się skontaktować telefonicznie z Reinem. Oczywisty kres jego próbom – jak to sam ujął – położyła przekazana przez Zimmermanna wiadomość o śmierci Reina.

Po tych wyjaśnieniach siedzieliśmy przez chwilę w ciszy, skupiając się na jedzeniu. Pamiętam, że trudno mi było oderwać wzrok od żółtej teczki, którą Kerr położył na stole, na prawo od siebie. Naturalnie czułem ciekawość, ale też pewien niesmak. Moje ostatnie spotkanie z Reinem miało miejsce pół roku wcześniej, kiedy ukazała się jego ostatnia książka w moim tłumaczeniu. *Czerwone siostry*. Dosłownie przez chwilę rozmawialiśmy wtedy w wydawnictwie. Jak zwykle był zamknięty w sobie, na swój sposób wręcz autystyczny, mimo że w każdym, najmniejszym szczególe przestrzegaliśmy jego wytycznych dotyczących konferencji prasowych. Wznieśliśmy toast szampanem i sherry, Amundsen wyraził swoje nadzieje co do sukcesu książki, a Rein po prostu siedział w rozpadającej się ze starości sztruksowej marynarce z miną świadczącą o tym, że jedyne, co czuł, to pogarda. Szara, obojętna, znudzona pogarda, której absolutnie nie starał się ukryć.

Cóż, skłamałbym, twierdząc, że żywiłem jakąś sympatię wobec Germunda Reina.

– I? – powiedziałem w końcu.

Kerr skończył gryźć, przełknął ostentacyjnie i dopiero wtedy podniósł wzrok i spojrzał na mnie tymi bladymi oczami wydawcy. Jednocześnie

odłożył sztućce i zaczął bębnić palcami w żółtą teczkę.

– Rozmawiałem z Amundsenem.

Pokiwałem głową. No tak. Amundsen był szefem wydawnictwa i to on odpowiadał za wszystko.

– Jesteśmy zgodni.

Czekałem. Kerr przestał bębnić. Splótł za to palce i popatrzył przez okno na Karlplatsen, tramwaje i hordy gołębi. Zrozumiałem, że tym prostym sposobem stara się zbudować napięcie, na jakie ta chwila zasługiwała. Kerr nie był osobą, która darowałaby sobie wywarcie takiego efektu.

– Tekst jest twój. Chcemy, żebyś zaczął od razu.

Nie odpowiedziałem.

– Jeśli w tej książce odniesień jest tyle, co w poprzedniej, to lepiej, żebyś zrobił to w A. Bo chyba nic nie trzyma cię w domu, o ile wiem?

Było to jak najbardziej trafne stwierdzenie. Od trzech lat w domu nie trzymało mnie nic poza moją, pozał się Boże, pracą oraz zgnuszeniem, a Kerr wiedział o tym bardzo dobrze. Mimo wszystko nie mogłem się zgodzić ot tak. Chyba miałem ochotę potrzymać ich kilka godzin w niepewności, poprosiłem więc o czas do namysłu. Przynajmniej kilka dni, albo do momentu, kiedy szczegóły śmierci Reina zostaną wyjaśnione. Kerr przystał na mój warunek, jednak kiedy potem się rozstawaliśmy przed restauracją, widziałem, jak zaczyna w nim narastać wcześniej tłumione podniecenie.

Nic w tym dziwnego. Wracając do domu w okrutnej zawiei, rozważałem za i przeciw i starałem się nieco dokładniej określić sytuację. Jeśli prawdą było to, co Rein napisał w liście, chodziło o nieprzeczytany przez nikogo manuskrypt. Nieprzeczytany i nieznany. Nietrudno było sobie wyobrazić, jaką sensację w kręgach wydawniczych oraz wśród ogółu czytelników

wzbudziłoby opublikowanie go! Czemu nie w pierwszą rocznicę śmierci autora?

Bez względu na treść, książka na pewno dość szybko wskoczy do czołówki bestsellerów, dzięki czemu wydawnictwo będzie mogło zarobić, ponieważ – co nie było tajemnicą – cienko przędło ostatnimi laty.

Naturalnie warunek był taki, że dotrzymana zostanie tajemnica. W tak wczesnym stadium trudno było powiedzieć, jak dokładnie przedstawiała się ta kwestia, jednak Kerr miał nadzieję, że o istnieniu manuskryptu wiedzą zaledwie cztery osoby. Kerr, Amundsen, ja i Rein.

A wyglądało na to, że Rein nie żyje.

Kiedy siedzieliśmy w Klasztornej piwnicy, nie poprosiłem ani razu, by Kerr pozwolił mi zajrzeć do teczki, a on sam też tego nie zaproponował. Dopóki nie odpowiem twierdząco, miałem tkwić w niewiedzy na temat treści. Z niemal rytualnym namaszczeniem Kerr zapiął z powrotem gumowe troczki i schował teczkę. Później zaś, w szatni, kiedy już włożyliśmy kurtki, szczelnie zamknął neseser, okręcając sobie wokół nadgarstka łańcuch przymocowany do uchwytu. Zrozumiałem, że traktuje sprawę śmiertelnie poważnie. Domyśliłem się też, że zarówno on, jak i Amundsen zastosowali się do żądań Reina i nie zrobili kopii tekstu. To, co właśnie opowiedziałem, działo się w czwartek tuż przed adwentem. I już następnego dnia, gdy poszedłem do pracy, choć sam niczego jeszcze nie postanowiłem, decyzja zapadła w pewnym sensie poza mną.

Otóż powitały mnie ponure gęby Schinklera i Vejmanena, od razu więc zrozumiałem, co się stało. Odrzucono nasz wniosek o dofinansowanie projektu.

Zapytałem na wszelki wypadek, a moje przekonanie potwierdził Vejmanen, puszczając wiązkę przekleństw. Schinkler, z wyrazem totalnej

rezygnacji na twarzy, wymachiwał przy tym listem z Ministerstwa Edukacji, który otrzymaliśmy pół godziny wcześniej.

Wszyscy trzej mieliśmy pełną jasność sytuacji. Mimo że nie było czasu, by przedyskutować sprawę, wiedzieliśmy, co ta odmowa dla nas oznacza.

Cięcia. Było nas trzech, a środki wystarczały na projekt dwuosobowy.

Pełen etat dla jednego z nas, po pół dla dwóch. Albo pełen etat dla dwóch i pozbycie się trzeciego.

Schinkler był najstarszy w ekipie. Vejmanen miał żonę i dzieci. Kiedy teraz patrzę na to z perspektywy, widzę, że tak czy inaczej nie miałem wyboru.

– Ja chyba mogę się załapać na stypendium dla tłumaczy – powiedziałem.

Vejmanen wbił wzrok w ziemię i nerwowo podrapał się po rękach.

– Na jak długo? – zapytał Schinkler.

Wzruszyłem ramionami.

– Chyba pół roku.

– Tak zrobmy – powiedział Schinkler. – Do przyszłej jesieni zdobędziemy skądś pieniądze.

Na tym stanęło. Przedpołudnie poświęciłem na sprzątnięcie swojego biurka oraz wypicie mojej części butelki whisky, po którą Vejmanen wyskoczył do sklepu po drugiej stronie ulicy. Kiedy wróciłem do domu, zadzwoniłem do Kerra z pytaniem, czy wie już coś więcej o śmierci Reina.

Nie wiedział. Oznajmiłem mu, że mimo wszystko mogę się podjąć zadania.

– Świetnie – odparł Kerr. – To na pewno wyjdzie ci na dobre.

– Pod warunkiem, że pokryjecie koszty moich przenosin do A. na pół roku.



– Sami chcieliśmy ci to zaproponować. Możesz chyba mieszkać w Domu Tłumacza?

– Chyba tak. – Ponieważ w skroniach czułem pulsowanie po wypiciu whisky, zakończyłem rozmowę. Postanowiłem uciąć sobie popołudniową drzemkę. Był dwudziesty trzeci listopada, a ja przed zaśnięciem zastanawiałem się, jak to życie potrafi nagle skrócić na zupełnie inny tor.

Ta myśl pojawiła się już wcześniej, jednak przez ostatnie lata leżała w mojej głowie odłogiem. Czy towarzyszyła mi w świecie snów? Nie mam pojęcia. W każdym razie nie pamiętam. Z reguły rzadko kiedy udaje mi się sobie przypomnieć, co mi się śniło, a jeśli już mi się to uda, prawie zawsze maćci to mój nastrój.

Na pewno bowiem zapomnienie jest bardziej lojalnym sojusznikiem niż pamięć. Nauczyło mnie tego życie.

Trzeciego stycznia było przeraźliwie zimno. Temperatura wyniosła minus piętnaście stopni, a na płycie lotniska wiał mocny, porywisty wiatr północny, z powodu którego większość odlotów była o kilka godzin opóźniona. Spędziłem kilka godzin w kawiarni w oczekiwaniu na lot, miałem więc sporo czasu na rozmyślenia nad tym, czego się właściwie podjąłem.

Być może nie było nic szczególnego w tym, że dopadło mnie to towarzyszące mi od dawna poczucie wymienności. To wrażenie, że wszyscy siedzący wokół mnie oraz ci niecierpliwie kręcący się po sklepach bezcłowych – wszyscy wyrwani ze swojego tła codziennego – w zasadzie mogliby ot tak wymienić się miejscem i tożsamością. Że wystarczyłoby, byśmy rzucili na stos nasze paszporty i dokumenty i, zdając się na przypadek, który mógłby przybrać postać znudzonego, anonimowego strażnika lotniskowego, wybralibyśmy sobie nowe życie. Sprawiedliwie, na chybił trafił, bez żadnych preferencji czy emocji.

Próbowałem czytać. Nie manuskrypt Reina (poprzedniego wieczoru Amundsen oraz Kerr przekazali mi go, czyniąc z tego niemal uroczystą ceremonię), z zabieraniem się za niego postanowiłem bowiem poczekać na lepszą okazję. Nie, na lotnisku, nie bardzo mogąc się skoncentrować, przeglądałem kilka wątpliwej jakości kryminałów, które nabyłem na poświętej wyprzedaży. Żaden z nich jednak nie przykuł mojej uwagi na tyle, bym chciał zagłębić się w opisywaną w nim intrygę.

W związku z tym – jak już wspomniałem – siedziałem, rozmyślając. O Ewie, rzecz jasna, oraz o tym, jak zaplanować poszukiwanie jej w A.: czy zabrać się za to na własną rękę, czy może rozsądniej byłoby skontaktować się z jakimś prywatnym detektywem. W tamtym momencie skłaniałem się ku następującemu rozwiązaniu: zacznę sam, zaś stopniowo, jeśli zajdzie taka potrzeba, będę szukał pomocy.

Chyba nawet nie łudziłem się, że potrzeba mogłaby nie zajść.

Najwięcej rozważań poświęciłem jednak Reinowi. Trudno było o nim nie myśleć, choć bynajmniej nie miałem ochoty na to, by każdego dnia, w każdej chwili wałkować w głowie temat jego cholernej śmierci. Przez jakiś czas tak robiłem, bo w końcu w tej kwestii było wiele znaków zapytania, które nie znikną, dopóki ludzie nie zobaczą jego ciała.

Jeśli ono w ogóle jeszcze kiedyś ujrzy światło dzienne. O śmierci Reina powiadomiono publicznie dopiero cztery dni po tym, jak Zimmermann zadzwonił do Kerra. O ile zrozumieliśmy, wynikało to z faktu, że wdowa po pisarzu nie wierzyła w autentyczność listu samobójczego. Domagała się licznych analiz oraz dochodzenia. Wszyscy czekali na jej zgodę, by można było napisać o tym w prasie. Dopiero gdy znaleziono porzuconą motorówkę i gdy wszystkie inne przesłanki zaczęły jednoznacznie wskazywać na to samo, wdowa uległa i wiadomość mogła pójść w świat.

Miejsce, które wybrał – czy, dokładniej mówiąc, domniemane miejsce – było dość atrakcyjne, bo o tej porze roku oszczędzały je zarówno wiatry i podwodne wiry. Wiele wskazywało zatem na to, że ciało zostało poniesione do morza. O ile prawdą było też to, że miał na sobie balast, to najprawdopodobniej doczesne szczątki wielkiego neomistyka Reina w chwili obecnej znajdowały się gdzieś na głębokości od trzystu do pięciuset metrów. Jakieś dwadzieścia, trzydzieści kilometrów od brzegu, jeśli pokusić się o ostrożne przypuszczenie, jakie C.G. Gautienne oraz

Harald Weissvogel opublikowali w „den Poost”, gazecie, która zadała sobie więcej trudu niż inne, by określić prawdopodobne położenie ciała.

Na swój sposób wszystko to było typowe dla Germunda Reina, mogłem więc bez problemu wyobrazić sobie, że sam zainteresowany leży sobie teraz w głębi morza z tym swoim pogardliwym uśmiechem na ustach, a ryby obgryzają jego wątłe ciało starca.

Był zbyt wyszukany, by pozwolić na to, żeby zwykli śmiertelnicy zakopali go w ziemi, jak to się zazwyczaj robi. Nietykalny aż do końca.

Jak najbardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że tego typu myśli bynajmniej nie stanowią dobrego gruntu pod zadanie, jakie czekało mnie w A. Jeśli bowiem jest coś, co może wyrzucić do góry nogami pracę tłumacza, to jest to poczucie niechęci i wrogości wobec autora.

Jednakże jeszcze nie zacząłem przekładu, może więc dobrze było najpierw wyzbyć się wszelkiej agresji.

To przynajmniej próbowałem sobie wmówić.

Mój samolot wystartował o dwudziestej drugiej, z równo sześciogodzinnym opóźnieniem, i kiedy po niezbyt spokojnym locie wylądowaliśmy na S-haufen na przedmieściach A., było już dobrze po północy. Linie lotnicze zaoferowały wszystkim podróżnym nocleg w hotelu przy lotnisku, którą to propozycję, jak większość współpasażerów, przyjąłem, tak więc dopiero w południe czwartego stycznia, wysiadłem z pociągu na stacji głównej w A. Sam nie wiem, dlaczego zajmuję miejsce tymi nieistotnymi datami, może po prostu chodzi o poczucie kontroli. Tak, poczucie kontroli: to, które Rimley określił *nieodłącznym czasoprzestrzennym obciążeniem ruchu*, czy coś w tym duchu. Nie wiem, czy moi czytelnicy znają Rimleya, tak czy inaczej, po pewnym czasie spędzonym w A. – w moim pełnym bezruchu pokoju – zauważyłem, jak ważne wydało mi się kontrolowanie dni i godzin. Kiedy pracowałem w bibliotece, często zdarzało się, że obsługa była

zmuszona dyskretnie mnie wyprosić, bo nadeszła pora zamknięcia. Pamiętam też, że kilka razy – zapewne w marcu lub w kwietniu – zaskoczony pocałowałem klamkę w osiedlowym sklepie, bo był późny wieczór bądź niedzielny poranek.

W każdym razie czwartego stycznia wylądowałem. Przed południem. W A. też raczej nie było czuć wiosny w powietrzu.

Z dwiema ciężkimi walizami oraz zniszczoną teczką (zawierającą złoty skoroszyt, kilka słowników oraz kopertę z plikiem zdjęć Ewy) wziąłem taksówkę do Domu Tłumacza. Z sześciu dostępnych pokoi cztery były zajęte. Rezydowało w nich dwóch Afrykańczyków, jeden Fin (jak mniemam) oraz rozczochrany Irlandczyk, którego spotkałem na schodach – zwrócił się do mnie dziwną niemiecczyzną, a czuć było od niego tanią whisky. Nie przyjąłem jego zaproszenia na drinka w barze po drugiej stronie ulicy, tylko rozmieściłem się w pokoju, od razu postanawiając, że jak najszybciej zacznę szukać lepszego lokum. Omawiałem kwestie mieszkaniowe z Kerrem i Amundsenem i byliśmy całkiem zgodni co do tego, że – z uwagi na okoliczności – Dom Tłumacza nie był najlepszym rozwiązaniem. Niewykluczone, że moja obecność w takim miejscu prędzej czy później doszłaby do wiadomości wydawców Reina, a postanowiliśmy nie działać wbrew ostatniej woli tego geniusza. Cnota dyskrecji, ot co. Moja praca w A. miała przebiegać w taki sposób, by nikt nie zwrócił uwagi na to, co robię. Zamieszanie po śmierci Reina oraz związane z nim donosy prasowe nie ustawały przez cały grudzień. A przecież można było zarobić niemałe pieniądze na wznowionym wydaniu tej czy innej jego książki, nie wspominając już o rozgłosie, jaki mogła wzbudzić jego ostatnia pożegnalna książka. Pośmiertna premiera w przekładzie. Absurd do kwadratu, bez dwóch zdań.

Nadal jednak tekst leżał w żółtej teczce. Musiałem obiecać Amundsenowi i Kerrowi, że będę jej strzegł jak oka w głowie. Mimo wszystko zrobili kopię i umieścili ją w świętym niemalże miejscu, czyli skrytce bankowej wydawnictwa – najwidoczniej Amundsen uznał, że ryzyko też powinno mieć swoje granice. Moja niechęć do zabrania się za czytanie manuskryptu w domu była zapewne nieco przesadzona, wynikała jednak z metody, którą zawsze stosuję, tłumacząc. Przejąłem ją – jak wiele innych zwyczajów – od Henry’ego Darkego, choć później przekonałem się, że nie jest ona zbyt powszechna wśród moich kolegów i koleżanek po fachu. Polega ona na tym, że tłumaczenie zaczyna od razu, bez wcześniejszego przeglądania tekstu. Staram się więc w miarę możliwości nie czytać żadnych fragmentów. Ewentualnie tylko zdanie lub wers, co najwyżej pół strony. Wiem, że inni tłumacze robią na odwrót; wolą najpierw sami zapoznać się dokładnie z całą książką dwa lub trzy razy i dopiero wtedy zaczynają tłumaczyć. Henry Darke polecał jednak swój sposób, a ja szybko doszedłem do wniosku, że dla mnie też jest on bardziej przekonujący. Zwłaszcza jeśli przekłada się pisarza takiego jak Germund Rein, przy twórczości którego często ma się wrażenie, że on sam, pisząc, nie do końca wiedział, co zdarzy się za dwie strony.

W Domu Tłumacza poza pokojami pod wynajem była wspólna kuchnia z kuchenką, lodówką, zamrażarką oraz biblioteka wyposażona w całkiem pokaźne zbiory (zwłaszcza w dziedzinie leksyki, ma się rozumieć) oraz rząd osobnych, całkiem dobrze przygotowanych stanowisk do pracy. Mimo to pierwszego dnia mojego pobytu w Domu cały budynek wydawał się raczej opustoszały. W lodówce znalazłem kilka puszek piwa, pół kostki masła oraz kawałek sera, który niewątpliwie leżał tam na długo przed Bożym Narodzeniem. Biblioteka była zakurzona i wyglądała mało zachęcająco. Przy trzech stanowiskach nie działały lampy. Zrozumiałem, że

nie ma mowy, bym w tym posępnym otoczeniu rozłożył się z manuskrytem Reina. Stojący przy wejściu automat z kawą był zepsuty, a pani Franck, która przez cztery godziny dziennie siedziała w tak zwanej recepcji, poinformowała mnie, że już w październiku zamówili nowy, ale najwidoczniej dostawa się spóźniała. Zaczęła też wyjaśniać mi reguły dotyczące prania i sprzątania, przerwałem jej jednak, oznajmiając, że już tu kiedyś mieszkałem, więc znam zasady oraz że prawdopodobnie zostanę tam nie dłużej niż tydzień.

Zapewne zraniłem ją tymi prostymi uwagami, bo ostentacyjnie wydmuchała nos, po czym bez słowa zabrała się z powrotem do robienia na drutach.

Zostawiłem ją więc samą sobie i ruszyłem na miasto. Był wtorek, ale ludzi kręciło się sporo, przynajmniej w centrum oraz na ulicach turystycznych. Dokuczał mróz, wiele kanałów zamarzło, a od morza wiał ostry wiatr. Zajrzałem do kilku księgarń i sklepów muzycznych, głównie po to, by się ogrzać. Przysiadałem też w kawiarniach, gdzie, popijając piwo i paląc, obserwowałem ludzi. Szybko złapałem się na tym, że szukam Ewy. Wszystkie kobiety o ciemnych prostych włosach natychmiast przykuwały moje spojrzenie. Myśl, że kolejny raz mógłbym stanąć z nią twarzą w twarz, była dla mnie zarówno motywująca, jak i nieco niepokojąca.

Przypomniałem sobie nasz ostatni wspólny ranek spędzony w małej miejscowości górskiej, zanim Ewa wyruszyła na swoją ostatnią wyprawę. I to, jak przepełniła mnie nieskończona czułość wobec niej, gdy wsiadała do samochodu, by odjechać do kochanka. Stałem wówczas na balkonie i walczyłem z silnym impulsem, by jej nie zawołać, kiedy tak przecinała podwórze, machając mi przez uchylone okno. Chciałem ją ostrzec. Nakłonić, by została, by nie wyjeżdżała w tę tragiczną podróż. Kiedy zniknęła za kamiennym murem, nie mogłem się powstrzymać i zawołałem,

choć oczywiście nie przyniosło to żadnego skutku. Po prostu był to nadaremny wyraz rozdarcia, jakie wówczas we mnie szalało. Nawet stary cieć, który na dole grabił liście z rabatek, zdawał się mnie nie słyszeć. Kiedy już zobaczyłem, że jej samochód wjeżdża na krętą drogę, wróciłem do pokoju, żeby wziąć orzeźwiający prysznic.

A nie, najpierw położyłem się do łóżka i próbowałem czytać... niemniej jednak było to z góry skazane na niepowodzenie.

I tak oto, zachodząc do sklepów, przesiadując w knajpkach i rozmyślając o Ewie, kręciłem się samotnie po centrum A. i jego południowej części położonej bliżej Vondelpark oraz biblioteki gminnej przy Van Baerlestraat. Z mojego ostatniego pobytu w niej zapamiętałem, że otwierają ją dopiero po południu, za to zamykają dość późnym wieczorem, co mnie akurat pasowało idealnie. Nigdy bowiem nie byłem rannym ptaszkiem. To moja pięta achillesowa. Już odkąd miałem naście lat, przed południem nie umiałem sprawnie wykonywać poważniejszych zadań. Wieczory i wczesne godziny nocne to mój czas, wtedy działałem na pełnych obrotach, zarówno mentalnie, jak i fizycznie. A jeśli ktoś, tak jak ja, znajdzie się w sytuacji, kiedy sam może decydować o swoim rytmie pracy, nie ma naturalnie żadnego powodu, dla którego musiałby sobie odmawiać poranka i przedpołudnia w łóżku.

Pamięć mnie nie zawiodła. Od poniedziałku do piątku czynne między czternastą a dwudziestą, głosiła tabliczka na drzwiach. W soboty między dwunastą a szesnastą. Wyśmienicie. Tego pierwszego dnia nie wchodziłem do biblioteki, ale postanowiłem, że wybiorę się tam nazajutrz. Ponieważ nie tęskniłem szczególnie za Domem Tłumacza, zdecydowałem, że i resztę dnia spędzę na mieście. Po tym, jak przez jakąś godzinę błąkałem się bez celu, na rogu Falckstraat i Reguliergracht natrafiłem na niewielką agencję nieruchomości. Wszedłem do środka i wyjaśniłem, czego szukam: jakiegoś



pokoju w centrum, najlepiej w pobliżu Vondelpark. Z dostępem do łazienki i kuchni. Na około sześć miesięcy. Nie za drogo.

Siedząca za biurkiem ciemnoskóra dziewczyna przekartkowała kilka teczek i wykonała dwie rozmowy telefoniczne. Na koniec oznajmiła, że ma coś, co ewentualnie mogłoby mi odpowiadać. Jeśli zajrzę do nich za kilka dni, ona do tego czasu sprawdzi szczegóły oferty.

Podziękowałem i zapowiedziałem się z wizytą na piątek.

Tego pierwszego wieczoru do Domu Tłumacza wróciłem późno. Uznałem, że dam sobie trochę luzu, zanim robota zacznie się na poważnie, tak więc pozwoliłem sobie zarówno na solidny obiad w Planner oraz na kilkugodzinne przesiadywanie w barach położonych wokół Nieuwe Markt. Większość czasu poświęciłem rozważaniu tego, jak rozpocząć poszukiwania Ewy, nie udało mi się jednak wypracować żadnego znośnego planu działań, w każdym razie nie takiego, który potem bym pamiętał. Kiedy więc przed północą w końcu zwałem się do łóżka, doszedłem do wniosku, że nie zdołałem się choćby wgrzyźć, w te dwie niełatwe sprawy, które ściągnęły mnie do A.

Byłem jednak na miejscu. Miałem już jakiś grunt do działania, zaś po drugiej stronie nocy czekał na mnie dzień, kiedy to miałem zabrać się na poważnie do działania. Pamiętam, że przyjemność sprawiało mi myślenie o tej nietkniętej jeszcze przyszłości. *Tabula rasa*, śnieżnobiałe pole, na które jeszcze nie wkroczyłem, a na którym jedna obok drugiej czekały na mnie przeróżne możliwości.

Z tą myślą w głowie zasnąłem.

– Wiem, że cię krzywdzę, ale muszę wyjechać.

Takie właśnie słowa padły z jej ust. Mogły być wyjęte z pierwszego lepszego współczesnego melodramatu. Delikatnie odsunąłem pasemko włosów z jej policzka. Pierwszy i niepierwszy raz. Leżeliśmy zwróceniami twarzami do siebie w naszym wygodnym dwuosobowym łóżku, pamiętam, że pomyślałem wtedy, jak dwuznaczne mogą być oczy. Kiedy człowiek patrzy na nie z bardzo bliska, nagle spojrzenie tej drugiej osoby wydaje się całkiem puste. Ich wyraz, to słynne zwierciadło duszy, znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przy odległości dziesięciu, piętnastu centymetrów. Za tą granicą nie ma już nic. Żadnej drogi, żadnych obietnic. Nawet leniwej wrogości kocich oczu.

Jeśli przyjrzymy się drugiemu człowiekowi z tak bliska, widzimy jedynie nagromadzenie komórek, tę gorzką prawdę. To trudne doświadczenie, rzecz jasna, a jeśli się je przeżyje, ciężko jest potem wrócić, cofnąć się na właściwy dystans. Może to coś, czego człowiek uczy się z latami. Chyba każdy wie, o czym mówię.

Jeśli chodzi o mnie i o Ewę, cóż, wiedziałem, że nie da sobie ona na dłuższą metę rady sama, mimo to kusząca wydawała mi się myśl, by pozwolić jej odejść, przyznając.

Był sierpniowy dzień. Przedpołudnie, ciepłe i obiecujące niczym miąższ dojrzalej śliwki. Przed sobą mieliśmy trzy tygodnie urlopu, a ona właśnie oznajmiła mi, że ma kochanka. Odruchowo chciałem się zaśmiać, ale się powstrzymałem, pamiętam jak dziś. Ona chyba jednak tego nie zauważyła.

Przez całe lato chodziła na terapię, dopiero niecały rok minął, odkąd wypuszczono ją z ośrodka i póki co za wcześnie było na snucie planów.

Zdecydowanie za wcześnie.

– Mam zrobić śniadanie? – zapytałem.

Widziałem, że się waha.

– Tak, proszę. – Popatrzyliśmy na siebie ze zrozumieniem.

– Jedziemy jutro?

Nie odpowiedziała. Twarz miała zupełnie bez wyrazu. Wstałem, żeby pójść do kuchni i przygotować herbatę.

Pierwszej nocy w A. śniła mi się Ewa. Był to chyba sen erotyczny, bo obudziłem się z silną erekcją. Szybko minęła, przechodząc w ból głowy i mdłości. Kiedy siedziałem na sedesie, z głową opartą na rękach, starałem się sobie przypomnieć, ile alkoholu wlałem w siebie poprzedniego wieczoru, w pamięci miałem jednak dużo dziur. Potem długo stałem pod prysznicem, który czasy świetności miał już za sobą, i dopiero w okolicach lunchu wyszedłem z Domu na zimne powietrze. Z teczką mocno ściśniętą pod ramieniem, wsiadłem do tramwaju, który – miałem nadzieję – zawiezie mnie w dobrą stronę. Nie pomyliłem się. Wsiadłem na wysokości Ceintuurbaan i wszedłem do baru, gdzie posiliłem się kanapkami i czarną kawą. Resztę trasy do biblioteki pokonałem na piechotę. Wiatr, który szalał na ulicach i ponad kanałami, był zabójczo zimny. Zrozumiałem, że muszę kupić sobie przynajmniej szalik, jeśli chcę pozostać zdrowy w tej smaganej chłodem metropolii.

Za ladą siedziała akurat jakaś chuda kobieta około sześćdziesiątki. Czekałem, aż skończy obsługiwać smagłego jegomościa w kaftanie i turbanie. Kiedy już wbiła mu pieczątki do książek, podszedłem i przedstawiłem się. Wyjaśniłem, że zajmuję się tłumaczeniem i potrzebuję

miejsca, gdzie mógłbym przez kilka godzin dziennie popracować w spokoju.

Uśmiechnęła się zachęcająco, choć trochę nieśmiało i natychmiast zadała sobie trud, by wyjść z za lady i odeskortować mnie do części czytelnicy, gdzie znajdowały się stoły ustawione w sześciu rzędach, po cztery po prawej i po lewej stronie. Zapytała, czy chciałbym, by zarezerwowała mi jeden ze stolików. Choć, jak zauważyła, z reguły nie brakuje u nich wolnych miejsc, ale gdybym chciał zostawiać tu książki i materiały albo nawet zwykłe kartki, to rezerwacja byłaby niegłupim pomysłem.

Podziękowałem i wybrałem sobie stół na końcu po lewej stronie, zaledwie kilka metrów od wysokiego okna o pokrytej ołowiem framudze, przez które widać było Moerkestraat oraz jedno z wejść do Vondelpark. Na sali, poza mną i bibliotekarką, były akurat dwie osoby, założyłem więc, że z reguły jest tu raczej spokojnie. Pani pokiwała głową, życzyła mi udanej pracy i wróciła do swojego biurka. Rozsiadłem się i położyłem żółtą teczkę po lewej stronie blatu. Po prawej umieściłem kołobrulion i cztery nowiutkie długopisy. Następnie odpiąłem gumki i zabrałem się za ostatnią książkę Germunda Reina.

Kiedy wychodziłem z biblioteki, było już ciemno. Musiałem siedzieć tam kilka bitych godzin, a mimo to udało mi się przetłumaczyć tylko trzy strony manuskryptu. Tekst był ciężki, zagadkowy i różnił się zupełnie od wcześniejszej twórczości Reina, tyle mogłem stwierdzić od razu. Gdybym nie wiedział, że to jego dzieło, być może nigdy bym się tego nie domyślił. Było jeszcze za wcześnie na określenie miejsca akcji czy samej fabuły. Wiedziałem jedynie, że w książce pojawia się postać nazwana R. i to w jej świadomości rozgrywały się pierwsze strony ubrane w formę monologu, w którym rolę odgrywała także jakaś kobieta, M. oraz drugi mężczyzna, G. Mogłem się domyślać, że wszystko rozwinie się w swego rodzaju historię

o trójkącie – wiele na to wskazywało – jednak równie dobrze fabuła mogła potoczyć się zupełnie innym torem, tak więc, kiedy tego dnia postawiłem ostatnią kropkę, czułem, że jak na razie nie potrafię za wiele powiedzieć o książce.

Przekład pierwszego paragrafu zajął mi niemal godzinę, a kiedy później przeczytałem go ponownie (czekając na jedzenie w de Knijp), uznałem, że nie udało mi się oddać pointy Reina. Czy może raczej tonu, bo oczywiście to akord jest istotny, reszta, czyli pojedyncze słowa i wyrażenia można potraktować z pewną dowolnością. Tego nauczyły mnie lata pracy.

Suma czasu, jaki R. miał do dyspozycji (tak zaczynał się tekst) już się nie powiększała. Jeszcze była na plusie, ale już nieduża; nieduża, zbliżała się do zera. Była rykiem, wołaniem o grunt pod nogami i o róże, ciągle te róże; niczym rosa. Ulotna jak rosa, jak płomień, jak westchnienie i jak M. Gdzie się teraz podziewa M.? Jej profil zawsze zostaje w powietrzu, nawet, kiedy M. już odwróci głowę i wyjdzie z pokoju. Kobieta czar. Zostaje też w R., obraz przekłada się na obraz, krawędź w krawędź, wszystkie chwile zawsze są obecne równolegle, nawet ta teraz. Uderzył ją. Tak, podniósł rękę. Jednak tak jak drzewo żyje z deszczu i burzy, tak i ona jest jego. Ból, gniew i ogień, które oczyszczają, leczą i stapiają ich ze sobą. To on sam, R., przedstawił ich sobie. M. i G. Lata temu, krawędź w krawędź, ręka w rękę; kropla potrafi wydrążyć skałę, a i ich historia doszła do takiego momentu. To o tym będzie mowa. Kiedy R. obudził się rano, czuł mętlik w głowie. Już od jakiegoś czasu wszystko było inaczej.

Moje danie stanęło na stole, zamknąłem kołobrulion. Jedząc, w środku czułem pustkę, taką, jaką zawsze czuje się po godzinach wytężonej koncentracji. Jakby świat i moje otoczenie nie dochodziły do mnie. Szum i powolne ruchy ludzi w dość pełnym lokalu mogły równie dobrze dziać się

gdzie indziej – w innym medium, innym czasie. Siedziałem tam niczym w wytłumionym akwarium, patrząc na niepojęty dla mnie świat.

Dwa, trzy kieliszki z reguły pomagają na ten stan, tak stało się i tym razem. Kiedy wychodziłem na ulicę, czułem się już zwyczajnie, zastanawiałem się nawet, czy przed powrotem do Domu Tłumacza nie wybrać się do kina. Nie miałem ochoty spędzać w moim ponurym pokoju więcej czasu niż ten, którego potrzebowałem na sen. Postanowiłem nawet, że odwiedzę dziewczynę z agencji nieruchomości już następnego dnia, żeby zobaczyć, co może mi zaproponować.

Nie udało mi się jednak znaleźć żadnego szczególnie pociągającego filmu, a już zrobiło się późno, tak więc resztę wieczoru przesiedziałem w barze z indiańską muzyką, znów rozmyślając, jak rozwiązać sprawę z Ewą.

Bez wątpienia bezsensowne wydawało się krążenie po mieście w nadziei, że gdzieś dojrzę ją w tłumie, jednak trudno było określić, jakie jeszcze możliwości się przede mną otwierają. Ja w każdym razie nie umiałem sam ich dostrzec. Jeśli się zastanowić, to istniał tylko jeden punkt w tym mieście, gdzie prędzej czy później można się było jej spodziewać.

Sala koncertowa. Koncert muzyki klasycznej. O ile się orientowałem, w A. były dwa miejsca specjalizujące się w repertuarze klasycznym. Concertgebouw oraz Nieuwe Halle. Nigdy nie byłem w żadnym z nich, jednak siedząc wówczas w barze nad piwem i wsłuchując się w dźwięki fletu z Andów, uznałem, że najwyższy czas zapoznać się z programem tych dwóch przybytków.

Tego wieczoru w mojej głowie nie zrodził się już żaden inny pomysł. Zapewne praca nad tekstem Reina wyssała ze mnie siły witalne, no i chyba wypilem o kieliszek bądź dwa za dużo. Wyszedłem z baru około północy, czułem się jednak dość trzeźwy, by drogę do Domu Tłumacza pokonać na

piechotę. Fin – rosły chłop z rozczochraną brodą i głosem jak dzwon, którego aparycja przywodziła na myśl jakiegoś pogańskiego boga piorunów – siedział w kuchni wraz z Irlandczykiem. Zabawiali się, serwując sobie nawzajem biesiadne przyśpiewki oraz obsceniczne historie. Do późnej nocy słyszałem przez podłogę ich salwy śmiechu oraz porażające przekleństwa.

Wiało od morza. Temperatura oscylowała w okolicach zera. Od czasu do czasu prószył lekki śnieg bądź padał marznący deszcz. Styczeń toczył się w tym samym stylu, w jakim się zaczął. Już w pierwszą sobotę mojego pobytu zmieniłem mieszkanie. Przy pomocy agencji znalazłem niewielkie dwupokojowe mieszkanie na Ferdinand Bolstraat, zaledwie dziesięć minut spacerem od biblioteki. Właścicielem był młody fotograf, który właśnie otrzymał od National Geographic półroczne stypendium w Ameryce Południowej. W ramach umowy zobowiązałem się też do opieki nad jego roślinami oraz kotem.

Była to leniwa wysterylizowana kicia o imieniu Beatrice, która – nie licząc półgodzinnej wizyty na wychodzącym na podwórko balkonie (gdzie siedziała biernie, bez większego zainteresowania obserwując gołębnie) i kilku spacerów do miski z jedzeniem oraz do ustawionej w kuchni kuwety – w zasadzie nie robiła nic innego, jak tylko spała rozłożona przy kominie.

Mniejszy pokój został przerobiony na ciemnię, nie korzystałem więc z niego. Ponieważ izolacja na budynku nie była najlepsza, większość czasu w domu spędzałem albo w łóżku albo w fotelu ustawionym przy tym samym źródle ciepła, z jakiego korzystała Beatrice. Jedyne w tym mieszkaniu, swoją drogą. Muszę jednak podkreślić, że całkiem odpowiadało mi to lokum.

Zwłaszcza otoczenie. Przy ulicy znajdowały się wszelkie możliwe sklepy, w tym market, kilka barów, a nawet pralnia. Szybko przekonałem się, że lepszej lokalizacji nie mógłbym sobie wymarzyć. Ruch na ulicy był



spory, zarówno jeśli chodzi o samochody, jak i o pieszych, choć jego natężenie zmieniało się w zależności od pory dnia. Jeśli tylko ubrałem się odpowiednio ciepło, mogłem stać w oknie i obserwować dynamikę miasta z mojego idealnego punktu widokowego na drugim piętrze. Niewątpliwie dawało mi to iluzję poczucia kontroli: stałem tam na swój sposób odizolowany, ale jednak nie pozbawiony kontaktu z ruchem w czasie i przestrzeni.

Czynsz był do zniesienia. Właściciel zszedł trochę z ceny ze względu na opiekę nad kwiatami i Beatrice, zaś Kerr podczas rozmowy telefonicznej uznał, że wydawnictwo nie ma nic przeciwko niewielkiej nadpłacie w stosunku do cen w Domu Tłumacza, jaką musieli pokryć.

Od momentu przeprowadzki moje dni znaczył stały porządek, niemal rutyna. Często spałem do późna, najchętniej do jedenastej lub w pół do dwunastej. Potem brałem prysznic, ubierałem się i schodziłem po gazetę i świeże pieczywo. Leniwie jadłem śniadanie, siedząc w fotelu, z Beatrice rozłożoną na moich stopach, czytając najnowsze doniesienia o sytuacji na świecie, ale też swoje tłumaczenie z poprzedniego dnia. Nanosiłem ewentualne poprawki i około za kwadrans druga wychodziłem z mieszkania. Najpierw spacerowałem osłoniętymi od wiatru uliczkami, potem smaganą wichrem Ruysdalegracht, wzdłuż Kuyperlaan i Van Baerlestraat i tak dochodziłem do biblioteki, kilka minut po jej otwarciu.

Najczęściej siedziała tam pani Moewenroedhe – ta, która zajęła się mną pierwszego dnia – ale czasami dwie młodsze kobiety. Jedna ciemna o pociągającej, nienachalnej urodzie, druga rudawa z lekką nadwagą. Żadna z nich do mnie nie zagadywała, jedynie kiwały czasem głową, jakby na znak niepisanego porozumienia. Z panią Moewenroedhe też nie zamieniłem zbyt wielu słów, ale, począwszy od trzeciego dnia, zawsze około w pół do

piątej dostawałem od niej herbatę oraz ciasteczka. Najpewniej była to też pora krótkiej przerwy dla personelu.

Podczas tych pierwszych tygodni miałem pewną kontrolę nad czasem. Widzę to teraz, patrząc z perspektywy. Na swój sposób było to też konieczne. Przejrzałem bowiem repertuar obu sal koncertowych i wyznaczyłem sobie plan, który zakładał udział w czterech lub pięciu wydarzeniach w tygodniu, co z kolei oznaczało, że musiałem wyjść z biblioteki odpowiednio wcześnie, by zdążyć zjeść kolację przed wizytą w Concertgebouw lub Nieuwe Halle.

Szybko zrozumiałem, że mój budżet nie udźwignie tego, bym kilka razy w tygodniu bywał na drogich koncertach, zacząłem więc zatrzymywać się we foyer, by tam obserwować przybywających gości. Kilka razy przyglądałem się im, kiedy wychodzili, jednak bez względu na obraną metodę, podczas tego zimnego stycznia nie udało mi się spotkać Ewy. Jeszcze do końca nie zwątpiłem, zrozumiałem jednak, że muszę wymyślić coś lepszego.

Poza tym wieczorami chętnie przesiadywałem w kafejkach, zwłaszcza tych kolorowych, które i tak leżały na mojej trasie do domu – w Mart's lub Dusart. Wybierałem miejsce w kącie i od czasu do czasu wdawałem się w rozmowę z ludźmi, szczególnie starszymi, zmęczonymi życiem mężczyznami mającymi już za sobą jego większą część życia. W związkach byli wyzbyci złudzeń w stopniu, który mnie wydawał się oswabadzający i o którym chętnie słuchałem. Kobiety też zagadywałem, ale mimo że trafiło się kilka, z którymi bez oporów spędziłbym noc, nie podejmowałem żadnych działań w tym kierunku. Tak czy inaczej wyjątkowo rzadko zdarzało mi się położyć do łóżka przed pierwszą.

I choć przez ten pierwszy miesiąc moje myśli naturalnie krążyły wokół Ewy oraz tego, co w zasadzie mógł oznaczać fakt, że przed pół roku była na

nagrywanym koncercie Beethovena tutaj w A. (sprawdziłem: takie wydarzenie faktycznie miało miejsce w Concertgebouw), to jednak praca nad tekstem Reina pochłaniała mnie w większym stopniu.

Był on ciężki i powolny, pierwsze strony nie okazały się wyjątkiem. Mimo to szybko w powieści pojawiło się coś, co zaczęło mnie pociągać. Coś niemal ukrytego. Jakby manuskrypt zawierał jakiś przekaz, jakąś treść, którą autor za wszelką cenę starał się zataić. Sam nie wiedziałem do końca, co to było, ale od początku czułem, że coś musi się w tym kryć. Tekst był gęsty, pogmatwany, czasem wręcz niezrozumiały, jednak im dalej się posuwałem, tym oczywistsze wydawało mi się, że stoi za nim coś prostego, jasnego i czystego.

Sam manuskrypt nie był zbyt długi. Miał nieco ponad sto sześćdziesiąt stron i gdyby udało mi się utrzymać tempo piętnastu stron na tydzień, powinienem uporać się z nim do przełomu marca i kwietnia. To znaczy z pierwszą roboczą wersją. Potem musiałbym oczywiście wygładzić i skorygować tekst, ale tak czy inaczej nie miałem wątpliwości, że zgodnie z umową wyrobię się do czerwca.

Od początku jednak, jak już wspomniałem, zaintrygował mnie ten ukryty przekaz. Zdumiał i stropił. Żadne z wcześniejszych dzieł Reina nie charakteryzowało się takim stopniem złożoności, a do tego dochodziły specyficzne okoliczności oraz wymogi dotyczące samego wydania. Musiał przecież istnieć jakiś powód, dla którego Rein obstawał przy tym, że książka ma ukazać się w przekładzie, a nie w oryginale. Zarówno Kerr, jak i Amundsen grzebali w kronikach, nie trafili jednak na podobny przypadek – było kilka dzieł, które przeszmurowano z krajów uciskanych przez różnego rodzaju dyktatury, Sołżenicyn i tym podobne historie, ale nic w stylu Reina. Starałem się wprawdzie nie wdawać w rozważania i spekulacje na ten temat, jednak z biegiem dni, im bardziej zagłębiałem się

w powieść, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że to właśnie tam, w samym tekście można znaleźć wyjaśnienie tych okoliczności. Odpowiedź na pytanie, dlaczego książka Germunda Reina musi być wydana w tłumaczeniu tkwiła w samej treści i nigdzie indziej.

Mimo tej narastającej pewności, powstrzymałem się przed przeczytaniem dalszej części.

Niezłomny i wierny swojej metodzie, poznawałem tekst wers po wersie, paragraf po paragrafie, stronę po stronie. Pokusa była, ale udało mi się ją zwalczyć bez większego trudu.

Trudno jest opisać powieść Reina. Podstawową techniką narracji był w niej monolog, który zdawał się wędrować od głównego bohatera, R., do samego pisarza i z powrotem, a czasem też do kobiety, M. Trzecią postacią, przynajmniej na samym początku, był niejaki pan G. Rein w gęstych, mniej lub bardziej onirycznych sekwencjach nakreślał swego rodzaju układ łączący tę trójkę. Jak wspominałem, dość wcześnie dało się wyczuć wątek historii o trójkacie między tymi dwoma mężczyznami a kobietą. Niektóre zdarzenia – lub sytuacje – powracały oddane przeróżnymi słowami i tonami. Nie dało się nie zauważyć, że relacja między R. i G. nie była najlepsza, ale też, że między R. i ujawniającym się tu i ówdzie narratorem istniał bliski związek.

W styczniu jednak tylko tyle udało mi się wywnioskować. Niewykluczone, że szybciej udałoby się dojść do tego, kim naprawdę byli bohaterowie, gdyby nie to, że moje myśli i poczynania absorbowwała sprawa Ewy, choć to czyste spekulacje. Może tak naprawdę moje zaangażowanie w jedno przedsięwzięcie stanowiło ucieczkę od drugiego i na odwrót. Kiedy teraz o tym myślę, uderza mnie poświęcenie, z jakim wówczas oddawałem się tym dwóm zadaniom. Albo byłem bez miary pochłonięty pracą nad tekstem Reina, albo oddawałem się poszukiwaniom mojej zaginionej żony.

Nigdy jednak nie łączyłem jednego z drugim. Te dwie sprawy były rozdzielone niczym woda i oliwa, co – jak sadzę – było słusznym wyborem.

W każdym razie pod koniec stycznia poczułem się autentycznie znudzony moimi uporczywymi, ale nadaremnyymi wizytami koncertowymi, postanowiłem więc poszukać nowych sposobów. W książce telefonicznej, pod nagłówkiem „Prywatni detektywi” znalazłem szesnaście nazwisk oraz nazw agencji i pewnego wieczoru, po zakończonej pracy w bibliotece, umówiłem się na spotkanie z niejakim Edgarem L. Maertensem w jego biurze na Prohaskaplein.

– Może zechce pan najpierw nakreślić swój problem? – zaproponował, kiedy już zakończyliśmy grzecznościowe preludium i rozsiedliśmy się z papierosami i kuflami piwa. Był starszy, niż sądziłem, dobiegał sześćdziesiątki. Miał krótko ostrzyżone siwe włosy oraz łagodne niebieskie oczy, które wzbudzały pewne zaufanie.

– A pan od dawna w tej branży? – zapytałem.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Trzydzieści lat.

– Tak długo?

– To światowy rekord. Może mi pan wierzyć. Zatem?

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjąłem zdjęcia i rozłożyłem je przed nim na stole. Obrzucił je szybkim spojrzeniem.

– Kobieta.

Nie było to pytanie, a jedynie krótkie stwierdzenie. Zaciągnął się i popatrzył na mnie. Przemilczałem to.

– Najpierw muszę pana zapytać, czy jest pan pewien, że chce pan się w to bawić.

Ton rezygnacji w jego głosie był ewidentny i jednoznaczny. Skinąłem głową.

– Chodzi o śledzenie czy zaginięcie?

– Zaginięcie.

– Dobrze. Wolę zaginięcia.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział.

– Kiedy zaginęła?

– Ponad trzy lata temu.

Zanotował to.

– Imię i nazwisko?

Podałem mu, dodając, że Ewa na pewno już nie korzysta z tych danych.

– Sprawdził pan to?

– Tak, w A. nie ma nikogo takiego.

– A ma pan powód podejrzewać, że ona się tu znajduje?

Pokiwałem głową.

– Czy byłby pan tak miły i opowiedział mi pokrótce swoją historię?

Tak zrobiłem. Oczywiście pomiąłem pewne istotne partie, ale poza tym dołożyłem starań, by wspomnieć o wszystkich pozostałych szczegółach, które mogły mieć znaczenie. Kiedy skończyłem, Maertens nie odpowiedział od razu. Pochylił się nad stołem i dokładniej przyjrzał się zdjęciom Ewy.

– No dobra – odparł. – Biorę tę sprawę.

Nie przyszło mi wcześniej do głowy, że mógłby mi odmówić, wtedy jednak zrozumiałem, że moje zlecenie to dla niego żadna wymarzona robota.

– Rzecz jasna nie mogę obiecać, że będą jakieś rezultaty – wyjaśnił. – Proponuję umówić się na miesiąc, jeśli przez ten czas jej nie znajdziemy, obawiam się, że trzeba będzie wycofać się z zadania. Jak rozumiem zależy panu na dyskrecji.

– Tak, pełnej.

Pokiwał głową.

– Jeśli chodzi o wynagrodzenie – zaczął zmierzać do końca – to w przypadku niepowodzenia biorę tylko połowę.

W leżącym przed nim notesie zapisał dwie sumy i podsunął mi do przeczytania. Zrozumiałem, że nie byłbym w stanie korzystać z jego usług dłużej niż wspomniany miesiąc.

– Jakie mamy szanse, jak pan myśli?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli ona naprawdę jest w mieście, trafimy na nią. Mam swoją ekipę.

– Pomocnicy z Baker Street?

– Coś w tym guście. Czy ona ma jakiś powód, by się ukrywać? Inny niż te, o których pan wspomniał, opowiadając waszą historię?

Zastanawiałem się.

– Nie...

– Nie jest pan pewien.

– Ja w każdym razie o niczym takim nie wiem.

– I nie widział jej pan od trzech lat?

– Od trzech i pół.

Maertens zgasił peta i wstał.

– Jest pan pewien, że chce ją pan znaleźć?

Upór, z jakim do tego wracał, zaczął mnie nieco irytować.

– Dlaczego pan pyta?

– Dlatego, że większość facetów przez trzy lata potrafi wyleczyć się z kobiety. Ale nie pan?

Też wstałem.

– Nie, ja nie.

Maertens wzruszył ramionami.

– Teraz może mi pan dać kilka setek. Zakładam, że będzie pan chciał do mnie od czasu do czasu zajrzeć, żeby dowiedzieć się, jak mi idzie?

Przytaknąłem.

– Proponuję poniedziałki lub czwartki. Jeśli pojawi się coś pilnego, oczywiście się skontaktujemy.

Wymieniliśmy uścisk dłoni i wyszedłem. Okazało się, że porządnie się rozpadało, postanowiłem więc zejść do pierwszego z brzegu baru.

Nazywał się Nemesis. Siedząc w nim i popijając piwo, sam nie umiałem zdecydować, czy powinienem zinterpretować tę nazwę jako dobry czy zły omen. W każdym razie czułem, że wreszcie, po tygodniach dreptania w miejscu, coś wreszcie się ruszyło.

Ponieważ deszcz nie ustawał, dopiero po kilku godzinach spędzonych w Nemesis mogłem się w miarę suchą nogą przedostać do domu. Nie mam pojęcia, która mogła być, kiedy kładłem się do łóżka, gdy jednak się obudziłem, był już luty, a u mojego boku leżała rudowłosa kobieta.



Nie dowiedziałem się, jak się nazywała. Ona sama, zresztą, nie paliła się, by mi się przedstawić. Nie robiąc wokół siebie większego zamieszania, wzięła prysznic, po czym zniknęła. Po sobie zostawiła jedynie kilka włosów na poduszce oraz lekką woń Chanel no 5.

Ja leżałem w łóżku, dopóki poranne ciemności nie zniknęły na dobre. Wtedy wstałem i powoli ruszyłem do biblioteki, jednak na Ruysdalekade tak wiało, że obróciłem się na pięcie i wróciłem do domu na kawę cynamonową. Zasiadłem w fotelu obok Beatrice. Podkręciłem kaloryfery na maksa i na magnetofonie pozostawionym przez fotografa puściłem sobie Koncert brandenburski Bacha.

Słuchałem i myślałem o Ewie.

Wyruszyliśmy piętnastego sierpnia. Zgodnie z planem daliśmy sobie kilka dni na przejechanie przez Niemcy. Czułem, że naprawdę ją kocham. Wówczas byliśmy osiem lat po ślubie, ale nigdy wcześniej moje uczucie nie było tak silne. Coś między nami dojrzało. Wiedziałem, że relacja między dwojgiem dorosłych nie może być lepsza od tej, jaką my mieliśmy podczas tej podróży. Trudno dokładnie wyjaśnić, skąd wzięło się to uczucie, już wtedy zauważałem u żony cechy, których nigdy wcześniej nie widziałem. Ani wtedy, ani potem nie mogłem jednak zdecydować, czy ta zmiana zaszła w niej, czy raczej we mnie samym.

W związku z tym moim nowym stosunkiem do niej, prawdziwą próbą okazało się jej ciągłe gadanie o tym, że ma kochanka i że musimy się

rozwieść. Wywierała na mnie ogromną presję. Wielokrotnie próbowałem – i to na różne sposoby – zawrócić ją ze złej drogi, w końcu zapytałem, kto to.

– Mauritz – odpowiedziała po prostu.

Zatrzymaliśmy się akurat na parkingu przy autostradzie. Jedliśmy kanapki z jajkiem i popijaliśmy kawę. Była piękna pogoda. Łaciate, czarno-białe krowy pasły się na porośniętej koniczyną łące, która opadała do strumienia. Pamiętam jak dziś. Wyjątkowo ładnie położony parking.

– Mauritz Winckler?

– Tak.

– Postradałaś zmysły. Wszystkie kobiety zakochują się w swoich terapeutach. Zapomnij o tym.

Popatrzyła na mnie poważnie.

– Wiem, że cię krzywdzę – powtórzyła. – Jednak szczerść, to wszystko, co mam. Spotkam się z Mauritzem w górach. Tak ustaliliśmy.

Wtedy ją uderzyłem. Przez następnych kilka dni nie rozmawialiśmy o tym.

To właśnie na początku lutego, zacząłem coraz wyraźniej dostrzegać ten przekaz ukryty w tekście Reina. Czy może jeden jego aspekt. Pewnego dnia późnym wieczorem, tuż przed zamknięciem biblioteki, siedziałem przy swoim stole i zaczytywałem to, co przełożyłem w czasie dnia. Ostatnie zdania brzmiały tak:

Cała ta jego, R., obsesja chwili totalnej, w której kulejące niepowodzenia i nieudane próby są definitywnie eliminowane, być może nigdy nie wyjdzie na jaw, jak od dawna wydawało się M. Życ obok lub równoległe, lub dla tej drugiej osoby; ta kobieta nigdy nie wątpiła, nie podważała; będąc na plaży, była tylko na plaży. Tylko tam, jedynie, całkowicie. Ta ciężka bliskość obecna w morzu, cieniu, kamiennym spokoju wrzeszczących mew. O nicości, jałowa matko! Zimna ryba, zimne ryby;

wodorosty, gnijące wodorosty, wiatr, który nie walczy, nie mówi, nie zaprasza, nic nie ma do przekazania ze swej długiej wędrówki. Taka właśnie jest M.

Słowo w. Wpatrywałem się w nie. Przeczytałem ten krótki fragment kilka razy i za nic na świecie nie mogłem znaleźć żadnego rozsądnego uzasadnienia, by ten nic nieznaczący przyimek zapisać kursywą. Wówczas przypomniałem sobie, że już wcześniej natrafiłem na jedno lub kilka miejsc, gdzie z niewiadomych przyczyn użyto kursywy.

Przekartkowałem manuskrypt. Znalazłem dwa takie wyrazy. Na stronie czwartej *jak*. Na stronie szesnastej *poeta*.

*jak poeta w*

Właśnie w tym momencie pani Moewenroedhe weszła do czytelnicy i dyskretnie zakasłała. Spakowałem papiery i wyszedłem z biblioteki. Wróciwszy do domu, znów je wyjąłem i zacząłem kartkować. Po około dziesięciu minutach udało mi się przejrzeć całość. W całym tekście znalazły się jeszcze dwa użycia kursywy:

*prochu* na stronie sześćdziesiątej trzeciej.

*ziemi* na stronie sto pięćdziesiątej ósmej.

*jak poeta w prochu ziemi*

Dopiero po chwili pojąłem. Wtedy wszystko zaczęło się stawać jaśniejsze. *Proch ziemi* – taki tytuł nosiło jedno z opowiadań w zbiorze *Kopuła snów*. Była to dość krótka tragikomiczna historia pisarza, którego u szczytu kariery literackiej dopadają zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, jest bowiem przekonany, że żona chce go zamordować. Cisnąłem papierami. Ogarnęły mnie dwa sprzeczne uczucia.

Z jednej strony złość. Czy może irytacja granicząca ze złością. Bo co to za głupoty?! Po cóż wplatać coś takiego do tego okrutnie trudnego,

miejscami wręcz niezrozumiałego tekstu? Tani chwyt! Moja antypatia wobec Reina, którą do tej pory z konieczności tłumiliem, przybrała na sile. Przez chwilę rozważałem wręcz, czy nie odesłać manuskryptu Kerrowi i Amundsenowi i nie poprosić ich, by go spalili. Lub by znaleźli sobie jakiegoś mniej skrupulatnego tłumacza.

Drugie uczucie było trudniejsze do opisania. Coś jakby na kształt strachu. Od razu zrozumiałem, że moje poruszenie i złość były swego rodzaju reakcją obronną na to wrażenie lęku. Jednym z tych plastrów, które nasza dusza nakleja odruchowo, według własnego uznania.

Jak poeta w prochu ziemi?

Napisał to opowiadanie jakieś dziesięć lat temu. Ja tłumaczyłem je przed pięcioma laty. O co w nim, u licha, chodziło? Próbowałem sobie przypomnieć, ale nie umiałem.

Podszedłem do okna. Zgasilem światło i zacząłem obserwować rozgrywającą się na zewnątrz rzeczywistość. W tym akurat momencie składały się na nią ołowiane niebo, ciemna fasada domu rozświetlona jedynie oknami sklepów i barów na parterze – Muskens Slaapcentrum, Hava Nagila Shoarma Grillroomu oraz marketu. Do tego kilkoro rowerzystów. Zaparkowane samochody. Dudnienie przejeżdżającego tramwaju.auta, które się pojawiały i znikwały, ich reflektory wcinały się w wiatr.

Obiekty stałe i te, które znikwały. Pamiętam, co myślałem, choć wówczas – jak teraz – nie umiałem ubrać tego w słowa.

Moja pogarda wobec języka chyba nigdy nie była tak duża jak wtedy, kiedy stałem w oknie, a w głowie echem odbijały mi się zapisane kursywą wyrazy z tekstu Reina. W końcu wróciłem na fotel, posadziłem sobie Beatrice na kolanach i przez dłuższą chwilę siedziałem tak w ciemności.

Potem wyszedłem. Celowo upiłem się w kilku barach w najbliższej okolicy. Niepokój przez cały czas tkwił pod skórą niczym irytujące ciarki, niczym niedające się zaspokoić swędzenie. Ustąpiło dopiero później, dużo później, w nocy, kiedy zwlókłszy się z łóżka, z wymiotowałem do sedesu.

Następnego dnia świeciło słońce. Zamiast iść do biblioteki wybrałem się do Vondelpark i włączyłem się, dopóki było jasno. Podjąłem tam sporo decyzji dotyczących najbliższej przyszłości, a wieczorem zadzwoniłem do Kerra.

– I jak idzie? – zapytał z entuzjazmem, choć w jego głosie dało się słyszeć nutkę niepokoju.

– Świetnie – odparłem. – Potrzebuje jednak pewnych informacji.

– Tak?

– Jak nazywa się żona Reina?

– Mariam. Mariam Kadhar. A co?

Nie odpowiedziałem.

– Możesz przesłać mi opis dotyczący jego śmierci?

– Czyjej? Reina?

– No tak. Muszę to sobie jakoś poskładać do kupy, a nie chcę w tym grzebać tutaj. Mogłoby to przykuć czyjaś uwagę.

– Rozumiem.

Dało się słyszeć, że było zupełnie na odwrót.

– Może mógłbyś dokładnie sprawdzić, co pisano w gazetach?

– A to ma coś wspólnego z manuskryptem?

– Niewykluczone.

– Niech to szlag.

– Jak najszybciej się da, ok?

– Jasne.

Rozłączyliśmy się. Wyszedłem z budki. Uświadomiłem sobie, że mimowolnie jeszcze bardziej rozbudziłem entuzjazm Kerra i Amundsena

wobec manuskryptu Reina. Oczywiście wyobraźni widziałem, jak zacierają rękę. I słusznie. Oto wydawnictwo pośmiertnie wydaje książkę wielkiego neomistyka, książkę, która przy okazji rzuca nowe światło na sprawę jego śmierci. Czegoż chcieć więcej? Jeśli nie uda się sprzedać takiego kęsa, to równie dobrze można zmienić branżę.

Mimo wszystko, nie bardzo miałem ochotę wracać do orki czekającej na mnie w bibliotece, wiedziałem jednak, że muszę posuwać się z tekstem. Pociągał mnie on i odrzucał zarazem, może jednak wynikało to z mimowolnej ciekawości, która zaczęła mnie zjadać w związku z okolicznościami śmierci Reina. Przyszło mi do głowy, że skoro już i tak Kerr zaczął badać sprawę, powinienem też być zapytać, czy w otoczeniu Reina jest jakiś G. Postanowiłem jednak odłożyć to na później. Bądź co bądź moje domniemane podejrzenia na tym etapie były niczym więcej, jak tylko bezpodstawnym wymysłem. Wkrótce sytuacja miała stać się jaśniejsza, jednakże wówczas – a także podczas kilku kolejnych dni, kiedy to walczyłem z nieprzystępnymi sformułowaniami w manuskrypcie – byłem gotów zignorować swoje domysły i uznać je za wytwory fantazji. Ot, dziwny zbieg okoliczności, nadinterpretację, nic więcej.

Z prywatnym detektywem, Maertensem, kontaktowałem się regularnie według ustalonego grafiku. W poniedziałki i czwartki, po pracy w bibliotece, przechodziłem obok jego biura na Prohaskaplein, a on za każdym razem przepaszająco wzruszał ramionami, tłumacząc, że jeszcze nie natrafił na żaden ślad.

Po kilku takich wizytach z rzędu, mocno zwątpiłem. Maertens nie wydawał się w ogóle zakłopotany tym, że jego działanie nie przynosiło skutków, mimo że i tak zapłaciłem mu sporo. W końcu zapytałem go prosto z mostu, czy według niego są jakiegokolwiek szanse na powodzenie, odparł jednak, że nie da się czegokolwiek przewidzieć.

Kiedy tamtego wieczoru – a musiało to być jakoś w połowie lutego – opuszczałem jego agencję, przepełniało mnie poczucie rezygnacji. Dzięki wytrwałości i mozolnej pracy udało mi się dojść do strony dziewięćdziesiątej w manuskrypcie Reina, czyli do połowy, jednak przez ostatnie dni szło mi jak po grudzie. Miejscami język był niemal nie do rozszyfrowania i nawet jeśli udawało mi się znaleźć właściwe zwroty i sformułowania, i tak uważałem, że tekst nie miał żadnego sensu. W każdym razie ja nie mogłem się żadnego dopatrzeć. Niespokojny, niekontrolowany monolog wewnętrzny, najczęściej przypisany bohaterowi głównemu, R., miejscami oniryczny, choć zamiast obrazów złożony ze słów, z całych ich bloków. Moje przeczucie dotyczące ukrytego przekazu coraz bardziej słabło, a przed sobą widziałem jedynie kolejnych siedemdziesiąt stron tych flaków z olejem. Przyznam, że zacząłem się nawet zastanawiać, jakich czytelników znajdzie ta betonowa, subiektywna proza. I kto wie, może Kerr i Amundsen, jako że nie wiedzieli wszystkiego, zaczęli zacierać ręce nieco za wcześnie.

Zdanie o poecie wciąż skłaniało do myślenia, wydawało mi się jednak mało prawdopodobne, że tych pięć słów miałyby stanowić cały sens pozostawionego przez autora tekstu.

Kiedy tego wieczoru – a jestem pewien, że to był piętnasty lutego – wchodziłem do Nemesis, czułem przemożną chęć powiedzenia Reinowi, żeby poszedł do diabła. Uświadomiłem sobie jednak, że właśnie to już zrobił.

Z miejsca wypilem dwa piwa, potem poszedłem prosto do domu. Na schodach leżała korespondencja, tego dnia składająca się z jednego dość grubego listu. Kiedy popatrzyłem na nadawcę, zrozumiałem, że to Kerr wreszcie wysłał sprawozdanie z doniesień na temat śmierci Reina, o które

go prosiłem. (Dopiero później dowiedziałem się o wypadku jego córki, przez który tyle czasu zajęło mu przesłanie tych materiałów).

Chwilę później siedziałem w fotelu z filiżanką herbaty w ręku oraz Beatrice rozłożoną u moich stóp i czytałem sprawozdanie. Składało się na nie sześć stron, Kerr ewidentnie się nad nim napracował. Kiedy skończyłem, przejrzałem wszystko jeszcze raz.

Nie było w nim nic szczególnego, nic, o czym bym wcześniej nie wiedział, jednak mając przed sobą tak skompilowane okoliczności, dostrzegłem w nich kilka zbieżności z tłumaczonym przeze mnie tekstem. Nic konkretnego, postanowiłem jednak, że następnego dnia przeczytam to, co dotychczas napisałem tak uważnie, jak to możliwe, by zobaczyć, czy do czegoś uda mi się dotrzeć.

Z pozoru, na pierwszy rzut oka, śmierć Reina nie była zbyt tajemnicza. W piątek dziewiętnastego listopada wraz z żoną i swoim wydawcą wybrał się do ich domu nad morzem w Behrensee. Po mocno zakrapianym wieczorze i takiej samej nocy żona obudziła się około południa i po jakimś czasie znalazła pożegnalny list, który pisarz zostawił w maszynie do pisania. Był krótki i chyba nie do końca jednoznaczny (choć jego dokładna treść nigdy nie wyciekła do prasy), tak więc podejrzewania pojawiły się dopiero następnego wieczoru, gdy znaleziono motorówkę Reina samotnie rozbijającą się o kamienie w zatoce położonej o dziesięć kilometrów na północ od ich domu. Skontaktowano się z policją, jednak trochę czasu – dokładniej niemal tydzień – minęło, zanim Mariam Kadhar pogodziła się z myślą, że jej znany mąż w nocy bądź wczesnym rankiem wyprawił się łodzią na morze, a następnie odebrał sobie życie, rzucając się w odmęty. Jedyne ustępy z listu, jaki wyciekł brzmiał: *Biorę ze sobą naszą starą kobietę z brązu, dzięki niej przynajmniej nie wypłynę na powierzchnię i nie będę was tym wpędzał w zakłopotanie....*



Stara rzeźba z brązu, dzieło niemal piętnastokilogramowe, w istocie zniknęła z domu, uznano zatem, że Rein przywiązał ją do ciała, zanim wyskoczył za burzę.

To właśnie na podstawie położenia łodzi, prędkości i kierunku wiatru oraz prądów, jak i sumy wagi Reina i kobiety z brązu próbowano później dokonać pewnych szacunków co do miejsca, w którym ostatecznie spoczęły doczesne szczątki Germunda Reina. Margines błędu był ogromny, rzecz jasna, a szanse na to, że da się wyłowić ciało, w zasadzie od początku były równie nikłe jak na znalezienie zatopionej Atlantydy. Zrezygnowano więc z podejmowania jakichkolwiek prób, a w każdym razie ograniczono się do kroków mających wykazać dobrą wolę władz.

Co do powodów samobójstwa Reina, wzbudzały one wiele reakcji i sprowokowały różne teorie, ale nie różniły się one za bardzo od motywów, jakie z reguły pojawiają się w takim kontekście.

Dlaczego to zrobił? Czy można było go zrozumieć? Czy były jakieś sygnały? I tak dalej.

Cóż właściwie wiemy o tym, co kryje się we wnętrzu naszych bliskich, o ich najskrytszych pobudkach? – podsumował publiczną dyskusję Bejman w *Allgemeine*. W zasadzie nic.

I tyle. Kerr załączył też sporo pytań, w szczególności chciał się dowiedzieć, na co potrzebne mi było zestawienie. Ponieważ sam nie bardzo wiedziałem, nie miałem zamiaru spełnić jego żądania i nie wysłałem mu żadnego raportu. Zamiast tego wetknąłem plik z powrotem do koperty, wstałem i po raz kolejny stanąłem przy oknie, by jeszcze raz poobserwować słabnący ruch na ulicy Ferdinanda Bola. Poczucie niesłychanej pustki i daremności wszystkiego towarzyszyło mi przez kilka minut. Paliłem papierosa i zastanawiałem się, czy można by się zabić, gdyby wyskoczyło się przez okno głową w dół. Chyba nie. Zapewne udałoby mi się tylko

ściągnąć na siebie okrutne, trwałe inwalidztwo, a to doprawdy nie miałyby większego sensu.

Kiedy te emocje już się przeze mnie przetoczyły, ich miejsce zajęła – słaba, ale jednak – chęć działania. Zdecydowałem, że spróbuję się jakoś dyskretnie skontaktować z Mariam Kadhar. Bóg jeden raczył wiedzieć, czy coś dobrego mogło z tego wyniknąć, ale to właśnie podejmując takie decyzje, których konsekwencji nie jesteśmy w stanie przewidzieć, czujemy, jak moc sprawczości delikatnie bulgoce nam w jedzonych miażdżycą żyłach.

Wiem, że to cytat, ale nie pamiętam z kogo.

Kiedy dojechaliśmy do Graues, naszej miejsciny w górach, był wczesny ranek. Jazda zajęła nam całą noc. Dokładniej rzecz ujmując, ja przez całą noc prowadziłem, a Ewa spała na tylnym siedzeniu otulona w niebieski pasiasty koc z Biarritz; w każdym razie przez ostatnich kilka godzin. Ja słuchałem w radiu muzyki Poulenca i Satiego i wpatrywałem się w ciemność unoszącą się nad dolinami.

Poranek był piękny, bez dwóch zdań. Domy, ciasne uliczki, góry i cały świat rozciągały się czyste i niewinne. Zaparkowałem na pochyłym, nierównym skwerze wybrukowanym kamieniem pomorskim. Wsiadłem z samochodu i zmyłem zmęczenie z twarzy wodą z fontanny. Słońce właśnie wzniosło się nad granią na wschodzie, zalewając śpiące jeszcze fasady delikatnym światłem. Przyglądałem się im, a woda skapywała mi z włosów. Pomyślałem sobie, że w taki poranek, człowiek czuje się, jakby wrócił do domu, bez względu na miejsce, w jakim wyląduje. Potem obudziłem Ewę. Pamiętam, że czułem się zawiedziony, ponieważ nie udało się jej pokonać znużenia na tyle, by mogła dostrzec ten wieczny, a jednocześnie szybko przemijający moment równie intensywnie jak ja.

Znaleźliśmy drogę do hotelu, który leżał nieco poza miasteczkiem u stóp dość stromego zbocza, a rozciągał się z niego zapierający dech w piersiach widok na szczyty po drugiej stronie doliny. Zameldowaliśmy się, Ewa zaraz znów zasnęła, ja zresztą też.

Naturalnie był to kurort turystyczny, ale popularny głównie zimą; kiedy po południu zrobiliśmy szybki rekonesans, zauważyliśmy, że tylko

gdzieniegdzie można było spotkać Niemców i Amerykanów mówiących, jakby żuli gumę. Zamówiliśmy obiad w jednym z trzech lokalnych gasthofów, a kiedy już skończyliśmy jeść, Ewa powiedziała, że doprawdy boli ją to, że nie możemy dalej być razem. Zapytałem ją z lekkim przekąsem, kiedy to można spodziewać się jej kochanka, na co usłyszałem, że Mauritz już tu jest. W miasteczku położonym w sąsiedniej dolinie, jak się okazało. Ewa obiecała mu, że zadzwoni jeszcze tego wieczoru.

Zapłaciliśmy i ruszyliśmy z powrotem do hotelu. Rozsiedliśmy się na balkonie i zaczęliśmy rozpijać butelkę wina, po czym Ewa zostawiła mnie na kilka minut, ponieważ poszła do recepcji, by wykonać telefon. Kiedy wróciła, biło z niej wyraziste światło, jakie kiedyś zdarzało mi się widywać na początku naszego związku. Dolałem nam wina i w duchu przekląłem, poprzysięgając sobie, że nigdy, nigdy nie pozwolę, by miał ją inny mężczyzna.

Trochę później się kochaliśmy. Mocno i brutalnie, jak to czasami mieliśmy w zwyczaju, a potem, kiedy Ewa wróciła z łazienki, powiedziała:

– To był nasz ostatni raz. Wiem, że cię krzywdzę, ale to był ostatni raz, kiedy się kochaliśmy.

Nagle poczułem się zmęczony i zirytowany, szczególnie jej ciągłym gadaniem o tym, że mnie krzywdzi.

– Ewo, jesteś moja – powiedziałem. – Niech ci się nie wydaje, że jest inaczej.

Nie odpowiedziała. Dopóki nie zasnęliśmy, leżeliśmy w milczeniu. Może już wtedy przeczuwałem, że mówiła na serio i że właściwie już przegrałem. Po fakcie łatwiej to zrozumieć. Jednak swoje znaczenie ma to, w jaki sposób człowiek postanowi przegrać.

Po około dziewięćdziesięciu pięciu stronach tekst Reina stał się nieco prostszy. Któregoś szarego, deszczowego dnia około dwudziestego lutego

przetłumaczyłem taki oto fragment:

Upór, z jakim R. myślą i słowem pozbawia każdą chwilę jej treści, faktyczności, ducha nie jest bynajmniej czymś prostym. Chodzi w nim także o podbicie, zdobycie rzeczywistości. O zdemaskowanie, umiejętność umieszczenia jej pod piórem oznacza zwycięstwo nad nią. M. i G. Opisać co do litery, zdradzić, co ma miejsce, to jak ich unicestwić. Tak uważał. W amoku robił zapiski dzień i noc, z tą bronią w ręku uwieczniał i zabijał. Zabijał i zabijał, a oni wciąż tam byli. M. i G. Byli tam. Rzecz – sama – w – sobie, dwie rzeczy, jedna, wszechrzecz. Ten przeklęty upór obracał ostrze włóczni i noży, wymierzając je w jego własną pierś. Oni i on. On i oni. On wie. Ona wie. G. wie. Musi uciec z własnej głowy. Z serca. Musi znaleźć skałę z widokiem, oczyścić się, zrozumieć. Co zamierzają zrobić? Jakie mają plany? Jaką to przyszłość majstrują z tą nieskończone czujną ostrożnością? Nagle, pewnego wieczoru w Dagoville, jego strach przybiera nowe oblicze. Infernalne. Zaczyna bać się o własne życie. R. się boi. Chwyta za długopis i zabiera się do pisania, teraz dopiero zaczyna na dobre. Tej nocy, ale i przez noce kolejne jest zatopiony w strachu.

Odchyliłem się do tyłu. Rozejrzałem się po sali. Lampki paliły się tylko przy jeszcze dwóch stolikach. Byli to stali bywalcy – starszy brodaty Żyd w mycce, który zawsze przesiadywał tu w czwartki i piątki, pracując chyba nad jakimś kabalistycznym tekstem, oraz kobieta około czterdziestki, która zaglądała tu czasami i po kilka godzin tkwiła nad opasłymi księgami o anatomii, wzdychając przy tym z rezygnacją.

Za oknem lał deszcz, po drugiej stronie ulicy zapalono już żółte lampy nad Café Vlissingen. Ze wszystkich, jakże licznych lokali w mieście, to właśnie Vlissingen stał się moim ulubionym, sam nie wiem czemu. Zapewne złożyła się na to subtelna równowaga całego szeregu drobnostek, wiedziałem jednak, że gdyby kiedyś przyszło mi mieszkać w A. na stałe, to właśnie to byłoby moje miejsce. Spakowałem książki i wstałem od stołu. Moim myślom trzeba było piwa i papierosa, czułem to wyraźnie, a kiedy

się zastanowiłem, przypomniałem sobie, że właściwie tego dnia zjadłem jedynie cztery herbatniki, które dostałem do codziennej filiżanki herbaty.

R. się boi? – myślałem, idąc przez Moerkerstraat. Oni i on? On i oni?

Nagle poczułem, jakbym stąpał po cienkim lodzie.

Mariam Kadhar paliła jak smok.

Była szczupłą, niską brunetką o lewentyjskiej urodzie i zmysłowości, której aurę roztaczała wokół. Zapewne starała się ją tłumić. Z marnym skutkiem. Z własnej woli albo wbrew niej była jedną z tych kobiet, które sprawiają wrażenie, jakby były nagie dosłownie na dwadzieścia sekund przed tym, jak się je spotyka. A potem znów rozbierają się dwadzieścia sekund po tym, kiedy już się je zostawi. Przedstawiłem się.

– To pan dzwonił?

– Tak. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy?

– Nie sędzę. Pamiętałbym.

Łyknęła to bez mrugnięcia okiem i zaczęła mi pokazywać kolejne części domu. W pokoju, który musiał być biblioteką i gabinetem Reina, na stoliku z dymionego szkła, rozstawiła tacę z porto, orzeszkami i bakaliami. Pod ścianami stały sięgające po sufit regały z książkami, zaś przez ogromne okno panoramiczne widać było dziko zarośnięty ogród opadający w stronę jednego z kanałów. Spróbowałem określić stronę, na którą wychodził i doszedłem do wniosku, że musi to być Prinzengracht.

Usiedliśmy, a ja nagle pożałowałem, że nie znajduję się gdzieś indziej. Lub przynajmniej, że nie siedzę tu z kimś innym. To uczucie było dojmujące, aż zamknąłem oczy, szybko i mocno, by je odpędzić. Nie mogę jednak powiedzieć, by to podziałało.

– Tłumaczył pan książki mojego męża?

– Tak.

– Które?

Wylczyłem tytuły. Kilka razy nieznacznie pokiwała głową, jakby przypominała sobie po kolei każdy. Jakby każda z tych książek była też częścią jej życia, takie odniosłem wrażenie. Z dużym prawdopodobieństwem można by założyć, że tak właśnie było.

– Długo byli państwo małżeństwem?

– Piętnaście lat.

Odchrząknąłem.

– Akurat byłem w okolicy, jak już wspomniałem. Chciałem więc złożyć kondolencje. Bardzo go lubiłem... to znaczy jego książki. Spotkaliśmy się zaledwie kilka razy.

Gadanie. Znów pokiwała głową i zapaliła kolejnego papierosa. Nalała porto do kieliszków. Wznieśliśmy dyskretny toast bez słów.

– Wspominał kiedyś o panu – powiedziała. – Bardzo sobie cenił pańskie tłumaczenia.

– Naprawdę? To mnie cieszy... Zapewne jest pani ciężko?

Chwilę się wahała.

– Tak – odparła po chwili. – Sądzę, że jest mi ciężko. Jeszcze się nie oswoiłam z tą myślą... choć minęło już kilka miesięcy. Nie wiem zresztą, czy chcę się z nią oswajać. Człowiek musi mieć prawo żyć w ciemności.

– Czy sprawia pani przykrość mówienie o tym?

– Bynajmniej. W ten sposób utrzymuję go przy życiu. Ostatnio czytałam też wiele jego książek. One jakby... jakby nabrały nowego znaczenia, nie wiem, czy to kwestia osobista... to znaczy, czy wynika to z tego, że byłam mu tak bliska.

Zrozumiałem, że lepszy moment mi się nie trafi.

– Przepraszam, że o to pytam, ale czym on się zajmował przed śmiercią? Co pisał?

– Dlaczego pana to interesuje?

Wzruszyłem ramionami i zrobiłem przeproszającą minę.

– Nie wiem. Wydawało mi się, że w jego twórczości była pewna linia, która zdawała się wskazywać w przyszłość, zapowiadała więcej... ale jednak nic już nie napisał?

– Owszem, pisał.

– Tak?

– Po prostu nie wiemy, co się z tym stało.

– Jak to?

Znów się zawahała. Kilka razy nerwowo zaciągnęła się papierosem. Pomyślałem sobie, że w zasadzie, jeśli ktoś tyle pali, to zapewne jego nerwy nie są w najlepszej kondycji. Może tak naprawdę ta rozmowa ją męczyła bardziej niż mnie. Ta myśl pociągnęła za sobą poczucie, że mimo wszystko to ja mam kontrolę.

Choć słabą i chwilową.

– Przez całą jesień siedział nad jakimś tekstem, aż do... cóż, aż do śmierci. Manuskryptu jednak nie ma, może go zniszczył. Spalił lub... zabrał ze sobą.

– O czym pisał?

Westchnęła.

– Nie wiem. Mówił niewiele, jak zawsze, ale wydaje mi się, że był z tego tekstu zadowolony. Bardzo go zajmował. Dało się to zauważyć.

– Był wielkim pisarzem.

Posłała mi szybki uśmiech.

– Wiem.

Wypiłem łyk porto. Żałowałem, że nie jestem w pozycji, która pozwoliłaby mi na dalsze pytania. O to, dlaczego odebrał sobie życie. Dlaczego jej tak trudno było się z tym pogodzić.



Czy przypadkiem miała kochanka o imieniu G.

Rzecz jasna nie mogłem tego zrobić. Konwersowaliśmy więc jeszcze chwilę o jego książkach, zwłaszcza dwóch ostatnich, które przetłumaczyłem kilka lat temu podczas ośmiu miesięcy wytężonej pracy i które wciąż świetnie pamiętałem. Oboje żalowaliśmy, że swoje ostatnie dzieło zabrał ze sobą z tego życia. Po dwudziestu minutach dało się odczuć, że moja obecność ją męczy, zrozumiałem, że pora zostawić ją w spokoju.

W progu jeszcze mnie zatrzymała.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego chciał się pan ze mną spotkać. Czy doprawdy nie chodziło o nic innego?

– Przepraszam, że zawracałem pani głowę.

– Skądże. Po prostu odniosłam wrażenie...

– Jakie?

– Że tak naprawdę przyszedł pan do mnie z jakąś ważniejszą sprawą.

Spróbowałem się uśmiechnąć.

– Proszę wybaczyć. Absolutnie nie. Jestem prawdziwym wielbicielem twórczości pani męża, nic więcej.

Popatrzyła na mnie. Była ode mnie niższa o dobre dwadzieścia pięć centymetrów i kiedy tak staliśmy w progu, dość blisko siebie, wyobraziłem sobie nagle, jakby to było przytulić jej głowę do piersi. Nie spuszczała ze mnie wzroku jeszcze przez znaczącą chwilę, po czym cofnęła się o pół kroku i pożegnaliśmy się, nawet nie dotykając swoich rąk.

Kiedy wyszedłem na ulicę, w powietrzu wirował śnieg. Duże, ciężkie płatki opadały wolno wśród ciemnych domów. Próbowałem złapać kilka, wyciągałem po nie dłonie, ale chyba nie mogły znieść bliskości mojej skóry.

I znów żadnego dotyku.

W głowie miałem Mariam Kadhar. Zapewne byłoby tak bez względu na pogodę, ale te płatki śniegu zdawały się coś o niej mówić. Wołały do mnie z daleka, spoza słów, tak to widziałem. Stamtąd, gdzie ukrywa się tyle różnych znaczeń.

Tak, z tej wielkiej, zdrowej ciszy poza językiem i znakami oraz innym błyskiem, cytując Reina.

O ile dobrze pamiętam, zaledwie dwa dni po mojej wizycie u Mariam Kadhar zauważyłem, że ktoś mnie obserwuje.

Pierwszy raz poczułem to rano, kiedy akurat byłem na nogach o wyjątkowo wczesnej porze – spacerowałem właśnie na targ na Waterloo Märkt – a mój mózg zarejestrował to wrażenie, choć ja sam nie byłem go świadomy. Dopiero tego samego dnia po południu, kiedy mój cień pojawił się w bibliotece, gdzie rozsiadł się za mną, przy jednym ze stołów w tylnej części czytelnicy – dopiero wtedy to wspomnienie wróciło. Wiedziałem, że to ta sama osoba, która czekała na mnie przed kioskiem na Utrechtstraat, kiedy kupowałem papierosy. Wysoki, lekko przygarbiony mężczyzna w moim wieku, z brązowymi, przerzedzonymi włosami, w przyciemnionych okularach. W bibliotece powiesił płaszcz na oparciu krzesła, a kiedy na niego popatrzyłem, przeglądał akurat jakąś książkę, którą – jak mi się zdawało – zdjął z półki na chybił trafił. Rzecz jasna, nie mogłem się obrócić, żeby mu się przyjrzeć, ale chwilę później, kiedy z teczką pod pachą ruszyłem do toalety, przeszedłem zaledwie kilka metrów obok niego, mogłem więc przeanalizować jego wygląd. Na tyle miarę dokładnie, że potrafiłbym go rozpoznać, gdyby gdzieś jeszcze się pojawił.

Nie byłem jeszcze w stu procentach przekonany, czy sprawy faktycznie mają się tak, jak podejrzewam; czy mężczyzna rzeczywiście mnie śledzi. Upewniłem się jednak już tego samego wieczora, kiedy po skończonej pracy spacerem szedłem w stronę biura Maertensa na Prohaskaplein (był to

bowiem czwartek). Po przejściu zaledwie kilkuset metrów odniosłem wrażenie, że ktoś kroczy moim śladem. Przyspieszyłem, wybrałem drogę naokoło, przez Megse Plein i Verdammspark, kilka razy okrążyłem kwartał leżący na północy parku i w końcu wbiłem się w wąską uliczkę, gdzie przykucnąłem skryty za rowerami. Po zaledwie dziesięciu sekundach mężczyzna mnie minął.

Zostałem w ukryciu przez kolejnych kilka minut, aż w końcu wstałem i pokonałem dwie przecznice dzielące mnie od biura Maertensa. Cała ta historia wydała mi się absurdalna. Kimkolwiek był człowiek, któremu kazano mnie śledzić i obserwować moje poczynania, jakkolwiek cel temu przyświecał, jego działania trąciły amatorszczyzną. Trudno mi było pojąć jego cel. Najprawdopodobniejsze wydawało się – a w każdym razie jako pierwsze przyszło mi do głowy – że ma to coś wspólnego z moją wizytą u Mariam Kadhar. Lub że ktoś w jakiś sposób dowiedział się o manuskrypcie Reina.

Na tym etapie nie umiałem dopatrzeć się żadnych innych związków.

Kiedy wszedłem do biura Maertensa, zrozumiałem, że nieporadność mojego ogona można było wyjaśnić tym, że była ona zamierzona. Chodziło o to, bym uświadomił sobie, że ktoś mnie obserwuje, nie był to jednak właściwy moment na rozważania o tym, jaki kryje się za tym plan.

Okazało się bowiem, że po raz pierwszy, odkąd go wynająłem, Maertens coś dla mnie miał. Choć, jak podkreślił, równie dobrze mogło chodzić o ślepy trop, zalecił więc, bym nie robił sobie nadziei.

Potem przesunął w moją stronę niedużą szarą kopertę. Otworzyłem ją i przeczytałem nieznany mi adres.

– To na przedmieściach – wyjaśnił Maertens. – Pociągiem można tam dojechać w pół godziny.

– Więc widział ją pan tam?

Jak zwykle wzruszył ramionami.

– Nie osobiście. Jeden z moich współpracowników tam był.

– Kiedy?

– Wczoraj. Widział ją, kiedy wchodziła do jednego z bloków. Wsiadła jednak do windy i nie zdążył sprawdzić, na którym piętrze wyszła. Chłopak nieco kuleje, więc schody to dla niego problem. Wczoraj obserwowaliśmy wejście do budynku, ale się nie pojawiła.

– Jesteście pewni, że to ona?

– Bynajmniej. – Uśmiechnął się. – Znamię by się zgadzało, ale kto może powiedzieć, jak kobieta wygląda po trzech latach?

Wetknąłem kopertę do wewnętrznej kieszeni i wyszedłem. Kiedy byłem na ulicy, zegar na kościele Keymera wybił dziewiątą, uznałem więc, że lepiej będzie odłożyć wizytę na przedmieściach na jutro.

Drugiego dnia zjedliśmy obiad w hotelu. Właśnie kiedy piliśmy poobiednią kawę i paliliśmy papierosy, oznajmiła mi, że następnego ranka pojedzie spotkać się z Mauritzem Wincklerem.

Tak też się stało. Wyszedłem na balkon i patrzyłem, jak odjeżdża samochodem po krętej drodze, która przez góry prowadziła do sąsiedniej doliny i położonych w niej miejscowości. Odprowadziłem ją wzrokiem aż do momentu, gdy dojechała do przełęczy między dwoma czarnymi masywami. Tam białe audi zniknęło nagle niczym płatek śniegu w wodzie.

Temu dniu towarzyszyła szara tonacja; było ponuro, groźne ławice chmur piętrzyły się nad szczytami. Postanowiłem wybrać się w tym samym kierunku na górską przechadzkę. Nie miałem zupełnie ochoty przebywać wśród ludzi i budynków. Właściwie to nie miałem ochoty na nic, poza własną żoną, ale nie były mi obce chwile, kiedy człowiek po prostu musi uciec. Miałem tak od zawsze. Kiedy niepokój duszy jest zbyt duży, trzeba go rozcieńczyć, przekuć w coś fizycznego. Tuż po dwunastej wyruszyłem więc z kilkoma butelkami piwa oraz kanapkami, które przygotowano mi na stołówce.

Po tym, jak maszerowałem godzinę, zaczęło padać. Szybko jednak udało mi się znaleźć jaskinię, gdzie spędziłem całe popołudnie, siedząc na kamieniu i wyglądając przez szczelinę na świat, który tego dnia stracił kontury oraz wiele ze swego uroku.

Popijałem piwo, żułem gumę, w głowie odrzucając jeden plan za drugim. Pomyślałem nawet o wyjątkowo gładkiej skórze na wewnętrznej

stronie ud mojej żony. Innych kobiet też, ale Ewy w szczególności. W tamtym momencie Ewa wydała mi się paradoksalnie niewinna; takie miękkie ciało. Zastanawiałem się, czy tylko za pomocą dotyku, lekkiego przesunięcia czubkami palców, można określić na jakiej części ciała znajduje się ten lub inny odcinek skóry.

Tego typu myśli nieco mnie rozpraszały, tak więc ostateczne rozwiązanie pojawiło się w mojej głowie dopiero, gdy schodziłem z gór. Kiedy jednak stanąłem w holu hotelowym, wszystko już było jasne. Może nie co do najmniejszego szczegółu, ale w zarysie. Z uczuciem gorzkiej satysfakcji stanąłem pod prysznicem i puściłem na siebie strumień ciepłej wody, co było swoistą odmianą po zimnych strugach deszczu zalewających mnie podczas wielogodzinnej wędrówki.

Pomysł zaczerpnąłem chyba ze starego filmu, który oglądałem w młodości, zapewne w telewizji. Nie mogłem sobie przypomnieć tytułu, ani wtedy, ani później. Choć kto wie, może po prostu ta idea wiązała się z jakimś archetypem zbrodni, o źródle równie trudnym do określenia jak składniki zupy, którą tego wieczoru poczęstowała mnie – osamotnionego mnie – gospodyni.

Dojmujące poczucie samotności i pełna żałości zupa.

Ewa wróciła po trzeciej w nocy. Udawałem, że śpię. Zapewne domyśliła się, że symulowałem, ale i tak odegrała swoją rolę, poruszając się po cichutku na palcach po ciemnym pokoju zupełnie jak ja pół roku wcześniej.

Nie pamiętam, jak miała na imię tamta kobieta.

Osiedle na przedmieściu nazywało się Wassingen i składało się na nie jakieś dwadzieścia bloków oraz centrum handlowe. Nie było tam widać żadnych starszych budynków, domyśliłem się więc, że to miejsce powstało pod koniec lat sześćdziesiątych lub na początku siedemdziesiątych.

Ze stacji ruszyłem wraz z tłumem, który wił się niczym wąż przez śmierdzące, zabazgrane przejścia podziemne ku upartemu światełku dobiegającemu z położonego dalej szarego i bezpłciowego placu. Z trzech stron otaczały go sklepy oraz różnego rodzaju punkty usługowe, z czwartej zaś nieustannie owiewał go wiatr od morza. Pomyślałem, że gdyby piekło budowano w naszych czasach, można by śmiało skorzystać z takiego właśnie rozwiązania architektonicznego.

Doszedłem do właściwego bloku. Był to szarobury, upstrzony plamami grzyba betonowy kloc składający się z piętnastu pięter. Dokonałem szybkiego obliczenia, z którego wyszło mi, że budynek mieści od tysiąca do tysiąca dwustu ludzi. Na liście lokatorów wiszącej na klatce, na której ponoć detektyw z biura Maertensa widział moją żonę, widniały siedemdziesiąt dwa nazwiska. Wyszedłem i przeniosłem się do kafejki w centrum handlowym. Opracowując w głowie rozmaite strategie, jakie mógłbym obrać, obserwowałem bacznie wszystkie kobiety przechodzące za oknem, idące w tę czy drugą stronę.

Nie wymyśliłem żadnego rozsądnego planu działania, zaczęło mnie za to ogarniać poczucie desperacji i bezsensu, wtedy jednak mój wzrok padł na położony naprzeciwko kawiarni kiosk z prasą. Dopilem kawę, podszedłem do budki i zacząłem przeglądać gazetowy asortyment, aż w końcu nabyłem sześć egzemplarzy chrześcijańskiego magazynu „Przebudzenie”. Następnie udałem się znów do bloku i przystąpiłem do działania.

Przez nieco ponad godzinę udało mi się zadzwonić do sześćdziesięciu czterech mieszkań. Ponieważ był piątek, dość późno po południu, w większości – to znaczy w czterdziestu sześciu – ktoś otworzył drzwi. Sprzedałem dwa „Przebudzenia”, ale nie natrafiłem na ślad Ewy.

Pozostałe egzemplarze wyrzuciłem do zsypu i przez przejścia podziemne wróciłem na stację. Zapadł już zmierzch; coraz mocniej wbijało we mnie

swoje szpony poczucie wyobcowania; czekając na pociąg, wypłem więc trzy szklaneczki whisky w barze. Próbowałem zagadać barmana – gigantycznego wręcz atletę całego pokrytego tatuażami, on jednak zbywał mnie półsłówkami i ani razu nie oderwał wzroku od leżącego przed nim na ladzie programu zakładów. Zauważyłem, że kiedy czytał, nieznacznie poruszał ustami.

Po powrocie do domu zadzwoniłem z kawiarni na parterze do Maertensa, ponieważ jednak był piątek, nikt nie odebrał. Musiałem zatem poczekać do poniedziałku, by uregulować z nim rachunki i podziękować za jego usługi na przyszłość.

Przez resztę wieczoru też piłem whisky. Pamiętam, że w jednym z barów przy Leidse Plein omal nie wdałem się w bójkę z rudym Norwegiem, zaś w drodze powrotnej przewróciłem się o rower stojący na chodniku, co skończyło się kilkoma solidnymi obtarciami na knykciach.

Najgorszym skutkiem tego wieczoru było jednak to, że gdzieś zgubiłem listę, na której odhaczyłem numery mieszkań na Wassingen, do których udało mi się wejść. Właśnie to sprawiło, że byłem zmuszony wstrzymać się na jakiś czas z moją kolejną wizytą tam.

Tak czy inaczej wiem, że w tamtym czasie jeszcze zupełnie nie zarzuciłem myśli o znalezieniu Ewy. Przygnębienie, które dopadło mnie tego popołudnia i wieczoru, było jedynie chwilową rezygnacją w obliczu tego zadania.

Chwilową i – jak sądzę – całkiem zrozumiałą.

W poniedziałek rozliczyłem się z Maertensem. Odwiedziłem go jeszcze przed wizytą w bibliotece. Wdaliśmy się w dysputę o tym, czy trop z Wassingen można uznać za znaczący wynik śledztwa; w końcu jednak Maertens dał za wygraną i stanęło na niższej stawce.



Kiedy uścisnęliśmy sobie dłonie, nie życzył mi powodzenia. Domyśliłem się, że w jego mniemaniu najlepiej zrobię, jeśli zapomnę o całej sprawie i skupię się na czymś bardziej sensownym. Na końcu języka miałem kilka krytycznych uwag na temat jego nikłego zainteresowania i zaangażowania, powstrzymałem się jednak i opuściłem jego biuro bez słowa.

Przez cały weekend, od momentu, gdy na tapecie pojawiło się Wassingen, mniej lub bardziej udawało mi się nie myśleć o moim cieniu. Kiedy jednak przekraczałem próg biblioteki, przypominałem sobie o nim. Pojawił się w mojej świadomości niczym błędny ogień, zupełnie nagle, miałem wrażenie, jakbym mógł wywołać jego obecność w czytelniku.

Dlatego też z niejakim zawodem odnotowałem, że sala była pusta. Przez całe popołudnie mojej pracy nad tekstem Reina miałem towarzystwo jedynie przez pół godziny, kiedy to pojawiło się dwóch studentów, którzy usiedli przy jednym ze stołów w głębi i szeptem omawiali jakąś pracę.

Ogona ani śladu.

Rozeszło się, rozmyło, pomyślałem kilka razy tego poniedziałku. Wszystko się rozchodzi i rozmywa, jak wszystkie nasze cele i założenia w tym cholernym życiu.

Jednocześnie jednak zdawałem sobie sprawę, że to nieprawda. Wiedziałem, że wszystko – prędzej czy później – da się ugryźć, trzeba jedynie wykazać nieco cierpliwości i wytrwałości. Wiele na to wskazuje.

W pierwszych dniach tego tygodnia tekst Reina też nie dostarczał żadnych większych sensacji. O ile pamiętam, dopiero w czwartek natrafiłem na coś, co na nowo skłoniło mnie do spekulacji. Po wielu stronach poświęconych dość mętным wspomnieniom z czyjegoś dzieciństwa – zapewne samego R. – tekst nagle jakby się otworzył. Herbata w żółtym plastikowym kubku stygła obok, a ja tłumaczyłem, co następuje:

Dokumentacja. Podczas tych ulotnych chwil, kiedy to jego udręka odpuszcza, R. zaczyna myśleć o dokumentacji. Kiedy będzie po wszystkim, rana nie zniknie niczym odcisk stopy pod wodą, pochłonięta przez zapomnienie i dyktaturę toczącego się przed siebie „teraz”. Kiedy pewnego przedpołudnia wybrała się na targ po warzywa – jak zwykle świeże, absolutnie nie wczorajsze, takie było jej *memento mori* – przeszukał jej rzeczy. Wiedziała, że nigdy by się czegoś takiego nie dopuścił, nie starała się więc nawet niczego ukryć. Znalazł listy, cztery. Trzy były dość jasne, czwarty dowodził spisku. Spiskują, naprawdę to robią; kiedy to sobie uświadomił, poczuł krople potu na czole. Szykują zamach na jego życie. R. wyszedł na plażę napełnić płuca nieskażonym powietrzem, wszedł do wody, aż po pas. Stał tak wśród leniwych fal, zdając sobie sprawę, że jego życie było równie ulotne, było równie nadaremna walką jak starania otaczających go obślizgłych sinych meduz, które wypłynęły za daleko i nigdy już nie będą mogły wrócić. Poszedł z powrotem do domu, ona wciąż przekładała warzywa na targu, a to zajmuje czas, może poszła się pieprzyć z G. Schował listy do teczki, pojechał do miasta i zrobił kopie. Gdy wrócił, jej wciąż nie było. Zwątpił. Kopie dla potomnych? Postawił na kompromis. Dwa listy schował w szufladzie z bielizną, dwa oryginały i dwie kopie włożył do plastikowej torby, owinął papierem ściernym. Z precyzją, powolnie przygotowywał to zabezpieczenie dla potomnych. Poszedł do szopy po szpadel, rozejrzał się i wybrał. Na środku miękkiego, nierównego trawnika stał monstrualny i brzydki zegar słoneczny. Przy jego północnej ścianie, w pulchnej ziemi zakopał swój skarb i testament. Wypił kilka szklanek whisky, M. jeszcze nie było, pieprzyła się z G., już wiedział, w uniesieniu rozkładając nogi, przyjmowała w siebie tępe nasienie G. Dwa spocone zwierzęta w pokoju hotelowym w centrum miasta. Pewnie w Belwederze lub w Krausie, w sąsiedniej miejscowości, bo przecież są tak cholernie ostrożni. M. i G. Jednak on, R., popijając whisky, widział ich przed sobą. Jak się pieprzą i knują, szykują spisek na jego życie, bez wątpienia jest już prawie gotowy. Zasiadł do pisania, jak zwykle jego kontrą były słowa, te cienkie, bezkrwiste abstrakcje miały usidlić spocone ciała morderców, nieubłagany kokon słów oplatał śmierdzące członki. R. się boi, R. wie, ale pisze.

Były to strony od sto dwudziestej drugiej do sto dwudziestej trzeciej. Tego wieczoru wreszcie złamałem zasadę Darkego. Nie tłumacząc, przeczytałem

resztę manuskryptu.

Tak, w cieniu ciężkiej żeliwnej lampy podłogowej, z Beatrice drzemiącą mi na stopach, przebrnąłem przez ostatnich czterdzieści stron twórczości Germunda Reina. Kilka wersów na samym końcu było de facto cytatem z jego wcześniejszej powieści, *Legendy o prawdzie*:

Gdy pewnego dnia przestaniemy rozumieć własne życie, musimy iść dalej, zupełnie jakbyśmy byli książką lub filmem. Innych zaleceń nie ma.

Odłożyłem kartki. Zegar wskazywał kilka minut po jedenastej. Zorientowałem się, że moje ciało było napięte niczym stalowa spirala. Wstałem i spróbowałem się rozluźnić, przez chwilę przechadzałem się w tę i z powrotem po mieszkaniu, w końcu jednak przystanąłem w oknie z papierosem w ustach. Zgasilem światło i jak podczas wielu już wieczorów obserwowałem nikły ruch na zewnątrz. Myśli krzepły mi w głowie, przechodziły z jednej w drugą, na bezpieczny dystans trzymając od siebie słowa. Wiedziałem jednak jedno: muszę coś zrobić. Doszedłem do pewnego punktu, wszystkie barykady obronne były przygotowane. Nie mam pojęcia, dlaczego powierzył to zadanie mnie. Jednak od tego momentu już nie mogłem się od niego uwolnić, musiałem działać. Horacemu nie przystoi przecież popadać w zwątpienie.

Po chwili napięcie odpuściło. Zszedłem do baru na dole, jednak tego wieczoru wypilem tylko dwa piwa. Z całkiem trzeźwą głową postanowiłem, jaką strategię obejmę na przyszłość.

Nie było w tym nic dziwnego. Nie widziałem innego wyjścia ani wówczas, ani później.

Janisa Hoornego nie widziałem od dwóch i pół roku, jednak znalazłem jego nazwisko w książce telefonicznej. Kiedy zaś do niego zadzwoniłem, bez trudu przypomniał sobie nasze ostatnie spotkanie.

Miało ono miejsce w związku z niewielkimi targami książki w Kiel, gdzie spędziliśmy razem kilka wieczorów, kręcąc się po barach. Okazało się, że tak jak ja, był on typem wilka stepowego, mieliśmy więc o czym gadać, mimo że czasami stawały nam na przeszkodzie skutki jego niemałego spożycia alkoholu.

Przez to pewnych rzeczy sobie nie powiedzieliśmy. Z innych źródeł wiedziałem, że Hoorne od czasu do czasu bywał w różnego rodzaju klinikach, jednak kiedy odebrał – a było to około południa, w pierwszą niedzielę marca – mówił wyraźnie, a jego głos był energiczny. Jak wyjaśnił, akurat realizował dla telewizji jakiś projekt dotyczący ekstremalnych ruchów prawicowych. W pracy miał więc intensywny okres, mimo wszystko, kiedy mnie usłyszał, okazał niemal entuzjazm.

Właściwie chciałem go zapytać tylko o jedną drobną rzecz – oficjalnymi kanałami nie miałem możliwości zdobyć adresu letniego domu Reina, a ponieważ wiedziałem, że Hoorne tam był (opowiadał mi o tym w Kiel), postanowiłem skontaktować się z nim w pierwszej kolejności.

Hoorne podszedł entuzjastycznie do propozycji spotkania, umówiliśmy się więc na poniedziałkowy wieczór w Suuryajji, niedużej indonezyjskiej knajpce w dzielnicy Greijp.

Wizyta tam zmieniła się w długie posiedzenie, które zeszło nam na jedzeniu, picciu oraz rozmowie o kwestiach egzystencjalnych, utrzymanej w tym samym wyjątkowym, nieco sarkastycznym tonie, jaki pamiętałem z wieczorów spędzonych wspólnie przed ponad dwoma laty.

Hoorneho bynajmniej nie zdziwiło, że miałem zamiar pojechać do domku R. nad morzem – jako przykrywki użyłem historii o tym, jak to spisuję wspomnienia, z których być może wkrótce ukuję coś na kształt biografii. Kiedy się rozchodziliśmy, a była już późna noc, w kieszeni miałem adres oraz pieczołowicie rozrysowaną mapkę dojazdu. Dowiedziałem się też, że dom nazywano często Wiśniowym Sadem, choć Hoorne nie wiedział, dlaczego. Naturalnie było to nawiązanie do Czechowa, żaden z nas nie umiał się jednak dopatrzeć szczególnego podobieństwa, choć nieco na ten temat spekulowaliśmy. Ostrożnie starałem się też naprowadzić go na temat Reina i jego małżeństwa, bądź co bądź Hoorne trochę go znał. Nie dowiedziałem się jednak niczego, co mogłoby prowokować jakiegokolwiek podejrzenia co do śmierci Reina. Przeciwnie; dla Hoorneho to samobójstwo nie było żadnym zaskoczeniem. Reine znalazł się po prostu w tej fazie, twierdził Hoorne, w jednym z życiowych dołów, kiedy to można się zastanawiać tylko nad tym, czy wahadło ma nam wybić raz jeszcze, czy nie.

Najoczywistsza sprawa na świecie.

Dalej go nie cisnąłem. Nie wiedziałem, jakie ma źródła, z kim się zadaje – o ile w ogóle prowadził jakieś życie towarzyskie – to, co mogłem sprawdzić, opierało się więc na niczym więcej, jak na podsuwanych mu spekulacjach. Kiedy próbowałem się dowiedzieć, czy małżeństwo Reina i Mariam Kadhar było udane, wzruszył tylko ramionami i skontrolował pytaniem o to, czy kiedykolwiek słyszałem o czymś, co zwykle się zwać

istotą kobiety. Najwyraźniej uznał, że to genialna, a zarazem wyczerpująca odpowiedź, nie ciągnąłem więc tego wątku.

Jak wspomniałem, rozeszliśmy się późno. Ponieważ mnie zostało jeszcze kilka miesięcy w A., postanowiliśmy, że zgadamy się jeszcze za kilka tygodni, do kiedy to Hoorne miał skończyć swój projekt dla telewizji. Wpadł na pomysł, że możemy spędzić weekend nad morzem, w Molnar położonym zaledwie kilka mil od domu Reina, gdzie Hoorne miał dom odziedziczony po ojcu, całkiem znanym historyku wojennym Pieterze Hoornem.

Powiedziałem, że cieszy mnie taki plan, choć zdawałem sobie sprawę z tego, że za kilka tygodni sprawy mogą przybrać taki obrót, że nasza wyprawa nie będzie mogła dojść do skutku.

Dzień po spotkaniu z Hoornem poświęciłem godzinę na sprawdzenie połączeń autobusowych i kolejowych do Behrensee, miejsciny położonej najbliżej domu Reina. Po tym się poddałem. Korzystanie ze środków komunikacji publicznej wiązało się w tym przypadku z wieloma niedogodnymi przesiadkami oraz sześciomilowym spacerem wzdłuż wybrzeża. W takim układzie postanowiłem wynająć na jeden dzień samochód.

Tuż przed zamknięciem Hertza na Burgisgracht udało mi się zamówić na środę niewielkie renault. To właśnie po wyjściu z biura po raz kolejny spotkałem mój cień.

Stał po drugiej stronie wąskiego kanału i najwyraźniej udawał, że obserwuje coś w ciemnej, nieruchomej toni. Zmienił długi płaszcz na skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem, do tego miał na sobie zrobioną na drutach, ciemną czapkę, od razu go jednak poznałem. Ta sama poduzna końska twarz, uniesione ramiona i skrzywiona sylwetka. Te same okulary.

Przez chwilę zastanawiałem się, co począć, to chyba wystarczyło mu, by się zorientować, że go dostrzegłem. Powoli ruszyłem w stronę centrum, on zaś szedł za mną, ale gdzieś na Kalverstraat skręcił w boczną uliczkę i zniknął.

Mimo że kręciłem się po okolicy przez dłuższą chwilę, nie dojrzałem go już więcej, w końcu więc poddałem się i wsiadłem w tramwaj jadący na Ferdinanda Bola. Kołysząc się uwieszony na uchwycie, przeklinałem pod nosem i obiecywałem sobie, że następnym razem mu nie przepuszczę. Choć w zasadzie nie umiałem zdecydować, czy najlepiej będzie skonfrontować się z nim czy może zamienić role.

W ogóle trudno mi było pojąć, co tak naprawdę działo się w tych pierwszych dniach marca. Pogoda nagle uderzyła wiosennym ciepłem, tak że na swój sposób odniosłem wrażenie, że oznaczało to także zmiany w zupełnie innych kwestiach. W tej grze, która się wokół mnie rozgrywała (pamiętam, że takiego sformułowania wówczas użyłem), moja pozycja zmieniała się co i rusz; w tamtym czasie nie opuszczało mnie poczucie, że jestem manipulowany. Coraz większą iluzją wydawało mi się to, że moje decyzje i poczynania w rzeczywistości zależą od mojej wolnej woli. Wielokroć dochodziłem do wniosku, że właśnie o to się to wszystko rozbija.

O iluzję.

– Nie rozumiesz, że błędzisz? – powiedziałem.

– Wcale nie błędzę – odparła Ewa, nawet na mnie nie patrząc.

Na tym nasza rozmowa się skończyła. Siedzieliśmy w restauracji Gasthof numer dwa. Zjedliśmy w ciszy, nagle poczułem, że język, słowa są ciężkie jak ołów i że żadne z nas nie da rady wyciągnąć ich z tego głębokiego bagna, w którym sami wylądowaliśmy. Zupełnie jak przed

zbliżającą się wojną znaleźliśmy się w punkcie, gdzie wszystkie negocjacje się sypią, a jedynym, co pozostaje, jest działanie.

Potem poszliśmy na długi spacer po miasteczku. Przez jakiś czas siedzieliśmy pod kasztanem rosnącym przed szkołą, wówczas zamkniętą na czas wakacji, i obserwowaliśmy ubranych na czarno starszych mężczyzn, którzy nieopodal grali w bule.

– Miałem przecież i inne kobiety – powiedziałem.

Ewa nie odpowiedziała. Z kasztanowca zeskoczyła wiewiórka, na chwilę zatrzymała się u naszych stóp, przyglądała się nam, a potem uciekła. Sam nie wiem, dlaczego zapamiętałem to zwierzątko i ten moment, kiedy w bezruchu patrzyło na nas z odległości zaledwie metra. Co więcej, wiem, że nigdy go nie zapomnę. Chyba spokoju nie dawała mi ta wyjątkowość zwierzęcego spojrzenia, w którym zawsze kryje się niesformułowane pytanie.

– Nic dla mnie nie znaczyły – dodałem.

Ewa nabrała powietrza.

– I to właśnie nas różni – odparła.

– Co?

– Ja miałam tylko jednego innego, a on znaczy dla mnie wszystko.

Nie odpowiedziałem. Po chwili wstaliśmy i ruszyliśmy z powrotem do hotelu.

Następnego dnia, naszego czwartego w Graues, oznajmiłem Ewie, że chcę go spędzić sam, by móc przemyśleć to i owo. Zaznaczyłem, że będę potrzebował samochodu, białego audi, które wynajęliśmy na wakacje. Nie protestowała. Uświadomiłem sobie, że na pewno Mauritz Winckler miał swoje auto w wiosce po drugiej stronie gór, jeśli więc planowali się spotkać, nic nie stało temu na przeszkodzie.



Wyruszyłem tuż po śniadaniu. Oczywiście z najwyższą czujnością obserwowałem wszystkie detale trasy prowadzącej do przełęczy. Dzień był pogodny, tylko gdzieś tam na niebie widniały pojedyncze pasma chmur. Kiedy już dojechałem na górę, okazało się, że rzeczywiście było tak, jak przypuszczałem. Jedynym krytycznym punktem był wyjazd z hotelu, jeśli jednak założyło się, że na głównej drodze nagle nie pojawi się samochód, który trzeba by przepuścić, to na całej trasie nie trzeba było hamować. Podczas dziesięciominutowego podjazdu mijano się kilka ostrych zakrętów, ale nachylenie było tak strome, że ani razu nie przyszło mi do głowy, by zdjąć nogę z gazu.

Przejechałem szczyt i zatrzymałem się w niewielkiej zatoczce parkingowej z rozciągającym się na wiele mil widokiem sąsiedniej doliny. Z ustawionej tam tablicy turystycznej wynikało, że punkt ten leży tysiąc osiemset dwadzieścia metrów nad poziomem morza, podczas gdy okoliczne szczyty osiągają wysokość trzech tysięcy. Przysiadłem na barierce i, paląc papierosa, wpatrywałem się w krętą asfaltową drogę schodzącą do zabudowań, choć bardziej mogłem się domyślać jej przebiegu, gdyż miejscami była niewidoczna. Pojawiała się i znikwała za skałami i wyłomami. Najwyraźniej była to trasa, którą pokonywało się równie wolno jak tę, którą tu wjechałem. Poniżej, jakiś kilometr ode mnie, widziałem sztucznie gładką powierzchnię zbiornika Lauerna, gigantycznego zalewu, o którym czytałem w folderach turystycznych. Miał nieprzenikniony szmaragdowy kolor i, o ile pamiętałem, mieścił do miliarda metrów sześciennych wody.

Zgasilem peta. Zamknąłem oczy, próbując wszystko to sobie wyobrazić. Nie było to szczególnie trudne.

Ani trochę.

Zamiast od razu wybrać się do zalewu i stojących obok domów, postanowiłem po raz kolejny sprawdzić podjazd. Zjechałem z powrotem do Graues, wypilem piwo w barze przy rynku głównym, a potem znów ruszyłem w górę. W ten sposób dwukrotnie minąłem nasz hotel, darowałem sobie jednak zatrzymywanie się i sprawdzanie tego krytycznego miejsca przy wyjeździe. Nie wiedziałem przecież, czy Ewa przypadkiem nadal jest w pokoju czy może już leży w objęciach Mauritza Wincklera.

Swoją drogą, nic nie wskazywało na to, by obie z tych opcji nie mogły być prawdziwe.

To znaczy, by nie mogła leżeć w jego objęciach w naszym pokoju.

Druga próba potwierdziła wnioski pierwszej. Przejazd z hotelu do przełęczy zajmował niecałe jedenaście minut i ani razu podczas tej trasy nie miałem potrzeby korzystać z hamulców. Jak dotąd wszystko szło dobrze, przede mną jednak była decydująca część.

Zjazd.

Niemal trzy godziny zajęło mi wypracowanie najbardziej wiarygodnego scenariusza, a w tym czasie pokonałem tę trasę nie mniej niż osiem razy w każdą stronę. Wielokroć przysiadłem na parkingu na górze, paliłem i zastanawiałem się. By wyrobić sobie jak najprawdziwszy obraz sytuacji, starałem się zjeżdżać tylko do tego momentu, do jakiego dało się dotrzeć bez używania hamulców. Dwie ostatnie przejażdżki stanowiły niemałe zagrożenie dla mojego własnego życia, ponieważ mknąłem przez zakręty na najniższym biegu. Sprawdziłem też, czy przypadkiem wzdłuż drogi nie ma zatoczek lub innych miejsc, gdzie można by wyhamować prędkość – z okrutną satysfakcją stwierdziłem jednak, że nie.

Najniżej udało mi się zjechać nieco ponad kilometr, ale to przy najwyższej ostrożności i na jedyńce. Pierwsze zakręty dawało się jeszcze pokonać. Wydawało mi się, że nawet kierowca w stanie szoku dałby im

radę. Podobnie rzecz się miała z kilkoma pętłami, gdzie można było się relatywnie miękko zatrzymać na skalnej ścianie. Dalszy odcinek był jednak gorszy – niemal sto metrów, proste i strome nachylenie w dół z pionową skałą po prawej stronie i równie pionową przepaścią po lewej. Jakby nie próbować, niemożliwym było, by bez użycia hamulców zmniejszyć prędkość przed ostrym zakrętem w prawo kończącym ten odcinek. Kiedy ja sam skręciłem w tym miejscu, samochód zarzuciło na lewo, w stronę uskoku. Wysoka na trzydzieści centymetrów kamienna barierka, miejscami dziurawa, stanowiła jedyną ochronę. W końcu więc podjąłem decyzję: to rozegra się tutaj, dokładnie tutaj.

Ściany przepaści były niemal całkiem pionowe na odcinku około pięćdziesięciu metrów. Niżej stromizna nieco łagodniała, ale pokrywały ją ostre skały oraz wystające kamienie nieporośnięte żadną roślinnością, a na dnie – co najlepsze ze wszystkiego – rozciągała się gładka powierzchnia zalewu Lauern.

Łącznie dawało to spadek z wysokości stu metrów. Tu i ówdzie można było zahaczyć o kolce na skalnej ścianie, a potem plum do szmaragdowego zbiornika o pojemności miliarda metrów sześciennych.

Nietrudno było to sobie wyobrazić.

Zjadłem obiad w Wörmlingen, pierwszej miejscowości w dolinie położonej poniżej zalewu. Naskrobałem kilka pocztówek do przyjaciół i znajomych, opisując, jak to cudownie bawimy się na wakacjach. D. oraz S. zdradziłem nawet, że dla mnie i dla Ewy ten urlop to taka powtórka z miesiąca miodowego i że doprawdy w górach łatwo znaleźć ustronne gniazdka miłości.

Gdy po raz ostatni mijałem przełęcz, zacząłem rozważać techniczne aspekty tego przedsięwzięcia. Od zawsze jednak miałem smykałkę do maszyn i samochodów, wiedziałem więc, że nie napotkam tu na jakies

większe kłopoty. Jediną sprawą, zaplanowaniu której należało poświęcić nieco więcej uwagi, było to, gdzie się podziać. W końcu potrzebowałem popracować w spokoju przez kilka godzin. Uznałem jednak, że i to się da rozwiązać.

Po południu następnego dnia Ewa oznajmiła, że nazajutrz chciałby zabrać samochód, a do tego czasu udało mi się już rozwiązać nawet i tę małą trudność.

– Jasne – odpowiedziałem, nie podnosząc wzroku znad książki, którą akurat przeglądałem. – Weź go. Dziś rano zatankowałem, możesz więc śmiało jechać.

Pamiętam, że podeszła wtedy do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu. Trwało to jednak tylko chwilę, sekundę; nadal wpatrywałem się w książkę.

Najwyraźniej źle spałem nocy poprzedzającej wyjazd do domku Reina, bo choć był to zaledwie stukilometrowy odcinek, w połowie drogi musiałem się zatrzymać i napić czarnej kawy.

Inaczej bym zasnął.

Tak jak przez kilka ostatnich dni niebo było bezchmurne, wiał wiosenny wiatr, do tego termometr wskazywał około piętnastu stopni. Pod stopami czuło się, jak ziemia rośnie. Bez wątpienia pogoda miała pozytywny wpływ na mój nastrój i podejmowane przeze mnie działania. Niełatwo było bowiem zdecydować o tym, by wyprawić się do Wiśniowego Sadu i przekopać ogród w poszukiwaniu kompromitujących listów (czy co też tam się znajdowało). Potrzebowałem zatem wsparcia z każdej możliwej strony. Szukałem więc – świadomie bądź nie – wszelkich znaków, które jakkolwiek dałoby się uznać za korzystne, za swego rodzaju utwierdzenie mnie w przekonaniu, że obrałem dobrą drogę. W zasadzie rozglądałem się za nimi przez cały mój pobyt w A., ale tego dnia wyjątkowo usilnie. Gorące promienie słońca. Białe i żółte kwiaty rozkwitające przy w rowach. Miły uśmiech dziewczyny w kasie kawiarni. Cokolwiek.

Być może coś zupełnie odwrotnego – złe omeny czy skwaśniałe kasjerki – odwiodłyby mnie od planu. Teraz, po fakcie, trudno określić. Stało się, jak się stało, ale też nic dziwnego nie było w tym, że człowiek pomyślał sobie, iż wszystko mogło potoczyć się inaczej, gdyby pogoda w drugim tygodniu marca nieco mniej sprzyjała.

Na rynku w Behrensee był akurat dzień targowy. Zaparkowałem przed kościołem i z mapką Hoornego w ręku ruszyłem w tłum, próbując zorientować się w terenie. Wciąż nie widziałem morza, choć dość wyraźnie czułem jego bliskość w nozdrzach. Może nawet je słyszałem: odległy, przytłumiony szum schowany gdzieś za wszystkimi ludzkimi głosami i harmidrem unoszącym się nad rynkiem. Jakiś na wpół przerdzewiały znak informował, że do plaży jest jedynie półtora kilometra.

Z jakiegoś powodu naszała mnie ochota, by najpierw zrobić zakupy w targowych budkach. Kiedy więc pół godziny później – gdy zegar na niskim, pobielanym ratuszu wybił pierwszą – ruszyłem w stronę plaży, na siedzeniu pasażera miałem całkiem pełną torbę. Owoce, chleb, domowa marmolada i ser. Do tego butelka cydru, przy picciu którego, o ile zrozumiałem, należy zachować ostrożność.

Sto metrów przed brzegiem plaży porośniętej wysoką trawą i wysmaganymi wiatrem krzewami droga się rozwidła. Pojechałem na południe. Według Janisa Hoornego stąd były już tylko trzy kilometry, należało jedynie wypatrywać ruin młyna po prawej. Z tego miejsca można już było dostrzec zarys Wiśniowego Sadu ukryty za rzędem sosen rosnących przy samej plaży. Jechałem powoli wąską asfaltową drogą, którą w dużej mierze pokrywał piach. Po paru minutach znalazłem się przy zawałającym się młynie. Przystanąłem i rozejrzałem się.

Owszem, po prawej wśród drzew stał dom odpowiadający rysopisowi. Znajdowała się tam również poryta łuszczącą się niebieską farbą skrzynka na listy oraz droga prowadząca do swego rodzaju naturalnego garażu pomiędzy drzewami, gdzie mogło się zmieścić od czterech do pięciu samochodów.

I tu właśnie pojawił się problem. Pod dachem splecionych gałęzi stał zaparkowany czerwony mercedes. Zrozumiałem, że ciepła pogoda wcale

nie była moim sprzymierzeńcem, jak to sobie wcześniej wyobrażałem. Najwidoczniej i innych przyciągnęła nad morze, a ponieważ nie miałem ochoty wpaść na Mariam Kadhar bądź kogokolwiek innego, minąłem zjazd i ruszyłem dalej na południe.

Kiedy już dom był poza zasięgiem wzroku, zjechałem z drogi i zaparkowałem wśród powykrzywianych sosen. Zapewne posadzono je wzdłuż plaży, by zatrzymywały piach, ale sprawdzały się też świetnie w innej roli; zapewniały bowiem zacienione miejsce na obiad rodzinom, które wybierały się na niedzielne wakacyjne wyprawy. W każdym razie tak było tutaj, między położonymi na plaży domami, które leżały to tu, to tam, w sporej odległości od siebie. Nie udało mi się dobrze przyjrzeć domowi Reina, ale domyślałem się, że była to siedziba z najwyższej półki cenowej.

Bo i czemu nie miałby sobie na to pozwolić?

Z torbą w ręku ruszyłem pod wiatr w stronę plaży. Cofnąłem się dość daleko na północ, idąc po mokrym piachu, który od czasu do czasu lizały spienione fale. Spacerowałem powoli, z głową wykręconą do tyłu, ponieważ wystawiałem twarz do szczodrego tego dnia słońca. Nad wodą mewy kręciły ósemki, wypełniając powietrze skrzeczeniem. Spotkałem samotnego biegacza w czerwonym kombinezonie oraz kobietę z psem, poza tym jednak plaża była pusta jak okiem sięgnąć od cypla przy Behrensee, gdzie teren się podnosił, po horyzont na południu.

Po około dziesięciu minutach znów wspiałem się na wydmę. Zacząłem wracać przez piaszczyste pagórki, a kiedy już znalazłem się na wysokości Wiśniowego Sadu, schowałem się w osłoniętym rowie i przygotowałem się do oczekiwania.

Słońce grzało na całego. Zjadłem nieco sera i chleba, wypłem kilka łyków mocnego, słodkiego cydru, a po chwili zasnąłem.

Gdy się obudziłem, nie wiedziałem, gdzie jestem.

Jak większość ludzi – a radziłem się w tej sprawie wielu lekarzy, ale i dyletantów – rankiem zdarza mi się mieć kilkusekundowe zaćmienie. Taką nieruchomą, jakby zastygłą chwilę, kiedy to człowiek wyłowiony ze snu na niemą powierzchnię rzeczywistości w zasadzie mógłby być kimkolwiek. Mógłby znaleźć się w jakimkolwiek czasie, jakiegokolwiek przestrzeni. Od czasu zaginięcia Ewy nauczyłem się wykorzystywać poczucie wolności towarzyszące tym momentom nieświadomości – w ten sposób udało mi się zebrać przez te trzy lata kilka minut, podczas których nadal – że tak powiem – ją miałem. Zawsze to coś, zwykłem sobie mówić, jednakże tym razem – nad morzem w Behrensee, nie było mowy o prostym ukojeniu. Było to coś o wiele silniejszego, może nawet coś radykalnie innego.

Leżałem na plecach. Nade mną, po nieboskłonie krążyły mewy. Słońce grzało. Słyszałem szum morza i szelest wiatru w nabrzeżnej trawie.

Mijały sekundy.

Ewa? – pomyślałem. Z reguły to to skojarzenie budziło mnie do życia. Przypomniałem sobie Graues.

Moment, kiedy wróciłem do domu trzy i pół roku temu.

Przesłuchania policyjne. Zieloną koszulę komisarza Morta z plamami potu pod pachami.

Rozmowy z dobrymi przyjaciółmi i opiekunami.

Miesiące spędzone w szpitalu oraz wyprowadzkę z mieszkania. Moją nową pracę i powrót do tłumaczenia. Nieudany romans z Maureen. Nieudaną podróż z B.

Gdzie się znajdowałem?

Na szyję weszła mi mrówka. Mewy skrzeczały. Gdzie?

Minęła dobra minuta, zanim wróciła mi świadomość, a otrzeźwił mnie odgłos kasłania.



Tak wyraźnie, jakby leżała tuż obok mnie na piasku, usłyszałem kasznięcie Ewy podczas koncertu skrzypcowego Beethovena. Czułem się jak... cóż, chyba takie właśnie wrażenie ma się, kiedy ktoś śmiertelnie cię postrzeli. Lub gdy krzesło elektryczne zostaje podłączone do prądu.

Przeżyłem jednak. Zamknąłem oczy, po czym sięgnąłem po butelkę cydru schowaną w torbie. Łyknąłem sobie od serca i zapaliłem – wciąż nie otwierając oczu – papierosa.

Leżałem z nim nie ruchomo. Powoli zaczynałem się uspokajać, a żeby zająć mój umysł czymś neutralnym, zacząłem się zastanawiać nad wybiórczymi mechanizmami pamięci.

A może wcale nie można tu mówić o wybiórczości? Czy pamięć, lub też raczej zapomnienie, były jedynym skutecznym lekiem na życie?

Tak sędzę. Tak w każdym razie wydawało mi się, gdy wówczas leżałem w piachu, a nie miałem nigdy powodu, by od tamtej pory zmienić zdanie w tym względzie.

Zapomnienie.

Po kilku minutach otrzeźwiałem. Podniosłem się do brzegu rowu, by popatrzeć na Wiśniowy Sad. Dom w większości przesłaniały sosny, ale nadal widać było czerwonego mercedesa, zaś z wystającego zza rzędu drzew komina unosiła się smużka dymu, którą od razu rozdmuchiwał wiatr.

Zerknąłem na zegarek. Wpół do trzeciej. Znów padłem na piach. Sformułowałem w myślach dwa pytania:

Czy ten ktoś miał zamiar zostać tam na noc?

O której godzinie zrobi się dość ciemno, bym mógł tam bezpiecznie podejść?

Spożywając jeszcze trochę prowiantu, uświadomiłem sobie, że wiele zależy od położenia samego zegara słonecznego. A żeby go zlokalizować,

muszę się tam zakraść za dnia. Błąkanie się po ciemku i szukanie go po omacku zdecydowanie nie było dobrym pomysłem.

Jakąś godzinę później wiedziałem już wszystko. Zegar prezentował się mało ciekawie, dokładnie jak to sugerował Rein. Była to nieproporcjonalnie duża, masywna rzeźba z brązu, stojąca w majestatycznym osamotnieniu na środku ogromnego trawnika. Od domu dzieliło go dobrych dwadzieścia metrów, uznałem więc, że zakradnięcie się tam pod osłoną ciemności nie wiązało się ze szczególnie dużym ryzykiem. Mercedes stał na miejscu. Przelotem dostrzegłem też kilkoro ludzi, ewidentnie – pomimo pięknej pogody – woleli siedzieć w domu, w każdym razie starali się nie rzucać w oczy. Ja większość czasu spędziłem leżąc na brzuchu, z głową wetkniętą pomiędzy dwie kępy trawy, dzięki czemu mogłem spokojnie kontrolować, co się dzieje w Wiśniowym Sadzie.

A działało się niewiele. A do tego nic szczególnie ciekawego. Leżąc tak w oczekiwaniu na zapadnięcie zmroku, zdążyłem wypalić jakieś dwadzieścia papierosów, a zatem więcej niż wynosi moja dzienna dawka, zaś prowiant skończył mi się na długo przed tym, jak zaczęło zmierzchać.

Jednocześnie jednak czułem narastający spokój. Te niezmacone prawie niczym godziny spędzone na plaży przyniosły relaks i regenerację, których, jak sądzę, było mi trzeba i które zbierałem w sobie, by móc je wykorzystać później. Po tym minutowym zaćmieniu oraz jakże szokującym wybudzeniu się z niego, nerwy odpuściły, poczucie niepokoju zostało przyćmione i kiedy wpół do dziewiątej zacząłem się ostrożnie zbliżać w stronę domu, nie czułem jakiegoś większego napięcia. W oknach na parterze paliło się światło, jednak rzucana przez nie poświata nie sięgała na trawnik dalej niż na kilka metrów. Uznałem, że dla kogoś patrzącego z wnętrza domu, zegar słoneczny pewnie nawet nie odznaczał się na tle wydmy i otaczających go ciemnych drzew.

Pochylony, zakradając się po trawie, doszedłem do metrowego, ceglanego cokołu, na którym stał zegar. Po omacku zacząłem sprawdzać rękami luźną ziemię u jego stóp. Nie wziąłem ze sobą szpadla, wiedziałem przecież, że Rein nie miał powodu, by kopać zbyt głęboko. Już po minucie znalazłem to, czego szukałem.

Było to dość małe, płaskie zawiniątko. Dokładnie tak, jak pisał, owinięte w papier ścierny, miało może dwadzieścia na piętnaście centymetrów, do tego kilka centymetrów grubości. Oczyszcziłem je, wyrównałem ziemię wokół cokołu, po czym wycofałem się przez drzewa na plażę. W tym samym momencie, gdy minąłem wydmę, księżyc wyjrzał zza chmury, kładąc na całej zatoczce srebrzysty dywan.

Kolejny znak, pomyślałem.

Powrót do A. zajął mi półtorej godziny. Wciąż byłem skoncentrowany, ale mój nastrój był dość neutralny. Pakiet Reina leżał obok na siedzeniu pasażera, raz po raz rzucałem na niego okiem, choć bez szczególnego podniecenia, nie rozbudzał też jakoś bardzo mojej ciekawości.

Potem, gdy już oddałem samochód oraz kluczyki do biura Hertza, wybrałem się na kilka drinków do Vlissingen, zdarzyło mi się zostawić zawiniątko na stole, zupełnie bez nadzoru, gdy chodziłem do łazienki i baru.

Jeśli to nie było kuszenie losu, to przynajmniej dawanie mu szansy. Próba zainterweniowania, zanim będzie za późno.

Nic się jednak nie wydarzyło. Tego wieczoru los nie był w pracy. Wróciłem do domu około północy, a po wyczyszczeniu kuwety i nakarmieniu Beatrice, wetknąłem brudny pakiet za książki na najwyższej półce w regale. Postanowiłem też, że zostawię go tam na kilka dni, aby i sobie dać szansę na zostawienie spraw własnemu biegowi.

Najwyraźniej moja drzemka na plaży okazała się za krótka, bo pamiętam, że ledwo zdążyłem zrzucić z siebie ubranie, zwałem się do łóżka.

Zdarzają się dni, kiedy człowiek, kładąc się, ma wrażenie, że jest kimś zupełnie innym niż w momencie, kiedy wstawał. Pamiętam, że właśnie to zdążyłem jeszcze sobie pomyśleć tamtej nocy.

Kiedy pojechała, wróciłem do łóżka. Leżałem chwilę i próbowałem czytać te dwie książki, za które zabrałem się wcześniej, nie umiałem się jednak skupić. Wstałem więc i wziąłem gorący prysznic, podczas którego zastanawiałem się, co robić tego dnia... Właśnie uświadomiłem sobie, że już wcześniej opisałem moje czynności tego ranka, ale tu pojawiają się one we właściwym kontekście.

W końcu zdecydowałem, że wybiorę się na przechadzkę wzdłuż rzeki. Czułem, że bardzo potrzebuję ruchu, a pogoda była znacznie lepsza niż podczas mojej wędrówki do groty przed paroma dniami. Tym razem nie zwracałem głowy gospodyni i nie prosiłem jej o prowiant. Wzdłuż rzeki stało wiele zabudowań, wiedziałem, że znajdę jakiś otwarty sklep lub kawiarnię.

Dzień był piękny. Przez cztery godziny spacerowałem nad wartkim nurtem. Od czasu do czasu robiłem krótkie przerwy, podczas których przysiadłem na kamieniu i obserwowałem spektakularną przyrodę oraz rybaków, którzy stali w rwącej wodzie z wędkami w dłoniach. Razem pokonałem jakieś pięć kilometrów w górę nurtu, gdzie trafiłem na kafejkę połączoną ze sklepikiem z pamiątkami. Zjadłem kanapkę i wypłem dwa piwa, byłem bowiem spragniony z powodu wysiłku i cieplej pogody. Kupiłem też pocztówki i uciałem sobie krótką pogawędkę z właścicielem, kragłym i zażywnym Tyrolczykiem, który sporo podróżował i, jak się okazało, na początku lat osiemdziesiątych był przejazdem w moim rodzinnym mieście.

Wróciłem do Graues i zjadłem obiad w Gasthofie numer trzy, potem zrobiłem rundkę po sklepach. Gdy przekraczałem próg hotelu, była już siódma wieczorem. Pani H. przywitała mnie jak zwykle ze swojej stróżówki, zapytała, czy dzień upłynął mi miło, na co odparłem, że był bardzo owocny.

– Czy moja żona już wróciła? – spytałem.

– Jeszcze nie.

Pokręciła głową, a jej uśmiech chyba nie do końca był szczery. Może nie umknęło jej uwadze, że ja i żona wyjątkowo dużo czasu spędzamy osobno. Mimo to pokiwałem głową z beztroską miną i chwyciłem klucz, który przesunęła w moją stronę po wypolerowanej marmurowej ladzie.

Jednak kiedy wszedłem do pokoju, coś we mnie pękło. Ni z tego, ni z owego pojawiły się silne napady bólu brzucha. Jakby ktoś rozcinał mnie nożem, czułem to zwłaszcza tuż pod pępkiem. Potem pojawiły się mdłości. Poszedłem do toalety, uklęknąłem przed sedesem i po chwili zwróciłem wszystko, co zjadłem w czasie dnia.

Zataczając się na nogach, wróciłem do pokoju i padłem wyczerpany na łóżko. Przez uchylone drzwi balkonowe słyszałem, jak zegar na stojącej na stoku kapliczce wybija wpół do ósmej. Rozległy się dwa głucho uderzenia, które dziwnie długo wisały nad doliną.

Zamknąłem oczy i starałem się nie myśleć o niczym.

Wieczorem następnego dnia – a była to sobota – powiadomiłem panią H., że moja żona zaginęła. Policja przybyła na miejsce w niedzielę po południowej mszy.

Objawiła się w postaci niezwykle delikatnego pana Ahrenmeyera, chudego sześćdziesięciolatka, który pełnił funkcję zwierzchnika policji w Graues. Zimą, kiedy napływ turystów był największy, przydzielano mu kilku pomocników, ale przez resztę roku poziom przestępczości

w miasteczku był tak nikły – w każdym razie tak twierdziła pani H. – że w zasadzie obyliby się tam bez mundurowych. Chyba ona i Ahrenmeyer czuli się zakłopotani swoją obecnością, trudno jednak było powiedzieć, z czego to wynikało. Może chodziło o jakąś nieodwzajemnioną miłość. Oboje byli w podobnym wieku.

Usiadłem z nim na balkonie. Ahrenmeyer notował wszystko w czarnym notesie o woskowanych okładkach, pykając przy tym z fajki i od czasu do czasu okazując mi swoje współczucie i zaangażowanie. Najbardziej martwiło go rzecz jasna to, że Ewa zaginęła na terenie jego rejonu, a nie gdzie indziej, był jednak na tyle wyrozumiały, że rozumiał, iż ja cierpię bardziej niż on.

W zasadzie nie pytał mnie o nic innego, jak tylko o wygląd Ewy oraz audi i o godzinę, o której wyjechała. Gdy żegnał się ze mną niecałe dwadzieścia minut później, obiecał mi, że natychmiast roześle informację o zaginięciu. Przyrzekł też, że odda mi zdjęcie, które mu pożyczyłem, jak tylko je skopiuje.

Dopiero trzy dni później pojawił się komisarz Mort. Nie wiem, czy to Ahrenmeyer go ściągnął, czy może taką decyzję podjął ktoś wyżej. Tak czy inaczej Mort był policjantem większego kalibru. Był małym i zwinnym człowiekiem z czarnymi wybrylantowanymi włosami oraz zimnymi jak lód zielonymi oczami. Pomyślałem, że jeśli człowiek rodzi się z takimi oczami, to od razu ma się predyspozycje ku temu, by prędzej czy później zostać policjantem.

Tym razem przesłuchanie odbyło się na posterunku w Graues. Przy chwiejnym stoliku z płyty piłśniowej oraz włączonym magnetofonie. Pamiętam jak dziś.

– Proszę natychmiast powiedzieć, co pan o tym sądzi! – zaczął.

Nie zdążyłem odpowiedzieć.

– Wie pan, gdzie ona jest, czyż nie?

– Nie...

– Pańska żona musiała mieć jakiś powód, by tak po prostu stąd wyjechać. Zaprzeczy pan?

– Tak. Coś musiało się jej przytrafić...

– Co?

Wzruszyłem ramionami. Mort wskazał na magnetofon.

– Nie wiem – powiedziałem.

– Ma pan jakieś propozycje?

– Nie.

Pochylił się w moją stronę na tyle blisko, że czułem jego nieświeży oddech. Z jakiegoś powodu strasznie się pocił, mimo że marynarkę odwiesił na oparcie krzesła i miał na sobie jedynie koszulę z krótkim rękawem.

– Pokłóciliście się, tak?

– Nie.

– Kłamie pan.

– Nie. Dlaczegoż mielibyśmy się pokłócić?

Zarechotał, a jego śmiech bardziej przypominał szczekanie.

– Pani H. z hotelu twierdzi, że prawie cały czas spędzaliście osobno.

– ...

– Słucham?

– Mamy różne zainteresowania.

– Akurat.

Nastąpiła pauza, podczas której każdy z nas zapalił papierosa.

– Czy miał pan powód, by sprzątnąć swoją żonę z drogi?

Pamiętam, że akurat w tym momencie zaciągałem się dymem, musiało więc to być przy pierwszym buchu. Atak kaszlu, który mnie dopadł był tak



gwałtowny, że Mort w końcu wstał, obszedł stół i poklepał mnie po plecach.

Zdawałem sobie sprawę, że ta nagła reakcja bynajmniej nie sprawiła, że zyskałem w oczach komisarza, jednocześnie jednak czułem, jak narasta we mnie swoista złość.

– Dziękuję. Co pan sugeruje?

– Sugeruję?

– Sugeruje pan, że miałem coś wspólnego z zaginięciem żony.

– Co ma pan na myśli?

Przez chwilę nie mogłem zdecydować, czy Mort jest idiotą czy też to mnie za takiego uważa. Czy może też była to jakaś taktyka zgodna z regulaminem. Nie odezwałem się.

– Proszę opowiedzieć, co się stało – zażądał po trwającej pół minuty ciszy.

– Miałem zamiar pospacerować wzdłuż rzeki, a Ewa wolała samochodową przejażdżkę – odparłem. – Jeśli jest się tyle lat po ślubie, co my, to człowiek daje sobie nawzajem trochę swobody.

– Doprawdy?

– Owszem, jeśli ma dość zdrowego rozsądku.

– Chodzi panu o to, że pan go ma?

– Tak.

– I nie wie pan, dokąd miała zamiar jechać?

– Nie.

– Na pewno?

– Tak.

I tak dalej. Przez ponad godzinę ścinaliśmy się na słowa przy magnetofonie, tkwiąc w pomalowanym na rzepakową żółć areszcie. Nagle,

bez żadnego ostrzeżenia Mort zatrzymał taśmę, zarzucił marynarkę i oznajmił, że na teraz wystarczy.

Wrócił po kilku dniach, rankiem, kilka godzin przed moim wyjazdem do Genewy, z której miałem lecieć do domu. Spieszyłem się trochę, tym razem więc nasza rozmowa ograniczyła się do piętnastu minut, ale taktyka komisarza bynajmniej się nie zmieniła. Wciąż podejmował niezdarne próby przytłoczenia mnie insynuacjami i impertynenckimi pytaniami... i miał to samo lodowate spojrzenie, tę samą przeupoconą koszulę, a w każdym razie podobną. Kiedy w końcu się pożegnał, byłem naprawdę szczęśliwy, że mam go z głowy.

Przez ten czas, kiedy jeszcze mieszkałem w hotelu, nikt nie zgłosił się z informacjami o Ewie. Już więcej nie wychodziłem w góry. A niejaki Mauritz Winckler wcale się do mnie nie odezwał. Ani wtedy ani później.

Po dwu i półgodzinnej jeździe taksówką, po południu trzydziestego sierpnia dotarłem na lotnisko w Genewie, a niedługo potem wszedłem na pokład wieczornego lotu. Całą podróż opłacił konsulat, co, o ile zrozumiałem, jest zwykłą praktyką w takich przypadkach.

Czas tuż po moim powrocie do domu mijał bez większych zakłóceń. Mój i Ewy krąg znajomych skurczył się w ostatnich latach do czterech, pięciu osób, a one odwiedzały mnie z początku z taką regularnością, że aż podejrzewałem, iż uzgodniły między sobą jakiś grafik. Pod koniec września częstotliwość wizyt przybrała z powrotem właściwe proporcje, a ja mogłem zacząć się przyzwyczajać i dopasowywać do samotności.

Za pośrednictwem naszej policji dowiadywałem się o postępie w poszukiwaniach Ewy. Przez jakiś czas był do tej sprawy przydzielony osobny podkomisarz. Zwykle zaglądałem na komendę raz w tygodniu – w piątkowe popołudnie, w drodze powrotnej z pracy – by usłyszeć najnowsze doniesienia, na które za każdym składało się co najwyżej trochę

spekulacji i hipotez. Na początku października podkomisarz otrzymał inne zadania, ustaliliśmy więc wspólnie, że po prostu się do mnie odezwą, kiedy będą mieli coś bardziej konkretnego.

A to się nigdy nie stało.

W połowie miesiąca – to znaczy października – podjąłem pierwszą próbę znalezienia Mauritza Wincklera. Zachowałem to w jak największej tajemnicy, rzecz jasna.

Po kilku telefonach, dowiedziałem się, że Winckler się wyprowadził i osiadł w którymś europejskim kraju. Nikt nie wiedział, w którym, a mnie jakoś nieszczególnie zależało na tym, by tego dochodzić.

W listopadzie większość ludzi na poważnie zaczęła brać pod uwagę ewentualność, że Ewa nigdy nie wróci. W pracy na jej posadę przyjęli inną dziewczynę, a pani Loewe, mama Ewy, z którą oboje mieliśmy wyjątkowo kiepskie relacje, odezwała się do mnie z pytaniem, czy nie powinniśmy zorganizować jakiejś formy uroczystości pogrzebowej. Wyjaśniłem jej, że z reguły nie grzebie się ludzi zaginionych, w związku z czym nie jestem zainteresowany takim pomysłem.

Dokładnie tydzień po tej rozmowie przeżyłem załamanie. Dopadło mnie nagle, niezapowiedziane żadnym preludium, między godziną trzecią a czwartą w nocy z poniedziałku na wtorek.

Obudziłem się, a po kilku sekundach, podczas których nie wiedziałem, co się dzieje, poczułem, że lecę, spadam czy może jestem wciągany do czarnej dziury. Leciałem i leciałem, prędkość przyprawiała o zawrót głowy, okropne uczucie; później, przy różnych okazjach, próbowałem to ubrać w słowa, ale za każdym razem język mnie zawodził. Z czasem zrozumiałem, że nie ma na to słów.

Znaleziono mnie poranionego i zakrwawionego, ale wciąż przytomnego, na chodniku pod oknem sypialni. Dziesięć tygodni minęło, zanim znów

mogłem wrócić do swojego łóżka, z którego wtedy wyszedłem.

Wówczas – co podkreślam – byłem już zupełnie innym człowiekiem.

Przez dziesięć – dwanaście dni po mojej wyprawie nad morze, trzymałem się rygorystycznie planu dnia. Kiedy tylko pani Moewenroedhe otwierała bibliotekę, ja zawsze byłem już na miejscu. Ba, więcej, najczęściej byłem tam już trochę wcześniej i czekałem na ulicy. Wciąż wymienialiśmy ze sobą raptem kilka słów, najczęściej komentowaliśmy pogodę. Wiosna się utrzymywała, tak że popołudniami widziałem przez okna ludzi na Moerkerstraat ubranych w krótkie rękawki i lekkie, letnie sukienki. A przecież była dopiero połowa marca. W zakurzonej czytelnicy jednak przez cały rok panowały takie same warunki, sam więc nie bardzo miałem jak odczuć, że pogoda zerwała się ze smyczy.

Zresztą, bardzo rzadko podnosiłem wzrok na tyle, by móc wyjrzeć na zewnątrz. W pełnym skupieniu, niemal obsesyjnie, pracowałem nad ostatnimi czterdziestoma stronami tekstu Reina. Z całych sił starałem się utrzymać pełną koncentrację, być dokładnym. Moja średnia wynosiła od czterech do pięciu stron na dzień. Jeśli już zasiadłem do pracy, nie schodziłem ze stanowiska. O wpół do piątej dostawałem herbatę z herbatnikami i pracowałem, dopóki pani Moeweroedhe lub któraś z dwóch pozostałych bibliotekarek nie pojawiła się i nie zwróciła mi uwagi, że pora zamykać. Widziałem, że przynajmniej ta ruda miałaby ochotę podpytać mnie o to i owo, ale zwinnie unikałem jej wzroku, tak więc nigdy nie miała okazji, by zagadnąć.

W drodze powrotnej do domu jadłem obiad w którejś z restauracji przy Van Bearlestraat – najchętniej w Keyserze lub La Falote – a potem

spędzałem kilka godzin we Vlissingen, gdzie wypijałem dwa piwa oraz dwie szklanki whisky, przeglądając przy tym gazety lub po prostu przypatrując się ludziom. W większości byli to stali goście, z wieloma zacząłem się już witać skinieniem głowy.

Naturalnie trochę czasu poświęcałem na rozmyślenia o przyszłości. Wprawdzie pakiecik zawinięty w papier ścierny wciąż leżał nietknięty w regale, ale wiedziałem, że nieuchronnie zbliżał się moment, kiedy trzeba będzie go otworzyć; a jeśli zawierał to, co myślałem, wiadomym było, że sytuacja zmieni się radykalnie.

Będzie to nowa karta, by nie powiedzieć rozdział. Oczywiście był to jeden z powodów, dla których podjąłem się skończenia przekładu przed przejściem do innych działań. Wprawdzie nie miała to jeszcze być wyszlifowana wersja, jaką można by wręczyć Kerrowi i Amundsenowi, a zaledwie spisany ręcznie brudnopis. Jednak już od pierwszej strony pracowałem skrupulatnie, gdyby więc okazało się, że Kerr i Amundsen chcieliby jeszcze czekać miesiąc, to mogłem ich poinformować, że w pewnym sensie skończyłem. Spodziewałem się jednak, że z pewnością nie będą się wahać. Prędzej rzuciliby wszystko inne i pośpieszyli do składu oraz do drukarni, dokładając wszelkich starań, by książka trafiła na półki księgarń tak szybko, jak to tylko możliwe.

Wiedziałem też – o ile moje spekulacje były słuszne – że cała ta sprawa zaczęła nabierać cech sensacji. Robił się z tego literacki *scoop*. I to w stopniu, jaki nawet nie śnił się moim zleceniodawcom.

Naturalnie były to tylko przypuszczenia, kiedy jednak podczas tych wieczorów siedziałem w zadymionym kącie Vlissingen, wiedziałem, że tak właśnie się to potoczy.

Wszystko na to wskazywało.

Od czasu do czasu w mojej głowie pojawiało się pytanie, jak zapatrywał się na to sam Rein. W końcu to on był pomysłodawcą i reżyserem tej historii, o tym nie dało się zapomnieć.

Czy więc przewracał się teraz w swoim jakże pojemnym grobie?

Czy może śmiał się z zaświatów?

O ile mnie pamięć nie myli, tłumaczenie skończyłem w środę. W każdym razie było to tuż po herbatce. Zebrałem papiery, książki i notatnik. Wetknąłem wszystko do teczki i po raz ostatni wstałem od stolika. Kiedy już znalazłem się na ulicy, podszedłem do kwiaciarki, która zawsze stała przy wejściu do Vondelpark i kupiłem ogromny bukiet. Wróciłem do biblioteki i wręczyłem kwiaty pani Moewenroedhe, dziękując jej przy tym gorąco za okazaną serdeczność. Oznajmiłem, że skończyłem pracę, ale że pewnie znów do niej zajrzę, ponieważ planowałem zostać w A. jeszcze kilka miesięcy. Widziałem, że pani Moewenroedhe się wzruszyła, ale nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, tak więc po wymianie kilku banalnych fraz pożegnalnych rozstaliśmy się.

Tego samego wieczoru przeczytałem całe tłumaczenie. Zajęło mi to nieco ponad sześć godzin; naniosłem kilka poprawek, naturalnie, jednak wynik końcowy okazał się bardziej zadowolający, niż wydawało mi się, kiedy jeszcze pracowałem nad książką. Pomimo ciężaru i stopnia złożoności tekstu udało mi się ogólnie uchwycić właściwe brzmienie i wydźwięk. Nie potrafiłem wskazać żadnego fragmentu, z którego byłbym szczególnie niezadowolony.

Zanim skończyłem, zrobił się kwadrans po drugiej w nocy. Poszedłem do kuchni i nalałem sobie do zwykłej szklanki whisky na kilka centymetrów. Potem wróciłem do pokoju i sięgnąłem po pakiet z regału.

Rozsiadłem się w fotelu i ostrożnie go rozwinąłem. Dokładnie tak, jak to opisał Rein, w środku znajdowała się żółta plastikowa torebka.

A w niej cztery białe, złożone na pół arkusiki papieru. Bez kopert.

Zanim zacząłem czytać, skonstatowałem, że najpewniej mam przed sobą dwa oryginały i dwie kopie. Zapisane na maszynie. O ile mogłem stwierdzić, tej samej.

Łyknąłem whisky i zabrałem się do czytania.

Zajęło mi to mniej niż pięć minut. Wypiłem do dna i przeczytałem jeszcze raz.

Rozparłem się w fotelu i przez chwilę myślałem. Próbowałem znaleźć nowy punkt wyjścia, nowe rozwiązania, nie udało mi się jednak. Starłem się też podważyć wiarygodność moich zmysłów – również bez skutku.

Sprawa była jasna. Reina zamordowano.

Zamordowano.

Wiedziałem to już od jakiegoś czasu; brakowało mi tylko ostatecznego potwierdzenia. Kiedy jednak teraz miałem je przed oczami, moją świadomość i tak ogarnęło mocne poczucie nierealności.

Germunda Reina zamordowano.

Dokonała tego Mariam Kadhar. I G.

Nadal nie wiedziałem, kim jest G. Wszystkie cztery listy były podpisane „O.”, co wydawało mi się nieco dziwne. Przez chwilę zastanawiałem się nad tą literą, po czym chwyciłem za telefon – z którego mogłem wykonywać lokalne połączenia na terenie A. – i wybrałem numer do Janisa Hoornego.

– Kim jest G.? – zapytałem, kiedy w słuchawce po dziesięciu sygnałach odezwał się zaspany głos.

Chwilę zajęło, zanim Hoorne zaczął nadawać na właściwych falach, kiedy jednak zaczął, odparł bez wahania.

– Gerlach, ma się rozumieć.



Nazwisko wydało mi się znajome, musiałem jednak poprosić, by doprecyzował.

– Otto Gerlach. Jego wydawca. Nie poznałeś go?

Omam nie wybuchnąłem śmiechem. Nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. O. i G. Cały ten spisek. Prośba o przetłumaczenie. Wymóg dochowania tajemnicy. Wszystko.

Podziękowałem Janisowi Hoornemu i rozłączyłem się. Chwyciłem Beatrice w objęcia. Zgasilem lampę i przez kilka minut siedziałem, wpatrując się w ciemność.

A niech to, pomyślałem.

Czy nie powinienem był domyślić się wcześniej?

W końcu doszedłem jednak do wniosku, że nie mam sobie nic do zarzucenia. Zresztą, gdybym teraz był nieco mądrzejszy, i tak niewiele by to zmieniło.

W zasadzie nic.

Dziesięć minut później wetknąłem listy z powrotem za książki. Przed zaśnięciem próbowałem sobie przypomnieć, jak wygląda Otto Gerlach. Nigdy go nie spotkałem, ale był ważną postacią w branży wydawniczej, byłem więc pewny, że z raz czy dwa razy widziałem go na zdjęciach. Pamiętałem jedynie dość grubo ciosaną twarz z osadzonymi blisko siebie ciemnymi oczami oraz pełnymi ustami. Niepojętym wydawało mi się, że kobieta taka jak Mariam Kadhar mogła polecieć na takiego typu. Potem przypomniałem sobie jednak, co Hoorne mówił o istocie kobiet; swoją drogą nie mogłem być pewien, czy moje wspomnienie Gerlacha było wiarygodne.

Zasypiałem z poczuciem, że absolutnie nie mam teraz czasu na sen.

Kilka godzin później byłem już na nogach. Zrobiłem szybki spacer na pocztę przy Magdeburger Laan, skąd zadzwoniłem do Kerra. Nie udało mi

się go złapać, okazało się jednak, że Amundsen był uchwytany.

Nakreśliłem mu sytuację. Opowiadając, słyszałem niemal przyśpieszone bicie jego serca oraz skrzypienie jego krzesła, z podniecenia kiwał się bowiem to w przód, to w tył. Kiedy skończyłem, musiałem wszystko powtórzyć, a potem przedstawiłem swoje propozycje.

Niewiele się zastanawiając, przystał na nie. Innej reakcji się nie spodziewałem. Wydawnictwo miało opłacić mój pobyt w A. aż do połowy czerwca. Ja z kolei obiecałem jak najszybciej przesłać im tłumaczenie, najpierw sporządziwszy zapasową kopię, którą następnie miałem przechowywać w bezpiecznym miejscu.

Potem miałem iść na policję.

W tej właśnie kolejności wykonałem zadania, do których się zobowiązałem. Skopiowanie tekstu zajęło mi godzinę, a zrobiłem to w punkcie Xeroxu położonym nieco dalej na Magdeburger Laan. Następnie wysłałem oryginał tłumaczenia z tego samego urzędu pocztowego, z którego wcześniej dzwoniłem. Wróciłem do domu i umieściłem kopię w regale.

W drodze na posterunek policji na Utrecht Straat zatrzymałem się w pobliskim barze, gdzie zamówiłem szklaneczkę whisky. Ostatnio spożywałem wyjątkowo dużo tego trunku, ale wiedziałem, że tego mi trzeba. Wypiłem przy barze, a kiedy tam stałem, przypomniałem sobie tę niesamowitą zmysłowość Mariam Kadhar. Jej delikatne ramiona i tę natrętną nagość ukrytą pod ubraniem. W lokalu było cicho, na tyle cicho, że bez trudności wyobraziłem sobie jej postać siedzącą przy pustym stoliku obok.

Kilka minut później przeszedłem przez na wpół przezroczyste szklane drzwi posterunku policji i wyłożyłem swoją sprawę pani konstabl urzędującej przy wejściu; po przemierzeniu kilku korytarzy mogłem opowiedzieć całą historię pewnemu oschłemu, aczkolwiek budzącemu

zaufanie nadkomisarzowi. Pamiętam, że nazywał się deBries, a w klapie marynarki miał przypinkę Ajaxu.

Temuż zgorzkniałemu policjantowi przekazałem także – za pokwitowaniem, jako że Amundsen wyraźnie zaznaczył, że to niezwykle ważne – oryginał manuskryptu oraz cztery listy. Gdy po dłuższym czasie wychodziłem na Utrecht Straat, miałem ogromną nadzieję, że oto jedna z moich misji, z powodu których przyjechałem do A., została zakończona, w związku z czym od teraz będę się mógł poświęcić drugiej.

Przyznaję, że pod tym względem moje modlitwy zostały wysłuchane.

II

Trzeci dzień z rzędu obudziłem się wcześnie. Stanąłem w szlafroku na balkonie i obserwowałem krzepkich synów pana Kazantsakisa, którzy wypływali na gładką taflę, by łowić ryby.

W tym regionie, podobnie jak do wielu innych zajęć, podchodzi się do tego jak do rytuału. Są na morzu przez jakieś trzy, cztery godziny, wracają chwilę po południu i prezentują turystom skromny połów, narzekając przy tym i wzruszając ramionami. Z reguły był to jakiś tuzin krasych malotów, które później – jeśli tylko człowiek się pospieszy i będzie miał szczęście – można dostać w restauracji na lunch. Usmażone z łuskami i płetwami, bez soli, przypraw czy jakiejś szczególnej fantazji.

*Thalatta!* – pomyślałem i wróciłem do pogrążonego w mroku pokoju. Znalazłem zeszyt i długopisy, papierosy i butelkę wody. Znów wyszedłem. Rozsiadłem się na ratanowym krześle, żeby zabrać się do pisania. Było dopiero dwadzieścia po szóstej. Chłód z nocy wciąż unosił się w powietrzu, mógł się utrzymać jeszcze przez pół godziny. Balkon skrywał się w cieniu. Właściwie to jedyna pora dnia, którą jakoś dało się wykorzystać.

Wyspa była cholernie piękna. Nie tylko z tego powodu mogę polegać na Hendersonie, przyznałem. Miałem nadzieję, że to było właściwe miejsce.

I tego ranka chwilę myślałem o Hendersonie i jego rozmazanych fotografiach, ale też o morzu, górach i gajach oliwnych. Zapaliłem papierosa i zacząłem pisać.

Mariam Kadhar i Ottona Gerlacha aresztowano trzeciego kwietnia. Usłyszałem o tym w wiadomościach w radiu. Dopiero co włączyłem odbiornik, stałem akurat w ciasnej kuchni, przygotowując poranną kawę.

Naturalnie wiedziałem o tym już wcześniej, ale kiedy usłyszy się coś takiego z ust prezentera, człowiek aż się wzdryga. Jakby dopiero w tym momencie stawało się to prawdą; na swój sposób było to zrozumiałe. Do tego ranka nic nie wyciekło do mediów – przez ponad dwa tygodnie policja działała w ścisłej tajemnicy; nie wiem, czy było to kwestią przypadku, czy też rzeczywiście dołożyli starań, by zachować sprawę w sekrecie.

Teraz nagle dowiedziała się o tym opinia publiczna. Już godzinę później, kiedy znalazłem się na dworcu centralnym, skąd jechałem kolejką do Wasingen, całe otoczenie wręcz pulsowało od tej nowiny. Zdjęcia całej trójki – Reina, Mariam Kadhar i Ottona Gerlacha – widniały na potykaczach i pierwszych stronach gazet. Pomyślałem sobie wtedy, że ta atmosfera przypomina film, w którym reżyser postanowił bez ostrzeżenia wbić sztylet w widzów: zaserwować im scenę, kiedy to nagle wszystko się odwraca, wszystkie od dawna skrywane prawdy stają się jawne, a tempo akcji przyspiesza.

To ta chwila, w której człowiek decyduje, czy wyjdzie z kina czy też może zostanie i prześledzi historię do końca, bo może jest tego warta.

Kiedy już zasiadłem w pociągu, swoistym wyzwoleniem wydał mi się wyjazd z miasta.

Była to moja druga wizyta w Wasingen. Odbylem ją tego właśnie dnia, kiedy M. i G. postawiono pod pręgierz opinii publicznej. Od mojej pierwszej wyprawy tam minął ponad miesiąc. Odkąd odłożyłem pióro i uwolniłem się od tłumaczenia tekstu Reina, spędziłem kilka monotonnych wieczorów w Nieuwe Halle i Concertgebouw, ale rzecz jasna nie spotkałem Ewy. Później spożywałem piwo i paliłem papierosy we Vlissingen i innych

barach, próbując wypracować jakiś atrakcyjny plan, ale i to się nie udało. Rozważałem, czy nie złożyć oficjalnego zgłoszenia, ale naturalnie, kiedy potem trzeźwiałem, wybijałem sobie z głowy podobne pomysły.

W końcu zdecydowałem się na kolejną próbę z Wassingem. Trudno teraz stwierdzić, czy łudziłem się, że przyniesie to jakiś skutek. Szczerze mówiąc, ani przez chwilę – a jeśli już, to przez krótką – nie sądziłem, że to naprawdę Ewę widział pomagier Maertensa tamtego dnia pod koniec lutego. Co więcej, nie wykluczałem, że w istocie nie było żadnego asystenta, tylko Maertens zmyślił całą historyjkę, by sprawić wrażenie, że do czegoś doszedł. W każdym razie zdawałem sobie sprawę, że z tropem z Wassingem wiązały się nikłe szanse, ale z braku laku chwyciłem się go niczym tonący brzytwy.

Na swój sposób na przełomie marca i kwietnia doszedłem do punktu, w którym zacząłem traktować poszukiwania Ewy jako cel sam w sobie. Bywały momenty, kiedy uświadamiałem sobie jasno, że nigdy jej nie odnajdę, wiedziałem jednak, że nie będę umiał dalej żyć, jeśli nie zrobię wszystkiego, co w mojej mocy, by to zrobić.

Tak w każdym razie mi się wówczas wydawało.

Poza tym miałem czas. Wydawnictwo zagwarantowało mi środki na utrzymanie aż do połowy czerwca. Nie miałem za to żadnej pracy czy zadań do wykonania. Każdy dzień był pustą stroną.

Dlaczegoż więc nie zająć się szukaniem?

Ten sam obcięty na jeża atleta wciąż stał za barem i polał mi whisky z tym samym niezaprzeczalnym czarem rodem z Europy Wschodniej. Opróżniłem szklankę jednym haustem i wyszedłem na plac. Wiało niemal równie mocno jak ostatnio, ale było znacznie cieplej. Przed niby-włoską budką z lodami postawiono już nawet plastikowe krzesła i stoliki, choć pewnie

właściciele będą musieli poczekać dobry miesiąc, zanim komuś przyjdzie do głowy się tu rozsiaść.

Wokół panowała względna pustka; wciąż było wczesne popołudnie. Wprawdzie kadra bezrobotnych oraz tych na nieustającym zwolnieniu lekarskim na takim osiedlu niewątpliwie liczyła wielu reprezentantów, ale wiedziałem, że dopiero za kilka godzin tłumy zaczną na poważnie kręcić się między sklepami.

Przeszedłem przez krótkie arkady i znalazłem się pod numerem 36. Pod blokiem Ewy.

Blok Ewy? Zapaliłem papierosa i przez chwilę się w niego wpatrywałem. Piętnaście pięter. Szarobura fasada pokryta plamami grzyba. Nieskończoność zimnych okien i wbudowanych balkoników.

Zaciągnąłem się, puściłem dwa dymki. Zaczęło mnie opadać nieodparte poczucie nieodpartego bezsensu, być może doprawione szczyptą absurdu. Jednak wtedy słońce nagle przedarło się przez chmury i oślepiło mnie tak, że przez chwilę byłem bliski utraty równowagi. Zamknąłem oczy i doszedłem do siebie. Wróciłem myślami do koncertu skrzypcowego Beethovena i kaszlnięcia, oraz całego ciągu zdarzeń, który sprowadził mnie pod ten blok na przedmieściach A.; szybko jednak zauważyłem, że właśnie tego typu rozważań muszę się wystrzegać, jeśli tylko chcę do czegokolwiek dojść.

Zgasiłem peta, po czym wszedłem do bloku. Stałem przed listą lokatorów i przepisałem do notatnika wszystkie siedemdziesiąt dwa nazwiska. Zajęło mi to, ma się rozumieć, kilka minut i dwie kobiety – obie imigrantki dzierżące na rękach ubłocone dzieci – mijając mnie, posłały mi podejrzliwe spojrzenia.

Wróciłem na plac i skierowałem swoje kroki do kafejki, w której siedziałem poprzednio. Pokazałem kilka zdjęć kobiecie stojącej przy kasie;



była naprawdę przemiła, przyglądała się im długo i dokładnie, ale na koniec tylko pokręciła przepaszająco głową.

Podziękowałem i zamówiłem kawę. Podczas następnych godzin pokazałem zdjęcia kolejnym dwudziestu osobom, zarówno na placu, jak i przy wejściu do bloku Ewy. Z tak marnym skutkiem, jakiego powinienem się obawiać.

Null.

Postanowiłem sobie, że w Wasingen będę działać przez dziesięć dni – nie mniej, nie więcej. By więc nie wykorzystać wszystkich możliwości tego pierwszego dnia, na razie dałem sobie spokój i o godzinie szesnastej dwadzieścia osiem wsiadłem do pociągu jadącego z powrotem do A.

Na stacji kupiłem trzy dzienniki i w ten sposób zaopatrzony rozsiadłem się w Planner's, by zjeść obiad i poczytać o zabójstwie Germunda Reina.

News bez wątpienia okazał się prawdziwą bombą. Nie bardzo było wiadomo, jak go traktować. Wprawdzie policja wydała krótki komunikat, ale ewidentnie nic prawie z niego nie wynikało, a dalszych komentarzy nie było. Z tego, co wiedziano w kręgach dziennikarskich, wynikało, że Mariam Kadhar i Ottona Gerlacha aresztowano, istniały bowiem podstawy, by podejrzewać ich o pozbawienie życia Germunda Reina. I tyle.

Resztę stanowiły spekulacje.

Dotyczące historii romansu. Dramatu trójkąta, jak go ktoś nazwał. Tego, co się wydarzyło w Wiśniowym Sadzie podczas tej fatalnej doby w listopadzie. Samobójstwa.

Tego, co mogło skierować policję na trop.

Ta ostatnia kwestia pozostawała niewiadomą. Policja słowem się nie zająknęła, zaś teorie prezentowane w gazetach, które przeglądałem, niewiele miały wspólnego z rzeczywistością.

To, że M. i G. mieli romans zakładali wszyscy; podobnie jak to, że właśnie tenże romans stanowił sedno całej historii. Opublikowano masę zdjęć tej dwójki, aczkolwiek na żadnym nie pojawiali się razem. Właśnie to wydało mi się nieco dziwne; domyśliłem się, że musieli dokładać wszelkich starań, by ukryć swój związek przed światem.

Najwyraźniej im się to udało. Nikt ze wszystkich tych dziennikarzy i dziennikarek, którzy zabrali głos w sprawie, nie mógł nawet zasugerować, że wcześniej na temat M. i G. krążyły plotki, czy to przed śmiercią Reina, czy po niej.

Jak wspomniałem, była to bomba, nikt jednak nie wyczuł swądu palącego się lontu.

Popijając kawę, dość dokładnie przyglądałem się przeróżnym zdjęciom Ottona Gerlacha. Przyznaję, że w porównaniu z tym, co pamiętałem, w gazetach wypadł korzystniej. Dotarło do mnie, że tak jak Mariam Kadhar, Gerlach musiał być znacznie młodszy od Reina. I choć wciąż nie bardzo umiałem zrozumieć, do czego kobieta taka jak ona potrzebowała takiego faceta, o tyle tym bardziej nie mogłem pojąć, jaki miała pożytek ze swojego męża. Kolejny raz pomyślałem o jej gładkich ramionach, przed sobą widziałem jej twarz o ciemnych oczach i delikatnych nozdrzach. Nagle uświadomiłem sobie, że w innych okolicznościach niewątpliwie sam bym się w niej zakochał na całego.

No właśnie. W innych okolicznościach.

W drodze powrotnej z Planner's zaszedłem na pocztę na Falckstraat, gdzie kupiłem dwie książki telefoniczne z A. i dużą część tego wieczoru poświęciłem na wyszukiwanie numerów siedemdziesięciorga dwojga lokatorów z Wassingen.

Zarejestrowanych było dokładnie pięćdziesięcioro dziewięcioro, a więc niewątpliwie więcej niż się spodziewałem. Wziąłem to za dobry omen.

Sprawdzenie ich mogło mi zająć sporo czasu, a w tej sytuacji, odczułem w związku z tym swoistą wdzięczność.

Wtedy trudno było o jakiegokolwiek koło ratunkowe, po prostu. Wiedziałem więc, że trzeba korzystać z tych, które i tak się trafiały. Swoją drogą, to tego wieczoru uciekła Beatrice. Kiedy tuż przed pójściem do łóżka miałem ją zgarnąć z balkonu wychodzącego na podwórko, po prostu jej tam nie było. Jakim cudem zdołała stamtąd zejść i jakie zamiary jej towarzyszyły – nad tym zastanawiałem się przez kolejne dni. Kiedy jednak po niecałym tygodniu znalazłem ją ponownie siedzącą na stałym miejscu, wpatrzoną się w gołębie, zrozumiałem, że po prostu spędziła ten czas w jakiejś szczelinie rzeczywistości, do której ani ja, ani żaden inny człowiek nie mieliśmy dostępu.

Może nawet trochę jej zazdrościłem. W każdym razie wzbudziła mój ogromny szacunek.

To Gallis Kazantsakis powiedział mi o kaplicy rodzinnej położonej na południowym krańcu grani. Mam wrażenie, że podobnych budowli znajdowało się w okolicy z trzysta sześćdziesiąt; bielone miniświątynie były rozsypane na całej wyspie. Każda szanująca się rodzina miała własną, w miarę możliwości postawioną jak najbliżej nieba i to w miejscu, do którego wcale nie tak łatwo dotrzeć.

Wyruszyłem odpowiednio wcześnie przed wschodem słońca i godzinę piętnaście minut później, po wędrówce w narastającym cieple, byłem na miejscu. Wszedłem do środka i zapaliłem świecę na miniołtarzu, po czym rozsiadłem się w cienkim pasie cienia po zachodniej stronie budyneczku. W zasięgu wzroku miałem całą wyspę. Na południu i zachodzie – strome skały, na północy i wschodzie – nieco bardziej przystępne nabrzeża. Moją uwagę przykuły liczne malutkie i ustronne plaże położone za miasteczkiem. Wcześniej ich nie widziałem. Gdzieś tam widać też było jakiś samotnie stojący dom, do którego zapewne można się było dostać jedynie łodzią, ponieważ droga kończy się na wschodnim krańcu plaży, przy hotelu Phraxos. Postanowiłem sprawdzić, do kogo należą te – i inne – domy. Sporo ich było na wyspie. Najprawdopodobniej właśnie w jednym z tych ustronnych miejsc mogłem znaleźć to, po co tu przyjechałem.

Oddałem się też rozważaniom na temat czasu. Pojęcia czasu. Ponad trzy lata minęły od wydarzeń w A., jednakże w niesamowitej scenerii wyspy, o tej wczesnej porze miało się wrażenie, jakby ten okres skurczył się niemal do zera. Odległa przeszłość zdawała się rosnąć, zbliżać do kruchej

teraźniejszości, którą w tym właśnie momencie konstituowały mój plecak z prowiantem oraz spocone ciało oparte o białą ścianę. Niebo, chmury i morze – które już zaczynały się rozmywać na horyzoncie w słonecznej poświacie – były wieczne i niezmiennie.

Punkt w czasie i przestrzeni równie ulotny i nieuchwytny, jak przycichający już skrzek osła, który przed chwilą poniósł się znad oliwnych stoków za miasteczkiem. *Wszystkie obecności równoległe do strumienia czasu*, jak to ujął Zimjonovitj; naturalnie nękające mnie myśli nie stanowiły nic nowego, może zresztą tak naprawdę mój niepokój miał inne źródło. Jak zwykle trudno mi było znaleźć słowa, tak więc kiedy kolejny osioł podzielił się ze światem swoim narzekaniem, poczułem się zmęczony i spocony, w związku z czym postanowiłem zjeść. Przezornie zachowałem jednak jedną butelkę wody na powrót; zapaliłem papierosa i wyciągnąłem zeszyt, by przeczytać, co poprzedniego wieczoru udało mi się spisać w migotliwym świetle lampy naftowej.

Czas dalej się kurczył.

Oczywiście, kiedy przeglądałem listę telefonów, moim najskrytszym marzeniem było usłyszeć nagle w słuchawce głos Ewy. To właśnie takie próżne pragnienie pchało mnie do działania, więc przez resztę tygodnia udało mi się obdzwonić pięćdziesiąt siedem z pięćdziesięciu dziewięciu osób. W trzydziestu dziewięciu przypadkach odebrały kobiety, zaledwie w osiemnastu mężczyźni; w każdym razie dowiedziałem się, że kobiety więcej rozmawiają przez telefon niż my, mężczyźni. Moja taktyka była prosta – najzwyczajniej w świecie prosiłem do telefonu Ewę, wyjaśniając przy tym, że byłem znajomym sprzed lat, a następnie z odpowiedzi i wykretów, które słyszałem, starałem się wywnioskować, czy coś może być na rzeczy.

By nieco usystematyzować poszukiwania, opracowałem swego rodzaju skalę ocen, na której od razu po odbyciu rozmowy zaznaczałem przy danym nazwisku minus, jeśli uznawałem, że można je wykluczyć; plus, jeśli wiązało się z jakąś szansą; lub dwa plusy, jeśli mój rozmówca w jakikolwiek sposób sprawiał wrażenie zdenerwowanego lub był dziwny.

Dwie z kobiet, które odebrały, faktycznie miały na imię Ewa i w obu przypadkach, zdezorientowani, wymieniliśmy kilka zdań bez sensu, zanim udało się wyjaśnić sprawę. Podobnie potoczyła się rozmowa z niejakim panem Weiversem, który po dłuższych wahaniach poprosił do telefonu nastoletnią córkę. Kiedy po wykonaniu ostatniego połączenia przejrzałem listę, okazało się, że postawiłem czterdzieści dwa minusy, trzynaście plusów i zaledwie dwa podwójne plusy.

Rzecz jasna, zdawałem sobie sprawę z tego, że metoda ta zawierała przeogromny margines błędu, postanowiłem jednak, że swoje kolejne wyęteżone działania skieruję na te dwa podwójne plusy: niejakiego Lauridsa Reisina oraz N. Chomowską, a także na trzynaścioro lokatorów, do których nie udało mi się dodzwonić. Moja metoda – opierająca się na wierności systemowi – jest nieodzowną częścią życia w holistycznie pojmowanym świecie, dokładnie tak, jak to ujął Rimley w swojej książce o bycie i percepcji. Miałem dość rozumu, by skłaniać się ku podobnym twierdzeniom.

Zapisałem tych piętnaście nazwisk na nowej stronie w notatniku, a kiedy w poniedziałek, tydzień po aresztowaniu Mariam Kadhar i Ottona Gerlacha, po raz kolejny siedziałem w pociągu do Wassingen, towarzyszyła mi jako taka nadzieja. Był to już szósty dzień poświęcony temu tropowi, a ponieważ zdecydowałem się na dziesięć, to przynajmniej z czystym sumieniem mogłem stwierdzić, że półmetek mam już za sobą. Obiecałem też sobie, że naprawdę spędzę cały tydzień na przedmieściach – codziennie od rana do

wieczora; i nawet gdyby nie miało to przynieść żadnego skutku, to przynajmniej chciałem mieć poczucie, że zrobiłem, co w mojej mocy i z czystym sumieniem będę mógł poświęcić kolejny weekend na znalezienie nowej taktyki.

Moim pierwszym krokiem było pukanie do drzwi. Mimo że był środek dnia, w dziesięciu na piętnaście mieszkań ktoś był; bez wątplenia moja teoria o bezrobociu okazała się całkiem nie od rzeczy. Kiedy ktoś otwierał, pytałem po prostu, czy jest Ewa, a gdy zaczynało się nieodłączne kręcenie głową lub też próba zatrzaśnięcia mi drzwi przed nosem, szybko kontrowałem, wpychając się do przedpokoju i pokazując zdjęcia Ewy. Tłumaczyłem, że jestem prywatnym detektywem i poszukuje kobiety z fotografii. Dla jej dobra, ma się rozumieć. Istniało ryzyko, że ten, pozał się Boże, wysłannik Maertensa podjął się takich samych natrętnych działań przed sześcioma, siedmioma tygodniami, jednak z reakcji, z jakimi się spotkałem, wywnioskowałem, że raczej nie miało to miejsca. Moje zaufanie do Maertensa nigdy nie było tak niskie, jak tego dnia.

W kilku przypadkach próbowałem też zasugerować – unikając konkretów – że za pomoc można otrzymać jakąś formę wynagrodzenia, ale ta przynęta zdawała się działać tylko na jedną osobę, niejakiego pana Kaunisa, starszego i wyraźnie śmierzącego mężczyznę. Niestety ewidentnym było, że całą historię uznał za okazję do tego, by zarobić na swoją dzienną dawkę używek. Zarówno mieszkanie, jak i lokator znajdowali się w stanie daleko posuniętego upadku; wręczyłem Kaunisowi pięć guldenów i opuściłem go ogarnięty silnym poczuciem przygnębienia.

Kiedy skończyłem, uznałem, że znów wszystko jest jak zwykle. Z powrotem w punkcie zero. Nikt nie zareagował jakoś szczególnie na zdjęcie Ewy. Nikt nie wiedział, kim była i nikt nie widział jej w domu czy w ogóle na osiedlu.

Przez chwilę w głowie mignął mi widok nieprzeniknionej szmaragdowej zieleni zalewu Lauern. Pojawił się po raz pierwszy od dość dawna, ale za to z dużą wyrazistością.

Wszedłem do kawiarni. Zamówiłem dwa piwa, a popijając je, odhaczyłem nazwiska z listy. Dość szybko traciłem resztki hartu ducha; deszcz, który nadciągnął z zachodu, bynajmniej nie pomagał. Paląc i przeglądając w tę i z powrotem mój nieszczęsny notatnik, czułem, jak coraz mocniej wbija we mnie swoje szpony podstępna słabość. W tym samym tempie narastała moja potrzeba bycia samym, ucieczki od spojrzeń i słów, co – z uwagi na czekające mnie działania – absolutnie nie było stanem wskazanym.

Jednocześnie zdawałem sobie sprawę z tego, że doszedłem do punktu, w którym nie dam już rady konfrontować się z ludźmi. Lokatorzy bloku już mnie kojarzyli. Skontaktowałem się już niemal ze wszystkimi – choć większość jedynie słyszała mój głos przez telefon – należało więc wziąć pod uwagę, że mogą zacząć coś podejrzewać. Jeśli Ewa faktycznie była w bloku – choć nie chciałem nawet myśleć, jak nikła wydawała mi się ta możliwość – to mogła już się dowiedzieć o tym, że tu węszę. Być może szanse na znalezienie jej malały tym bardziej, im bardziej ja starałem się ją odszukać.

W każdym razie do takich wniosków doszedłem wówczas w kawiarni. Zacząłem się nawet zastanawiać nad tym, ile szans zaprzepaściłem, w ten niezręczny sposób wydzwanając do ludzi i pukając do ich drzwi; w końcu doszedłem do wniosku, że zapewne pora postawić na nieco większą dyskrecję.

Idealnym rozwiązaniem, uznałem, byłoby znalezienie miejsca, z którego w spokoju, nie niepokojony przez innych, mógłbym obserwować wejście



do bloku oraz przepływający przez nie strumień ludzi. Dość szybko udało mi się wykoncytować, co mogłoby być tutaj najlepszym rozwiązaniem.

Potrzebowałem samochodu. Zaparkowany wóz był jedynym nierzucającym się w oczy punktem obserwacyjnym, z którego widać było drzwi klatki. Przesiadywanie na ławce w deszczu, z książką lub gazetą, w dodatku przez osiem godzin dziennie, można było śmiało uznać za plan nie do zrealizowania.

Dopiłem piwo i zwróciłem się do dziewczyny za barem. Wydaje mi się, że chyba żywiła już do mnie swego rodzaju instynkt macierzyński, kiedy więc zapytałem ją o to, gdzie można tanio wynająć samochód na kilka dni, natychmiast podała mi pomocną dłoń. Z kieszeni fartucha wyciągnęła notes i zapisała w nim adres stacji benzynowej oddalonej o pięć minut spacerem od centrum handlowego. Jednocześnie powiedziała, że jeśli powołam się na Christę, to może uda mi się zaoszczędzić ze stówkę.

Podziękowałem i wyruszyłem na stację. Pół godziny później miałem już do dyspozycji z góry opłaconego solidnie nadgryzionego rdzą peugeota. Cena okazała się do przełknięcia, choć nie umknęło mojej uwadze to, że prawdopodobnie koszt najmu był na zbliżonym poziomie do wartości całego samochodu.

Tak czy inaczej wóz działał. Około czwartej tego samego popołudnia zaparkowałem przed swoim mieszkaniem na Ferdinand Bolstraat, zaś następnego dnia rozpocząłem obserwację wejścia do bloku numer 36D położonego w zapomnianym przez Boga centrum Wassingen.

Dopiero po spędzonych tam bezowocnie trzech dniach coś się wydarzyło. Z konieczności ukryty za gazetą, tkwiłem w samochodzie, za jedyne towarzystwo mając trzeszczące radio, papierosy i wymierzoną porcję whisky. Pozycja była bez wątpienia optymalna; zawsze udawało mi się znaleźć miejsce parkingowe oddalone nie więcej niż piętnaście,

dwadzieścia metrów od wejścia, skąd bez problemu mogłem kontrolować każdego, kto pojawiał się w wejściu. Robiłem też zapiski, głównie po to, by nie dać się zwątpieniu i podtrzymać ducha, ale właśnie to naprowadziło mnie na szczegóły, którego do tej pory nie uwzględniłem.

Wyszedł on na jaw za sprawą osoby, która w moich notatkach została oznaczona symbolem M6; innymi słowy: mężczyzna numer sześć (dołączyłem też jego skrócony rysopis: około sześćdziesiątki, brzydki, kapelusz z filcu, pantoflarz, co absolutnie wystarczyło, by móc odróżnić go od innych). A zdarzyło się mianowicie to, że późnym popołudniem w czwartek M6 minął mnie i wszedł do klatki dwa razy z rzędu. W prawdzie w odstępie godziny, w międzyczasie jednak z niej nie wychodził.

Ponieważ wejście do bloku było tylko jedno, a jakoś nie chciało mi się wierzyć, by ten anemiczny jegomość spuścił się z balkonu na tyłach bloku; całe zdarzenie – zanim wpadłem na rozwiązanie – uznałem za irracjonalną zagadkę.

Potem zrozumiałem. W podziemiu musi być garaż.

Objechałem dom i po chwili poszukiwań trafiłem na wyjazd. Kiedy już potwierdziłem swoje domysły, czułem się ni mniej, ni więcej, tylko jak głupek. Postanowiłem, że nazajutrz zmienię punkt obserwacyjny.

Choćby po to, by wprowadzić trochę urozmaicenia.

To również dzięki tej okoliczności – tej nieznacznej relokacji miejsca parkowania peugeota przed blokiem z numerem 36 D w centrum Wassingen – cały ten trop się ostatecznie nie urwał.

Zaś poszukiwania mojej zaginionej żony wreszcie ruszyły z miejsca, na co czekałem, odkąd trzy miesiące wcześniej przyjechałem do A. Trudno to ocenić po fakcie, podejrzewam jednak, że niezbyt długo dałbym radę

kontynuować swoje wysiłki, gdyby tamten tydzień obserwacji nie przyniósł skutku.

Było kilka minut po siedemnastej. Szary i uparty deszcz, który lał przez cały dzień, na chwilę odpuścił, ja zaś siedziałem, akurat paląc przy opuszczonej szybie. Drzwi do garażu uniosły się, wąską rampą zaczęła powoli podjeżdżać granatowa mazda. Kiedy mnie mijała – w odległości zaledwie metra – kierowca obrócił głowę w moją stronę, żeby sprawdzić, czy wyjazd jest wolny, dokładnie tak, jak to robili wszyscy wcześniej. Nie złapaliśmy kontaktu wzrokowego, mimo wszystko mogłem bez najmniejszych trudności przyjrzeć się twarzy od przodu. Był to mój cień, facet, który mnie obserwował.

Przez chwilę nie mogłem go z niczym skojarzyć, ale wtedy przed oczami stanęły mi obrazy z pamięci. To, jak śledził mnie przez dzielnicę Deijkstraakvarteren. Jak siedział za mną w bibliotece. Jak stał wpatrzony w wodę na Reguliergracht. Odpaliłem silnik, wycofałem i ruszyłem w tę stronę, co on.

Przyznaję, skronie mi pulsowały.

Nigdy nie przepadałem za filmowymi scenami pościgów samochodowych, a moja próba śledzenia granatowej mazdy tego szarego popołudnia na Wassingen potwierdziła tylko, że jest prawda czasu i prawda ekranu.

Zgubiłem go już po niecałej minucie. Widziałem, że wjeżdża na autostradę prowadzącą do A., podczas gdy ja wciśnięty między tira a eleganckiego mercedesa czekałem na zielone światło. Klnąc, bębniłem palcami w kierownicę i paliłem jak w amoku, ale niewiele to pomogło. Kiedy wreszcie sygnalizacja się zmieniła, ruszyłem za mazdą, ale tego dnia mój peugeot też nie był w najlepszej formie, szybko zrozumiałem więc, że nic z tego.

Ponieważ jednak już i tak byłem na właściwej drodze, pojechałem dalej autostradą, a gdy wreszcie godzinę później rozsiadałem się we Vlissingen, przyznaję, że towarzyszyło mi uczucie łagodnej euforii.

Kiedy jeszcze później – zapewne bliżej północy – wróciłem do domu, na schodach znalazłem list, który najwidoczniej wcześniej umknął mojej uwadze. Otworzyłem go, kiedy przekroczyłem próg. Było to zawiadomienie z prokuratury – wzywano mnie do stawienia się w sądzie nazajutrz w celu udzielenia odpowiedzi na kilka pytań oraz odebrania wezwania na świadka.

Wyglądało na to, że proces przeciwko Mariam Kadhar oraz Ottonowi Gerlachowi rozpoczęto dzień wcześniej, a prawdopodobnie miał się on toczyć przez kolejny miesiąc.

Wypiłem jeszcze trochę whisky, choć już czułem w skroniach te charakterystyczne zawroty. Stałem w ciemnym oknie i obserwowałem ludzi przemykających po ulicy, przetaczające się tramwaje oraz fasady domów tkwiących tam w pełnym zadowolenia bezruchu. Myślałem o minionym dniu, kilka luźnych refleksji poświęcając zmiennej gęstości czasu... temu, jak to niektóre długie okresy mijają zupełnie niezauważone, pozbawione zarówno sensu, jak i konkretów, a potem znów człowiek wrzucany jest w natłok połączonych ze sobą zdarzeń. Istnych sieci znaczeń. Zapewne jest tak, że jedne zdarzenia przyciągają do siebie kolejne, działając według tych samych praw, które regulują magnetyzm wszelkiego rodzaju.

Podejrzewałem, że te okresy próżni przeplecione akumulacjami zagęszczonego czasu mają swój bezpośredni odpowiednik w nieustannej wędrówce meteorów oraz ciał niebieskich w kosmosie. W ich ciemnych rejsach.

Takie tam, luźne, jak już wspomniałem, refleksje.

Następnego ranka obudziło mnie miauczenie Beatrice na balkonie.

Kerr miał na sobie nowy garnitur, z którego dyskretnej, ale niekwestionowanej jakości można było wywnioskować, że wydawnictwo przeżywa hossę. Przyleciał porannym lotem i nie chciał zostawać na noc. Kilkugodzinne omówienie spraw, nic więcej – tak poprzedniego wieczoru nakreślił cel swojej wizyty.

Usiedliśmy w Ten Boschu, jednej z najdroższych knajp w całym mieście. Kerr bez mrugnięcia okiem zamówił zarówno d’Yquem, jak i la Fitter. Ze wszech sił starałem się delektować kawiozem oraz delikatną pierśią kaczki, była jednak dopiero pierwsza, a ja tak wcześniej nigdy nie miałem apetytu.

Chodziło o książkę, ma się rozumieć. Po rekordowo szybkim składzie była już gotowa do druku – Kerr wziął ze sobą tekst po korekcie, lecz oznajmił mi, że mam się nim nie przejmować, ponieważ już przejrzeni go inni. Summa summarum brakowało im tylko jednego.

Tytułu.

Manuskrypt Reina nie był opatrzony żadnym; odnotowałem to już na samym początku, gdy zabierałem się za tłumaczenie, potem jednak nie przywiązywałem do tego faktu zbyt dużej wagi. Z doświadczenia wiedziałem, że Rein najczęściej nie potrafił się zdecydować co do tytułów. Zmieniał je dwa, trzy razy, zanim wreszcie wpadał na coś, co go satysfakcjonowało.

Tym razem sprawy miały się oczywiście inaczej. Wydawcy sami byli zmuszeni podjąć decyzję, a ponieważ to ja najlepiej orientowałem się

w treści, uznali, że być może będę mógł coś zaproponować. – Co wydaje się ze wszech miar słusznym rozwiązaniem – jak doniośle wyraził to Kerr.

Chwilkę smakowałem d'Yquem.

– Rein – powiedziałem w końcu.

Kerr pokiwał głową, dając znak, bym kontynuował.

– Ta książka powinna się nazywać *Rein* – sprecyzowałem.

– Po prostu *Rein*?

– Tak.

Przez chwilę się zastanawiał.

– W sumie to dobry pomysł – powiedział.

– Jak to wygląda od strony praw autorskich? – zapytałem. – Tantiem i takich tam?

– To może być problem – przyznał. – Mamy jednak jego list, oglądali go już nasi prawnicy. Po wydaniu skontaktujemy się z wdową po nim. Wydaje mi się jednak, że możemy powołać się na to, że to my mamy prawo do oryginału. Wiesz, kiedy rusza proces?

– Na początku maja.

– Będziesz świadkiem?

Pokiwałem głową. Kerr wytarł usta ciężką serwetką. Przez chwilę milczał niepewnie.

– A co ty sądzisz?

– Co masz na myśli?

– Są winni? To znaczy to chyba jasne, że są, ale jak zareagowali?

– Nie spotkałem żadnego z nich.

– Nie, nie... ale przyznają się do winy czy będą się wypierać?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Nic... nie obilo ci się o uszy?

– Nie.

– Ekhm. Ta Kadhar to piękna kobita, co?

Nie odpowiedziałem.

– Oczywiście widziałem ją zaledwie kilka razy... u Walkera i w zeszłym roku w Nicei, ale niech mnie, od razu widać, że to rasowa klacz.

Kerr i te jego porównania.

– Być może – odparłem

Znów się zawahał.

– A rozumiesz, o co chodzi w tej książce? Jak dla mnie wydaje się dość pogmatwana... co oczywiście nie musi być wadą.

– Nie wszystkie dzieła muszą być przystępne.

– Dzięki Bogu nie. Zastanawiałem się po prostu, czy w tekście mogą się kryć jeszcze jakieś ukryte przekazy. Inne niż te... oczywiście. Bądź co bądź, w takim tekście da się ukryć to i owo... weźmy choćby takie alegorie u Borgesa albo leClerque’a. Albo Chiffera... myślałeś o tym?

Pokręciłem głową.

– Nie sądzę – odpowiedziałem. – Nie miałem czasu wdawać się w aż takie subtelności. Przełożyłem to w zaledwie kilka miesięcy... a te sygnały ratunkowe, jakie wysłał były raczej ewidentne, nie sądzisz?

Kerr pokiwał głową.

– No jasne, masz rację. Tak czy inaczej jutro puścimy info. Amundsen zwołał mini konferencję prasową... Jak ty to widzisz?

– Co jak widzę?

– Cóż, rozumiesz chyba, że jesteś tu postacią numer jeden. Pajakiem w centrum sieci, w końcu to ty przełożyłeś książkę i zdybałeś sprawców. Będziesz łakomym kąskiem dla dziennikarzy, wydawało nam się, że zdajesz sobie z tego sprawę.



Oczywiście powinienem był się na to przygotować, jednak moja anonimowa egzystencja w mieszkanku na Ferdinand Bolstraat najwidoczniej wpędziła mnie w fałszywe poczucie bezpieczeństwa. W ostatnich tygodniach całą energię kierowałem w swoje działania na Wassingen i w poszukiwania Ewy, a i pod innymi względami moje życie toczyło się raczej w niszy rzeczywistości niż w głównym jej nurcie.

Że tak powiem. Przez chwilę myślałem w milczeniu.

– Może jakiś krótki wywiad też nie byłby tak całkiem od rzeczy, co? – ciągnął Kerr, dolewając nam wina. Ekskluzywny, ma się rozumieć. – Naturalnie sam podejmiesz decyzję, ale moglibyśmy podesłać ci paru chłopaków... Może Rittmera z jakimś fotografem, wtedy moglibyśmy pokierować tym, jak będziemy chcieli. Utrzymać kontrolę, jak to zwykle mówi Amundsen.

Przyznaję, że niemal czułem podziw wobec lekkości, z jaką Kerr przedstawiał swoje propozycje, ale też wobec jego i Amundsena niezawodnego wyczucia warunków ekonomicznych. Pytanie brzmiało, czy reportaż o mnie – opublikowany w tym momencie czy na początku procesu – mógłby zaowocować tym, że tutaj w A. wybije się na swoistą niezależność finansową. W końcu spekulacje w sprawie Reina kwitły i niewątpliwie mogły przybrać na sile w najbliższych tygodniach.

A w oczekiwaniu na sądowe przepychanki prasa nie mogła się powołać na żadne prawdziwe wiadomości. Ja zaś – zdawałem sobie z tego sprawę – tkwiłem w tej sprawie całkiem mocno.

– Nie, dziękuję – odparłem. – Wolałbym trzymać się w ukryciu.

Kerr przez kilka sekund przyglądał mi się w milczeniu; chyba zrozumiał że zabrnął w ślepią uliczkę.

– Dlaczego wciąż tu jesteś? – zapytał.

– Mam swoje powody.

– Aha. Dobrze, zrobisz oczywiście, jak chcesz. Kto wie, że tu przebywasz?

– Nikt. Jestem wilkiem stepowym; myślałem, że wiesz.

– Nikt?

Zastanowiłem się.

– Policja i prokurator – poprawiłem się. – I Janis Hoorne.

– Hoorne?

– Tak.

– Można polegać na jego dyskrecji?

– Jeśli go o to poproszę.

Kerr pokiwał głową.

– Okej. To ustalone. Zdajesz sobie jednak sprawę, że będą na ciebie polować, kiedy już ruszy proces?

Tak, zdawałem sobie z tego sprawę. Do jego rozpoczęcia zostały jeszcze trzy tygodnie, ja zaś miałem zamiar ukrywać się przed światłem reflektorów tak długo, jak to możliwe.

Zdążyliśmy też wpaść do innych barów, Kerr i ja. Kiedy wsadzałem go do taksówki jadącej na Rembrandt Plein, był, jako że całkiem podchmielony, w wyśmienitym nastroju. Na koniec obiecał mi, że przekaże na moje konto pewną gratyfikację za mój wkład w całą historię, co uznałem za przypieczętowanie naszego dżentelmeńskiego porozumienia.

Bo skoro już nie chciałem udzielać wywiadów i prostytuować się na rzecz moich wydawców, to miałem też nie sprzedawać się nikomu innemu.

Co skądinąd wydawało się słuszne i sprawiedliwe.

Drugie podejście do kwestii pościgu samochodowego poszło zdecydowanie lepiej niż pierwsze. Już około szóstej rano stawiłem się na posterunku za blokiem 36D, tym razem w innym aucie z wypożyczalni – zupełnie nowym i bezwzględnie sprawniejszym małym renault. Nie musiałem czekać długo,

bo już po czterdziestu pięciu minutach mój cień wyturlał się na wyjazd z garażu.

Tym razem zaopatrzyłem się w okulary oraz cudaczną, rudawą, doczepianą brodę, które to rekwizyty znalazłem w sklepie na Albert Cuypstraat. Od razu usiadłem mu blisko na ogonie. Tak jak ostatnio objechał centrum handlowe i zmienił pas na prawy, żeby wjechać na autostradę w stronę A. Kiedy staliśmy na światłach na skrzyżowaniu, spisałem numer rejestracyjny. Nie miałem pojęcia, czy w ten sposób da się dotrzeć do nazwiska właściciela, ale taka myśl przemknęła mi przez głowę.

Podczas jazdy do A. rozwinął dużą prędkość, ale nie miałem problemów z dogonieniem go. Ruch był jeszcze niewielki, mogłem więc trzymać się jakieś sto metrów za nim, nie ryzykując, że go zgubię. Na zjeździe z obwodnicy numer cztery skręcił w stronę centrum, pojechał Alexanderlaan, następnie Prinzengracht aż do Vollerimsparken, gdzie odbił w Kreutzerstraat, aż w końcu zaparkował na wąskiej uliczce Palitzerstraat. Ja zatrzymałem się jakieś trzydzieści metrów dalej. Po chwili wysiadł z samochodu, zamknął go na kluczyk i przeszedł przez ulicę, kierując się do biurowca po drugiej stronie.

Odczekałem kilka minut. Znalazłem miejsce parkingowe za rogiem i na piechotę wróciłem pod biurowiec. Ponieważ drzwi były otwarte, wszedłem na klatkę schodową. Na tablicy wiszącej po lewej stronie widniała lista biur mieszczących się na poszczególnych piętrach.

Na dwóch pierwszych siedzibę miała agencja ubezpieczeń, na trzecim dwie różne firmy o niejasnych profilach, zapewne zajmujące się importem, na czwartym mieściła się redakcja pisma „Hermes”, nazwę którego chyba już kiedyś słyszałem, choć nie umiałem przypisać go do jakiegoś konkretnego gatunku prasy. Spisałem wszystkie nazwy i przez chwilę się zastanawiałem; w tym czasie minęło mnie kilka osób wchodzących do

budynku. Wyszedłem z powrotem na ulicę. Na rogu, gdzie zaparkowałem, znalazłem kawiarnię, zajrzałem więc do niej i, kupiwszy kawę, zająłem miejsce przy oknie.

Odnutowałem, że był kwadrans po czwartej. Wprawdzie nie miałem w zasięgu wzroku ani granatowej mazdy, ani biurowca, uznałem jednak, że w tym momencie nie jest to szczególnie ważne.

W ogóle nie miało to znaczenia, w rzeczy samej. Wiedziałem przecież, gdzie go znaleźć. Mieszkał w bloku 36D na Wassingen, a pracował na Palitzerstraat. Tego ostatniego faktu jeszcze do końca nie potwierdziłem, miałem jednak takie graniczące z pewnością przypuszczenie. Uznałem, że w zupełności wystarczy, jeśli na wszelki wypadek kilka razy w ciągu dnia sprawdzę, czy samochód stoi na miejscu. W tygodniu natomiast mogłem to potwierdzić; gdyby okazało się, że jego miejsce parkowania było chwilowe, mogłem po prostu wrócić przed garaż na przedmieściu. Nic trudnego.

O nie, mój cień już mi nie ucieknie, tego byłem pewien. Może nawet bez większych komplikacji uda mi się dotrzeć do jego nazwiska. W końcu musiał być jedną z osób, które miałem na swojej liście. Nie spotkałem go, dzwoniąc do drzwi, ale niewykluczone, że rozmawiałem z nim przez telefon.

Pod tym względem sam cień nie był już szczególnie interesujący – do takiego wniosku doszedłem, sącząc kawę i udając, że czytam gazetę. Należało natomiast wyjaśnić związek między nim a Ewą. Miałem już dość czasu, by to przemyśleć. W miniony weekend żonglowałem w głowie przeróżnymi dziwnymi hipotezami, aż w końcu doszedłem do wniosku, że było tylko jedno możliwe rozwiązanie.

Maertens miał rację. Ewa naprawdę była w Wassingen tamtego dnia, kiedy jego kulejący śledczy ją dostrzegł. Weszła do bloku 36D, by odwiedzić mój cień. Nie dlatego, że sama tam mieszkała. Równie oczywiste

wydawało się to, że to z jej inicjatywy ten facet mnie śledził w lutym i na początku marca. Nie miało to zatem nic wspólnego ani z Reinem, ani z Mariam Kadhar. Ewa prosiła go, by miał mnie na oku, co dało się wyjaśnić tylko tak, że gdzieś mnie zobaczyła.

Najprawdopodobniej przez przypadek.

Gdzieś w A. W którejś kawiarni. Na ulicy. W sklepie, kiedy robiłem zakupy. Raczej nie mogły się za tym kryć bardziej złożone powody. Szukałem zaginionej żony, a tymczasem to ona dojrzała mnie pierwsza, choć ja jej nie widziałem. Przedmiot obserwacji stał się podmiotem. Zwierzyna – łowczym.

Najpewniej moja obecność tu musiała dać jej do myślenia, dla niej, co zrozumiałe, najważniejsze było więc wyjaśnić, co robię w A. Czy mój pobyt tu miał coś wspólnego z nią czy też byłem tu z zupełnie innego powodu.

Co jej mąż, który przed trzema i pół laty próbował ją zamordować – i który być może trwał w przekonaniu, że mu się to udało – robił tutaj, w jej nowym mieście?

W dużym skrócie.

Pierwszym krokiem, jaki przedsięwzięła było powierzenie komuś śledzenia mnie.

Czy to dobry przyjaciel? Kolega z pracy? Znajomy, któremu ufała?

Siedząc wówczas w pustej o tej porannej porze kawiarni po raz kolejny prześledziłem w myślach ten tok rozumowania i tym razem nie dopatrzyłem się w nim żadnych luk czy uszczerbków. Ponad wszelką wątpliwość istniał związek między Ewą a moim cieniem. Wiedziałem więc, że nastąpił przełom. To ten mężczyzna miał mnie do niej doprowadzić.

Prędzej czy później. Dobrowolnie lub nie, ale to zrobi.

Naturalnie moje wnioski opierały się w pewnym stopniu na dobrej wierze. Wiedziałem jednak, że musiałem też dobrze rozegrać karty, od tego momentu więc to właśnie ta kwestia nie dawała mi spokoju i pochłaniała całą moją uwagę i koncentrację.

Jak to zrobić? Jaka taktyka jest właściwa?

Te cholerne nieustające decyzje. Ten przeklęty zagęszczony czas! – pomyślałem wówczas.

Rozumiałem, że o fałszywy krok nie było trudno, w tym jednak momencie najważniejsze wydawało się to, by się nie ujawnić. Trzymać się z boku tak, by mój cień nie zorientował się, że go znalazłem. Jeśli w późniejszej fazie konieczne okaże się przyparcie go do muru, to naturalnie będzie trzeba to zrobić twardo i zdecydowanie. Na moich warunkach, nie jego lub jej.

Może nawet z odpowiednią bronią w dłoni.

Na razie jednak należało trzymać się w ukryciu. Doszedłszy do tej konkluzji, wyszedłem z kawiarni. Udało mi się znaleźć miejsce parkingowe po drugiej stronie ulicy, po przekątnej od wejścia do biurowca, skąd mogłem bez przeszkód obserwować osoby wchodzące do budynku i wychodzące z niego.

W ten oto sposób spędziłem niemal cały dzień. Ludzie przychodzili i znikali, zarówno mężczyźni, jak i kobiety i to w dość równych proporcjach. Szczególnie w porze lunchu, między dwunastą a drugą, ruch był duży; większość poszła do lokalnej knajpki leżącej na rogu za mną, niektórzy jednak wybyli gdzieś dalej. Kilka osób wsiadło do samochodów. Mój cień pojawił się kwadrans po dwunastej wraz z jakimś mężczyzną oraz zdecydowanie młodszą od niego kobietą; zniknęli przy narożnej kawiarni. Wszyscy wrócili kilka minut po wpół do drugiej, zaś mój obiekt pojawił się dopiero wpół do szóstej. Podszedł prosto do swojej mazdy i ruszył w stronę

Wassingen. Śledziłem go przez pewien odcinek, kiedy się jednak zorientowałem dokąd się kieruje, dałem mu spokój, sam zaś wybrałem się do wypożyczalni samochodów.

Przez cały dzień spędzony na Palitzerstraat nie widziałem Ewy, wstępnie wykluczyłem więc, że jest ona jego koleżanką z pracy. Po południu zacząłem też odczuwać pewne zniechęcenie, spowodowane – jak sądzę – nie tylko monotonią. Po raz pierwszy bowiem poczułem nutę zwątpienia i niepewności przed ewentualnym spotkaniem z Ewą. Dotąd, do tego właśnie dnia w połowie kwietnia, ta kwestia absolutnie nie napawała mnie niepokojem, gdy jednak obawy się pojawiły, wszystko nagle wydało mi się niesłychanie trudne.

Trochę jak z traumą z przeszłości, którą wypiera się latami, ale która nagle nie daje się już zamiatać pod dywan. Dopada niczym choroba zwierzę.

Tego wieczoru mocno się upiłem. Z ostatniego baru poszedłem do poznanej w nim ciemnoskórej i bardzo atrakcyjnej kobiety, kiedy jednak stanęliśmy przed jej drzwiami, obleciał mnie strach i opuściłem ją bez słowa. Pospieszyłem do domu przez mokre od deszczu ulice. Pamiętam, że kobieta otworzyła okno i rzucała jeszcze za mną jakieś niezbyt cenzuralne wyzwiska.

W sumie w pełni ją rozumiem.

Przez ostatnie dni nie zdarzało mi się wcześnie wstawać, a to dlatego, że piszę do bardzo późna. Trzy noce z rzędu nad zatoką wisiał księżyc w pełni, tworząc na wodzie srebrzystą aleję. Widok był dość przygnębiający; zdałoby się, że to bóg pacykarz namalował stworzenie na wzór jaskrawego, kiczowatego magazynu dla nastolatków.

Żadnych subtelności.

Nocą na plaży tu i ówdzie paliły się ogniska. Domyślałem się, że młodzież, która przy nich siedzi, śpiewając i popijając retsinę, też nieszczęśliwie wydaje się przejmować rzeczywistością. Większość z nich biega nago, a wczoraj, tuż przed pójściem do łóżka, widziałem dwójkę, która jak gdyby nigdy nic parzyła się pod moim balkonem.

Byli cicho, więc można mówić o jakiejś intymności. Dziewczyna siedziała na chłopaku i kochała się z nim w świetle księżyca, a ja miałem przed oczami ich widok jeszcze potem, kiedy próbowałem zasnąć. Najpewniej dlatego, że sam nie miałbym nic przeciwko temu, by kochać się z kobietą na plaży przy pełni.

Ech, do diabła z subtelnościami – pomyślałem.

Do Graues wróciłem raz. Tylko jeden jedyny raz.

To znaczy nie dokładnie do Graues, bo zatrzymałem się w Wörmlingen, mieścinie po drugiej stronie przełęczy; tej, do której udałem się tamtego dnia, gdzie wypisywałem pocztówki i gdzie być może mieszkał kochanek mojej żony.

Przez cały tydzień mieszkałem w Albergo Hans, ale dopiero przedostatniego dnia po raz kolejny wybrałem się na krętą trasę przy przepaści. Była połowa maja, w dolinie drzewa kwitły w pełni. Na szczytach jednak wciąż spoczywała gruba warstwa śniegu. Drogę przez przełęcz otwarto dopiero tydzień wcześniej.

Minął rok i dziewięć miesięcy. Przejechałem obok pełnego po brzegi zalewu, nie zatrzymując się, i pomknąłem dalej aż do położonego na górze parkingu. Tam wysiadłem i rozejrzałem się po okolicy. Nic się nie zmieniło. Dopiero po dłuższej chwili dałem radę spuścić wzrok w stronę stromych ścian i popatrzeć na szmaragdową taflę wody. Rozciągała się pode mną zupełnie gładka. Dzień był pogodny, pamiętam jednak, że słońce nie



odbijało się w zalewie, zaś słaby wiatr nie wywoływał nawet najmniejszej fali.

Zostawiłem samochód i ruszyłem na dół na piechotę. Gdy po chwili znalazłem się przy ostrym zakręcie w prawo, zwolniłem kroku i zbliżyłem się do lewej krawędzi drogi.

Dostrzegłem ją już z daleka. Śnieg i lód przez dwie zimy zrobiły swoje, erodując i krusząc, ale i tak było widać, że w murku zbudowanym z kamieni i cementu jest dziura. Nieduża i niesięgająca poziomu jezdni, raczej wyrwa przypominająca poszarpaną literę V. Próbowałem sobie przypomnieć, czy była tam wcześniej, ale nie mogłem. Dopadła mnie słabość i mdłości; zwieszony nad skrajem zwymiotowałem na ściany przepaści, po czym natychmiast ruszyłem z powrotem do samochodu.

Potem zjechałem, powoli, przytłoczony silnym poczuciem rozpacz, a następnego dnia opuściłem tę okolicę na zawsze.

Może nawet zamierzałem odwiedzić panią H., może też zamienić kilka słów z panem Ahrenmeyerem, ale – jak mówiłem – nigdy już nie pokonałem tej przełęczy.

Biuro znajdowało się przy Apollolaan i było najpewniej wydzielone z jednego z pełnych przepychu mieszkań w tej secesyjnej kamienicy. Zadzwoiłem do drzwi; otworzył mi blady młodzieniec w czarnym garniturze i golfie. Rysy miał ostre, nieco żydowskie, oczy głęboko osadzone, spojrzenie pełne refleksji. Przedstawiłem się.

– To pan dzwonił?

– Tak.

Biurko i dwa krzesła stanowiły całe wyposażenie pokoju, który przez poprowadzoną na ukos ścianę, zdawał się stać na kancie. Usiadłem i zacząłem wyjaśniać sytuację bez zbędnych kurtuazji.

... Chodzi zatem o kobietę, która w poprzednim życiu nazywała się Ewa... przyniosłem trzy, cztery zdjęcia. Jedyne trop, jaki miałem, to mężczyzna w granatowej maździe o numerach rejestracyjnych H124MC, zamieszkały w bloku 36D w Wasingen... mężczyzna o końskiej twarzy, w przyciemnionych okularach, zatrudniony w biurze przy Palitzerstraat 15... to on stanowił ogniwo, które mogło doprowadzić do kobiety, której szukałem.

Młodzieniec patrzył na mnie, delikatnie obracając zdjęcia w palcach.

– Dlaczego sam się pan tym nie zajmie?

– Nie mam czasu – wyjaśniłem. – Ale to dość proste zadanie, a jeśli pan nie zechce się go podjąć, to z pewnością znajdę kogoś innego. Nie mam jednak zamiaru wydawać na to fortuny.

Tego ranka przekazem pocztowym dotarła do mnie gratyfikacja, którą obiecał mi Kerr; bez wątplenia taki zastrzyk bardzo się przydał, ale nie miałem już większych zapasów, by nimi szastać.

– Chciałbym podpisać z panem umowę, – oznajmiłem – w której zobowiązuje się pan do zdobycia dla mnie nazwiska i adresu tej kobiety w tydzień.

Uśmiechnął się.

– Takich umów nie podpisuje się nawet w piekle – odparł, przesuważąc zdjęcia po blacie. – Mogę jednak zaoferować panu dobrą cenę i przysiąc, że zrobię, co mogę. Nie wygląda to na niewykonalne zadanie. Jest pan pewien, że on ją zna?

Pokiwałem głową.

– I że ona jest tutaj, w mieście?

– Tak.

– Teraz proszę mi dać trzysta guldenów, a jeśli przez tydzień na nic nie trafię, rozwiążemy umowę.

Wzruszywszy ramionami, sięgnąłem po portfel.

– Jak mogę się z panem skontaktować?

Zapisałem mój numer telefonu i adres w leżącym przed nim notesie. Wziął ode mnie pieniądze i wstał.

– Zadzwoń, kiedy tylko będę coś mieć. O jakiej porze można pana na pewno zastać?

Zastanowiłem się.

– Przed południem – odpowiedziałem. – Wieczorami często pracuję do późna, ale rano jestem w domu.

– Rozumiem.

Uścisnęliśmy sobie ręce, po czym wyszedłem na zalaną słońcem Apollolaan. Ferdinand Bolstraat leżała zaledwie pięć minut spacerem stamtąd, uznałem jednak, że nie mam ani ochoty, ani potrzeby wracać do domu.

Zamiast tego skierowałem swoje kroki na południe, wzdłuż kanału, którego nazwy nie znałem, jako że na żadnym ze skrzyżowań nie było stosownej tabliczki. O ile się nie myliłem, szedłem w stronę Balderisparken, w gruncie rzeczy było mi jednak obojętne, gdzie trafię. Potrzebowałem ruchu. Poprzedniego dnia krążyłem w ten sposób, bez żadnego planu, przez jakieś sześć, siedem godzin, roztrzásając w myślach, co począć. Dopiero późnym wieczorem, po kolacji w Mefisto, postanowiłem, że po raz kolejny skorzystam z usług detektywa. Z miejsca odrzuciłem możliwość ponownego zwrócenia się do Maertensa. W końcu stanęło na tym Haarmannie i choć z początku sprawiał jakże apatyczne wrażenie, to przyznaję, że po naszej krótkiej rozmowie nabrałem do niego pewnego zaufania.

Nie pamiętałem już, czy do Maertensa żywiłem podobne uczucia po pierwszym spotkaniu.

Po około dwudziestu minutach dotarłem do dużego, zielonego terenu, który – jak się domyślałem – musiał być częścią Balderisparken. Wszedłem przez furtkę i ruszyłem dalej pomiędzy krzewami i kwitnącymi drzewami, wśród ogłuszających ptasich treli. Tu i ówdzie leżeli ludzie wyciągnięci na kocach, obok nich stały kosze piknikowe. Naturalnie w większości były to pary i grupki studentów, ale trafiło się też kilka samych kobiet w moim wieku. Możliwe, a wręcz prawdopodobne, że w innych okolicznościach zagadnąłbym te ewidentnie szukające towarzystwa panie.

Trzymałem się jednak swoich ścieżek. Przemierzyłem ten zarośnięty bujną roślinnością park wszerz i wzdłuż i na tym zleciało mi całe popołudnie. Kiedy wróciłem na Ferdinand Bolstraat, nastał brudny zmierzch, a ja uświadomiłem sobie, że proces Mariam Kadhar i Ottona Gerlacha ma ruszyć za zaledwie sześć dni.

Czwartego maja. O tej dacie starałem się chyba zapomnieć; nie przyjmowałem do wiadomości, że zbliżała się dużymi krokami, ponieważ oznaczało to, że – po raz kolejny – sprawy przybiorą nowy trudny do przewidzenia obrót. Dręczyło mnie to, ale nijak nie mogłem temu zaradzić.

Trochę jak zbliżający się dzień operacji. Lub separacji.

Haarmann zadzwonił do mnie już następnego ranka, podając mi nazwisko mojego cienia.

Elmer van der Leuwe.

Samotny, choć miał dwójkę dzieci z poprzedniego związku. Od ośmiu lat ponownie zatrudniony w agencji ubezpieczeń Kreuger&Kreuger mieszczącej się w biurowcu na Palitzerstraat.

Dwa dni później oznajmił mi, że najlepiej będzie zrobić dwutygodniową przerwę w pracy. Van der Leuwe wyjechał właśnie na zorganizowaną wycieczkę na Kretę wraz z dobrym znajomym i nie wróci przed szesnastym. Jak dotąd Haarmannowi nie udało się ujawnić nic, co mogłoby

łączyć tego człowieka z Ewą, mało sensowne wydawało się więc – zwłaszcza, że byłem zainteresowany utrzymaniem kosztów na niskim poziomie – prowadzić śledztwo na pełnych obrotach.

Zgodziłem się. Kiedy odłożyłem słuchawkę, poczułem, że ogarnia mnie przeraźliwe poczucie nudy. Spędziłem godziny, leżąc beczynn timer w łóżku i odpalając papierosa od papierosa. Beatrice ocierała się o mnie i zdawała się być czymś poważnie zaniepokojona, aż w końcu musiałem ją zamknąć na balkonie. Nieco później zadzwonił Janis Hoorne, ale chciał mi tylko powiedzieć, że w najbliższym czasie nie będzie się mógł ze mną spotkać, bo w związku z nagraniem wynikły jakiś komplikacje.

Pozostawało mi więc czekać.

Pić po barach i trzymać myśli w ryzach.

Noc.

Piszę, a pisząc, uświadamiam sobie coraz wyraźniej, jak beznadziejnie kiepskim spektaklem jest życie. Żadnych wytycznych. Żadnego morału. Aktorzy nie trzymają się ról, zaś sama dramaturgia ciska się to tu, to tam, niczym okręt targany morskimi falami.

Zwykła dziwka w za dużych czółenkach. Jak kto woli.

Dziś ślad księżyca na wodzie skurczył się do wąskiej ścieżynki. Cykady grały teraz, w ciemności, nieco spokojniej. Z plaży dobiegał dźwięk rozstrojonej gitary, a powietrze nabrało wreszcie temperatury, która sprawia, że nie czuć go na skórze.

Tu nie ma żadnej walki. Żadnego niepokoju i cierpienia. I ozdób! Wypiłem łyk letniego oślego sikacza zaprawionego żywicą i zapaliłem czterdziestego papierosa. Lampa oliwna dymiła jak zwykle. W okolicy nie było prądu. Tylko księżyc i ogniska. I oliwa.

Pisałem.

Z uporem wyrzucałem z siebie słowa o tych zdarzeniach. Ciągle dokuczał mi smutek, ale bez wahania szedłem dalej. To jak więzienie, autentyczne więzienie, którego kulisy, trawione prostytucją, potrafią zwieść. Od mojego przyjazdu minęło dwanaście dni. Nie wiem, czy uda mi się znaleźć to, po co tu przybyłem, może nawet już o to nie dbam. Szlag ze zdjęciami Hendersona! To sama droga sprawia, że trud traci sens. Jestem tylko kolejnym z aktorów bez duszy grających w tej przeklętej sztuce, na którą nikt już nie patrzy.

Której nikt nie napisał i nie wyreżyserował. Gallis twierdził, że cała przyjemność w zaprawianiu żywicą polega na tym, że można pić niemal cokolwiek. Wierzę mu. Stojące przede mną butelka i kieliszek z pewnością zawierają siki osła, a ja i tak sącze je dzielnie.

Bóg mi świadkiem, upiłem się. Nie byłem w stanie napisać tego, co planowałem, gdy zasiadałem do kartki godzinę temu. Kiedy już będę po drugiej stronie nocy, wyrwę stąd te strony. Moje słowa skonfrontowane ze światłem dziennym wpełzną pod ziemię. Niczym zawstydzone blade robaki.

Skoro jednak zacząłem, to muszę skonstatować, iż:

... a najbardziej na prawo siedziała M.

W zasadzie tylko tyle pamiętam.

Otto Gerlach siedział na końcu po lewej stronie. Nienagannie przystrzyżony i ogolony. W białej koszuli, krawacie oraz dwurzędowym garniturze. Ręce złożył na ławie przed sobą. Uosobienie zasłużonego sukcesu.

Na prawo od niego siedziało dwóch adwokatów. Jeden jego własny, drugi Mariam Kadhar. Każde miało swojego. Sam nie wiedziałem, czy miało to jakiś większy sens, czy może chodziło tylko o to, by by nieco rozdzielić tę domniemaną klikę.

... a najbardziej na prawo siedziała M.

Ubrana na czarno. W jakimś prostym ciuchu bez ramion, który pasuje tylko niektórym kobietom i który kosztował pewnie równowartość miesięcznej pensji. Tak słyszałem.

Kiedy stałem tam, składając przysięgę, M. podniosła oczy i popatrzyła na mnie przez dwie sekundy. Potem na chwilę skierowała wzrok na buty prokuratora, który stał przed nią na ciemnej drewnianej podłodze. Nie zauważyłem żadnej różnicy między jednym jej spojrzeniem a drugim.

Nawet najmniejszej.

Poproszono, bym usiadł, tak też zrobiłem. Prokurator podszedł do mnie powoli. Był to wysoki mężczyzna około pięćdziesiątki. Miał dystyngowaną twarz o półboskim, klasycznym profilu, który ewidentnie lubił eksponować. Obszedł ławę i ustawił się tak, że widziałem jego lewy bok, podczas gdy członkowie ławy przysięgłych oraz większa część publiczności mogli podziwiać jego zarys z prawej strony. Stał bez ruchu i odczekał kilka sekund.

– David Moerk – zaczął.

Pokiwałem głową.

– Nazywa się pan David Moerk? – kontynuował.

– Tak – potwierdziłem.

– Proszę opowiedzieć, dlaczego znalazł się pan w A.!

Zarysowałem oględnie jeden z powodów, jakie mnie tu przyciągnęły. Zajęło mi to kilka minut, ale prokurator nie przerwał mi ani razu. Otto Gerlach siedział nieruchomo, ze spokojnie ułożonymi rękami i ani na sekundę nie spuszczał ze mnie wzroku. Wydawało mi się jednak, że nieznacznie poruszał szczękami. Dotarło do mnie, że zapewne – mimo chojrackiej miny – targają nim sprzeczne uczucia. Mariam siedziała za to ze spuszczoną głową i wyglądała na zdecydowanie mniej spiętą niż jej kochanek.

– Dziękuję – powiedział prokurator, kiedy skończyłem. – Proszę nam opowiedzieć o swojej pracy nad tłumaczeniem. Jak przebiegała i jak to się stało, że zaczął pan podejrzewać, że coś jest nie tak.

Opowiadałem więc dalej. Mówiąc, wodziłem wzrokiem po sali. Na chwilę zatrzymałem go na członkach ławy przysięgłych. Czterech mężczyzn i trzy kobiety. Wszyscy siedzieli wyprostowani z nieco zatroskanymi minami. Popatrzyłem też na zgromadzonych słuchaczy, zarówno tych siedzących na dole, jak i tych z pierwszych rzędów galerii.



Bez wątpienia wszystkie miejsca były zajęte. Był to drugi dzień procesu, pierwszy na poważnie. Wczoraj – jak przeczytałem w gazetach – skupiono się głównie na sprawach technicznych i na wyłuszczeniu aktu oskarżenia.

Zabójstwo. Pierwszego stopnia.

Żadne z nich się nie przyznało. Pierwsza potyczka już za nami.

Znaków zapytania było co niemiara – tak twierdziły gazety. Jeden z najciekawszych procesów od czasu sprawy Katza i Vermstena – pisał niejaki Laukoon w „de Telegraaf”. Poprzedniego wieczoru pewien telewizyjny magazyn kryminalny poświęcił cały odcinek na omówienie tego przypadku. Czy może raczej na zaprezentowanie listy pytań. Miałem okazję zobaczyć fragment tego spektaklu we Vlissingen.

Czy skażą ich oboje?

Czy któreś z nich weźmie całą winę na siebie? Które?

Jakie niezbite dowody ma prokurator? Jak w rzeczywistości wyglądał ten trójkąt miłosny? Czy będą się powoływać na swego rodzaju zabójstwo z miłości?

I tak dalej.

– Dlaczego uważa pan, że Rein chciał wydać książkę właśnie w ten sposób? – zapytał prokurator.

Adwokat Gerlacha zgłosił sprzeciw. Wstał i z tupetem oznajmił, że świadka prosi się o spekulacje. Milczałem.

– Oddalam – zdecydował sędzia. – Proszę jednak, by członkowie ławy przysięgłych mieli na względzie, że świadkowi pozwolono na zaprezentowanie własnej oceny.

Adwokat usiadł z powrotem.

– Zatem? – kontynuował prokurator.

– Może pan powtórzyć pytanie?

– Dlaczego Rein chciał wydać książkę w tłumaczeniu?

– To chyba oczywiste.

– Proszę sprecyzować!

Popatrzyłem na Mariam. Przez położone wysoko na galerii okna wpadało słońce, oblewając jej obojczyki marmurowobiałym światłem.

– W manuskrypcie było napisane, że chcieli go zamordować – wyjaśniłem.

Moja odpowiedź wywołała spore zamieszania wśród publiczności tak że sędzia musiał kilkakrotnie uderzyć młotkiem.

– Proszę sprecyzować – powtórzył prokurator.

Opowiedziałem o słowach zapisanych kursywą oraz o fragmencie dotyczącym listów zakopanych przy zegarze słonecznym w Wiśniowym Sadzie. Słuchacze znów się ożywili, więc sędzia po raz kolejny chwycił za młotek.

– Może pan opowiedzieć, co pan zrobił, kiedy zauważył pan te wskazówki?

Zaczęło mnie lekko mdlić. Na sali było ciepło, a w powietrzu wisiał zapach drogiej wody kolońskiej. Podejrzewałem, że jego źródłem był Otto Gerlach. Tak, teraz wiem, że to musiał być on.

– Przeprowadziłem próbę.

– W jaki sposób?

– Pojechałem do Behrensee i sprawdziłem, czy rzeczywiście sprawy miały się tak, jak pisał Rein.

– Znalazł pan listy?

– Tak.

– We wskazanym przez niego miejscu?

– Tak.

– Zapoznał się pan z ich treścią?

– Po pewnym czasie.

– Jakie wyciągnął pan wówczas wnioski?

Z sali dobiegł głos protestu. Tym razem był to adwokat Mariam. Sędzia kolejny raz go oddalił. Napiłem się wody. Jej temperatura była podobna do tej panującej w lokalu, co bynajmniej nie pomogło mi na mdłości.

– Jakie wyciągnął pan wnioski? – powtórzył prokurator.

– A jakie pan by wyciągnął? – skontrolowałem.

Wtrącił się sędzia, wyjaśniając, że moją powinnością jest odpowiadać na pytania, a nie je zadawać. Pokiwałem głową i wypilem jeszcze łyk.

– Doszedłem do wniosku, że Otto Gerlach i Mariam Kadhar zamordowali Reina.

Wśród publiczności tama znów puściła, jednak sędzia nie podjął się próby zaprowadzenia porządku. Prokurator podziękował mi i usiadł za swoim stołem.

Po chwili harmider ucichł, a sędzia przekazał głos adwokatowi Mariam. Ten zapiął marynarkę, wstał i podszedł do mnie równie zmanierowanym krokiem jak przed chwilą prokurator. Nie miał wprawdzie takiego profilu, ale zajął niemal identyczną pozycję i dopiero, gdy ostatnie szepty umilkły, zaczął mówić.

– Które wydawnictwo powierzyło panu zlecenie przetłumaczenia manuskryptu Germunda Reina?

Podąłem nazwę.

– Wie pan, kiedy ukaże się książka?

Wzruszyłem ramionami.

– Zakładam, że teraz, na dniach.

– O ile mi wiadomo, to dziś – doprecyzował.

– Możliwe.

– Jak duży będzie nakład?

– Nie mam pojęcia.

Adwokat z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął jakąś kartkę. Bardzo powoli ją wygładził, po czym popatrzył na nią z teatralnym zdziwieniem.

– Pięćdziesiąt tysięcy – powiedział.

Nie odpowiedziałem. Adwokat zdjął okulary i zaczął kiwać nimi w przód i w tył, trzymając je za jedno ucho.

– Może pan się jakoś do tego odnieść?

– Nie.

– Czy to nie wyjątkowo duży nakład? Zważywszy na język i rejon.

Kolejny raz wzruszyłem ramionami.

– Możliwe. Rein był wielkim pisarzem.

– Bez wątpienia. – Adwokat jeszcze raz popatrzył na kartkę. – Mam tu też liczbę sprzedanych egzemplarzy jego dwóch ostatnich książek w waszym kraju... Czy wie pan, o jakich wysokościach tu mówimy?

– Nie.

– Dwanaście tysięcy. Dla obu tytułów. Dwanaście tysięcy... Co pan na to?

Nie odpowiedziałem. Adwokat założył okulary i uśmiechnął się nieznacznie.

– Proszę powiedzieć, czy to wydanie nie jest przypadkiem całkiem niezłym interesem dla waszego wydawnictwa?

– Być może.

Zrobił krótką pauzę i powoli zaczął się odwracać do mnie plecami.

– Czy nie jest tak... – znów przystąpił do ataku. – Czy nie jest tak, że cała ta historia to czysta spekulacja, dzięki której można zarobić na niezwykle łatwym do sprzedania bestsellerze?

Napiłem się wody.

– To farmazon – odparłem.

– Słucham?

– Farmazon! – powtórzyłem głośno.

– Uprasza się świadka o zważanie na język – wtrącił sędzia.

Nie miałem więcej uwag. Adwokat Mariam wrócił na miejsce. Wstał za to adwokat Gerlacha, posuwistym krokiem ruszył w moją stronę.

– Kto opłaca pana pobyt w A.? – zapytał.

– Wydawnictwo, naturalnie.

– Ten manuskrypt, który pan przetłumaczył... czy ma pan jakiś dowód na to, że to rzeczywiście dzieło Germunda Reina?

– Co ma pan na myśli?

– Skąd pan wie, że to on go napisał?

Poczułem narastającą irytację.

– Oczywiście, że to tekst Reina. Czyj niby miałyby być?

– Jak manuskrypt trafił w pana ręce?

– Dostałem go od Kerra.

– Pańskiego wydawcy?

– Tak jest.

– A jak zdobył go Kerr?

– Rein mu go wysłał.

– Skąd pan wie?

– Stąd, że mi o tym opowiedział, ma się rozumieć.

– Kerr?

– Tak.

– I nie wie pan tego z innych źródeł?

– Z jakich znowu źródeł?

– Takich, które potwierdzałyby, że tak faktycznie było.

Prychnąłem.

– A dlaczego miałbym takich potrzebować? Co za idiotyzy my mi pan tu sugeruje?

Otrzymałem kolejne, tym razem surowsze upomnienie ze strony sędziego. Adwokat oparł się łokciem na balustradce otaczającej miejsce, na którym siedziałem.

– Czy ma pan jedynie słowo swojego wydawcy na potwierdzenie tego, że to rzeczywiście Germund Rein wysłał mu ten manuskrypt?

– Tak.

– Mógł więc być to bluff?

– Nie wydaje mi się.

– Nie pytam o to, co się panu wydaje.

– Według mnie to absolutnie wykluczone, by mój wydawca uciekł się do kłamstwa.

– Nawet, gdyby miało to finansowo postawić wydawnictwo na nogi?

– Wydawnictwo już na nich stoi.

Adwokat nagle się uśmiechnął. – Gdyby jednak ktoś inny podszył się pod Germunda Reina, to czy pański prawdomówny wydawca nie mógłby paść ofiarą manipulacji?

Zastanowiłem się. Wypiłem łyk wody.

– Teoretycznie tak – odparłem. – I to uważam jednak za wykluczone.

– Dziękuję – powiedział adwokat. – To wszystko.

Sędzia dał mi znak, że mogę opuścić moje miejsce. Odprowadził mnie ten sam woźny, który asystował mi, kiedy wchodziłem na salę. Mijając ławę oskarżonych, spróbowałem raz jeszcze złapać kontakt wzrokowy z Mariam, jednak nadal siedziała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w blat. Otto Gerlach za to wpatrywał się we mnie z uporem. Domyślałem się, że najchętniej by mnie zabił, gdybyśmy tylko znajdowali się w nieco mniej cywilizowanym otoczeniu.

Kiedy wyszedłem na szerokie schody budynku sądu, świat był zalany słońcem. Zerknąłem na zegarek. Mój udział w rozprawie zamknął się w godzinie.

Zdjąłem marynarkę. Przewiesiłem ją przez ramię i ruszyłem w stronę centrum. Wciąż dokuczały mi mdłości, uznałem więc, że potrzebuję solidnych drinków, by odzyskać równowagę.

Rzadko coś mi się śni, kiedy jednak się przede mną pojawiła, wiedziałem, że nie może być prawdziwa.

Miała na sobie tę samą sukienkę co w sądzie, a jej blade ramiona lśniły nienaturalnie białym blaskiem, odbijając jakieś sztuczne światło, źródła którego nie umiałem zlokalizować. Zbliżała się powoli, bardzo powoli i ostrożnie. Choć nie spojrzałem na jej stopy, wiedziałem, że jest bosa. Może słyszałem odgłos jej miękkich stóp kroczących po ciemnej marmurowej posadzce. A może je wyczułem. Kontrast między ich zmysłowym ciepłem a zimnym twardym podłożem był ostry niczym nóż. Rozpoznałem też samą podłogę. Bez wątpienia był to ołtarz w kościele Pierra del'Angelo w Tusce, gdzie ja i Ewa kochaliśmy się pewnej nocy przed dziesięciu laty.

Jedenastu, dokładniej rzecz biorąc. Kiedy dzieliły ją ode mnie ostatnie dwa kroki, przystanęła i zrzuciła z siebie sukienkę. Jej niczym nieograniczona nagość wypełniła całą nawę. Chwyciłem ją, objąłem, wciągałem nozdrzami zapach jej skóry, zapach tymianku i drzewa sandałowego, które długo leżało na słońcu w gorący letni dzień. Zapach żądz. Miętko uginając kolana, przyklękła i przywarła ustami do mojej sztywnej męskości. Też zacząłem przysiadać, a ona wypuściła mnie, położyła się na plecach i rozłożyła nogi. Wszedłem w nią. Zaczęliśmy się głośno kochać, zupełnie jak tamtej nocy przed laty. Jej uniesienie odbijało się echem w kaplicy, nasze nagie ciała z płaskim uderzały o gładki



marmur, kiedy tak... niczym pełni chuci poganie, niczym dzikie zwierzęta kochaliśmy się w kaplicy św. Małgorzaty w kościele Pierra del'Angelo.

Nagle w strzelistym oknie stanęła jeszcze jedna kobieta. Zauważyłem, że to Ewa i wtedy zorientowałem się, że siedzi na mnie nie ona, a Mariam.

Ewa miała na sobie identyczną czarną sukienkę. Kiedy tylko ją dostrzegłem, wysunąłem się z i spod Mariam. Ewa podeszła bliżej i zrzuciła z siebie ubranie, a jej ciała pałało taką samą bielą. Podeszła do nas leżących na podłodze. W jej oczach było widać żądzę, a kiedy powoli układała się na nas, pieściła swoje piersi i krocze. Skuliłem się i jeszcze bardziej odsunąłem w tył, zaś Ewa pochylila się nad Mariam – która wciąż pojękiwała, niezadowolona z tego, że z niej wyszedłem – i wcisnęła twarz pomiędzy jej nogi, po czym zaczęły się kochać. Namiętnie. Czule, ale i rozpustnie. Leżały tak, wpijając sobie wzajemnie usta w krocze, liżąc i ssąc. Siedziałem oparty o ścianę i nie mogłem oderwać od nich wzroku, mimo że w głowie dudnił mi głos mówiący, że muszę stamtąd zniknąć. Po chwili podniosły wzrok i obróciły się do mnie. – Rein! – wyszeptały. – Chodź do nas, Rein! – Nagle jedna z nich zmieniła się w mężczyznę, nie wiem która. Dopiero wtedy poderwałem się do ucieczki, zrozumiałem, w jakim jestem niebezpieczeństwie, ale było za późno. Zaczęli chwytać mnie za nogi i ręce, wlec mnie na środek podłogi, na którą padał ukośny snop światła z bocznego okna. Kobieta, w której rozpoznałem Ewę, kazała mężczyźnie coś przynieść, a on zniknął między rzędami ławek.

– Rein – wyszeptała. – Ty jesteś Rein, prawda?

Mówiła do mnie, trzymając twarz zaledwie kilka centymetrów przy mojej. Zorientowałem się, że słowa płyną z jej oddechem, a ja przechwytyuję je nie uszami, a przez pory w skórze.

– Nie, nie jestem Rein – odparłem. – To ja, David. A ty jesteś Ewa.

Znów jej bliskość się nasiliła. – Zdążymy się jeszcze pokochać, zanim on wróci. Chodź!

Usiadła na mnie okrakiem. Włożyła mnie w swoje rozpalone krocze i powoli zaczęła się unosić i opadać. Była ciaśniejsza, gorętsza i piękniejsza niż kiedykolwiek. Już prawie dochodziłem, kiedy dobiegł nas odgłos kroków. Zbliżał się, odbijając się echem w pustej nawie.

– Rein – jęknęła siedząca na mnie kobieta. – Rein! Kocham cię, ale muszę cię zabić.

– Kim jesteś? – zapytałem. Piersi miała jak Ewa, bez wątpienia, ale głowę odrzuciła do tyłu, nie widziałem więc jej twarzy. A jej głos był głosem wszystkich kobiet.

– Chodź – powiedziała. – No chodź.

Doszedłem.

Wtedy się obudziłem. Usłyszałem tramwaj dudniący na Ferdinand Bolstraat. Obok mnie na łóżku siedziała Beatrice, z wyrzutem wpatrując się we mnie żółtymi oczami.

Wstałem i poszedłem do łazienki.

W „Gazett” przeczytałem o wydaniu *Reina*. Tego samego dnia zadzwonił Kerr, potwierdzając, że to prawda. Przez pierwsze dni sprzedaż szła znakomicie. Na książkę oraz jej znaczenie dla toczącego się procesu zwróciły uwagę wszystkie media w Europie. Nie trzeba było długo czekać na pozew ze strony Ottona Gerlacha, ale najwyraźniej nie istniało żadne ryzyko, że wydanie zostanie wycofane, czego w trybie natychmiastowym domagał się Gerlach.

Groził tym i owym, ale wydawnictwo śmiało się tylko z tego zamieszania. Jedynym powodem do niepokoju był fakt, że tekst stanowił dowód w procesie, ale że nie toczył się on za zamkniętymi drzwiami, opublikowanie powieści nie wiązało się z większymi kłopotami.

– Posypały się oferty kupna oryginalnego manuskryptu – dodał z zadowoleniem Kerr. – A tobie jak idzie?

– Z czym?

– A skąd mam wiedzieć. Choćby z dziennikarzami.

– Bezproblemowo – odparłem, choć nie było to oczywiście prawdą. Poprzedniego wieczoru dałem się kupić młodej i bardzo ładnej publicystce z „de Journaal”. Dostałem dwa tysiące guldenów za wywiad ze zdjęciami, choć rzecz jasna w zamian wolałbym móc się z nią przespać za darmo. W tych dniach mój popęd seksualny był duży.

Dzwoniło też do mnie kilka innych osób. Nie wiem, skąd wzięli numer, za każdym razem odpowiadałem zdziwiony, że pod tym adresem nie mieszka i nie mieszkał żaden David Moerk.

Również poprzedniego dnia, ale późniejszym wieczorem pewien czerwono nosy pismak z jakiegoś podejrzanego tygodnika napraszał mi się, kiedy siedziałem we Vlissingen, ale mimo wszystko nietrudno było go spławić.

Po prysznicu – a mówię tu nadal o czwartku rano w pierwszym tygodniu procesu – naszała mnie nieodparta ochota, by znów się tam wybrać.

Do sądu. By dowiedzieć się, jak rozwinęły się sprawy, wmawiałem sobie, ale wiedziałem doskonale, że tak naprawdę chodziło tylko o Mariam. Musiałem ją znów zobaczyć. Sprawdzić, czy otworzyła się tak jak w moim śnie, spróbować choć na chwilę złapać z nią kontakt wzrokowy, zbadać, czy jej delikatne ramiona pozostają białe bez względu na okoliczności.

Kiedy tylko się zdecydowałem, pospieszyłem do wyjścia. Na ulicy zorientowałem się, że publiczność zostanie wpuszczona na salę już za kwadrans. Przywołałem taksówkę i poprosiłem kierowcę, by zawiózł mnie do sądu, jak szybko się da.

Łudziłem się, że i dziś będzie miała na sobie tę samą sukienkę bez rękawów.

Tę samą, co tego dnia, gdy zeznawałem.

Tę samą, co we śnie.

A jednak nie. Wprawdzie ubrana była w coś ciemnego, ale nie było widać nawet skrawka jej obojczyków.

Udało mi się zdobyć wspiane miejsce i to mimo że się nieco spóźniłem. Na prawym krańcu pierwszego rzędu, skąd miałem widok na całą salę i mogłem podziwiać profil Mariam siedzącej obok adwokata.

A kiedy zasiadła przy sądzie, ustawiona była do mnie drugim policzkiem.

Na sali zapanowała martwa cisza, kiedy Mariam podniosła się z ławy i z dyskretną godnością przeszła tych kilka kroków do krzesła przy sędzim. Usiadła, napiła się wody i splotła ręce na kolanach. Wyglądała po prostu imponująco. Poczułem gęsią skórę na rękach.

Prokurator zajął swoje miejsce. Wciągnął policzki i kilka razy przesunął językiem po zębach, zupełnie jakby właśnie delektował się dobrym koniakiem i nie chciał stracić nic z posmaku. Potem zakasłał w dłoń i zaczął.

– Pani Kadhar, jak długo była pani żoną Germunda Reina?

Nie odpowiedziała od razu. Wyglądała wręcz, jakby liczyła w myślach.

– Za dwa miesiące minęłoby piętnaście lat.

– Ile miała pani lat, wychodząc za niego?

– Dwadzieścia cztery.

– A ile miał wówczas pani mąż?

– Czterdzieści dwa.

Na prawo ode mnie siedział jakiś starszy pan, który robił notatki. Dopiero po chwili zorientowałem się, że stenografował. Następnego dnia

wierną relację z przesłuchania Mariam Kadhar można było przeczytać w „de Telegraaf”. Słowo w słowo.

- Ma pani dzieci?
- Nie.
- Nie była pani wcześniej zamężna?
- Nie.
- A pani mąż żonaty?
- Dwa razy.

Prokurator pokiwał głową i zrobił krótką przerwę. Wciąż było czuć, że zarówno urzędnicy sądowi, jak i publiczność wstrzymują oddech. Cisza na wypchanej po brzegi sali przypominała próżnię, jakby wytworzyło się tam swoiste akustyczne podciśnienie, tak sobie pomyślałem. Kiedy adwokat Ottona Gerlacha postukał dwa razy długopisem o blat, na sekundę wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę.

- Czy Germund Rein miał dzieci z poprzednich związków?
- Nie. Czy doprawdy nie wie zna pan tych szczegółów?
- Naturalnie, że znam, pani Kadhar, ale to nie ja będę orzekał o pani winie.

Westchnęła. A wszyscy my, jakbyśmy czekali na ten znak, bo wtedy znów zaczęliśmy oddychać.

- Czy to prawda, że jest pani jedyną spadkobierczynią swojego męża?
- Tak.
- Wie pani, o jaki majątek chodzi?
- Niedokładnie.
- Według moich danych o jakieś pięć do sześciu milionów guldenów. Czy to może być prawda?
- Tak.

Kolejna krótka pauza. Zacząłem się zastanawiać, czy ten wysoki prokurator przypadkiem nie uprawia szermierki w czasie wolnym. I czy robi to też Mariam. Przesłuchanie przypominało bowiem pojedynki na planszy: trzy, cztery, pięć wypadów i tyle samo ripost, a następnie zawodnicy robili krótką przerwę, by zebrać siły do kolejnego ataku.

– Czy kochała pani męża, pani Kadhar?

– Tak.

Odpowiedziała bez wahania, chyba nikt na sali nie miał wątpliwości, że mówi prawdę.

– Czy była pani wierna mężowi?

– Nie rozumiem pytania.

Prokurator udał zdziwienie z kunsztem godnym aktora-amatora z filmów klasy B.

– Zapytałem, czy była pani wierna mężowi. Jak to możliwe, że nie rozumie pani tak prostego pytania?

– Wierność nie jest pojęciem jednoznacznym.

Prokurator nagle się uśmiechnął.

– Powiedzmy, że nie. Czy miała pani związki z innymi mężczyznami?

Adwokat podniósł się z krzesła i zgłosił sprzeciw.

– Czy oskarżenie zechce inaczej sformułować swoje pytanie? – Prokurator potulnie pokiwał głową kilka razy.

– Czy to prawda, że utrzymywała pani stosunki seksualne z wydawcą pani męża, Ottonem Gerlachem?

– Tak.

I znów zero wahania. Prokurator zrobił króciutką pauzę na nabranie oddechu, po czym znów przystąpił do uderzania w ten sam punkt.

– Kiedy zaczął się pani romans z Ottonem Gerlachem?

– Dwa i pół roku temu.

– Czy pani mąż o tym wiedział.

– Nie.

– Jest pani pewna?

Chwilę się zastanawiała.

– Myślę, że pod koniec zaczął się domyślać.

– Co ma pani na myśli, mówiąc „pod koniec”?

– Chyba od zeszłego lata.

– Co skłania panią do takiego przekonania?

Wzruszyła ramionami, ale nie odpowiedziała. Prokurator powtórzył pytanie.

– Nie wiem – odparła. – Po prostu przeczucie.

– Dlaczego zdradzała pani męża, skoro go pani kochała?

– Byłabym wdzięczna, gdybym nie musiała odpowiadać na to pytanie.

– Pani Kadhar – wtrącił się sędzia. – Przypominam, że staramy się tu wymierzyć sprawiedliwość. Im więcej informacji pani zatai, tym większe pole zostawia pani przypadkowi.

– O ile rozumiem, to mam prawo milczeć cały czas, jeśli taka będzie moja wola?

– Absolutnie tak – przyznał jej rację sędzia. – Sama może pani zdecydować, na które pytania chce pani odpowiedzieć. Jeśli jednak jest pani niewinna, niemal zawsze lepiej jest mówić niż milczeć.

– Jakie było ostatnie pytanie?

Prokurator wysłuchał krótkiego wtrętu sędziego ze spuszczoną głową. Teraz odchrząknął i znów zabrał głos.

– Twierdzi pani, że kochała męża. Dlaczego go pani zdradzała, skoro go pani kochała?

– Nasze pożycie się nie układało.

Po raz pierwszy tego dnia wśród publiczności zrobiło się głośno. Sędzia uniósł młotek, nie musiał jednak nim uderzać.

– Czy Ottona Gerlacha też pani kochała?

Przez kilka sekund milczała, nie wyglądała jednak, jakby się zastanawiała. Jej adwokat dał jej znak ręką – domyślam się, że chciał się zorientować, czy znów ma zgłosić sprzeciw – jednak ona lekko pokręciła głową.

– Nie chcę odpowiadać na to pytanie.

– Dlaczego?

– To moja sprawa, kogo kocham, a kogo nie.

– Pani Kadhar, jest pani oskarżona o morderstwo.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Czy zamordowała pani męża?

– Nie zamordowałam go.

– Z pewnego źródła wiem, że panią bił.

– Aha.

– Czy to prawda?

– Zdarzyło się to dwa razy.

– Czy chodziło o poważne pobicie?

– Za drugim razem musiałam iść do lekarza

– Kiedy to było?

– Mniej więcej rok temu.

– O co poszło?

– To była moja wina.

– Co ma pani na myśli?

– Sprzeciw! – przerwał adwokat, wstając. – Prokurator ciągle zadaje pełne insynuacji pytania nie na temat. Proponuję, by albo przeszedł do sedna, albo wrócił na swoje miejsce.



Jego apel spotkał się z pewną aprobatą publiczności, sędzia wtrącił więc:

– Bardzo proszę, by adwokat zechciał przejść do kwestii domniemanej zbrodni – pouczył kwaśno.

– Z największą chęcią. – Uśmiechnął się prokurator, który chyba tego typu pouczeń nie brał na poważnie. – Proszę opowiedzieć o nocy, kiedy zginął pani mąż, pani Kadhar!

Mariam przez chwilę siedziała cicho. Potem obróciła głowę w stronę sędziego.

– Czy najpierw mogę porozmawiać z moim adwokatem?

Sędzia pokiwał, a adwokat szybko pojawił się obok niej. Po prowadzonej szeptem naradzie podszedł do sędziego i coś mu przekazał. Sędzia zapisał kilka linijek na papierze i wyprostował plecy.

– Zarządzam krótką przerwę – wyjaśnił, po czym odłożył młotek na stół.

– Piętnastominutową przerwę.

Dni robią się coraz gorętsze. Dopóki słońce świeci, w zasadzie nie do pomyslenia jest przebywać gdzie indziej niż nad wodą. Próbowałem siedzieć w domu i na oliwnych stokach, ale szybko robiło się to nie do wytrzymania. Jedynie morze jest w stanie zapewnić wystarczający chłód. Nie trzeba się kąpać, wystarczy trzymać się w pobliżu, w cieniu, od czasu do czasu zamoczyć nogi lub oblać głowę wodą.

Thalatta.

Ostatnio próbowałem przejść po kamienistym wybrzeżu na cypel na południu. Plan był taki, by dojść do pierwszej z osłoniętych plaż i może bliżej przyrzeć się domowi, który widziałem z kaplicy. Naturalnie prościej byłoby dostać się tam łódką, w najbliższych dniach miałem nawet zamiar jakąś wynająć. Ta żmudna wyprawa zajęła mi trzy godziny, a i tak nie doszedłem do końca. Była to w zasadzie moja decyzja, na plaży bowiem przebywał jakiś tuzin ludzi, którzy ganiali po niej tak, jak ich Pan Bóg stworzył. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Cumowały tam dwie łodzie: dość duży jacht motorowy, kołyszący się nieco dalej od brzegu oraz mniejsza łódź wciągnięta na brzeg. Podobna do tej, jaką pływali bracia Kazantsakis. Dom stał jakieś pięćdziesiąt metrów dalej na zboczu. Był duży, bielony, otaczały go cyprysy. O ile widziałem, taras obejmował cały budynek. Liczba parasoli słonecznych, białych mebli oraz ręczników sugerowała, że mieszka tam cały oddział. Doszedłem do wniosku, że to raczej nie Grecy, ponieważ biegali po plaży nago, nie wstydząc się tego.

Dość jednak o tym. Przez kilka wieczorów jeździłem autobusem do miasta, gdzie przesiadywałem pod winoroślami w knajpach.

Życie lokalne tam kwitło, zaś autochtoni chętnie bratali się z turystami. Pokazałem swoje zdjęcia kilkakrotnie i w przynajmniej dwóch przypadkach spotkały się z przytaknięciami i uśmiezkami. Nie wiem jednak czy to coś znaczy, czy też może chodziło tylko o grzeczność i ogólną chęć pomocy. W końcu nie mówię po grecku, nie licząc rozmówek w sklepie i restauracji, a do tego coś mnie powstrzymuje w rozmowie.

Coś, co z jednej strony trudno uchwycić, a z drugiej wydaje się oczywiste.

Jakbym nie chciał robić czegoś na siłę. Istnieją pewne wzory, sprawy muszą się toczyć takim, a nie innym rytmem nawet na tej wyspie. Wciąż mam dużo czasu i nawet jeśli dotąd nie udało mi się zaobserwować żadnych znaków, to wydaje mi się, że dobrze trafiłem. Oczywiście na razie to wrażenie nie jest zbyt mocne, ale może właśnie jego subtelność sprawia, że nie chcę go przeciążyć.

Zranione ptasie skrzydło, które powoli się goi, ale jeszcze nie pozawala na prawdziwy lot. Embrion, który stopniowo rośnie, ale by go unicestwić, wystarczyłoby słoneczne światło.

Szczególnie takie bezlitosne, zalewające świat promienie jak tu.

Ptak, tak właśnie określiła siebie, kiedy wtedy byliśmy razem. Ptak ze zranionym skrzydłem.

Dopóki się nie wyleczę, nie mogę dawać. Tylko brać.

Bardzo mi się to podobało. Od początku wyznaczało to pewne ramy naszego związku, przystałem więc na to bez mrugnięcia okiem. Na dobre zaczęliśmy się kochać dopiero po miesiącu, to też do mnie przemawiało. Pozwoliło mi skończyć inną znajomość, z którą wcześniej nie zdążyłem się uporać.

Kiedy się pobieraliśmy, ona wciąż była moim zranionym ptakiem. Później straciła dwoje naszych dzieci, nie udało się donosić ich do momentu, w którym mogłyby przeżyć. To tylko przypieczętowało więź między nami. Po drugim poronieniu moja siła okazała się za mała, by wypełnić pustkę jej słabości. Przez rok żyliśmy każde w swoim świecie. Wyszło tak, że ja korzystałem z praw silnego samca, a Ewa chowała się za wątlami zasłonami choroby.

Adagio, mawiała w tamtym czasie. Właśnie przechodzimy przez adagio. Nie ma w tym nic dziwnego.

Rzeczywiście nie było.

Mauritza Wincklera spotkałem trzy, może cztery razy. Bynajmniej nie wywarł na mnie korzystnego wrażenia. W jego zachowaniu i sposobie mówienia o najmniejszych banałach wyczuwało się jakąś krytykancką nadgorliwość. Po tym, jak Ewę wypisano, zaliczyliśmy kilka prawdziwych kłótni, dochodziło też do rękoczynów, ale pojednawali się, z batalii wychodząc wzmocnieni. Mauritz Winckler nie potrafił jednak tego pojąć. Choć nigdy nie mówił tego na głos, to jednak jego uprzedzony stosunek przebijał przez kurtynę słów i uśmiechów.

Nie, Mauritz Winckler nigdy nie zrozumiał naszej alegorii zranionego ptaka oraz tego silniejszego, który ma swoje prawa, ale i obowiązki. Wyjątkowo trudno było mi go znieść.

Już od samego początku. Jeszcze długo przed tym, jak został kochankiem mojej żony.

Zmierzch zapadał szybko, mrok wyrastał z zakamarków. Leżałem na łóżku, przyglądając się, jak kontury pokoju stopniowo się zacierają. Spróbowałem przypomnieć ich sobie, zobaczyć oczyma wyobraźni, moją żonę i jej kochanka, jednak obrazy wyglądały fałszywie i utrzymywały się co

najwyżej przez ułamek sekundy. Po omacku zacząłem szukać szklaneczki retsiny ustawionej na stoliku nocnym. Znalazłem ją i wypilem łyk.

Chwilę myślałem o tym porównaniu życia do kiepskiej sztuki, o którym pisałem przed kilkoma dniami. Próbowałem zastanowić się, jak można byłoby nadać mu jakiś sens i cel, ale doszedłem jedynie do tej gorzkiej odpowiedzi, którą znałem już wcześniej.

Widać taka ma być. Rzadko z jakim rozumowaniem mierzę się niczym gladiator. To z powodu tej goryczy leżę tu w ciepłym mroku na tej wojowniczo pięknej wyspie.

Tylko i wyłącznie dla niej.

Relacja Mariam z jej poczynań w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego listopada zajęła – wliczając przerwy na wtrącenia prokuratora, adwokatów oraz sędziego – czterdzieści pięć minut. Kiedy skończyła, chyba każdy członek ławy przysięgłych był przekonany, że jest winna.

Ramiona miała luźno spuszczone, głos ani razu jej nie zawiódł, mimo to powoli, ale konsekwentnie zasiewała w nas ziarno pewności.

Winna.

Potem już nic nie mogło jej pomóc.

Żadna sympatia. Żadne białe niczym marmur obojczyki czy inne niejasne okoliczności.

Otto Gerlach zeznawał po bardzo krótkiej przerwie i choć wywierał zdecydowanie inne wrażenie niż jego kochanka, to i tak nie udało mu się już uratować sytuacji. We wszystkich kluczowych kwestiach przedstawił tę samą wersję zdarzeń, co Mariam. W zasadzie cały jego próżny występ nie służył niczemu innemu, jak tylko potwierdzeniu i wyostreniu ponurych faktów stanowiących oprawę nagłej śmierci Germunda Reina. Tak właśnie napisano następnego dnia w jednym z doniesień prasowych.

Oboje bezceremonialnie przyznali, że łączył ich romans. Od trzech lat, choć na początku spotkania miały sporadyczny charakter. Relacja ta – co podkreślali zarówno M., jak i G. – miała charakter przede wszystkim seksualny, a jej podłoże leżało w niemocy Reina w tym względzie. W związku z tą deklaracją prokurator zadał całą serię pełnych insynuacji pytań, przez co udało mu się trochę zapędzić w róg szczególnie Mariam.

Widziałem, jak wyraz dobrej woli powoli znika z twarzy słuchaczy, w miarę jak Mariam próbowała się tłumaczyć, zaś dwie kobiety na ławie przysięgłych moralizatorsko marszczyły nos, wpatrując się w nią. Na pytanie, dlaczego nie wtajemniczyła Reina w swój romans, Mariam zaśmiała się i prostym ruchem głową dała do zrozumienia, co myśli o wiedzy prokuratora o tego typu sprawach.

To również nie zrobiło dobrego wrażenia na publiczności.

Jeśli chodzi o fakty, to Otto Gerlach – co zostało poświadczane – około siódmej wieczorem dziewiętnastego listopada znajdował się w Wiśniowym Sadzie. Plan był taki, tak przynajmniej twierdził, że również Helmut Rühdegger miał mu towarzyszyć, ale coś mu wypadło – coś, czego nie udało się za bardzo sprecyzować. Pamiętam, że mnie to zirytowało. Przecież nie było nic łatwiejszego, jak zapytać Rühdeggera, ale najwidoczniej nikt tego nie zrobił, ani oskarżenie, ani obrona.

Tak czy inaczej jedli i popijali sobie zdrowo we trójkę w nadmorskiej willi. Szybko okazało się, że Germund Rein był w fatalnym humorze – trawiło go to typowe dla nastolatków połączenie megalomanii z żarzącą się samopogardą, które nie tak znów rzadko dopada też pisarzy i innych twórców (jak twierdził Otto Gerlach, a uważał, że wie co mówi). Żadne z nich jednak nie przeczuwało, by Rein żywił jakieś podejrzenia co do żony i wydawcy. Ani tamtego dnia, ani wcześniej, owej jesieni. Muszę przyznać, że nie do końca rozumiałem ich upór w tej kwestii. Na tym etapie procesu ewidentne było, że Rein miał mocne i uzasadnione przypuszczenia, nie bardzo rozumiałem więc, czemu miało służyć ignorowanie tego faktu. Zarówno wówczas na sali sądowej, jak i później. Tak czy inaczej oboje kategorycznie zaprzeczyli, by fatalny humor pisarza tego wieczoru w jakikolwiek sposób wiązał się z ich nieprzyzwoitym związkiem.

Okolo północy – za piętnaście według zeznań M., pięć po, według zeznań G. – Rein uznał, że ma dość ich towarzystwa. Z butelką koniaku, zataczając się, wszedł po schodach na piętro, odesłał ich oboje do diabła i zamknął się w pokoju. Wcześniej uzgodnili, że Gerlach zostanie na noc, mimo tego jednak oraz mimo ewidentnego stanu upojenia gospodarza nie skorzystali z okazji, by dzielić łóżko. Okolo wpół do pierwszej wstali ze skórzanych foteli i rozeszli się każde do swojego pokoju. Gerlach zeznał, że jeszcze chwilę czytał, po czym zasnął między kwadrans po drugiej a wpół do trzeciej. Mariam – według jej relacji – kiedy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

I tyle. Następnego ranka Gerlach wstał pierwszy kilka minut po dziesiątej, jednak dopiero półtorej godziny później Mariam zauważyła list w maszynie do pisania w pokoju Reina. Wcześniej pukała do niego kilka razy i wołała go, nie chciała jednak przeszkadzać mężowi, skoro potrzebował spokoju, jak twierdziła. W końcu jednak i tak weszła do pokoju.

Treść listu nie stanowiła tajemnicy. Prokurator odczytał go i zapytał, czy jego zawartość zgadza się z tym, co znaleziono w maszynie. Zarówno M., jak i G. to potwierdzili.

Zapytał ich też, jak odniosą się do faktu, że na liście nie ma ani jednego odcisku palców Reina, jednak żadne z nich nie umiało przedstawić zadowalającego wyjaśnienia, co znów wywołało marsy na czołach członków rady przysięgłych.

Natomiast co do listów, które wykopałem spod zegara słonecznego, Mariam i Gerlach obstawali przy czymś, co wzbudziło niemałe zdziwienie, zarówno na sali sądowej, jak i w późniejszych komentarzach prasowych.

Ekspertyza wykazała, że wszystkie zostały napisane na tej samej maszynie: niedużym, przenośnym triumf/adlerze, który należał do Gerlacha



i z reguły stał w jego biurze w wydawnictwie, choć czasami zabierał go ze sobą w podróż. Prokurator zastanawiał się, dlaczego G. nie skorzystał z nieco bardziej nowoczesnego urządzenia, żyjemy w końcu w zdigitalizowanym świecie. Wydawca odparł jednak tylko tyle, że od zawsze wolał poczciwe stare maszyny od procesorów tekstu.

Szkopuł tkwił w czwartym liście. G. przyznał bez wahania, że to on stał za trzema pierwszymi zawierającymi *expressis verbis* wyznania miłosne, jednak jeśli chodziło o czwarty list, w którym nakreślony był plan zabójstwa, G. stanowczo zaprzeczył, by kiedykolwiek coś takiego wyszło spod jego ręki.

To samo twierdziła Mariam. Ponoć nigdy wcześniej nie czytała tych linijek, zobaczyła je dopiero na policji. Gdyby dostała go do rąk wcześniej, zerwałaby natychmiast stosunki z autorem, jak zapewniła. Ostatni list, podobnie jak pozostałe, był dość niewyraźnie datowany... późna jesień 199-... ponieważ jednak wspomniano w nim o tymże weekendzie w Wiśniowym Sadzie jako o wkrótce nadchodzącym wydarzeniu, prokurator uznał, że musiano napisać go w okresie czternastu dni przed śmiercią Reina.

Na pytanie prokuratora o to, jakim cudem list trafił do szuflady z bielizną Mariam, a następnie pod zegar słoneczny, żadne z oskarżonych nie umiało udzielić odpowiedzi. Może nawet na ich korzyść świadczyło to, że nie starali się przedstawiać takich czy innych teorii czy spekulacji na ten temat. Co do oryginałów i kopii w komodzie, Mariam oznajmiła, że wyrzuciła je kilka tygodni po śmierci męża, zaś prokurator nie wydawał się skory do tego, by dalej naciskać na tę kwestię.

– Czy dobrze znali państwo Gargantuę? – zapytał za to.

Gargantua to łódź Reina.

– Oczywiście – odparła Mariam bez jakichkolwiek oznak niepokoju.

– Naturalnie – odparł Gerlach godzinę później. – To zwykła motorówka, bez żadnych wymysłów.

– Dziękuję – powiedział prokurator.

W obu przypadkach.

Nie, z pewnością nie ja jeden miałem wrażenie, że wszystko jest już przesądzone, kiedy Mariam Kadhar ze spuszczoną głową opuszczała krzesło obok sędziego. Ostatnie okoliczności, jakie wyciągnął prokurator, były natury finansowej i widać było gołym okiem, że wytrąciło ją to z równowagi.

Na kilka tygodni przed tym fatalnym wieczorem Mariam pobrała bowiem dwie znacznej wysokości sumy z konta Reina, do korzystania z którego miała upoważnienie.

Sto tysięcy guldenów siódmego listopada oraz sto dziesięć tysięcy osiem dni później. Na pytania, na co miała zamiar wykorzystać te pieniądze, odparła tylko, że to Rein prosił ją, by pobrała takie właśnie sumy, ona zaś nie miała pojęcia, co planował z nimi zrobić.

– Czy wcześniej pobierała pani dla niego sumy o takiej wysokości? – zapytał prokurator.

– Nie.

– Nigdy?

– Może z raz.

– Nie wiedząc, na co mu te pieniądze?

– Tak.

– A jak pani sądzi, na co wydał je tym razem?

– Nie wiem.

– Nie pytała pani?

– Owszem, pytałam.

– I?

– Nie odpowiedział.

– Nie wydaje się to pani dziwne?

Zawahała się.

– Być może. Mój mąż był nietuzinkowym człowiekiem.

– Nie wątpię. Niemniej jednak nam również nie udało się ustalić, na co wydał te pieniądze. Co pani na to?

Kolejny raz wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Jakież pomysły?

– Nie.

Prokurator zrobił przerwę, by przygotować pole na następne pytanie.

– I nie było tak, że zachowała pani te pieniądze dla siebie?

– Oczywiście, że nie.

– Ani za jednym, ani za drugim razem?

– Nie.

– Ma pani jakieś potwierdzenie na to, że faktycznie przekazała pani pieniądze mężowi?

Przez chwilę myślała.

– Nie.

O ile pamiętam, to po tym prostym stwierdzeniu pozwolono jej wrócić na miejsce.

Z sądu wychodziłem wyczerpany, ale też miałem wrażenie, że już po wszystkim. Towarzyszyło mi także gorzkie poczucie ulgi, trochę jak po wizycie u dentysty.

Utrzymywało się przez najbliższe dni, podczas których włóczyłem się po mieście bez celu i pośpiechu. Przysiadłem w parkach i kawiarniach, czytałem i obserwowałem ludzi, beztrosko rozkoszując się pogodą. Czas dla odmiany znów się rozrzedził, trudno było tego nie zauważyć – oto znów

znajdowałem się w okresie pustki i swoistej przezroczystości. Jakbym siedział w poczekalni dworcowej, wyczekując spóźnionego pociągu. W gazetach czytałem o przeróżnych spekulacjach na temat zakończenia procesu, a także o awanturach wokół książki i praw do niej, w gruncie rzeczy w ogóle mnie to nie ruszało. Zdawałem sobie sprawę, że moja rola już dobiegła końca i że teraz mogę przesiadywać w Gambrinusie, Mefiście bądź Vlissingen, obserwując przedstawienie z szeroko otwartymi oczami jak wszyscy inni przypadkowi widzowie.

W tamtych dniach nie piłem za dużo. Wprawdzie wieczory spędzałem w barach, ale najczęściej wracałem do domu, do Beatrice, na długo przed północą. Kiedy zaś Janis Hoorne zadzwonił, by zaprosić mnie nad morze, podziękowałem i poprosiłem, byśmy przełożyli to na kiedy indziej. Ustaliliśmy chyba, że początek czerwca będzie odpowiedni. Wtedy nie miałem jeszcze pojęcia, że w tym roku czerwca nie będzie.

Wiedziałem, rzecz jasna, że to stadium odpoczynku i zdystansowania nie będzie trwać wiecznie. Przeciwnie, oczywistym było, że mam do czynienia z okresem bez treści, który niczym cisza przed burzą musi nastąpić przed kolejną koncentracją. Kolejnym powolnym nagromadzeniem meteorytów na pętli czasu.

Zagęszczenie przyszło – jak przewidywałem – z nastaniem weekendu, dokładnie w połowie maja.

W piątek zapadł wyrok w sprawie Reina. Dowiedziałem się o nim z przedpołudniowego serwisu wiadomości w radiu, zupełnie jak wcześniej o aresztowaniu. Okno na ulicę było szeroko otwarte, pamiętam jak dziś, a kiedy spiker powoli odczytywał krótki komunikat, miało się wrażenie, jakby całe miasto wstrzymało oddech. W każdym razie na kilka sekund. Delikatnie mówiąc, dziwne uczucie. Nadal przypominam je sobie bez trudu.

Mariam Kadhar uznana za winną.

Otto Gerlach uznany za winnego.

Zabójstwo pierwszego stopnia.

Ława przysięgłych nie miała najmniejszych wątpliwości. Nie określono jeszcze wymiaru kary, nic nie wskazywało jednak, by nie miał to być najwyższy możliwy wyrok. Dwanaście lat dla każdego.

Żadnych okoliczności łagodzących. Oboje winni w równym stopniu. Żadnej litości.

Wyłączyłem radio, a do wnętrza przez okno znów wlało się miasto.

Mniej więcej dobę później – w sobotnie przedpołudnie – zadzwonił Kerr, by oznajmić, że liczba sprzedanych egzemplarzy była szacowana na niemal czterdzieści pięć tysięcy, zaś kolejny nakład (pięćdziesięciu tysięcy) był już gotowy. Zapytał, czy potrzebuję pieniędzy, z chęcią poprosiłem go więc o niewielką sumę.

Tego wieczoru się upiłem. Poszedłem też z jakąś kobietą do jej domu na Max Willemstraat, sądzą jednak, że ani ona, ani ja nie odnieśliśmy większej korzyści z tego byle jakiego stosunku, który odbyliśmy na podłodze jej salonu.

W każdym razie ona na pewno nie.

W niedzielę szesnastego maja Haarmann poinformował mnie, że Elmer van der Leuwe wylądował na S-haufen wieczorem tego dnia, detektyw miał więc zamiar wszcząć przerwane śledztwo.

Pod warunkiem, że nadal życzyłem sobie odnaleźć moją zaginioną żonę?

Owszem, życzyłem sobie. Rozłączyłem się. Wstałem, poszedłem do kuchni i łyknąłem dwie pigułki, bo mocno dokuczał mi ból głowy. Z lekkim zdziwieniem odnotowałem, że pada ciepły i delikatny wiosenny deszcz, zaś pod otwartymi drzwiami balkonowymi zebrała się kałuża.

To Doris z piegami – we Vlissingen są dwie barmanki o tym imieniu, obie mają około dwudziestu pięciu lat, obie blondynki, obie ładne, o chłodnej północnoeuropejskiej urodzie, ale tylko jedna ma piegi – tak więc to Doris z piegami jakoś po szesnastej przyłożyła palec do ust, po czym podgłosiła telewizor wiszący pod sufitem w kącie lokalu.

Setki razy wracałem myślami do tego krótkiego serwisu wiadomości. Wrażenie, jakie wyniosłem ze sobą z Vlissingen było takie, że chyba zobaczyłem program nagrany w ultraszybkim trybie rejestrowania obrazu, odtworzony w slow-motion, bo wszystkie szczegóły trwały na ekranie z iście absurdalną wyrazistością: szeroko otwarte oczy prezenterki, jakby ona sama nie bardzo wierzyła w to, co czyta; jej głos, jej żargonowe sformułowania i profesjonalny spokój balansujący na granicy przepaści wypieranego podniecenia.

I zdjęcia.

Aresztu. Korytarza. Drzwi do celi i strażniczki, która niewzruszona odpowiadała na pytania niewidocznego na ekranie dziennikarza, mówiąc do niebieskiego mikrofonu z logotypem kanału 5.

I słowa, które tkwią mi w pamięci. Kątem oka widziałem, że Doris zastyga z papierosem w ustach, tak że słupek popiołu nagle robi się za ciężki, aż w końcu spada.

– Może pani powiedzieć, co się tutaj stało? – zapytał dziennikarz, pokaszując dwukrotnie, raz prosto do mikrofonu.

– Taak... – Strażniczka z początku się wahała. – Osadzona poprosiła o kartkę i długopis, a regulamin tego nie zabrania.

– Dała jej więc pani kartkę i długopis?

– Nie ja, koleżanka.

– Pani koleżanka dała jej kartkę i długopis?

– Tak.

– A potem?

– Potem chciałam poinformować osadzoną, że będzie mogła spotkać się z pastorem.

– Z pastorem?

– Tak, prosiła o rozmowę z pastorem.

– Weszła pani do jej celi?

– Tak. Najpierw zajrzałam przez wizjer i zobaczyłam, że leży na podłodze.

– Co pani zrobiła?

– Otworzyłam zamek i weszłam do środka. Leżała na brzuchu. Najpierw zapytałam, jak się czuje, a kiedy nie odpowiedziała, obróciłam ją. Na podłodze była nieduża plama z krwi, potem zobaczyłam jej oko.

– Już wiedziała pani, co się tam wydarzyło?

– Tak. Wbiła sobie długopis w oko.

– Cały długopis?

– Tak, nic nie wystawało.

– Czy już nie żyła?

– Tak. Wezwałam pomoc, ale od razu stwierdzono zgon.

Krótką pauzą, podczas której kamera najechała na nieco ciemniejszą plamę na zielonej podłodze.

– Jak pani zareagowała?

Z początku odpowiedź nie padła. Zbliżenia na twarz strażniczki – widać było, że nie wie, gdzie podziąć oczy. Nadal jednak nie okazywała jakiegoś większego poruszenia. Lewy kącik ust drgnął kilka razy.

– To było okropne... – stwierdziła w końcu, chyba raczej po to, by wpasować się w konwencję.

Następnie dziennikarz oznajmił, że oto mówił Erich Molder i obraz przeniósł się do studia wiadomości.

– Powtarzamy – powiedziała prezenterka o szeroko otwartych oczach. – Mariam Kadhar, żona zmarłego pisarza Germunda Reina niedawno skazana na dwanaście lat więzienia za zabójstwo, przed zaledwie godziną odebrała sobie życie w areszcie na Burgislaan, gdzie oczekiwała na przewiezienie do zakładu karnego dla kobiet w Bossingen. Mariam Kadhar miała trzydzieści dziewięć lat. Więcej szczegółów przekazemy państwu w wiadomościach wieczornych.

Serwis się skończył. Doris w końcu zaciągnęła się papierosem, popatrzyłem na jej piegowate ramię, jak podnosi się i opada. Potem wyłączyła telewizor. Wstałem od stolika przy oknie i wyszedłem. Na ulicy światło słoneczne poraziło mnie niczym prąd. Przez chwilę mrużyłem oczy, trzymając się roweru zaparkowanego przy ścianie. Czułem dziwne, mocne zawroty głowy, a na ustach wyraźny, kwaśny posmak metalu.

Po kilku sekundach doszedłem do siebie i ruszyłem piechotą na Ferdinand Bolstraat.

Przeczytałem jeszcze raz całość. Uznałem, że to w pełni właściwy opis. Mogę ewentualnie dodać, że był poniedziałek siedemnastego maja, dotychczas najcieplejszy dzień roku.

Dolałem sobie wody z powyszczerbianej karafki, a w szklance z ouzo urosła mglista chmurka. Siedziałem sam pod parasolem, czekając, aż skończy się sjesta. Wcześniej spałem godzinę na ławce pod bugenwillą



rosnącą na północnej ścianie kościoła, teraz jednak rozsiadłem się tu z kopertą.

W Hotelu Ormos. W największej miejscinie na wyspie były ich trzy, ale Ormos wygrywał rozmiarem. I widokiem. Poda mną, na krańcu porożanego cypla leżało kastro, stara twierdza, do której niewiarygodnie zakurzony autobus całymi dniami dowozi turystów.

Z wyjątkiem godzin sjeisty, która właśnie dobiegała końca. Gorąc wciąż był obezwładniający, ale słońce padało już pod kątem, a cienie między domami robiły się coraz szersze. Czekałem, aż pan Valathakos wyjdzie i otworzy kratę do sklepu z pamiątkami. Sklep leżał po drugiej stronie uliczki. Valathakos był jedynym handlarzem w mieście, który używa krat. Niektórzy kręcili na to głową i nazywali go osłem albo atęńczykiem, choć był nie mniej rodowitym mieszkańcem wyspy niż oni, a w przeciwieństwie do większości spędzał tu cały rok.

Kiedy się przedstawiłem, okazało się, że chętnie dał się zaprosić na ouzo do Ormosa. Na nowo zamknął kratę i usiedliśmy przy tym samym stoliku, przy którym spędziłem poprzednią godzinę.

Trochę się denerwowałem. Do końca pobytu został tydzień, a Valathakos miał być moim asem w rękawie. Wiedziałem o tym już od kilku dni, po prostu czekałem na właściwą okazję. Kiedy podsunąłem mu zdjęcia, czułem, jak krew napływa mi do skroni, a na usta występują krople potu. Były chłodne i w ogóle nie miały słonego posmaku.

Zanim popatrzył na zdjęcia, wzniesiliśmy toast. Potem Valathakos uniósł kapelusz z szerokim rondem i otarł czoło grzbietem owłosionej pięści. Na powrót założył kapelusz i zapalił papierosa.

Podszedł do sprawy z namysłem. Skubiąc czarną brodę, wpatrywał się w fotografię długo i dokładnie. Potem pokiwał głową i zapytał, czy mam mapę.

Miałem. Rozłożyłem ją. Zaśmiał się i wskazał na swój sklep. Potwierdziłem, że kupiłem ją właśnie u niego. Obrócił ją we właściwą stronę i kilka razy przebiegł po niej wzrokiem wszerz i wzdłuż, jakby chciał sprawdzić, że rzeczywiście to właściwa wyspa. Skinął, bym podał mu długopis. Podałem. Narysował duży i wyraźny krzyżyk przy jednej z zatok na północnym brzegu.

– *Boat!* – powiedział. – *No road!*

Pokiwałem głową. Zacząłem szukać banknotów w kieszeni, ale dyskretnie zbył mnie machnięciem reki.

– *No italiano* – wyjaśnił. – *Greek.*

Przeprosiłem. Rozparliśmy się i napiliśmy się ouzo.

W markecie kupiłem cztery butelki whisky i tyle samo puszek kocięj karmy. W tych dniach w moim zachowaniu można się jeszcze było dopatrzeć wyraźnych oznak racjonalnego działania. Podlałem kwiaty, wyczyściłem kuwetę i nasypałem do niej czystego żwirku. Nałożyłem Beatrice jedzenie do miseczki – solidną porcję, która powinna wystarczyć na dwa dni – po czym zasiadłem w fotelu i zacząłem pić bez żadnego innego celu, jak tylko ten, by osiągnąć stan błogiej nieświadomości.

Metodycznie i bez pośpiechu opróżniałem szklankę za szklanką. Pozwalałem, by alkohol się po mnie rozpląwał i przejął nade mną kontrolę, ale tylko na tyle, by mnie nie ogłupił do końca, bym nie wylądował w wypełnionych zastołą wodą szczelinach niepamięci. Bez emocji, właściwie było to spokojne, kliniczne picie, nad którym przez cały czas, wyizolowaną częścią świadomości trzymałem surowy dozór. Robiłem tak już wcześniej, wiedziałem więc, co i jak.

W którymś momencie, na początku nocy, zacząłem się bawić ołówkiem. Ołówkiem i okiem. Otóż próbowałem wyważyć ołówek – z niezłym skutkiem – między ręką a okiem. Dobrze zatemperowane ostrze skierowane

było w gładką powierzchnię siatkówki. Nieznaczny acz precyzyjny, wyliczony rachunkiem całkowym nacisk był niezbędny, by utrzymać go w miejscu, z końcówką opartą o konkretny punkt na środku lekko zwiniętej dłoni. Ołówek mniej lub bardziej w pionie, w przeciwnym razie próba skazana byłaby na niepowodzenie. Wyważałem go w ten sposób, czekając, aż kolejne impulsy najpierw zostaną wysłane przez mózg, a potem stłumione. Wysłane i stłumione. Rzykowna procedura, bez wątpienia. Ołówek łatwo wyslizguje się ze swojego miejsca, w końcu zrozumiałem więc, że najprawdopodobniej nie da się nawet najgwałtowniejszym ruchem wsadzić go w samą gałkę oczną. W wyniku takiego ruchu ołówek wbija się do mózgu nad nią lub pod nią. Ołówek przekrzywia się, ślizga się na swoim cokole. Niby ma wolną drogę, ale nie da rady się tamtędy przekłuć... to dość irytujący wniosek, na swój sposób, bo odbiega od tej absolutnej perfekcji, której się spodziewałem, ale naturalnie i tak musiałem go zaakceptować.

Obudziło mnie jaskrawe światło poranka. Wyszedłem do toalety z butelką i piłem dalej. Pierwsze łyki podchodziły mi do gardła, ale powoli udało mi się zatrzymać ten palący refluks. Leżałem w ciemności, wśród delikatnie wyczuwalnego zapachu kwasów żołądkowych i moczu i pozwalałem, by kolejne sekundy i minuty wgryzały się w dobę.

Zapadła kolejna noc. Przypominam ją sobie jak przez mgłę, kolejny dzień też. W pewnym momencie whisky się skończyła, ale w kuchennej szafce znalazłem butelkę słodkiego wina. Obrzydliwy trunek. Pod wieczór znów znalazłem się w toalecie, gdzie zdołałem kilkukrotnie przenieć sobie żołądek. Zbliżało się chłodne, bezlitosne wytrzeźwienie. Oblany zimnym potem i śmierzącym strachem, starałem się skulić na podłodze w obronnej pozycji embrionalnej, ale bez przerwy przeszywał mnie chłód i dreszcze. Eksplozje wstrząsały moimi nerwami i ciałem. Napadały mnie

skurcze i nagły brak tchu. W końcu pogrzeżyłem się w czarnym bezsennym śnie.

Seria sygnałów telefonicznych pojawiała się i znikła. Beatrice pojawiała się i znikła. Przez na wpół otwarte drzwi toalety zaczęło wpadać nowe światło dzienne. Znów zasnąłem. Kolejne telefony, ból w prawym biodrze i łopatce przyciśniętych do twardej podłogi. W końcu wstałem.

W końcu wstałem. Napiłem się wody prosto z kranu, opłukałem ręce i twarz. Kolejne sygnały telefonu. Powoli pośpieszyłem do pokoju i odebrałem.

Haarmann.

Detektyw Haarmann.

– Mimo prób nie mogłem się z panem skontaktować.

– Przykro mi.

– Czyżby?

– Czego pan chce?

– Mam wieści.

– ...

– Jest pan tam?

– Oczywiście.

– Znalazłem ją.

– Kogo?

– Kogo? Pańską żonę. Dobrze się pan czuje?

– Świetnie. Przepraszam, właśnie się obudziłem... Gdzie była?

Zrobił pauzę, chyba zapalał papierosa.

– Jeśli pan do mnie przyjedzie, przekażę panu niezbędne informacje. Proszę wziąć ze sobą pieniądze, to od razu uregulujemy rachunek. Pasuje panu za godzinę?

Popatrzyłem na zegarek. Kilka minut po dziesiątej. Przed południem, to znaczy. Nie bardzo kojarzyłem, jaki był dzień tygodnia.

– Za godzinę – potwierdziłem.

– Życie zbłądziło, kiedy jednak otwierają się przed nami drzwi, musimy iść dalej. To nasz obowiązek i tyle.

Tak się wyraziła. Wiedziałem, że na pewno gdzieś to czytała lub usłyszała. Z Ewą często tak było. Wyłapywała wyrażenia i sentencje zewsząd: z filmów, gazet, programów publicystycznych w telewizji. Potrafiła konserwować je tygodniami i miesiącami, by długo później używać ich jak własnych w sytuacjach i kontekstach, które zdawały się mieć coś wspólnego z danym powiedzonkiem.

Jak tego letniego ranka.

Zbłądziło?

Potem zorientowałem się, że w tamtym czasie często cytowała Mauritzę Wincklera. Może już wtedy wiedziałem, problem jednak w tym, że nie przejmowałem się tym za bardzo. Nie reagowałem. Była moim zranionym ptakiem, ja jej mężczyzną i dobroczyńcą, taki mieliśmy układ... Byłem jej gruntem pod stopami, ona łanią zbłąkaną na bagnisku. Jej opinie pojawiały się i znikwały, nastroje zmieniały się z dnia na dzień, czasem z godziny na godzinę. Zawsze jednak jej słuchałem, nigdy nie traciłem równowagi. Stałem nieruchomo, nieugięcie, by zawsze mogła się chwycić i podciągnąć, kiedy istniało ryzyko, że spada za głęboko.

Jak skała. Punkt oparcia.

Adagio już minęło.

Wracalem w myslach do tych momentow, idac przez A. tego cieplego majowego dnia. Mieszkanie lezalo daleko przy Greijpstraa. Moglem pojechać tramwajem, ale coś mnie powstrzymywalo. Najpewniej czas. Potrzebowalem czasu, dlugiego spaceru przed tym, kiedy stanę z nią twarzą w twarz. Moze potrzebowalem nawet chwili w jakiejś kawiarni po drodze. Był cieply dzień, jak już wspomnialem. Kolejny.

Haarmann pytal, czy chce poznać wszystkie szczegoly, czy zadowolę się nazwiskiem i adresem.

– Nazwiskiem? – zapytalem. Wyjalnił mi, że teraz nazywa się Edita Sobranska.

Edita Sobranska?

Tak, najwyraźniej tak.

Powiedzialam, że resztą zajmę się sam i że nie interesuje mnie nawet, jakim cudem ją wytropił. Przytaknal. Moze w jego spojrzeniu dalo się dostrzec cień zawodu, ale ja zachowalem kamienną twarz. Podal mi kartkę z nazwiskiem, adresem i numerem telefonu. Wetknalem ją do portfela i zaplacilem mu sumę, jakiej zadal. Osiemset guldenów bez pokwitowania.

– Masz na myśli swoje życie czy czyjeś? – pamietam, że tak odpowiedzialam jej wtedy.

– Nasze – odparla natychmiast ku mojemu zaskoczeniu. – Nasze wspólne życie.

Rzadko zdarzalo się, że ciagnęła swoją argumentację po tym, jak się z nią nie zgodzilem.

– Nasze życie?

– Tak, nasze. Już nie dajemy sobie nawzajem siły. Nie rośniemy. Bez przerwy się zjadamy i zapadamy. Zapadamy się w siebie. Kurczymy coraz mocniej. Nie czujesz tego? Musisz, to jest wręcz namacalne. Jeśli będziemy w to brnąć, pewnego dnia zginiemy.

– To tylko słowa, Ewo – opowiedziałem. – Słowa bez znaczenia, chyba rozumiesz. Nic nie znaczą.

– Znaczą wszystko.

Wszystko.

Kto decyduje, które słowa mają znaczenie, a które nie?

Dość długo szedłem wzdłuż Prinzengracht. Po zastawie, brunatnej wodzie z ponadczasową beztroską pływały kaczki i gęsi z nastroszonymi czubami. Między Keyserstraat a Valdemarlaan kwitły kasztanowce. Prawdziwie zielone i ukwiecone gałęzie ciągnęły ku dołowi, ale też w górę. Do wody i do słońca. Pamiętam, że chwilę o tym myślałem – o tym rozdarciu i o tym, że nie umiałem zdecydować, czy chodzi o „zarówno / jak i” czy o „albo / albo”. Potem zrozumiałem, że to zupełnie bezowocne rozważania, pamiętam jednak ten widok. Teraz, trzy lata później wciąż widzę przed sobą drzewa przy Prinzengracht i siebie wędrującego pod nimi tego szczególnego dnia w maju. Wędrującego i rozmyślającego o drzewach zaspokajających swoje potrzeby.

Ciepła i wody. Ciepła albo wody.

Przy Kreuger Plein się zatrzymałem. Wahałem się kilka sekund, nie wiedząc, którą kawiarnię wybrać. W końcu usiadłem w Oldener Maas. Spędziłem tam godzinę przy jednym ze stolików ustawionych na chodniku, wypiliśmy jednak tylko kawę oraz szklankę soku z kostkami lodu.

Targały mną mieszane uczucia, może w związku z tymi kasztanowcami. Od czasu do czasu wyciągałem z portfela kartkę i przyglądałem się jej.

Edita Sobranska, Bergenerstraat 174.

Próbowałem zrozumieć, skąd wzięła to nazwisko. Bez wątplenia brzmiało polsko, nigdy jednak nie słyszałem o jakichkolwiek słowiańskich korzeniach Ewy. Dlaczego więc wymyśliła coś takiego?



Może to jednak nie ona. Może to jakaś inna kobieta, a Haarmann się pomylił. Czy, bądź co bądź, to nie najprostsze rozwiązanie?

Jeśli tak, jeśli kobieta na Bergenerstraat miała okazać się kimś innym niż moją zaginioną żoną, to... to koniec z tym. Miałem dość. Jestem pewien, że z taką decyzją opuszczałem Oldener Maas. Co by się nie zdarzyło, to musiało się skończyć. To był ostatni dzień, wszystko toczyło się już zbyt długo... powinienem był dostrzec to już wcześniej, ale lepiej późno niż wcale.

Kwadrans później doszedłem do Bergenerstraat. Była to długa, dość wąska ulica odchodząca od Bergener Plein i biegnąca na północ w stronę parku i terenów rekreacyjno-sportowych. Po obu stronach stały przy cztero- i pięciopiętrowe domy z ciemnej cegły. Do tego kilka sklepów, a na mniej więcej co trzecim skrzyżowaniu kawiarnia.

Zatrzymałem się pod numerem 174. Rozejrzałem się na boki i zacząłem czytać listę lokatorów. Piętro trzecie: E. Sobranska, M. Winck. Nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Zadzwoiłem domofonem. Nikt nie odpowiedział, ale w zamku coś kliknęło. Wszedłem i ruszyłem po wąskiej i stromej klatce schodowej.

Kiedy zapukałem pierwszy raz, nie było żadnej reakcji, spróbowałem więc ponownie, mocniej. Usłyszałem, że ktoś w mieszkaniu wyłącza radio i że zbliżają się do mnie kroki. Ktoś kilka razy przekręcił klucz w zamku, drzwi się otworzyły, a ja stanąłem oko w oko z...

Wmawiam sobie, że chwilę zajęło mi rozpoznanie jej, ale nie jestem pewien, czy to prawda. Była ubrana prosto, w czarne jeansy i długi T-shirt z batikowym wzorem, a jej twarz wydała mi się tak dobrze znana, że niemal musiałem się przed nią osłonić. Tak, to chyba ta znana mi dobrze jej tożsamość paradoksalnie sprawiła, że zwątpiłem.

Chcę też pamiętać, że staliśmy tak przez moment wpatzeni w siebie, zanim zaczęliśmy rozmawiać, ale i tu nie jestem przekonany. Może odezwała się od razu. Tak czy inaczej to ona przerwała tę ciszę, którą trzeba było przerwać.

– Więc teraz przyszedłeś – powiedziała.

Zrobiła krok w tył, a ja wsunąłem się do małego przedpokoju.

– Tak, przyszedłem teraz.

Dała mi znak ręką, zapraszając mnie dalej. Sama poszła pierwsza i usiadła w jednym z trzech foteli ustawionych wokół stolika ze szkła i ratanu. Znow się zawahałem, ale skinęła głową, zająłem więc miejsce naprzeciwko niej.

– Więc teraz przyszedłeś – powtórzyła, lekko przesuwając przy tym oczami to w jedną, to w drugą stronę, jak robiła zwykle, gdy próbowała się skoncentrować na czymś niejasnym bądź trudnym. Nie odpowiedziałem.

– Napijiesz się herbaty? – zapytała po chwili.

Pokiwałem głową. Zniknęła. Zmrużyłem oczy i odchyliłem głowę, przykładając ją do wysokiego i miękkiego oparcia. Słyszałem, jak krząta się przy wodzie, czajniku i filiżankach. Siedziałem bez ruchu, zaś myśli i ruchy wewnątrz mnie były tak abstrakcyjne i nie do opisanania, że przekracza to wszelkie pojęcie. Piękne, bez wątpienia były jednak piękne. Wiem, że tyle zdążyłem stwierdzić. Wtedy w pokoju wyczułem jeszcze czyjąś obecność. Otworzyłem oczy i zobaczyłem Mauritzą Wincklera, który opierał się łokciem o wysoką komodę i mi się przypatrywał.

Też na niego popatrzyłem. Miał te same okrągłe okulary i krótko przycięte, przyprószone siwizną włosy co przed czterema laty. Koszula bez kołnierzyka i sztruksy też mogły być tymi, które miał na sobie tych kilka razy, kiedy go spotkałem, ale głowy nie dam.

Żaden z nas się nie odezwał. Po chwili wróciła Ewa z tacą. Na sekundę zatrzymała się na środku pokoju, popatrzyła na nas. Najpierw na Mauritza potem na mnie. Pozwoliła sobie na uśmiech, szybki i ulotny, niczym jaskółka. Postawiła tacę na stoliku.

– Co robisz w A.? – zapytała.

– Pracuję.

– Nad czym?

– Nad tłumaczeniem.

– Reina?

– Tak.

– Tak właśnie myślałam.

Mauritz zakasłał, po czym dosiadł się do stolika. Ewa zaczęła nalewać herbatę z dużego glinianego dzbanka.

– Od dawna tu mieszkacie?

– Od trzech lat.

– Trzech lat? Odkąd...?

– Tak – wtrącił Mauritz. – Odkąd.

Napiliśmy się herbaty. Popatrzyłem na myszkę na półeczku Ewy i przypomniałem sobie, jak kiedyś w hotelu w Nicei, gdzieś w pierwszych latach naszego związku, liczyliśmy sobie wzajemnie znamiona.

– Jak długo zostajesz? – zapytała.

Wzruszyłem ramionami.

– Już niedługo. Moja misja tutaj już się kończy.

– Rozumiem – wtrącił Mauritz. Zastanowiłem się, co takiego niby rozumie.

Znów zapadła cisza. Unikaliśmy swoich spojrzeń. Mauritz jadł ciasto.

– Co się stało wtedy w Graues? – zapytałem w końcu.

Myślałem, że przynajmniej popatrzą na siebie, ale tego nie zrobili. Nie, oboje podnieśli wzrok i spojrzeli na mnie z...

... z powagą, którą odebrałem niemal jak bezczelność, w końcu przyszedłem do nich jako gość, w dobrej wierze. Szybko dopiłem herbatę, odstawiłem filiżankę na spodek z głośnym brzękiem i wyprostowałem się.

– Co się stało wtedy w Graues? – zapytałem nieco głośniej.

Mauritz powoli pokręcił głową. Ewa wstała.

– Chyba lepiej będzie, jeśli sobie pójdziesz – powiedziała.

Chwilę jeszcze siedziałem, walcząc sam ze sobą, w końcu podniosłem się z fotela. Ewa poprowadziła mnie z powrotem do przedpokoju. Kiedy już stała z ręką na zasuwie, by mnie wypuścić, zapytałem po raz trzeci, tym razem cicho, by Mauritz nie usłyszał.

– Co się stało wtedy w Graues?

Otworzyła drzwi.

– Nie będę ci tego wyjaśniać, Davidzie – odparła.

– Jak to?

Popatrzyła na mnie z tą samą, przyprawiającą o mdłości powagą.

– Pytasz, co się stało w Graues. Musisz jednak zrozumieć, że nie masz prawa.

– Nie mam prawa?

– Nie masz prawa dowiedzieć się, co się tam stało.

Nie odpowiedziałem.

– Może to jest w tym wszystkim najbardziej przygnębiające – dodała, spuszczać ze mnie wzrok. – Że nie rozumiesz.

W głowie pojawiły mi się dwie sprzeczne myśli. Szybko zważyłem je obie, potem się poddałem.

– Żegnaj, Ewo.

Wyszedłem, nawet na nią nie patrząc. Dziesięć minut później byłem już na Windemeerstraat. Szedłem szerokim chodnikiem na południowy-zachód, w stronę centrum, a zachodzące, ale wciąż gorące słońce świeciło mi w twarz. Na ulicy było sporo ludzi, od czasu do czasu, gdy mrużyłem oczy, ocierałem się o ramiona w tłumie. Pamiętam, że napawało mnie to jakimś dziwnym poczuciem przynależności, bo też moje zachowanie nie odstawało jakoś szczególnie od zachowania innych przechodniów.

Przepuściłem trzy tramwaje, zanim przystąpiłem do akcji. W rzeczy samej była to całkiem prosta procedura; dwa kroki po skosie na ulicę, a potem wszystko zniknęło.

Wszystko.

**III**

A jednak przyszedł kolejny czas. Sam nie wiedziałem, po co, czemu niby miałby służyć.

Czas rzadszy niż próżnia, bardziej pusty niż otwarte morze, ale wtedy pojawił się Henderson ze swoim absurdalnym doniesieniem i zdjęciami.

W pustce na nowo zaczął migotać jakiś punkt. Powoli stawał się trwalszy i rósł, a ja zacząłem śledzić go wzrokiem.

– Zostawiłeś ją i uciekłeś jak zbity pies?

Nie odpowiedziałem. Włożyłem do ust kilka tłustych oliwek i popatrzyłem na wodę. Słońce rzucało już złotcisto-różową poświatę rozciągającą się wąskim pasem nad horyzontem. Zapanował już niemal całkowity spokój. Siedzieliśmy na tarasie na wiklinowych fotelach, które – jak twierdził – sam zaprojektował i zlecił do wykonania jakiemuś cieśli z miasteczka na wschodzie wyspy. Po części sam też rozbudował dom. Pierwotna chata o wielkości trzydziestu, czterdziestu metrów kwadratowych rozrosła się już dwukrotnie. I została zmodernizowana: wodę podciągnięto z górskich źródeł, prąd – z trakcji idącej przez miasteczko. Zadbał o tarasy z winoroślą pokrywające zbocze na tyłach i kilka imponujących cyprysów, które przeniósł tu spośród zabudowań po drugiej stronie zatoki. Przyjęły się wbrew wszystkiemu. I o około dwadzieścia drzewek oliwnych; według niego miały ponad pięćset lat. W górę zbocza biegła ścieżka dla mułów wiodąca do kapliczki, również będącej częścią nieruchomości. Przed nim mieszkał tam jakiś ekscentryczny Francuz. Przez pięćdziesiąt lat żył tam z hordą kotów oraz klawesynem, ale w późnej jesieni życia przeniósł się do rodzinnego Rouen, gdzie zmarł po dwóch miesiącach. Koty zniknęły, klawesyn jednak został.

Opowiadając, nie pomijał szczegółów. Może wszystko to zwykła konfabulacja. W każdym razie na pewno gorzkawą radość sprawiało mu to, że znów ma słuchacza. Choćby tylko jednego. Choćby tylko mnie. Widać było, że stronił od ludzi. Co drugi lub co trzeci tydzień, opływając cyple,



dostaje się łodzią do miasta, żeby zrobić zakupy, ale poza tym żyje we wzniosłym odosobnieniu... Samotności, która sprawiła, że teraz był bardziej wygadany niż kiedykolwiek. Choć była to nagła, chwilowa gadatliwość naznaczona egoizmem. Jego miłość własna bynajmniej nie ostygła.

Może wręcz zakonserwowała się trochę i wyszlachetniała. W tej samotni głównym jego zadaniem było noszenie kamieni: ulepszanie tarasów, dobudowywanie dalszej części wysokiego i szerokiego na metr muru, który z jakiegoś powodu ogradzał dom z dwóch stron.

– Zgodzisz się chyba, że to niewybaczalne w taki sposób zaniedbać taką historię? Historię, która zaczyna się od kichnięcia w radiu...

– Kaszlnięcia.

– ... kaszlnięcia, na jedno wychodzi. Pozwoliłeś, by rozplynęła się w powietrzu, zniknęła jak mleko wylane w piach. Jak ośle siki! I oni tak tam sobie zostali i..

– Wygnali mnie jak zbitego psa. Tak.

Czekałem, aż zapali papierosa wetkniętego w efekciarsko długi ustnik – z hebanu, jeśli się nie mylę.

– Znasz moje miniteorie na temat manuskryptu życia?

– Oczywiście. Swoją drogą trudno powiedzieć, że są twoje. Chcesz zatem powiedzieć, że twoja historia jest lepsza?

Prychnął.

– Samo porównanie jest ujmą.

Nawet na mnie nie popatrzył. Palił ze wzrokiem wbitym w morze. Pewnie już zaczynał się męczyć.

– Czy doprawdy cała ta pogmatwana intryga była konieczna? – zapytałem po kilku sekundach milczenia.

– Oczywiście, że tak – odparł z wyraźną irytacją. – A jak myślisz, do cholery? Podejrzanie musi przecież narastać powoli... Nie sądzisz chyba, że to by się udało, gdyby od razu postawić ich w świetle reflektorów? Nie wygłupiaj się. Wiesz równie dobrze jak ja, że trzeba to było zaaranżować właśnie tak. Widzisz przecież skutek!

– Jej śmierć też przewidziałeś?

Wzruszył ramionami.

– To nie ma nic wspólnego z resztą. Bo co chciałeś mi powiedzieć? Twoja żona żyje sobie w najlepsze z twoim rywalem! Chyba nie przyjechałeś tu, żeby mi powiedzieć, że zająłeś się tą sprawą tak, jak zamierzałeś?

Zaśmiał się.

– Pieprzony dyletant! Nie udało ci się nawet dowiedzieć, co tam się wtedy stało.

Popatrzyłem na niego z boku, gdy zaczął popijać retsinę. Ciężki profil z nastroszonymi włosami, które w słońcu zbieleły. Sześćdziesiąt jeden lat, jak wyliczyłem. Spalony na brąz, pełen wigoru i sił witalnych. Jego słynna niemoc najwidoczniej zupełnie go opuściła przez te lata. Wszystko wskazywało na to, że jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, to będzie żył sobie w tym ukrytym rajku jeszcze przez ćwierć wieku. Pośród swoich kamieni, oliwek i podkoloryzowanych wspomnień.

Jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego.

– Nie, nie wiem, co się stało w Graues.

Moją historię opowiedziałem w dużym skrócie. Nie jestem pewien, czy w ogóle słuchał, gdy mówiłem, ale najwidoczniej coś zapadło mu w pamięć. Nie miał już jednak więcej komentarzy.

– Któregoś dnia przypomniałem sobie *Pokusę Gilliama* – powiedziałem po chwili ciszy.

To jedna z jego wcześniejszych nowel: o mężczyźnie, którego obsesją jest reżyserowanie życia własnego i swoich bliskich w zgodzie z obrazami, które nawiedzały go na różne sposoby, zwłaszcza we śnie. Dość dziwaczna historia. Kończy się tym, że spala dom, gdzie przebywali jego żona i dwaj synowie. Pokusa w tytule nawiązuje do wątpliwości, jakie opadają bohatera przed tym ostatecznym czynem, do tego trudnego wyzwania, by nie... by *nie* iść za wizjami i wewnętrznym głosem.

W końcu jednak pokonał i to.

Rein się zaśmiał.

– Ach to! – Chwilę się zastanawiał. – Tak, można powiedzieć, że jest tu na rzeczy.

– Jak to zrobiłeś? – zapytałem.

– Co?

– Jak przeprowadziłeś ucieczkę.

– To nie była ucieczka. Wystarczył nowy paszport i proste przebranie... no i pieniądze, oczywiście.

– Nie byłeś pijany tamtego wieczoru?

– Najwyżej odrobinę.

– Tak czy inaczej, uważam, że miałeś farta.

– Bzdury.

Przez całą rozmowę czekałem, że przynajmniej podziękuje mi za pomoc, okaże nieco podziwu za to, że sprostąłem jego oczekiwaniom i odegrałem rolę zgodnie z jego planem. Kiedy jednak słońce już całkiem zniknęło, a zmierzch zaczął szybko zapadać, zrozumiałem, że nawet nie przyszło mu to do głowy.

Czy mistrz miał dziękować kukiełce za to, że tańczyła?

Marionetce za to, że reagowała na pociągnięcia sznurka?

Naturalnie, że nie.

Popatrzyłem na swoją łódź wyciągniętą na plażę. Było jeszcze dość jasno, by zejść do niej po nierównych kamiennych schodach (które zachowały się tu od czasów Francuza) bez lampy, ale za pół godziny byłoby to nie do wykonania. Rein znów zamilkł, zrozumiałem, że jego relatywna gadatliwość właśnie skończyła się na dobre. Patrzyłem na niego przez kilka sekund, a on, choć musiał czuć moje spojrzenie, nie obrócił głowy. Jasnym było, że chce, by go zostawić w spokoju. Dopilem wino i podniosłem się z fotela.

– Na mnie chyba pora.

Pokiwał głową, ale sam nie wstał. Zajął się zwijaniem papierosa w pokracznej maszynie.

Pytanie padło, kiedy już byłem odwrócony plecami do niego.

– Nie masz chyba zamiaru iść z tym do mediów? Podkreślam, że moja nowa tożsamość jest całkiem bezpieczna. Po prostu nie ma sensu.

– Oczywiście, że nie.

– I nieciekawie byłoby wyjść na przegranego frajera, nie sądzisz?

– Zapewniam, że nie.

– Rein nie żyje.

– Rein nie żyje. Żegnaj.

Kiedy doszedłem do łodzi, było już tak ciemno, że nie dało się odróżnić jego sylwetki na tarasie. Nie chciałem zapalać świateł, przez chwilę więc po omacku musiałem szukać noża leżącego gdzieś pod zwiniętą siecią na dnie. Znalazłem.

Potem ważyłem go w rękę, przez jakieś dwadzieścia minut dotykając ostrego brzegu. Ciemności gęstniały. Myślałem o tym i owym, ale niczym wartym wymienienia, co utkwiłoby mi w pamięci. Kiedy zobaczyłem, że zapalił lampę na górze, powoli znów zacząłem wspinać się po nierównych stopniach.

**Droga Agnes!**

Summa summarum pogrzeb całkiem się udał.

Poranek był spokojny i szary, jednak kiedy przeszliśmy z kaplicy do grobu, słońce zdążyło się przebić przez chmury i poprzez pożółkłe liście wiązów rzucało ukośne snopy światła.

Erichowi by się podobało. Jesień. Niebo, z którego zniknęły chmury, zostawiając za sobą ostre powietrze. Klarowne, ale nie zimne. Z pól ciągnących się w stronę Molnar zebrano już plony, ale jeszcze ich nie zaorano. Gdzieś w oddali jakiś rolnik palił gałęzie.

Pastor nazywa się Sildermack, jest wysokim, szczupłym mężczyzną o jasnych włosach; rzecz jasna spotkaliśmy się już wcześniej, w tygodniu, i ustaliliśmy przebieg ceremonii. Posadę objął niedawno, cierpi na jakiś rodzaj deformacji kręgosłupa, która sprawia, że porusza się nieco pokracznie, jakby się toczył. Przez to wygląda na starszego. Za to jego twarz jest promienna, a sam pastor swoje obowiązki wypełnia bez zarzutu.

Zebrało się nas około dwadzieścioro. Były oczywiście dzieci Ericha. I jego matka z asystą, przyjaciółką i skwaśniałą opiekunką.

Beatrice i Rudolf.

Justin.

Hendermaags, który wpadł na nie najlepszy pomysł, by zabrać ze sobą dzieci. Miały nie więcej niż dziesięć, dwanaście lat. Nieśmiały chłopiec oraz dziewczynka z wystającymi zębami i niespokojnym spojrzeniem. Po cóż narażać je na coś takiego? Żadnego z nich nic nie łączyło z Erichem, o ile pamiętam, nie spotkały go więcej niż dwa, trzy razy.

Oczywiście był i Ebert Kenner, i kilkoro znajomych z ostatniej pracy, nigdy wcześniej ich nie widziałam. Dokładnie czworo, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Do tego ordynator Monsen, który w kościele wygłosił mowę pożegnalną i nie mógł się powstrzymać, by także nad grobem nie powiedzieć kilku słów.

O przejrzystości jesiennych dni i czasie danym nam tu, na ziemi. O tej analitycznej wnikliwości, która charakteryzowała Ericha, a którą poświadczało towarzyszące ceremonii słońce przebijające się przez chmury.

Słowa.

Czułam się nieco zmęczona. Właśnie kiedy stałam w kręgu ubranych na czarno żałobników i półżałobników oraz tych, którzy pojawili się tam z ogólnoludzkich pobudek, ogarnęła mnie fala znużenia. Może w istocie dopadł mnie smutek; nie tyle spowodowany śmiercią Ericha, co życiem w ogóle.

Jego meandrami i wykrzywionymi odbiciami. Przekłamaniami, które zamiatamy pod dywan, których pilnujemy, choć one i tak nas dopadają, kiedy tylko na dłużej spuścimy je z oka. Kiedy nie jesteśmy dość czujni.

Nie płakałam. Podczas całej ceremonii z oczu nie popłynęła mi ani jedna łza. Nie obchodzi mnie, co ludzie o tym pomyślą; zresztą w naszych czasach nie brak leków uspokajających, które otępiają nasze dusze, zakładam więc, że moje zachowanie nikogo nie zdziwiło. Właściwie z nikim nie zamieniłam słowa. Sporadycznie rzucałam tylko potwierdzające spojrzenia. Wymieniałam uściski dłoni. Dawałam się lekko przytulać i posyłałam iluzoryczne skinięcia.

Trumnę nieśli młodzi koledzy Ericha z klubu wioślarskiego. Było ich czterech, trzech znałam, ale nie z imienia. Wszyscy mieszkają tutaj w Gobshejm i – jak twierdził pastor – sami wyszli z tą inicjatywą.

Przyszła i Henny.

Bynajmniej nie było moją intencją liczenie wszystkich obecnych, ale teraz widzę, że właśnie to zrobiłam.

Henny Delgado.

W kościele miała długi czarny rękaw, ale kiedy wyszliśmy na zewnątrz, narzuciła na ramiona ciemnoczerwone poncho. Ubierała się na czerwono, odkąd pamiętam. Może nie od stóp do głów, ale zawsze miała na sobie coś w tym kolorze. Jakiś przyciągający uwagę akcent. Karmazynową bluzkę lub szal. Osobiście wolę niebieski i chłodniejsze barwy. Już za czasów liceum trzymałyśmy się tych kolorystycznych kręgów: Henny czerwieni, żółci i ochry. Ja niebieskiego, turkusu, zimnych barw. Naszym wspólnym mianownikiem mogła być tylko zieleń, ale różne jej odcienie. Później, to musiało być w pierwszym semestrze studiów, wybrałyśmy się razem do kolorystki, która tylko potwierdziła nasze intuicje. Przyłożyła nam do pełnych przejęcia twarzy kawałki tkanin i zaczęła się rozvodzić nad naszymi typami cery. Naszymi pigmentacyjnymi osobowościami, zupełnie jakby chodziło o kwestie duchowe.

Teraz Henny wyglądała zaskakująco młodo. Była jakby pełna energii i rześka. Sama nie wiem, dlaczego mnie to zaskoczyło, ale tak było. Rzecz jasna, przyszła sama. Męża i dzieci zostawiła w domu, w Grothenburgu. Nigdy nawet nie poznałam jej córeczek, choć zaproszenie na ich chrzest nadal przechowuję porządnie ułożone w albumie.

To trochę śmieszne, że nie porozmawiałyśmy ze sobą, mimo że spotkałyśmy się po tylu latach. Czułam jednak, że Henny wkrótce się do mnie odezwie. Nie mam pojęcia, skąd się wzięło to niejasne przeczucie, ale zdziwiłabym się, gdyby okazało się mylne. W końcu byłyśmy sobie tak bliskie, jak tylko mogą być dwie niespokrewnione osoby tej samej płci, które nie są orientacji homoseksualnej. Minęło sporo czasu, ale pewne



znaki i drobne sygnały docierają do nas nie przez poznanie czy język, ale głębiej ukrytymi kanałami. Nie mam co do tego wątpliwości.

Justin zapytał, czy ma zostać na noc. Odmówiłam. To dobry i wyrozumiały człowiek, zawsze go lubiłam mimo tego jego nieco zbyt wyszukanego stylu, chciałam jednak być sama. Tylko ja i psy, ogień w kominku i fotel przysunięty do okna. Kieliszek lub dwa porto, zmierzch spowijający ogród, sękate, poprzycinane jabłonie, żywopłot z bukszpanów i podmokłe zbocze opadające do brzegów Molnar; kilka godzin spędzonych w całkowitym spokoju nad albumami, wśród wspomnień. Może nawet sobie zapalę, minęło już wiele lat od czasu, gdy byłam nałogowcem, ale to przecież wyjątkowy dzień, a ja mam w domu jakąś paczkę.

Na przyszły tydzień też dostałam zwolnienie lekarskie. Połowa zajęć jest przełożona na później, połowa przypadła w zastępstwie Bruunowi. Jak zwykle. Aż żal oddawać zajęcia o Keatsie i Byronie komuś tak drętweму, ale nie miałam wyboru. Do sesji zostały zaledwie trzy tygodnie, więc trzeba przerobić cały materiał przed piętnastym.

Dobrze, że już po wszystkim. Wreszcie. Wiedziałam, że kiedyś nastąpi ten dzień, gdy zostanę sama. Erich był ode mnie osiemnaście lat starszy. Kiedy go wybierałam, to nie pasji i ognia pragnęłam, a fantazji. Dożył pięćdziesięciu siedmiu lat. Nic nigdy nie wskazywało, że umrze tak młodo. Nawet Monsen w swojej mowie pożegnalnej zaznaczył, że Erich miał jeszcze wiele do zrobienia. Naukowcy nie należą do ludzi, których czas osłabia, dodał; nie, jeśli chodzi o ich codzienne działanie. Zrozumiałam, że mówiąc to, odnosił się zarówno do siebie – chyba niewiele zostało mu do siedemdziesiątki – jak i do swoich kolegów obecnych w kościele.

Jednak Erichowi przyszło „zakończyć życie”, jak to mówią w moim rodzinnym Saarbrücken. Dokonał dni.

Usiadłam w fotelu, kątem oka zerkając na zmrok w ogrodzie, wewnątrz pokoju, ogień w kominku i książki. Przez lata uzbierało się tu wiele woluminów, w najbliższych dniach będę chyba musiała część z nich rozdać. Przenieść niektóre opasłe tomy medyczne na strych, zrobić więcej miejsca literaturze pięknej.

To tylko jeden z wielu drobiazgów, jakimi będę musiała się teraz zająć, ale zaczekam z tym do jutra. Dziś chcę tylko posiedzieć i odpocząć.

Powspominać, poprzeglądać albumy. Na myśl przyszło mi kilka wersów z Barina.

—

*Brak mi delikatnego zapachu potu matki – i tych krótkich spodni, które kazano mi włożyć pierwszego dnia szkoły.*

*Brak mi Ursuli Lipinskiej, i poranków, gdy człowiek budził się wyspany, przed sobą mając zupełnie niezapisane letnie dni.*

*Najbardziej ze wszystkiego brak mi jednak tego nieuchwytnego dymu z papierosów, których nigdy nie wypaliłem w kawiarniach.*

Zapaliłam kolejnego. W środku czułam wibrujące, dotąd tłumione zadowolenie.

Jak gdyby coś, co od dawna przeczuwałam, wreszcie zaczęło się spełniać.

Psy spały przed kominkiem. Wyglądało na to, że im też go nie brakuje.

Do  
Agnes R.  
Villa Guarda  
Gobshejm

Grothenburg, 26 września

Droga Agnes!

Wybacz, że piszę do Ciebie tak szybko po tym, jak owdowiałaś. Mam nadzieję, że nie załamałaś się mimo tej dotkliwej straty. Tak miło było znów Cię zobaczyć, choć oczywiście żałuję, że okoliczności ku temu nie były inne. Powinnam, rzecz jasna, zamienić z Tobą kilka słów, skoro już się tam pojawiłam. Coś mnie jednak powstrzymało. Nie wiem co, czasami tak po prostu jest, że ograniczają nas siły, których nie umiemy nazwać. Nieprawdaż?

Uroczystość była piękna i dostojna. Nie umiem oczywiście stwierdzić, czy była „na miejscu”, że tak powiem, ponieważ nie znałam Twojego męża.

Mimo wszystko chciałam podkreślić, jak wiele znaczy dla mnie ponowny kontakt z Tobą. Minęło przecież tyle lat, ja zaś jestem zdania, że nie powinno się z lekkim sercem odcinać nici przeszłości. Przecież byliśmy sobie tak bliskie, droga Agnes.

Czy mogę więc do Ciebie pisać? Opowiedzieć nieco o moim życiu i bliskich? Może Ty miałabyś ochotę odpowiadać?

Gdybyś jednak nie miała chęci na odświeżenie naszej znajomości,  
powiedz stanowcze nie.

Pełna nadziei oczekuję odpowiedzi od Ciebie.

Twoja Henny

Do  
Henny Delgado  
Pelikaanallé 24  
Grothenburg

Gobshejm, 30 września

Droga Henny!

Mój Boże, gadasz, jakbyśmy miały po osiemdziesiąt lat!

Oczywiście, że możesz do mnie pisać. Z chęcią będę odpowiadać na Twoje listy. Chyba mamy sobie mnóstwo do opowiedzenia, ale ponieważ to Ty podjęłaś inicjatywę, pozwolę, żebyś pierwsza podzieliła się ze mną tym, czym chcesz.

Nie wahaj się! Napisz szybko, mamy dziewiętnaście lat do nadrobienia!

Twoja Agnes

Jeśli tylko człowiek jest miły i dobry, to prędzej czy później spotka go nagroda.

To mój drugi dzień w Grothenburgu i choć jestem jedynie chudziutką jedenastolatką, wiem, że ona kłamie.

Choć może nie do końca kłamie. Może ta ruda dziewczynka o imieniu Henny, która wczoraj odwiedziła nas ze swoją mamą, zanim jeszcze zdążyliśmy rozpakować choćby jeden karton, po prostu nie rozumie, jak to jest. Nie pojmuje, jak wygląda życie i jak wszystko funkcjonuje.

Nie oponuję jednak. Jako dziecko nie umiem znaleźć właściwych słów, zresztą, to nieistotne. Jest wieczór, stoimy na moście i przyglądamy się brunatnej wodzie. Mamy wysłały nas na spacer, żeby Henny pokazała mi okolicę. Ta dziewczynka z miejsca ujęła moją mamę, którą przecież charakteryzowała wrodzona i pieczołowicie pielęgnowana nieufność.

No ale Henny była dobrze wychowana i czarująca, nie mogę zaprzeczyć.

Do tego w ramach powitalnego upominku sąsiedzkiego przyniosła nam słoik powideł.

Śmiała się roztropnie i miała bystre spojrzenie.

Jeśli tylko człowiek jest miły i dobry, i takie tam.

Nie pamiętam, co odpowiedziałam. Obeszliśmy już naszą dzielnicę, zataczając pętle i skręcając to tu, to tam. Boisko. Aleję przy stacji kolejowej. Sklepy przy Klingerweg. Zajrzałyśmy do rzeźnika Smyttera – wujka Henny. Dostałyśmy od niego trochę drobnych i po parówce. Kupiłyśmy gumę do żucia w kiosku na rogu z Zwille.

Byłyśmy też w kościele i na cmentarzu. Przechadzałyśmy się i oglądałyśmy groby. Są tam pochowani dziadkowie Henny, ona też pewnego dnia tam spocznie. Ich grobowiec rodzinny jest solidny, może pomieścić kilka pokoleń.

Obeszłyśmy też Stumpstrasse, Gassenstrasse, schody Jacoba i całą resztę miejsc, których nazw nie pamiętam. Obejrzałyśmy też szkołę Wallmana, do której Henny chodzi już od pięciu lat, a w której ja zaczęłam naukę we wrześniu. To stary budynek z kamienia, z łacińską sentencją wyrytą nad sporym dębowym wejściem. *Non scholae sed vitae discimus!*, wyrecytowała Henny. Potem powtórzyłyśmy sentencję kilka razy, bym przynajmniej to umiała, zanim siądę w szkolnej ławie na lekcjach pana Pompeiusa, pani Mathisen i nieco garbatej pani od techniki o przedziwnym nazwisku Keckelhänchen.

*Non scholae sed vitae discimus.*

Uczymy się nie dla szkoły, a dla życia.

Teraz stoimy już przy poręczy mostu Karla Eggera. Henny nie wie, skąd wzięła się ta nazwa, ani kim był Karl Egger. Za to rzeka na pewno nazywa się Neckar. Opływa naszą dzielnicę od wschodu i północy, oddzielając ją od Gerringstadt – dzielnicy, o której Henny wie tylko tyle, że mieszkał tam jej kuzyn Mauritz, zanim jego rodzina – z uwagi na jego słabe zdrowie – przeprowadziła się do Marsylii nad Morzem Śródziemnym. Tak czy inaczej Mauritz zmarł, mimo że miał niecałe dziewięć lat. Morze Śródziemne okazało się więc przereklamowane.

Pomyślałam sobie, że pewnie Mauritz nie był dość miły i dobry, ale nie powiedziałam tego na głos. Wyplułam za to przeżutą gumę do płynącej pod nami rzeki.

Nie wolno wypluwać gumy do rzeki, zwróciła mi uwagę Henny. Jakaś ryba może ją połknąć i się udusi.

Przecież, do licha, ryba nie może się udusić, skoro nie oddycha, pomyślałam.

Tym razem również nie powiedziałam tego na głos.

Do Grothenburga przeprowadziłam się z mamą. Mój tata i brat nadal mieszkają na Slingergasse w Saarbrücken. Choć Claus jest ode mnie trzy lata starszy i kłóciliśmy się ze sobą, odkąd pamiętam, to jednak przez pierwsze dni tutaj tak bardzo za nim tęsknię, że aż boli mnie serce.

O tym, że rodzice się rozwodzą, dowiedziałam się pierwszego lipca. Wyprowadzyliśmy się dokładnie miesiąc później. Dokładnie to zaplanowali, zanim zdetonowali bombę. Siedzieliśmy w restauracji Kraus. Nie wiem, czy to normalne czy nie, że rodzice zabierają dzieci do knajpy, żeby oznajmić im, że się rozwodzą. Byli jednak bardzo mili, zarówno dla siebie nawzajem, jak i dla mnie oraz Clausa. Zachowywali się niczym najlepsi przyjaciele, no ale klamka zapadła. Czasami tak to jest na tym łoż padole, nic się na to nie poradzi, koniec i kropka. Zamówiłam najdroższe danie z karty. Solę w sosie z białego wina z nowalijkami. Przystali na to bez mrugnięcia okiem.

Tata i Claus zostaną w mieście, wyjaśnili nam przy deserze – oprószonym pudrem sorbecie cytrynowym na malinowej glazurze z kandyzowanymi orzechami włoskimi – tak będzie najlepiej ze względu na pracę i szkołę. Mama dostała już nową posadę w Grothenburgu, w gabinecie dentystycznym niejakiego doktora Maertensa. I ma już mieszkanie na Wolmarstrasse. Cztery pokoje z kuchnią, jeden dla mnie z piecem kaflowym i widokiem na park.

O tym, że tata już od co najmniej trzech lat miał na boku kochankę, mama wspomniała dopiero po paru tygodniach, kiedy się pakowałyśmy.

Płakałam przez dziesięć dni. A w każdym razie płakałam przed snem przez dziesięć wieczorów. Potem przestałam. Za to zaczęło mnie boleć



serce, jak teraz, kiedy myślę o Clausie.

I coś mam nie tak z brzuchem. Jakby latały w nim motyle, co drugi dzień mam zatwardzenie, a co drugi rozwolnienie.

W moim pokoju naprawdę stoi piec kaflowy, ale nie da się w nim napalić. Komin zatkano już w latach pięćdziesiątych, jak objaśnił mi dozorca Winter. Piec był nieuszczelny, i gdyby jakaś iskra przedostała się na zewnątrz, cały dom spłonąłby w try miga.

Szczerze mówiąc, nic bym sobie z tego nie robiła, nawet gdyby w try miga spłonął cały Grothenburg. Nie chcę tu mieszkać, nienawidzę tego miasta i gdyby mnie i mamie przyszło zginąć w płomieniach, byłoby to przyjemne wyzwolenie. Nie musiałabym wtedy zaczynać nauki w nowej szkole i kolejny raz spotykać tej dziwacznej dziewczynki z sąsiedztwa, patrzeć na jej śmieszne warkoczyki oraz przyjemny uśmiezek.

Mimo wszystko już nie płaczę wieczorami. Dokucza mi tylko ból w sercu i to uczucie w brzuchu.

Nazywa się Elsa, tak na marginesie. Ta nowa kobieta mojego taty. Już się wprowadziła do nich na Slingergasse. Jej córka mieszka w moim dawnym pokoju.

A najgorsze w tym wszystkim jest to, że ona też ma na imię Agnes.

Do  
Agnes R.  
Villa Guarda  
Gobshejm

Grothenburg, 4 października

Droga Agnes!

Dziękuję za szybką odpowiedź i za to, że nie masz nic przeciwko temu, byśmy odnowiły nasze relacje w ten właśnie sposób. Nie wiem, czy mijające lata mają coś do rzeczy, ale jakby nie patrzeć, droga Agnes, musimy pogodzić się z tym, że zaczynamy się zbliżać do wieku średniego. W lutym kończę czterdzieści lat, a Ty – wiem przecież doskonale – 1 maja. Pamiętasz twoje pierwsze urodziny w Grothenburgu, kiedy dałam Ci w prezencie pamiętnik? Powiedziałaś, że nie masz zamiaru zapisać w nim ani linijki, ale we wrześniu, na początku kolejnego roku przyznałaś, że chcesz kupić sobie kolejny.

Mimo wszystko nie czuję się stara, ani trochę, ale, patrząc na córki, widzę upływ czasu. Rea ma już jedenaście lat, tyle co Ty i ja, kiedy się poznałyśmy, Betty w grudniu skończy dziewięć.

A David jesienią skończył czterdzieści siedem. To właściwie tylko z jego powodu piszę do Ciebie, ale o tym potem. Czuję, że do sedna sprawy

muszę zbliżyć się, zataczając koła i robiąc uniki. Tak już czasami funkcjonujemy, nieprawdaż?

Jeśli jednak chodzi o pogrzeb, to ani przez moment się nie wahałam. W chwili, gdy zobaczyłam nekrolog w gazecie, wiedziałam, że muszę pojechać. Oczywiście nie przez wzgląd na Twojego męża, nigdy go przecież nie poznałam, ale dlatego, że znów chciałam Cię zobaczyć. Z biegiem lat miałam wiele nowych przyjaciółek – przyjaciół też, nie zrozum mnie źle – jednak znajomość z osobami, które zna się od dzieciństwa, to coś wyjątkowego. Zgodzisz się ze mną? Nieważne, ile czasu minęło, ile wody upłynęło w rzece, zawsze będzie coś, co nas łączy. Mam nadzieję, że wiesz, co mam na myśli i że czujesz to samo, co ja. Piszę prawdę, nawet jeśli nie wiedziałam, co powiedzieć, kiedy Cię zobaczyłam.

Życie towarzyskie moje i Davida jest teraz doprawdy intensywne. Odkąd został szefem teatru telewizji, napływają do nas dziesiątki zaproszeń i co najmniej raz w tygodniu mamy gości. To jednak męczące, bardzo męczące. Wszystkie te uśmiechy i natchnione rozmowy, zaufanie, o które nie prosiliśmy. Człowiek ma wrażenie, jakby wbrew jego woli teatr przeniesiono do jego życia. To poczucie wkrada się głęboko, do szpiku kości, na swój sposób wchodzi pod skórę, tak że nie da się tego zmyć. Nie wiem, czy rozumiesz, o czym mówię. Może niejasno się wyrażam.

Jeśli chodzi o mnie, to zarzuciłam na dobre ambicje aktorskie, kiedy wzięłam ślub z Davidem. On uznał, że jeden wariat w rodzinie wystarczy. Przyznaję, że miał rację. Jak dotąd nie byłam zbyt czynna zawodowo, bo nigdy nie brakowało nam pieniędzy, a przez niemal dziesięć lat siedziałam w domu i zajmowałam się z dziewczynkami. Jednak od stycznia pracuję w Booms & Kristev, kancelarii adwokackiej na Klingstrasse, nie wiem, czy ją pamiętasz. To nic skomplikowanego, tłumaczę na francuski i włoski, ale nieźle płacą. No i przyjemnie jest móc wykorzystać kompetencje, których

zdobyć tyle mnie kiedyś kosztowało. Poza tym dobrze jest wiedzieć, że w razie czego umiałabym sobie sama poradzić, zarobić na siebie.

Jednak najważniejsze są dla mnie dziewczynki. To chcę zaznaczyć. O ile rozumiem, ty nie masz dzieci. Nie wiem, czy to twój wybór czy może tak wyszło z przyczyn naturalnych. Ludzie są różni, a każdy powinien, rzecz jasna, mieć prawo być szczęśliwym na swój sposób, jak mawiał stary pan Nygren. Pamiętasz go? Chyba był Szwedem albo Norwegiem.

Rea i Betty też są zupełnie różne, mimo że mają tych samych rodziców i całe życie spędziły w identycznych warunkach. Rea jest skrupulatna, praktyczna i ambitna, Betty to marzycielka. Niczym dwie strony jednej monety, albo siły Yin i Yang, choć obie są dziewczynkami. Kocham je tak samo mocno chyba dlatego, że są dwie i tak dobrze się uzupełniają. Ostatnio przyszło mi do głowy, że trochę przypominają mnie i ciebie. Są trochę jak ja i ty teraz albo w każdym razie jak ja i ty w tamtych czasach. Ty to oczywiście Rea, a ja to Betty. Niesamowite, jakie koła i elipsy potrafi zataczać życie, tak że czasami człowieka dopada straszne uczucie *déjà vu*, jakby znów wylądował w tym samym spektaklu.

Mieszkamy w dużym mieszkaniu na Pelikaanallé, tuż przy kościele św. Pawła. Wiele razy rozważaliśmy kupno domu, ale dobrze nam tu, a dziewczynki chodzą do szkoły o rzut kamieniem stąd. Poza tym David ma swój rodzinny dom w górach – w okolicach Berchtesgaden – wprawdzie dzielimy go z jego bratem i jego żoną, ale oni mieszkają w Kanadzie i w kraju bywają nie dłużej niż tydzień bądź dwa w roku.

Właśnie zdałam sobie sprawę, że w tym pierwszym liście piszę dużo o sobie i moich bliskich. Nie taki był mój zamiar, ale może to całkiem naturalne. Jak jednak wspomniałam, mam też pewną konkretną sprawę, myślę jednak, że musi ona poczekać do następnego razu. Jest już po północy, David jest na mieście z jakimiś znajomymi z branży filmowej.

Dogadują całkiem spory projekt adaptacji sztuk Pirandella, o ile dobrze zrozumiałam. Dziewczynki śpią, a ja od kilku godzin siedzę w bibliotece, piszę i rozmyślam. Wypiłam też trzy kieliszki wina, przyznaję się, jutro jednak muszę iść do pracy, zatem pora kończyć.

I przepraszam, droga Agnes, że tak się rozpisałam, nie czuj się zobowiązana do wysłania równie długiego listu. Kilka słów od Ciebie jednak niezwykle by mnie ucieszyło. Obiecuję też, że następnym razem będę się streszczać. Bardzo chciałabym wiedzieć, jak się czujesz. Czy utrata towarzysza życia napawa Cię tylko żalem, czy może choć odrobinę łączy się z poczuciem oswobodzenia? Wiesz chyba, że małżeństwo często porównuje się do klatki, z której człowiek albo chce uciec, albo chce do niej wejść. Mam nadzieję, że rozumiesz, iż w tej kwestii możesz być ze mną równie otwarta i swobodna jak kiedyś, w dawnych czasach.

Teraz jednak pora spać.

Trzymaj się i odpisz szybko!

Twoja Henny

Do Henny Delgado  
Pelikaanallé 24  
Grothenburg

Gobshejm, 7 października

Droga Henny!

Dziękuję za Twój długi list, który przeczytałam – zapewniam Cię – z dużą radością. Nie przejmuj się, że tyle mi opowiadasz, tak przecież było i kiedyś – potrafiłaś użyć stu słów, tam gdzie mi wystarczyło dziesięć.

I nie myśl, że nie rozumiem. Interpretujesz sprawy po swojemu, ale naprawdę miło mi, że się odezwałaś. Dobiłyśmy do półmetka życia i zarówno ze względu na to, jak i na śmierć Ericha sądzę, że warto podzielić się naszymi sprawami.

Jeśli chodzi o moją sytuację, to nie napiszę tyle co Ty, ponieważ nie mam rodziny. Kiedy się spotkaliśmy, dzieci Ericha były już dorosłe, a dość wcześnie postanowiliśmy, że nie będziemy sprowadzać na ten nieciekawy świat kolejnych. Przez ostatnie osiem lat – odkąd skończyłam doktorat – pracuję na uniwersytecie w H-bergu, to zaledwie siedem, osiem kilometrów stąd. Od samego początku czułam się w tym akademickim światku jak ryba w wodzie. W ostatnich semestrach dostałam zajęcia poświęcone naprawdę bliskiej mi tematyce – romantyzmowi oraz angielskiej powieści dziewiętnastowiecznej – i tak jak Ty, droga Henny, czuję, że mam w życiu

zadanie do wykonania, mimo że nigdy nie będę mieć własnych dzieci i nie przedłużę w ten sposób rodu.

Po rozwodzie z poprzednią żoną Erich zachował ten cudowny dom przy Molnar. Mieszkaliśmy w nim od ślubu. To uroczy wiekowy budynek zbudowany z kamienia pomorskiego i drewna sosnowego, otoczony dzikim ogrodem i z widokiem na rzekę. Jeśli mam teraz jakieś zmartwienie na przyszłość, to właśnie jak utrzymać to lokum. Dzieci Ericha, Clara i Henry, mają oczywiście prawo do połowy spadku i Bóg jeden raczy wiedzieć, jak uda mi się rozwiązać tę kwestię. Nie jestem pewna, czy rozpoznałaś ich podczas pogrzebu. Henry jest wysoki, ma ciemne włosy i jest arogantem. Clara jest nieco przygarbiona, ma mysie włosy i co najmniej dziesięć kilo nadwagi. Oboje siedzieli w pierwszej ławce, ale nie po tej stronie nawy co ja. Wprawdzie darzą mnie równie dużą antypatią, jak ja ich, ale i ten kłopot uda się jakoś rozwiązać. Dziwi mnie, że jeszcze się nie odezwali w kwestii spadku, choć minęły już dwa tygodnie od ogłoszenia masy spadkowej. Jednak pewnie pierwsza skontaktuje się w tej sprawie jakaś renomowana kancelaria adwokacka.

Co do reszty, jest tak, jak sugerowałaś: po śmierci Ericha czuję na swój sposób spokój i ulgę. Kiedy bierze się ślub z o wiele starszą osobą, nie da się uniknąć uczucia ciągłego niepokoju o to, że w końcu zostanie się samemu (a zawód lekarza bynajmniej nie gwarantuje długiego życia, wręcz przeciwnie). Chyba nawet można być na swój sposób wdzięcznym, gdy spotyka cię to w wieku lat czterdziestu, a nie pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu. Masz też rację, twierdząc, że zbliżamy się do wieku średniego, ale chyba wciąż możemy coś zaoferować światu i jest po co żyć, nieprawdaż?

Piszesz, że rozpoczęłaś naszą korespondencję z konkretnego powodu i że ma to coś wspólnego z Twoim mężem. Przyznaję, że zaciekało mnie

to, błagam Cię więc, byś nie „zataczała kół i nie robiła uników”, ale wyłuszczyła sprawę w kolejnym liście, na który, mam nadzieję, nie będę musiała długo czekać.

Tą prośbą kończę, muszę wyjść z psami na wieczorny spacer. Mam ich dwa – to smukłe, pełne życia zwierzaki rasy rhodesian ridgeback. Nie zdecydowałam jeszcze, czy je zatrzymam, nie da się jednak zaprzeczyć, że wymagają one czasu i uwagi. Jak teraz.

Odpisz szybko, jak prosiłam, Henny. Czekam niecierpliwie.

Gorące pozdrowienia

Twoja Agnes



Patronem szkoły jest J.S. Wallman, który zginął na wojnie sto pięćdziesiąt lat temu. W klasie jest nas dwadzieścioro pięcioro. Ja i nerwowy chłopiec o imieniu Dragoman byliśmy jedynymi nowymi osobami na początku roku, ale jakaś inna dwójka z tej klasy wyprowadziła się z miasta, więc pani Zimmermann, powiedziała, że możemy zająć ich miejsca.

Ja i Henny oraz Adam, który ma okulary o szklach grubych jak denka butelek, jesteśmy najlepsi w klasie. Adam zaczął czytać już w kołysce i w ten sposób zniszczył sobie wzrok. Ja i Henny czasami bawimy się z nim i jego kuzynem Marvelem, który też chodzi do naszej klasy. Marvel to jeden z tych, co to zawsze mają najgorsze oceny z klasówek, zwłaszcza z matmy oraz z dyktand, ale jest duży i silny, więc warto go mieć przy sobie, gdy dochodzi do bójki.

W szkole czuję się dobrze, przed Bożym Narodzeniem dostałam główną rolę w przedstawieniu o Envarze Obcym. Pani Zimmermann powiedziała, że mam talent aktorski. Staram się nie myśleć za dużo o tacie i bracie w Saarbrücken. Przez całą jesień i zimę nie byłam u nich z wizytą więcej niż dwa razy, a mój brat spędził z nami kilka godzin pewnego popołudnia, kiedy przejeżdżał przez miasto w drodze na obóz harcerski w Ravensburgu. To trochę dziwne, że mamy ze sobą tak mało kontaktu, a jeszcze dziwniejsze jest to, że właściwie się tym nie zajmuję.

Mama dość dużo pracuje. Doktor Maertens ma swój gabinet dentystyczny na Gerckmarkt, ja sama już u niego byłam z dziurami w dwóch zębach. Nie lubię go. Jest ironiczny i niesamowicie owłosiony.

Ma czarne krzaczaste brwi i kiedy siedzi się na fotelu, widać, że jego dziurki w nosie są tak zarośnięte, że aż dziw, że może przez nie oddychać.

Mama Henny sporo chorowała przez ostatnie miesiące, więc kilka razy zajmowałyśmy się popołudniami jej młodszym bratem Benjaminem. To zasmarkany, marudny sześciolatek, który prawie zawsze jest niezadowolony. Raz zgubiłyśmy go w Mindeparken. Było zimno i padało, szukałyśmy go przez kilka godzin. Kiedy zrobiło się ciemno, Henny zaczęła płakać i powiedziała, że nigdy nie wybaczy sobie, jeśli Benjamin umrze. Paplała coś o tym, że rzuci się pod pociąg albo do rzeki. Gdy jednak padła na kolana w piaskownicy na placu zabaw, na którym ostatnio widziałyśmy Benjamina i zaczęła wzywać Boga, on nagle się pojawił. Benjamin, nie Bóg. Był bardziej zasmarkany i marudny niż zwykle i okazało się, że rozdarł nową koszulę.

Jeśli tylko człowiek zrobi, co w jego mocy i odda swój los w ręce Boga, w końcu wszystko się ułoży, powiedziała Henny i uściskała przemokniętego i umorusanego brata.

Ja się nie odezwałam. Pomyślałam sobie nawet, że dobrze, że się znalazł, bo inaczej miałybyśmy masę kłopotów, ale tak szczerze nie tęskniłabym za nim, gdyby zginął w jakimś wypadku.

W połowie maja – dwa tygodnie po moich dwunastych urodzinach i dwa dni po tym, jak dostałam pierwszy okres – zauważyłam coś strasznego.

Otóż moja mama miała romans ze swoim szefem, doktorem Maertensem. Nakryłam ich przez przypadek, gdy trzymając się za ręce, wychodzili z restauracji Pomador na Glockstrasse. Dosłownie na nich wpadłam i oboje okropnie się zawstydzili. Powiedzieliśmy tylko och i ach, przywitaliśmy się, a ja poszłam dalej do biblioteki na Wollmarplatz. Kiedy jednak dwie godziny później wróciłam do domu, mama wyjaśniła mi, jak się sprawy mają. Oznajmiła, że zaczęli trochę dotrzymywać sobie

towarzystwa. Tak się właśnie wyraziła, „dotrzymywać sobie towarzystwa”, a ja pomyślałam, że brzmi to zarówno staromodnie, jak i głupio. Przecież ona wcale nie jest taka stara.

Powiedziałam jej, że według mnie doktor Maertens jest obrzydliwy i wytknęłam, że musi być ze trzydzieści lat starszy od niej. Mama się wściekła i odparła, że doktor Maertens to bardzo sympatyczny, kulturalny człowiek i że nie skończył jeszcze pięćdziesiątki.

I że jej należy się nieco poczucia bezpieczeństwa po tym, jak zmarnowała połowę życia na takiego libertyna, jakim był mój ojciec.

Na to ja powtórzyłam, że dla mnie Maertens to odrażający typ i zamknęłam się w pokoju. Gdy pół godziny później mama do mnie zapukała, zgasiałam światło i udałam, że śpię.

Dorośli postanowili, że ja i Henny mamy spędzić dużą część wakacji razem. Wujek i ciocia Henny mieli duży dom nad jeziorem Lagomar. Przydzielono nam pokój na poddaszu. Poza wujostwem mieszkali tam kuzyni, dwaj bracia bliźniacy w naszym wieku oraz pięcio-, sześćioletnia dziewczynka. Nie byłam pewna, czy chcę tam jechać, ale chyba nie miałam wyboru. Nie protestowałam jednak. Henny nie mogła się doczekać wyjazdu. Kiedy na zakończeniu roku porównaliśmy swoje oceny, okazało się, że nasza średnia jest identyczna. Adam był od nas lepszy zaledwie o parę dziesiątych. Zgodnie uznałyśmy, że to dlatego, że jest chłopcem i nosi okulary.

Wieczorem, dzień przed tym, jak miałyśmy pojechać autobusem nad Lagomar, razem z Henny, Adamem i Marvelem zapaliłam pierwszego w życiu papierosa. Ukryliśmy się za krzakiem w Mindeparken. Henny tak zemdliło, że zwymiotowała Marvelowi na spodnie galowe. Marvel wypalił dwa papierosy i oznajmił, że tytoń świetnie mu robi, więc nie przejąłby się nawet, gdybyśmy wszyscy obrzygali mu ubranie. Miał najgorsze oceny ze

wszystkich i musiał zakuwać całe wakacje, żeby uniknąć powtarzania klasy. Kiedy Adam poszedł do domu, Marvel zapytał mnie i Henny, czy chcemy zobaczyć jego wacka. Henny oznajmiła, że jej jest zupełnie obojętne, czy go nam pokaże, czy nie, więc ja powiedziałam, żeby to zrobił. Marvel rozpiął rozporek i wyciągnął wacka, objaśniając nam, że wygląda, jak wygląda, ponieważ go obrzezano. Ja i Henny podziękowałyśmy za pokaz.

Do Agnes R.  
Villa Guarda  
Gobshejm

Grothenburg, 12 października

Droga Agnes!

Dziękuję za Twój list, który przeczytałam z dużym zaciekawieniem. Cieszę się, że tak dobrze czujesz się w swojej pracy i że najwyraźniej podchodzisz do śmierci męża z dystansem. Wiem, że zawsze trzeźwo patrzyłaś na świat, nie dawałaś się ponosić emocjom, wygląda na to, że nie wyzbyłaś się tych dobrych cech. Trudno mi ocenić z pewnością, czy ja sama zmieniłam się przez te lata, ale czasami wydaje mi się, że w głębi duszy jestem tą samą osobą, jaką byłam jako dwunasto- czy piętnastolatka. Jeśli wkrótce się spotkamy, to zapewne bez problemu sama osądzisz, czy mam rację czy nie. A ja może będę mogła dostrzec w Tobie tę dziewczynkę sprzed lat?

Na razie jednak nie mam ochoty spotykać Cię twarzą w twarz, droga przyjaciółko. Żeby jednak wyjaśnić Ci, dlaczego, powinnam wyłuszczyć ten wyjątkowy powód, przez który zaczęłam do Ciebie pisać. Jest on nadal aktualny. Prosisz, bym dłużej go przed Tobą nie ukrywała, tylko jak najszybciej wyłożyła kawę na ławę. Pełna dobrej myśli biorę więc głęboki wdech. Mam nadzieję, że Cię nie przerażę, choć muszę się liczyć z takim ryzykiem. Nie da się go uniknąć.

Jak wspominałam, chodzi o Davida. Wiesz, że jesteśmy małżeństwem od niemal osiemnastu lat. Oświadczył mi się zaledwie parę tygodni po *Królu Learze*, zaręczyliśmy się w czerwcu, a pobraliśmy w listopadzie tego samego roku. No ale o tym przecież doskonale wiesz. Spędziliśmy ze sobą kilka dobrych lat, David i ja. Kiedy teraz patrzę wstecz, widzę, że tak właśnie było... Przynajmniej dziesięć pierwszych było udanych. Wiem – i nie musisz zaprzeczać – że czasami uważałaś mnie za nadmiernie naiwną i ufną osobę. Pamiętam dobrze nasze liczne rozmowy o tym, że ludzie są różni i pamiętam, że Ty w przeciwieństwie do mnie nie wierzyłaś w przeznaczenie oraz przychylne nam moce. Ani w to, że wystarczy robić, co się da, a potem pogodzić się ze skutkami, jakie by one nie były.

Również w to, że musimy pokładać ufność w dobru. Ja i David też sporo o tym na początku rozmawialiśmy i kiedy przysięgaliśmy sobie dożgonną wierność, nie były to tylko puste słowa i nieznaczący nic rytuał. Traktowaliśmy to poważnie. Postanowiliśmy żyć ze sobą i dziećmi, które się pojawią. Miłość nie może być zależna od uwarunkowań, nie może jej nadgryzać zęb czasu. To takie proste, a zarazem tak trudne.

Stało się jednak. W okolicznościach, których nie chcę tu teraz opisywać, dowiedziałam się, że David spotyka się z inną. Nie wiem, kim ona jest i właściwie nie obchodzi mnie to. Tak czy inaczej David zdradził mnie, nasze dzieci, nasz miłosny pakt. Nie potrafię się z tym pogodzić. Nie jestem pewna, ile trwa ten romans, ale co najmniej sześć miesięcy, a prawdopodobnie dwa razy dłużej. Rzecz jasna David trzyma go w tajemnicy, a ja odpłacam mu się tym samym. Nie zdradziłam ani słówkiem, ani grymasem, że wiem, co on wyprawia za moimi plecami. Nie mam zamiaru konfrontować się z nim czy starać się przemówić mu do rozsądku, nie chcę wchodzić w tę starą jak świat grę z nakrytym mężczyzną i skrzywdzoną, zdradzoną kobietą. Przez ostatnie miesiące rozważałam

wszystkie realne i nierealne rozwiązania, na uwadze mając dobro moje i dziewczynek. I, droga Agnes, sprawa jest jasna. David musi umrzeć.

Domyślam się, że te wersy czytasz z przyspieszonym pulsem, łapiąc oddech. Może nawet ciśniesz list na ziemię i pustym wzrokiem zapatrzysz się przed siebie, pokręcisz głową i potrzasz prawą skroń, jak to zawsze robiłaś, kiedy się nad czymś intensywnie zastanawiałaś.

To jednak nic nie zmieni. Co napisałam, to napisałam. A ja jestem w swojej decyzji nieugięta. Mój mąż musi umrzeć. Nie zasłużył na to, by dalej żyć i nie próbuj mnie w tej kwestii przekonywać, Agnes.

Jeśli chodzi o kolejny punkt, możesz – rzecz jasna – możesz śmiało wyrazić swoje zdanie. Chodzi mi bowiem o to, że chcę Cię prosić o pomoc.

Nie odkładaj jednak listu, droga Agnes! Zrób mi chociaż tę przysługę i doczytaj do końca. Bez względu na Twoją odpowiedź i tak doprowadzę do śmierci Davida w niedalekiej przyszłości. W taki czy inny sposób. Kilka lat temu czytałam kryminał, nie pamiętam nazwiska autora, ale to chyba jakiś Amerykanin. Była to historia o dwóch obcych sobie osobach, które spotykają się w pociągu, a kiedy zaczynają ze sobą rozmawiać, orientują się, że każda z nich zyskałaby na śmierci swojego bliskiego. Pojawiły się zatem dwie potencjalne ofiary. Pozbycie się problematycznego krewniaka wydawało się jednak niemożliwe, bo każda z tych dwóch osób od razu byłaby podejrzana o zabójstwo. Wpadają jednak na pomysł, że zamienią się ofiarami. Po angielsku nazywa się to *criss-cross*. Zabiją na krzyż: A zobowiązuje się zamordować żonę B, a B odbierze życie bogatemu krewnemu A.

Rozumiesz? Kiedy zaczęłam rozmyślać nad zdradą Davida i połączyłam to z pomysłem zabójstwa na krzyż, właśnie wtedy pomyślałam o Tobie. Domyślam się, że nie mogę pomóc Ci w taki sam sposób, idea jest jednak taka, że David zginie z ręki kogoś spoza kręgu moich znajomych, podczas

gdy ja będę przebywać w innym miejscu, mając żelazne alibi. I tyle. Daję Ci też słowo, że Twój wkład mogę wynagrodzić pokaźną sumą. W ostatnim liście wspomniałaś, że nieco niepokoi Cię, czy nadal będziesz mogła mieszkać w domu Ericha. Uwierz mi, Agnes, sto tysięcy to dla mnie nie problem, a gdybyś potrzebowała więcej, jestem otwarta na dyskusję.

Znów łapię się na tym, że się nadto rozpisuję. Już pewnie zrozumiałaś, o co Cię proszę. Jak dotąd nie zastanawiałam się nad metodą – będę się tym martwić, kiedy przyjdzie na to pora – ale Twojej odpowiedzi oczekuję, jak się zapewne domyślasz, z duszą na ramieniu. Błagam, daj sobie kilka dni na rozważenie mojej propozycji. A jeśli się wstępnie zgodzisz, na co liczę z całego serca, nie oznacza to, że nie możesz później zmienić zdania. Absolutnie możesz. Jedyne, o co teraz proszę, to żebyś zgodziła się przedyskutować tę sprawę. W sposób hipotetyczny, bez uprzedzeń, jak to mówią.

Zatem, droga Agnes, zastanów się dobrze i poinformuj mnie o swojej decyzji. Bez względu na odpowiedź pozostanę Twoją wierną przyjaciółką

Henny



Do  
Henny Delgado  
Pelikaanallé 24  
Grothenburg

Gobshejm, 19 października

Droga Henny!

Przeczytałam Twój ostatni list już dziesięć razy i nadal nie mogę uwierzyć własnym oczom.

To, co proponujesz, jest tak wstrętne, że aż brak mi słów. Szczerze mówiąc, wątpię, czy aby na pewno jesteś przy zdrowych zmysłach. Przez cały wieczór zastanawiałam się, jak sformułować swoją odpowiedź i niestety nie udało mi się obmyślić nic właściwego.

Dlatego proponuję, byś napisała mi list wyjaśniający, w którym albo odstąpisz od swojej propozycji, albo wyjaśnisz, co na Boga, masz tak naprawdę na myśli. I dlaczego w ogóle przyszło Ci do głowy, że zaoferuję swój udział w tym absurdalnym planie, który mi naszkicowałaś?

Pozdrawiam serdecznie

Agnes

Dom letni nad jeziorem Lagomar składał się z trzech budynków. Leżały one na porębie na skraju lasu, na porośniętym trawą terenie, który opadał w stronę jeziora, kończąc się prywatną złocisto-piaszczystą plażą. Działka nie miała więcej niż trzydzieści czy czterdzieści metrów długości.

W głównym budynku śpią państwo Karminen oraz sześciolatka Karen. Pan Karminen ma na imię Werner, ale wszyscy wołają na niego Król Czekolady, albo po prostu Król – jest właścicielem firmy produkującej praliny. My już po dwóch dniach najadłyśmy się ich do syta.

Pan Karminen jest w domu tylko w weekendy, wieczorami i w nocy. Wczesnym rankiem wyrusza granatowo-czarnym roverem do Schwingen i rozkręca swój czekoladowy biznes. Pani Karminen ma na imię Sofie, ma taką smutną urodę, tak się chyba na to mówi. Wąziutka talia oraz gęste ciemne włosy niemal w tym samym kolorze co rover jej męża. W zasadzie całymi dniami siedzi na wiklinowym krześle w cieniu i czyta książki, popalając przy tym wąskie cygaretki ze złotym ustnikiem. Każdego dnia Karen odwiedza inny sześciolatek z sąsiedztwa; bawią się potem godzinami nad brzegiem wody, morusając się przy tym, ile wlezie.

W mniejszym domu położonym z prawej strony mieszkam ja, Henny i jakaś jej krewna o imieniu Ruth. Ruth ma trzynaście lat i chyba jest nieco upośledzona, zajmuje się jedynie przygotowywaniem jedzenia i sprzątaniami. Wieczorami, kiedy Król Czekolady wraca ze Schwingen, całą gromadą jemy kolację przy długim stole w ogrodzie. To zawsze Ruth przygotowuje wszystkie dania i to ona zajmuje się zmywaniem. Nie jest to

jednak dla niej utrapieniem; przeciwnie, Ruth całymi dniami nuci sobie rzewne romantyczne melodie bez słów – to znaczy poza porami posiłków – i przez cały czas wydaje się być zadowolona z życia.

W domu po lewej, który – tak jak nasz – składa się tylko z jednego pokoju oraz tyciej kuchni, śpią kuzyni bliźniaki, Tom i Mart. Mają po trzynaście lat. Jak tylko ich zobaczyłam, wiedziałam, że dzięki nim te wakacje da się jakoś przetrwać.

Z wyglądu bracia są niemal identyczni: takie pajęczaki o długich nogach, krótko ostrzyżonych włosach i zawadiackim spojrzeniu. Przez pierwsze dni myliłam ich, ale potem nauczyłam się, co odróżnia Marta od Toma. Było to coś w jego wnętrzu. Nie umiałam tego sprecyzować, ale kiedy pewnego wieczoru opowiedzieli, że Mart jest dwadzieścia minut starszy od Toma, zrozumiałam, że to w tym tkwi ta różnica. Mart jest po prostu starszym bratem, pewnie też waży o ćwierć kilo więcej i jest pół centymetra wyższy. Nie tylko teraz, będzie taki przez całe życie. Z jednej strony nie rozumiem, dlaczego takie drobiazgi miałyby mieć znaczenie, ale mimo wszystko mają. Z wiekiem się uczę.

– Którego lubisz bardziej? – zapytała Henny pewnego wieczoru, kiedy już zgasiliśmy światło i położyliśmy się, ale Ruth jeszcze nie było w pokoju. – Toma czy Marta?

– Nie wiem, odparłam.

– Odpowiedz – upierała się Henny. – Gdybyś miała poślubić jednego z nich, to którego byś wybrała?

– Marta – powiedziałam.

– Mart jest mój – odrzekła na to Henny. – Musisz zadowolić się Tomem.

– Ach tak? – zapytałam. – Jeśli o mnie chodzi, to możesz wyjść za nich obu.

Wcale tak nie myślałam. Przeciwnie, to sprawa życia i śmierci, co do tego byłam pewna. Jeszcze przez godzinę nie mogłam zasnąć, bo opracowywałam plan.

Kilka dni później udało mi się zostać z Martem sam na sam, kiedy zbieraliśmy robaki na ryby. Powiedziałam mu, że Henny zdradziła mi w sekrecie, że bardzo podoba się jej Tom, ale że za Martem nie przepada.

Mart nie odpowiedział, ale jego spojrzenie przybrało nieco gniewny, mętny wyraz. Zorientowałam się, że moje słowa dotknęły go do żywego. Przez chwilę w milczeniu grzebaliśmy łopatkami w ziemi.

Ale ja bardziej lubię ciebie, dodałam w końcu. O wiele bardziej.

Mart się zawahał i zaczął się mi przyglądać ze zmrużonymi powiekami.

Chodź tu, powiedział, odrzucając na bok łopatkę.

I pocałował mnie mocno, brutalnie, tak, że niemal straciłam dech.

Później, kiedy siedzieliśmy w łodzi, Henny zauważyła, że mam opuchnięty ślad na wardze. Zapytała skąd to. Odparłam, że nie mam pojęcia, ale wystarczyło, że rzuciłam spojrzenie w stronę Marta, a ona od razu się zorientowała. Widziałam to po niej, jakby zeszywniała i poczuła się nieswojo. Ja za to czułam się wspaniale: trochę podekscytowana, a trochę rozanielona. Wysunęłam język i ostrożnie polizałam ranę na ustach.

Spędzamy czas razem, we czwórkę. Król Czekolady nazywa nas kwartetem zawadiaków. No, co tam dziś wykombinował nasz kwartet zawadiaków? – pyta co wieczór, kiedy siadamy do stołu.

Nigdy nie odpowiadamy, bo cudownie jest wiedzieć, że nikt nie oczekuje od nas odpowiedzi. Wymieniamy tylko spojrzenia, i dyskretne, konspiracyjne uśmiechy.

I wcale nie wyrządzamy zbyt wiele szkody, ale mamy swoje sprawy. Kąpiemy się, łowimy ryby, bawimy się. Jeździmy na rowerach do miasta po lody. Zbudowaliśmy też szałas z gałęzi, mimo że jesteśmy na to za duzi, a któregoś dnia skonstruowaliśmy tratwę z dwóch pustych pojemników oraz sterty desek, które znaleźliśmy nakryte brezentem za domem leżącym po lewej stronie działki.

Nikt z nas nie mówi też o tym, że ja i Mart trzymamy się razem. Mimo że więcej mnie nie całował, i tak widać naszą więź. Choćby po tym, że zawsze dobieramy się w parę, kiedy gramy w karty albo badmintona, gdy wiosłujemy czy jedziemy rowerami do miasta. Albo po prostu kiedy idziemy i rozmawiamy.

Henny już więcej nie pytała mnie o ślad na ustach. Wiem, że ona wie, a ona wie, że ja wiem. Jednak mówienie o tym oznaczałoby przyznanie się do porażki, na co Henny nigdy nie przystanie. Ani ja. Obie udajemy, że nic się nie dzieje, a Henny jest w tym naprawdę mistrzynią. Czasami mam wrażenie, że coś knuje, że nocami, kiedy już Ruth zgasi lampę i zacznie donośnie chrapać, opracowuje jakiś plan. Powinnam spróbować choć trochę go przejrzeć.

Nic się jednak nie działo. Aż do pewnej nocy w ostatnim tygodniu, kiedy już dni stały się nieco krótsze, a mrok nieco ciemniejszy. Był środek sierpnia, postanowiliśmy się wykraść, kiedy dorośli zasną. Planowaliśmy zabrać ze sobą kiełbasę oraz sok i popłynąć na Wyspę Sorta, żeby rozpalić tam ognisko.

To okrągła wyspa położona około dziesięciu minut łódką od brzegu. Ma jakieś sto metrów w obwodzie i, o dziwo, rośnie na niej jedno jedyne drzewo, duży dąb nazwany na cześć niejakiego Andreeasa Sorta, który w połowie dziewiętnastego wieku przypłynął tu i powiesił się z powodu

nieszczęśliwej miłości. Jego wybranka miała na imię Blanche i ponoć utopiła się wkrótce potem.

Tej nocy z początku wszystko szło zgodnie z planem, ale jakimś cudem rozpaliliśmy zbyt duże ognisko, tak że płomienie rozpełzły się na krzewinę rosnącą pod dębem. Próbowaliśmy je ugasić, ale wkrótce ogień rozprzestrzenił się na całą wyspę. Jedyne co mogliśmy zrobić, to wskoczyć do łodzi i wypłynąć na jezioro.

I tak oto siedzieliśmy i gapiliśmy się, jak dąb Sorta płonie w tę ciepłą noc. Myślę sobie, że nigdy nie widziałam nic wspanialszego. W dodatku była pełnia, ogromny, złotawy księżyc sierpniowy wysunął się zza krawędzi lasu. Wtedy jednak Henny zaczęła płakać. Tom ją objął, ale ona zawodziła jeszcze bardziej, bo to nie Mart. Mart za to wsunął swoją dłoń w moją schowaną pod kocem. Wiedzieliśmy, że nie ruszymy się stamtąd, dopóki cała wyspa nie zrobi się ciemna i martwa.

Tej nocy Mart też mnie nie pocałował, ale sądząc po mocy uścisku jego cieplej dłoni, czuję, że chętnie by to zrobił. I nie tylko to.

Następnego dnia przy śniadaniu, Ruth oznajmiła, że w nocy musiała być burza, bo piorun uderzył w dąb Sorta i cała wyspa spłonęła.

O dziwo jednak nikt nie słyszał żadnej burzy.

Byliśmy nieco zmęczeni i otepiali. Ten dzień jakby uciekł, nie pozostawiając po sobie żadnych wrażeń. Nazajutrz rano Król Czekolady odwiózł nas na dworzec autobusowy w Schwingen. Kiedy wraz z Henny siedzieliśmy, wierząc się na gładkich skórzanych fotelach z tyłu, miałyśmy wrażenie, że mimo wszystko zbliżyliśmy się do siebie. Jakby te wakacje czegoś nas nauczyły, o życiu i nas samych.

O tym, że wszystko jest inaczej, niż powinno, ale najlepiej dostosować się do okoliczności. Coś w tym stylu. Oczywiście nie rozmawialiśmy o tym w roverze, bo jedynie Król zabawiał całe towarzystwo. Podczas upalnej

podróży autobusem do Grothenburga też nie. Jednak dwa dni później, kiedy w parku pilnowaliśmy Benjamina, Henny powiedziała:

– Wiesz co, wydaje mi się, że tak naprawdę urodziłyśmy się jako siostry.

– Tak?

– Ale jakimś cudem rozdzielili nas na oddziale położniczym. Nigdy nie miałam tak dobrej przyjaciółki.

– Czytałam, że na oddziałach położniczych dochodzi do wielu zaniedbań.

Jednak dla pewności, tego samego wieczoru zmieszałyśmy naszą krew.

Do  
Agnes R.  
Villa Guarda  
Gobshejm

Grothenburg, 27 października

Droga Agnes!

Dziękuję za odpowiedź. Sama nie wiem, jakiej reakcji spodziewałam się z Twojej strony, może – mimo wszystko – właśnie takiej.

Obawiam się, że niewiele mogę dodać do tego, co napisałam w poprzednim liście. Zapewniam Cię jednak co do dwóch spraw: jestem przy zdrowych zmysłach i mam zamiar zrealizować swój zamiar. Liczę, że jesteście sobie na tyle bliskie, że przynajmniej nie zdradzisz nikomu moich planów. Nie chcesz mi pomóc, to Twoja decyzja, ale byłabym wdzięczna, gdybyś dała mi znać, czy chciałabyś przedyskutować tę sprawę. Tak na chłodno, czysto hipotetycznie. Absolutnie nie musisz się do niczego zobowiązywać, to chcę wyraźnie podkreślić.

Jeśli natomiast chodzi o kwestie finansowe, to obstaję przy sumie stu tysięcy. Na pewno da się znaleźć profesjonalnego najemnika za o wiele niższą sumę, ale rozumiesz zapewne, że nie opowiadam się za takim rozwiązaniem.

Podsumowując, ten list będzie krótki. Prosiłaś o potwierdzenie, więc oto je masz. Odezwij się szybko, droga Agnes, i daj znać, jak się na to



zapatrujesz.

Twoja przyjaciółka

Henny

Do  
Henny Delgado  
Pelikaanallé 24  
Grothenburg

Gobshejm, 30 października

Droga Henny!

To wręcz komiczne, do jakich zbiegów okoliczności potrafi czasem dojść. Otóż wczoraj otrzymałam dwa listy, jeden od Ciebie, drugi od kancelarii adwokackiej Klinger&Klinger w Monachium. Po tym jak dziś po południu skontaktowałam się z moim adwokatem z Gobshejm, niejakim Pumpermannem, i przez godzinę omówiłam z nim sprawę, wiem już, że moja sytuacja finansowa jest nie najlepsza. Nie zrozum mnie źle, mam dość, by przeżyć, nawet więcej. Gdybym jednak chciała zachować dom, wymagałoby to wielu operacji.

Tak właśnie wyraził się Pumpermann – operacji! Zręcznie unika nazwania rzeczy po imieniu, to chyba jakaś zawodowa przypadłość. Innymi słowy chodziło mu o to, że po prostu brak mi pieniędzy. Zapytałam ile, na co on zmarszczył czoło i oznajmił z powagą, że bez wątpienia jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt tysięcy stawiałoby sprawę w lepszym świetle.

Zatem, droga Henny, po tym, jak kilka godzin spędziłam w moim wygodnym fotelu, rozważając treść Twoich listów i wypijając przy tym cztery (pięć?) kieliszków portwajnu – a także głaszcząc psy pod brodą, wypalając zbyt wiele papierosów oraz rozmyślając o dawnych czasach – zwracam się teraz do Ciebie w kwestii tego wyjątkowej sprawy, jak sama ją nazwałaś... Cóż, czemu nie miałybyśmy przynajmniej jej przedyskutować.

To chyba nikomu nie zaszkodzi?

Kończę prędko.

Twoja Agnes

Doktor Maertens zmarł.

Odszedł w deszczowe styczniowe popołudnie, po tym jak pięć dni spędził w szpitalu, leżąc w śpiączce. Przyczyną śpiączki był nietypowy upadek ze schodów w naszym domu. Pewnego wieczoru odwiedził mamę, zjedli coś i napili się wina, a potem jakoś źle stanął i runął głową w dół klatki schodowej, na której akurat wysiadła elektryczność, więc było tam ciemno, że oko wykol.

Ten zbieg okoliczności spowodował, że wszczęto wstępne dochodzenie w sprawie jego śmierci, ale niczego nie udało się stwierdzić poza tym, że doktor złamał sobie kark oraz prawy kciuk.

Przed Wielkanocą, która tego roku wypadła w połowie kwietnia, mama chyba już całkiem doszła do siebie. Klinikę stomatologiczną przejął inny dentysta, a na ogromnych lipach przed moim oknem pojawiły się młode liście. Czuję się całkiem zadowolona z życia. Teraz jestem najlepsza w klasie, Henny minimalnie się opuściła, a Adam dużo zimą chorował, więc nie mógł pokazać, na co go stać. Ma jakiś problem z płucami i w ogóle słabowity z niego chłopiec.

Na jesieni cała nasza trójka zaczęła naukę w liceum ogólnokształcącym Weivera na Waldemarstrasse. Dostało się tam też pięć innych osób z naszej klasy, rzecz jasna Marvel nie był jedną z nich. Nie szkodzi. Teraz już się z nim tak bardzo nie zadajemy, bo zaczął palić na dobre i najczęściej prowadzi się z kilkoma starszymi chłopakami z zawodówki w Löhr. Marvel

pewnie sam tam wyląduje jesienią, będzie to naturalna kolej rzeczy. Mam przecucie, że temu chłopakowi nie poszczęści się w życiu.

Henny i ja niemal cały czas ze sobą rozmawiamy. Na przerwach w szkole, popołudniami, kiedy razem odrabiamy lekcje albo gdy wybieramy się popływać w Auli Genzera, albo wieczorami, kiedy wydzwaniamy do siebie, mimo że nasze mamy próbują nam tego zabronić.

Rozmawiamy o wszystkim i o niczym. Kim zostaniemy, jak będziemy dorosłe, co tak naprawdę myślą sobie chłopaki, czy kłamstwo zawsze jest złe, czy pani Butts rzeczywiście jest w związku z nauczycielem muzyki, panem Fitzsimmonsem.

Dyskutujemy też o Bogu. Henny z całym przekonaniem twierdzi, że on istnieje, ja mam nieco wątpliwości. Uważam, że świat nie wyglądałby tak, jak wygląda, gdyby ktoś pociągał za sznurki, ale Henny mówi, że wkrótce wszystko będzie dobrze, po prostu droga do tego punktu jest nieco kręta.

– Ale będzie dobrze jeszcze za naszego życia? – pytam ją. Czy może musimy martwe czekać przez dziesięć tysięcy lat na dzień sądu?

– I tak, i tak – odpowiada pewnym tonem Henny. I Tobie, i mnie powiedzie się w życiu, jeśli tylko będziemy dobre i pokorne.

Odpowiadam jej, że nie zaszkodzi mieć się na baczności i pomyśleć trochę o tym, co ma być, bo inaczej siły zła wystrychną człowieka na dudka. Henny nie bardzo rozumie, co mam na myśli i prosi, bym dała jej przykład, ja jednak uświadamiam sobie, że lepiej, żeby tego nie robiła.

Jeśli zaś chodzi o nasze plany na przyszłość, to chcę być aktorką lub pisarką, albo i tym, i tym. Henny zmienia zdanie raz na miesiąc; w marcu chciała kształcić się na lekarzkę weterynarii, w kwietniu na projektantkę ubrań, a w maju postanowiła, że wyjdzie bogato za mąż i będzie wychowywać szóstkę dzieci, zajmując się przy tym ekologiczną hodowlą róż i malując blade akwarele w jakiejś francuskiej wiosce rybackiej.

Najlepiej by jej mąż pracował dla ONZ i dużo podróżował. I będą mieli kuchnię z podłogą wyłożoną dużymi kaflami z czarno-czerwonego klinkieru.

Według mnie Henny jest trochę naiwna i nazbyt zmienna, ale mimo to jesteśmy nierozłączne. Kiedy na początku czerwca zakochała się w beznadziejnym chłopaku o imieniu Dimitri, zrobiłam, co mogłam, by powstrzymać tę miłość. Potem, kiedy Henny się opamiętała, przez wzgląd na swój honor podziękowała mi, że jej nie zawiodłam. Uważam, że jak na trzynastolatkę jestem nadzwyczaj dojrzała.

Na wakacje pojechałam do taty i brata w Saarbrücken. Tata rozstał się z Elsą, mogłam więc odzyskać swój pokój. Do południa pracowałam w piekarni Goscinskiego, wieczorami jeździłam rowerem nad rzekę i spotykałam się z dawnymi kolegami. Im więcej czasu spędzaliśmy razem, tym bardziej uświadamiałam sobie, że nasze drogi się rozeszły – przyszło mi nawet do głowy, że rozwód rodziców przysłużył się mojemu rozwojowi osobistemu.

Być może rozeszły się też drogi moje oraz mojego taty i brata; mało ze sobą przebywaliśmy, a podczas wspólnych posiłków z reguły panowała niezręczna cisza. Tata wyglądał, jakby się postarzał o dziesięć lat, a jeśli już coś mówił, to zawsze dotyczyło to pogody albo drużyny piłkarskiej Zenit. Brat już nie wszczyna ze mną bójek, ale przez to jakby w ogóle już się nie komunikujemy.

Kiedy pierwszego września z Henny oraz stu siedemdziesięcioma dwoma innymi osobami siedzieliśmy w auli liceum Weivera, z pewnym napięciem wyczekiwałam tego, co nas czeka w nowej szkole. Miałam wrażenie, że oto skończyło się moje dzieciństwo, a ja na pewno nie będę za nim tęsknić.

Do  
Agnes R.  
Villa Guarda  
Gobshejm

Grothenburg, 11 listopada

Droga Agnes!

Jakże mnie ucieszył Twój list, choć mam nadzieję, że nie tylko względy finansowe skłoniły Cię do przystania na moją propozycję.

Przepraszam, miałam na myśli to, że skłoniły Cię do przedyskutowania tej kwestii. Absolutnie nie chcę kierować biegiem wydarzeń czy też dominować. Przeciwnie, droga Agnes, myślę, że ważne jest, byśmy były zgodne co do każdego kroku, co do każdego najmniejszego szczegółu tego przedsięwzięcia. Musimy zaplanować wszystko skrupulatnie i dopilnować, by nie wiązało się to ze zbędnym ryzykiem. Bądź co bądź, kobietom takim jak my powinno się udać zabić mężczyznę w taki sposób, by uszło to na sucho. Nie sądzisz?

Kiedy się nad tym zastanawiam, jestem przekonana, że – jeśli się na to zdecydujemy – będziemy umiały wymyślić taki sposób działania, by nic a nic nie pozostawić przypadkowi, policja pozostała bezradna i nie domyśliła się nawet, kto i jak pozbawił Davida życia.

Tym, co – według mnie – przede wszystkim powinniśmy mieć na uwadze, jest to, bym miała stuprocentowe alibi. Żona zamordowanego męża z definicji jest pierwszą podejrzaną dla śledczych. Tak będzie i w tym przypadku, bez względu na to, czy policja dowie się o zdradzie Davida, czy nie. Nie możemy zatem zaniedbać tego punktu. Podstawowym warunkiem jest to, by było to zabójstwo, którego ja pod żadnym pozorem nie miałabym możliwości popełnić.

Zasadniczy wymóg – przepraszam, że brzmi to tak formalnie i technicznie, moja Droga; sama jestem świadoma, że przypomina to dyskusję między obcymi, jednak uważam, że popadanie w sentymenty może nam zaszkodzić – tak więc zasadniczy wymóg gwarantujący mi żelazne alibi, to oczywiście ustalenie momentu śmierci Davida i miejsca, w którym będę się wtedy znajdować. Na tyle daleko od miejsca zbrodni, by wykreślono mnie z listy podejrzanych. Muszę, jak wspomniałam, móc to udowodnić. Potrzebni mi będą zatem świadkowie, nie sądzisz?

Krótko mówiąc, sądzę, że mamy dwie możliwości: albo Ty zabijesz mojego męża w naszym domu, podczas gdy ja będę się znajdować gdzie indziej, albo też zabijesz go gdzie indziej, podczas gdy ja będę w domu.

Po dokładnym rozważeniu obu opcji, doszłam do wniosku, że bardziej odpowiada mi ta druga. Chciałabym, po prostu, żeby stało się to w innym miejscu przez wzgląd na dobro dziewczynek. Bez wątpienia traumą byłaby dla nich świadomość, że ich martwy ojciec znajduje się tak blisko. Naturalnie wszystko dałoby się zaaranżować tak, by w noc zabójstwa nie było ich w domu (zakładam bowiem, że do morderstwa powinno dojść w nocy, czyż nie?), ale i tak trudno byłoby im później odnaleźć się w miejscu, gdzie ich ojciec dokonał żywota.

Mój pomysł jest zatem taki – a nie mam zamiaru go rozwijać, dopóki nie dowiem się, co Ty o tym sądzisz – by zabójstwo zaplanować w bezpiecznej



odległości od Grothenburga. Może w jakimś hotelu w Monachium, Berlinie lub Hamburgu. David sporo podróżuje. Nocuje w innych miastach przynajmniej dwa lub trzy razy w miesiącu, nie byłoby więc trudno o okazję.

Jeśli zaś chodzi o sposób, to jest mi obojętne, na co się zdecydujesz. Uważam, że powinnaś wybrać coś zgodnego ze swoim temperamentem. Ja osobiście wolałabym poderżnąć mu gardło, ale to zbyt ryzykowne. No i rzecz jasna mnóstwo przy tym krwi. Kulka w łeb pod wieloma względami wydaje się bezpieczniejszą metodą, ale tu pojawia się problem, jak zdobyć broń.

Są oczywiście i inne sposoby, ale to Ty masz w tej kwestii decydujący głos. Może masz jakieś preferencje, zarówno estetyczne, jak i racjonalne. Nie zdziwiłoby mnie to. Jeśli natomiast chodzi o czas, to nie musimy się szczególnie spieszyć, wolałabym jednak, byśmy sfinalizowały nasz projekt w najbliższej przyszłości. Najpóźniej za dwa, trzy miesiące. Biorąc pod uwagę wakacje dziewczynek i tym podobne, najlepiej byłoby, by mój mąż do Wielkanocy już leżał w grobie.

Summa summarum, droga Agnes, podziel się ze mną wkrótce swoimi przemyśleniami. Chętnie bym się z Tobą spotkała, ale oczywiście musimy unikać utrzymywania kontaktów, dopóki nie pozbedziemy się Davida. Na wszelki wypadek warto dodać do tego jakiś sześciomiesięczny margines, zakładam.

Jednak więcej o tym później.

Oddana i wierna

Henny

Do  
Henny Delgado  
Pelikaanallé 24  
Grothenburg

Gobshejm, 17 listopada

Droga Henny!

Dziękuję za list. Przyznaję, że dziwnie się poczułam po przeczytaniu go, zupełnie jakbyśmy zaszły już daleko tą ciemną drogą bez powrotu i bez nadziei. Jednak po dwóch kieliszkach wina, które wysączyłam dziś wieczorem, udało mi się zapanować nad nerwami, choć myślę przy tym trzeźwo niczym głodna zakonnica. Pamiętasz, jak pan Klimke z Weivera używał tego wyrażenia? Zawsze się zastanawiałam, skąd je wytrzasnął. Głodna zakonnica?

Po wstępnym zapoznaniu się ze sprawą, zgadzam się z Tobą we wszystkich wymienionych przez Ciebie aspektach. Zdecydowanie wolę przystąpić do dzieła w jakimś anonimowym hotelu niż odwiedzać Twoje mieszkanie w tak ponurym celu. Zastanawiam się jednak, czy na pewno najlepszym pomysłem jest, byście z dziewczynkami tam zostały. Czy nie potrzebujesz mocniejszego alibi? Przecież chyba ich zeznania nie wystarczą sądowi? Zapewne uzna je za stronnicze, o ile w ogóle dzieci mogą świadczyć na korzyść czy niekorzyść swoich rodziców w sądzie. Taką

w każdym razie mam wiedzę na ten temat po obejrzeniu kilku filmów o procesach.

Cóż, to jednak tylko detal, który łatwo będzie doszlifować. Możesz na przykład zaprosić znajomych na kolację i dopilnować, by zostali do późna. Zgadzam się z Tobą absolutnie co do tego, że powinnam zabić w nocy, chyba wtedy dochodzi do większości zabójstw, jak sądzę. Najwygodniej byłoby, gdyby David spał, wówczas mogłabym wysłać go do krainy cieni, tak by nie zdążył się obudzić. Jaki on właściwie ma sen – mocny czy też budzi się od najmniejszego dźwięku? Rzecz jasna mam całą litanię drobnych pytań, na które stopniowo będziesz mi musiała odpowiedzieć. Wrócimy jednak do tego, kiedy już nasz plan będzie bardziej zaawansowany.

Sporo też rozmyślałam nad tym, jak dostać się do pokoju hotelowego. Jak myślisz, czy można się tam ukryć za dnia i po prostu zaczekać na właściwy moment? Czy też powinnam wynająć własny pokój w tym samym hotelu – być może w przebraniu i pod fałszywym nazwiskiem? (Choć z drugiej strony w dzisiejszych czasach zawsze trzeba się wylegitymować, czyż nie?).

Ale więcej o tym później. Co do samego sposobu, najchętniej starałabym się uniknąć niepotrzebnej przemocy i nadmiernego rozlewu krwi. W zasadzie chyba zgodzimy się co do tego: otóż posiadam broń. To belgijski pistolet marki Berenger, można na nim polegać. Mój mąż przejął go wiele lat temu, kiedy zmarł jego stary wuj. Nie jest nigdzie zarejestrowany i nikt nie wie, że go mamy. To znaczy, że *ja* go mam. Parę lat temu wypróbowaliśmy go tak dla żartu, działał wyśmienicie. Mam też kilka pudełek amunicji. Według mnie to najbezpieczniejszy sposób, bo nie ma możliwości, by ktoś powiązał pistolet ze mną. Zresztą, dla pewności mogę go po wszystkim zakopać w lesie.

A *kiedy*, droga Henny? Cóż, dla mnie to naturalnie zupełnie bez różnicy. Jeśli tylko znajdziesz właściwą datę i właściwy hotel we właściwym mieście, ja chętnie przystąpię do dzieła, kiedy będzie trzeba. Założywszy, rzecz jasna, że zdążymy do tego czasu wszystko przedyskutować i upewnić się, że nie zaniedbałyśmy żadnego szczegółu.

I założywszy, że zgodzimy się co do wynagrodzenia. Za pośrednictwem Pumpermanna, mojego adwokata, złożyłam Clarze i Henry'emu na razie niezobowiązującą obietnicę, że będę mogła ich spłacić, jeśli chodzi o dom. Chciałam wnieść jakąś niewielką sumę jako gwarancję naszego porozumienia, lecz oni żądają otrzymania całej kwoty przed Bożym Narodzeniem. Tak w każdym razie zinterpretowałam słowa Pumpermanna. Mój Boże, w przypadku tego faceta naprawdę potrzeba interpretacji. Powiedzmy więc, że dwadzieścia tysięcy euro teraz, a co z resztą wynagrodzenia ustalimy, kiedy będzie się zbliżać nasz Dzień D.

Czy też, jak ustaliłyśmy, Noc D.

A z innej beczki: jak tam pogoda w Grothenburgu? Tu w Gobshejm listopad jest nadzwyczaj deszczowy i ponury. Nawet psy już nie chcą wychodzić. Podróż na południe zapewne pozwoliłaby człowiekowi nieco odzyskać siły witalne, ale ten pomysł musi, obawiam się, poczekać.

Twoja oddana

Agnes

PS: kiedy już miałam zaklejać kopertę, do głowy przyszła mi straszna myśl. Co jeśli w hotelu będzie z nim ta druga kobieta? Jak się zabezpieczymy przed taką ewentualnością?

To jeden z tych wieczorów.

Zostałam na uczelni i poprawiałam wypracowania do ósmej. Z trzynastu porcji wypocin, które dostałam, musiałam nie zaliczyć trzech. Wszystkie autorstwa chłopaków. Czy też mężczyzn, czy jak tam kto chce nazywać tych młodocianych półinteligentów w wieku dwudziestu, dwudziestu dwóch lat. Nie wiem zresztą, w jakim są wieku. Dietmar, najślabszy z nich, może mieć i z dwadzieścia pięć. Piotr, ze swoją skośną grzywką i piegami, wygląda najwyżej na dziewiętnaście. Tak czy inaczej, najlepiej by było, jeśliby skończyli studia przed Bożym Narodzeniem. W styczniu mogliby przejść na jakiś mniej wymagający kierunek. Pedagogikę lub psychologię. Albo jakąś bardziej mierzalną naukę ścisłą.

Kiedy wracałam do domu, padał deszcz. Mokre liście kleiły się do ulicy między Münstersdorf a zamkiem, jechałam wolno i myślałam o Henny. Niewątpliwie nietuzinkowa z niej kobieta. Taka się stała z czasem. Być może niepotrzebnie tak się od siebie odsunęłyśmy, milczałyśmy tyle lat, choć z uwagi na czekające nas zadanie, ma to oczywiście swoje plusy. Jakby to wszystko od początku było przygotowanym z rozmysłem scenariuszem. Lub choreografią. Choć zdaję sobie sprawę, że tego typu myśli same się pchają do głowy w tak ciemny i ponury wieczór.

Ciekawe, czy ktoś zwrócił na nią uwagę podczas pogrzebu. Naturalnie ludzie musieli zauważyć jej obecność, ale czy kogoś zastanowiło, kim jest Henny? Nie sądzę. Mimo wszystko było nas dość sporo, w większości obcych dla siebie ludzi.

Wczoraj dostałam pieniądze. Kiedy pobierałam gotówkę z bankomatu na Kleinmarkt, zorientowałam się, że na koncie nagle pojawiło się dwadzieścia tysięcy euro. Przyznaję, że serce mocniej mi zabiło. Jakby ktoś przesunął mnie ze świata fikcyjnego do realnego. Z jakiegoś filmu lub snu do rzeczywistości.

Czy to znaczy, że kości zostały rzucone? Że już nie ma odwrotu?

Tak to widzę. Zresztą wcale mi się to nie marzy. Nie chcę się wycofywać, to nietypowa sytuacja, ale na moje zmysły działa jak bodziec, co tej deszczowej jesieni może się okazać przydatne.

Kiedy tylko wjechałam do garażu, na myśl przyszedł mi Tristram Singh i oczywiście nie mogłam o nim zapomnieć przez resztę wieczoru – ani podczas spaceru z psami, ani później, kiedy jak zwykle spędzałam godzinę w fotelu przed ogniem. Niewiarygodnie dużo czasu spędzam w tym meblu, jakbym była osiemdziesięciolatką, która gromadzi swoje wspomnienia. Ale mam dopiero czterdziestkę i przecucie, że najważniejsze wydarzenia dopiero przede mną.

Zanim się położyłam, przeczytałam ustęp z Barina, który tak bardzo lubię. Stanowił dobrą równowagę dla tych z trudem wypoconych wypracowań, które musiałam przeczytać.

*U kresu życia pani Beate Wollinger  
jej serce zdawało się mieć za sobą  
dwadzieścia milionów  
sześćset sześćdziesiąt dziewięć uderzeń.  
Cztery z nich słyszał asystent optyka  
Arnold Mauer pewnego wiosennego wieczoru w Gimsen w roku 1971 .*

Claus-Joseph.

Poznałam go podczas demonstracji; lecz nie pamiętam, przeciwko czemu protestowaliśmy. Zapewne chodziło o Afrykę Południową. Był ode mnie starszy o rok, miał trabanta i studiował filozofię, ale tylko tymczasowo, bo czekał, aż przyjmą go do wojska. Zostaliśmy parą, ale nie kochałam go. Nie sypialiśmy ze sobą.

Mniej więcej w tym samym czasie – jesienią 1981 roku – Henny zaczęła chodzić z Ansgarem. Ansgar był synem pastora, który stracił wiarę, kiedy jego żona uciekła do Kanady z czarnoskórym muzykiem jazzowym. Zostawiła męża z parafią w Klubbenhügge na głowie i jedynym synem. Wtedy, w latach osiemdziesiątych, ojciec Ansgara zajmował się hodowlą owczarków niemieckich na farmie w okolicach Bloemenberg. Ansgar był dość neurotycznym młodym człowiekiem, co bez wątpienia ujęło dobroduszną Henny.

Ona też nie sypiała ze swoim chłopakiem, jednak nie dlatego, że nie chciała, a z jakiegoś niejasnego powodu natury religijnej.

Zdarzało się jednak, że ja i Claus-Joseph siedzieliśmy w jego ciasnym trabancie i się obściskiwaliśmy. Wkładaliśmy sobie ręce w majtki i obmacywaliśmy się, pojękując przy tym. Zrobiliśmy sobie nawet kilka wycieczek samochodowych. Głównie do Ulming i Westdorfu, bowiem przypadły nam do gustu małe miejscowości leżące nad meandrami górnego biegu rzeki Neckar. Podczas naszych wypraw obserwowaliśmy ptaki przez lornetkę Ansgara – ornitologia była bowiem hobby zarówno Ansgara, jak

i Clausa-Josepha – i rozmawialiśmy o polityce. O solidarności. Kambodży. Afryce Południowej. Ja i Henny chodziłyśmy do ostatniej klasy liceum. Ansgar i Claus-Joseph już studiowali. Wydawało im się, że wiedzą więcej.

Bzdura, myślałam sobie. Kiedy padał deszcz, drzwiczki trabanta przeciekały. Często łapałam się na tym, że myślami byłam gdzie indziej.

Tristram Singh dołączył do nas w ostatniej klasie w styczniu. Właściwie chodził tylko na lekcje angielskiego, podczas których musiał odpowiadać na pytania, jakimi zasypywał go pan Dibble. A odpowiadał z akcentem, który brzmiał jak z jakiejś starej brytyjskiej, kolonialnej komedii, przez co wszyscy dusiliśmy się ze śmiechu.

Jednak Tristram bywał i na innych lekcjach, w zasadzie nie wiadomo dlaczego. Przyjechał do miasta z rodzicami i pięcioma młodszymi siostrami i mieli zostać tu pół roku, może rok – jego tata był, zdaje się, konsulem – tak więc chłopak musiał się czymś zająć.

Tristram był smukły, jego uroda rzucała się w oczy, choć w nienatrętny sposób. Miał delikatnie smagłą cerę, od której trudno było oderwać oczy i przy której Claus-Joseph oraz Ansgar wydawali się bladzi niczym smutne kiełbaski w przybrudzonym baranim flaku. Właśnie takiego porównania użyła Henny pewnego wieczoru, po dyskusji o czerwonoskrzydłych zwirowcach oraz o sytuacji na chilijskiej wsi. Nie wiem, czy miała na myśli całego Ansgara czy też jakąś konkretną jego część.

Wracając do Tristrama, smutek w jego oczach wydawał się odwieczny.

Pewnego wieczoru wybrał się z nami do Vlissingen, studenckiego pubu, gdzie wpadaliśmy czasem podyskutować o sztuce. Akurat tego dnia nasze grono było spore, chyba ktoś obchodził urodziny. Tristram nie pił ani piwa, ani wina, tylko wodę i herbatę. Siedział pomiędzy mną i Henny.

Miał na sobie biało-żółty lniany garnitur, pachniał ładnie i nieco egzotycznie i był równie uprzejmy i poważny wobec każdej z nas.



Kwadrans po jedenastej zerknął na zegarek i powiedział, że niestety musi nas opuścić, ponieważ obiecał mamie, że wróci przed północą. Henny zerknęła na siedzącego obok niej Ansgara, ja – na Clausa-Josepha i oznajmiłyśmy, niemal jednocześnie, że odprowadzimy Tristrama do domu.

Niegrzecznie byłoby pozwolić, by melancholiczny młody Hindus błąkał się sam po zasnutych mgłą ciemnych uliczkach Grothenburga.

Poza tym potrzebowałyśmy świeżego powietrza.

– Miłość to uczucie silniejsze od swoich wyznawców – powiedziała Henny.

– Nie da się nad nią zapanować.

Nie wiem, czy gdzieś to wyczytała i po prostu udawała, że sama sformułowała tę myśl.

– Może tak jest w przypadku romantyków w okresie dojrzewania i napalonych psiaków – odparłam. – Chociaż rzeczywiście, nawet rozsądnemu człowiekowi, jeśli rzuci się w ocean uczuć, trudno jest dopłynąć z powrotem do brzegu.

– Niektórzy potrafią kochać tylko pieniądze – dodała Henny.

Kiedy Clausa-Josepha i Ansgara nie było z nami, lubiłyśmy tak sobie podyskutować. Zdarzało się, że wykorzystywałyśmy fragmenty tych rozmów w wypracowaniach dla pani Silberstein. Czasami z lepszym, czasami z gorszym skutkiem.

„Mądrze”, pisała pani Silberstein na marginesie.

Albo: „Wielkie słowa, mała myśl”.

– Serce i rozum nie muszą być wrogami – ciągnęła Henny. – Mogą iść pod rękę, wystarczy, że człowiek odważy się i pozwoli potoczyć się sprawom swoim torem.

– Ładne osoby nigdy nie rozumieją istoty miłości – zacytowałam. – Są skazane na przedmiotowe traktowanie. – A my obie jesteśmy ładne, czyż nie?

Zamyślona Henny kartkowała właśnie podręcznik gramatyki francuskiej. Następnego dnia miałyśmy mieć klasówkę, właściwie powinnyśmy zakuwać, ale zajęłyśmy się rozmową.

– Nieprawda – powiedziała w końcu Henny. – Jestem przekonana, że Tristram Singh jak mało kto jest zdolny do zrozumienia idei miłości.

– Ach tak? – zapytałam.

– Oczywiście – potwierdziła Henny.

– On wprawdzie ma cerę w kolorze jasnej miedzi, ale... – odpowiedziałam.

Henny w milczeniu patrzyła w okno. Wciąż był luty, lało już trzeci dzień z rzędu. Atmosfera robiła się coraz poważniejsza. Na swój sposób kleiła się do nas, a czas jakby się potknął.

– Poważnie rozważam rozstanie z Ansgarem – powiedziała w końcu Henny, wzdychając przy tym niezbyt naturalnie.

– Ja spławiłam Clausa-Josepha wczoraj – przyznałam się. Obie wybuchłyśmy śmiechem.

Rechotałyśmy bez końca. Padłyśmy sobie w ramiona i nie mogłyśmy przestać. Po policzkach ściekały nam łzy, podręcznik do francuskiej gramatyki spadł na podłogę, a my śmiałyśmy się, dopóki Henny nie rozboleł brzuch, a ja omal się nie posikałam.

– Agnes – powiedziała Henny – jesteś moją siostrą krwi. Nic nas nie może rozdzielić.

– Nic – przyznałam.

Do  
Agnes R.  
Villa Guarda  
Gobshejm

Grothenburg, 8 grudnia

Droga Agnes!

Ucieszyło mnie, że na poważnie zajęłaś się naszą sprawą (uważam, że jak najbardziej możemy użyć tego belgijskiego pistoletu, o ile tylko jesteś pewna, że działa i wiesz, jak go obsługiwać). Zmartwiło mnie natomiast to, że musimy się na serio zastanowić nad Twoim pytaniem z PS.

Bo przecież to właśnie podczas różnego rodzaju podróży David się z nią spotyka. Pojedyncze, namiętne noce w pokojach hotelowych. Niech mnie, Agnes, aż się trzęsę, kiedy o tym pomyślę! Miesiąc po miesiącu, przez te wszystkie lata zdążyli się już bzyknąć z tysiąc razy. Ostatnio zrozumiałam, że ten romans trwa dłużej, niż z początku sądziłam. Zastanawiam się (choć odganiam od siebie tę myśl), czy nie opowiedzieć dziewczynkom o ich ojcu. Takie tanie zachowanie! Taka banalna zdrada!

Ona mnie jednak w ogóle nie obchodzi. Może być zwykłą dziwką albo tak zwaną szanowaną kobietą. Jej motywy i pobudki są mi obojętne. I ona jest zapewne równie banalna jak on, ale ją zostawmy. To on ma umrzeć. Nie chcę nawet wiedzieć, kim ona jest.

Jak jednak poradzić sobie z tym, że ona może znajdować się na miejscu? Dzięki Bogu, pomyślałaś zawczasu, Agnes. Absolutnie nie chcę wykończyć także jej, bo – pomijając wszystkie możliwe komplikacje – podwójne zabójstwo, męża i jego kochanki – bez dwóch zdań skierowałoby wszystkie podejrzenia w moją stronę. Nie, Davida dosięgnie kara za jego czyny, jej się upiecze – co do tego nie ma się co wahać.

Z drugiej strony, nie powinnyśmy też mnożyć trudności. Jeśli uda Ci się zabić Davida zgodnie z planem, a na przykład właśnie ona znajdzie ciało, czyż to nie dodałoby smaczku naszej zemście? Wówczas będzie miała dobry powód, by stamtąd wiać. Czy może się mylę, Agnes? Gdybyś była kochanką żonatego mężczyzny i znalazłabyś go martwego w gnieździe miłości czy od razu zadzwoniłabyś na policję? Ujawniłabyś swoją tożsamość i stan rzeczy? Nie sądzę. Nie, im więcej o tym myślę, tym większej pewności nabieram, że nie mamy się czego bać ze strony tej kobiety. O ile tylko nie będzie ona naocznym świadkiem zabójstwa, jej ewentualna obecność za kulisami nie ma większego znaczenia i nie musimy się nią martwić. A – skoro już zaszłyśmy tak daleko – mimo wszystko nie powinno być trudno zaaranżować wszystko tak, by David był sam, kiedy będziesz do niego strzelać. Nie sądzisz? Bo to wcale nie musi się odbyć w pokoju. Może strzał w kark na ulicy w okolicach hotelu to równie dobry scenariusz? Schowałaśbyś pistolet do torebki i oddaliłabyś się spokojnym krokiem. W taki sposób można zastrzelić nawet premiera. Choć to tylko spekulacje, moja Droga. Czasami złości mnie, że ja sama nie będę mogła chwycić za broń, by wymierzyć mu sprawiedliwość.

Podsumowując, Agnes, rozważ te szczegóły i napisz mi, jakie jest twoje zdanie. Bez względu na wszystko teraz trzeba znaleźć dogodne miejsce i moment. Zakładam, że przystąpimy do dzieła dopiero jakiś czas po Nowym Roku, zerknęłam więc do kalendarza Davida i sprawdziłam, że

w styczniu i lutym ma on przynajmniej trzy dwu- lub trzydniowe wyjazdy służbowe. Sprawdzę daty dokładniej i opiszę je w następnym liście. Tu u nas w Grothenburgu zbliżają się święta, mamy więc na głowie zwykle sprawy rodzinne do ogarnięcia. Przyznaję, że cieszy mnie, że po raz ostatni.

Mam nadzieję, że pieniądze dotarły. Nie wiem, jak zrobimy z pozostałymi osiemdziesięcioma tysiącami. Zakładam, że ufasz mi tak samo, jak ja Tobie. Odnoszę wrażenie, że tych dziewiętnaście lat przebiegło jakimś innym torem, w jakiejś innej przestrzeni. Czy Ty też trochę tak czujesz? Z tęsknotą wyczekuję spotkania z Tobą, ale jak wspomniałam w poprzednim liście, musi minąć trochę czasu.

Później jednak, droga Agnes, będziemy chyba mogły pozwolić sobie na wspólnie spędzony tydzień bądź dwa tylko we dwójkę? Może jesienią zorganizujemy jakąś wycieczkę? Dwie wesołe wdówki nad Morzem Śródziemnym, przyznaj, że brzmi kusząco! Opieka nad dziewczynkami nie stanowi żadnego problemu. Mój brat (pamiętasz chyba Benjamina?) i jego rodzina chętnie się nimi zajmują. Mieszkają w Karlsruhe i czasami podsyłamy sobie nawzajem dzieci, choć jego synowie są, rzecz jasna, nieco młodszy.

Jak jednak pisałam, Agnes, przeczekajmy święta i zacznijmy działać w nowym roku. Baw się dobrze podczas tych wolnych tygodni (czy może w świecie akademickim jest to cały miesiąc?) i napisz!

Twoja wierna

Henny

Do  
Henny Delgado  
Pelikaanallé 24  
Grothenburg

Gobshejm, 10 stycznia

Droga Henny!

Przepraszam, że nie pisałam już od jakiegoś czasu, ale byłam poza domem. Tuż przed świętami kolega z katedry zaprosił mnie i nie mogłam odmówić. Spędziłam dwa tygodnie w Nowym Jorku. Jego siostra pracuje dla ONZ i ma mieszkanie na Manhattanie. Pojechałam tam w pierwszy dzień świąt i wróciłam do Gobshejm wczoraj późnym wieczorem. Doprawdy bardzo miło spędziłam tam czas. Miałam do dyspozycji trzypokojowe mieszkanie na Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy z widokiem na pokryty szronem Central Park. Teatry, kina, muzea i trochę zakupów. Tak, zdecydowanie musimy się razem wybrać na jakąś wycieczkę, jak proponujesz, Henny. Choć sama nie wiem, czy przypadkiem nie wolałabym dużego miasta... Barcelona lub Rzym, a może nawet kolejny raz Nowy Jork? No ale na to przyjdzie pora.

Przemyślałam te aspekty oraz kwestię ryzyka, które opisałaś ostatnio i w gruncie rzeczy we wszystkim się z Tobą zgadzam. Też nie uważam, byśmy samo zabójstwo musiały planować z tak dużym wyprzedzeniem,

zwłaszcza, że nie możemy wiedzieć, czy ta kobieta będzie w pobliżu, czy nie. Dla mnie jednak nie jest to jakiś poważny problem. Najważniejsze decyzje i tak trzeba będzie podjąć na miejscu. Nie da się bowiem przewidzieć, jakie dokładnie będą tam panować okoliczności. Musimy po prostu polegać na tym, że w kluczowym momencie wykażę się trzeźwym myśleniem oraz spokojem. I – zapewniam Cię, Henny – nie zdrzy mi ręką. Jeśli tylko znajdę właściwą okazję, to ją wykorzystam. Jeśli uznam, że ryzyko zdemaskowania sprawcy jest zbyt duże, powstrzymam się. Ale przecież zabicie człowieka zajmuje nie więcej niż jakąś sekundę, a bezpieczne ukrycie się po fakcie, pewnie niewiele dłużej.

Możesz więc na mnie polegać, droga Henny, poradzę sobie z tym zadaniem. Podaj mi po prostu kilka dat i miejsc do wyboru, a obiecuję Ci, że w następnym liście ode mnie, przeczytasz, ile Twojemu mężowi zostało dni.

Tak na marginesie, kiedy mnie tu nie było, w Gobshejm spadło trochę śniegu, a rzeka zamarzła. Jak jest w Grothenburgu?

Twoja ciekawa i oddana

Agnes

PS: i znów, kiedy wydawało mi się, że napisałam wszystko, do głowy przyszła mi myśl. Czy orientujesz się, czy jeszcze ktoś wie o zdradzie Davida? Jacyś przyjaciele, znajomi? Zdarza się przecież, że ludzie postanawiają przemilczeć takie informacje – kierowani źle pojętą troską, która – według mnie jest wyrazem tchórzostwa i oportunisty.

I czy ktoś wie, że odkryłaś zdradę? W tej chwili nie potrafię powiedzieć, czy te pytania są ważne, ale zawsze warto się nad nimi zastanowić.

Psy są niespokojne, zwłaszcza Wagner. Może zostawianie ich u państwa Barth na dwa tygodnie nie było najlepszym pomysłem, ale przecież jak dotąd zdawało to egzamin. Niewykluczone, że pewną rolę odegrał też brak Ericha. To pewnie ich skumulowana tęsknota doszła do głosu, kiedy i ja zniknęłam na dłuższy czas.

Ja sama złapałam się na tym, że tęsknię. Za Erichem. Przez ostatnie lata trudno mówić o jakimś uczuciu między nami i właściwie nigdy nie byliśmy sobie zbyt bliscy, ale zdarzały się nam miłe chwile. Późno sobie to uświadomiłam, może my, ludzie, potrafimy zrozumieć samych siebie dopiero retrospektywnie. Wybierając Ericha, nie stawiałam na płomienne uczucie, oczywiście że nie, ale przecież życie nie jest zbudowane tylko z takich elementów. Ich obecność może być realizowana w inny sposób, jak sądzę. Mogą przybrać formę... jak to wyrazić?... iluzorycznego cienia? Możliwości, które za kulisami czekają na wejście we właściwym momencie, jeśli do takiego dojdzie.

A dojść powinno.

Słowa. Jestem zmęczona. W Nowym Jorku miałam problemy z zaśnięciem. Można to pewnie złożyć na karb jet lagu, choć jest on bardziej dokuczliwy po locie w przeciwnym kierunku. Często budziłam się o trzeciej w nocy i godzinami nie mogłam zasnąć. Próbowałam czytać, ale koncentracja mnie zawodziła. Napisałam kilka listów do Henny, lecz wszystkie podarłam. Najczęściej kończyło się tak, że oglądałam kiepskie filmy w telewizji albo słuchałam płyt CD z przenośnego odtwarzacza.



Coltrane'a i Dextera Gordona, dwóch z ulubionych artystów Ericha, których od niego przejęłam. Siedziałam tak sobie ponad Central Parkiem, niedostępna dla świata, i próbowałam sobie wyobrazić, jak się to wszystko potoczy. Jak będzie wyglądać życie za trzy lub sześć, lub dwanaście miesięcy. Nie czułam niepokoju, teraz też nie czuję. Jedyne powstrzymywaną, jakby mimowolną fascynację. Nie sądziłam, że po raz kolejny będę musiała zabić, ale najwidoczniej w życiu obowiązują takie warunki – równie definitywne, co nieprzewidziane. To pewnie kolejne cienie zza kulis. Kiedy objawią się człowiekowi, nagle nie ma się wyboru. Kiedy już pojawią się na scenie, nic się z tym nie robi.

Do rozpoczęcia zajęć zostały jeszcze dwa tygodnie. Cudownie. Tej zimy odczuwam niezmierną potrzebę odpoczynku i czasu do refleksji. Prawie w ogóle nie spotykam się z ludźmi. Zamiast tego spędzam czas z psami, rozmyślając przy tym o moim ukochanym i o przyszłości.

\*\*\*

Siedziałyśmy właśnie przy stole w szkolnej kafeterii, kiedy zauważyłam, że Henny i Tristram Singh trzymają się za ręce. Był piątek na początku marca, słońce zaglądało do środka przez ukośne żaluzje, kładąc się pasami na włosach Henny oraz jej lewej łopatkę. Na stole stało pół tuzina filiżanek po kawie, a popielniczka była wypełniona petami. Obok leżały książki i porozrzucane karty do gry.

Trzymali swoje dłonie tak delikatnie, jakby nieśmiało. Chyba nie chcieli, by ktoś z nas to zauważył. Niemal chowali je pod stolikiem.

A może było na odwrót. Może chcieli, byśmy jednak to zobaczyli? Może stąd ta przybrana skromność?

Mnie na sekundę zakręciło się w głowie, potem nagle mnie mocno zemdliło. Odruch wymiotny, który przeszył moje wnętrze, był tak silny, że

ledwo co udało mi się go opanować. Szybko wstałam, moje krzesło się zachwiało i przewróciło na ziemię. Wybiegłam bez słowa.

W toalecie wyrzuciłam z siebie wszystko, co jadłam tego dnia, a wręcz wszystko, co jadłam przez całe życie, takie miałam wrażenie. Kiedy tak siedziałam na czworakach, dołączył do tego łupiący ból głowy. Ostry niczym brzytwa i palący.

– Co się ze mną dzieje?– pomyślałam.

Czy umieram?

To nie była śmierć, a coś innego. Śniłam potem o tych dwóch splecionych dłoniach, jednej białej, drugiej lekko brązowawej. Nie rozmawiałam z Henny od paru dni, co samo w sobie było dziwne. Po tym ataku, jaki naszedł mnie w kafeterii, leżałam w swoim pokoju. Nie wiem nawet, czy byłam chora, ale postanowiłam nie wstawać z łóżka. Kiedy Henny w końcu do mnie zadzwoniła, powiedziałam jej, że mam gorączkę. O nic jej nie pytałam, ale zorientowałam się, że Henny nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Mama posłała po doktora Moessnera, ale on niczego u mnie nie wykrył. Wstępnie zdiagnozował przeforsowanie i zalecił odpoczynek oraz soki owocowe.

W piątek, tydzień później, poczułam się lepiej i wróciłam do szkoły. Ominął mnie test z matematyki, ale nie był to koniec świata. Henny i kilkoro kolegów zapytało mnie, czy chcę wyjść z nimi wieczorem. Do Vlissingen, jak zwykle, a potem na koncert rockowy w klubie Embargo na Kleinmarkt. Odmówiłam, tłumacząc się przebytą chorobą. Cały dzień miałam na oku Henny i Tristrama, ale nie dopatrzyłam się żadnych uścisków dłoni i nie wyczułam żadnych niestosownych wibracji.

Mimo wszystko byłam oszołomiona i poruszona, czego prawie nie mogłam ukryć.

- Co z tobą? – zapytała Henny po ostatniej lekcji.
- Nic – odparłam. – Niczego sobie nie wyobrażaj.
- Nie wyobrażać sobie? – odparła Henny. – A co bym sobie miała wyobrażać?
- Nie nakręcaj się – powiedziałam.

Była to niesłychanie głupia rozmowa, ale prowadziłyśmy ją z poczucia obowiązku. Henny przez chwilę przypatrywała się swoim pomalowanym na ceglasty kolor paznokciom.

- To przez tę sytuację w kafeterii? – zapytała.
  - Nie rozumiem, o czym mówisz.
  - To nic takiego – dodała.
  - Co niby to nic takiego?
  - Nic – westchnęła Henny. – Nic jest niczym. Coś ty taka przewrażliwiona?
  - Byłam chora – odparłam.
- Henny zerknęła na zegarek i rozeszłyśmy się.

Tydzień później moja mama wyjechała na konferencję do Bodensee. Nie było jej od wtorku do czwartku. Zostałam sama w domu. W środę namówiłam Tristrama, by wpadł do mnie wieczorem i pomógł mi z matematyką. Tristram zaczął bowiem na poważnie brać udział już nie tylko w lekcjach angielskiego, ale i matematyki właśnie. Okazało się, że miał do tego głowę jak nikt z nas, nie podejrzewał więc, że, zapraszając go, miałam jakieś ukryte cele. Nic a nic. W końcu po tygodniowej nieobecności związanej z chorobą narobiłam sobie zaległości w nauce. O wyjeździe mamy powiedziałam mu dopiero, kiedy już siedział u mnie na sofie.

Uwiedzenie go zajęło mi trzy godziny, a wymagało to niemałego talentu aktorskiego, o który sama siebie nie podejrzewałam. Wypiliśmy butelkę

wina, którą wyciągnęłam z zapasów mamy w spiżarni. Nigdy wcześniej nikogo nie uwodziłam, dla mnie był to pierwszy raz.

Dla Tristrama też. Powiedział mi o tym po. Zauważyłam, że był zdenerwowany, ale namówiłam go, by został na noc. Jeśli jest się młodym Hindusem, to nie najlepszym pomysłem jest wracanie do domu w stanie upojenia alkoholowego i miłosnego, powiedziałam mu. Zadzwoił więc do mamy i przez dłuższą chwilę rozmawiali w niezrozumiałym dla mnie języku. Załapałam jednak, że skłamał. Pewnie powiedział, że jest u kolegi z klasy, bo uciekł mu ostatni autobus.

Rozkoszowałam się jego nagością; zarówno nagością jego duszy, jak i ciała. Tej nocy w ogóle nie spaliśmy. Dotykaliśmy się, tak jak można się dotykać tylko podczas pierwszego razu. Pierwszego i prawdopodobnie ostatniego. Kiedy naczynie i jego zawartość to jedno. Słowo i ręka. Myśl, usta i płeć. Obok paliła się świeca ustawiona w butelce. Tydzień później napisałam w wypracowaniu o płomieniu, który kładzie się blaskiem i cieniem, maluje wzory na miękkiej brązowej skórze.

„Uważaj”, zapisała pani Silberstein na marginesie.

Do końca semestru i do swojego powrotu do Delhi Tristram nie trzymał już dłoni. Ani moich, ani Henny. I niczyich innych. Ja i Henny unikałyśmy się nawzajem, ale kiedy już zaczęły się wakacje, pojechałyśmy razem na czarterową wycieczkę na Kretę. Pewnego wieczoru wylądowałyśmy w barze, upiłyśmy się na wesoło retsiną, po czym kochałyśmy się na plaży, pod gwiazdami – każda ze swoim dopiero co zapoznanym młodym Grekiem.

Do  
Agnes R.  
Villa Guarda  
Gobshejm

Grothenburg, 14 stycznia

Droga Agnes!

To świetnie, że byłaś w Nowym Jorku. Uwielbiam to miasto, mieszkaliśmy tam przez rok, kiedy dziewczynki były małe. David był wtedy na kontrakcie z CBS i Remingtons. Wynajmowaliśmy mieszkanie na Brooklyn Heights. Zgadzam się więc absolutnie co do tego, że musimy kiedyś spędzić razem tydzień w Wielkim Jabłku. Lub innej metropolii. Miejmy nadzieję, że już następnej jesieni lub zimy. Ach, ależ bym chciała już tam z Tobą być! I żebyśmy to wszystko było za nami – nie mam jednak żadnych wątpliwości co do tego, że nasz plan pójdzie, jak należy, i że wkrótce będziemy się mogły spotkać. Żadnych!

Mam też dobrą wiadomość. Otóż wydaje mi się, że znalazłam datę, która wydaje się bardzo obiecująca. Naturalnie do Ciebie będzie należeć ostatecznie słowo w tej kwestii, ale pozwól, że zaproponuję Ci weekend 14–16 lutego, kiedy to David będzie na międzynarodowych warsztatach dla producentów teatralnych (lub czymś w tym stylu) w Amsterdamie.

Ten właśnie weekend wydaje się tak odpowiedni dlatego, że i ja w tych dniach będę poza domem. Mój szef, doktor Höffner, żeby dać mi szansę rozwoju, wysłała mnie wtedy na seminarium dla tłumaczy w Instytucie SBS w Monachium. Tak jak David wyjeżdżam już w piątek po południu i wracam późnym wieczorem w niedzielę. Doprawdy trudno o lepszy zbieg okoliczności, nie sądzisz? Amsterdam od Monachium dzieli dobrych pięćset kilometrów. Lepszego alibi nie znajdę.

Sprawdziłam też – rzecz jasna za plecami Davida – w jakim hotelu będzie mieszkał. Nazywa się Figaro i leży niemal w samym centrum, przy Prinsengracht. Nie wiem jeszcze, gdzie dokładnie będą się odbywać warsztaty, ale jeśli przypadnie Ci do gustu ta propozycja, to oczywiście sprawdzę miejsce oraz pozostałe detale, które mogą nas interesować. Wszystko, co ułatwi Ci wykonanie zadania.

Załączam też zdjęcie Davida, w końcu minęło trochę lat, odkąd go widziałas ostatnio, a obawiam się, że czas odcisnął na nim swoje piętno. Brodę raz zapuszcza, potem znów goli. Podejrzewam, że ma to związek z ciągle towarzyszącym mu kryzysem wieku. Czasami chce wyglądać na dystyngowanego mężczyznę około czterdziestki, a czasem wydaje mu się, że znów ma dwadzieścia pięć lat. Cóż, faceci zawsze będą facetami, sama chyba wiesz.

Tak czy inaczej, jeśli zdecydujemy się na ten scenariusz – Amsterdam w połowie lutego – to przeleję Ci kolejnych trzydzieści tysięcy euro na konto. Zrobię to, jak tylko potwierdzisz, że się zgadzasz. Pozostałą sumą, czyli pięćdziesięcioma tysiącami, zajmiemy się po zabójstwie. Chyba takie właśnie zwyczaje obowiązują w tych kręgach, tak to w każdym razie wygląda na filmach. Połowa przy podpisaniu umowy, połowa po wykonaniu zadania – bo zgódźmy się, proszę, co do tego, że zachowamy się choć trochę jak profesjonalistki.

Jeśli chodzi o Twoje pytanie w PS. – czy, dokładniej rzecz ujmując, pytania – domyślam się, że o zdradzie Davida wie paru jego kolegów (rzecz jasna mężczyzn), sądzę jednak, że nikt z naszych tak zwanych bliskich znajomych nic o tym nie słyszał. I zapewniam Cię, że ani David, ani nikt inny nie ma najmniejszego pojęcia, że doszłam do tego, że ma romans. Jedną z wielu oznak próżności mężczyzn jest wiara w to, że łatwo jest nam mydlić oczy. W tym jednak przypadku gra to na naszą korzyść. Bowiem David, moja droga, niczego nie przeczuwa, będziesz mogła do niego strzelać jak do kaczki, jak to mówią.

Odpisz szybko i daj znać, czy mój zarys planu Ci odpowiada. Jeśli nie, oczywiście znajdziemy jakąś alternatywę. Jeśli jednak go zaakceptujesz, zostanie nam nie więcej niż miesiąc, co jak dla mnie jest wspaniałą perspektywą. Już od dawna wyobrażam sobie, że David nie żyje, a nie domyślasz się nawet, jaką próbą dla nerwów jest codzienna poranna konwersacja z trupem.

Poza tym wszystko się układa, mamy tu sporo śniegu.

Twoja Henny

Do  
Henny Delgado  
Pelikaanallé 24  
Grothenburg

Gobshejm, 22 stycznia

Droga Henny!

Dzięki za list. Amsterdam! To przezabawne, że akurat to miasto ma posłużyć za scenerię naszego małego dramatu. Pamiętasz, że byliśmy tam razem przez kilka dni podczas ferii wielkanocnych? Chyba w drugiej klasie liceum, bo Claus-Joseph i Ansgar też tam z nami pojechali. Ach, na pewno pamiętasz. To niewielkie schronisko na Ferdinand Bolstraat i wydmy przy Zandvort. Claus-Joseph był tak zazdrosny, że nie mogłam nawet spokojnie zamówić kawy u kelnera. To były czasy, Henny!

A może i nie.

No ale i w ostatnich latach byłam w Amsterdamie kilka razy, znam więc miasto nieźle. A i data pasuje mi idealnie. To początek semestru, nie będę jeszcze miała na głowie prac do sprawdzania. Planuję w piątek wziąć samochód, tak, bym miała dość czasu. Państwo Barth zajmą się psami. Zmyślę jakąś wymówkę usprawiedliwiającą weekendowy wyjazd. Oczywiście mnie alibi nie będzie raczej potrzebne, ale wolałabym nie zatrzymywać się w tym samym hotelu, co Twój mąż. Może znajdę coś



w pobliżu, w końcu wzdłuż Prinsengracht nie brak takich miejsc. I możesz być spokojna, wykonam zadanie w możliwie najlepszy i najefektywniejszy sposób. Prawdę mówiąc, nieco mnie to podnieca, co wydaje się trochę perwersyjne, prawda? Mimo wszystko teraz jakoś tak bardziej czuję, że żyję. Wybrałam się też do lasu i – by przygotować się na wszystkie ewentualności – wypróbowałam, czy broń strzela. Pistolet działał bez zarzutów, jedynym problemem może być to, że wystrzał jest dość głośny, ale mój Boże, huk w dużym mieście? Przecież równie dobrze może go spowodować zepsuta rura wydechowa albo cokolwiek. I bez względu na to, jakie miejsce wybiorę na dokonanie zabójstwa, oczywiście jak najszybciej po wszystkim się stamtąd ulotnię.

Ogólnie rzecz ujmując, droga Henny, nie widzę więc żadnego ryzyka. Jeśli tylko zaserwujesz mi więcej szczegółów na temat podróży twojego męża, obiecuję, że przeniosę go na łono Abrahama za – cóż, kiedy teraz patrzę w kalendarz stojący na biurku, widzę, że mówimy o zaledwie trzech tygodniach.

Poza tym uważam, że David postarzał się z jako taką klasą. Od razu rozpoznałam go na zdjęciu i jestem pewna, że zidentyfikuję go nawet w wersji bez zarostu (czyli w wersji na – dobre sobie – dwudziestopięciolatka, ach ta próżność!).

Może dobrze byłoby też, gdybym wkrótce dostała Twój numer komórkowy oraz adres Twojego hotelu w Monachium, bo chyba niegłupim pomysłem jest, bym powiadomiła Cię o skutku tego przedsięwzięcia jak najszybciej? To chyba wręcz niezbędne? Jakiś SMS lub inna wiadomość. Możemy opracować kod, bo chyba przyda nam się kanał komunikacyjny sprawniejszy od pisania listów, nie sądzisz?

No ale tego typu detale łatwo będzie ustalić kobietom naszego pokroju. Myślę też, że twój plan dotyczący strony finansowej brzmi przekonująco.

Musisz zrozumieć, jak ważne jest dla mnie to, bym mogła nadal mieszkać w moim domu, droga Henny. A doprawdy czekam na moment, kiedy będę mogła Cię tu ugościć, mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości.

Najpierw jednak podróż jesienią, jak ustaliłyśmy.

A zupełnie najpierw Amsterdam, 14–16 lutego!

Twoja oddana „siostra”

Agnes

– Jest czas na to, by żyć wspólnie oraz na to, by się rozstać.

Henny rzuciła mi spojrzenie znad filiżanki z kawą, uśmiechając się przy tym ni to na serio, ni to na żarty.

– Mam na myśli nas, Agnes – wyjaśniła.

Dopiero po skończeniu liceum oraz po wspólnych wakacjach na Krecie po raz pierwszy drogi moje i Henny się rozeszły. Pierwszego października Henny zapisała się na italianistykę na wydziale języków romańskich, ja już wcześniej dostałam się na literaturoznawstwo. Wpadłyśmy na siebie przez przypadek na Kloisterlaan i zaszłyśmy na kawę do kawiarni Kraus.

Wyprowadziłam się już z domu. Poszcęściło mi się, bo udało mi się wynająć kawalerkę przy Geigers steeg, rzut beretem od kościoła św. Stefana. Henny na pierwszym roku studiów wciąż mieszkała z mamą i bratem.

– Cóż, życie to nie wędrówka po otwartym polu – odparłam.

– Miło cię widzieć – dodała Henny. – Ale bardzo się spieszę.

Studia nabrały tempa. Ansgar i Claus-Joseph byli już przeszłością. Przez krótki czas spotykałam się z młodym Finem o imieniu Tapani. Był ładniutki i pięknie zbudowany, pod każdym względem, ale rzuciłam go przez mroczną melancholię, która dopadała go, kiedy tylko wypił kilka kieliszków. W październiku i listopadzie Henny zaliczyła krótki romans z żonatym mężczyzną. Rzecz jasna nie wiedziała, że miał żonę, dopóki owa żona nie przyłapała ich in flagranti i nie zaczęła ich okładać kijem golfowym. Po tym incydencie Henny postanowiła przez jakiś czas być

ostrożniejsza. Już na zawsze została jej po tym głęboka szrama tuż nad lewym uchem, ale nie było jej widać, no chyba że Henny postanowiłaby się ogolić na łyso.

– Czuwał nade mną mój anioł stróż – stwierdziła.

– Ot, miałaś farta – odparłam.

– Gdyby ta kobieta miała metalowy kij a nie drewniany, już bym nie żyła.

Na początku listopada dołączyłam do studenckiego teatru Trupa Thalii i niemal od razu dostałam dużą rolę w inscenizacji *Trzech sióstr* Czechowa. Grałam Maszę w ośmiu świetnie przyjętych spektaklach w grudniu i styczniu. Byliśmy amatorami, ale mimo to otrzymaliśmy dobre recenzje w dziennikach takich jak „Allgemeine” czy „Volktagesblatt”. Obaj recenzenci podkreślali, że moja kreacja była genialna. Kontynuowałam studia literaturoznawcze, ale w sekrecie snułam coraz poważniejsze plany, by wkrótce zdawać do akademii teatralnej. To było moje powołanie, czułam to. Uwielbiałam ten moment, kiedy kurtyna szła w górę, a człowieka oślepiały światła reflektorów. Kochałam poruszać ludzi w sposób, w jaki można to robić jedynie w magicznej przestrzeni teatru.

Dziesiątego stycznia moja mama wyszła za swojego szefa, doktora Oldenburga, dentystę. Sprzedała mieszkanie na Wolmarstrasse i wprowadziła się do jego domu w Grafenswaldzie. Tego wieczoru, kiedy ciężarówka z jej rzeczami wyruszyła z miasta, zadzwonił mój ojciec i oznajmił, że ma raka jąder.

– Obu? – zapytałam.

– Obu – odparł. – Całe jaja mam zajęte.

Był głuchy na słowa pociechy, ale zrobiłam wszystko, żeby jakoś go uspokoić.

Trupa Tahlii istniała od osiemnastego wieku, a w roku 1983 minęło dwieście lat, odkąd wystawiono ich pierwsze przedstawienie, *Ofiarę* Simsona de Staëla. Z tego powodu, ale też na fali sukcesu inscenizacji Czechowa, władze uniwersytetu przeznaczyły środki na to, by obchody jubileuszu mogły przybrać godną, prawdziwie artystyczną formę. Zarząd naszej grupy omawiał możliwość ponownego wystawienia sztuki de Staëla, jednak tekst uznano, całkiem słusznie, za przestarzały. Zamiast tego postanowiono więc wynająć profesjonalnego reżysera, który przygotuje inscenizację Szekspira. Grupa spotkała się na początku lutego. Nasz lider, Marcus Rottenbühle, prawdziwy artysta, na co dzień docent na wydziale filozofii, oznajmił zadowolony, że udało mu się zatrudnić Davida Goschmanna z Monachium i aktora Roberta Kauffnera, którzy przeniosą na deski naszego teatru *Króla Leara*.

David Goschmann był charyzmatycznym reżyserem. Mimo młodego wieku wyrobił sobie solidną pozycję, a to za sprawą mocnych inscenizacji klasyków w Monachium. Przygotował też kilka nowych sztuk dla teatru telewizji, tak więc Rottenbühle nie posiadał się z dumy, że udało mu się złapać na haczyk taką rybę.

Robert Kauffner też był legendą.

– *Król Lear* – oznajmił Rottenbühle, szarpiąc się za szpakowatą brodę. – Sztuka nad sztukami! Około dziesięciu ról plus Kauffner. Idealna dla nas.

– Jak obsadzimy te role? – zapytał Erwin Finckel, który w *Trzech siostrach* grał Tuzenbacha.

– Obsadą zajmie się Goschmann – wyjaśnił Rottenbühle. – Zorganizuje klasyczne przesłuchanie. Oczywiście najważniejsza jest Kordelia, choć wszystkie role mają znaczenie. Błazen. Gloucester. Edward i Edmund.

– Goneryla i Regana – dodałam.

– Naturalnie – zgodził się Rottenbühle. – To istotne role kobiece, wymagają dokładnego przygotowania.

Ja już jednak podjęłam decyzję.

Postanowiłam grać Kordelię i nie miałam zamiaru pozostawiać nic przypadkowi.

Do  
Agnes R.  
Villa Guarda  
Gobshejm

Grothenburg, 30 stycznia

Droga Agnes!

Zatem postanowione! Nie przeczę, że odczuwam podniecenie, które trudno mi ukryć. Jeśli wszystko pójdzie, jak powinno, za dwa tygodnie David umrze – dobrze się składa, bo dziewczynki w kolejnym tygodniu będą miały krótkie ferie. Dzięki temu nie będą musiały tak bardzo zarywać szkoły.

Wczoraj, kiedy jedliśmy śniadanie, nagle dopadła mnie myśl, że on coś podejrzewa. Nie denerwuj się jednak, droga Agnes, nie chodzi mi absolutnie o to, że David dowiedział się w jakiś sposób o naszych planach, to było coś innego. Jakby dopadła go świadomość nadchodzącej śmierci. Czy nie jest tak, że zwierzęta (a zakładam, że także ludzie) przeczuwają, kiedy zbliża się ich kres? Wydaje mi się, że nie tak dawno temu czytałam o tym fenomenie w jakimś magazynie. David siedział całkiem spokojnie, popijając poranną kawę, z gazetą opartą o toster, tak jak to zwykle robi, ale nagle podniósł wzrok i przez kilka sekund patrzył na mnie z wyjątkowym

wyrazem w oczach. Potem się uśmiechnął i powiedział, że kocha mnie mimo wszystko i że powinnam pomyśleć o sobie.

Mimo wszystko, powiedział.

Zapytałam, dlaczego tak się wyraził i co miał na myśli, mówiąc „mimo wszystko”. Jednak on posłał mi znów ten poważny uśmiech i wtedy Rea przewróciła swoją szklankę z sokiem i wrażenie prysło.

Było jednak silne, Agnes, i nie mogłam o nim zapomnieć przez cały dzień. Być może jednak po prostu chodzi o to, że swego rodzaju smutkiem napawa mnie fakt, że sprawy muszą potoczyć się tak, a nie inaczej. Nie pomyśl tylko sobie, droga Agnes, że zaczynam się rozmyślać. Przeciwnie, jestem od tego daleka, ale w gruncie rzeczy to żadna przyjemność być zmuszoną do pozbycia się człowieka, u boku którego, kiedyś planowało się spędzić resztę życia.

Warunki są jednak takie, a nie inne, a kiedy pomyślę, jak on się zachował, ogarniają mnie zgoła inne odczucia. Niech ginie, świnia, myślę i znów do mego wnętrza zakrada się podniecenie. Ach, Agnes, dwa tygodnie!

Teraz muszę jednak odłożyć na bok przyływ emocji i skupić się na nieco praktyczniejszych kwestiach. W ostatnich dniach zaczęłam się zastanawiać, jaki tok myślenia obierze policja, kiedy znajdzie ciało Davida. Będą się przecież zastanawiali nad motywem, nad tym, co kryje się za jego śmiercią? Chyba musimy się nad tym nieco pochylić, Agnes. Czy nie powinniśmy zaaranżować wszystko tak, by wyglądało na coś, czym nie jest? Tak na wszelki wypadek. Innymi słowy, czy nie powinniśmy przygotować jakiegoś motywu dla policji? Myślę, że powinniśmy, a jedynym rozwiązaniem, jakie przychodzi mi do głowy, jest zabójstwo na tle rabunkowym. Taka opcja w każdym razie wydaje się najprostsza. Jeśli tylko, zastrzeliwszy Davida, uwolnisz go od jego portfela i rolexa, to



sprawa będzie załatwiona. Policja uzna, że sprawcą był jakiś gnany wiatrem biedak, który potrzebował pieniędzy, może narkoman. Bo i czemu nie mieliby w to uwierzyć? Zwłaszcza, że nie mają powodu niczego podejrzewać.

Zgadzasz się ze mną, Agnes? Mnie nie wydaje się to szczególnie problematyczne. W jakich okolicznościach byś go nie zastrzeliła (w pokoju? w ciemnej ulicy?), kwestią kilku sekund będzie wsunięcie ręki do jego wewnętrznej kieszeni i wyciągnięcie portfela. Zegarek Davida zaś naprawdę rzuca się w oczy, doprawdy dziwne byłoby, gdyby złodziej go zostawił. Szybko się go jednak zdejmuję, tak więc nie musisz się niepokoić, Agnes. Jeśli natomiast wyjdzie tak, że David będzie się znajdował w łóżku, kiedy Ty będziesz czynić swoją powinność, to z pewnością wcześniej odłoży portfel i zegarek na szafkę nocną. Zawsze tak robi.

Cóż, możesz przemyśleć tę kwestię. Daj znać, co o tym sądzisz. Teraz jednak przejdźmy do czegoś innego – do szczegółów wyjazdu Davida do Amsterdamu! Otworzyłam po prostu jego skrzynkę mailową i znalazłam program, który mu wysłali. Udało mi się to bez problemu.

Cała konferencja będzie miała miejsce w jakimś Instytucie Nielsa Frankego, czy może Instytucie Frankego, który znajduje się w centrum, na brzegu parku Vondel. Rozpocznie się od jakiegoś powitania pomiędzy osiemnastą a dwudziestą w piątek wieczorem. Czyli czternastego. Uczestników będzie osiemdziesięcioro dwoje, a po rozpoczęciu odbędzie się kolacja w instytucie, domyślam się więc, że David wróci do hotelu (Figaro przy Prinsengracht 112, jak już pisałam w poprzednim liście) dość późno. W sobotę będą mieli obrady od dziesiątej do osiemnastej, potem kolacja, a w niedzielę od dziesiątej do piętnastej. Naturalnie David spotka się też z kolegami i pewnie wybiorą się do jakiegoś baru w piątek lub

w sobotę wieczorem... o ile oczywiście nie planuje spotkania z kimś innym!

I o ile ktoś jeszcze inny go jeszcze nie ukatrupi. Nie wiem, droga Agnes, jak najlepiej będzie Ci przystąpić do pracy. Ani kiedy. Może będziesz musiała go trochę śledzić, siedzieć wieczorami w samochodzie i wyczekiwać go przed tym instytutem? W tej kwestii nie mogę Ci za bardzo pomóc, liczę jednak, że opracujesz jakiś plan. Być może, mimo wszystko, najprościej będzie, jeśli ukryjesz się w hotelu i tam się na niego zaczaisz? Na ile jest to prosty, a na ile ryzykowny plan? Nie wiem, jak duży jest hotel Figaro. Im większy, tym lepiej, jak sadzę. Twoim zadaniem będzie to sprawdzić. Jestem w każdym razie pewna, że w piątek David przyjdzie się zameldować, zanim ruszy do instytutu Frankego. Będzie jechał pociągiem i do Amsterdamu dotrze już o 15.15 – na jego mailu znalazłam też potwierdzenie z biura podróży. Być może nie byłoby głupim pomysłem, żebyś Ty też tam była o tej porze? Może uda się uderzyć już wtedy?

Jak już jednak mówiłam, nie będę się wtrącać w samą realizację. To Twoja robota, Agnes, i liczę, że załatwisz wszystko jak najlepiej. Tak jak uzgodniłyśmy, wpłaciłam kolejne trzydzieści tysięcy euro na Twoje konto. Przyszło mi wprowadzić do głowy, że może trudno byłoby Ci wytłumaczyć, skąd wzięły się te sumy, ale przecież nigdy nie znajdziemy się w sytuacji, w której byłoby to konieczne. Nie ma przecież nic, nic a nic, co mogłoby łączyć Ciebie z Davidem. Na tym przecież zasadza się nasz pomysł.

Uświadomiłam sobie też, że nie zdążymy wymienić zbyt wielu listów przed samym zabójstwem – prawdopodobnie po jednym od każdej z nas – i masz absolutną rację, proponując, byśmy w *ten weekend* miały dostęp do jakiegoś szybkiego środka komunikacji. Zarezerwowałam pokój w hotelu Regina w Monachium. Leży na Hildegardstrasse niedaleko Marienplatz.

Mój telefon komórkowy to: 069-1451452. Mam też propozycję: jeśli uda Ci się wykonać zadanie, zadzwonisz do mnie i przekażesz mi jakąś zmyśloną wiadomość, sama możesz zdecydować jaką. Nie zapomnij jednak przekazać mi jej dokładnej treści w kolejnym liście!

Jeśli z jakiegoś powodu natrafisz na trudności, powiesz mi coś innego, a jeśli będziesz chciała, żebym to ja zadzwoniła, do wiadomości dodasz coś jeszcze. (To dziwne, że jak dotąd ze sobą nie porozmawiałyśmy, po całej tej wymianie korespondencji i omawianiu planów. Jakże miło będzie znów usłyszeć Twój głos!).

Co zatem myślisz? Prosto i sprytnie, czyż nie? W następnym liście, który – jak sądzę – będzie ostatnim (a może przedostatnim?) przekaż mi swoje trzy zakodowane wiadomości, jedną na „ok, wszystko gotowe”, jedną na „kłopoty!” i jedną na „zadzwoń!”.

Co poza tym, Agnes? Dzień powszedni. Życie toczy się swoim utartym rytmem. Obie dziewczynki dopadła grypa, ale mnie i Davida choroba ominęła.

Śnieg wciąż leży.

Odezwij się szybko.

Najlepszego

Wierna Henny

PS: Co zrobimy z listami? Nazbierało się ich trochę; jakoś nie mam serca ich palić, ale może to najrozsądniejsze rozwiązanie?

Do  
Henny Delgado  
Pelikaanallé 24  
Grothenburg

Gobshejm, 2 lutego

Droga Henny!

Dziękuję za Twój długi list. Tak, Noc D (dzień?, poranek?) zbliża się wielkimi krokami. Tak samo jak i Ty, czuję podniecenie, choć jednocześnie, w głębi ducha, jestem spokojna. Być może to dlatego, że w przeciwieństwie do Ciebie, Henny, nie jestem tak emocjonalnie zaangażowana w tę sprawę. Mam do wykonania misję, robię przysługę dobrej przyjaciółce i otrzymam za to zapłatę. Nic ponad to. Musimy pamiętać, że każdego dnia w Europie morduje się tysiące ludzi. David będzie zaledwie ułamkiem w statystykach.

Jednocześnie jednak musimy postępować z największą rozwagą, dziękuję zatem za wszystkie ważne informacje, jakie przesłałaś. Moim zdaniem, będę miała sporo możliwości do wyboru. Pojadę do Amsterdamu już w czwartek wieczorem (na szczęście w piątek nie mam zajęć, już się dogadałam z państwem Barth, z chęcią zajmą się psami – ich nastoletnie córki uwielbiają Wagnera i Bartoka), tak więc zdążę zrobić mały rekonesans i będę na miejscu, kiedy David zawita na dworzec centralny. Zarezerwowałam sobie pokój w pobliżu Leidse Plein, kiedyś już tam

mieszkałam. Sprawdziłam na mapie – hotel leży zaledwie kilkaset metrów od Figaro.

Właściwie to znam też Instytut Frankego, jakieś dziesięć, dwanaście lat temu byłam tam na kursie. Jeśli się nie mylę, współpracują z naszym uniwersytetem.

Co do pomysłu z zabójstwem na tle rabunkowym, całkowicie się z Tobą zgadzam. Bezsprzecznie musimy zaaranżować to tak, by policja nie miała wątpliwości. Co mam zrobić z portfelem i rolexem? Chcesz je dostać z powrotem czy bezpieczniej będzie, jeśli się ich pozbędę? To zabawne, ale mój mąż też miał rolexa (o którego, o dziwo, jego zachłanny syn jeszcze się nie upomniał), a mnie doprawdy dwa nie będą potrzebne.

Największą frajdę sprawiło mi rozmyślanie nad szyframi. Zgadzam się bez dwóch zdań, że potrzebujemy trzech haseł, jak zasugerowałaś, i doprawdy miło z Twojej strony, że pozwoliłaś mi zająć się ich opracowaniem. Proszę zatem, oto one:

1) Jeśli David będzie martwy, a wszystko pójdzie w porządku: *Dzień dobry, Georg. Tu ciocia Beatrice. Chciałam ci tylko powiedzieć, że te czarne malwy są zamówione i opłacone i przywiozq je we wtorek. Nie musisz oddzwaniać, szkoda pieniędzy na telefony!* (Rzecz jasna będzie to niby-pomyłka, jak dwa pozostałe połączenia.).

2) Jeśli coś nawali, ale nie będzie potrzeby, byś się ze mną kontaktowała: *Cześć kochanie! Tu Maud. Troszkę się spóźnię, ale kiedy wrócę, możemy skoczyć coś zjeść na miasto. Buziak!*

3) Jeśli będziesz musiała do mnie zadzwonić: *Dzień dobry! Tu Urząd Skarbowy. Bardzo prosimy zadzwonić do inspektora Hilmersa pod numer 1716 646 960. Dziękuję!*

Sprytnie, co? No i ty oczywiście też musisz mieć mój numer komórkowy, przełączę od razu do inspektora Hilmersa: 069 646 6171!

Cóż, droga Henny, to by było na tyle. Za jedenaście dni wsiądę w samochód i udam się do Amsterdamu. Mam nadzieję, że wcześniej zdążymy korespondencyjnie wymienić kilka zdań, choć jeśli o mnie chodzi, nie uważam, by było jeszcze coś do przedyskutowania. Jestem przekonana, że wszystko pójdzie jak po maśle i – zgodnie z Twoim życzeniem wyrażonym w jednym z wcześniejszych listów – Twój mąż będzie leżał w grobie na długo przed Wielkanocą.

Aha, omal zapomniałam – dziękuję za pieniądze. De facto na uporządkowanie kwestii posiadania domu potrzebuję nieco ponad osiemdziesiąt tysięcy, ale pozostała suma przyda się niewątpliwie na naszą jesienną podróż. Nieprawdaż? Nawet się nie domyślasz, jak bardzo jej wyczekuję.

Mam nadzieję, że dalej będziesz się opierać chorobie. Tu, w Gobshejm grypa jeszcze nie dała o sobie znać w tym roku, ale nigdy nie można być pewnym, czy nie zaatakuje.

Twoja wierna przyjaciółka

Agnes

PS: Co do listów – obawiam się, że musimy zrobić, jak proponujesz. Powinnyśmy je spalić. Możemy chyba jednak poczekać z tym do końca, ja tak bardzo lubię przeglądać, co napisałaś.

Ten ogromny strach.

Dopadł mnie, kiedy jechałam do domu z H-berga. Niemal fizyczne odczucie czegoś wielkiego i niepowstrzymanego. Było tak intensywne, że zabrakło mi tchu, musiałam zatrzymać samochód i wysiąść na chwilę. Stałam chwilę, popalając papierosa, mimo że mżyło, i próbowałam się uspokoić.

Znalazłam się na obrzeżach miejscowości Worms, przede mną rozciągała się dolina, a za moimi plecami stał kamienny kościół. Nad okolicą unosiła się mgła, półmrok ustępował miejsca ciemnościom. Nieco wyżej, pod skalną ścianą ktoś ciął sosny piłą motorową, a po przykościelnym cmentarzu spacerował jakiś mężczyzna z łopata opartą o ramię.

Tkwiłam przy samochodzie, starając się zrozumieć, co mnie trapi. Czułam, że otaczają mnie znaki, których nie rozumiem: kościół, samochód, mężczyzna, łopata, mgła, mrok, dźwięk, chłód.

Może jednak chodziło po prostu o osamotnienie. Osamotnienie w czekającym mnie przedsięwzięciu. Muszę przecież dokonać wszystkiego sama. Nie będę mogła z nikim porozmawiać, nawet z nim, a skąd mam wiedzieć, że dobrze ocenię sytuację? No skąd?

Po wszystkim też nie będę mogła z nikim pogadać. Nikt mi nie potwierdzi, że dobrze zrobiłam, a skąd mogę mieć pewność, że będę potem umiała z tym żyć? Że się nie załamie, kiedy okaże się, że wszystko poszło na marne?

I co sądzić o tym nagłym napadzie strachu? Słabości. Jeśli to tylko chwilowe, dobrze, że starałam się go zwalczyć, ale co jeśli się okaże, że to coś trwałego?

Jeszcze nie było za późno, jeszcze można było zawrócić. Tak sobie w każdym razie wmawiałam, bo tak naprawdę nie udałoby mi się przecież uniknąć konsekwencji, gdybym się wtedy wycofała. Od dłuższego czasu szłam tą jedną drogą. Tygodniami, miesiącami.

Nocami.

Zgasiałam peta. Wciąż w ciele czułam niepokój, nachodził mnie niczym mdłości lub zbliżająca się gorączka. Zobaczyłam, że pub jest otwarty, tam więc skierowałam swoje kroki. U pana Kammerera zamówiłam kieliszek czerwonego wina i przysiadłam w rogu z gazetą.

Może to przez te listy. Pod koniec stało się to prawdziwą męczarnią. Nie dlatego, że musiałam czytać jej słowa, ale dlatego, że musiałam napisać swoje. Ostatni list tworzyłam po pijaku, był to jedyny sposób, by pokonać niechęć. Podejrzewam, że następnym razem będę musiała skorzystać z tego samego środka. Najpewniej będzie to ostatni list, na więcej nie będzie czasu.

Wypiłam łyk wina i zapaliłam papierosa. Pan Kammerer podszedł, żeby napełnić mi kieliszek, ale podziękowałam. Nie potrzebowałam więcej. Tych kilka kropel alkoholu wystarczyło, bym na powrót poczuła się normalnie. Może to wcale nie taka groźna sytuacja? Zapłaciłam, podziękowałam i w ciemnościach wróciłam do samochodu. Deszcz przybrał na sile tak, że po przejściu paruset metrów solidnie zmokłam.

Po powrocie do domu przygotowałam na następny dzień zajęcia o siostrach Brontë. Przejrzałam na szybko *Wichrowe wzgórza* i chwilę snułam dywagacje na temat konfliktu miłości i moralności.



Pomyślałam, że to tak różne kategorie, że właściwie nie można ich ze sobą zestawiać. A mimo to ludzie wciąż to robią. A na jakim polu, przy zachowaniu zasad *fair play*, szachista miałby się spotkać z sumitą? Porównanie było tak dziwne, że aż sama się do siebie uśmiechnęłam.

Nie da się skrzyżować kaczki z rybą, dodałam w myślach.

Jesteśmy planszami i pionkami, które zmierzają do swojego z góry przesądanego kresu. O ile tylko zdecydujemy się grać do końca, i to właśnie w tej kwestii mamy jedyną możliwość wyboru. Grać albo nie grać.

Tego wieczoru z powodu deszczu zabrałam psy jedynie na krótki spacer. Wypiłam dwa kieliszki wina i już o jedenastej leżałam w łóżku. Modliłam się, żeby nic mi się nie śniło.

\*\*\*

– I cóż takiego wyjątkowego jest w *Królu Learze*?

Skończyłyśmy pływać i usiadłyśmy w saunie. Henny uniosła piersi, przyjrzała się im i przez chwilę ważyła je w dłoniach.

– Lewa jest większa od prawej, co nie?

Jeszcze sekundę się nad tym zamyśliła, po czym puściła piersi.

– Przepraszam, więc dlaczego ta sztuka jest tak nadzwyczajna? Nigdy jej nie widziałam.

– Nie trzeba jej widzieć – odparłam. – Wystarczy ją przeczytać.

– Czytać też jej nie czytałam. I co, uważasz, że jestem ignorantką?

– Nie bardziej niż zazwyczaj – odpowiedziałam przyjaźnie. – Dolej, proszę, wody. Chyba nie ma sensu, żebyśmy tu marzły. A sztuka opowiada o starym mężczyźnie i jego trzech córkach.

– Tyle akurat wiem.

– Dwie z nich są żądnymi władzy egoistkami, trzecia jest dobra.

– Kordelia?

– Tak. Stary Lear dzieli swoje królestwo pomiędzy córki, ale jest próżny i największą część chce dać tej, która najlepiej wyrazi swoją miłość do niego. Kordelia go kocha, ale mówi o tym skromnie, więc nie dostaje niczego, tym samym życie biednego króla spoczywa w rękach dwóch pozostałych córek. Odręca dobrą Kordelię i to początek jego końca... Finałowa scena z szalonym królem i martwą Kordelią to najmocniejszy moment, jaki można przedstawić na scenie.

– Martwą?

– Tak.

– I to ją chcesz grać? Dobrą martwą córkę?

Pokiwałam głową. Wytłumaczyłam, że Kordelia umiera dopiero na końcu.

– To wiele dla ciebie znaczy?

Popatrzyłam na nią zirytowana. Henny znów zaczęła sobie obmacywać piersi.

– No jasne, że to wiele dla mnie znaczy! – odpowiedziałam. – Po co miałabym się angażować w coś, co nie jest dla mnie ważne? Jeśli uda mi się zagrać Kordelię u boku Kauffnera i dobrze mi pójdzie, będę miała motyw, by dalej iść tą drogą. By potraktować moje plany na serio.

– Chodzi ci o karierę aktorską?

– Nie, karierę hydraulika.

– Hm, ale nie ty jedna chcesz dostać tę rolę?

Westchnęłam i zamyśliłam się. – Jasne, że nie. Swoją drogą zabawne, że znów będziemy grać trzy siostry. Najpierw Czechow, teraz Szekspir. Zarówno Renate, jak i Ursula, które grały Olgę i Irinę, też chcą dostać rolę Kordelii, każdy by chciał. Zdaje się, że konkurentek jest nawet więcej. Z jakiegoś powodu w trupie pojawiły się nowe osoby.

– Rozumiem – odparła Henny po chwili milczenia. – Ten Goschmann i Kauffner to jakieś ważne postacie, tak?

– Jakby.

– A jak wygląda sama... jak to się mówi... procedura doboru?

– Przesłuchanie – sprecyzowałam. – Dostaliśmy do przećwiczenia dwie sceny. Jedną z początku, drugą bliżej końca. Za dwa tygodnie Goschmann będzie nas przesłuchiwał przez cały dzień.

Wyszliśmy z sauny i poszliśmy pod prysznic. Zauważyłam, że Henny nad czymś się zastanawiała, chyba zrozumiała wagę sytuacji. Zmrużyła oczy i zaczęła ssać kosmyk włosów, jak to miała w zwyczaju, odkąd była jedenastolatką. Pomyślałam, że znam ją lepiej, niż ona sama siebie.

– Czy mogę jakoś pomóc? – zapytała, kiedy już przeszliśmy do przebieralni.

– Dzięki, owszem – odparłam. – Potrzebuję kogoś, przed kim mogłabym czytać i grać.

– Myślisz o mnie? – nagle Henny infantylnie się zaśmiała.

– O tobie. Zaczynamy dziś wieczorem. Mamy czternaście dni.

– *Teraz z kolei ty, moja pociecho* – zadudniła Henny. – *Chociaż ostatnia, nie mniej przecie droga, o której młodą ubiega się miłość, wino francuskie i burgundzkie mleko, co powiesz ojcu, by sobie zapewnić trzecią, bogatszą niż sióstr twych dzielnicę?* <sup>1</sup>

– *Nic* – odparłam.

– *Dobrze* – powiedziała Henny.

– *Nie masz komentować moich odpowiedzi* – zwróciłam jej uwagę. – *Masz ze mną odgrywać tę scenę.*

– *No wiem, wiem. Zacznijmy tu... co powiesz ojcu, by sobie zapewnić trzecią, bogatszą niż sióstr twych dzielnicę?*

– *Nic* – powtórzyłam.

– *Nic?*

– *Nic, ojciec.*

Henny prychnęła. – *Z niczego nic rośnie. Przemów raz jeszcze.*

– *Ach, ja nieszczęśliwa* – odparłam, opuszczając oczy – *nie mogę serca mego do ust podnieść! Kocham cię, panie, jak powinność każe, ni mniej, ni więcej.*

– *A to dobre* – wtrąciła Henny. – *Nie mogę serca mego do ust podnieść! Świetne!*

– *Wiadomo, że świetne.* – Zirytowałam się. – *To Król Lear. To Szekspir.*

– *No wiem przecież. Przepraszam. Powtórzmy ten fragment, nie będę już przerywać.*

– *Od początku* – powiedziałam.

Chodzimy na basen trzy razy w tygodniu. A po pływaniu ćwiczymy. W czasie tych dwóch tygodni wyszło nam sześć spotkań. Akt I, scena 1 i Akt IV, scena 7. W tej drugiej Henny odgrywa zarówno Kenta, jak i Leara. Już po drugiej czy trzeciej próbie znamy nasze kwestie na pamięć. Domyśliłam się, że Henny musi też ćwiczyć sama w domu.

Stopniowo zaczęła też udzielać mi rad.

– *Delikatniej* – mówiła. Według mnie powinnaś mówić tak bezdźwięcznie, jak się tylko da.

– *Bezdźwięcznie?* – zdziwiłam się.

– *O tak* – odparła. – *Miłosierny Boże, napraw ten wielki wyłom w jego duszy! Wróć ład do myśli dziko rozstrojonych ojca na dziecko teraz zmienionego!*

Nawet moje kwestie znała na pamięć.

– *Ona błaga Boga, mimo że i tak nie ma śmiałości wierzyć, że coś to da. Musisz mówić tak cicho, jak tylko potrafisz. Choć oczywiście musi cię być*

słyszeć.

Przemyślałam jej słowa i spróbowałam.

– Dobrze – pochwaliła Henny. – O wiele lepiej. Nie wiedziałam, że ten cały teatr to taka dobra zabawa.

Powtarzałyśmy kwestie bez końca. Kiedy uznawałyśmy, że słowa i intonacja są w porządku, brałyśmy się za mimikę. Henny podchodziła do naszych prób entuzjastycznie i ciągle miała jakieś pomysły. Dzień przed przesłuchaniem skończyłyśmy ćwiczenia po północy. Przymierzyłam też sukienkę, którą miałam zamiar włożyć: prostą, białą, bawełnianą, ale tak długą, że mogłam w niej chodzić bosą i nikt by się nie zorientował. Nie wiedziałam, czy Goschmannowi spodoba się ten pomysł, ale stojąc na scenie, chciałam czuć deski pod stopami. To daje moc, którą czuć aż w strunach głosowych.

– Musimy już kończyć – powiedziałam. – Na przesłuchanie wchodzę pierwsza. O jedenastej. A muszę jeszcze umyć głowę.

– Tylko pamiętaj, koniecznie rozpuść włosy.

– Jesteś pewna?

– Na stówę – przytaknęła Henny. – Tak ci najładniej. A uroda i dobroć powinny iść w parze, jeśli to możliwe.

Zabrzmiało to jak jedna ze złotych myśli, które wypisywałyśmy w wypracowaniach dla pani Silberstein. Uściskałyśmy się na pożegnanie.

– Powodzenia – powiedziała Henny. – Daj z siebie wszystko, ale bądź pokorna. Trzymam kciuki.

– Przyda się – odparłam. – Należą ci się ogromne podziękowania za pomoc, Henny.

Do  
Agnes R.  
Villa Guarda  
Gobshejm

Grothenburg, 10 lutego

Droga Agnes!

Dziękuję za list, jak dobrze było go przeczytać. Niestety nie będzie ich już więcej i – co doprawdy napawa mnie smutkiem – nadeszła pora, by spalić naszą korespondencję. Dziś wieczorem przeczytałam jeszcze raz wszystkie Twoje listy – razem jest ich dziewięć. David jest na jakimś spotkaniu, a dziewczynki śpią. Zanim jednak wrzucę listy do ognia, czekam na jeszcze kilka wersów od Ciebie. Myślę sobie, że pewnie odezwiesz się tuż przed wyjazdem do Amsterdamu. Będziesz tak miła i prześlesz mi pisemne pozdrowienia do czwartku, tak bym mogła odczytać je, zanim wyruszę do Monachium? Wyjeżdżam o piętnastej w piątek.

Dostałam już program dni tłumacza (jak je nazwano); późno je wysłali, ale chyba nie ma to większego znaczenia. W każdym razie będę zajęta przez całą sobotę i niedzielę (jak się zapewne domyślasz, chodzi mi o moje alibi). Za to na piątek wieczorem niczego nie zaplanowano, dlatego dopilnuję, by recepcjoniści zwrócili na mnie uwagę. Może w pobliżu będzie jakaś restauracja, w której będę mogła spędzić kilka godzin.

Na wypadek, gdybyś przystąpiła do akcji już tego pierwszego wieczoru.

Tak, Agnes, bądź tak miła i napisz do mnie choćby kilka słów. Teraz o niczym innym już nie myślę. Dziś poniedziałek, za tydzień o tej porze będzie po wszystkim. Dziwne, ale zarazem wyzwalające uczucie. Dziś, mijając sklep Kemperlinga (pamiętasz, ten przy placu Grote obok Krausa), na wystawie zauważyłam czarną sukienkę. Jeśli jej nie sprzedadzą, w przyszłym tygodniu wybiorę się tam i ją kupię. Miałam zamiar zrobić to już dziś, ale na szczęście się powstrzymałam. Mogłoby wzbudzić pewne podejrzenia fakt, że wdowa nabyła żałobną garderobę jeszcze za życia męża, czyż nie?

Niechaj zatem opatrność nam sprzyja. Ufam, że nerwy Cię nie zawiodą. Wykułam Twoje przebiegłe szyfry na pamięć i oczekuję: a) krótkiego listu w czwartek lub piątek, b) telefonu w weekend.

U nas w Grothenburgu pada i jest mgła, ale grypa chyba na razie odpuściła. Właśnie słyszę kroki Davida na schodach, kończę więc śpiesznie.

Twoja Henny

PS: (jest wtorek rano) Kochana Agnes, nie wahaj się dzwonić nawet w środku nocy! Muszę dostać wiadomość, kiedy tylko skończysz.

PPS: I zaklinam Cię, nie zapomnij spalić swoich listów! Gdyby ktoś na nie trafił, byłoby to w niebezpieczeństwie!

Do  
Henny Delgado  
Pelikaanallé 24  
Grothenburg

Gobshejm, 12 lutego

Droga Henny!

Jest środa, późny wieczór. Jutro mam dwa wykłady, a zaraz po nich wsiadam do samochodu i jadę prosto do A. Jeśli na drogach nie będzie dużego ruchu, dotrę na miejsce około dziewiątej.

Potem wyśpię się porządnie w hotelu i kwadrans po trzeciej będę gotowa na to, by spotkać Twojego męża na stacji.

Zobaczymy, co będzie później.

Spakowałam broń i amunicję. Dłuższą chwilę ważyłam pistolet w dłoni, zanim włożyłam go do walizki. Niesamowite, że taki mały kawałek metalu potrafi zakończyć czyjeś życie, wystarczy tylko lekko przycisnąć spust palcem wskazującym. Wszystkie te plany i trudy zamykają się w jednym ruchu. Nie mogłam się temu nadziwić, kiedy zastanawiałam się, co to mówi o naszym życiu. Mam na myśli życie ludzkie w ogóle, jego wrodzoną kruchość – czy nie jest tak, że od pewnego punktu zaczyna się ono kurczyć, zamiast rozrastać? Życie. Tak właśnie uważam. Ale *kiedy*, Henny? W którym momencie nasza życiowa droga robi się coraz węższa, a nie na



odwrót? Kiedy zaczynamy – świadomi bądź nie, a może i tak, i tak – kroczyć w stronę tego zwięzienia? Bo choć sądzę, droga Henny, że po tym wszystkim otworzą się przed nami nowe możliwości (spotkania, rozmowy, podróże...), to jednocześnie czuję, że wszystko jakby się zacieśnia.

Może się jednak myłę. Znów napiłam się wina. Być może moje myśli oddają jedynie chwilowy nastrój oraz deszczową aurę – krople bez przerwy uderzają o szybę. Obiecuję Ci jednak, że w A. będę się trzymać z daleka od wina oraz alkoholu w ogóle. W każdym razie dopóki nie wykonam zadania.

Nie niepokoję się jednak; raczej cieszę się, że nadeszła już pora, cierpliwość nigdy bowiem nie była moją mocną stroną. A co ty o tym sądzisz? Czy zgadza się to z Twoją opinią o mnie sprzed lat?

Poza tym nie bardzo mam o czym pisać, ale prosiłaś o kilka słów. Wieczorem przeczytałam ponownie wszystkie Twoje listy, a dziesięć minut temu spłonęły na moich oczach na popiół w kominku. Idę teraz do łóżka pełna nadziei. Jak mówiłam, zadzwonię z A., a potem może zobaczymy się na pogrzebie Davida.

Czy też uważasz, że to zbyt ryzykowne, bym się na niego wybrała? Choć Ty byłaś na pogrzebie Ericha.

Życzę Ci miłego i owocnego pobytu w Monachium. Mam szczerą nadzieję, że pogoda tam i w Amsterdamie będzie lepsza niż tutaj. Miło byłoby wkrótce poczuć wiosnę w powietrzu.

Twoja

Agnes

David Goschmann miał ciemne włosy, ale jego oczy były nieprzyzwoicie niebieskie.

– Jeśli chodzi o role kobiece, to dziś zrobimy tylko przesłuchanie na Kordelię. Jutro skontaktuję się z tą właściwą. Najpóźniej w południe.

Pokiwałam głową.

– Pamiętaj, że tak jak inne, zostaniesz poddana szczegółowej ocenie.

– Ile jest chętnych poza mną? – zapytałam.

– Cztery. Te, które są zainteresowane rolą Goneryli i Regany, przychodzą jutro.

– Rozumiem.

– Nie wykluczam, że rolę Błazna też przydzielimy kobiecie. Jesteś świadoma tego, że Kordelii przez większą część sztuki nie ma na scenie?

– Oczywiście.

– A więc to ty grałaś Maszę w *Trzech siostrach*?

Potwierdziłam, że to była moja kreacja.

– Podobała ci się?

Powiedziałam, że bardzo, zarówno sama postać, jak i rola.

– Mam już na koncie trochę sztuk Czechowa. Chciałbym wystawić kolejną, ale nie ma aż tylu jego tekstów, a coś trzeba sobie zostawić na starość.

Uśmiechnął się, a ta niebieskość jego oczu, jakby rozświetliła go od środka. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia osiem, trzydzieści lat.

– Z kim mam grać? zapytałam, rozglądając się po sali. Byliśmy tam tylko ja i Goschmann.

– Z Rotten... Jak mu tam?

– Z Rottenbühlem?

– Tak, tak. Czy wolałaś może kogoś innego?

– Skądże. Bylebym nie musiała z nim grać, jeśli dostanę tę rolę na serio.

Goschmann się roześmiał i obiecał mi, że wkrótce zaangażuje innych aktorów.

– Chcesz chwilę poleżeć, żeby się skoncentrować przed przesłuchaniem? Rottenbühle najwidoczniej się spóźnia.

– Chętnie.

– Masz dobrą aparycję.

– Dziękuję.

– Chcesz dalej iść tą drogą?

– Ma pan na myśli teatr?

– Tak.

Wzruszyłam ramionami. Pożałowałam, ale taki gest nie może przejść niezauważony.

– Może – odpowiedziałam. – Tak, to nie wykluczone.

– Mógłbym ci dać kontakt do kilku osób – zaproponował Goschmann. – Do dobrych szkół. O ile jesteś zainteresowana.

– Dziękuję, chętnie skorzystam. Naprawdę jestem zainteresowana.

Otworzyły się drzwi i do sali wszedł Rottenbühle. Najwyraźniej był przeziębiony, bo powitał nas trzema kichnięciami.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Ależ nie ma za co – odparł Goschmann z uśmiechem. – Nie wiem, czy Kordelia potrzebuje chwili na skupienie czy możemy zacząć od razu?

– Jeśli o mnie chodzi, to możemy startować.

Zrozumiałam, na czym polega fenomen Davida Goschmanna.

Na bliskości. Z chwilą, gdy wchodził do pokoju, w środku pojawiała się pole siłowe. Następował nagły wzrost energii. Przy nim czułam się dostrzeżona i inteligentna. I ważna. Nigdy wcześniej coś takiego mi się nie zdarzyło, ale od razu zrozumiałam, na czym to polega.

Siedział w głębi widowni. W siódmym albo ósmym rzędzie. Wprawdzie moim partnerem scenicznym był przeziębiony Rottenbühle, ale grałam, jakby był nim i Goschmann. Oczywiście to niby ten sam układ, co zawsze, ale jednocześnie coś nowego, niewypróbowanego. Dziwne uczucie, nie wiedziałam sama, czy to na moją korzyść, czy nie. Czy podkreślało, czy może osłabiało moją grę.

Wszystko trwało pół godziny. Każdą scenę odtworzyliśmy po dwa razy. Goschmann niczego nie komentował, wiedziałam jednak, że mierzył każdy milimetr kwadratowy mojego ciała i rejestrował każdy mój oddech. Kiedy wychodziłam z Teatru Kellera, w którym – jak zawsze – odbywało się przesłuchanie, niemal kręciło mi się w głowie ze zmęczenia, jak po intensywnym wysiłku fizycznym.

Jakbym się kochała przez dwie godziny, na przykład, a było to coś, czego jako dwudziestojednolatka jeszcze nie doświadczyłam.

Usiadłam przy stoliku w rogu Café Adler i zamówiłam stek wołowy i piwo. Pomyślałam, że po raz pierwszy w życiu spotkałam faceta, który mnie zainteresował.

Faceta mojej miary.

Wieczorem – a była to wietrzna sobota, luty, kiedy to w powietrzu nie czuć było nawet najmniejszej zapowiedzi wiosny – przytrafiło mi się coś, czego nie dało się zinterpretować inaczej niż jako dobry omen.

Moja kawalerka, w której wówczas mieszkałam już od ponad pół roku, mieściła się na górze starej kamienicy przy Geigers steeg. Piąte piętro bez windy. Prawdziwie ciasny kąt, ale ukośny dach oraz wszystkie krzywizny miały swój urok, a ja w tej fazie życia nie potrzebowałam więcej przestrzeni.

Na tym samym piętrze mieszkała też starsza para, państwo Linkoweis. Oboje mieli około siedemdziesięciu pięciu lat i byli już nieco schorowani. On bardziej niż ona – pani Linkoweis schodziła i wchodziła po schodach przynajmniej raz dziennie, szła na rynek zrobić zakupy, które następnie przynosił im goniec. Czasami ja załatwiałam dla nich sprawunki, ale bardzo rzadko, bo staruszkowie chcieli być niezależni. Pan Linkoweis, który nosił rzadkie imię Sigisbard, wychodził z domu najwyżej co trzeci lub co czwarty dzień. Przy brzydkiej pogodzie uważał, że nie ma po co wystawiać nosa z mieszkania, zaś przy ładnej zadowalał się często siedzeniem na balkoniku z widokiem na dziedziniec kamienicy. Widziałam go przez tycie okno w mojej tyciej kuchni.

Kiedy tej soboty wróciłam do domu (po zjedzeniu wspomnianego już steku oraz po kilku bezowocnych godzinach nauki w bibliotece), na moim progu wpadłam na panią Linkoweis w towarzystwie stróża, pana Bloeme. Pani Linkoweis wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć, była blada jak ściana, a na jej ustach pojawiła się piana, mimo że nie dobywał się z nich dźwięk. Drzwi do ich mieszkania były otwarte. Pan Bloeme wyjaśnił mi, co się dzieje.

– Pan Linkoweis oszalał – powiedział, oddychając ciężko.

Pan Bloeme wypalał pięćdziesiąt papierosów dziennie i jedynie od wielkiego dzwonu odwiedzał wyższe piętra kamienicy.

– Chyba pan żartuje – odparłam.

– Skądże znowu – wysapał Bloeme. – Stary stoi na balkonie i chce wyskoczyć.

Pożółkłymi od nikotyny palcami wskazał drzwi mieszkania Linkoweisów. Pani Linkoweis przestała toczyć pianę, wbiła za to palce w moje ramię i zaczęła jęczeć.

– Proszę panią, bardzo proszę – błagała.

Sceptycznie pokręciłam głową.

– On już wdrapał się na drugą stronę barierki – dodał Bloeme. – Stoi tam, trzymając się tylko jedną ręką. Jeśli podejdziemy albo zadzwonimy po pomoc, puści barierkę!

– Skąd wiecie? – zapytałam.

– Sam tak powiedział.

– Jak długo już tak stoi?

– Jakies dziesięć minut – odparł Bloeme. – Dopiero co tu przyszedłem. Ściągnęła mnie pani Simone.

Nie miałam pojęcia, że pani Linoweis ma na imię Simone. Tymczasem Simone potakiwała temu, co mówił Bloeme, wciąż wpijając mi palce w ramię. Sigisbard i Simone? – pomyślałam.

– Proszę panią – powtórzyła.

– Co chcecie zrobić? – zapytałam.

Bloeme przez chwilę dreptał w kółko, obmacując kieszenie koszuli w poszukiwaniu papierosów. Jednego miał wetkniętego za ucho, ale chyba nie był tego świadom.

– Nie wiem – odpowiedział. – Co, do cholery, mielibyśmy zrobić? Że też to się musiało przytrafić akurat dziś.

Simone Linkoweis zaniósła się głośnym płaczem. Ja zaczęłam się zastanawiać, co Bloeme miał na myśli, mówiąc, że zdarzyło się to „akurat dziś”. Może ma urodziny czy coś.

– Myślicie, że on tak grozi na poważnie? – zapytałam. – Możliwe, że...

– Na poważnie – powiedział Bloeme zdecydowanym tonem. – Przecież ten człowiek ma, do cholery, siedemdziesiąt pięć lat.

Nie bardzo pojęłam, co wiek ma wspólnego z powagą sytuacji, ale nie chciałam już zgłębiać tej kwestii.

– Mam tam do niego wejść? – zapytałam. – Chcecie, żebym...?

Simone Linkoweis z bliskiej odległości wpatrywała się we mnie z wyrazem oczu, który wyrażał z jednej strony bezsilność, a z drugiej desperacką prośbę. Ostrożnie zdjęłam jej palce ze swojego ramienia.

– Proszę tu zostać – powiedziałam. – Wejdę i sprawdzę, jak sytuacja.

– Tylko niech pani nie wchodzi za blisko! – wtrącił Bloeme. – Bo wtedy skoczy.

Pokiwałam głową i powoli przekroczyłam próg. Weszłam do przedpokoju, ale stąd nie było widać balkonu. Skręciłam więc w lewo do salonu, który był tak przeładowany meblami i bibelotami, że ledwo dało się po nim poruszać, i stamtąd przez otwarte drzwi balkonowe zobaczyłam pana Linkoweisa.

Stał dokładnie tak, jak to opisał Bloeme. Czarna barierka balkonu miała nie więcej niż siedemdziesiąt, osiemdziesiąt centymetrów, więc nawet ktoś o tak ograniczonej sprawności jak pan Linoweis mógł przez nią przejść. Stał tam, odchylony na zewnątrz, ze wzrokiem wbitym w podwórko na dole. Zdawałam sobie sprawę, że od ziemi dzieli go jakieś dwanaście metrów, a dziedziniec wyłożony jest nierównym brukiem. Gdyby tylko pan Linkoweis puścił barierkę, zabiłby się bez dwóch zdań.

A tylko jedną ręką trzymał się metalowej poręczy, w dodatku odchylony.

Zatrzymałam się w salonie, bezradna. Pan Linkoweis jeszcze mnie nie zauważył, choć dzieliło nas zaledwie pięć, sześć metrów. Pospiesznie starałam się oszacować sytuację. Bez wątplenia próba gwałtownego doskoczenia skończyłaby się fatalnie, zwłaszcza że na drodze mojego potencjalnego skoku stał fotel bujany oraz stół.

Przyjrzałam się panu panu Linkoweisowi. Miał na sobie szare spodnie i brązowy rozpinany sweter. Jeśli faktycznie stał tam już od dziesięciu minut, musiał być przemarznięty. Temperatura wynosiła zaledwie kilka stopni powyżej zera.

– Oszuści! – zawołał nagle donośnym głosem. Zorientowałam się, że zwraca się do kogoś, może do kilku osób gdzieś tam na zewnątrz. Ostrożnie zrobiłam krok w bok i zobaczyłam kobietę stojącą na balkonie po przeciwnej stronie podwórka. Nie wiedziałam, jak się nazywa, ale kojarzyłam ją, bo spotykałam ją tu czasami. Miała jamnika, który często nosił zielony kubraczek.

– Jeśli zadzwonicie na policję, wyskoczę! – zagroził Sigisbard Linkoweis. – A wtedy wszystkich was zniszczy! Mam swoje chody u pana wszechświata!

Zrozumiałam, że stróż Bloeme trafnie ocenił stan zmysłów pana Linkoweisa. Zrobiłam krok do przodu. Znalazłam się już na wysokości bujanego fotela.

– Mam was wszystkich cholernie dość! – wrzeszczał pan Linkoweis. – Cholernie dość! Zaraz skoczę, a wtedy zginiecie, będziecie padać jak muchy!

Zawahałam się. Przez dobre pół minuty nie działo się nic. Ręka pana Linkoweisa obejmująca barierkę, była napięta i biała, jakby odpłynęła z niej krew. Postanowiłam zbliżyć się jeszcze trochę.

– Jestem zdruzgotany! Nie mogę już tego ciągnąć!



Okrążyłam stół. Zostały mi tylko trzy metry, ale w tym momencie potrafiłam cokół, na którym stała jakaś urna. Udało mi się ją chwycić, ale cokół runął z hukiem na ziemię.

– Co u licha?

Pan Linkoweis obrócił głowę i zauważył mnie.

Choć może nie, bo nie założył okularów. Wiedziałam, że ma kiepski wzrok, gdyż opowiadała mi o tym regularnie pani Linkoweis.

– Sigisbard tak słabo widzi – mawiała. – Niedługo nie będzie w ogóle mógł czytać, pewnego dnia doszczętnie oślepie.

Czy jednak zorientował się, że ktoś jest w pokoju? – Kto to? – ryknął zaskakująco mocnym głosem. – Nie podchodzić, bo puszcze barierkę!

W jego tonie dało się słyszeć wyczuwalną nutę strachu. Stałam jak skamieniała i nie miałam pojęcia, co robić. Usłyszałam, że pani Linkoweis i Bloeme wchodzą do środka. Zwilżyłam usta i podjęłam próbę.

– To tylko ja, Sigisbardzie – powiedziałam. – Chodź do mnie, a cię utulę.

Najpierw nie zareagował. Zupełnie jak ja zamarł bez ruchu, wciąż trzymając się tylko jedną ręką. Usłyszałam odległy szum głosów dobiegających z dworu; może na wszystkich balkonach stali ludzie, a i na dole mogli zgromadzić się gapie.

Minęło kilka sekund.

– Podejdź bliżej, żebym cię zobaczył.

Zrobiłam trzy kroki i zatrzymałam się w progu drzwi balkonowych. Stąd mogłabym wyciągnąć rękę i chwycić go, ale nie miałam odwagi.

– Stój! Ani kroku dalej. Bo skoczę!

Nie odpowiedziałam.

– Kto to? – powtórzył.

– To ja – odparłam – Chodź do mnie.

Pan Linkoweis jeszcze chwilę się wahał. Jego postawa zaczęła się stopniowo zmieniać. Zrobił się słabszy, jakby bardziej przystępny. Może przez całe życie nigdy nie słyszał takich słów. Może mu ich brakowało. Wziął głęboki wdech, wgramolił się przez barierkę do środka, a ja go przytuliłam.

Był zimny jak lód i z miejsca wybuchł gwałtownym płaczem.

Cóż, trudno takiego wydarzenia nie uznać za omen.

Do  
Davida Goschmanna  
Hotel Figaro  
Prinsengracht 112  
Amsterdam

Grothenburg, 12 lutego

Kochany Davidzie!

Wiem, że to niezwykcyjne, by żona wysyłała mężowi takie listy (w każdym razie nie w naszych czasach i nie po zaledwie kilku dniach rozłąki), ale musiałam do Ciebie napisać. Czasami człowieka nachodzi jakiś pomysł i nijak nie da się go odpędzić, dopóki się go nie zrealizuje.

Kocham Cię, Davidzie. W zasadzie chcę tylko, byś to wiedział – to najbanalniejszy z banalnych zwrotów, a jednocześnie najgłębsza, najszczęśliwsza myśl.

Uświadomiłam sobie, że ostatnio nie potrafiliśmy okazywać sobie miłości, którą niegdyś sobie ślubowaliśmy. To nie Twoja wina i nie moja. Nie można tu oskarżać ani mnie, ani Ciebie. Nie czynmy więc sobie wyrzutów. Mimo wszystko chyba jest tak, że tyrania dnia codziennego i rutyna wtargnęła w nasze życie. Myślę, że to właśnie jest powód i nie dopuszczam do siebie myśli, by mógł istnieć inny.

Wiem jednak, że lepiej wyjść z koła, zanim zrobi się ono błędne. Wielokrotnie przecież o tym rozmawialiśmy. Tak łatwo jest uznać, że ta druga osoba po prostu się nam należy. Musimy z tym jednak skończyć, Davidzie.

Musimy sobie uświadomić, że prawdziwym darem jest to, iż możemy żyć ze sobą i wspólnie patrzeć, jak dorastają nasze dziewczynki. Jeszcze raz zróbmy miłości miejsce w naszym życiu. Takie, które jej się należy.

Kochajmy się, dopóki śmierć nas nie rozłączy, tak jak to kiedyś sobie postanowiliśmy, Davidzie.

Cóż, tylko tych kilka prostych – a zarazem trudnych – słów chciałam Ci przekazać w tym liście, mój kochany mężu. Życzę Ci udanego pobytu w Amsterdamie i już nie mogę się doczekać Twego powrotu do domu.

Twoja na zawsze

Henny

Nie wiem, czy faktycznie nic mi się nie śniło. W każdym razie, kiedy obudziłam się o wpół do siódmej, niczego nie pamiętałam. Miałam wręcz wrażenie, że w ogóle nie spałam.

Wyszłam z psami. Zrobiliśmy sobie długi spacer wzdłuż rzeki aż do mostu Manneringa. Tam przeszliśmy na drugi brzeg i lasem doszliśmy do wzgórz przy Gandwitz. Powietrze tam było cieplejsze, prawie w ogóle nie wiało, ale mgła nieco się rozrzedziła. Chwilę odpoczywałam, przysiadłszy na przewróconym pniu, i rozglądałam się po okolicy. Psy całą drogę biegały, więc ułożyły się teraz, dysząc u moich stóp.

To *moja* okolica. Oczywiście nie mam jej na własność, ale czuję wyraźnie, że nic nie skłoni mnie, bym ją opuściła. Tu jest mój dom, po trupach będę dążyć do tego, by tutaj zostać. Właśnie takie słowa same z siebie przyszły mi do głowy.

Kiedy wracaliśmy, słońce przebiło się przez chmury. Gdy potem stanęłam w pod prysznicem, byłam porządnie spocona. Następnie zjadłam śniadanie i spakowałam się. Pistolet schowałam w jedną grubą skarpetę, amunicję w drugą. Ostrożnie ułożyłam je na dnie walizki. Sama nie wiem, dlaczego właśnie tam, ale to może naturalne, zważywszy na okoliczności. Może nawet profesjonalny zabójca wybrałby takie miejsce.

O dziesiątej byłam gotowa, zabrałam psy do samochodu i pojechaliśmy do państwa Barth. Byli bardzo mili, choć zamieniliśmy w zasadzie tylko kilka słów. Życzyli mi udanego pobytu w Berlinie. Pan Barth powiedział, że mieszkał tam pięć lat, ale bynajmniej nie tęskni za tym miastem. Ani

trochę. Nie wiedzieć czemu, oboje mieli tego dnia wolne, ale dziewczynki były w szkole, rzecz jasna.

Obiecałam, że wrócę w niedzielę wieczorem. Miałam zadzwonić, kiedy będę wiedzieć, o której dokładnie.

Pani Barth zapewniła mnie, że mogą trzymać psy aż do poniedziałku. To dla nich żaden problem.

– Nie ma problemu, byśmy wzięli je na stałe – zażartował pan Barth. – Może wtedy dziewczynki wreszcie by nas pokochały.

– Hm – odparłam. – Chyba nie pozwolę, bo na swój sposób i ja ich potrzebuję.

– Zamiast tego przydałby się pani chłop – dodał pan Barth. Jego żona z wyrazem rezygnacji na twarzy machnęła na to ręką.

– A na cóż, u licha, jej chłop?

Z reguły, kiedy opowiadam o siostrach Brontë, staram się zwrócić szczególną uwagę na biedną Anne. Na tych zajęciach też tak zrobiłam.

Zaznaczyłam, że dożyła zaledwie wieku dwudziestu dziewięciu lat. I podkreśliłam, że choć *Agnes Grey* oraz *Lokatorka Wildfell Hall* mają swoje słabe strony w porównaniu z *Wichrowymi wzgórzami*, to przecież ma je każda powieść.

Dodałam też, że zapewne jej starsze siostry robiły, co mogły, by w ten czy inny sposób zaznaczyć swoją wyższość.

– Czy te książki można gdzieś dostać? – zapytał ktoś. I w tym semestrze wypożyczyłam więc moje egzemplarze obu powieści Anne Brontë.

Czułam jednak, że trudno mi się skoncentrować na temacie, choć przecież jest on tak bliski memu sercu, i skończyłam nasze seminarium dwadzieścia minut przed czasem. Wytłumaczyłam się tym, że muszę zdążyć na określoną godzinę do Berlina. Zresztą nikt ze studentów nie miał nic przeciwko temu, by wyjść wcześniej.

Teczke z materiałami zostawiłam w gabinecie. Poniedziałkowe zajęcia miałam nie do końca przygotowane, ale wiedziałam, że wystarczy, jeśli w poniedziałek przyjadę kilka godzin przed zajęciami.

Nie było jeszcze wpół do trzeciej, kiedy wyjeżdżałam z kampusu uniwersyteckiego. Po zaledwie pięciu minutach jazdy dopadły mnie nerwowe myśli. Przystanęłam na parkingu tuż przed wjazdem na autostradę, żeby sprawdzić, czy walizka aby na pewno leży w bagażniku.

Leżała.

Miałam ochotę sprawdzić, czy i pistolet jest na swoim miejscu, ale naturalnie nie mogłam tego zrobić na przydrożnym parkingu w pełnym świetle.

Uspokój się, Agnes, pomyślałam, siadając z powrotem za kierownicą. Musisz trzymać nerwy na wodzy.

Zauważyłam jednak, że zarówno mój puls, jak i oddech były przyspieszone. Mimo to próbowałam wmówić sobie, że to nie przez nerwy. Że to raczej to podniecenie, o którym pisałam Henny, szuka jakoś ujścia.

Miałam poważne trudności ze znalezieniem hotelu, mimo że przed wjazdem do centrum zatrzymałam się i sprawdziłam mapę. Po przejechaniu kilku ulic jednokierunkowych straciłam orientację, do tego doszły wieczorne godziny szczytu i ulewa. W końcu jednak trafiłam. Stanęłam przed umiarkowanie rzucającym się w oczy wejściem, weszłam do środka, gdzie recepcjonistka wyjaśniła mi, w jaki sposób mogę zjechać do parkingu podziemnego.

Zameldowałam się, całość opłaciłam z góry gotówką, tak by nie musieć pokazywać dokumentów i zamknęłam się w pokoju. Rozpakowałam walizkę i schowałam pistolet w szafie pomiędzy leżącymi tam zapasowymi kocami. Zaczęłam napełniać wodę do wanny.

Przez pół godziny leżałam w pianie pachnącej limonką i świeżo skoszoną trawą i się relaksowałam. Popijałam buteleczkę wina z minibaru i paliłam papierosa. Nie czułam jednak, by te przyjemności były tak nieprzyzwoite, jak powinny. Z drugiej strony, pomyślałam, wpisują się w misję, której poświęcona jest ta wyprawa. Po raz kolejny porównałam się z profesjonalnym zabójcą. Być może on (lub ona) też wybrałby taki sposób przygotowania się. Dlaczego nie?

Zjadłam kolację w hotelowej restauracji, po czym wyszłam na miasto. Deszcz przestał padać, ale nadal wiał suchy, chłodny wiatr. Zrobiłam rekonesans okolicy i sprawdziłam najkrótszą drogę do miejsca zbrodni. W grę wchodził odcinek nie dłuższy niż trzysta, czterysta metrów. Wystarczyło przespacerować się słabo oświetlonymi uliczkami obok zaparkowanych w mroku samochodów i kilku pustawych barów. Powoli przeszłam przed hotelem. Był większy, niż to sobie wyobrażałam. Wyglądało na to, że jest w nim spory hol, co oczywiście stanowiło zaletę. Z pewnością dzięki temu nie trzeba będzie się przejmować tym, jak dostać się tam niepostrzeżenie. Nikt nie powinien mnie zatrzymać, gdybym udawała, że idę do swojego pokoju.

Zresztą będę przebrana. Nie bardzo, ale wystarczająco. Założę jasną perukę oraz przyciemnione okulary. I tak nikt nie powiąże mnie z tym zabójstwem, więc po co przesadzać ze szczegółami?

Wróciłam do swojego hotelu. Obejrzałam kiepski film w telewizji i przeczytałam kilka stron powieści o Lou Salomé.

Zgasilałam światło około wpół do pierwszej i przez chwilę zastanawiałam się, jak sytuacja będzie się przedstawiać za dokładnie dobę.

\*\*\*

Obudziłam się już o wpół do siódmej. Nie miałam pojęcia, czy coś mi się śniło. Jednak natychmiast na myśl przyszło mi wczorajsze zdarzenie



z panem Linkowisem, może więc towarzyszyło mi ono także w nocy.

Jeszcze chwilę leżałam, myśląc o nim oraz o tym, co się działo, kiedy już udało mi się ściągnąć go z balkonu. Wbrew jego woli przewieziono go do szpitala. Płakał jak dziecko, błagając, by pozwolili mu zostać w domu, ale zarówno jego żona, jak i siostra – wysoka, zgarbiona kobieta o zgorzkniałym wyrazie twarzy, która pojawiła się na miejscu tuż po tym, gdy dramat dobiegł końca – były nieubłagane. Pan Linkowis wczepił się we mnie kurczowo, kiedy pojawiło się dwóch sanitariuszy, jednak wszyscy uznali, że postradał zmysły, tak więc musi oddać się pod opiekę lekarzy.

– Jestem załamany! – jego wołanie niesło się echem po klatce schodowej. – Nie rozumiecie, że jestem załamany?

Współczułam mu. Jednak i żona i siostra pojechały z nim karetką, i może faktycznie było to najlepsze rozwiązanie. Ja w każdym razie nie widziałam innego, rozsądniejszego.

Wstałam i zaparzyłam sobie kawy. Zanim zjadłam śniadanie, przeczytałam gazetę i wykapałam się, zrobiło się wpół do dziewiątej. Usiadłam w oczekiwaniu na telefon od Davida Goschmanna.

Minęła dziesiąta, a on wciąż nie zadzwonił. Jedenasta i nic.

Nie byłam w stanie nic zrobić. Nie mogłam się skoncentrować na czytaniu, zaczęłam więc prać ręcznie sweter w moim ciasnym zlewie, ale przerwałam i rozwiesiłam wciąż jeszcze brudny i mokry ciuch na oparciu krzesła. Spróbowałam rozwiązać krzyżówkę z gazety, ale nie szło mi od pierwszej chwili. Czułam, że niedługo będę musiała iść do toalety, ale kabel telefonu był za krótki, by można go było przeciągnąć do łazienki. Wstrzymywałam więc.

O *dwunastej*. Wiedziałam, że powiedział *najpóźniej o dwunastej*. Kilka minut po wpół do przysiadłam wpatrzona w telefon. Potem zmieniłam

zdanie i rozłożyłam się jak długa na łóżku. Zamknęłam oczy i zaczęłam mierzyć sobie puls.

Pomyślałam, że obok mnie leży śmierć. Sama nie wiem, skąd wzięło się to skojarzenie.

Zrobiło się za piętnaście. Dopiąłam ostatni łyk kawy z rana, poczułam mdłości. Telefon nigdy nie zadzwoni, jeśli człowiek go zaklina, to znana prawda. Próbowałam więc myśleć o czymś innym. Gapiłam się przez okno i zastanawiałam, czy pan Linkoweis wrócił do domu. Może przynajmniej go zdiagnozowano.

Za dziesięć dwunasta. Nic. Zupełnie nic.

Za pięć.

Za dwie rozległ się dzwonek. Wzięłam głęboki wdech, położyłam dłoń na słuchawce i odczekałam jeszcze jeden sygnał. Nie chciałam wyjść na napaloną.

Odebrałam.

To ojciec. Oznajmił, że nie ma już jąder, ale będzie żył.

Odłożyłam słuchawkę. Zegar na kościele św. Stefana wybił dwunastą.

Do Teatru Kellera przyszłam spóźniona o kwadrans. Inni już tam byli. David Goschamnn siedział na brzegu sceny w czarnym golfie i czarnych sztruksowych dzwonach. Przerwał, kiedy otworzyłam drzwi z tyłu sali.

Rottenbühle obrócił się w moją stronę i zakasłał w dłoń. Chyba przeziębienie nie przeszło. W pierwszym rzędzie siedziało pięć osób. Ursula i Vera, moje siostry z Czechowa. Rottenbühle i jeszcze jedna dziewczyna z grupy, Mathilde. Jej szanse na karierę w branży kres położył koniec ery filmu niemego, bo Mathilde sepleni.

Powoli zesłam lewą stroną. Posłałam uśmiech Goschmannowi i usiadłam obok Very.

– Dzień dobry – powitał mnie. – Rozmawiamy właśnie o Goneryldzie i Reganie i konieczności zaznaczenia różnicy między nimi. Dwa niemal identyczne charaktery na scenie nie dodadzą przedstawieniu ani dynamiki, ani wiarygodności. Będą z siebie nawzajem wysysać powietrze.

– Rozumiem – odparłam.

Goschmann odchrząknął i kontynuował wątek. Przez całe popołudnie czułam w piersiach gulę. Teraz zaczęła się poruszać. W górę, w dół i na boki. Przełykałam raz po raz. Dlaczego zarówno Ursula, jak i Vera tu są?, pomyślałam. Która z nich...

– Przepraszam – powiedziałam.

Goschmann znów przerwał. Opuścił brodę na knykcie zaciśniętej dłoni i przyjrzał mi się. Dziś błękit jego oczu już nie promieniował.

– Czy rola Kordelii jest już obsadzona?

Pokiwał głową. Rottenbühle zakasłał nerwowo i na wpół wstał ze swojego krzesła, a na wpół siedział po prawej stronie z brzegu.

– I?

Goschmann opuścił dłoń.

– Wszystkie byłyście bardzo przekonujące.

Czekałam. Gula w piersi się obracała.

– Jak mówiłem na początku... Wszystkie byłyście poddane srogiej ocenie. Takie są niestety warunki.

– Kto? – zapytałam.

– W końcu postawiliśmy na... to znaczy *ja* postawiłem na dziewczynę, która właściwie nie należy do waszej trupy. To znaczy do tej pory nie należała. Nazywa się Henny, Henny Delgado, nie wiem, czy...

Zacisnęłam pięści i przyłożyłam je do brzucha. Nie mogłam powstrzymać gwałtownego odruchu wymiotnego, który właśnie mną wstrząsnął.

Zwróciłam wszystko, co tego dnia jadłam. Miałam wręcz wrażenie, że wszystko, co jadłam przez całe życie.

Rottenbühle pomógł mi wyjść i wsadził mnie do taksówki.

Do  
Davida Goschmanna  
Hotel Figaro  
Prinsengracht 112  
Amsterdam

Gobshejm, 12 lutego

Kochany Davidzie!

Dziękuję za te chwile, które ostatnio spędziliśmy razem, oraz za Twój list.

Nie, absolutnie mi się nie spieszy. Co Cię skłoniło do takiego przekonania? Jako wdowa powinnam odczekać co najmniej rok, wydawało mi się, że zgadzamy się co do tego, że należy przestrzegać pewnych konwencji.

Tak więc i mnie odpowiada taki układ, uwierz mi. Twoja sytuacja życiowa oraz relacja z żoną nie interesują mnie pod tym względem. Nigdy nie interesowały.

Kocham Cię jednak i chcę Cię mieć. Część Ciebie. Kilka dni z Tobą każdego miesiąca. Z czasem może więcej. Niestety nie miałam, jak przyjechać teraz do Amsterdamu. Nie myśl, proszę, że się od Ciebie odsuwam. Musiałam po prostu przyjechać do Berlina. Że też wy mężczyźni jesteście tacy wrażliwi!

Piszesz, że byłbyś gotowy się rozwieść, gdybym tylko o to poprosiła. Nie wiem, na ile jesteś szczerzy, może któregoś dnia właśnie tego od Ciebie zażądam. Może, jak wspomniałam, moje potrzeby z czasem staną się większe. Jednak jeszcze nie teraz, Davidzie, na razie cieszymy się sobą z umiarem, jak to robiliśmy przez ostatnie lata. Wino wcale nie smakuje lepiej, kiedy zamiast dwóch kieliszków wypijemy pięć, nieprawdaż?

Oczywiście przyjadę do Strasburga w marcu, obiecuję. Zobaczę jeszcze, czy będę mogła zostać na te cztery dni, zrobię jednak, co mogę, by przesunąć wykłady i seminaria.

Cieszę się również, że lubisz mój dom, gdyby Ci się nie podobał, byłoby mi przykro. Cudownie było mieć Cię tutaj. Wiedz, że zawsze jesteś tu mile widziany, jeśli najdzie Cię nagła ochota wpaść. Daj mi tylko znać parę godzin wcześniej, żebym mogła przygotować coś do zjedzenia i otworzyć jakieś dobre wino.

Ogromną pociechą jest też to, że mogę zachować dom. Pewien nieoczekiwany zwrot okoliczności sprawił, że moja sytuacja finansowa się poprawiła, więc w chwili obecnej wszystko wygląda dobrze. Masz rację, kiedy mówisz, że nigdy nie należy tracić nadziei.

Trochę za Tobą tęsknię, przyznaję. Uwielbiam kochać się z Tobą mocno i brutalnie, a później zasypiać w Twoich objęciach.

Co powiesz na przyszły tydzień?

Wieczór i ranek, jeśli będziesz mógł.

Z miłością

Twoja Agnes

W piątek rano niebo nad Monachium było zaskakująco przejrzyste. Poszłam na długi spacer przez Englischer Garten, podczas którego złapałam się na tym, że brakuje mi psów. Psy są jakby stworzone do parków, czy też może jest na odwrót.

Nie wiem jeszcze *kiedy* dokładnie – i *gdzie* dokładnie – zabiję Henny. Nie wiem nawet, czy to będzie dziś, ale tak mi się wydaje. Mam plan, czy może raczej wiele planów, zebrałam sobie ileś alternatywnych sytuacji. Jeśli jedna nie wypali, to druga lub trzecia tak. Nie mogę postąpić inaczej, muszę korzystać z otwartego sposobu działania – w danym momencie skorzystać z nadarzającej się okazji – to akurat mnie nie martwi. Przeciwnie, całe życie ma taką strukturę. Jest niczym fandango między przypadkiem a porządkiem, a ten, kto nie umie tańczyć, nie ma szans pożyć w pełni.

Ja jednak umiem tańczyć. Zawsze umiałam.

W drodze powrotnej do hotelu weszłam do budki telefonicznej. Zadzwoniłam do hotelu Regina, powiedziałam, że mam dostarczyć bukiet kwiatów Henny Delgado i zapytałam o numer pokoju.

Dowiedziałam się, że pani Delgado jeszcze się nie zameldowała, ale ma mieszkać w pokoju 419.

Podziękowałam i odłożyłam słuchawkę. Jakie to proste, pomyślałam.

Nikt nie podejrzewał mnie w związku ze śmiercią Ericha i nikt nie będzie podejrzewał w związku ze śmiercią Henny. Po prostu. Wysłam z budki telefonicznej i zerknęłam na zegarek. Dwadzieścia po jedenastej.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko czekać. Wróciłam do swojego pokoju na Alter Wirt, ale nie mogłam sobie znaleźć miejsca, więc wyszłam ponownie.

Kilka godzin spędziłam na mieście. Przeszłam się wzdłuż Tal i Kaufingerstrasse w stronę Karlstor. Zajrzałam do Haus der Kunst, ale szybko się zmęczyłam. Wszystko już kiedyś widziałam. Zjadłam lunch na Ehrengut. Pogoda utrzymywała się całe przedpołudnie, z południowego zachodu wiał letni wiaterek. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi. Jednak kiedy przysiadłam z filiżanką kawy w Johanniscafé, doświadczyłam czegoś dziwnego. Z początku nie mogłam się zorientować, o co chodzi, ale stopniowo zrozumiałam, że o pewnego rodzaju bliskość.

Tak, czyjaś *bliskość*.

Jakby kogoś, kto mnie obserwował. Było to dojmujące, a zarazem słabo uchwytnie uczucie. Ostrożnie rozejrzałam się wokół po gwarным lokalu, starając się namierzyć, skąd mogło się wziąć to doznanie. Sprawdzałam, czy jest tam ktoś, kto w jakiś sposób na mnie patrzy.

Dlaczego? – zapytałam sama siebie. Dlaczego ktoś miałby mnie obserwować?

Jakiś facet szukający kobiety? Tak, to naturalnie możliwe, jednak kiedy przebiegłam wzrokiem po sali, nie znalazłam żadnego kandydata do tej roli.

Zapłaciłam i wyszłam z kawiarni. W kiosku na Maximilianstrasse kupiłam papierosy. Ruszyłam dalej na Theatinerkirche i Hofgarten, ale nie udało mi się do końca pozbyć tego uczucia.

Obsesyjne myśli, stwierdziłam. Niektóre wyobrażenia potrafią przyczepić się do człowieka na dobre. Czy już dziś rano w Englischer Garten nie czułam czegoś podobnego?

Przywołałam taksówkę i wróciłam do hotelu.



Punkt szósta znów znalazłam się w budce telefonicznej, by zadzwonić do hotelu Regina. Poprosiłam o połączenie z panią Delgado w pokoju 419. Dziewczyna z recepcji kazała mi chwilę poczekać, a kiedy usłyszałam Henny, która nieco zaskoczona i zaniepokojona powiedziała „halo”, rozłączyłam się.

Jest na miejscu. Wróciłam do Alter Wirt. Załadowałam broń i wetknęłam ją do torebki na ramię. Przebrałam się w wybrane wcześniej ubrania, jasną kurtkę, której nie używałam od lat oraz czarne spodnie. Założyłam blond perukę z fryzurą na pazia i ciemne okulary. Chciałam je tylko przymierzyć, oczywiście. Przejrzałam się w lustrze łazienkowym i upewniłam, że wyglądam jak zupełnie inna kobieta. Wrzuciłam akcesoria do torby i wyruszyłam.

Marienstrasse i Hochbrücknerstrasse. Bary były puste. Samochody zaparkowane wzdłuż ulicy też. W powietrzu wisiał deszcz. Skręciłam w prawo w Hildegardstrasse i oto znalazłam się na miejscu. W jakiejś bramie założyłam perukę i okulary, zdążyłam nawet przejrzeć się w oknie, po czym weszłam do hotelu. Foyer było ogromne i urządzone z przepychem. Marmury, ciemny dąb i ciężkie fotele skórzane. Recepcja leżała na lewo po przekątnej od drzwi, na prawo znajdowały się windy. Jeszcze dalej na prawo były bar i restauracja. Po krótkim namyśle przeszłam do baru i zamówiłam gin z tonikiem.

Był wczesny wieczór, więc nawet tu przebywało jeszcze mało gości. Zaledwie kilku mężczyzn i samotna kobieta około sześćdziesiątki. Miała

świeży makijaż i wyglądała żałośnie. Najwyraźniej na kogoś czekała. Z restauracji dobiegały śmiechy i głosy rozmów jakiejś większej grupy. Amerykanów, o ile zrozumiałam.

Popijałam drinka, paląc przy tym papierosa i przeglądając „Süddeutsche Zeitung”. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić już teraz, ale zrezygnowałam. Uznałam, że lepiej poczekać.

Wyszłam z baru i skierowałam się prosto do wind. Kurtkę zarzuciłam na ramię. Zawołałam windę, po czym wjechałam sama na czwarte piętro. Mieściły się tam pokoje od 401 do 420.

Czteryśta jeden do 410 po lewej stronie, 411 do 420 po prawej. Do tego maszyna do lodu. I czyszczarka do butów.

Ruszyłam korytarzem w prawo, za pokojem 415 skręcał on nieco w lewo. Numer 419 leżał niemal na samym końcu, naprzeciwko wyjścia na schody pożarowe. Otworzyłam drzwi prowadzące na klatkę i zeszłam na półpiętro. Stałam w miejscu, w którym byłam niewidoczna zarówno z góry, jak i z dołu. Przez wąskie okienko widziałam skrawek nieba. Idealnie, pomyślałam.

Poprawiłam perukę i okulary, zauważyłam przy tym, że trochę się trzęsę. Sprawdziłam, czy pistolet jest gotowy, wyjęłam komórkę. Przypomniałam sobie w myśli, że po wszystkim będę musiała zabrać komórkę Henny. Tak by policja nie znalazła mojego numeru w historii połączeń.

Chciałam zadzwonić jeszcze raz na numer hotelowy, ale nie miałam odwagi. Może i tam zapisałby się mój numer. Zapaliłam więc kolejnego papierosa i wypaliłam go na klatce, zanim wybrałam numer Henny.

Nie odebrała. Tak przecież się umówiliśmy. Włączyła się poczta głosowa, zaczekałam na sygnał.

Dzień dobry, Georg. Tu ciocia Beatrice. Chciałam ci tylko powiedzieć, że te czarne malwy są zamówione i opłacone i przywiozą je we wtorek. Nie

musisz oddzwaniać, szkoda pieniędzy na telefony!

Wyłączyłam komórkę. Schowałam ją do torebki, a wyciągnęłam broń. Wróciłam na pusty korytarz. Stałam przed numerem 419 i zebrałam się w sobie.

Zapukałam dwa razy.

– Tak?

Głos Henny dobiegł z bardzo bliska. Domyśliłam się, że stoi tuż przy drzwiach. Nie miałam odwagi nacisnąć klamki. Henny dopiero co dostała wiadomość, że jej mąż nie żyje, więc pewnie zamknęła się na klucz.

– Serwis sprzątający – powiedziałam, starając się mówić nieco wyższym głosem niż zwykle.

Po dwóch sekundach otworzyła drzwi.

W sekundę znalazłam się w środku. Henny wycofała się wгłęb pokoju. Wyglądała na przestraszoną. Zamknęłam za sobą drzwi. Broń trzymałam wymierzoną w nią.

Henny przysiadła na łóżku.

– To pomyłka – powiedziała.

– Nie.

– Źle pani trafiła.

– Trafiłam dobrze.

Najwyraźniej mnie nie poznała.

– Chce pani pieniędzy? Nie mam dużo, ale mogę...

Podeszłam dwa kroki bliżej. Teraz mierzyłam już prosto w jej głowę.

– Kim pani jest? To chyba nie... mój Boże!

Zorientowałam się, że się uśmiecham. Nie mogłam się powstrzymać. Musiałam się naprawdę wysilić, żeby nie zacząć rechotać. Radość rozpierała mnie niczym orgazm. Jednak nagle za plecami poczułam jakiś ruch, właśnie miałam się odwrócić, kiedy ktoś...

W głowie rozbłysły mi świetliste refleksy.

Obudziłam się. Siedziałam na krześle. Było mi trudno oddychać, usta miałam zaklejone dużym plastrem. Spróbowałam go oderwać, ale w tej sekundzie czyjaś silna dłoń chwyciła mnie za kark.

Chwyciłam się oparcia. Moja peruka leżała na łóżku, ciemne okulary też. Naprzeciwko mnie, na drugim krześle siedziała Henny. Trzymała pistolet wymierzony we mnie. Nie mój, ale ten również miał podobny tłumik zamocowany na lufie.

Za mną, przy ścianie stał mężczyzna. To on trzymał mi rękę na karku. Domyślałam się, że i on ma broń, ale nie chciało mi się tego sprawdzać. Ja sama miałam puste ręce i męczył mnie przeraźliwy ból głowy, który pulsował i wybuchał czarnymi rozbłyskami w płacie czołowym.

Pomiędzy mną i Henny stała ława. Na niej leżała koperta. Na niej było napisane moje imię, Agnes, podkreślone podwójną linią.

Podniosłam wzrok i popatrzyłam na Henny. Jej usta wykrzywiały powstrzymywany uśmiech. W oczach migotał słaby błysk triumfu. Może też lekkie upojenie alkoholem. Minęło dobrych dziesięć sekund, zanim się odezwała. Mówiła jednak nadto wyraźnie.

*Gdy czas chytrłości kryjówki odłoni,  
Hańba dziś tajne kryjówki dogoni.*

Krótką pauza. Nie poznawałam jej głosu. Prawy kącik ust lekko jej drżał.

– Nie mam zamiaru wszystkiego ci teraz tłumaczyć, Agnes – powiedziała. – I nie chcę słyszeć ani słowa z twych ust. Ani... jednego... słowa... Proszę, czytaj!

Pistoletem wskazała mi kopertę. Sięgnęłam po nią i wyjęłam kilka złożonych arkusików. Ta sama papeteria co zawsze, ten sam dobrze mi znany charakter pisma. Mężczyzna stojący za mną odchrząknął i przestąpił z nogi na nogę.

– Czytaj! – powtórzyła Henny. – Jeśli nie zaczniesz czytać, zastrzelę cię od razu!

Przytaknęłam, jednak zanim skierowałam wzrok na kartkę, po raz kolejny poczułam tę bliskość – spłynęła na mnie niczym chłodny deszcz – bliskość ogromnego strachu, która pojawiła się niby ostrzeżenie kilka dni temu w miejscowości Worms. Bliskość, którą czułam dziś rano i popołudniu.

Teraz zrozumiałam, że to nie były urojenia. Że powinnam była wziąć ją sobie do serca i odsłonić jej sedno.

Teraz je ujrzałam. Mimo eksplozji i rozbłysków szalejących w głowie dostrzegłam je zupełnie wyraźnie.

Niewiele to jednak pomogło. Spuściłam wzrok i zaczęłam czytać.

Droga Agnes!

Jakże ja cię nienawidzę. Nie sądziłam, że można czuć takie obrzydzenie do drugiego człowieka, jakie ja czuję do ciebie. A jednak.

To właśnie dlatego zainscenizowałam cały ten melodramat, zamiast cię zwyczajnie znaleźć i zatłuc jak psa. Musiałam po prostu spotkać się z tobą twarzą w twarz i uświadomić ci prawdę o tobie samej i o tym, dlaczego musisz umrzeć.

Tu i teraz, Agnes.

Nie, nie podnoś wzroku znad listu, czytaj dalej. Kiedy dojdiesz do końca, a ja zobaczę, że zrozumiałaś, zastrzelę cię.

Naprawdę sądziłaś, że nie wiedziałam? Myślałaś, że jestem tak naiwna, że nie sprawdziłam, kto jest kochanką mojego męża? Myślałaś, że w takiej sytuacji będę winić Davida?

Źle mnie osądziłaś, Agnes. Jak zwykle, nigdy mnie nie doceniałaś. Dlaczego nigdy nie mogłaś się cieszyć tym, co dobre? Zawsze, zawsze porażki innych bardziej cię nakręcały niż twoje sukcesy. Twoimi bożkami całe życie były perfidia i wyrachowanie. I fałsz.

Dlaczego nie mogłaś znieść tego, że twoja matka była z doktorem Maertensem? Dlaczego aż tak zazdrościłaś mi roli Kordelii? A Tristram Singh, pamiętasz go?

Albo David? Nie wiem, jakimi sztuczkami go omamiłaś, ale jestem pewna, że przystąpiłaś do akcji z największą przebiegłością.

Jak zwykle, Agnes.

Ja jednak nie zrezygnuję z Davida. Dla dziewczynek ojciec jest równie ważny jak matka, a ja przysięgałam mu, mojemu mężowi nie tylko wierność. Przysięgałam sama sobie oraz mojemu Bogu, że dopilnuję, by nasz związek trwał. Dopóki śmierć nas nie rozłączy, wzięłam na siebie odpowiedzialność za to. Jestem osobą, która wierzy w twarde wartości, zapewne przypominasz sobie, że było tak, już kiedy byliśmy młode.

Wiedziałam, że uda mi się zwabić cię tu, wiedziałam od samego początku. Mój brat Benjamin – pamiętasz go na pewno, to on teraz stoi za tobą – miał pewne wątpliwości. Stał wiernie u mego boku od pierwszego dnia. Kochamy się jak brat i siostra powinni się kochać, zawsze mogłam na niego liczyć. Ty nigdy go nie lubiłaś, oboje pamiętamy, jak złośliwa potrafiłaś być wobec niego, mimo że był wówczas taki mały i bezbronny. Tu w Monachium nie odstępował cię na krok – zresztą wcześniej też śledził cię kilka razy – a kiedy cię zastrzele, on wieczorem wyniesie stąd twoje zwłoki (tak, tak, teraz jest duży i silny) i wyrzuci je do Izary. Obciążymy cię jak należy i tam, na mulistym dnie rzeki doczesna część ciebie zakończy swe dni. Co do tego, dokąd trafi twoja dusza, chyba nikt nie ma najmniejszych wątpliwości.

Nikt cię nigdy nie znajdzie, Agnes. Będziesz uznana za zaginioną. Nie wiem, co powiedziałaś państwu Barth, ale jestem pewna, że nie wspominałaś im ani o Monachium ani o Amsterdamie. Benjamin zajmie się także twoim samochodem i dopilnuje, by znikł.

Zostaniesz starta z powierzchni ziemi. Starta.

Jak się domyślasz, cieszy mnie to. Teraz, kiedy widzę, jak czytasz swój wyrok śmierci, przepełnia mnie gorąca, ogromna radość. Kosztowało mnie sporo zaaranżowanie tego wszystkiego, sama wiesz, ale stać mnie, a poza tym było to warte każdych pieniędzy. Być może nic nie daje większej satysfakcji niż fakt, że własnymi rękoma, za pomocą własnego sprytu

wymierza się karę człowiekowi, który wyrządził tyle zła. Że zabija się kogoś, kogo się nienawidzi, kto próbował obrócić w niwecz twoje życie.

Że można się zemścić.

Chciałaś mnie zabić. Wiedziałam, że nie oprzesz się tej pokusie, a teraz sama wpadłaś we własne sidła. Sytuacja się odwróciła, zgodzisz się chyba, że dostajesz to, na co zasłużyłaś.

Zbliżasz się już do końca mojego ostatniego listu, droga Agnes. Niewiele już zostało, musisz jeszcze prześledzić kilka wersów, przeczytać każde słowo, a gdy dojdiesz do ostatniego, podniesiesz wzrok, a ja zabiję cię dwoma lub trzema strzałami w głowę.

A może strzelę w pierś, pozwolę ci poczuć trochę bólu przed śmiercią.

Tak, teraz zerkasz na mnie i widzisz, że moja broń ma tłumik, tak jak twoja. Dlaczego twierdziłaś, że twój pistolet narobi tyle hałasu? Czyżby zbyt nieprawdopodobnie brzmiało to, że posiadasz broń z tłumikiem, że możesz jej użyć? Teraz zaczniesz się rozglądać po pokoju, ale nie szukaj kontaktu wzrokowego ze mną, przed tobą kolejna strona, jeszcze nie wiesz, ile jest na niej napisane, ale zaraz się przekonasz, a kiedy dojdiesz do ostatniego słowa na ostatniej stronie, umrzesz. I nie próbuj wracać i czytać ponownie, wiem, że wszystko zrozumiałaś, wszystko...

Zatem teraz zostało ci już tych kilka nędznych wersów, zabawne, jak człowiek może przeciągać, zatrzymując się na każdym słowie, chwytając się każdej

najmniejszej literki,

byle tylko utrzymać się

przy życiu.

Że też sekunda może tyle

znaczyć, Agnes. Widzę jednak,

że już skończyłaś.



Zaraz musisz podnieść wzrok, Agnes.

Nie możesz wpatrywać się  
w każde słowo.

To już ostatnia strona,

to już

ostatnia

chwila

twojego

życia.

Podnieś wzrok, Agnes.

Spójrz

na mnie.

# **Wężowy kwiat z Samarii**

# 1

To nie ja zacząłem. Nie ja odkopałem Wężowy Kwiat, to chciałbym zaznaczyć. Absolutnie nie było to moim zamiarem. W życiu trafia się tyle niepokojących i okropnych zdarzeń, że już samo stanie z boku i przyglądanie się jest straszne.

A wiem, co mówię. Przez czterdzieści dziewięć lat życia podjąłem nie więcej niż cztery czy pięć ważnych decyzji, jednak każda z nich pociągnęła za sobą najbardziej niespodziewane konsekwencje. Dlatego też nauczyłem się, że lepiej się w takich wypadkach wstrzymać. Z biegiem lat zrozumiałem, że lepiej jest unikać wszystkiego, co w jakikolwiek sposób może zachwiać równowagę egzystencjalną i stabilność, moją własną i innych.

Nie zrozumcie mnie źle. Niektórzy mogą zrobić choćby i największą głupotę, a mimo to spadają na cztery łapy. W moim jednak przypadku wystarczyło, że puściłem oko, a skończyło się dwudziestopięcioletnim związkiem i dwoma córkami. To tylko jeden przykład.

Mieszkam w Grotenburgu. Moja żona i córki również, choć już nie pod jednym dachem z nami. Dzieli je dwa i pół roku, ale młodsza wyszła za mąż zaledwie sześć miesięcy po starszej. Obie uroczystości miały miejsce minionej zimy i jak na razie przynajmniej Hilde jest w ciąży. Dopiero za

rok stuknie mi pięćdziesiątka, a już jestem na dobrej drodze, by zostać dziadkiem.

Moja żona ma na imię Clara i już mnie nie kocha. Wyznała mi to całkiem niedawno, cztery dni przed początkiem wakacji i to właśnie od tego wszystko się zaczęło. Tak, w zasadzie to Clara uruchomiła tę maszynę. Ja umyłam ręce, jak zawsze, zresztą, gdy pozwalała na to okazja.

Nie bez powodu, o czym już wspomniałem.

Może tak naprawdę nigdy mnie nie kochała. Ja sam zresztą, kiedy puszczałem do niej oko tego wieczoru nad Morzem Egejskim w roku 1972, w głowie miałem to i owo, ale bynajmniej nie miłość.

Ten prawdziwy, absolutny płomień zapłonął we mnie tylko jeden, jedyny raz. Od tamtego momentu minęło już trzydzieści lat. Wówczas działałem powodowany tym ogniem i właśnie o konsekwencjach tego uczucia tu opowiem.

O tym oraz o ich dziwacznych, opóźnionych następstwach zapoczątkowanych przez to, co wyznała mi żona tego ciepłego obiecującego wieczoru w czerwcu 1997 roku. Oznajmiła mianowicie, że mnie nie kocha.

Opuściłem gazetę i przez chwilę milczałem. Clara jak gdyby nigdy nic dalej przekładała sadzonki pomidorów. Przez moment miałem wrażenie, że była to tylko iluzja, że źle usłyszałem.

– Chcesz się rozwieść? – zapytałem mimo wszystko.

– Tak sądzę – odparła, nawet nie podnosząc wzroku.

– Masz innego?

– Tak jakby.

Uznałem, że to nad wyraz dwuznaczna odpowiedź, nawet jak na moją żonę. Chwilę nawet zastanawiałem się, kim mógłby być ten facet, szybko

jednak zorientowałem się, że nic mnie to nie obchodzi, w związku z czym zabrałem się z powrotem za lekturę gazety.

Niecałe dwie godziny po naszej rozmowie zadzwonił Urban Kleerwot. Naturalnie można uznać, że to dziwne, iż stało się to dokładnie tego wieczoru, kiedy mój ćwierćwieczny związek dobiegł końca, jak już jednak starałem się zaznaczyć, tak to właśnie wygląda – i zawsze wyglądało – w moim życiu. Jedne wydarzenia przyciągają drugie, po prostu, taki swoisty psychiczny magnetyzm, do którego trudno się ustosunkować czy który trudno choćby wyjaśnić. Dlatego nawet nie próbuję.

– Henry Maartens?

– Tak.

– Serwus. Tu Urban Kleerwot. Pamiętasz mnie?

Po chwili zastanowienia przyznałem, że pamiętam.

– Kopę lat minęło.

– No niemało.

– Trzydzieści dokładnie.

Zaśmiał się. Jego głosu nie rozpoznałem, ale śmiech owszem. Już za czasów liceum był jak żywioł, a z biegiem jakby przybrał na szlachetności. Z biegiem lat i kilogramów, bo – choć nie widziałem Urbana – wiedziałem że przytył. Jeśli bowiem istnieje coś, co nie pozwoli ukryć znacznego przybrania na wadze, to jest to właśnie śmiech.

– Jak leci? – zapytał.

– A dziękuję, dziękuję – odparłem. – Chyba szykuje mi się rozwód, ale nie narzekam.

– Do licha. Więc byłeś żonaty?

– Trafiałeś w sedno. Ty nie?

– Nie miałem czasu.

– Aha. A dlaczego dzwonicz?

Najpierw nienaturalnie zakasłał i dopiero potem przeszedł do rzeczy.

– Pracujesz jako nauczyciel języka?

– Skąd wiesz?

– Słyszałem.

– Od kogo?

– Od Maxa. Podobno się spotkaliście.

Chwilę myślałem, po czym przypomniałem sobie, że jakiś rok wcześniej wpadłem na Maxa Sternera na targach książki.

– Tak?

– Potrzebuję pomocy. Swego czasu byłeś zdolny jak diabli, istny geniusz językowy, a chyba z biegiem lat ten talent nie wyparował, co?

Nie odpowiedziałem. Zaczęło pachnieć ofertą pracy.

– A ty czym się zajmujesz? – zapytałem.

– Psychoterapią – powiedział Urban. – Ale do licha z tym. Chodzi o to, że napisałem książkę. Prawdziwy hit, mówiąc wprost, ale potrzebuję, żeby ktoś ją przejrzał. Sprawdził język i takie tam.

Co do tego akurat absolutnie nie miałem wątpliwości.

– Gdzie mieszkasz? – zapytałem.

– W Aarlach. Ale wciąż mam ten letni domek pod K-. W głuszy nad jeziorem. Pomyślałem, że zapytam, czy nie miałbyś ochoty spędzić tam kilku tygodni latem. Płacę za nocleg i jedzenie. A ty zająłbyś się czytaniem i redakcją. Pogadamy o starych czasach. Napijemy się koniaczku, zapalimy cygaro. Połowimy ryby. Chciałbyś?

Zastanawiałem się dwie sekundy.

– Kiedy? – zapytałem.

– Im szybciej, tym lepiej. Mogę tam być od dziesiątego, tylko najpierw muszę skończyć kilka spraw w robocie. Co ty na to?

Zerknąłem w kalendarz. Wiało z niego iście wielkopiątkową pustką.

– Dwa tygodnie, od jedenastego – powiedziałem. – Tylko wtedy jestem wolny.

– Świetnie – odparł Urban i znów się zaśmiał. – To już za siedem dni. Do licha, ależ będzie ubaw. Chyba nieczęsto bywałeś w K-, odkąd zrobiliśmy maturę, co?

– Ani razu.

– O cholera! Twoja noga nie powstała tam od trzydziestu lat? Dlaczego?

– Mam swoje powody – wyjaśniłem.

– Masz na myśli... to, co się wtedy stało?

Nie odpowiedziałem.

– No tak... – zaczął po chwili Urban. – Takie jest życie. Może o tym też sobie pogadamy.

– Może.

Wymieniliśmy adresy oraz numery telefonów i rozłączyliśmy się. Jeszcze przez dłuższą chwilę siedziałem w gabinecie i rozmyślałem. Poczułem, że czas, te trzy dekady – ponad połowa mojego życia – kurczą się i tracą sens.

Czym w zasadzie jest nasza egzystencja? Co nam po tych wszystkich dniach?

Potem pościeliłem sobie w pokoju gościnnym, nie mówiąc nawet żonie dobranoc. Minęło kilka godzin, zanim w końcu zasnąłem, a kiedy już mi się to udało, we śnie prześladowały mnie bynajmniej nie myśli o Clarze i naszym rozstaniu, a o tym co będzie dla mnie oznaczała ponowna wizyta w K-, mieście, w którym spędziłem młodość. Lata liceum.

Wizja ta budziła we mnie jedynie niepokój, zdałem sobie sprawę z tego, że za nic nie przyjąłbym zaproszenia Urbana, gdyby wcześniej tego wieczoru żona nie zaskoczyła mnie tym nagłym zwrotem akcji. Tym, że już nie chce ze mną żyć.

Zatem to nie ja odgrzebałem Wężowy Kwiat. A co tam, podkreślę to raz jeszcze.



## 2

Kiedy wyruszałem z domu wcześniej rano w sobotę – dzień po zakończeniu szkoły – żona jeszcze spała.

Przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Nie wykluczam jednak, że może po prostu udawała, by uniknąć niezręcznej sceny pożegnania. Uzgodniliśmy, że nie będziemy omawiać naszej sytuacji przed sierpniem. W związku dwojga nauczycieli języka, po dwudziestu pięciu latach słowa mają niekoniecznie zbawienne działanie. Wspomniałem jej, że wyjeżdżam, tylko tyle. Wrócę prawdopodobnie w trzecim tygodniu czerwca. Odparła, że świetnie się składa, ponieważ ona zabukowała sobie wycieczkę na dwudziestego czwartego.

Nawet gdybyśmy się więc mieli spotkać, to najwyżej na dzień.

Spakowałem się poprzedniego wieczoru. Do torby wrzuciłem kilka zmian odzieży, pół tuzina książek i starą wędkę, która zapewne bardziej nadawała się do lamusa niż do użytku. Mimo wszystko uznałem jednak, że zabranie ze sobą takiego sprzętu będzie oznaką odrobiny dobrej woli.

Ponieważ z Urbanem miałem się spotkać dopiero w poniedziałek, a doprawdy miałem ochotę opuścić Grotenburg jak najszybciej, zarezerwowałem sobie telefonicznie pokój na dwie noce w Continentalu w K-. Był to jedyny hotel, jaki kojarzyłem z lat sześćdziesiątych, a kiedy zadzwoniłem do biura numerów, okazało się, że nadal działa i to pod tą

samą nazwą. Zapamiętałem Continental jako imponującą secesyjną budowlę naprzeciwko dworca kolejowego. Dwukrotnie jadłem obiad w tamtejszej restauracji, za każdym razem w towarzystwie rodziców i brata i za każdym razem miałem wrażenie, że jestem w innym świecie. Niekoniecznie lepszym czy piękniejszym od zwykłego, ale odmiennym. Takim jakby obok.

Naturalnie, kiedy tego pięknego czerwcowego ranka kierowałem się do K-, nie miałem pojęcia, czy Continental zrobi na mnie po trzydziestu latach takie samo wrażenie. W naszych stronach panowała późna wiosna, bzy i czeremchy nadal kwitły, zaś łąki ciągnące się po obu stronach autostrady wciąż miały w sobie coś z tej dziewczczo delikatnej zieleni. Żadnego przesycenia, żadnej ciężkiej słodyczy, jedynie obietnica.

Jednak to nie obcowanie z przyrodą zajmowało mnie w pierwszej kolejności, kiedy siedziałem za kółkiem, jadąc na południe. Naturalnie nie. Myślałem o K-. O kościele Karlskyrkan. O restauracji Mefisto. O rzece i wszystkich mostach. O liceum Doggera i czterech latach, które w nim spędziłem – miało być ich tylko trzy, jednakże nastąpiło ich niepożądane rozmnożenie, a to za sprawą niewątpliwie zdradzieckich pokus, jakie niosły ze sobą tamte lata, takich jak wolność, rewolucja, muzyka pop, ogólny brak dojrzałości oraz utrzymana w duchu egzystencjalistycznej awangardy kawiarnia Podła Bułka.

Cztery zamiast trzech. Miałem piętnaście lat, kiedy przeprowadziliśmy się do K-, dziewiętnaście, kiedy opuściłem miasto. Mój ojciec objął posadę kierownika poczty pierwszego sierpnia 1963 roku. Nie po raz pierwszy zawitaliśmy do nowego miasta, tym razem jednak mieliśmy wreszcie osiąść na stałe. K- miało się stać naszym miejscem, rodziców, moim i brata. Georg miał już skończone sześć lat, kiedy się przenieśliśmy, a wciąż moczył się

w łóżku. Mama twierdziła, że to przez ciągle przeprowadzki. A one z kolei wiązały się z karierą ojca. Jego awansami.

Nawet jeśli pracuje się w usługach pocztowych, nie trzeba samemu krążyć po całym kraju niczym jakaś cholerna przesyłka, dolewał oliwy do ognia brat mamy, wujek Arnt.

K- miało więc być tym ostatnim miastem, taki był plan. Posada kierownika poczty była dość godna, większych ambicji ojciec nie miał.

I tak by zapewne było – w połowie pełnych optymizmu lat sześćdziesiątych wskazywały na to wszystkie znaki na ziemi i niebie. Jednak ni z tego ni z owego, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, właściwemu kierownikowi poczty, niejakiemu Strunkemu, udało się wyleczyć zniszczoną alkoholem wątrobę. W sierpniu 1966 roku znów więc trzeba było pakować walizki.

To wtedy się sprzeciwiłem. W minionych miesiącach udało mi się odzyskać chęć do nauki, a do matury został tylko rok. Zaczynanie ostatniej klasy w nowej szkole w nowym mieście wydawało się zatem nierozsądnym i przerażającym pomysłem. Sądzę, że była to pierwsza decyzja życiowa, jaką podjąłem w okresie dojrzewania. Kosztowało mnie to sporo, ale w końcu rodzice ulegli. Najpierw mama, a po trzech godzinach i ojciec.

Znaleźli mi stancję.

Właścicielka nazywała się Kuntze, była wdową po rzeźniku, który zmarł na skutek zakrzepu. Utrzymanie willi położonej za parkiem rekreacyjnym przy Pampas okazało się zbyt kosztowne, więc pani Kuntze zaczęła wynajmować część domu.

Mnie trafił się pokój na poddaszu z widokiem na stary sad z jabłoniami, żywopłot ze świerków oraz szczyt pokrytego czerwoną dachówką dachu liceum. Rano, przez otwarte okno słyszałem pierwszy dzwonek, mogłem

więc wylegiwać się dłużej i wybiec z domu w ostatniej chwili, a i tak spóźniałem się co najwyżej cztery minuty. Idealna lokalizacja.

W drugim pokoju mieszkał Kellermann, introwertyczny asystent optyka, lat trzydzieści parę, kilo dziewięćdziesiąt parę. Nie miał żadnych znajomych, w czasie wolnym zajmował się filatelistyką oraz szachami korespondencyjnymi. Nie licząc toalety i łazienki, nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego.

Wdowa Kuntze zaś miała dwa chytre koty, aparat słuchowy marki Slingbolt, którego używała jedynie w weekendy oraz kochanka o nazwisku Finckelstroh. W soboty zwykł on przyjeżdżać na czarnym motocyklu, zostawał pół nocy, po czym zawsze w tajemniczy sposób znikał w niedzielne poranki.

Choć ja akurat nie przejmowałem się współlokatorami; ani panią Kuntze, ani Finckelstrohem, ani Kellermannem, ani kotami. Miałem naście lat, chodziłem do ostatniej klasy liceum Doggera, więc rzecz jasna miałem bardziej wyrafinowane zainteresowania.

Jak choćby muzyka pop. Polityka, poezja czy rozterki egzystencjalne. Skąd i dokąd? *Hellhound on my trail.*

Jak choćby też dziewczyny. Był rok 1966, zaczęły być modne krótkie spódniczki. Niełatwo było być młodym, pryszczatym i nieopierzonym, doprawdy niełatwo. Pożądanie, poczucie swobody i niepokorność szły ręką w rękę z brakiem pewności siebie i nieporadnością. W mojej klasie w Doggerze podział płci był nierówny – dwadzieścia trzy dziewczyny i dwunastu chłopaków. Równy po dwie panie na pana, ale cóż to pomagało?

Wprawdzie ten czy inny pryszczaty wyrostek posmakował już zakazanego owocu, ale dla większości z nas sprawy te stanowiły jeszcze niezapisaną kartę. W gronie, w którym spędzałem najwięcej czasu – a obejmowało ono Nielsa Bühltofta, Urbana Kleerwota i Pietera Vogla –

dyskutowaliśmy wprawdzie o założeniach sztuki, manifeście komunistycznym, sytuacji na Kubie oraz etyce deontologicznej, nie mieliśmy jednak pojęcia, jak postępować z kobietami. Zielonego.

Być może był to element życia w małym mieście, które było równie pruderyjne jak jego licealiści. Do początku ostatniego semestru zdążyłem się zakochać w sześciu dziewczynach, trzy inne trzymać za rękę, a jedną pocałować. Miała na imię Marieke i całkiem niezły prawy sierpowy, który dość szybko pozwolił mi otrzeźwieć.

I tak to właśnie wyglądało. Kobieta stanowiła dla nas misterium. Mimo ducha tamtej dekady. Mimo muzyki pop. Mimo rozterek egzystencjalnych. *I can't get no satisfaction.*

Był piękny dzień, pierwsza sobota lata, nie spieszyłem się więc. Pozwoliłem sobie na kilkugodzinny odpoczynek w środku dnia nad jednym z jezior przy Wimlingen i dopiero około siódmej wieczorem minąłem stare, ale niezłe zachowane rogatki K-.

Od razu poczułem, że tonę w studni czasu.

– Trzydzieści lat? – pomyślałem. – Czy to możliwe, że minęło aż trzydzieści lat, od czasu gdy po raz ostatni widziałem te pastelowe elewacje domów przy starej ulicy handlowej? Czy to nie wczoraj, najdalej w zeszłym tygodniu przyglądałem się wodzie pluskającej powoli z dobrze mi znanych brązowych figurek na fontannie stojącej na brukowanym rynku? I czy te dziewczyny zajadające lody na jednej z ławek przed ratuszem to nie moje rówieśniczki ze szkoły?

Rzut oka w lusterko wsteczne sprawił, że wróciłem do tundry rzeczywistości. Był rok 1997. Ja miałem czterdzieści dziewięć lat. Wprawdzie pozbyłem się już pryszczycy, ale za to dorobiłem się piwnego brzuszka, zmarszczek i worów pod oczami. A na szyi skóry jak słoń. –

*C'est la vie.* – pomyślałem i pojechałem dalej tunelem, żeby trafić na dobrą stronę torów. *Ou peut-être la mort.* Wszystko ma swój czas i swoje miejsce. Młode dziewczęta na rynek, zmęczeni podróżą panowie w średnim wieku do Continentalu.

Recepcjonistka miała rude włosy związane w koński ogon. Uśmiechnęła się, ukazując chyba ze czterdzieści osiem zdrowiutkich zębów, i wręczyła mi klucz do pokoju trzydzieści dziewięć, wyjaśniając przy okazji, że restauracja serwuje kolację aż do jedenastej.

Była bowiem sobota. To tak na wypadek, gdybym najpierw chciał odświeżyć się po podróży.

Zrozumiałem, że czuć ode mnie potem. Podziękowałem szybko i półgębkiem, żeby nie zdradzić, jaki mam oddech. Chwyciłem walizkę i pospieszyłem do windy. Dziesięć minut później, stojąc pod prysznicem, zastanawiałem się, czemuż na litość boską przyjechałem do tej dziury dwa dni wcześniej niż powinienem.

Do tego pytania, jak się okazało, miałem jeszcze wrócić.

Tego pierwszego wieczoru zjadłem kolację w hotelu – dokładniej rzecz ujmując, była to saltimbocca alla Romana. Rozwazałem spacer po mieście przed nocą, ale dwa kieliszki ciężkiego wina sprzymierzyły się z nagromadzonym we mnie zmęczeniem i bezlitośnie odesłały mnie do łóżka. Przez otwarte okno słyszałem jeszcze, jak zegar na kościele wybija kwadrans po jedenastej, uderzenia na wpół do już jednak sobie nie przypominam.

Najwidoczniej zamówiłem śniadanie do pokoju, bo w niedzielę o dziewiątej rano ruda przysłała do mnie z solidnie zastawioną tacą oraz gazetą. Kolejny raz pokazała mi wszystkie zęby, posyłając mi coś, co przypominało konspiracyjny uśmiech, przez chwilę nawet miałem wrażenie, że chce mi coś powiedzieć.

Byłem jednak zbyt zaspany, by wdawać się w jakiegokolwiek konwersacje, wyszła więc, mówiąc jedynie „smacznego” i życząc mi udanego dnia.

Po śniadaniu i prysznicu ruszyłem na miasto. K-. Wędrowałem po starówce, która o dziwo wyglądała, jakby nie zmieniła się od lat sześćdziesiątych. Księgarnia Krantzego mieściła się tam, gdzie kiedyś, apteka i komisariat policji też. I rynek Grote ze wszystkimi gołębiami... wszystko tkwiło tam, gdzie tkwiło od zawsze i gdzie na zawsze miało pozostać. Choć kawiarnia egzystencjalistyczna Podła Bułka była już tylko wspomnieniem. Cały kwartał został wyburzony, teraz na jego miejscu widniały szkło, beton i postmodernizm. Wszędzie *boutiques* i butiki.

I Dogger. Ten gotycki kolos wiedzy. Z pinaklami i wieżyczkami. I stromym dachem. Kawki i czarne, mroczne okna, aż mocniej zabiło mi serce.

Dzielnica Pampas, położona po przeciwnej stronie rzeki niż szkoła, też wyglądała na nietkniętą. Trwały tam ustawione jeden za drugim rzędy starych drewnianych i ceglanych willi, otoczonych przeplecionymi mchem trawnikami, drzewami owocowymi i żywopłotami z bzu. Moja jabłoń sprzed lat kwitła tak, że wręcz zdawała się śpiewać w promieniach słońca, aż poczułem gulę w gardle, kiedy tak stałem na chodniku wgapiony w okno na poddaszu oraz wiszące w nim kraciaste czerwone zasłony.

– Nie zmieniła ich przez trzydzieści lat? – pomyślałem. Czyżby stara Kuntze jeszcze żyła, to chyba niemożliwe?

Nie sprawdziłem. To urocze letnie przedpołudnie tak czy inaczej dostarczyło mi tylu nieoczekiwanych i tajemniczych przyływów wspomnień, że kiedy późnym popołudniem wróciłem do Continentalu, głowa pękała mi od wrażeń i wspominków, przez co czułem zawroty i rozproszenie.

Zaś to, co czekało na mnie w recepcji bynajmniej nie pomogło. Rudowłosą zastąpił chudy jak patyk wyrostek obcięty na jeża z kolczykiem w nosie. Zatrzymał mnie, kiedy akurat wsiadałem do windy.

– Przepraszam, była do pana wiadomość.

– Wiadomość?

Podał mi kopertę z hotelowym logo. Podziękowałem mu, wetknąłem ją do kieszeni i pojechałem do pokoju.

Pewnie od Kleerwota, pomyślałem, sięgając po złożoną na pół kartkę. Pewnie coś go zatrzymało. Dureń.

A jednak nie. Wiadomość była krótka, napisana odręcznie. Wpatrywałem się w nią dłuższą chwilę.

—

*No wreszcie wróciłeś. Najwyższa pora. Odezwę się.*

*Vera Kall*

Usiadłem na łóżku, żeby opanować zawroty głowy. Na języku czułem delikatny, ale wyraźny posmak metalu. Zachodziłem w głowę, jak to możliwe, że kobieta, która nie żyje od trzydziestu lat, wie, że wróciłem do K-.



# 3

Z czterech lat spędzonych w Doggerze przez dwa – ostatecznie – przyszło mi chodzić do klasy z Verą Kall. Wynikało to z faktu, iż w drugiej klasie wykonałem dodatkową, że tak powiem, honorową rundę. Choć akurat z honorem nie miała ona wiele wspólnego. Niemniej jednak, ponieważ w podstawówce uznano mnie za wyjątkowo dojrzałego i pozwolono przeskoczyć jedną klasę, pod koniec liceum pod względem wieku nie odstawałem od kolegów i koleżanek.

Wspominałem już, jak ten platoniczny płomień, który we mnie pałał, wędrował od jednej do drugiej dziewczyny w grupie. Miłość jest wieczna, jedynie obiekty się zmieniają – może to i prawda, ale jeden z moich był stały. Vera Kall. Po prostu kochałem się w niej od pierwszego wejrzenia i nie ja jeden byłem w tym kłopotliwym położeniu. Chyba wszyscy bujaliśmy się w niej równie mocno. Cała męska dwunastka w klasie. Nawet niejaki Carl Maria Erasmus van Tooth, co to chyba sikał atramentem i myślał jedynie o bohaterach literackich.

Z całą pewnością wiedziałem, że Verę podziwiali moi kumple z paczki – Urban Kleerwot, Pieter Vogel i Niels Bühltoft. Nieraz rozmawialiśmy o tym w Podłej Bułce. Co do tego, że Niels stracił dla niej głowę, nikt nie miał

najmniejszych wątpliwości, bo nie potrafił wydukać składnego zdania, kiedy Vera znajdowała się w polu widzenia. Jeśli podczas lekcji przyszło mu coś wyrecytować lub odczytać, musiał się demonstracyjnie odwracać do niej plecami, żeby jakoś pokonać jąkanie. Cóż, każdemu jego krzyż.

Zarówno Pierre Borgmann, jak i Thomas Reisin, o których mawiano, że są bardziej doświadczeni niż reszta, też próbowali się zbliżyć do Very, starając się ją dotknąć po męsku, w południowym stylu, ale ku ogromnej uldze pozostałych, dostali zdecydowanego kosza.

Vera Kall nie ganiała za chłopakami. A już na pewno nie za takimi. Nie była tego pokroju. Czy nie mogli się z tym pogodzić?

Nie mogli, ale musieli.

Tak, kochaliśmy się w niej wszyscy. I być może w głębi ducha cieszyliśmy się, że nie uległa i nie wybrała żadnego z nas. Lepiej chyba należeć do tuzina wielbicieli, do tego rozmarzonego stadka, które wciąż może się ludzić i liczyć na uśmiech losu.

Już lepiej żaden niż ktoś inny niż ja. Chyba tak właśnie rozumowaliśmy. Wiem w każdym razie, że ja tak myślałem.

I Urban. Pieter i Niels też.

Vera Kall była bowiem zjawiskiem. Boginią w kobiecej postaci. Słowa tego nie opiszą, choć można próbować... Jej włosy, ciemne i gęste niczym noc, oczy w kształcie migdałów, jej uśmiech i rozbrajająca dwumilimetrowa szpara między jedynekami. Jej smukłe ciało i ten powab, z jakim sunęła przez rzeczywistość, godnie, ale i swobodnie niczym dostojna pantera. Istna symfonia. Czy może sonata. Czy cholera wie co. W pełni naturalna i w pełni nieświadoma całej tej perfekcji, która sprawiała, że nawet podwójna lekcja łaciny mijała panu Uhrinowi niczym w bajce. Taka była. Wężowy Kwiat.

– Wyślijmy Verę na szczyt ONZ – zaproponował kiedyś Niels. – A w pół godziny na świecie zapanuje pokój. Albo wybuchnie trzecia wojna światowa.

Zapewne miał rację.

I zapewne rację miał pan Uhrin, kiedy – nie odrywając oczu od Very – kontemplował sentencję kończącą naszą podwójną lekcję w ten ostatni piątek kwietnia 1967 roku: *Quem di diligunt adolescens moritur*.

Kogo kochają bogowie, umiera młodo.

Naturalnie jej nieprzystępność robiła swoje. Vera Kall nie chadzała na tańce. Nie wysiadywała przy szafie grającej w Podłej Bułce, norze egzystencjalistów i nie paliła wygniecionych lucky strike'ów. Nie stała pod sceną w klubie Grota, kołysząc się w rytm, kiedy to miejscowe guru popu uskuteczniało swoje wątpliwej jakości interpretacje *Satisfaction*, *My Generation* i *Do-Wah-Diddy-Diddy*. A kiedy grano *I Saw Her Standing There*, jej nie było widać obok... no chyba że w najskrytszych zakamarkach wyobraźni.

I nie brała udziału w piknikach czy imprezach klasowych organizowanych spontanicznie w chwilowo wolnych od rodziców willach, gdzie próbowaliśmy się ujarzać wtykanymi do fajek nitkami z suszonych skórek banana oraz upić młodym winem agrestowym, które smakowało, jakby już przeszło przez niejednego układ trawienia. Niech mnie, cóż to był za zajzajer. To Bühltoft zawsze podkrażał coś z piwniczki ojca.

Vera Kall jednak siedziała w domu.

To rodzice nie pozwalali jej wychodzić.

Takie wyjaśnienie wydawało się najbardziej prawdopodobne. Tak przynajmniej uważało pewne węższe grono, czyli moja paczka. Vera była jedynaczką, jej dom leżał na wygwizdowie, czy dokładniej mówiąc w lesie, między Kerran i Maalby. Jej ojciec, Adolphus Kall, był pastorem

w zgromadzeniu Braci Aaronowych, a wyznanie to było znane z surowych, czasem wręcz starotestamentalnych zasad życia. Ich praktyki w ogóle przysparzały im złej sławy. Po prostu jedna z tych sekt, których kilka wówczas kręciło się po K- i w okolicy, nasze miasto już w dziewiętnastym wieku stało się bowiem słynnym centrum wolnomyślicielstwa i nie schodziło z tej drogi.

Absolutnie nie do pomyślenia było więc, by córka Adolphusa Kalla ganiała po dyskotekach, popowych koncertach czy podejrzanych prywatkach. Na swój ponury sposób stanowiło to część ich zasad.

A jej uroda przybierała na sile, Vera coraz bardziej stawała się obiektem pożądania. – Co za dramat – mawiał Pieter Vogel. – To jak sfilmować Niagarę i pokazywać nagranie spragnionemu na pustyni. Albo transmitować wschód słońca w radiu. Chyba się wykastruję.

Nasze metafory najczęściej nie były ułożone.

Ani te Pietera Vogla, ani innych. No może te pana Uhrina.

*Quem di diligunt...*

Przepowiednia z miesięcznym lontem.

Wężowy Kwiat.

To właśnie Pieter tak ją ochrzcił, choć nie miało to nic wspólnego z metaforyką. Zaczerpnął to imię ze starego kryminału, bodajże autorstwa Richtera-Fricha, którego wprawdzie nie czytał, ale nabył go za marne grosze w pakiecie z dziesięcioma innymi pozycjami z tego samego gatunku w antykwariacie Willmotta.

Wężowy Kwiat z Samarii, jako że zagroda rodziny Kallów nazywała się właśnie Samaria. W okolicach K- nie brakowało gospodarstw i miejscowości o biblijnych nazwach. Jeruzalem. Kana. Kafarnaum. Jedna z największych i najbardziej znanych farm świńskich w rejonie mieściła się

w Betlejem. Jeśli Nasz Pan chciał być wszechobecny, to w naszym zapomnianym zakątku kraju był jak najbardziej.

W tamtych zapomnianych czasach.

Wymyślone przez Pietera imię nie przyjęło się jakoś szczególnie. Mówiliśmy tak na Verę tylko czasami i to tylko w naszym gronie, ale któryś z nas musiał to potem wyśpiewać jakiemuś dziennikarzowi, bo kiedy gazety zaczęły pisać o sprawie, tak właśnie ją określano. Wężowy Kwiat z Samarii.

A kiedy na wszystkich tych zdjęciach widziało się jej piękną, nieco tajemniczą twarz, trzeba było przyznać, że przezwisko było trafne.

Wyprzedzam jednak przebieg zdarzeń.

Tego roku zakończenie szkoły było zaplanowane na dwudziestego dziewiątego maja. Dwa dni wcześniej, w czwartek dwudziestego siódmego, zorganizowano tradycyjny bal. Zgodnie ze starym zwyczajem odbył się on w sali jadalnej Gmachu Limburgskiego, tak zwanej Limburgski, dostojnej budowli bogato zdobionej stiukami, gzymsami oraz kryształowymi żyrandolami, gdzie podobnego rodzaju uroczystości organizowano już od jakiegoś trzynastego wieku.

Z zasady program balu dzielił się na trzy części.

Najpierw uczestnicy po pańsku zjawiali się w maturalnych garniturach bądź sukienkach. Wypijali bąbelki w imponującym foyer, którym wśród kolumn z czarnego granitu przechodziło się po pięciu stopniach z polerowanego kamienia pomorskiego do sali. Towarzyszyły temu natchnione rozmowy uczniów z nauczycielami. Tego wyjątkowego wieczoru po raz pierwszy – i oby ostatni – człowiek znajdował się bowiem na równej stopie ze swoimi mentorami oraz prześladowcami.

Po tej napawającej niemałym stresem półgodzinie zaczynała się długa kolacja, podczas której uczniów w miarę możliwości sadzano przy jednym

z pedagogów, by musieli udowodnić, że posiadli sztukę konwersowania przy stole, że nie rozlewają wina i piją z umiarem, szanują ojca swego i matkę swoją oraz szkołę i potrafią się zachować pod każdym innym względem. Nie rozmawiano o Wietnamie czy o sytuacji w Gazie, uchowaj Boże.

Trzy dania, kawa, a to wszystko okraszone niekończącymi się przemowami. *O Jerum*, a do tego wpadający przez okna zapach kwitnących drzew owocowych. Studenckie pieśni – słowem, wieczór namaszczony przez bogów.

Na trzeci komponent składały się tańce oraz wizyty w barze. Grał szkolny band, w repertuarze mając mieszankę niekontrowersyjnych utworów popowych i jazzowych. Holliesów i tym podobne. Kończyło się około pierwszej, najpóźniej drugiej. Wszyscy liczyli na to, że ciało pedagogiczne – jak co roku – rozejdzie się, już kiedy orkiestra zacznie grać do kotleta.

Jak co roku goście dopisali. Frekwencja była niemal stuprocentowa, zarówno wśród młodych, jak i starszych. Pojawił się nawet porośnięty mchem profesor Krüggel, który przysypiał nawet na własnych lekcjach. Był i pan Bisserman, absolwent dwóch kierunków studiów, o którym mówiono, że jest gejem i że pije.

I Wężowy Kwiat.

Czterdzieścioro dwoje nauczycieli i nauczycielek, dokładniej licząc, Jej Magnificencja Dyrektorka Laugermann i sto dziewięćdziesięścioro sześcioro uczniów.

Sto dziewięćdziesięścioro sześcioro przyszłych studentów i studentek wkraczających na nową drogę życia. Choć jedno z nas z tej drogi miało zejść.

Jak zwykle przyjechała na rowerze. Wczesnym popołudniem. Zimą ze wsi dojeżdżało się autobusem, ale w lecie królowały dwa kółka. Sukienka, buty i dodatki spakowane w papierowej torbie przypiętej do bagażnika. Kąpiel i zwyczajowe przygotowania u przyjaciółki Claire Mietens, w okolicy Deijkstraat. Potem wspólne przejście do Limburgski, uroczystości i powrót do domu. Nie umówiły się na to, że Vera przenocuje u Mietensów, mimo że nie byłby to problem.

To znaczy nie byłby dla Mietensów, dla Adolphusa Kalla – owszem. Vera miała spać w domu. Po zakończeniu imprezy miała wrócić na rowerze. Nieco ponad mila przez las w letnią noc, nie było, o co się kłócić. Bóg trzyma pieczę nad swoimi...

Wiele o tym pisano.

O irracjonalnym i przestarzałym podejściu Braci Aaronowych do młodzieży. I uporze pastora Kalla. Pozwolić na to, by młoda ładna dziewczyna jechała sama nocą przez las. Czy to rozsądne? Czy to po chrześcijańsku?

Jakimś znakiem musiało chyba być to, że sprawy potoczyły się, jak się potoczyły?

Tak pisano w gazetach, choć w zasadzie nikt nie wiedział, jak się potoczyły. Może poza Panem, ale on milczał.

Pisano i dociekano. Bo po tej nocy Very Kall już nikt nigdy nie zobaczył. Wzięła udział w wiosennym święcie młodzieży wraz ze stu dziewięćdziesięciorgiem pięciorgiem rówieśników. Dwudziestego siódmego maja 1967 roku. Piła szampana i rozmawiała na schodach przed salą. Zasiadła do stołu. Zjadła trzy dania, wysłuchała przemów, śpiewała pieśni, przydawała blasku imprezie, zwłaszcza swojemu towarzyszowi, obok którego siedziała, panu Lungerowi. Jednak w przerwie między kolacją a tańcami zniknęła.

W którymś momencie. Według policyjnego śledztwa Wężowy Kwiat z Samarii opuściła przyjęcie tuż po dwudziestej trzeciej. Chwilę wcześniej ostatni świadek – niejaka Beatrice Mott – widziała ją w damskiej toalecie. Ostatni z dwustu pięćdziesięciorga jeden (wliczając w to kelnerów i kelnerki) świadków, których w pierwszych tygodniach przesłuchiwała policja z K- (wsparta przez pół tuzina funkcjonariuszy z komendy wojewódzkiej).

Przesłuchiwała i przesłuchiwała. Raz, drugi, trzeci.

Kilka minut po dwudziestej trzeciej (najpewniej niewiele, bo przecież Vera zwracała na siebie uwagę) wyszła z sali, zabrała rower ze stojaka pod kasztanowcem, wyruszyła w letnią noc i zniknęła bez śladu.

Ludzie dowiedzieli się już następnego wieczoru. I tyle samo wiedzieli po trzydziestu latach.

Piszę „ludzie”. Mam swoje powody.



## 4

W poniedziałek rudowłosa nie przyniosła mi śniadania na tacy, zjadłem więc w restauracji hotelowej. Wbrew swojemu zwyczajowi wypilem dwie filiżanki czarnej kawy. W nocy spałem niespokojnie, chyba coś mi się śniło, ale nic, co bym pamiętał. Z reguły nie przypominam sobie snów, choć akurat tego ranka nietrudno było się domyślić, ku czemu się skłaniały.

Ku Verze, naturalnie. Siedząc przy stoliku pod oknem i przeglądając bez zainteresowania gazety, próbowałem wykoncypować, co jest grane.

Co właściwie mogło znaczyć to, że kobieta, która zginęła przed trzydziestu laty, chciała się teraz ze mną skontaktować.

Czy może wcale nie zginęła? Czy przez cały ten czas żyła w ukryciu?

Czy też tajemnica jej zaginięcia została wyjaśniona, o czym nie wiedziałem? Pięć, dziesięć lub piętnaście lat później, tylko ja o tym nie słyszałem? Rzecz jasna nie było to wykluczone, przecież całkowicie zerwałem kontakty z K-. Mimo wszystko wydawało się to mało prawdopodobne.

Od zawsze zakładałem, że Vera nie żyje. Że tej ciepłej nocy przed trzydziestu laty spotkała na swej drodze zabójcę. Jakim cudem bowiem mogłoby się jej udać uciec i ukrywać się... cóż to pytanie wałkowałem ja i wielu innych przez długi czas, ale nikt nawet nie zbliżył się do rozsądnej odpowiedzi.

I dlaczego? Dlaczego miałyby zniknąć bez ostrzeżenia? Na dwa dni przed końcem liceum.

Wykluczone. To się nie mieściło w głowie.

Tak przynajmniej myślałem do tego poniedziałkowego poranka w czerwcu 1997 roku.

Wstałem od stołu i poszedłem do recepcji. Za wypolerowaną na błysk ladą było pusto, kiedy jednak zadzwoniłem, z zaplecza wyszedł znany mi już wyrostek.

– Przepraszam – powiedziałem. – Tak sobie myślałem o tej wiadomości, którą dostałem wczoraj.

– Tak? – odparł wyrostek, ziewając.

– Jak ją dostarczono?

– Że co? Co ma pan na myśli?

– Przekazano ją telefonicznie czy ktoś ją przyniósł?

Przez chwilę się wahał, spoglądając na mnie zaspanymi oczami.

– Nie mam pojęcia.

– A dlaczego nie ma pan pojęcia?

– Bo nie było mnie tu i to nie ja ją odbierałem.

– A kto miał zmianę, kiedy ją dostarczono?

– A skąd mam wiedzieć?

– Może mógłby pan zapytać kogoś z kolegów?

Pomacał kolczyk w nosie i spróbował zmarszczyć czoło.

– Być może. Zobaczę.

Żadne inne pytania nie przychodziły mi do głowy. Podziękowałem więc i przy okazji uregulowałem rachunek. Dziesięć minut później opuszczałem hotel Continental, jak się okazało ze zgarą po wypiciu kawy.

Zgodnie z umową spotkałem Urbana na schodach prowadzących do Doggera równo o dwunastej. Taki sentymentalny wybór miejsca był pomysłem Urbana.

Spóźnił się kilka minut, domyślałem się, że celowo. Po prostu chciał widzieć, jak tam stoję. Wkroczyć powoli przez kutą żelazną furtkę. I udawać, że dopiero co mnie dostrzega. Zanieść się tym swoim dudniącym śmiechem i rozłożyć ramiona w braterskim geście.

Wszystko potoczyło się właśnie według tego scenariusza. Omal nie zmiażdżył mnie swymi misiowymi uściskami.

– Niech mnie licho, Henry, niech mnie licho – parsknął.

– Urb... – udało mi się wydusić. – Puszczaj.

Kłamstwem byłoby powiedzieć, że zmałał. Sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i mniej więcej tyle samo kilogramów... no cóż, może nie do końca, ale na pewno ważył dobrze ponad setkę. Mimo gęstych, przyprószonych siwizną włosów, brody i okularów łatwo było go rozpoznać. On, kiedy już wypuścił mnie z uścisku i popatrzył na mnie z bliska, stwierdził to samo o mnie.

– No identyczny. Niech mnie szlag, Henry, nic żeś się nie postarzał.

– Ty też nie. Niczym ten zroszony fiołek, jak zawsze.

– Ażeby cię.

– Ciebie też.

Wymieniliśmy jeszcze z tuzin równie wyrafinowanych uwag. Potem Urban wyjął z kieszeni marynarki butelkę z połyskującym na zielono płynem. Nie było na niej etykiety. Urban zdjął zakrętkę i rzucił przez ramię. Z doniosłą miną podał mi butelkę.

– Ambrozja z sześćdziesiątego siódmego – wyjaśnił. – Nagrzana w kieszeni wódka limonkowa. Chyba pamiętasz? Witaj i na zdrowie.

Napiłem się. – Do diabła – powiedziałem, przekazując mu butelkę. Urban też łyknął. – Niech mnie, faktycznie podłe – przyznał. Znalazł zakrętkę i zamknął. – W samochodzie jednak mam nieco szlachetniejsze trunki. Pomyślałem sobie po prostu, że przyda się po małym na początek. Kiedy przyjechałeś?

Wyjaśniłem mu, że jestem w K- już od soboty. Urban popatrzył na mnie zdziwiony, potem łupnął mnie w plecy.

– To co, już żeś się rozejrzał po okolicy? Nie musimy tracić czasu na zwiedzanie?

Odparłem, że zobaczyłem, co chciałem, postanowiliśmy więc bez dalszej zwłoki wyruszyć do domku.

Jezioro Lemmeln to wąski zbiornik brunatnej wody, którego południowy koniec przechodzi w czarną, bezimienną rzeczkę, która przepływa przez K-, kierując się dalej ku równinom. Nie wiem, jak często zdarza się, że elementy krajobrazu nie mają nazwy, jednak w przypadku tegoż ciągu wodnego taki stan rzeczy trwał od co najmniej piętnastego wieku. O rzeczce wspominało w szeregu źródeł, ale nigdy nie nazywano jej inaczej jak rzeczka właśnie, ewentualnie Rzeczką. Wyjaśnienie krążyło co niemiara, ale nie natknąłem się na żadne, które było bardziej prawdopodobne od innych.

Z drugiej strony, od północy, Lemmeln otaczało zalesione nabrzeże, tu i ówdzie przerwane rozsypanymi zabudowaniami. Pojedynczymi gospodarstwami i rybackimi domkami, nie powstały tam jednak żadne wioski czy osady.

Letnie gniazdo Urbana okazało się prostą chatą rybacką położoną na krańcu jeziora, sto metrów od drogi. Składał się na nią większy pokój z kominkiem, stołem i czterema fotelami z ratanu, dwóch sypialni i kuchni z bieżącą wodą, za to bez prądu. Kuchnia i lodówka zasilane były z butli

gazowej. Prymitywna sauna znajdowała się za węglem, zaś wychodek nieco głębiej w lesie. Roślinność na brzegu była wykarczowana, a porośnięta trawą ziemia opadała w stronę wody.

Pod prowizorycznym daszkiem z papy leżała nakryta plandeką łódka oraz kilka nierównych stosów drewna.

– *Voilà* – powiedział Urban, klepiąc mnie po plecach. – Witaj w Urbanhall. Byłem tu na Wielkanoc, ale pewnie trochę się zatęchło w środku.

Owszem. Otworzyliśmy okna i drzwi na oścież i przez jakiś czas wymiataliśmy sznurze bobki z kątów, wnosiliśmy bagaże i sprawunki. Jak dotąd dzień był pochmurny, ale w południe zaczęło przebijać słońce. Kiedy już uporaliśmy się z praktycznymi obowiązkami – włączyliśmy lodówkę, włożyliśmy piwo do beczki z wodą, wyciągnęliśmy łódkę na wodę i znaleźliśmy wiosła – wykąпалиśmy się w jeziorze, skacząc do niego z chwiejnego pomostu. Urban wołał wylegiwać się przy brzegu z cygaretką w ustach, ja natomiast wypuściłem się dość daleko w ciemną toń. Bez wątplenia chłodna woda przynosiła orzeźwienie; woda i cisza, którą przerywały jedynie pojedyncze wołania ptaków oraz odgłos rąbanego gdzieś w oddali drewna. Szybko przepełniło mnie poczucie, że czas – te wszystkie minione dekady – nabierały nowego znaczenia w tym spokoju. Jakby nowego wymiaru. I tak na przykład widok Urbana po tylu latach nie zrobił na mnie większego wrażenia. Czułem się, jak byśmy w zasadzie nie widzieli się raptem przez kilka tygodni. Nagle z całą mocą odczułem, co znaczy względność czasu, jego zmienne zagęszczenie.

Sekundy, dni, lata? – pomyślałem raz jeszcze, robiąc kolejne okrążenie w wodzie i przyglądając się otaczającemu jezioro lasowi. Kiedy spojrzę się we wsteczne lustro życia, jedna sprawa nie wydaje się większa od drugiej. A może to samo dotyczy teleskopu przyszłości.

Potem zacząłem płynąć z powrotem, ponieważ zrobiłem się głodny.

Przez cały dzień Urban ani razu nie wspomniał o swojej książce, która ponoć była powodem naszego spotkania, jednak po obiedzie (solidnym ragoût z cielęciną z marynowanymi cebulkami i ogórkami konserwowymi, które ugotował zupełnie sam, mimo moich propozycji pomocy) temat wreszcie się pojawił. Z nadobną miną Urban wyjął gruby plik papierów z czarnej zniszczonej teczki i oznajmił, że teraz, do cholery, będę mógł sobie odbić.

Z uśmiechem wziąłem od niego manuskrypt. Kartki nie były ponumerowane, ale całość – sądząc na oko – miała jakieś dwieście pięćdziesiąt do trzystu stron. Zerknąłem na tytuł i ku swemu przerażeniu zorientowałem się, że to kryminał. Nie wiem doprawdy, czego się spodziewałem, chyba niewiele się nad tym zastanawiałem, niemniej jednak sporym zaskoczeniem było dla mnie to, że Urban popełnił powieść w tym właśnie gatunku.

*Mucha i wieczność*, tak ją nazwał. Po chwili znów zawisła nade mną historia Vera Kall. Na wpół świadomie udawało mi się trzymać ją z dala od siebie przez całe popołudnie, teraz jednak dopadła mnie z nie mniejszą mocą.

– Vera Kall – powiedziałem tak lekkim tonem, na jaki było mnie w tym momencie stać, i wskazałem na tekst – À propos kryminałów... nigdy nie wyjaśniło się, co się właściwie z nią stało?

Urban nie odpowiedział od razu. Bawił się szklanką z koniakiem, przyglądając mi się znad okularów w metalowych oprawkach. Nagle poczułem pot występujący na dłonie.

– Wiesz co – powiedział. – Zawsze miałem przeczucie, że ty wiedziałeś na ten temat więcej niż pozostali... Ale nie, cholera, nic się nie wyjaśniło.

Przełknąłem ślinę. Chlusnąłem sobie koniaku i szybko starałem się rozważyć, na ile mogę ufać Urbanowi. Zastanawiałem się też, czy faktycznie chcę rozgrzebywać coś, co zakopałem dawno temu.

No ale czy ta historia mimo wszystko nie wypłynęła znów na powierzchnię? Koperta z krótką wiadomością do mnie leżała w kieszeni wiszącej na drzwiach marynarki. Czy sprawi większą różnicę to, że pokażę ją mojemu gospodarzowi? Co on o niej powie?

Urban chrząknął. – Jeśli faktycznie jest tak, że... że coś wiesz, to możesz mi śmiało powiedzieć. Pięć lat temu sprawa uległa przedawnieniu. Jeśli to ty ją zabiłeś, to i tak ci to ujdzie na sucho.

Zaniósł się takim śmiechem, że ratanowe krzesło aż zaskrzypiało. To przypieczętowało sprawę.

## 5

Garnitur był dla mnie udręką.

Bez wątpienia uszyto go wedle wszelkich zasad sztuki. W marcu mama przyjechała z wizytą i zaciągnęła mnie do krawca Suurny, który zdjął miarę, łaskocząc mnie w kroku. Efekt jego starań odebrałem w przeddzień przyjęcia w Limburgskiej. Stałem przed lustrem i aż mnie zamurowało od całej tej elegancji. Biała koszula, krawat, czarne spodnie z krepy, buty z kantem niczym na polskich konserwach. A do tego prawdziwe piekło – kamizelka.

Udręka, jak mówiłem. Na zewnątrz wszystko wyglądało w porządku, ale w środku czułem się jak żywcem wsadzony do trumny. Sztucznie. Niczym wytresowana mała przybrana w pióra. Okropnie.

Następnego wieczoru, kiedy spotkałem Pietera i Urbana, którzy czekali na mnie kilka przecznic od Limburgskiej, okazało się, że i oni nie wyglądali na wiele szczęśliwszych. Marna to jednak była pociecha. – Cholera. – powiedział Niels. – Wy też macie wykrochmalone gacie?

– *Sure* – westchnął ponuro Pieter. – *Every inch* <sup>2</sup>.

Pieter już wtedy był anglofilem.

Przejście przez foyer w Limburgskiej okazało się kolejnym testem. Przez dwadzieścia minut przyszło mi rozmawiać z Jej Magnificencją Dyrektorką



Laugermann, naszym chemikiem Hörndlim i z bliźniaczkami Siewertz znanymi z małomówności i donośnego śmiechu. Rozlałem nieco szampana na jedną z nich, ale Hörndli ze spokojem oznajmił, że wyschnie i że przecież są dwie, więc ludzie mogą patrzeć na tę, która nie ma plam.

– Hehehehe – zarechotała Ada Siewertz.

– Hihihih – zawtórowała jej Beda.

– Co sądzicie o tegorocznym repertuarze operowym naszego teatru? – zapytała dyrektorka.

Przy stole okazało się, że znów nie miałem szczęścia. Na lewo ode mnie siedziała stara pani Glock, matematyczka. Mnie nigdy nie uczyła, wiedziałem o niej tylko tyle, że jest samotna, a w czasie ferii świątecznych próbowała odebrać sobie życie. Na prawo od siebie miałem równie rozmowną kolumnę dorycką, natomiast naprzeciwko nieśmiałego, nerwowego chłopaka z klasy biologicznej. Nazywał się Paul i miał egzeme na szyi. Było ona zresztą też jego głównym hobby.

Z racji wieku i doświadczenia to pani Glock podjęła pierwszą i jedyną próbę wszczęcia konwersacji. Miało to miejsce po około dziesięciu minutach. – Jakie masz plany na lato? – zapytała, patrząc na Paula, którego najwidoczniej znała, bo był jej uczniem, bądź też uznała go za pokrewną sobie duszę.

– Co? – odparł Paul.

– Jakie masz plany na lato?

– Nie wiem. – Paul wbił wzrok w stół.

Potem już nie odezwaliśmy się ani słowem. Dopóki miałem jedzenie na talerzu, mogłem się w nie wpatrywać. Ani Paul, ani pani Glock nie pili wina, musiałem więc zadowolić się wznoszeniem toastów do kolumny. Obok Paula siedziała Marieke van der Begel – ta którą pocałowałem, za co

dostałem po nosie – ponieważ jednak między nami stał potężny bukiet, nie mogłem nawet złapać z nią kontaktu wzrokowego. Może to i lepiej.

Kiedy wreszcie po dwóch i pół godziny zaczęła przygrywać muzyka, zdążyłem się już utwierdzić w przekonaniu, że trzeba się zmyć do domu. Wprawdzie reszta wieczoru nie mogła się okazać gorsza, ale byłem po prostu wykończony. Psychiczenie i fizycznie. Uwięziony w poliestrowej trumnie (z domieszką dwudziestu procent bawełny) i depresyjnym kącie, pomiędzy niedoszlą samobójczynią i badaczem egzemy... *Użyjmy dziś żywota, wszak żyjemy tylko raz...* pocałujcie mnie gdzieś – pomyślałem.

Wyszedłem na dwór. Był ciepły pachnący wieczór. Żeby się nie pospieszyć z decyzją, postanowiłem, że zapalę papierosa i przespaceruję się wokół budynku. W połowie papierosa wpadłem na nią. Najpierw na jej rower, a potem na samą Verę Kall.

Czarna damka stała niedbale zaparkowana na chodniku, oparta o szary transformator. Na bagażniku tkwiła nieduża torba. Vera najpierw pojawiła się jako biała plama na tle dziko zarośniętego ogrodu na działce Gillbergska. Stojący tam kiedyś dom spłonął jakoś po wojnie, a od tamtej pory teren porastały chaszczce. Świetna kryjówka na każdą okoliczność: jeśli chciało się w tajemnicy wypalić dymka. Albo łyknąć ciepłej wódki limonkowej. Albo po prostu się wysikać.

To pewnie tej ostatniej czynności oddawała się tam chwilę wcześniej Vera, nie pytałem jej jednak.

– Cześć – powiedziałem po prostu.

– Henry? Cześć, Henry – odparła, wygładzając sukienkę. – Jak tam?

– A u ciebie? – skontrolowałem. W tym momencie zorientowałem się, w jakim jest stanie.

Była pijana.

Vera Kall. Wężowy Kwiat z Samarii, nasze ukojenie z lekcji niemieckiego, walkiria naszych mokrych snów, pozwoliła sobie na zbyt dużo dobroci i teraz chwiała się na obcasach. Nie na szpilkach, ma się rozumieć, ale jednak. – Mój Boże – pomyślałem. To nie może się dziać naprawdę.

– Tak dziwnie się czuję. – Zachichotała, podpierając się o rower. Przyglądała gęste, ciemne włosy i popatrzyła na mnie zielonymi oczami.

– Dokąd... dokąd idziesz? – zapytałem, czując, że garnitur znów zaczyna uwierać.

Spoważniała. – Do domu – odparła. – Muszę jechać do domu. Jest jedenasta... chociaż...

– Chociaż co? – zapytałem.

– Nie czuję się najlepiej... to znaczy czuję się dobrze, ale tak jakoś dziwnie.

– Miło spędziłaś czas na balu? – Wskazałem ręką w stronę gmachu Limburgskiej.

Znów się rozpromieniła. – Bardzo! Rozmawialiśmy, śmialiśmy się i śpiewaliśmy... nie jestem do tego przyzwyczajona... A ty się nie bawiłeś dobrze?

– Nie najlepiej – przyznałem. – Wylądowałem w kiepskim miejscu.

Delikatnie skinęła głową, po czym wzięła kilka przesadnie głębokich wdechów.

– Muszę już jechać.

Nie ruszyła się jednak, by wsiąść na rower, tylko wciąż się na mnie patrzyła. Nagle poczułem krew napływającą do twarzy.

– Ten... nie chcesz wracać?

– Nie – Energicznie pokręciła głową. – Nie mogę. Tak dziwnie się czuję.

Nagle dało się słyszeć zbliżające się głosy. Toczyłem walkę wewnętrzną. Podjąłem decyzję. – Chodź – powiedziałem. Chwyciłem kierownicę roweru jedną ręką, a drugą położyłem na ramieniu Very. Kiedy poczułem skórę na jej plecach, na sekundę pociemniało mi przed oczami, odzyskałem jednak panowanie nad sobą. – Chodź. Odprowadzę cię kawałek.

Posłuchała bez protestów, nie zdjęła też mojej ręki z ramienia. Zanim to nadchodzące rozbawione towarzystwo zdołało nas dostrzec, wprowadziłem nas na Günders steeg, wąską, ciemną i pachnącą jaśminem uliczkę. Muszę coś powiedzieć, pomyślałem. Muszę coś wymyślić. Gadaj, coś, gadaj.

– Dlaczego musisz jechać do domu? – udało mi się wreszcie wydusić. Rzecz jasna znałem odpowiedź, ale tylko to pytanie przyszło mi do głowy po tych godzinach spędzonych na balu w tym milczącym towarzystwie.

– Bo tata – odparła po prostu, tonem tak żalonym, że wydawało się, iż zaraz zapłaczą niebiosy.

– Takie buty – odparłem.

Wtedy Wężowy Kwiat czknęła.

A potem zaczęła płakać. Przytuliłem ją nieco bardziej do siebie. Znowu pociemniało mi przed oczami.

– Co się ze mną dzieje? – zapytała, pociągając nosem. – Nie pojmuję, co mi jest.

Przez głowę przemknęło mi dwa tysiące myśli. Żadna w niej nie została.

– Wiem, co ci jest – powiedziałem. – Wypiłaś trochę za dużo wina. Chyba najlepiej będzie, jeśli wstrzymasz się chwilę z powrotem do domu.

Zatrzymała się i popatrzyła na mnie.

Jej połyskujące zielone oczy otaczała obwódka łez. Zrozumiałem, że to najpiękniejsze, co kiedykolwiek udało się stworzyć naszej planecie. Te oczy w tamtym momencie. – Dzięki – pomyślałem. Dziękuję, że mogłem przeżyć tę chwilę.

– Masz na myśli... Masz na myśli to, że jestem pijana?

– Trochę. Tylko troszeczkę. Uważam jednak, że nienajlepszym pomysłem jest wracać teraz do domu.

– Czuć ode mnie?

Stała na palcach, otworzyła usta i chuchnęła mi na twarz.

Sam nie wiem, czy w jej oddechu czuć było alkohol. Wiem tylko, że ją pocałowałem.

Kiedy weszliśmy do mojego pokoju, było za kwadrans dwunasta. Przez ostatnich dziesięć minut niewiele mówiliśmy. Po pocałunku po prostu ruszyliśmy do mnie. Szliśmy przytuleni do siebie przez letnią noc, a ja kilka razy zastanawiałem się, czy to rzeczywiście my tak kroczymy. Ja i ona. Henry Maartens i Vera Kall.

I czy to tego rodzaju myśli nękać zakochanych. Czy to właśnie tak się człowiek czuje i czy wszystko to dzieje się naprawdę.

I czy jutro ziemia dalej będzie się kręcić. Czy słońce wszędzie? Mnie nie sprawiało to różnicy. Jej też nie. Kochałem ją. A ona mnie.

Zdjąłem marynarkę i cisnąłem na mój stacyjny fotel.

– Vera. Chciałbym się z tobą położyć i pospać, choć chwilę.

Nie wiem, czy się tego spodziewałem, ale nie oponowała.

– Dobrze – powiedziała tylko. – Tak zrobimy. Na chwilę.

Potem zrzuciła sukienkę. Odwróciła się do mnie plecami i rozpięła stanik, potem zsunęła z siebie też majtki i wślizgnęła się do łóżka.

Jak najszybciej zrzuciłem ubrania. Dostałem silnego wzwołu, nad którym nijak nie dało się zapanować. Ze wszystkich sił starałem się go ukryć, ale Vera tylko się uśmiechnęła. Nie widziałem tego, ale czułem. Czułem jej uśmiech w tej lekkiej letniej ciemności.

– Chodź – powiedziała.

I nagle okazało się, że kochanie się nie jest trudniejsze od zjedzenia jabłka.

Ciepłej dojrzałej malinówki.

Kiedy się obudziłem, jej już nie było. Zegarek pokazywał dwadzieścia po czwartej, zostawiła mi liścik na biurku.

—

*Jadę już. Nie wiem, co będzie,  
ale wiem, że cię kocham.*

*Vera*

Przeczytałem te słowa sto razy. Kosy szwargotały w ogrodzie. Przeczytałem kolejne sto razy. Potem znów zasnąłem.

## 6

Kiedy skończyłem opowiadać, Urban przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo.

– A niech mnie – powiedział w końcu. – Własnym uszom nie wierzę. Przez te wszystkie lata przeczuwałem, że coś było na rzeczy, ale że...

Nie potrafił dokończyć. Wetknął do ust kolejną cygaretkę i dolał nam piwa. Nic nie mówiłem. Czułem się wykończony niczym po grypie żołądkowej. Jakbym nie potrafił wymówić ani słowa więcej po zrzuceniu z siebie tego... tego ciężaru, który wreszcie, po trzydziestu latach, mogłem z kimś podzielić. To było jak poród. Osłabiło mnie. Urban wypił łyk i zapalił papierosa.

– A ta wiadomość? – zapytał. – Ta karteczka z hotelu. Gdzie ją masz?

Wstałem i sięgnąłem po kopertę z marynarki. Podałem mu ją. Kilka razy przeczytał tych kilka linijek ze zmarszczonym czołem. Rozparł się w fotelu i popatrzył na mnie.

– A niech mnie – powtórzył. – Ale dlaczego... dlaczego, u licha, nic nie powiedziałaś? Dlaczego się nie przyznałaś?

Westchnąłem. – Porozmawiajmy o tym jutro – poprosiłem. – Teraz już nie dam rady.

Wyglądał na nieco zawiedzionego, przybrał jednak pełną zrozumienia minę i powiedział z ojcowską troską: – Nie ma sprawy. Co jednak oznacza

ta wiadomość? Podpisano ją Vera Kall. Do cholery, nie wierzysz chyba, że ona... Nie, ni w ząb tego nie pojmuję.

Łyknąłem solidny haust piwa, którego gorycz aż przyprawiła mnie o łzy. Zamrugąłem i popatrzyłem na ciemną, gładką jak lustro toń jeziora.

– Ja też nie – odparłem. – Mówiłeś, że możemy zarzucić sieci?

Ja wiosłowałem, Urban siedział na dziobie i ostrożnie, z wprawą rozkładał sieci. Zapowiedział, żebym nie robił sobie nadziei, choć z reguły łapie się kilka okoni i leszczy.

Sunąc powoli po czarnej wodzie, nie mówiliśmy za wiele. Było trochę po północy, wokół panowała martwa cisza. Miało się wrażenie, że tkwimy na obrazie, na nowo zacząłem snuć rozważania nad naturą czasu. Nad tym, jak bardzo nasze pojmowanie go nie zgadza się ze sposobem, w jaki go mierzymy.

Nad tym, jak bardzo nasza intuicja nie zgadza się z rozumem.

Urban uszanował moją prośbę o przełożenie dyskusji o Wężowym Kwiecie na następny dzień, choć widziałem, że przychodziło mu to z trudem. Palił zacięcie, a od czasu do czasu, nadziewając robaki na haczyk, pomrukiwał. Kilka razy przyłapałem go na tym, że przyglądał mi się z głębokim marsem na czole i przymrużonymi oczami. Jakby nagle stracił rozeznanie co do mojej osoby.

Jakby ta historia o mnie i Verze była czymś absolutnie nie do pojęcia, czymś dla niego zupełnie niewyobrażalnym.

A może po prostu zastanawiał się, czy da się o tym napisać kryminał. Kiedy już skończyliśmy zarzucanie sieci i wróciliśmy na ląd, zrobiliśmy szybką wieczorną toaletę, życzyliśmy sobie dobrej nocy i poszliśmy do łóżek. Jako lekturę zabrałem ze sobą *Muchę i wieczność*, zdołałem jednak przeczytać zaledwie kilka stron, zanim powieki nie zaczęły mi ciążyć.



Okazało się, że nie były to kiepskie strony. Przeciwnie. Historia zaczynała się w niewielkiej miejscowości nad morzem, nie wiadomo, gdzie dokładnie. Dwie dziewczynki, kopiąc w piachu, znajdują zwłoki. Język był prosty i surowy. Nie wiem, czego się spodziewałem, wglądało jednak na to, że moja praca redaktorska nie będzie zbyt ciężka. Zawsze coś, pomyślałem, gasząc lampę.

– I co masz zamiar teraz zrobić? – zapytał Urban, kiedy następnego ranka zasiadaliśmy do śniadania pod południową ścianą domku.

– Zrobić? Co masz na myśli?

– Do diabła! Chyba po tym wszystkim nie planujesz siedzieć tu beczynn timer na tyłku? Na litość boską, przecież być może mamy w ręku klucz do rozwiązania zagadki kryminalnej, nad którą policja głowiła się przez trzy dekady.

Wziąłem do ust łyżeczkę jogurtu z miodem i zacząłem się zastanawiać.

Z jednej strony nad jego delikatnym przejściem od *ty* do *my*. Z drugiej zaś nad tym, na ile rozsądne było wtajemniczenie go w mój sekret. Wyglądało na to, że tego ciepłego, bezchmurnego poranka mój pisarz kryminałów w schizofrenicznym zapędzie zupełnie przejął dowodzenie.

– Henry, do cholery, odpowiedz! – nalegał. – Skoro powiedziałeś A, to musisz powiedzieć B. Dlaczego milczałeś przez te wszystkie lata? Obiecałem, że poczekam z tym pytaniem do dziś, no i nadeszło dziś. Dlaczego nie powiedziałeś policji, że ona była u ciebie tej ostatniej nocy? Na Boga, przecież kochałeś się z Wężowym Kwiatem tuż przed tym, jak zaginęła. To wszystko zmienia...

– To nie zmienia niczego – przerwałem mu.

– Co masz na myśli?

– To, co mówię. To nic nie zmienia. Wszyscy wiedzą, co Wężowy Kwiat robiła do godziny dwudziestej trzeciej dwudziestego siódmego maja 1967

roku. O której przysłała na przyjęcie, obok kogo siedziała, o czym rozmawiała i o której wyszła. Ja akurat wiem, co robiła przez kolejne trzy, cztery godziny. I jakie to ma znaczenie?

Urban przez chwilę się zastanawiał.

– Myślisz, że po wyjściu od ciebie ruszyła na rowerze do domu?

– A co innego mogła zrobić?

Wzruszył ramionami. – A dlaczego milczałeś?

– A dlaczego nie miałem milczeć?

Powiedziałem to lekkim tonem.

W zasadzie jednak sam nie wiedziałem, dlaczego poszedłem tą drogą. Nigdy tego nie zrozumiałem. Właściwie to nawet nie była świadomie podjęta decyzja. Kiedy pojawiła się ta szokująca wiadomość o zaginięciu Very, nikomu nie wspomniałem o naszej wspólnie spędzonej nocy, a potem z każdym dniem wydawało się to coraz bardziej nie do zrobienia.

Zachowałem to więc dla siebie. Nikt o tym nie wiedział, nikt nas nie widział. Naturalnie był to zbieg okoliczności, ale tak było.

Tak było i tak wyszło.

Potem próbowałem, rzecz jasna, usprawiedliwiać się przed sobą, a przychodziło mi to bez trudu. Bo co by się nie przydarzyło Verze tamtej nocy, po tym jak wyszła ode mnie, ja nie maczałem w tym palców. To była podstawa. Byłem niewinny. Wystarczającą karą były frustracja i rozpacz, które dopadły mnie, kiedy zrozumiałem, że ona już nigdy nie wróci. Nie było po co jeszcze dobijać się ściąganiem na siebie podejrzeń. Absolutnie nie.

Marzenie ściętej głowy na kilka godzin spełniło się niczym w bajce, tylko po to, by zmienić charakter i na resztę życia stać się koszmarem. Bo tak to wyglądało. Tak się czułem.

Takie start i lądowanie.

A jej rodzice? Czy istniały jakieś rozsądne przesłanki ku temu, by dokładać jeszcze jeden kamień do ich brzemienia, oznajmiając, że Vera się upiła, a ostatnią rzeczą jaką zrobiła, było pójście do łóżka z chłopakiem...? Może i nigdy nie żywiłem sympatii do Braci Aaronowych i ich nauk, ale trudno było uznać, że moje wyznanie mogłoby czemuś służyć.

– No dobra – powiedział Urban, przeżuwszy już kanapkę z kiełbasą oraz kolejne myśli. – Miałeś swoje powody. Mimo wszystko jednak... przecież to rzuca zupełnie nowe światło na sprawę.

– Bynajmniej – odparłem. – Tamtej nocy jakiś szaleniec zamordował Verę. Moja historia zmienia co najwyżej tyle, że stało się to kilka godzin później niż sądzono. Nic ponad to.

– Zapominasz o jednym – wtrącił Urban.

– O czym?

– O wiadomości w hotelu. Czyżbyś już dostał udaru słonecznego?

Westchnąłem.

– To żart – powiedziałem.

– Żart? – prychnął Urban. – Co za głupoty wygadujesz? Czy komukolwiek innemu opowiadałeś o waszej nocy?

Niechętnie pokręciłem głową.

– No widzisz. To kto niby miałby napisać taką wiadomość?

Nie odpowiedziałem. Przez kilka minut jedliśmy w milczeniu.

– Gdybyś w głębi duszy nie czuł, że chcesz o tym porozmawiać, to nigdy byś mi o tym nie opowiedział – zauważył Urban z uśmiechem godnym terapeuty.

– Pieprzony psycholog dla ubogich – odparłem. – Idź sobie zajrzeć do pępka, a ja zajmę się zmywaniem.

Pogoda trzymała poziom. Kiedy już sprzątnąłem, przez kilka godzin siedziałem w słońcu, na wiklinowym fotelu, czytając powieść Urbana.

Ona też, według mnie, trzymała poziom. Powoli, ale świadomie autor odkrywał straszną historię sprzed lat, historię o kazirodczym podłożu. W istocie udało mu się wykorzystać dwukierunkowość czasu – wybiegi wprzód i w tył – tak charakterystyczną dla dobrych kryminałów, zaś sama fabuła była ciekawa. Od czasu do czasu robiłem ołówkiem komentarze w miejscach, w których poprawki językowe wydawały się uzasadnione, ogólnie miałem jednak mało zarzutów. Na pewno nie wobec samej intrygi oraz sposobu jej prezentowania.

Urban zaś siedział na drugim krześle i pracował nad plikiem akt, które przywiózł ze sobą. Obaj w zasięgu ręki mieliśmy kawę i piwo, jednak, kiedy zaczęła się zbliżać pierwsza, na słońcu zrobiło się za gorąco. Mój gospodarz przeniósł się pod kasztanowiec, ja zaś po raz kolejny poszedłem popływać w jeziorze.

Kiedy wróciłem, Urban siedział na pomoście z piwem w jednej ręce, papierosem w drugiej, mocząc nogi w wodzie.

– Zastanawiałem się nad jednym – oznajmił. – Czy rzeczywiście takie nieprawdopodobne jest to, że ona żyje? Że tamtej nocy skorzystała z okazji i uciekła? Może to był jeden z tych momentów w życiu, kiedy przed człowiekiem nagle otwierają się drzwi. Może przed Verą nagle pojawiła się możliwość, by przez nie wyjść i zacząć nowe życie... i zrobiła to. Pewnie to żadna frajda mieszkać wśród takich fanatyków.

– Nie wiem – odparłem. – Myślałem o tym przez trzydzieści lat... czy też może przez trzydzieści lat miałem nadzieję. Jeśli jednak miałbym być szczery, to nie wierzę w to.

– Dlaczego? – zapytał zaciągając się.

Wskrobałem się na pomost. – Dokąd niby miałyby pójść? Gdybyśmy mieszkali w Londynie, Paryżu czy Nowym Jorku, to może, ale córka

gospodarza z Samarii pod K-... nie, nie da się ot tak pojechać na rowerze do nowego życia.

– Na rowerze? – zdziwił się Urban. – Nigdy nie znaleziono jej roweru, prawda?

– Nie, o ile mi wiadomo, to nie.

Urban palił, pił i rozmyślał.

– Czyli zabójca zakopał ją i tego wraka, tak?

Nie odpowiedziałem. Odsunąłem tylko od niego szklankę z piwem. – No już dobra, dobra. Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. Poczekamy, zobaczymy. Tak czy inaczej dobrze się trochę przygotować.

– Co masz na myśli, do cholery?

Urban mi nie odpowiedział, ale kilka godzin później, po południu, stało się coś, co było dla jego teorii prawdziwą wodą na młyn. Dosłownie. Kiedy ja wybrałem się na spacer po południowym brzegu jeziora, mój pisarz kryminałów zajął się sześcioma okoniami, które nad ranem wyjął z sieci, a które miały stanowić nasz obiad. Kiedy wróciłem, czekał na mnie na podwórku, a jego brodę przecinał krzywy uśmiech.

– Tajemnicza atmosfera się zagęszcza – oznajmił.

– Gruby człowiek mówić rozszczepionym językiem – odparłem.

– Vera Kall przyjedzie w sobotę.

– Co u licha?!

W głowie mi pobiełało, usiadłem na wiklinowym fotelu. Skąd biel? – pomyślałem skołowany. Dlaczego nie czerń jak zwykle? Urban przyglądał mi się z zainteresowaniem, potem pomachał mi przed oczami telefonem komórkowym. Jednym z tych najnowszych modeli, niewiele większym od paczki papierosów.

– Zadzwoń – wyjaśnił. – Na ten numer. Vera Kall. Przyjedzie w sobotę, chce z tobą porozmawiać.

– To niemożliwe – wydusiłem.

– Nie ma rzeczy niemożliwych. – Urban wetknął do gęby kolejnego papierosa. – Napijesz się piwa?

## 7

Tego drugiego wieczoru siedzieliśmy i dyskutowaliśmy do późna. Powietrze było ciepłe, oczywiście wokół brzęczały komary, ale kilka dymiących lampek naftowych trzymało je na dystans.

Cygaretki Urbana też. Pfitzerboomy, ten gatunek o słodszy aromacie. Jak twierdził, przed piętnastu laty przerzucił się na nie z luugersów i od tamtej pory pozostał im wierny.

Rozmawialiśmy zarówno o wspomnieniach z liceum, jak i o Verze. Z jakiegoś powodu opuściłem mentalną gardę, kiedy usłyszałem, że ma zamiar nas odwiedzić. Nie dało się po prostu dłużej odpierać ataków Urbana.

Może zresztą wcale nie miałem na to ochoty. Pod pewnymi względami odczuwałem ulgę, że było nas dwóch, mimo że wcześniej wyzwałem go od psychologów amatorów i tym podobnych. Jeśli Wężowy Kwiat rzeczywiście żyła i chciała ze mną rozmawiać, to potrzebowałem wszelkiego możliwego wsparcia. Nawet ze strony kogoś takiego jak Urban.

Nie umiałem osądzić, czy to dobrze czy źle, że Urban zaczął wpadać w zawodową rolę terapeuty. Kiedy tak siedzieliśmy, argumentując, od czasu do czasu wydawało mi się, że traktował mnie zdecydowanie bardziej jak pacjenta niż jak przyjaciela sprzed lat.

Może jednak tylko to sobie ubzdurałem. Zresztą, nie obchodziło mnie to za bardzo. Kwestię podjęcia decyzji przed sobotą zostawiłem w rękach Urbana. Tak przynajmniej mi się wydawało tego wieczoru, szybko przekonałem się bowiem, że jeśli już przepuściło się diabła przez most, to się przepuściło i tyle. Mimo swojej profesji Urban nie uznawał dyskrecji i taktycznych odwrotów.

Tak czy inaczej pytań było bez liku. Zwłaszcza ja miałem ich sporo co do rozmowy telefonicznej: Jak brzmiała? Co mówiła? Rozpoznałeś ją? Skąd, u licha, mogła wiedzieć, że tu jestem?

Urban odpowiadał mi po kolei.

Mówiła spokojnie i w poukładany sposób. Przedstawiła się po prostu jako Vera Kall i zapytała o mnie. Urban powiedział jej, że minęło sporo lat i że ja niestety akurat spaceruję wokół jeziora...

Wtedy na chwilę się zawahała, po czym odparła, że nie szkodzi, bo ma zamiar przyjechać w najbliższą sobotę, żeby ze mną porozmawiać.

W porze lunchu, jeśli to nam pasuje.

Ależ jak najbardziej, zapewnił ją Urban. Podziękowała, po czym się rozłączyła.

Nie, nie rozpoznał jej głosu i nie zdążył zapytać, jak to, u licha, możliwe, że ona żyje, a do tego wie, gdzie mnie znaleźć. Tak to wyglądało.

– I nie próbowałeś dowiedzieć się niczego więcej? – zapytałem nieco zirytowany.

– Ależ oczywiście – odparł Urban, chuchając mi dymem w twarz. – Zadałem jej wiele inteligentnych pytań, ale niestety ona już się rozłączyła. Mówiłem przecież.

– Dlaczego chciała ze mną rozmawiać?

– Nie powiedziała.

– Myślisz, że to była ona?



- A skąd mam wiedzieć, do cholery?
- Intuicja może ci podpowiadać, na przykład.
- Zapomniałem ją uruchomić.
- Cholerny partacz.
- Jestem na urlopie. Na zdrowie.

Po pewnym czasie, kiedy już postanowiliśmy, że tego wieczoru olewamy zarzucanie sieci, naszą uwagę przykuł pewien wyjątkowy punkt: mianowicie to, skąd ona – Vera Kall czy też jej zastępczyni – tak dobrze znała moje poczynania. Skąd wiedziała, gdzie jestem i jak mnie złapać. Zarówno w Continentalu, jak i w Urbanhall. W tej kwestii można było pozwolić sobie na pewne spekulacje, uważał Urban.

Bowiem bez względu na to (perorowałem), czy Vera Kall żyje, czy też to ktoś, kto się za nią podaje, jasne jak słońce jest, że wszystko wiązało się z moim ponownym pojawieniem się w K-. Moim powrotem na miejsce zbrodni, jeśli można się tak wyrazić. Nie mogło być przypadkiem, że ktoś – Vera czy też panna X – czekał trzydzieści lat, po czym ni z tego, ni z owego postanowił uderzyć akurat teraz. To niemożliwe. Wykluczone. To mój przyjazd wszczął lawinę, podpalił słomę. To pewne jak... amen w pacierzu.

Urban wpatrywał się we mnie, jakby chciał mnie przekonać, że powinienem się zgodzić. Delikatnie skinąłem głową.

- A kto wiedział, że się tu wybierasz?

Chwilę się zastanawiałem. – Moja żona... chociaż nie – przypomniałem sobie. – Nigdy nie mówiłem jej o moich planach. Ekhm, nikt... nikt, innymi słowy. To znaczy poza mną i tobą.

– Ha! – zawołał Urban z triumfem. – To jak ja! Nikomu słowa o tobie nie pisałem... wspominałem, że jadę do domku, ale nawet się nie zająknąłem o żadnym cholernym Henrym Maartensie.

– Dzięki – odparłem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Zatem... – ciągnął Urban, targając się za brodę. – Ktoś się o tobie dowiedział. Wężowy Kwiat albo ktoś inny.

– Wężowy Kwiat albo ktoś inny... – powtórzyłem. – Do jasnej cholery, Urban, to niemożliwe, że ona żyje, wybij to sobie z głowy.

Urban prychnął. – Ty się zajmij swoją głową, a ja się zajmę swoją! Dobrze, to jakie masz wnioski?

Chwilę myślałem. – Żadnych – odparłem.

– Słabo. Czemu mnie to nie dziwi. Ile masz lat?

– Czterdzieści dziewięć. A jakie znaczenie ma mój wiek?

– Ile miałeś lat, kiedy opuściłeś K-?

– Dziewiętnaście. Do rzeczy.

– Przykro mi, jeśli urażę twoją próżność, ale myślisz, że jaka jest szansa na to, że po trzech dekadach ktoś rozpoznałby twoją uczniowską gębę? Ekhm.

Zaciągnął się głęboko papierosem i rozparł w fotelu. Wyglądał, jakby wyjęty z jego kolejnego kryminału adwokat, który zadaje decydujący cios świadkowi koronnemu wystawionemu przez prokuratura.

– Okej – powiedziałem. – Rozumiem. Hotel.

– Otóż to. Podałeś swoje imię i nazwisko w jednym, jedynym miejscu. W Continentalu. I jesteśmy w domu.

A skąd, do cholery, ona wie, że siedzimy tu w środku lasu? – pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos.

Potem poczułem nagły przebłysk w głowie, był jednak tak szybki, że nie zdołałem zrozumieć jego treści. Przekaz nieświadomości, który może dwadzieścia lat temu bym wychwycił, ale teraz wylądował on w niemrawym bagnie wieku średniego.

Jeśli mogę się uciec do takiego obrazowego porównania.

- O czym myślisz?– zapytał Urban. – Robisz zeza.
- O niczym. O niczym, co mógłbyś pojąć.

W nocy śniło mi się, jak się obudziłem.

Jak obudziłem się tamtego ranka, czując zapach ciała Very w łóżku.

W ustach miałem smak jej języka. Wciąż czułem ciepło jej skóry, rąk, piersi, krocza. Było dwadzieścia po czwartej, kosy śpiewały, a jej nie było. Jej nieobecność biła z każdego milimetra kwadratowego mojego tyciego pokoju na stacji. Mojego gniazdka miłości. Naszego gniazdka miłości. Wstałem, odczytałem jej wiadomość, wślizgnąłem się z powrotem do łóżka. Leżałem, napawając się tym niepojętym, świeżo upieczonym szczęściem. Przypominałem sobie wszystko, co robiliśmy przez tych kilka niesamowitych godzin. Wszystko, co mówiliśmy, czego dotykaliśmy. To, że ona mnie kochała.

Potem śniło mi się, jak obudziłem się po raz kolejny późnym przedpołudniem. Jak wyszedłem w lato, jak dzień mijał w przepełnionej słońcem mgłą. Jak szedłem, szedłem i szedłem. Jak późnym popołudniem wybrałem się na stację po rodziców i brata. Przyjechali w związku z zakończeniem szkoły, które miało się odbyć następnego dnia. Zatrzymali się u państwa Reims, u których zjedliśmy obiad. Zostawiłem ich około ósmej. W tym momencie sen zaczął się walić, wszystko powoli znikało wciągane w nieubłaganą spiralę, wir. W powietrzu pociemniało, pojawił się chłodniejszy wiatr. Przeszedłem obok Podłej Bułki, to tam się dowiedziałem. Tam usłyszałem pierwsze pogłoski. Vincent Bauer i Clemens de Broot palili na schodach przed wejściem. Przystanąłem

i zaciągnąłem się od nich kilka razy, wtedy powiedzieli mi, że Vera zaginęła.

Przepadła jak kamień w wodę. Właśnie ona.

Nie ma jej. Nikt nie wie, gdzie się podziała, jak donosiła Ellen Kaarmann, której ojciec był policjantem.

Najpierw odczułem coś jakby zwarcie. Vincent Bauer i Clemens de Broot nagle się skurczyli i zniknęli w wirującym tunelu. Ta sama spirala pojawiła się w treści snu i w jego formie. Ich głosy zniekształciły się w niezrozumiałą paplaninę. Paliłem i paliłem, trzymając się barierki, by nie upaść. Świat się chwiało, ja z nim. Dopadły mnie fale mdłości, nie udało mi się ich powstrzymać, w końcu zwymiotowałem. – Co z tobą, do cholery? – zapytał Vincent.

Wszedłem do kawiarni, gdzie historia zaginięcia już nabrała rumieńców. Tak, Vera wyszła z Limburgski około jedenastej, Fritz Neller i Elizabeth Muijskens rozmawiali z nią zaledwie kilka minut wcześniej. Fritz właśnie grał w kawiarni we flippera. Wyglądało na to, że była nieco wstawiona, ale kto nie był? Hehe. Tak czy inaczej musiała ruszyć do domu, bo nikt nie widział jej przez resztę wieczoru. Jej rower zniknął ze stojaka. Jej ojciec zgłosił się na policję w pół do dwunastej w południe. Następnie obdzwoniono koleżanki z klasy i pytano o nią.

Nikt nic nie wiedział. Jakaś cholerna zagadka. Co o tym myśleć? Co się u diabła stało? Co jej się przytrafiło? Właśnie ona.

Co ja o tym myślę?

Nic nie myślałem. Wypaliłem naprędce dwa papierosy, wgapiając się w grę i walcząc ze sobą, by nie zacząć krzyczeć.

Wciąż siedziałem w śnionej Podłej Bułce, kiedy obudził mnie Urban.

– Krzyczałeś – powiedział.

– Chyba żarty sobie robisz.

– No to źle usłyszałem. Śniadanie gotowe. Po nim musimy trochę podzielać.

Wziąłem dwa głębokie wdechy i obudziłem się na dobre. Zobaczyłem, że jest dziesiąta. Nigdy tak długo nie sypiam. Odchrząknąłem i spróbowałem na nowo ustawić gardę.

– Podzielać? Że niby jak podzielać?

– Mam plan – powiedział Urban. – Przecież nie możemy tu tak siedzieć z założonymi rękami. Na serio krzyczałeś.

Podniosłem się i odciągnąłem zasłonę. I tego dnia świeciło słońce. Lato było w toku. Minęło trzydzieści lat, ale zdawały się nic nie ważyć.

– Chcesz posłuchać? – zapytał Urban.

Pokręciłem głową. Nie pomogło, i tak postanowił się ze mną podzielić swoimi pomysłami.

– Najpierw porządne pożywne śniadanie. Potem nalot na hotel Continental. Im prostszy, tym lepiej. Co ty na to?

– Pójdę popływać i przemyślę to – obiecałem.

## 8

Siedziałem w samochodzie – starym pstrokato-zielonym audi Urbana – on natomiast udał się do Continentalu. Kiedy tak tkwiłem tam z łokciem opartym o opuszczoną szybę, dostrzegłem swoją twarz w źle założonym lusterku bocznym. Zorientowałem się, że wyglądam na zniszczonego. Niemal zaszczutego. Wory pod oczami, dwudniowy zarost. Rybie spojrzenie. Do tego czułem pulsowanie w skroniach, jak to bywa dzień po picciu. Wyszedłem z wozu i w kiosku naprzeciwko hotelu kupiłem sobie butelkę wody mineralnej. Przynajmniej dopilnuję, żeby się nie odwodnić – pomyślałem.

Urban wrócił po zaledwie kilku minutach.

– *Nada* – powiedział, zasiadając na fotelu kierowcy. – Nie udało się.

– A jak to załatwiłeś?

Wzruszył ramionami. – Popytałem w recepcji, ma się rozumieć.

– Kto miał zmianę?

– Cherlawy nastolatek z kolczykiem w nosie. Powiedziałem, że szukam niejakiej Very Kall. Nie skojarzył. Wyjaśniłem, że chyba pracuje w hotelu, odparł, że wcale nie. Zna wszystkich zatrudnionych... na wszystkich stanowiskach, tak twierdził. Swoją drogą, ciekawe czy mają tam jakieś panienki? W każdym razie Very Kall wśród nich nie ma.

– Nie znał jej historii?

Urban pokręcił głową i zapalił pfitzerbooma.

– Najwidoczniej nie. Nie pytałem jednak.

– I nie rozmawiałeś z nikim więcej?

– Nikogo innego tam nie widziałem.

Wypiłem wodę mineralną do dna. – Aha – powiedziałem. – To co teraz robimy?

Urban wypuścił kilka kółek z dymu i odpalił motor. – Plan B. Pojedziemy jej tropem... czy też raczej tropem jej roweru. Wyjmij mapę ze schowka.

Nie było trudno trafić do Samarii. Najpierw przejechaliśmy niecałą milę prowadzącą na zachód szeroką asfaltówką położoną wśród pól. Następnie, na rozwidleniu w miejscowości Kerran, wjechaliśmy w kilkukilometrową krętą drogę żwirową wiodącą przez las. Po chwili dotarliśmy do żółtej, łuszczącej się tablicy z nazwą Samaria. Tam zatrzymaliśmy się na krótką naradę.

Idąca stamtąd droga miała pas trawy pośrodku, ale wyglądała na przejezdną dla samochodów. Nie widzieliśmy żadnych domów, przed nami rozciągał się tylko pachnący las iglasty z masą łubinu, trybuli i rumianku na poboczach. Na samotnym słupie wisiały dwie skrzynki na listy – jedna z nazwiskiem Clausen wypisanym namalowanymi niedawno żółtymi literami. Doszliśmy do wniosku, że w Samarii nadal ktoś żyje.

Urban wysiadł z samochodu, przeskoczył rów i wysikał się pod sosną.

– Zawracamy – powiedziałem, kiedy skończył. – Co nam to niby da?

– Zrobimy rekonstrukcję – odparł Urban.

– Bredzisz. Mamy samochodem przejechać po drodze, którą Vera pokonała na rowerze, w dodatku trzydzieści lat temu i ty to nazywasz rekonstrukcją. Chodź, wracamy do domu i pójdziemy na ryby. To nasz plan C.



– W swoim czasie. Skoro i tak już tu jesteśmy, to zajedziemy tam i rzucimy okiem na miejsce. Załatwimy to na dziennikarzy.

– Na dziennikarzy?

– Dokładnie. Piszę właśnie serię artykułów o niewyjaśnionych zbrodniach. Przyjechaliśmy wyczuć atmosferę miejsca. Ty jesteś moim fotografem.

– Nawet nie mam aparatu.

– Leży w torbie na tylnym siedzeniu.

Sięgnąłem przez oparcie fotela i pogrzebałem w zniszczonej torbie na ramię. Wydobyłem z niej mały, czerwony aparat automatyczny.

– To, na Boga? Myślisz, że zawodowy fotograf pokazałby się z taką zabawką?

Urban rozłożył ręce. – Jeśli wolisz, możesz być moim kierowcą. Jedziemy.

Samaria składała się z żółtego, odnowionego domu oraz stojących po jego bokach dwóch chwiejących się, szarych budynków. Było widać, że to stare gospodarstwo rolne. Liczne akry ciągnęły się w dwóch i pół kierunkach, natomiast na północ i północny-zachód rósł nietknięty ludzką ręką las. Bez trudu dało się zauważyć, że ziemia od dawna leży odłogiem. Na polu, na wysokość człowieka, rósł brzozowo-osikowy zagajnik. Na podwórku stały dwa całkiem nowe samochody świadczące o tym, że to nie widoczna dookoła rola stanowi źródło utrzymania obecnych właścicieli. Urban wjechał na podwórko i zaparkował obok większego z aut, czerwonego, połyskującego volvo. Wysiedliśmy. Na spotkanie wyszło nam dwoje dzieci, dziewczynka i chłopiec w wieku około ośmiu, dziesięciu lat. Przyglądały się nam spod grzywek.

– Szczęść Boże – przywitał je Urban. – Ojciec i matula w domu?

Ojciec i matula byli w domu. Po chwili wśród białych mebli ogrodowych ustawionych w zacienionym kącie trawnika pojawili się mężczyzna i kobieta około trzydziestki. Urban najpierw skomplementował dom, a potem po kolei, trawnik, rabatki kwiatowe, krzewy jaśminu, dzieci, volvo, zacisza ich osady oraz batikowy T-shirt pani Clausen.

Kiedy wreszcie wyłożył im, o co mu chodzi, pani Clausen weszła do domu nastawić kawę.

– Oczywiście, że znamy tę sprawę – powiedział mężczyzna, zapalając papierosa. – Nie jesteśmy stąd, ale agent nieruchomości opowiedział nam całą historię, kiedy kupowaliśmy dom. Trzy lata później się tu wprowadziliśmy.

– Kupili państwo gospodarstwo od rodziny Kallów?

– Od pani Kall – sprostował Clausen. – Dobiegała osiemdziesiątki i mieszkała tu sama od śmierci męża. Dziesięć lat, o ile dobrze pamiętam. Nie dawała już sobie rady, przeniosła się do jakiegoś domu opieki... swoją drogą, zmarła teraz, w kwietniu. Widzieliśmy nekrolog w gazecie.

– Rozmawiali państwo z nią?

– Trochę – odparł Clausen. – Nadal tu mieszkała, kiedy pierwszy raz przyjechaliśmy oglądać to miejsce. Miała problemy z poruszaniem się, starszym osobom nie jest łatwo mieszkać w takich warunkach.

– Nie wspominała nic o swojej córce?

Clausen pokręcił głową. – Nie, dlaczego miałyby nam o tym opowiadać? Jak mówiłem, poinformował nas o tym agent. Straszna historia, tuż przed maturą, i w ogóle... Podobno jeszcze gorzej jest, jak człowiek nie wie, co się stało. Mówią, że taka niewiedza jest cięższa od żalu. Choć podobno ją zamordowano, tak przynajmniej twierdził Jessmar, agent.

Urban pokiwał głową. Kopnął mnie w goleń pod stołem. Zrozumiałem, że nadeszła pora, żebym pstryknął kilka zdjęć.

Spełniłem swój obowiązek. Zrobiłem kilka fotek domu pod różnym kątem. Zacząłem się zastanawiać, który pokój mógł należeć do Very i od razu w gardle pojawiła się gula. Potem przeszedłem się kawałek drogą, którą przyjechaliśmy, żeby wyrobić sobie bardziej ogólne wrażenie tego miejsca. Chłopiec i dziewczynka szli za mną w bezpiecznej odległości, w końcu musiałem ich kilka razy pogonić.

Potem wypiliśmy kawę i rozmawialiśmy o zaletach mieszkania w lesie. Zarówno pan, jak i pani Clausen wydawali się spragnieni takich zachwytów. Z ust własnych i innych.

Po pół godzinie, kiedy już Urban zjadł wszystkie ciastka, podziękowaliśmy im za podjęcie nas. Urban obiecał, że wyśle zarówno tekst, jak i zdjęcia, zapisał im swoje nazwisko, adres i pogłaskał dzieci po głowach.

– Udana operacja – skonstatowałem, kiedy już wyjechaliśmy na drogę. – Trudno nie kryć podziwu, drogi Holmesie.

– No ba. W każdym razie już wiemy, że to tą drogą jechała wtedy na rowerze. – Urban znacząco wskazał ręką na ciągnący się po obu stronach las. – Jeśli... podkreślam, *jeśli*... naprawdę ją zamordowano, to prawdopodobne jest, że gdzieś tu leży. W jakimś bagnie, pogrzebana wraz ze swoim rowerem. Naturalnie do teraz pewnie niewiele już z niej zostało.

– Zamknij się – powiedziałem.

– Przepraszam. Poniósł mnie tok rozumowania.

– Nie przesadzałbym z tym rozumowaniem.

– Hm, chcesz wyjaśnić tę sprawę czy nie, do cholery?

– Wyjaśnienie jest jak najbardziej wskazane – odparłem. – Moje wątpliwości budzą głównie metody. Dlaczego na przykład nie sprawdzimy książki telefonicznej? Może w K- jest jakaś Vera Kall... przecież mogła powrócić tu w tajemnicy.

– Bzdury – odparował Urban. – Po co miałaby wracać, skoro w tak elegancki sposób stąd związała? W książce telefonicznej nie będzie żadnej Very Kall. W spisie ludności też nie. Ani tu, w K-, ani gdziekolwiek indziej w kraju.

– A skąd wiesz?

– A stąd, że sprawdziłem. Jak się wstaje rano, to człowiek ma czas, żeby sporo zrobić. I dobrze, może ta wyprawa niewiele nam dała, ale wiemy przynajmniej, że jej rodzice nie żyją.

Chwilę się zastanawiałem.

– Jeśli jest jeszcze coś, czego można się dowiedzieć, to dowiemy się tego w sobotę.

Urban w zamyśleniu pokiwał głową. – Nie byłbym taki pewny – powiedział. – Bądź co bądź nie mamy pojęcia, z kim mamy do czynienia.

Przez kilka sekund milczałem. – Niech to szlag – powiedziałem w końcu. – Albo z tej wizyty nic nie będzie, albo też coś się wydarzy. Co za różnica.

Urban zwolnił i popatrzył na mnie. – Tylko tak gadasz – stwierdził. – Dziś w nocy krzychałeś przez sen, nie jestem głupi. Tak czy inaczej musimy porozmawiać z kimś, kto coś wie.

– O czym?

– O Wężowym Kwiecie, ma się rozumieć – prychnął. – O sprawie Very Kall. Wpadnie do nas z wizytą jutro, obiecałem mu, że pozna kilka nowych szczegółów, chyba go to bardzo zainteresowało. Mimo że to przedawniona sprawa.

– O czym ty mówisz? – zapytałem, choć już zaczynałem się domyślać.

– O komisarzu Kellerze – odparł i znów przyspieszył. – Tym, który prowadził sprawę w roku 1967. Właśnie stuknęła mu siedemdziesiątka, ale przez telefon głos miał rzeński niczym czterdziestolatek.

Westchnąłem i zamknąłem oczy.

## 9

W środę wieczorem, kiedy Urban przygotowywał jedzenie, ja na godzinę wybrałem się łódką na jezioro. Siedziałem pośród tej wielkiej pustki i próbowałem uporządkować myśli.

Jaki był w zasadzie mój pogląd na to wszystko? Widziałem jedynie dwa warianty, kiedy jednak zacząłem analizować możliwe następstwa ich obu – każde z osobna i po kolei – poczułem, że bardzo szybko wkraczam na kruchy lód.

Jeśli istotnie było tak, że Vera Kall nie zginęła, oznaczało to, że musiała zniknąć tuż po tej upojnej miłosnej nocy, którą spędziliśmy przed trzydziestu laty. Pierwszej dla niej i dla mnie. Na dwa dni przed maturą.

Dlaczego?

Wiedziałem z całą pewnością, że te wspólne chwile przeżyła równie mocno jak ja; wynikało to choćby z wiadomości, jaką mi zostawiła.

I dokąd miałyby pójść? Czy rzeczywiście dałoby się przeprowadzić taki manewr w tak młodym wieku? Mając dziewiętnaście lat? W tamtych czasach, w tak małym mieście?

Czy może ją uprowadzono? Ale kto miałby to zrobić? Uprowadzono i zachowano przy życiu?

I po co miałyby znów pojawiać się w K-? Akurat teraz.

Pytań było co niemiara, a na żadne nie znajdowałem sensownej odpowiedzi.

Zatem nie żyje, stwierdziłem. Tak jak wszyscy sądzili i zakładali. Zginęła tamtej nocy.

Kim zatem jest ta nowa Vera Kall, która chciała ze mną rozmawiać? Kimś, kto coś wie?

Nikt jednak nie mógł niczego wiedzieć. Zastanowiłem się. Jedyne ktoś, kto nas szpiegował lub ktoś, kto spotkał Verę przed śmiercią, mógł mieć jakieś informacje o nas.

Opcji ze śledzeniem nie brałem pod uwagę. Została zatem jedna możliwość. Jedyna. Vera, po tym jak wyszła ode mnie, kogoś spotkała.

Czy ten ktoś mógł być inną osobą niż ten, kto...?

Przez wiele minut siedziałem w łódce bez ruchu, rozmyślając nad tym wnioskiem. Dałem sobie uczciwą szansę na to, by zakorzenił się w mojej niezdecydowanej świadomości.

Być może mu się udało, być może nie. Trudno ocenić. Popatrzyłem na zegarek, chwyciłem za wiosła i ruszyłem z powrotem.

Zjedliśmy duszone warzywa z ryżem i mortadellą. Do tego wypiliśmy burbona. Na deser cytrynowe parfait. Potem kawa, koniak, czekoladowe ciasteczka z kremem i cygaretki. Ja też poczęstowałem się jedną. Wprawdzie nie paliłem od piętnastu lat, ale komary były uparte, a Urban nalegał. Smakowała całkiem nieźle.

Pozmywałem, a potem przeczytałem trzy kolejne rozdziały *Muchy i wieczności*. Książka naprawdę miała niezły styl, wyraziłem więc Urbanowi swoje uznanie. Zakasłał zawstydzony i pogładził się po brodzie.

Potem przez chwilę rozmawialiśmy o naszych nauczycielach sprzed lat – profesorze Bluumie, panu Lingonstroemie, i profesorze Uhrinie, ma się rozumieć. Wężowy Kwiat zostawiliśmy jednak w spokoju. Jakbyśmy się

dogadali. Trochę później rozpaliliśmy węgle w saunie, po czym spędziliśmy kilka godzin w parze z gałzkami i pilsnerem, od czasu do czasu wybiegając do ciemnej wody.

A do tego znów sporo sobie pogadaliśmy o dawnych czasach.

Do łóżek położyliśmy się chyba po drugiej.

Komisarz Keller nadjechał starym buickiem w czwartek około jedenastej. Nie rozpoznałem go, ale też nie bardzo miałem go jak pamiętać. Podczas dochodzenia nie rozmawiałem z nim, jego twarz widziałem tylko w gazetach. Przesłuchano mnie jak wszystkich innych – dwukrotnie, za każdym razem rozmowa odbyła się w towarzystwie rudego, dość niepozornego konstabla. Oraz magnetofonu.

Pierwsze wrażenie, jakie odniosłem, widząc komisarza tego ciepłego przedpołudnia, było takie, że stopniowo kurczy się on tak, że niedługo w ogóle zniknie. Wszystko wydawało się w stosunku niego za duże: garnitur, okulary, samochód i brązowa teczka, którą z pewnym trudem rzucił na nasz chwiejny stół ogrodowy. Zastanawiałem się, czy waży choćby jedną trzecią tego, co Urban, w końcu jednak uznałem, że nie można oceniać ludzi po wyglądzie. *Homo Bananicus non est*, jak mawiał profesor Uhrin, kiedy już raz na dwa semestry zdarzyło mu się zażartować.

– Wziąłem ze sobą trochę starych akt z tej sprawy – powiedział Keller. – To ty jesteś Henry Maartens?

Przywitaliśmy się i rozsiedliśmy. Urban wyciągnął z beczki trzy piwa i otworzył je. Keller zawiesił marynarkę na oparciu krzesła i podwinął rękawy. Było widać, że drzemiący w nim stary policjant właśnie znów obudził się do życia. Oparł się na łokciach i wodził wzrokiem ode mnie do Urbana i z powrotem. W jego fizjonomii było coś z ptaka, szczególnie w głowie i tym, jak się poruszała na cieniutkiej jak zapalka szyi wystającej



z kołnierzyka za dużego o cztery numery. Przygładził rzadki wąs oraz jeszcze rzadsze siwe włosy i zaczął.

– Omówmy fakty w sprawie Very Kall. Co, do cholery, macie mi do powiedzenia?

Po niecałej półgodzinie już był usatysfakcjonowany. Rozparł się na krześle i dopił piwo. Wystająca grdyka podskoczyła kilka razy w górę i w dół niczym wskaźnik przegrzanego prędkościomierza.

– A niech to szlag – podsumował. – Zatem skrywałeś kluczowe informacje przez trzydzieści lat. Sprawa już uległa przedawnieniu, ale gdyby nie to, że jestem stary, dałbym ci po mordzie.

– Nie chciałem, żeby wokół jej osoby wybuchł skandal – powiedziałem.

– Pieprzenie – odparł Keller. – Zmyślasz po fakcie. Martwi mają gdzieś skandale.

– Chodziło mi raczej o tych przy życiu – spróbowałem jeszcze. – O jej matkę i ojca.

– Myślałeś o własnej skórze – odparował Keller.

– Hm, no tak – wtrącił Urban. – Tak czy inaczej kolega milczał. Niewiele możemy teraz z tym zrobić. Pytanie jednak, jakie znaczenie dla dochodzenia mogły mieć zeznania Henry’ego?

Keller wpatrywał się w pustą szklanekę po piwie i otarł wąsy. – Znaczenie jak znaczenie – wymamrotał, patrząc się na mnie. – I tak byłbyś podejrzany, z tego powinieneś zdawać sobie sprawę.

Nie odpowiedziałem. Urban zapalił i wypuścił w powietrze dryfujący obłok dymu. – A czy w ogóle mieliście jakiegoś podejrzanego? – zapytał.

– Ani żywej duszy – fuknął Keller z irytacją. – Poświęciliśmy na to tysiące godzin pracy, ale nie trafiliśmy nawet na zwłoki, więc tym trudniej było o jakiegokolwiek podejrzenia. Doszliśmy do kilku możliwych kandydatów: gwałciciela, którego wypuszczono pół roku wcześniej

i pewnego starego oszusta, który mieszkał na trasie jej powrotu. Obaj mieli alibi.

– A świadkowie? – zastanowił się Urban. – Ktoś, kto widział ją w nocy?

Keller otworzył teczkę i zaczął wyciągać z niej dokumenty. – Nikt, komu można by zaufać – stwierdził i wyłożył na stół jakąś kartkę. – Kilkoro histeryków i wariatów, nic poza tym. O na przykład ta tutaj.

Przez chwilę w milczeniu czytał akta, które trzymał w ręku. – Niejaka panna Paisinen – dodał. – Zeznała, że widziała jakieś anielskie stworzenie na rowerze za kwadrans czwarta w nocy. Przy Baarenstraat, na obrzeżach dzielnicy Pampas. Ciemnowłosego anioła jadącego na zachód, mówiąc dokładniej. Ta staruszka przyszła do nas po miesiącu, kiedy już przeczytała w gazetach z czterdzieści kilometrów tekstów o tej sprawie... ale oczywiście mogła mówić prawdę. Odrzuciliśmy jej zeznanie głównie z powodu godziny. Skoro Vera Kall wyszła z balu o jedenastej, to w pięć godzin powinna była zajechać nieco dalej. Tak uznaliśmy. To znaczy, o ile po drodze nie robiła nic innego. Ekhm.

– Rozumiem – powiedziałem.

Urban postawił na stole więcej piwa, podczas gdy Keller dalej grzebał w teczce. Łyknąłem sobie solidnie i zacząłem się zastanawiać, co by się stało, gdybym wtedy się ujawnił i powiedział im wszystko od razu. Co powiedzieliby moi rodzice? I Very? Nauczyciele z Doggera? Czy w ogóle dostałbym dyplom? W takim scenariuszu trudno było znaleźć jakieś jasne punkty, w skrytości ducha podziękowałem więc swojej szczęśliwej gwiazdce za to, że miałem wówczas dość rozumu, by trzymać gębę na kłódkę.

Choć akurat z rozumem nie miało to pewnie wiele wspólnego. Jeśli miałbym być szczery.

– A hipotezy? – zapytał Urban. – Jakie mieliście hipotezy? Na pewno były jakieś, które nie przedostały się do prasy.

Keller westchnął. – No jasne, do cholery, że miałem hipotezy. Dwie tony hipotez, a do tego pięć deko faktów. Musicie wiedzieć, że sprawę Wężowego Kwiatu odpuściłem dopiero po wielu latach. Ale nigdy do niczego więcej nie doszedłem... Od samego początku dochodzenie utknęło, i tak już zostało.

– Domyślam się – powiedział Urban. – W każdym razie wyszliście z założenia, że ją zabito?

Keller chwilę się zastanawiał.

– Byłem pewien jednego – odparł. – Jeśli uciekła, musiała to wcześniej zaplanować. Nie mogła podjąć takiej decyzji pod wpływem chwili... choć jedynym, co przemawiało za taką hipotezą, byli ci przekłenci Bracia Aaronowi. Godzinami rozmawiałem z tym biblijnym czubkiem, jej ojcem, i muszę powiedzieć, że gdyby mi przyszło wychowywać się z takim bałwanem, to zwiąbył na swoim pierwszym rowerku trzykołowym.

Urban i ja pokiwaliśmy głowami. – Ich zgromadzenie jeszcze istnieje? – zapytał Urban.

Keller pokręcił głową. – Rozwiązali je kilka lat później. Członków nigdy nie było więcej niż trzydziestu, czterdziestu. Ich pastor trochę podupadł mentalnie po tej historii z córką, no i inicjatywa poszła na marne. Ale nie ma tego złego.

Przez chwilę siedzieliśmy bez słowa.

– A ten... nowy wątek? – odezwał się w końcu Urban. – Co komisarz o nim sądzi? Kim może być Vera Kall, która po trzydziestu latach chce się skontaktować z Henrym?

Keller rozpiął najwyższy guzik zielonej nylonowej koszuli i popatrzył na nas. Najpierw na Urbana potem na mnie.

– Sądzę, co sądę – odparł. – Ale wiem, że ktoś tu kłamie. Albo ona, albo wy.

– Albo wszyscy troje – dodał po krótkiej pauzie. Dopił piwo i wstał. – Dajcie znać po tej wizycie w sobotę – powiedział. – Bez względu na to, jak pójdzie. Jeśli się nie odezwiecie, przyślę wam wezwanie na policję.

Potem obrócił się na pięcie, wsiadł do swojego za dużego samochodu i odjechał.

Popatrzyłem na Urbana. Zauważyłem, że nie bardzo może podnieść szczękę.

Nie opuściliśmy Urbanhall przez dwa dni. Urban zrobił wystarczająco duże zakupy. Jedliśmy, piliśmy, dyskutowaliśmy, gadaliśmy o bzdurach, łowiliśmy ryby i przesiadywaliśmy w saunie. Pogoda się akurat troszkę popsowała, ale i tak było całkiem ładnie. Przeczytałem do końca *Muchę i wieczność* i mogłem pogratulować mojemu przyjacielowi wyjątkowo zaskakującego, ale przy tym w pełni wiarygodnego zakończenia. Postanowiliśmy, że w przyszłym tygodniu przeczytam całość jeszcze raz.

W nocy z piątku na sobotę niemal nie zmrzyłem oka. Przewracałem się z boku na bok w ciasnym łóżku, wsłuchując się w odgłosy burzy, która przetaczała się nad nami, co rusz nawracając. W sobotę po raz pierwszy zjedliśmy śniadanie w domu, ale już w południe na niebie na powrót zaczęły się pojawiać niebieskie skrawki. Miałem nadzieję, że to dobry omen.

Gdy minęły dokładnie dwie doby od momentu, kiedy komisarz Keller opuścił nas w swoim buicku, na wyboistej drodze pojawił się kolejny samochód.

Białe renault nie pierwszej młodości. Zatrzymało się pod kasztanowcem. Silnik zgasł. W tej krótkiej chwili, zanim drzwiczki się otworzyły

i kierowca wysiadł, całe życie zdążyło mi przelecieć przed oczami kilka razy.

# 10

Z auta wysiadł mężczyzna. Przeciągnął się. Lat około trzydzieści pięć. Chyba ze sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, wysportowany. Jeansy, buty do biegania, T-shirt i cienka wiatrówka z zakasanyimi rękawami.

Opalona twarz, krótkie włosy. Wyglądał mniej więcej jak piłkarz ręczny, który właśnie wraca do domu po zdobyciu mistrzostwa świata. Zerknąłem na Urbana. Stał jakies pięć metrów ode mnie z niezapalonym pfitzerboomem w ustach i znakiem zapytania wymalowanym na twarzy.

Przez chwilę mężczyzna przyglądał się nam z kamienną twarzą. Potem obszedł samochód i otworzył drzwiczki po stronie pasażera.

Ze środka wysiadła kobieta w wieku czterdziestu dziewięciu lat.

Brunetka. Piękna. Smukła, z regularnymi rysami twarzy. Ubrana była w prostą ciemnozieloną sukienkę z bawełny oraz sweter w tym samym kolorze narzucony na ramiona.

To mogła być ona, Vera, ale mógł to też być ktoś inny.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim w końcu wyszliśmy z tej martwej sekundy, ale kilka razy zdążyłem uznać, że to na pewno Vera, a potem znów, że to nie ona. Pomyślałem też, że Bóg na pewno postanowił sfotografować tę chwilę i umieścić zdjęcie w swoim ogromnym albumie,

ale widocznie miał problemy z ustawieniem ostrości i dlatego tyle to trwało.

Do tego przeszło mi też przez głowę, że to cholernie dziwne, że człowieka nachodzą takie myśli.

W końcu ciszę przerwał Urban. – Witamy – powiedział. – Nazywam się Urban Kleerwot. A to jest Henry Maartens. My się chyba nie znamy.

– Adam Czernik – przedstawił się mężczyzna.

– Ewa – powiedziała kobieta. – Ewa Pieters. – Poczułem, jak z serca spada mi jeden kamień, ale drugi w nim został. Od razu łatwiej było mi oddychać, ale jednocześnie zrobiło mi się jakoś smutniej.

Niewyobrażalnie smutniej.

– To pani dzwoniła? – zapytał Urban. Przytaknęła. – Choć wydaje mi się, że podała pani inne nazwisko?

– Tak. Przedstawiłam się jako Vera Kall.

– A jaki miała pani ku temu powód?

– Istotny.

Cały czas miała zaciętą i poważną minę. Mężczyzna też. Urban gestem zaprosił, byśmy usiedli przy stole. – Chyba musimy sobie sporo wyjaśnić. Piwa czy kawy?

Kobieta pokręciła głową. – Nie, dziękuję – powiedział mężczyzna.

Na kilka sekund zapadła cisza, miałem wrażenie, że to swego rodzaju taktyka. Jak w partii brydża. Jakby rozpoczęcie rozmowy oznaczało oddanie pierwszej lewy, czego do końca nie pojmowałem.

– W takim razie proponuję, żeby państwo wyjaśnili, jakie, u licha, mają zamiary. – Nie wytrzymał w końcu Urban. – W ostatnich dniach narazili nas państwo... szczególnie mojego dobrego kolegę... na pewne nieprzyjemności.

– Pańskiego dobrego kolegę, Henry'ego Maartensa? – zapytała kobieta.

– Właśnie tak – wtrąciłem. – Kim pani jest i dlaczego podaje się pani za Verę Kall?

Na jej ustach pojawił się mimowolny uśmiech. Zacząłem podejrzewać, że to nastawienie, które starała się nam zademonstrować, jakoś nie leżało w jej naturze. Dwukrotnie zakasłała w rękaw.

– Może najpierw wyjaśnię, że Adam nie ma z tym nic wspólnego – oznajmiła, ręką wskazując na piłkarza osiłka. – Towarzyszy mi tylko ze względu na moje bezpieczeństwo. Poinformowałam też kilka osób o tym, dokąd się wybieram. Chcę, żeby panowie wiedzieli.

– Że co, do cholery? – zdenerwował się Urban.

– Co ma pani na myśli? – zapytałem ja.

Z torebki wyjęła papierosa i zapaliła. Popatrzyłem na Czernika. – *Bodyguard* – pomyślałem. – Mój Boże.

– Jestem jej kuzynką – powiedziała Ewa. – Kuzynką Very Kall. Rozumieją panowie?

Urban pokręcił głową. Ja też.

– Dowiedziałam się pewnych rzeczy.

– Pewnych rzeczy?

– Tak, o których policja nigdy nie usłyszała.

Czułem, że zaczyna mnie ogarniać złość. A może i strach.

– Może będzie pani tak miła i wyjaśni, co wie – poprosiłem. – Co, na przykład, stało się z Verą? Czy wie to pani?

Zawahała się. – A co każe panu tak sądzić?

– No bo po cóż innego bawiłaby się pani w tę głupią mistyfikację? – wciął się Urban, który wyglądał na coraz bardziej zirytowanego.

Nie odpowiadała przez dwie sekundy. – Bo wiem, że pański przyjaciel miał coś wspólnego z jej śmiercią – powiedziała w końcu.



– Co też, do jasnej cholery, pani bredzi? – ryknął Urban. Adam Czernik poprawił okulary i pochylił się do przodu.

– Proszę wybaczyć – złagodziłem przebieg rozmowy. – Mogę zapewnić panią, że to czyste wymysły. Nie mamy pojęcia, co stało się z Verą. Ani ja, ani Urban. Najlepiej będzie, jeśli wytłumaczy nam pani, o co chodzi.

Przez chwilę paliła w milczeniu, chyba sama ze sobą dyskutowała w myślach. Ani razu nie nawiązała kontaktu wzrokowego z Czernikiem, było widać, że on nie jest za bardzo wtajemniczony w całą sprawę. Że znalazł się tu jedynie jako swego rodzaju środek bezpieczeństwa, jak to wyraziła sama Ewa. Popatrzyłem na jego ramiona i stwierdziłem, że idealnie sprawdza się w tej roli. Zwłaszcza, gdyby ktoś chciał stawiać opór. Urban podszedł do beczki i wyłowił z niej cztery piwa.

– No dobrze – powiedziała Ewa. – Opowiem panom, co wiem, ale mam nadzieję, że i panowie przedstawią mi satysfakcjonujące mnie wyjaśnienie. Czy mogę prosić o szklanekę? Nie jestem przyzwyczajona do picia z butelki.

Urban wstał po raz kolejny. – Wszystko pani powiem, jeśli tylko dowiem się, co mam wyjaśnić – obiecałem.

Wreszcie zaczęła.

– Bardzo lubiłam Verę. – Teraz jej ton głosu zrobił się o wiele łagodniejszy. Taki do niej pasował dużo bardziej. – Choć byłyśmy tylko kuzynkami, to byłyśmy dla siebie jak siostry... mimo że mieszkaliśmy od siebie dość daleko. Obie byłyśmy jedynaczkami, a różniły nas zaledwie dwa miesiące. To, co się stało, dotknęło mnie równie mocno, jak jej rodziców...

– Gdzie pani mieszkała?

– W Linden. Sześć, siedem mil stąd. Spotykałyśmy się jednak podczas każdych wakacji i ferii. Nasze mamy były siostrami. Mężczyźni, za których wyszły, nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Tak się potoczyły ich losy.

Pokiwałem głową. Urban rozlał piwo.

– Jej zaginięcie było dla mnie szokiem. Zastanawiałam się, co się stało, równie intensywnie jak wszyscy... Przez trzydzieści lat. Stopniowo rozumiałam, że nigdy się nie dowiemy; jak większość ludzi sądziłam, że tamtej nocy musiała spotkać jakiegoś gwałciciela. Szaleńca, który się na nią rzucił, a potem zabił i po wszystkim ukrył ciało. Jednak ostatniej wiosny...

Zrobiła pauzę.

– Ostatniej wiosny ciocia Ruth odeszła do domu ojca. Ciocia, czyli mama Very. Jej tata, Adolphus, zmarł ponad dziesięć lat temu.

– Wiemy – wyrwało mi się.

Popatrzyła na mnie zdziwiona, potem mówiła dalej.

– Cioci dokuczały różne choroby, ale serce miała mocne. Trzymało ją przy życiu, nawet kiedy była przykuta do łóżka – mniej lub bardziej – przez ostatnie trzy lata. Pewnego dnia w kwietniu, a więc zaledwie kilka miesięcy temu, dostałam wiadomość ze szpitala, w którym leżała ciocia. Chciała ze mną rozmawiać. Pojechałam więc tam... do Ulmenthal, nad morze. Nie wiem, czy znacie to miejsce. Najpierw spotkałam się z lekarzem, który poinformował mnie, że cioci nie zostało już wiele godzin życia. O ile go dobrze zrozumiałam, postanowiła, że nie będzie już dalej walczyć z chorobą, najpierw jednak chciała ze mną porozmawiać. Byłam jej jedyną żyjącą krewną, bo moi rodzice zmarli przed laty. Ona zaś ewidentnie chciała mi coś powiedzieć...

– Czy to było dla pani zaskoczenie? – przerwał jej Urban. – To, że chciała z panią porozmawiać? Nie odwiedzała jej pani?

– Niezbyt często – przyznała Ewa. – Do Ulmenthal jest dość daleko, a rozmowa z nią nie należała do łatwych. W zeszłym roku ciocia przeszła wylew, od tamtej pory miała trudności z mówieniem.

– Co chciała powiedzieć? – przerwałem nieco zirytowany tym, że Urban tak się wtrącił. – Dlaczego musiała z panią porozmawiać?

Nagle Ewa zrobiła zakłopotaną minę. Kilka razy przygładziła sukienkę nad kolanami i wbiła wzrok w stół.

– Właściwie nie wiem – odparła. – Nie wiem na pewno, czego chciała. Gdybym ją zrozumiała, poszłabym na policję... i może prędzej czy później i tak bym to zrobiła, ale wtedy w mieście nagle pojawił się pan.

– Co też pani wyga... – zaczął Urban, ale ruchem ręki go uciszyłem. – Proszę mówić – poprosiłem.

Przytaknęła. – Kiedy weszłam do pokoju, była bardzo słaba – wyjaśniła. – Jedyne oznaki życia dało się zobaczyć w jej oczach, były pełne...ehm, jak to określić? Chęci? Chęci i wdzięczności, jak sądzę... Wdzięczności za to, że przyjechałam oraz chęci powiedzenia mi tego, co pragnęła, zanim będzie za późno. Żałuję, że tak długo czekała. Że nie starczyło jej już sił, ale niestety nie starczyło. Siedziałam przy brzegu łóżka i chwyciłam jej dłoń, jak to miałam w zwyczaju. Popatrzyła na mnie z płomieniem w oczach, a jej usta zaczęły się poruszać... ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Pochyliłam się tuż do jej ust, ale słyszeć z nich było słaby świst. Wezwałam pielęgniarkę i zapytałam, czy coś da się zrobić, ale ona jedynie wzruszyła ramionami i popatrzyła na mnie ze współczuciem. Kiedy znów byliśmy same, ciocia podjęła ostatnią próbę. Po raz kolejny się nad nią pochyliłam i tym razem usłyszałam.

– Usłyszała pani? – zapytałem. Widziałem, że Urbanowi znów opadła szczęka, a i Czernik nadstawił uszu.

– Tak – potwierdziła Ewa. – Usłyszałam. Dość wyraźnie, a ona powtórzyła to imię dwa razy: „Vera...” – powiedziała – „wiadomość... to przez Henry’ego Maartensa, Henry’ego Maartensa”. I tyle. Potem zamknęła oczy, a po kwadransie już nie żyła.

Przy stole zapadła cisza. Słońce przedarło się przez chmury i nagle przyozdobiło sukienkę Ewy w ruchomy wzór ze światła i cieni liści. Przełknąłem ślinę. Adam Czernik skrzyżował ręce na piersi.

– Czy może pani powtórzyć – poprosił Urban.

– Vera... wiadomość... to przez Henry'ego Maartensa, Henry'ego Maartensa. Imię padło dwa razy. A przysięgam, że dobrze słyszałam.

Rozparłem się w krzesło. Słońce zmieniło zdanie i znów schowało się za chmurę.

# 11

Podjęcie decyzji zajęło mi pół minuty, ale opowiedzenie mojej części historii – pół godziny.

Czy może naszej części. Nie było oczywiście sensu zatajać mojej i Urbana wizyty w Samarii czy rozmowy z komisarzem Kellerem. Ewa słuchała, paląc papierosa, i zadawała pytania. Wyglądało na to, że uwierzyła w to, co słyszała. Bo czemu miałyby nie uwierzyć? Nie miała mi wiele do zarzucenia. Czuję się nieco skrępowany, opowiadając o miłosnym uniesieniu moim i Very, ale było to konieczne, a wydaje mi się, że Ewę Pieters ucieszyło choć odrobinę, że jej kuzynka przynajmniej raz posmakowała owocu miłości przed śmiercią.

A może ona wcale nie umarła? Czy naprawdę Vera wtedy zginęła? Absurdem było to, że nadal nie wiedzieliśmy. Obie strony, zarówno my, jak i Ewa, poznały nowe fakty, jednak siedząc tak w fotelach ogrodowych Urbana i dyskutując, nie zbliżyliśmy się do jasności w tej najważniejszej kwestii.

Co stało się z Verą w nocy dwudziestego ósmego maja 1967 roku? Czy może raczej rankiem. W tych wczesnych godzinach, które z jednej strony wydawały się tak bliskie, a z drugiej bezlitośnie dalekie.

Co do poczyznań Ewy po moim przyjeździe do K-, tajemnica została szybko rozwiana. Tuż po śmierci pani Kall w kwietniu, po amatorsku

starala się wyjaśnić zagadkę kryjącą się w słowach ciotki. Wiedziała, że niejaki Henry Maartens chodził z Verą do jednej klasy przez dwa ostatnie lata liceum. Dyskretnie wywiedziała się też od innych kolegów i koleżanek z klasy o to, czy ewentualnie między mną a Verą mogło coś być, wszyscy jednak kręcili głowami lub wyraźnie zaprzeczali. Nie miała pojęcia, gdzie teraz mieszkam, ani jak się tego dowiedzieć. I tak właśnie miały się sprawy, kiedy nagle pojawiłem się w Continentalu w zeszłym tygodniu. Ewa Pieters od czterech lat pracowała w hotelu w dziale finansowym. – No proszę, punkt dla Urbana – pomyślałem. Zobaczyła moje nazwisko w księgach, i tyle.

Ponieważ nie wiedziała, co kryło się za wyznaniem ciotki na łożu śmierci, po kilku nocach rozważań i obmyślenia różnych strategii, postanowiła śmiało podszyć się pod Verę. Choćby po to, by zaobserwować moją reakcję. W plan wtajemniczyła swojego dobrego przyjaciela, Adama Czernika, młodszego brata swojego byłego męża. W poniedziałek śledzili nas z K- do Urbanhall, a potem sprawdzili adres domku oraz numer komórki Urbana w rejestrze. Prosto i bez wysiłku.

Czekała aż do soboty tylko dlatego, że Adam Czernik wcześniej nie mógł jej pomóc. A nie miała zamiaru zaatakować nas w pojedynkę, o nie.

Tak wyglądała ta historia. Nagle karty zostały odkryte. Szybko się zorientowaliśmy, że wszyscy jedziemy na jednym wózku. Z początku wywołało to ulgę, przynajmniej u mnie, jednak po chwili zdominowała ją frustracja.

Frustracja wywołana tym, że i tak do niczego nie doszliśmy. Nie znaleźliśmy odpowiedzi na pytanie, co się stało z Verą. Przed spotkaniem z Ewą byłem niesłychanie spięty, z nią pewnie było podobnie. Teraz jednak, kiedy wiedziałem, kim jest i gdy uporaliśmy się z początkowym poczuciem wrogości, znów wyrósł przed nami podstawowy problem.

Co stało się z Verą tej nocy przed trzydziestoma laty? To samo pytanie, co zawsze.

– Niech mnie kule biją – powiedział Urban. – Założyłem się sam ze sobą o to, że dziś znajdziemy rozwiązanie. Coś mi się jednak wydaje, że przegram. Wszystkie karty odkryte, a i tak nic z tego...

– Została nam jeszcze jedna karta – przypomniałem. – Co, u licha, ona miała na myśli?

– Kto?

– Ruth Kall, rzecz jasna. Jeśli zrozumiemy, co się kryło za jej ostatnimi słowami, będziemy mieć odpowiedź.

– Zakładasz, że ona wiedziała? – zapytał Urban.

– A ty nie?

Urban nie odpowiedział. Wpatrywał się w swoje cygaro z zatroskaną miną.

– Mów dalej – poprosiła Ewa.

– Hmm – zacząłem. – A pani jakie wyciągnęła wnioski? Kiedy zastanawiała się pani nad tymi słowami?

– Żadnych pewnych – odparła po krótkiej pauzie. – Najpierw pomyślałam, że to pan zabił Verę, a jej matka o tym wiedziała. Potem jednak zapytałam się, dlaczegoż, na Boga, trzymała to w tajemnicy. Nie udało mi się znaleźć odpowiedzi.

– Dlatego, że taka nie istnieje – odpowiedziałem. – Nie zabiłem pani kuzynki. Kochałem ją.

– A to pewna różnica – wymamrotał Urban.

W tym momencie Adam Czernik zdjął okulary i wtrącił się do dyskusji.  
– Przepraszam, że to powiem, ale wygląda na to, że państwo trochę się pogubili – powiedział. – Uważacie, że matka Very wiedziała, co się stało tamtej nocy czy nie?

Zacząłem myśleć. Urban drapał się po brodzie.

– Wiedziała – odparła Ewa. – Załóżmy, że faktycznie wiedziała.

– Skąd? – zapytał Czernik. – Skąd mogła wiedzieć?

Nad stołem zawisł obłok cichych myśli.

– Bo sprawca napisał do niej i się przyznał – zaproponował Urban. – Stąd słowo „wiadomość”.

– I podał się za Henry’ego Maartensa – dodałem.

– Są i inne możliwości – powiedział Czernik. – Ewa, możesz jeszcze raz przytoczyć te słowa?

– Vera... wiadomość... to przez Henry’ego Maartensa, Henry’ego Maartensa – powiedziała Ewa po raz czwarty czy piąty.

– Wiadomość – powtórzył Czernik. – Brak tam początku. Może brakuje słowa „zostawiłam”. Co mogłoby ono oznaczać?

– Że spisała to, co wiedziała – odparła Ewa. – Myślałam o tym, ale niczego nie znalazłam... oczywiście w jej przesłaniu brakuje słów, ale nie wiem, jakich.

– A szukałaś? – zapytał Czernik. – Wiadomości, którą mogła zostawić. Przecież to ty przejęłaś rzeczy, które zostały po Ruth.

– Tylko trochę – przyznała Ewa. – Nie miałam czasu, zajmują pół piwnicy. Jeśli jednak macie ochotę, to...

Urban nie wyglądał na przekonanego. – Jeśli zostawiła wiadomość dotyczącą Very i naprawdę chciała, by świat ją poznał, to chyba położyłaby ją w miejscu, gdzie można ją znaleźć?

– Może napisała ją dawno temu – zauważyła Ewa Pieters. – Pod koniec nie kojarzyła już najlepiej. Nie możemy za bardzo doszukiwać się w tym logiki.

Przez chwilę ich dyskusja szła tym torem, ja jednak zauważyłem, że moje myśli biegną w innym kierunku. Znów oczami wyobraźni zobaczyłem



Verę, jej postać tamtej nocy... jej zjawiskowo piękne ciało w bladym letnim mroku... to, jak się pieściliśmy, kochaliśmy, jak mnie w siebie przyjmowała, oplatając moje plecy nogami... jak później wymknęła się z łóżka ostrożnie, by mnie nie obudzić. Włożyła na siebie ubrania i napisała tę ostatnią wiadomość do mnie, napisała, że nie wie, jak to będzie, ale mnie kocha... jak cichutko stąpała po schodach, jak wyszła w czerwcowy poranek, wskoczyła na rower... w białej sukience, z tymi gęstymi ciemnymi włosami... i ruszyła przez urodziwy krajobraz spowity dziewiczym świtem. U progu lata 1967 roku, lata, które miało się stać latem Flower Power, latem wolności, latem, którego nigdy nie doświadczyła. Nie umiałem już dłużej wierzyć w to, że było inaczej. Zrozumiałem... choć nie, nie rozumiałem... Przeczuwałem, zaczynałem przeczuwać, że Vera nie spotkała na swojej drodze żadnego sprawcy, że nie trafiła na żadnego szaleńca... bo jeśli to, czego dowiedzieliśmy się dziś, było prawdą, mogło to oznaczać tylko jedno... Mój Boże – pomyślałem. – Ale przecież tak nie mogło być.

Spędziliśmy trzy godziny, przeglądając rzeczy po Ruth Kall zgromadzone w piwnicy domu Ewy Pieters przy Langvej. To znaczy to, co z nich zostało. Wszystkie ubrania i tekstylia zostały przekazane na różnego rodzaju zbiórki i zbożne cele. Większością przedmiotów zajęto się jeszcze za życia pani Kall, bo jak wiele samotnych starszych osób zaplanowała ona swoje odejście. Pozbyła się części rzeczy, by nie zostawić po sobie zbyt dużo.

Nie było tego jednak mało. Szuflady, skrzynie i kartony, a w nich książki, stare gazety i dokumenty. Do tego, na przykład, ręcznie zapisane kazania oraz teologiczne traktaty pastora Adolphusa. Zeszyty Very do języka i matematyki od pierwszej klasy w górę. Trzymanie ich w rękę napełniało mnie dziwnym, wręcz obezwładniającym uczuciem. Zapiski oraz listy uczestników zjazdów Braci Aaronowych. I tym podobne.

Siedzenie w kucki i przerzucanie tego wszystkiego nie było doprawdy łatwą robotą, więc kiedy w połowie Adam Czernik się wycofał, jakoś trudno było uwierzyć, przynajmniej mnie, w to, że nagle musi jechać do swojego stowarzyszenia sportowego.

Tak czy inaczej, dopiero kiedy już przetrząsnęliśmy niemal całą tę zakurzoną dziurę, Urbana oświeciło i w końcu dorzucił swoje trzy grosze do naszych dedukcji.

– A nie zostawiła żadnego testamentu? – zapytał.

Ewa wyprostowała się. – Testamentu? Nie, ja byłam jedyną spadkobierczynią, więc dostałam wszystko, czyli to tutaj oraz kilka stów na koncie. Choć oczywiście ciocia miała adwokata...

– Adwokata? – zapytałem. – Po co?

Ewa otarła grzbietem dłoni kurz i pot z czoła i zrobiła zamyśloną minę. – Nie wiem – odparła. – Chyba mieli go od czasów, gdy wujek Adolphus jeszcze działał. Nazywa się Hegel. Zgłosił się do mnie i poinformował, że nie ma żadnego testamentu.

– Że nie ma testamentu? – zdziwiłem się. – Skontaktował się, żeby o tym poinformować?

– Tak.

– I nie chciał od pani nic innego? – zapytał Urban.

– Nie, nic.

Urban zamknął szufladę biurka, którą właśnie przeglądał. – Hegel, mówiła pani? – upewnił się. – Chodźmy na górę, zadzwonimy do niego, mam już dość tej roboty.

Radca Hegel miał swoje biuro przy południowej ścianie rynku Grote, w jednej z okazałych kamienic z przełomu wieków. Mimo że wybiła szósta wieczorem w sobotę, zgodził się z nami spotkać.

O ile wcześniej nie byłem pewien swoich przeczuć, to jego reakcję uznałem za znak. Samo to, że chciał poświęcić nam czas. Kiedy czekaliśmy na niego przed bogato zdobioną secesyjną fasadą, nagle poczułem, że nie mam już ochoty tego ciągnąć.

Najmniejszej.

## 12

– Nietypowe warunki? – zapytał Urban, unosząc brwi. – Co ma pan na myśli?

Siedzieliśmy głęboko zapadnięci w skórzane meble w przestronnym biurze Hegla. Ja i Urban na sofie, a Ewa oraz sam radca na fotelach. Hegel przyjął pfitzerbooma, którym poczęstował go Urban i właśnie rozpierał się wygodnie, wypuściwszy pierwszy dymek. Zerknąłem na niego ukradkiem. Na swój sposób przypominał dobrego bohatera z amerykańskiego filmu o procesie sądowym, co zapewne nie było przypadkiem. Lat miał około sześćdziesiąt parę, ale zachował niezłą posturę, zaś jego skronie zdobiła dystygowana siwizna. Ciemny garnitur, błękitna koszula i nierzucający się w oczy krawat. Sam czułem się brudny i spocony po poszukiwaniach w piwnicy Ewy, miałem więc nadzieję, że aromat cygaretki skutecznie stłumi zapach potu.

– Warunki – powtórzył Hegel. – Jak powiedziałem, były nietypowe. O ile sobie przypominam, nigdy nie spotkałem się z czymś takim, ale naturalnie trzeba uszanować życzenie klienta. Takie są reguły gry.

Zabębnił palcami w szarą kopertę i popatrzył po kolei na każdego z nas. Najwidoczniej nie umiał odmówić sobie tej przyjemności, by jeszcze przez kilka sekund potrzymać nas w oczekiwaniu.

– Na Boga, panie! – nie wytrzymał Urban. – O jakim życzeniu pan mówi?

– Ekhm – odchrząknął adwokat. – Przetrzyzymałem ten dokument przez prawie trzydzieści lat, dokładniej mówiąc dwadzieścia osiem. Pani Kall zostawiła mi go dokładnie dwa lata po tym, jak zaginęła jej córka... Dostałem zarówno list, jak i instrukcje.

Zrobił kolejną pauzę. Wszyscy milczeli.

– A były one następujące – ciągnął Hegel. – Pod żadnym pozorem list nie miał trafić do niczyich rąk, dopóki któreś z małżonków Kall było przy życiu. Po ich śmierci miałem przechowywać go w bezpiecznym miejscu do dnia, kiedy ktoś – kto by to nie był – nie przyjdzie i o niego nie zapyta. Miałem go jednak trzymać nie dłużej niż dziesięć lat, potem zniszczyć. Bez czytania.

– Co? – zdziwiła się Ewa. – Ktoś, kto by to nie był? Nie miał pan polecenia, by wydać komuś list po jej śmierci?

Hegel pokręcił głową. – Właśnie takie były warunki. Życzenie klienta stanowi prawo. Nietypowe, nieprawdaż? Sądzę, że pani Kall chciała zostawić tę sprawę w rękach Boga, choć co do tego zdania mogą być oczywiście podzielone...

– Ale... – zaczęła Ewa. – Ale teraz przyszliśmy my i zapytaliśmy, czyż nie?

– Otóż to – zgodził się Hegel, zaciągając się cygaretką. – Teraz pojawili się państwo, więc spełnię swój obowiązek. Proszę bardzo. Można odczytać zawartość listu.

Podał kopertę Ewie. Wzięła ją, zważyła w dłoni i przyjrzała się jej z bliska.

– Nie ma adresata? – zapytała.

– Nie ma – potwierdził Hegel. – Tylko data i jej nazwisko.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Otwórzmy! – powiedział Urban. – Niech pani czyta!

Hegel podał Ewie cienki nożyk do papieru. Ewa przecięła kopertę i wyjęła jej zawartość – dwa złożone na pół arkusiki wypełnione ręcznym pismem. Położyła je przed sobą na stole, wygładziła je i popatrzyła na pierwszą stronę.

– Na głos – zawołał Urban. – Niech pani czyta na głos, bo skonam.

Ewa wzięła głęboki wdech i zaczęła.

– Dobry Boże, Ty, który masz władzę nad wszystkim. Nic już z tym nie pocznę, ale oto moje wyznanie...

Dopiero w poniedziałek przed południem udało nam się zebrać. Całą niedzielę spędziliśmy z Urbanem w domku, ale informowano nas o poczynaniach, dzwoniąc na komórkę Urbana.

Ta niedziela była dziwnie cicha. Żadnego wiatru, blade niebo, na którym słońcu ani razu nie udało się przedrzeć przez zasłonę chmur, a do tego temperatura, która sprawia, że powietrza jakby nie czuć. Wybraliśmy się na jezioro i przez kilka godzin łowiliśmy ryby, ale nic nie chwyciło. Zjedliśmy gotowe danie, które kupiliśmy w K- w sobotę. Wieczorem posiedzieliśmy w saunie, gdzie dyskutowaliśmy intrygę w kryminale Urbana. O Wężowym Kwiecie mówiliśmy mało.

Z pewnością niezgodne z regułami było to, że policja pozwoliła nam sobie towarzyszyć. Zdaje się, że to komisarz Keller wynegocjował jakieś szczególne pozwolenie. Pewnie zresztą nikt nie zważał na procedury tak bardzo, jak na indywidualny styl komisarza. Zresztą, od wielu lat Keller był na emeryturze. Zabraliśmy się z nim jego dużym buickiem – Ewa, Urban i ja. W karawanie, przed i za nami jechały radiowozy, widziałem po Kellerze, że to jego ostatnia duża akcja. Skulony za kierownicą,

z wykałaczką w zębach, wyglądał na jeszcze bardziej skurczonego niż wcześniej. Jeszcze bardziej zaciętego i skupionego. – Nie ma się co dziwić – pomyślałem sobie i po raz kolejny pożałowałem, że nie zostałem w domu.

Ewa siedziała ze mną z tyłu. Wciąż robiła sobie wyrzuty. – Powinnam była się domyślić wcześniej – biadoliła. – Zorientować się, co znaczyło to, że ciocia wiedziała.

– To już nieistotne – pocieszałem ją. – Niełatwo to pojąć.

– Owszem, łatwo – odparła Ewa. – Skoro ciocia wiedziała coś, nieważne co, to musiało to znaczyć, że tamtej nocy Vera wróciła do domu.

– Tak, wróciła do domu, jak nic – doszedł nas pomruk Urbana z przedniego siedzenia. – Ale to straszne, że człowiek bierze sprawiedliwość we własne ręce i tak milczy.

– Dla niektórych są rzeczy ważniejsze od prawa – zauważył kwaśno Keller. – Prywatne pojmowanie etyki nie jest takim znów rzadkim zjawiskiem, zwłaszcza wśród zwolenników wspólnot wolonokościelnych, uwierzcie mi.

Ewa nie mogła usiedzieć spokojnie. – A ja uważam, że decyzję cioci Ruth jakoś da się zrozumieć. Przecież oni i tak zostali ukarani, czy naprawdę coś by to zmieniło, gdyby wyznała wszystko wcześniej?

Keller fuknął z irytacją. – W tej historii trochę zbyt wiele osób postanowiło niczego nie wyznawać – powiedział, spoglądając na mnie w lusterku. – Jak myślicie, ile to dochodzenie kosztowało podatników?

Cóż, był to jakiś argument. Nie mogłem go jednak nijak skomentować, inni też nie.

Do Samarii dojechaliśmy tuż po jedenastej. Pan Clausen stał na trawniku i przywitał się z nami – z pewną rezerwą – kiedy wysiedliśmy z samochodu. Zauważyłem, że czerwone volvo nie stoi na swoim miejscu i domyśliłem się, że pani Clausen zabrała dzieci. Naturalnie nie było po co

narażać ich na takie traumy w tej wiejskiej idylli. Naprawdę i bez tego sytuacja była straszna.

Sześcioro policjantów w kombinezonach ochronnych żwawo wyciągnęło szpadle z bagażnika i pod dowództwem swojego oficera oraz komisarza Kellera udali się we wskazane miejsce. My trzymaliśmy się z dala. Kiedy już zaczęli kopać, pan Clausen wszedł do domu i nastawił kawę. Usiedliśmy na tych samych plastikowych meblach, co ostatnio. Po chwili zorientowałem się, że Ewa płacze. Niezdarnie pogładziłem ją po ramieniu, a Ewa wyciągnęła chusteczkę i wytarła nos.

– To przytłaczające – powiedziała.

– Owszem – przyznałem. – Przytłaczające.

– I takie nierzeczywiste – ciągnęła. – Nie mogę uwierzyć, że to prawda... choć jednocześnie wiem, że tak właśnie to wyglądało. On potrafił popaść w furję.

Urban odchrząknął. – Nie mogę przestać myśleć o jednej rzeczy – powiedział. – Gdyby ona nie była tak cholernie prawdopodobna, to by do tego nie doszło.

– Co masz na myśli?

– Tylko tyle, że mogła skłamać – westchnął Urban. – Wraca do domu o wpół do piątej nad ranem i przyznaje się zarówno do tego, że się upiła, jak i do tego, że poszła do łóżka z chłopakiem. Czego ona się spodziewała?

– Nie musiał jej od razu bić – odparła Ewa. – Gdyby wiedziała, że to zrobi, może by milczała... Choć Vera zawsze była prawdopodobna... No i nie zapominajmy, że to był wypadek. Gdyby nie upadła tak nieszczęśliwie, to...

Zamilkła. Urban pokiwał głową, chyba żadne z nas nie miało już nic do powiedzenia. Pozostawało nam czekać. Zamknąłem oczy i zacząłem



w myślach odtwarzać sobie tę scenę. Sam nie wiem, po raz który od sobotniego wieczoru.

Matka i ojciec siedzą przy stole w kuchni i czekają. Zmęczeni i zaniepokojeni.

Vera przychodzi i staje na środku. Pełna odwagi – której, jak sobie wyobrażam, dodała jej miłość do mnie – zaczyna im opowiadać. O wszystkim, co przeżyła. Śmiało, z wysoko podniesionym czołem.

Ojciec, nieprzejednany kaznodzieja, podnosi się i bez słowa wymierza karę.

Vera upada na ostry kant kuchni.

Umiera w minutę. Tak napisała jej matka. W minutę.

Rodzice stoją nad nią. On, sługa boży, człowiek, który przez swój gniew zabił własną córkę... Jest piękny letni poranek, za oknem wróble trzepocą skrzydełkami w krzakach bzu, na zimnej kuchennej podłodze powoli ciemnieje krew Very, a oni stoją... zrozpaczeni próbowali przywrócić ją do życia, ale jej serce się zatrzymało, stoją, więc...

*Quem di diligunt adolescens moritur.*

Na pewno się modlili. Tego ranka musieli skierować setki modlitw do swego niepojętego boga, który w swej łasce pozwolił ich jedynej córce zginąć.

Zginąć z ręki własnego ojca.

I kto wie, kto wie, może nieodgadniony bóg Braci Aaronowych odpowiedział im, mówiąc, że im wybacza i nakazał zakopać w ziemi to, czego dokonali i sprzątnąć wszelkie ślady.

Wybrańcy bogów...

A wina, ta niesłychana wina, została zdjęta z ich barków i zrzucona na... Henry'ego Maartensa. To przez Henry'ego Maartensa.

Ewa położyła mi rękę na ramieniu, aż się wzdrygnąłem. Zauważyłem, że mimo ciepła, drzę.

– Już znaleźli – powiedziała niemal szeptem. – Natknęli się na zmurszałe drewno. To na pewno trumna.

Tak, złożyli ją w trumnie. O tym też Ruth Kall napisała w liście.

A teraz ją odkopano. Nie ja wydobyłem Wężowy Kwiat z ziemi, ale poszedłem popatrzeć.

Ewa też. Płakałem, trzymając jej dłoń w mojej. Miałem wrażenie, że to było dla niej naturalne miejsce.

**Wszystkie informacje w sprawie**

W mieście uniwersyteckim żył pewien młody mężczyzna.

Jego rodzice zmarli wcześniej, zaś jego jedyna siostra przeprowadziła się do Australii kilka lat przed momentem, w którym rozpoczyna się to opowiadanie. Mimo braku – żywych lub przynajmniej obecnych – krewnych S wydawał się samodzielnym i miłym człowiekiem. Po kilku skądinąd udanych latach studiów na tym i owym kierunku S postanowił, że być może zostanie nauczycielem. Jako że był osobą ostrożną i nie chciał ryzykować obrania złej drogi życiowej, najpierw – skutecznie – postarał się o zastępstwo na drugi semestr w gimnazjum w miejscowości H-. Gdyby okazało się, że praca sprawia mu przyjemność, był gotów po okresie próbnym ukończyć seminarium pedagogiczne, na które z racji dobrych ocen akademickich mógł się dostać bez problemu. Taki miał plan.

Znalazł sobie stancję w pobliżu szkoły, gdzie otrzymał posadę. Opuścił dziewczynę oraz dwupokojowe mieszkanie w mieście uniwersyteckim i z nastaniem stycznia rozpoczął dydaktyczne obowiązki. Reszta ciała pedagogicznego składała się z około czterdzieścioro nauczycieli w różnym wieku i różnej maści, szkoła była ładnie położona, rozciągał się z niej widok na jezioro, zaś S niemal natychmiast poczuł się jak u siebie.

H- od dawna było miasteczkiem przemysłowym z jednym jedynym, za to dużym zakładem – stalownią, dzięki której utrzymywali się praktycznie wszyscy zdolni do pracy mieszkańcy. Szkoła była niemała, uczęszczało do niej prawie czterystu uczniów, spośród których około dwie trzecie mieszkało w H-, zaś około jedna trzecia w okolicznych wsiach. Na

dziedzińcu stała brązowa figura najznamienitszego z dotychczasowych absolwentów, biegacza narciarskiego, który na swym koncie miał z pół tuzina medali zdobytych na mistrzostwach Szwecji.

S uczył szwedzkiego i angielskiego w trzech klasach: w siódmej, ósmej i dziewiątej. Szybko doszedł do wniosku, że odnajduje się w zawodzie nauczyciela, we wszystkich jego aspektach. Lubił uczniów, cenił sobie towarzystwo kolegów z pracy, zaś same lekcje, kiedy to nauczał i rozwijał umiejętności młodzieży, uważał za inspirację. Szczególnie satysfakcjonujące były zajęcia z dziewiątoklasistami, którzy przecież byli zaledwie osiem, dziewięć lat młodsi od niego; wydawało mu się, że młodzież ceni go jako nauczyciela. Dostał zresztą wychowawstwo w tej klasie. Przejął tę rolę od starej, cholerycznej kobiety mającej problemy z nerkami. Był wdzięczny losowi, że przypadła mu rola następcy tak zniszczonej i wypalanej pedagożki.

Semestr mijał, w maju nadszedł czas wystawiania stopni. Trzy tygodnie przed końcem roku miało miejsce tragiczne wydarzenie. Jedna z dziewcząt z dziewiątej klasy, Sofia, zginęła w wypadku. Przejechał ją samochód, gdy w środowy ranek szła do szkoły. Zdarzenie widziało dwoje różnych świadków, jednak sprawca zbiegł i mimo prowadzonego na szeroką skalę śledztwa, policji nie udało się go schwytać. Śmierć Sofii sprawiła, że ostatnie tygodnie przed wakacjami upływały w atmosferze smutku. Na pogrzebie w urokliwym kościele w H-, była obecna ponad połowa uczniów ze szkoły. Następnego dnia zwołano specjalną radę, na której dyrekcja oraz wszyscy nauczyciele zgromadzili się, by uczcić pamięć Sofii. Wtedy też ogłoszono, że Sofia otrzyma oceny końcowe, mimo że już nie ma jej wśród żywych.

Taką decyzję podjęła dyrekcja w porozumieniu z nauczycielami poszczególnych przedmiotów, nikt zaś bezpośrednio nie skrytykował tej

inicjatywy. Bądź co bądź, przed swoim tragicznym odejściem dziewczyna przez dziewięć lat uczęszczała do szkoły, nie miała już żadnych decydujących testów do zaliczenia, zdawało się więc, że ma to sens.

Kiedy w tym samym tygodniu, w piątek, S wrócił do swojego wynajmowanego pokoju, czuł niewymowny smutek. Z reguły na weekendy jeździł do miasta uniwersyteckiego do dziewczyny, tym razem jednak postanowił zostać w H-. Potrzebował kilku dni spokoju, by skończyć wystawianie ocen. Wszystkie miały być ostatecznie wpisane do dzienników w następny wtorek, a że S po raz pierwszy stanął przed takim zadaniem, chciał mieć odpowiednio dużo czasu.

Jednak sprawa z Sofią mu ciążyła. Kiedy w ten piątkowy wieczór siedział sam, trudno mu było dostrzec jakikolwiek sens w wystawianiu jej stopni. Po co martwej dziewczynie oceny? – pytał sam siebie. – Czemu to ma służyć?

I według jakich kryteriów miałyby je wystawić? Dyrektorka podkreśliła, że Sofia powinna mieć takie stopnie, jakie dostałaby, gdyby wypadek się nie wydarzył. Tradycyjna błękitno-szara koperta z pieczęcią szkoły – dwoma stylizowanymi łabędziami lecącymi nad jeziorem – miała zostać wysłana do rodziców w dniu zakończenia roku. Ktoś zasugerował, że może dla matki i ojca pewną ulgą będzie móc pomyśleć, że ich córka zdążyła ukończyć szkołę.

Zaznaczono też, że bardzo ważne jest sprawiedliwe podejście, jako że chodzi o uczennicę, która nie żyje. Zmarła nie może bowiem powiedzieć nic na swoją obronę, tak więc wystawiona ocena będzie, jaka będzie, pozostanie niezakwestionowana na zawsze.

W końcu S udało się pokonać przygnębienie i frustrację. Postanowił, że najpierw upora się ze stopniami pozostałych uczniów, zaś za te Sofii

weźmie się na końcu. Dopiero więc w sobotę wieczorem zaczął przeglądać jej wyniki.

Z angielskim sprawa przedstawiała się stosunkowo łatwo. Sofia była jedną z dwóch, trzech osób z najlepszymi wynikami z każdego testu i pracy domowej, także jej odpowiedzi były znakomite. W pierwszym semestrze miała piątkę, z czystym sumieniem S mógł więc wystawić taki sam stopień na koniec dziewiątej klasy.

Co do szwedzkiego miał więcej wątpliwości. Kiedy Sofia kończyła ósmą klasę, również z tego przedmiotu dostała piątkę, jednak w pierwszym semestrze dziewiątej klasy spadła do czwórki. W drugim semestrze walczyła o powrót do piątki, sprawa nie była jednak przesądzona. Nawet gdyby nie tak tragiczne okoliczności, S trudno byłoby podjąć decyzję, zdawał sobie z tego sprawę. Z ogólnokrajowego testu kompetencyjnego w lutym Sofia otrzymała dziewięćdziesiąt jeden punktów, a więc zabrakło jej jednego do piątki. Z dwóch zadanych wypracowań z jednego dostała czwórkę, z drugiego piątkę, zaś z testu z gramatyki w kwietniu miała sześćdziesiąt dwa i pół punktu na sześćdziesiąt osiem, a więc mocną czwórkę lub słabą piątkę, jako że wyższy stopień można było dostać od sześćdziesięciu trzech.

S po raz kolejny sprawdził wszystkie wyniki i przypomniał sobie, że stara zgorzkniała nauczycielka z chorymi nerkami, kiedy to spotkali się przed Bożym Narodzeniem, wspomniała mu, że Sofia była uczennicą na granicy czwórki i piątki, ona zaś wystawiła jej niższy stopień, by zmotywować dziewczynę do wyteźonej pracy wiosną.

Dam jej piątkę – pomyślał S i uniósł długopis, by wpisać ocenę do dziennika. Wtedy jednak jakby coś, może jego poczucie sprawiedliwości, powstrzymało go. W klasie była inna uczennica w dokładnie takiej samej

sytuacji jak Sofia, a jej dopiero co wstawił czwórkę. Czy Sofia miała mieć fory tylko dlatego, że nie żyje?

Czy może powinien dać wyższy stopień tej drugiej dziewczynie, Ellinor? Ona przynajmniej oddała dodatkową pracę z literatury (o pisarzu C.S. Lewisie, którą oceniał na słabą piątkę lub mocną czwórkę, ale idąc za radą starszego i doświadczonego kolegi, nie wystawił oficjalnej oceny), podczas gdy Sofia nigdy nie złożyła pracy o Karin Boye. Być może miała ją w plecaku tego ranka, kiedy zginęła, bo był to ostatni dzień przed terminem, jednak S nie było dane zapoznać się z jej dziełem.

Z pewnością są w życiu sytuacje, kiedy ciężko podjąć decyzję. A mimo wszystko trzeba.

Zaparzył sobie kolejną herbatę i zadzwonił do swojej dziewczyny. Rozmawiali o planach na wakacje, po chwili jednak zaczął jej opowiadać o trudnościach z wystawieniem oceny. Jego dziewczyna studiowała psychologię i potrafiła słuchać. Kiedy już przekazał jej wszystkie informacje w tej sprawie, oznajmiła, że S absolutnie musi dołożyć starań, by ocenić sprawiedliwie, choć ona za mało wie o umiejętnościach Sofii, by móc mu dać właściwą radę.

Czwórka czy piątka? – zapytał S.

To ty musisz zdecydować – odparła dziewczyna. Jestem pewna, że poradzisz sobie z tym dobrze. Zawsze byłeś sprawiedliwym człowiekiem.

Potem skończyli rozmawiać. S wypił trzy herbaty i wypalił sześć papierosów.

Ta dodatkowa praca powinna przesądzić o sprawie – pomyślał.

Wypił kolejne dwie herbaty i wypalił cztery papierosy. Potem podjął decyzję i położył się do łóżka. Dziennik wciąż leżał otwarty na niewielkim biurku pod oknem, z widokiem na kwitnącą jabłoń. Zapach zbliżającego się



lata wkładał się przez zasłony, wygrywając z papierosowym dymem. S zasnął po minucie.

Następnego ranka zjadł śniadanie i przeczytał niedzielną gazetę. Później wyciągnął dziennik i odszukał numer telefonu do domu zmarłej uczennicy. Zadzwoił, po czterech sygnałach ktoś odebrał.

Kobieta, domyślił się, że to mama Sofii. Przedstawił się i powiedział, że uczył Sofię szwedzkiego i angielskiego w drugim semestrze.

– Ach tak – odparła kobieta smutno. – Ja jestem jej mamą. Dlaczego pan dzwoni?

S wyjaśnił, że właśnie wystawia stopnie, a nie jest pewien co do wyników Sofii.

– Przecież ona nie żyje – odpowiedziała matka.

– Mimo to powinna otrzymać stopień – stwierdził S. – Takie jest życzenie dyrekcji.

– A to dlaczego? – zapytała matka.

– Bo to wydawało się najwłaściwsze – oznajmił S, którego nagle dopadły wątpliwości, czy dobrze zrobił, dzwoniąc do domu Sofii. Przespał się jednak z tą decyzją, jak to zwykł robić w trudnych sprawach.

– Rozumiem – odparła matka. – Tak to wygląda.

Głos miała smutny, co zrozumiała. W jej tonie nie mógł się jednak doszukać niczego, co wskazywałoby, że według niej dyrekcja podjęła złą decyzję.

– Chciałbym, by ocena była możliwie najlepsza – ciągnął. – I sprawiedliwa, mimo że Sofia już nie żyje.

W słuchawce dał się słyszeć jakiś dźwięk, S nie mógł stwierdzić, czy kobieta kichnęła czy może załkała.

– Jak pani wie, jestem tu stosunkowo nowy i nie mam za bardzo doświadczenia w wystawianiu stopni, ale...

- Czego pan właściwie ode mnie chce? – przerwała mu matka.
- Tylko jeśli nie sprawiłoby to pani problemu, ma się rozumieć... – zaczął S.
- Ale co? – dopytywała.
- Cóż, chciałbym przeczytać pracę, którą Sofia miała mi oddać tego dnia, kiedy... To wypracowanie o Karin Boye, jestem pewien, że miała je w plecaku wtedy, gdy... A domyślam się, że państwo otrzymali jej rzeczy.
- W słuchawce na kilka sekund zapadła cisza.
- Czy mogę zadzwonić do pana za chwilę? – zapytała matka. – Najpierw muszę się w tej kwestii poradzić męża.
- Naturalnie – odparł S. – Przepraszam, że tak państwa nękam. Nie wiedziałem jednak, co począć.
- Rozumiem – skwitowała matka. Wzięła jego numer i rozłączyli się.

Po tej rozmowie S wziął prysznic i się ubrał. Kiedy już był gotowy, zadzwonił telefon. To był ojciec Sofii.

- Moją żonę nieco wytrąciła z równowagi rozmowa z panem – oznajmił.
- Bardzo mi przykro – przeprosił S. – Ja doprawdy nie chciałem...
- Choć oczywiście to nie pana wina, skoro dyrekcja podjęła taką decyzję.
- Chciałbym, żeby Sofia otrzymała możliwie najwłaściwszą ocenę – dodał S.
- Ma się rozumieć – przytaknął ojciec. – Co do tego jesteśmy zgodni. I znaleźliśmy wypracowanie o Karin Boye. Choć niechętnie je oddamy...
- Co ma pan na myśli? – zapytał S.
- Może pan je obejrzeć – wyjaśnił ojciec. – Nasza propozycja jest jednak taka, że przyjdzie pan do nas i przeczyta je tutaj. Rozumie pan?
- Rozumiem, ale...?
- Może pan przyjść za pół godziny. Po południu będziemy zajęci.

- Sam nie wiem...
- Adres to Rosenstigen 12. W takim razie będziemy na pana czekać o jedenastej, tak?
- Tak, dziękuję, dziękuję bardzo – odparł S. – Przyjdę, oczywiście. Będzie miło.

Rosenstigen było krótką ulicą w dość nowej dzielnicy szeregowców na południowym obrzeżu H-. Królowały tam niskie domy z białej cegły z płaskim dachem i miniaturowymi ogródkami na froncie. S zaparkował rower w stojaku, w którym stały już dwie damki. Zapukał do drzwi metalową kołatką w kształcie serca.

Otworzył rudowłosy chłopiec. Miał jakieś osiem, dziewięć lat, oszacował S. Ubrany był w niebieski dres i wpatrywał się intensywnie w swoje bose, dość brudne stopy. Sofia też była ruda.

S zapytał czy mama lub tata są w domu. Chłopiec odpowiedział, nie podnosząc wzroku, że rodzice czekają na tarasie.

To z pewnością brat Sofii, uznał S i wszedł do przedpokoju. Chłopiec pociągnął nosem, po czym zniknął w pokoju po prawej stronie i zamknął za sobą drzwi. Na spotkanie S wyszła kobieta w trudnym do określenia wieku, ubrana w zniszczoną błękitną podomkę. Poruszała się, nie podnosząc stóp. Włosy miała rzadkie i bez koloru, zaś jej postura przywiodła mu na myśl zranionego ptaka, którego kiedyś, jako chłopiec, trzymał w dłoniach.

– Siedzimy na dworze – wskazała na otwarte drzwi balkonowe. S wyszedł za nią na niewielki wyłożony kamieniami taras. Stał na nim owalny plastikowy stół otoczony czterema krzesłami z plastiku. Na jednym z nich siedział mężczyzna około pięćdziesiątki z przerzedzonymi włosami. Był ubrany w ciemne spodnie, białą koszulę z krótkim rękawem oraz krawat. Pod nosem miał rzadki rudą wąs. Usta były nieco zdeformowane, S domyślił się, że to z powodu zajętej wargi. Mężczyzna podniósł się

i wymienił z S uścisk dłoni. S usiadł na jednym z wolnych krzeseł i rozejrzył się. Obok stały klatka dla ptaków z dwoma nieruchomymi papużkami falistymi i kosiarka do trawy. Na ogródek składały się wąska rabatka z czerwonymi i białymi kwiatami oraz wykładana kamieniami ścieżka prowadząca na trawnik ze sfatygowaną siatką do badmintonu. Dwie rakiety tkwiły zapakowane w folię i oparte o cienkie, młode drzewko owocowe. Na stole ustawiono już termos z kawą i filiżanki. Matka weszła raz jeszcze do domu, po czym wróciła z niewielkim talerzem ciastek w jednej ręce oraz żółtą teczką w drugiej.

– Wyrazy współczucia – powiedział S. – To musi być dla państwa straszne.

Matka pokiwała głową. Usiadła.

– Trudno to sobie wyobrazić – odparł ojciec. – Moja żona nie spała, odkąd to się stało.

S przyjrzał się jej dokładniej. Pod oczami miała ciemne podkwy, myślami była chyba gdzieś daleko. Bez pytania naląła kawy do trzech filiżanek.

Na taras wyszedł szaro-biały pudel, rozejrzył się, po czym znów wszedł do środka.

– Fifi – wyjaśniła matka. – Sofia dostała ją na dziesiąte urodziny. Nie rozumie, gdzie podziała się jej pani.

– Bardzo mi przykro, że tak państwa nękam – powtórzył S. – Chodzi jednak o tę ocenę.

– Rozumiemy – odparł ojciec. – Mamy tu pracę Sofii. Margareta, może zechcesz...?

Żona podała S żółtą teczkę. – Proszę, niech pan czyta – powiedziała, a głos jej zadrżał. – My będziemy cicho. I proszę się poczęstować ciastkiem. Zostały nam z pogrzebu.

– Dziękuję bardzo. – S wyciągnął sześć zapisanych ręcznie kartek.

– Proszę się poczęstować – powtórzyła mama Sofii.

S wybrał migdałowe ciasteczko ozdobione krzyżem, popił je kawą i zaczął czytać.

Wstęp był świetny, zauważył to od razu. Życiorys Karin Boye został nakreślony krótko, z dobrze sformułowanym wyróżnieniem najważniejszych punktów. Sofia miała też bardzo ładny charakter pisma. Wprawdzie obecnie nie było to oficjalnie przyjęte kryterium uwzględniane przy ocenie, ale to zawsze plus.

– I jakie odnosi pan wrażenie? – zapytała matka, próbując się uśmiechnąć.

– Wygląda znakomicie – ocenił S, nie odrywając oczu od kartki.

– Włożyła w ten tekst sporo pracy – wyjaśnił ojciec. – Sofia była ambitna, nie da się zaprzeczyć.

– I utalentowana – dodał S, czytając dalej. – Mogła daleko zajść.

Matka chwyciła dłoń ojca pod stołem. Żadne z nich nie miało już więcej komentarzy. Po siedmiu, ośmiu minutach S skończył przeglądać tekst. W normalnej sytuacji od razu zacząłby czytać ponownie, tym razem dokładniej, czuł jednak, że w tym przypadku nie jest to konieczne. Praca była znakomita, nie musiał nic zaznaczać na czerwono. Nie miał żadnych wątpliwości, że za wypracowanie należy się piątka. Pewna, mocna piątka, co – ku jego radości – przechylało szalę w dobrą stronę w kwestii końcowej oceny Sofii. Westchnąwszy z zadowoleniem, S wetknął kartki z powrotem do teczki i uprzejmie skinął głową w stronę rodziców.

– To bardzo dobra praca – oznajmił. – Mogą państwo być dumni z córki.

– Jesteśmy – odparł ojciec, z namysłem gładząc wąż kciukiem i palcem wskazującym. – I, jak mówiłem, ona bardzo się nad tym napracowała.

– To widać – przyznał S.

– Dzień przed wypadkiem siedziała nad tym pół nocy. Myślę wręcz, że...

Zrobił pauzę. Wymienili z żoną spojrzenia.

– Włożyła w to bardzo dużo pracy – powtórzyła żona smutno.

– Była ambitną dziewczyną – przyznał S.

Ojciec zmienił pozycję.

– Skrupulatną i ambitną – dodał S.

Ojciec odchrząknął. – Tak, właściwie to myślę, że to dlatego – powiedział powoli, wpatrując się w milczące papużki w niewielkiej klatce.

– Dlatego stało się, co się stało. Tego ranka niemal nie dało się jej dobudzić. Była wymęczona i zdekoncentrowana, po prostu.

S milczał.

– Tę samą drogę do szkoły pokonywała od trzech lat – dodała matka.

Na taras znów wyjrzał pies. Popatrzył na nich ze smutną miną i wrócił do domu.

– Dla psa to niełatwe – powiedział ojciec. – Nie rozumie. Tak, widziałem, że tamtej nocy lampa w pokoju Sofii paliła się jeszcze o wpół do trzeciej. Wstałem do toalety.

Nagle S uświadomił sobie, że mu zimno. Siedział w pełnym wczesnowiosennym słońcu, a mimo to drżał, a ręce pokryła mu gęsia skórka.

– Może pan śmiało wystawić ocenę na pracy, powiedział ojciec. Może przyjemność sprawi panu myśl, że ostatnim, co Sofia zrobiła w życiu było... cóż.

Przerwał. Z kieszeni wyciągnął chusteczkę i wydmuchał nos.

– Pozostałym studentom nie wystawiałem stopni za dodatkowe prace – wyjaśnił S. – Jestem jednak gotów zrobić wyjątek dla Sofii.

– Będziemy wdzięczni – odparł ojciec.

S chwycił swój czerwony długopis i postawił 5 na ostatniej stronie, składając tam również podpis.

Godzinę później tę samą cyfrę wpisał do zielonego dziennika. Resztę dnia spędził jednak w pokoju. Bez przerwy leżał na łóżku, wpatrując się w sufit, mimo że była piękna wiosenna niedziela, wiał delikatny, przyjemny wiatr, a niebo było bezchmurne. Nie palił, nie czytał. Zapach kwitnącej jabłoni wpadał przez otwarte okno, otulając go uspokajającą wonią.

Jesienią tego samego roku S został przyjęty na seminarium nauczycielskie w mieście uniwersyteckim, zrezygnował jednak ze swojego miejsca. W następnym roku, w semestrze letnim zaczął studiować bibliotekoznawstwo w szkole wyższej w B-. Od 1982 roku pracuje jako bibliotekarz w miasteczku w środkowej Szwecji.

# Przypisy końcowe

1. Wszystkie fragmenty *Króla Leara* w przekładzie Leona Ulricha z: *Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare'a: w dwunastu tomach*, T. 4, *Hamlet; Król Lear*, oprac. Józef Ignacy Kraszewski, wyd. G. Gebethner i Spółka, Kraków 1895.

[↵](#)

2. Pewnie. W każdym calu. [↵](#)